

Geniusz

Graham Masterton



calibre 0.9.43

Graham Masterton

Geniusz

Tłumaczył: Piotr Kuś

Tytuł oryginalny: Genius

Data wydania oryginalnego: 1996

Data wydania polskiego: 2000

„Żaden Japończyk nigdy nie wylądował

na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjedno-

czonych Ameryki w żadnym momencie

II wojny światowej”.

California Historical Society

Solana Beach, południowa Kalifornia

24 września 1942

Znajdowali się o dobre ćwierć mili od brzegu, gdy księżyc w pełni wyłonił się zza chmur, błądzącym papierowy lampion. Z rosnącą desperacją cięli wiosłami niespokojną wodę. A więc stracili ostatniego sprzymierzeńca: ciemność. Wiatr dął w ich twarze pod niewielkim kątem, z prędkością piętnastu węzłów.

Przed nimi pieniały się przy brzegu wysokie fale, a biała piana unosiła się wysoko w powietrze.

Major Ganji Nishino dostrzegł już linię brzegu i zarysy nieregularnie porozrzucanych domków plażowych. W świetle księżycy wyglądały dziwnie majestatycznie; przypominały odrobinę dom jego ojca w Kioto, małej nadmorskiej osadzie, zamieszkaney głównie przez poławiaczy pereł. Zauważył jakby ćmy, poruszające się po wybrzeżu, jednak od razu zdał sobie sprawę, że to nie są ćmy, lecz przyciemnione światła samochodów, poruszających się Pacific Coast Highway.

Opóźnienie sięgało już dwóch godzin, a wciąż brakowało im siedmiu - ośmiu minut do osiągnięcia brzegu. Major Nishino zdawał sobie sprawę, że jest już zbyt późno, by przystępować do realizacji podstawowego planu. Jeżeli podstawowa misja miałaby się nie powieść, majorowi Nishino rozkazano, by uderzył w cel alternatywny.

W tej chwili jednak nie brał jeszcze pod uwagę możliwości niepowodzenia. Sam taki pomysł smakował równie cierpko jak sól w jego ustach, sól zmieszana z krwią.

Z furją i uporem poruszał wiosłem. Mała, gumowa łódź podskakiwała na falach niczym drobna piłeczka. Była z całą pewnością za mała do tej misji, a jednak nie mieli wyboru: szerokość włączów łodzi podwodnej wynosiła niewiele ponad pół metra i z trudnością przeciskał się przez nie marynarz w pełnym oporządzeniu.

Nadludzkie wysiłki przyniosły po kilku minutach upragniony rezultat: wylądowali na brzegu. Major Nishino natychmiast dał sygnał marynarzom z drugiej łódki, by zbliżyli się do niego i jego załogi.

Po raz czwarty już lądował na terytorium wroga. Niedawno dowodził

dwunastoosobową misją dywersyjną przeciwko Brytyjczykom w Rangunie. Pod osłoną ciemności przyplłynął przez rzeki Salween i Sittang, po czym podrzynał gardła śpiących żołnierzy nieprzyjaciela z chłodem i precyzją, jakby to były co najwyżej kaczkę, które należy zarznąć i wypatroszyć. Żołnierze bali się go, lecz jednocześnie podziwiali.

Otrzymał od nich przezwisko Wiatr Śmierci: niewidzialny, lecz nieuchronny w skutkach, które ze sobą niesie. Jednak nawet dla majora Nishino zadanie, które należało wykonać dzisiejszej nocy, znacznie różniło się od dotychczasowych. Tym razem on i jego sześciu ludzi, w odległości czterech tysięcy mil od wybrzeży ojczyzny, zdani byli wyłącznie na siebie i własne siły. Jeżeli któryś z nich zginie, nie znajdzie się nikt, kto zabierze ciało i zawiezie do domu.

Major Nishino nie bał się śmierci. Tak naprawdę zbyt słabo rozumiał to zjawisko, by się go bać. Bał się niesławy. Wiedział, że jeśli zginie w tym obcym kraju, jego prochy nigdy nie zostaną rozrzucone nad Kioto; nie będzie zresztą na to zasługiwał.

Półtora mili za jego plecami oczekiwała łódź podwodna I-17, zanurzona jedynie do głębokości peryskopowej. Jeżeli powrót grupy desantowej opóźni się więcej niż trzydzieści minut, komandor Tagami będzie musiał wykonać rozkaz i odpłynąć.

Silna fala wyrzuciła na piaszczysty brzeg łódkę majora Nishino. Po kilku sekundach znalazł się przy niej ponton kapitana Tanabe.

Po godzinie wiosłowania na niespokojnym morzu major Nishino czuł się otumaniony. Po kilku krokach niespodziewanie upadł na piasek. Podniósł się szybko i wykonał sześć szybkich, głębokich oddechów, tak jak go uczył ojciec. Wiatr zawsze wie, w którym kierunku zmierza, mawiał. Nabierz go w płuca, a i ty uzyskasz jego pewność.

Kapitan Tanabe ciężko oddychał. Nawet jak na Japończyka był wyjątkowo niski i drobny. Zasalutował majorowi i zawołał:

- Ameryka!

Jego oczy lśniły, a głos zdradzał podekscytowanie.

- Tak, kapitanie, Ameryka. Mamy jednak mniej niż czterdzieści minut. Proszę wciągnąć łódki w głąb plaży i ukryć je w piasku. Niech wszyscy ludzie się przebiorą i czekają w pogotowiu.

- Ameryka - powtórzył kapitan Tanabe. Rozglądał się dookoła, zachwycony miejscem, w którym się znalazł.

- Natychmiast, kapitanie! - warknął na niego major Nishino. Podczas gdy żołnierze wciągali pontony w głąb plaży, major zaczął rozpinąć swój czarny, wodoodporny kombinezon. Pod spodem miał białą koszulę z krótkimi rękawami i luźne spodnie, skrojone po amerykańsku. Po chwili zwinął kombinezon i wsunął go pod jedną z łodzi.

Odczepił przymocowany do burty karabin automatyczny taisho 14 i sprawdził magazynek.

Żołnierze również zdjęli kombinezony i schowali je do łodzi razem z radionadajnikiem. Następnie zaczęli przysypywać pontony piaskiem. Pomrukiwali z wysiłku przy pracy, co w końcu zdenerwowało porucznika Miwę.

- Zamknijcie się! - krzyknął. - Ryczycie jak świnie.

Major Nishino spojrział na swój zegarek. Była godzina dwudziesta trzecia siedemnaście i dwadzieścia sekund. Na niebie, wysoko nad jego głową, wesoło skrzyły się gwiazdy. W domu, w Kioto, major Nishino napisał wiele wierszy o gwiazdach. Jego ojciec zawsze powtarzał, że jest zbyt wrażliwy i zbyt romantyczny, aby zostać żołnierzem, nie doceniał jednak ogromnego patriotyzmu swego syna. Teraz major Nishino spoglądał na Wielki Wóz i Gwiazdę Polarną, próbując zwrócić twarz w kierunku ojczyzny. Jeżeli umrę, rozmyślał, Japończycy dowiedzą się, że przedsięwzięłem tę wyprawę po to, by w ich imieniu zadać cios Ameryce. Wielkiej, nadętej, bezdusznej Ameryce.

- Jesteśmy gotowi, majorze - dobiegł go głos kapitana Tanabe.

Major Nishino uważnie przyjrzał się swoim ludziom. Wszyscy ubrani byli jak typowe amerykańskie nastolatki, w luźne bawełniane koszule i powycierane dżinsy.

Oficerowie wywiadu ze sztabu Szóstej Floty, stacjonującego w Kwajalein, postanowili, że drobnej budowy japońscy komandos unikną niebezpieczeństwa natychmiastowej identyfikacji tylko wtedy, gdy przebiorą się za dorastających młodzieńców. Długo oglądali fotografie w amerykańskim „Life”, zanim podjęli taką decyzję. Nie szczędzono później środków ani wysiłku, by zdobyć autentyczne amerykańskie ubrania.

Poza majorem Nishino, uzbrojonym w karabin, komandos mieli jedynie noże.

Wszyscy potrafili, w razie potrzeby, porozumiewać się w języku angielskim. W

wypadku, gdyby któregoś schwytano, miał utrzymywać, że jest synem chińskich imigrantów, przynajmniej tak długo aż łódź podwodna I-17 opuści wody nieprzyjaciela.

- Nie mamy nawet czterdziestu minut - powiedział major Nishino. - Nasz największy problem polega na tym, że Biały Mędrzec skończył już wykład na uniwersytecie i w tej chwili jest w domu.

- Co robimy? - zapytał porucznik Miwa. - Realizujemy plan zapasowy?

Major Nishino pokręcił przecząco głową.

- Nie. Przybyliśmy tutaj po Białego Mędrca i nie opuścimy Ameryki bez niego.

- Ale przecież Biały Mędrzec mieszka aż jedenaście kilometrów stąd, w głębi lądu.

Nawet jeżeli uda się nam zdobyć jakiś pojazd...

Major Nishino lekko się uśmiechnął.

- Amerykańskie samochody są bardzo szybkie - zauważył.

- Packardy! - zawołał kapitan Tanabe. - Cadillaki! - Właśnie - przytaknął major Nishino. - Ruszajmy więc i czym prędzej zdobądźmy jeden z nich.

Szybkim krokiem skierowali się do parkingu, znajdującego się przy plaży. Major Nishino na wszelki wypadek trzymał w ręce odbezpieczony pistolet, na szczęście jednak nigdzie nie było widać żadnego policjanta ani strażnika. Natomiast na samym skraju parkingu stał stary ciężarowy ford. Był brudny, pordzewiały i już z daleka cuchnął

rybami. Major Nishino szarpnął drzwiczki, były jednak zamknięte na klucz. Przez chwilę zastanawiał się, czy ich nie wyrwać, jednak samochód nie wyglądał zbyt zachęcająco; z całą pewnością potrzebna była lepsza maszyna. Postanowił, że najlepiej będzie, jeżeli zatrzymają jakiś pojazd na autostradzie.

Na jego znak cała grupa pobiegła w kierunku szosy.

Szybko minęli opustoszałą o tej porze stację benzynową, mały sklepik i przydrożny bar o nazwie „Solana Beach Eaterie”, niestarannie wypisanej na drzwiach. Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies. Jakiś mężczyzna zawołał:

- Zamknij się, durniu! - I szczekanie urwało się.

Wreszcie dotarli do autostrady. Z pontonów na oceanie widzieli mnóstwo świateł

przejeżdżających samochodów, teraz jednak nagle ich zabrakło. Major Nishino znów popatrzył na zegarek i cicho zaklął. Miał trzydzieści cztery minuty na pokonanie dwudziestu dwóch kilometrów, zupełnie nieznaną drogą, w ciemności, oraz na odszukanie domu Białego Mędrca.

Na moment zwątpił, czy operacja ma jakiegokolwiek szanse powodzenia. Jeżeli natychmiast nie napatoczy się jakiś szybki samochód...

- Co robimy, majorze? - zapytał kapitan Tanabe.

- Czekamy - odparł krótko Nishino.

Przystanęli na poboczu drogi w cieniu drzewa. Jeden z młodszych żołnierzy napił

się podczas przeprawy wody morskiej i teraz zaczął głośno kaszleć.

- Zamknij się - warknął major Nishino. - Chcesz, żeby cała Ameryka dowiedziała się, że tu jesteśmy?

Po chwili milczenia kapitan Tanabe zasugerował: - A może pójdziemy pieszo do domu Białego Mędrca?

- Po co? Nie mielibyśmy już szansy wrócić na łódź. Kapitan Tanabe w wymowny sposób przejechał palcem wskazującym po gardle.

- Moglibyśmy go zabić zamiast porwać - zasugerował.

- Wiesz dobrze, że mamy rozkaz za wszelką cenę przywieźć go do kraju żywego.

Jeżeli nie uda nam się wykonać tego zadania, wysłana zostanie następna misja, by go stąd wydobyć.

Kapitan Tanabe ciężko westchnął. Przez chwilę nerwowo przestępował z nogi na nogę, po czym znów się odezwał:

- W tej sytuacji proponuję, żebyśmy od razu przystąpili do realizacji planu zapasowego.

- Być może będziemy musieli tak postąpić - przyznał major Nishino. - Ale jeszcze nie teraz. Dopóki jest choć cień szansy na zabranie Białego Mędrca do kraju, musimy próbować.

- Rozumiem.

Gdyby majorowi Nishino nie udało się porwać Białego Mędrca, miał rozkaz skierowania się na północ, do bazy marynarki wojennej w Camp Pendleton i dokonania tam maksymalnych zniszczeń. Plan nosił kryptonim „Ocean w ogniu”. Wydawał się bardziej spektakularnym posunięciem niż porwanie nikomu nie znanego profesora uniwersytetu. A jednak generał-porucznik Shimuzu zapewnił majora Nishino, że uprowadzenie Białego Mędrca może mieć bardziej doniosły wpływ na wynik wojny niż zniszczenie nawet największego składu paliw i amunicji, które Amerykanie szybko i z łatwością uzupełnią.

Znów popatrzył na tarczę zegarka. Trzydzieści dwie minuty. Trzydzieści jeden.

- Za późno - odezwał się znów kapitan Tanabe. - Chwileczkę - powiedział

porucznik Miwa. - Słuchajcie tylko.

Zaczęli nasłuchiwać, co nie było łatwe, gdyż wiał silny wiatr. Początkowo major Nishino niczego nie słyszał, jednak po chwili dotarł do niego słaby odgłos silnika pojazdu, zbliżającego się od strony południowej. Szum narastał. Wkrótce komandosi dostrzegli światła samochodowych reflektorów.

Major Nishino wyszedł na autostradę. To w tym właśnie miejscu mieli zatrzymać samochód doktora

Gatheringa, powracającego z uniwersytetu. Major pamiętał kolor i numer tablicy rejestracyjnej samochodu. Czarny de soto de luxe, BL 2130. Na łuku musiał znacznie zwolnić, tym bardziej że kawałek dalej powinien skręcić w drogę, prowadzącą w głąb lądu, gdzie mieszkał doktor Gathering.

Samochód, który teraz się zbliżał, również zwalniał. Trudno było się zorientować, jaka to marka, major Nishino zauważył jednak, że auto jest duże; w tej chwili to było najważniejsze.

Machnął kilkakrotnie ręką i samochód zatrzymał się tuż obok niego. Był to biały nash ambassador, półciężarówka. Za kierownicą siedział niski, gruby mężczyzna o wybrylantowanych włosach, ubrany w jasnozielone spodnie.

- O co chodzi, przyjacielu? - zapytał.

- Popsuł się mój samochód - odparł major Nishino.

- Popsuł się twój samochód?

- Słaby akumulator. Nie jedzie.

- Słaby akumulator, mówisz? Cóż... - kierowca wskazał palcem wprost przed siebie. - Widzisz ten warsztat, dwieście metrów przed nami? Należy do Wall'ego Olsena. Stary Olsen mieszka obok. Zadzwoń do drzwi, a przyjedzie tutaj i ci pomoże.

Pewnie będzie marudził, że go wyrwał z łóżka, ale z pewnością nie odmówi pomocy.

- Dokona naprawy?

- Tak, przyjacielu. Dokona naprawy.

Grubas miał zamiar odjechać, jednak major Nishino powstrzymał go.

- Stój! Proszę!

- O co chodzi? Śpieszy mi się.

- Proszę wysiąść z samochodu.

Grubas zmarszczył czoło. Dopiero w tej chwili major Nishino zdał sobie sprawę, że jego pistolet jest dla rozmówcy niewidoczny.

- Proszę wysiąść z samochodu - powtórzył i wycelował prosto w głowę grubasa.

Ten uniósł ręce do góry, jakby wzywając niebios na świadka tego, co chce powiedzieć.

- „Proszę wysiąść z samochodu” - rzekł, przedrzeźniając majora Nishino. - Do cholery, co to za język?

- Powiedziałem „proszę” - odezwał się major niemal błagalnym głosem.

- A mam cię w dupie, nigdzie nie wysiądę. A tą zabawką mnie nie przestraszysz, zapewniam cię, stary.

Major Nishino bez wahania nacisnął spust i kula trafiła w głowę grubasa. Mimo tłumika, pistolet wydał głośny trzask. Zanim trup opadł na siedzenie, grubas jeszcze przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby wpatrywał się w majora Nishino trzecim okiem, które pojawiło się na samym środku czoła. Mózg kierowcy rozprysnął się po całej kabinie, wydostawszy się razem z kulą z tyłu czaszki.

Nishino jednym szarpnięciem wyrzucił zwłoki na drogę. Dopiero wtedy podbiegło do niego kilku komandosów.

- Schowajcie go za płotem - rozkazał. - Zdejmijcie mu koszulę i wytrzyjcie nią siedzenia. Szybko, nie mamy ani chwili do stracenia.

Po chwili pojawił się przy nim kapitan Tanaba. Pieszczotliwie pogładził dłonią białą maskę samochodu.

- Nash - powiedział. - Nash ambassador osiem.

- Kapitanie - major Nishino wydał kolejny rozkaz - poczeka pan przy łodziach razem z Nagatą i Hommą. Jeżeli nie wrócimy do pierwszej, przystąpicie do wykonania planu awaryjnego.

Kapitan pobleadł. Był zbyt zdyscyplinowanym żołnierzem, by sprzeciwić się rozkazowi, lecz nie był w stanie ukryć swego rozczarowania. Oto odbył daleką podróż do Ameryki i zobaczy jedynie kawałek piaszczystej plaży i nic więcej. Zasalutował

jednak posłusznie i powiedział:

- Rozkaz.

Skinął na żołnierzy, których przydzielił mu major, i natychmiast ruszył w kierunku brzegu oceanu.

Porucznik Miwa spojrzał na majora pytającym wzrokiem. Nie trudził się zadawaniem pytania, nie było na to czasu. Czekał na rozkaz, który padł po chwili:

- Poruczniku, jest pan wśród nas najlepszym kierowcą. Ruszajmy.

Major usiadł na miejscu dla pasażera, natomiast porucznik Miwa usadowił się za kierownicą. Pozostali komandosi zajęli miejsca w skrzyni na towary. Samochód natychmiast ruszył.

- Szybciej - naglił major Nishino, gdy tylko znaleźli się na szosie prowadzącej do Rancho Santa Fe. Samochód trząsał się i podskakiwał na nierównej drodze. Była ciepła, pachnąca, kalifornijska noc. Wysoko na niebie błyszczał ogromny księżyc. Ameryka!

Major rozparł się wygodnie na siedzeniu. Dopiero teraz zaczynało do niego docierać, że wdarł się na

terytorium wroga. Żeby jeszcze tylko udało mu się wykonać zadanie.

Samochód gnał drogą, wzdłuż której rosły eukaliptusy. Szosa była wąska, kręta i Japończycy musieli się trzymać wszelkich możliwych uchwytów, by nie rzucało ich po całym samochodzie.

- Jeszcze cztery i pół mili - powiedział porucznik Miwa. Major Nishino znowu spojrzał na zegarek.

- Przyspiesz, bo jeśli nadal będziemy się tak wlekli, to nigdy nie wykonamy zadania.

Porucznik wydobywał z silnika całą moc; opony piszczały na zakrętach, a Miwa dokonywał niemal cudów, by samochód, mimo ogromnej prędkości, nie wypadł z autostrady. Droga wiodła lekko pod górę. Z każdym zakrętem komandosi oddalali się od poziomu oceanu i zbliżali do celu.

Wreszcie pokonali ostatni zakręt i niemal natychmiast znaleźli się w samym centrum Rancho Santa Fe.

- Jesteśmy - powiedział porucznik Miwa.

Na głównej ulicy zauważyli kilkanaście sklepów, dwie restauracje, hotel i posterunek policji. Wszystko było pozamykane, panował spokój i absolutna cisza, którą zakłócił tylko warkot białego nasha. Major Nishino poczuł się nagle tak, jakby oglądał

film hollywoodzkiej produkcji.

- Skręć w prawo - powiedział do Miwy. - On tutaj mieszka, przy Paseo Delicias.

Porucznik wykonał polecenie i samochód wjechał w wąską uliczkę, wzdłuż której ciągnęły się dwa rzędy białych domów. Jakiś mężczyzna, wyprowadzający owczarka niemieckiego na późnowieczorny spacer, przystanął i popatrzył zdziwionym wzrokiem na białego nasha. Jeden z komandosów odwrócił się i zawołał do majora:

- Widział pan, jak on się na nas gapił? Należało go zastrzelić.

- Daj spokój - odparł Nishino. - Pamiętaj, to jest małe miasteczko. Wszyscy natychmiast oglądają się tutaj za przybyszami. Czy w twojej wiosce nie jest tak samo?

Wąską i krętą drogą zaczęli zjeżdżać w dół, oddalając się od centrum Rancho Santa Fe. W powietrzu unosił się intensywny zapach eukaliptusów, tak silny, że porucznik Miwa musiał zacisnąć palcami nos, by nie kichnąć. Za kolejnym zakrętem znaleźli budynek, którego poszukiwali: duża skrzynka na listy nie pozostawiała wątpliwości, że dom oznaczony 3370 Paseo Delicias należy do doktora Lionela Gatheringa. Jego nazwisko wymalowane było na skrzynce dużymi, wyraźnymi literami. Brama z kutej stali, prowadząca do ogrodu, była uchylona, a przed jasno oświetlonym budynkiem stał na podjeździe zielony chevrolet.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział major Nishino do porucznika Miwy. - Zostało nam dwadzieścia jeden minut.

Z samochodu wyskoczyli wszyscy komandos z wyjątkiem porucznika, który przejechał jeszcze kilkanaście metrów i ustawił nasha w kierunku, w którym za chwilę mieli uciekać. Major Nishino poprowadził żołnierzy w stronę bocznej ściany domu.

Wewnątrz było ciemno, światło nie paliło się nawet tam, gdzie powinny znajdować się okna sypialni. Major doskonale wiedział, że do zwyczajów Kalifornijczyków należy wczesne chodzenie spać; doktor Gathering i jego żona najwyraźniej nie stanowili wyjątku. Znów popatrzył na zegarek. Najprawdopodobniej mieszkańcy domu o tej porze spali.

Podczas gdy jeden z komandosów pilnował frontu, major Nishino z pozostałymi udali się na tyły. Podwórze było niewielkie, najwyżej trzydzieści pięć, czterdzieści metrów kwadratowych, a większość tego obszaru zajmował basen. Księżyc odbijał się od błękitnej tafli spokojnej wody.

Dotarli do drzwi kuchennych. Były do połowy przeszklone, lecz obserwację wnętrza domu uniemożliwiały czerwone zasłony. Major Nishino chwycił pistolet za lufę, chcąc ręką zbić szkło. Zanim jednak zdołał to uczynić, jeden z komandosów szarpnął za klamkę. Ku zaskoczeniu wszystkich, drzwi się otworzyły. Komandos, który to uczynił, popatrzył na majora szeroko rozwartymi oczyma, nie wiedząc, co robić dalej.

- Do środka, Fujita - rozkazał Nishino. Komandos wahał się ułamek sekundy, ale zaraz wkroczył do budynku. Major pozostawił kolejnego ze swych ludzi na posterunku przy drzwiach, sam natomiast także wszedł do środka.

Znaleźli się w dużej, czystej i doskonale wyposażonej kuchni. Cicho szumiała potężna lodówka. Chromowany toster na stole lśnił niczym autentyczna ikona, która znalazła się tutaj z niewiadomego powodu. Poza tym major zadowolony był, że księżyc świeci tak intensywnie; dookoła stało tak wiele stołów i krzeseł, że łatwo było coś potraścić i narobić hałasu. Światło ułatwiało wszelkie ruchy. W kuchni było bardzo ciepło, unosił się w niej zapach pieczonego kurczaka, którego domownicy z całą pewnością zjedli na kolację. Duży zegar, zawieszony na ścianie, w porę przypominał

majorowi, że ma tylko cztery minuty na porwanie Białego Mędrca i podjęcie drogi powrotnej do Solana Beach.

Komandos przeszli do salonu, wyłożonego grubym dywanem, tłumiącym kroki, i wyposażonego w piękne meble w stylu kolonialnym. W rogu stał największy telewizor, jaki major Nishino kiedykolwiek widział. Na telewizorze ustawiona była porcelanowa figurka tancerki flamenco.

Nishino wskazał na boczne drzwi. Fujita natychmiast je otworzył i wbiegł do kolejnego pomieszczenia. Zaraz jednak powrócił do salonu i potrząsnął przecząco głową. Major zdążył zobaczyć puste, pojedyncze łóżko.

Fujita otworzył następne drzwi i znowu potrząsnął głową. Tam z kolei znajdowała się garderoba.

Drzwi po przeciwnej stronie wiodły do krótkiego korytarza, zakończonego następnym wejściem. Major Nishino ruszył tędy. Wstrzymywał oddech, a w wyciągniętej dłoni trzymał pistolet gotowy do strzału. Przed drzwiami zatrzymał się tylko na sekundę, po czym nagle szarpnął je i wskoczył do

znajdującego się za nimi pokoju. Ułamek sekundy później Fujita uczynił to samo.

Niemal w tej samej chwili rozblysło światło, pochodzące z lampki znajdującej się na stoliku nocnym. Młody, ciemnowłosy mężczyzna w niebiesko-białej pidżamie usiadł

na łóżku i przez chwilę błędził dłońmi po stoliku w poszukiwaniu okularów. Leżąca obok niego rudowłosa kobieta obudziła się w chwilę później. Zamrugła oczyma, jakby nie mogła uwierzyć w to, co ujrzała przed sobą.

- Do cholery, kim jesteście? - zawołał mężczyzna. - Wynoście się z mojego domu!

Major Nishino szybkim krokiem podszedł do łóżka i przystawił lufę pistoletu do głowy mówiącego.

- Nie mamy czasu do stracenia, doktorze Gathering - powiedział. - Proszę się ubrać.

- Co się dzieje? - zawołał zaatakowany. - Nie możecie tak po prostu włamywać się do mojego domu i...

- Doktorze Gathering, nie mamy czasu. Proszę się ubierać. Gathering wreszcie założył na nos okulary.

- Jesteście Japończykami? - zapytał z niedowierzaniem. Major Nishino wymierzył pistolet w jego żonę.

- Proszę się ubrać, doktorze, albo zabiję pańską małżonkę. Nie będę czekał.

Pani Gathering szarpnęła męża za rękaw pidżamy i zawołała: - Nie, Lionel, nie musisz...

On jednak odtrącił jej dłoń i wyskoczył z łóżka, nie spuszczając wzroku z majora Nishino.

- Proszę się ubrać jak najszybciej. I proszę włożyć coś bardzo ciepłego.

- Na miłość boską, jest ponad trzydzieści stopni!

- Nie na oceanie.

- Do cholery, co wy zamierzacie? Chcecie mnie porwać? Major Nishino znowu popatrzył na zegarek.

- Niech pan się pośpieszy, doktorze Gathering. Za trzydzieści sekund nie będę miał już innego wyboru, jak tylko pana zastrzelić.

- Lionel... - zaczęła pani Gathering, jednak major Nishino wymownie pogroził jej pistoletem.

- Dwadzieścia sekund, doktorze Gathering. Amerykanin nie wahał się już ani chwili dłużej. Otworzył drzwi szafy i wyjął z niej gruby, zielony sweter oraz parę sztruksowych spodni. Szybko się ubrał, naciągając wszystko na pidżamę.

- Dwie pary skarpetek - poleciał major.

Doktor Gathering usiadł na skraju łóżka i szybko wciągnął na nogi dwie pary długich skarpet.

- Teraz miękkie obuwie. Żadnych butów.

Wszystko to trwało mniej niż minutę. Gdy doktor był ubrany, major Nishino powiedział do Fujity:

- Zabierz go do samochodu. To nie potrwa długo. Powiedz porucznikowi, niech będzie gotowy do odjazdu.

- Jeżeli ją tylko tkniesz... - krzyknął doktor Gathering do majora.

- Szybko, Fujita, pośpiesz się!

Pani Gathering siedziała na łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę i wpatrywała się w majora Nishino oczyma pełnymi łez.

- Co chcecie z nim zrobić? - zapytała. Jej twarz była trupio blada, malowało się na niej ogromne przerażenie. - Chyba nie zamierzacie go zabić?

- Niech się pani nie martwi. Mam rozkazy od najwyższego dowództwa, aby pani mężowi nie spadł włos z głowy.

- Ale gdzie go zabieracie? Przecież nie możecie tak po prostu...

- To jest wojna, droga pani. Niestety.

Jeszcze nie przebrzmiało jego ostatnie słowo, gdy major Nishino z najbliższej odległości strzelił w głowę kobiety. Martwa opadła na poduszkę, a ściana za nią zabarwiła się na czerwono. Major przez chwilę wpatrywał się w swą ofiarę z prawdziwym żalem w oczach, po czym odwrócił się i wybiegł z sypialni.

Przed domem porucznik Miwa i pozostali komandoski już czekali na niego w samochodzie z włączonym silnikiem, gotowym do drogi. Major Nishino wskoczył do kabiny kierowcy i pojazd natychmiast ruszył. Doktor Gathering był już skuty kajdankami i zakneblowany. Nishino popatrzył na niego i powiedział:

- Pańska żona jest mądrą kobietą, doktorze. Obiecała mi, że nie wezwie policji ani wojska. Dlatego postanowiłem ją oszczędzić.

Doktor Gathering wydał z siebie jakiś niewyraźny odgłos. Major jednak przestał

się interesować swoim więźniem. Współczuł mu, ale co z tego. Trwała wojna i naukowiec był więźniem wojennym, a pani Gathering jedną z jej przypadkowych, lecz nieuniknionych ofiar. Wiele takich ofiar było już przed nią i będzie jeszcze więcej. Nie sposób nad każdą z nich wylewać łzy.

Znów jechali krętą drogą pomiędzy eukaliptusami. Księżyc świecił tak jasno, że reflektory samochodu były właściwie niepotrzebne. Pędzili wśród srebrzystego krajobrazu, srebrzystym autem, srebrzyste były nawet ich dłonie i twarze. Major Nishino sprawdził czas i po raz pierwszy spojrzenie na zegarek przyniosło mu zadowolenie. Jeżeli teraz nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, zdążą na czas do Solana Beach i na spotkanie z I-17. Nadzieja nie wystarczała jednak majorowi.

- Szybciej! - krzyknął do porucznika Miwy i otwartą dłonią uderzył w tablicę rozdzielczą. Porucznik nie dyskutował, mimo że zdawało mu się, iż biały nash szybciej już jechać nie może. Lecz jeszcze mocniej nacisnął pedał gazu. Na kolejnym zakręcie z trudem udało mu się utrzymać pojazd na drodze. Wkrótce jednak kręta trasa z Rancho Santa Fe skończyła się i auto z piskiem opon wypadło na szeroką autostradę. Po chwili oczom Japończyków ukazał się lśniący ocean.

Porucznik Miwa zatrzymał samochód na parkingu przy plaży. Zanim major Nishino wyskoczył z kabiny, do jego uszu dotarł przeciągły, zawodzący dźwięk syreny alarmowej. Od wschodniej i północnej strony zaczęły pojawiać się czerwone migocące światła.

- Policja! - zawołał. - Zwiewajmy stąd!

Wywlekli doktora Gatheringa na zewnątrz. Kopał i szarpał swoich prześladowców, próbując się uwolnić, Fujita jednak świetnie dał sobie z nim radę, zarzuciwszy go na ramiona niczym zwinięty dywan. Major i porucznik ruszyli za nim. Samochody policyjne zbliżały się właśnie do parkingu.

Potykając się, Japończycy wbiegli na plażę. Miękki i głęboki piasek utrudniał im ruchy. Kapitan Tanabe już na nich czekał, a łodzie były gotowe do startu, nie było już jednak czasu, by zakładać nieprzemakalne kombinezony.

- Szybko! - krzyknął major Nishino.

W ciągu kilku sekund łodzie znalazły się na falach oceanu, a major Nishino brnął

po kolana w wodzie. Za plecami Japończyków zapaliły się silne reflektory i jakiś Amerykanin wrzasnął:

- No, dość tego! Z powrotem na plażę, przyjaciele!

Kapitan Tanabe i trzech innych ludzi już wspięło się na łódź i wiosłowali. Major tymczasem bezskutecznie próbował umieścić w swoim pontonie doktora Gatheringa, który znów kopał i wyrywał się, wszelkimi sposobami chcąc utrudnić Japończykowi zadanie.

Policjanci znaleźli się w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów od brzegu.

Nie było ich dokładnie widać, jednak major Nishino nie miał wątpliwości, że jest ich przynajmniej czterech albo pięciu. W pewnej chwili odniósł wrażenie, że światło księżyca odbiło się od wypolerowanej lufy karabinu. Jednocześnie jeden z policjantów krzyknął:

- Czy mnie słyszycie? Wsiadajcie z łodzi i wracajcie na plażę. Ręce na kark!

Major Nishino odkrzyknął w jego kierunku:

- To są tajne ćwiczenia marynarki! Lepiej trzymajcie się z daleka!

- Nie czaruj, stary! Łapska na kark i zawracajcie! Natychmiast!

Major Nishino zrozumiał, że ma jedno wyjście. Z całej siły uderzył doktora Gatheringa ręką i pistoletem w kark i ten natychmiast stracił przytomność. Teraz dopiero mógł załadować Amerykanina do łodzi. Gestem nakazał Fujicie, by wskoczył

za nim, a sam zawołał w stronę policjantów:

- Dobra, idziemy do was!

W tej samej chwili otworzył ogień. Jeden z Amerykanów trafiony, natychmiast padł na piasek, a kolejny zdołał się ukryć za jakimś grubym pniem, leżącym na plaży.

Jednak przewagę Japończyk zyskał tylko na krótką chwilę, wkrótce bowiem kule zaczęły lecieć również w jego kierunku. Jedna z nich niebezpiecznie blisko przebiła taflę wody.

- Dalej, Fujita, uciekaj! - zawołał. - Zaraz do ciebie dołączę. Policjanci zaczęli strzelać ogniem ciągłym. Wkrótce kule podziurawiły łódź kapitana Tanabe.

Natychmiast zaczęła pogrążyć się w wodzie.

Tymczasem na brzegu zawodziło coraz więcej policyjnych syren i błyszczało coraz więcej czerwonych „kogutów”. Policjanci zaś krzyczeli i co chwilę rozlegał się odgłos strzałów karabinowych i rewolwerowych.

W pewnej chwili kapitan Tanabe zachwiał się i zaczął pogrążyć w wodzie.

Spróbował się podnieść, jednak w tym samym momencie trafiło go sześć albo siedem kul i jego ciało znów zanurzyło się w spienionych falach przy brzegu. Słona woda wokół jego zwłok zabarwiła się krwią.

Nie było ani chwili do stracenia. Major Nishino przestał zwracać uwagę na policjantów. Odwrócił się w kierunku oceanu i ze wszystkich sił pchnął łódkę z Fujitą i nieprzytomnym doktorem Gatheringiem. Gdy stracił grunt pod nogami, zaczął płynąć, trzymając się burty. Ocean szumiał tak głośno, że Japończyk nie słyszał huków wystrzałów, dzięki czemu mógł się skoncentrować wyłącznie na ucieczce.

Jedna z większych fal o mało nie sprawiła, że burta łodzi wysliznęła mu się spod ręki.

- Majorze! - krzyknął Fujita. - Niech pan się trzyma! Nie trzeba mu było tego powtarzać. Ocean jednak jakby się na niego uwziął. Wielkie, spienione fale ani trochę nie przypominały spokojnych i ciepłych wód Sumatry, gdzie jego grupa przygotowywała się do tej misji. W pewnej chwili spojrzał ku plaży. Przeraził się, widząc, jak blisko brzegu wciąż się znajduje, jak łatwym jest celem dla

policjantów.

Kłęczeli na piasku i mierzyli do niego z rewolwerów, chcąc mieć pewność, że kolejne strzały dosięgną Japończyka.

Jak to się stało, że jeszcze mnie nie trafili? - zadał sobie pytanie. - Jak to się dzieje, że wciąż żyję? To przecież cud, to nieprawdopodobne!

Kolejna kula przebiła tafłę wody w odległości kilku centymetrów od jego głowy.

Zanurzył się pod powierzchnię, wiedział jednak, że długo tak nie wytrwa. Ogromna wola przeżycia sprawiła, że wynurzył głowę spod wody dopiero po kilkudziesięciu sekundach, gdy instynkt samozachowawczy podpowiedział mu, że płuca nie wytrzymają już ani chwili dłużej bez powietrza.

Nagle za wszelką cenę zapragnął znaleźć się w łodzi. Chciał, aby kiedy umrze, jego prochy zostały porozrzucane nad Kioto, przstraszył się, że jego doczesne szczątki mogą na zawsze pozostać tutaj, w nieprzyjacielskiej, wrogiej Ameryce.

Mimo że w tej chwili właśnie najbardziej narażał się na kule amerykańskich policjantów, kilkoma niezgrabnymi ruchami wspiał się do pontonu i padł na jego dno.

- Majorze! - zawołał Fujita. - Trafili pana?

- Ani razu. Są o wiele gorszymi strzelcami niż Brytyjczycy. Major Nishino usiadł, przez chwilę kaszlał, po czym sięgnął po wiosło.

- Wkrótce wyślą za nami motorówki - powiedział. - Musimy się bardzo śpieszyć.

- Kapitan Tanabe nie żyje, majorze.

- Kapitan Tanabe zawsze podziwiał Amerykę. Zapewne jego przeznaczeniem było umrzeć właśnie tutaj.

Powierzchnię wody niespodziewanie zaczął omiatać strumień światła z silnego reflektora. Na moment padł na łódkę, która jednak zaraz zniknęła za wysoką falą i światło przestało jej zagrażać. Major Nishino zaczął wiosłować z szaloną siłą człowieka, który zdaje sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może go spotkać najgorsze zdarzenie w życiu; a dla majora najgorsze byłoby niepowodzenie misji zleconej mu przez przełożonych.

Za jego plecami Fujita i Homma wiosłowali z nie mniejszą werwą. Oni z kolei mniej bali się niepowodzenia akcji, bardziej tego, że oficer może się okazać sprawniejszy i silniejszy od nich.

Im dalej znajdowali się od brzegu, tym woda była spokojniejsza. Z lewej strony, od południa, ujrzeli wkrótce światelka na wodzie. Były to motorówki marynarki wojennej, które wypłynęły z bazy w San Diego, by ich schwytać.

Major Nishino wiosłował z furią bez chwili wytchnienia. Jeżeli dopadną ich amerykańskie łodzie,

gotów był się zastrzelić i doskonale wiedział, że jego komandosi w takim wypadku również popełnią samobójstwo. Oni byli nieważni... Najważniejszy wśród nich był mężczyzna, który spoczywał nieprzytomny na dnie łodzi.

Major pomyślał o swym rodzinnym domu. Jaki dumny będzie z niego, jeżeli mimo wszystko powróci bezpiecznie z tej misji i przywiezie Białego Mędrca. Pomyślał o kolorowym, pięknym ogródku przy domu rodziców i nagle bardzo zapragnął tam właśnie się znaleźć.

Jeśli jego pragnienie powrotu do domu wyraziło się w cichej modlitwie, to niemal natychmiast została ona wysłuchana. Księżyc zakryła duża, ciemna chmura, przypominająca kształtem kobietę, okrytą czarnym płaszczem. Płaszcz był tak szeroki, że na długie minuty nad oceanem zapanowała niemal kompletna ciemność. Wiatr niespodziewanie zaczął wiać w plecy Japończykom. Wiosłowanie stało się o wiele łatwiejsze. Ponton nabrał sporej szybkości.

O godzinie 00:45:23 wieżyczka I-17 przebiła powierzchnię oceanu na pozycji 117°

26' długości geograficznej zachodniej i 33° 1' szerokości geograficznej północnej.

Ocaleli komandosi, zziębnięci i wyczerpani, już na nią czekali w małej, gumowej łodzi.

Na jej dnie bezpiecznie spoczywał doktor Gathering, wciąż nieprzytomny.

Prawie kilometr od tego miejsca motorówki patrolowe amerykańskiej marynarki wojennej wciąż przeczesywały brzeg, a policjanci badali każdy fragment plaży w Solana Beach. Wchodząc jako ostatni do wnętrza łodzi podwodnej, major Nishino po raz ostatni spojrzął w kierunku wybrzeży Kalifornii. Amerykanie ze zdziwieniem oglądali szczątki uszkodzonego pontonu i zwłoki trzech mężczyzn o azjatyckich rysach twarzy, ubranych jak typowi mieszkańcy Stanów Zjednoczonych. Nic z tego nie rozumieli, jednak nie podejrzewali, że ich ofiary przybyły aż z dalekiej Japonii, aby tutaj znaleźć śmierć.

Dowódca łodzi podwodnej, kapitan Tagami, położył dłoń na ramieniu majora i odezwał się:

- Proszę się pośpieszyć, majorze. - Po chwili milczenia dodał: - Dzisiejszej nocy dokonał pan bohaterskiego wyczynu. To dla mnie zaszczyt, że mogę pana gościć na mojej łodzi.

Wiatr Śmierci po raz ostatni popatrzył na Amerykę i zszedł do łodzi.

„Gdy prawdziwy geniusz pojawi się na

świecie, poznacie go po tym, że wszystkie

osły sprzymierzą się przeciwko niemu”.

Jonathan Swift

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Huragan Hubert miał nadciągnąć za dwie godziny. Wieczorne niebo zakryte było przez ciemne, postrzępione chmury. Drobne śmieci i kartki papieru latały w powietrzu ponad ulicami i parkingami, przylegały do ścian i płotów. Niespodziewanie odpadła pokrywa od plastikowego pojemnika na śmieci i z hałasem potoczyła się po ulicy.

Ciśnienie opadało z prędkością kamienia, spuszczonego w dół z drapacza chmur.

Trzęsły się szyby w oknach i drzwi w futrynach; jakby w panice chciały uciec stąd jak najdalej.

Guido wszedł do jasno oświetlonej kuchni, zdjął ciasny, czarny płaszcz, i powiedział:

- Pośpieszcie się, chłopaki, pronto! Musimy zamykać!

Micky wciąż zmywał talerze, brudne od sera. Guido podszedł do niego i przez chwilę z wściekłością obserwował jego poczynania.

- Matko Boska - jęknął wreszcie. - Rzymu nie zbudowano w ciągu jednego dnia.

Być może nie zbudowano go i w tydzień. Jednak z całą pewnością trwało to krócej, niż ty zmywasz te cholerne talerze.

- Chwileczkę, nie widzisz, że to jest przyschnięta mozzarella? - zaprotestował

Micky.

- Doskonale wiem, co to jest - odparł Guido. Stał tak blisko, że Micky czuł

wstrętny odór czosnku z jego ust. - Ty jednak wcale nie musisz tego wiedzieć. Masz po prostu szybko pozmywać te talerze, bo zaraz muszę zamykać interes. Tylko to powinno cię interesować.

- Tak, Guido, tak, proszę pana - powiedział pokornie Micky. Nie miał teraz ochoty na kłótnię. Guido, grubas o lśniących, czarnych włosach i długich opadających wąsach, mógł zresztą zachowywać się tutaj, jak tylko chciał. Była to jego restauracja, on płacił

pensje, i nic nie było można na to poradzić. Można było, oczywiście, wykonać za jego plecami jakiś głupi gest, gdy tego nie widział.

- Chyba wiesz, na czym polega twój problem, Micky - odezwał się Guido, nie odsuwając się ani o krok.

- Dowiem się, jak mi powiesz - odparł Micky. Starał się jak najmniej oddychać.

- Problem twój jest taki, że mózg nie służy do zmywania talerzy. Przez cały czas zastanawiasz się, jak długo jeszcze, ile jeszcze tych talerzy ci pozostało do zmycia. A nie powinieneś o tym myśleć. Powinieneś skoncentrować się na tym, co właśnie robisz, i najlepiej o niczym nie myśleć podczas pracy.

Micky odstawił kolejny talerz na suszarkę.

- W agencji nie wspomniano mi o zen - zauważył.

- Co takiego? Zen?

- Widzisz, jeżeli pracuję trochę za wolno, bardzo cię przepraszam. Pracuję tu jednak dopiero drugi tydzień i nie mam jeszcze w sobie wyrobionego tego spokoju ducha, który najwyraźniej potrzebny jest przy zmywaniu mozzarelli z talerzy. Jeszcze nie, ale daj mi trochę czasu...

Guido podstawiał wyprostowany środkowy palec pod nos Micky'ego.

- Nie bądź taki mądrała, dobra? Wiesz, jaki jest twój kolejny problem? Jesteś zbyt przemądrzały. Za kogo się uważasz, za jakiegoś geniusza?

- Zaraz, zaraz! - zawołał Micky. - Myślę, że coś odkryłem! Popatrz tylko, jeżeli, zamiast skrobać talerz, będę go przez dłuższą chwilę trzymał pod strumieniem gorącej wody, mozzarella sama od niego odpadnie! Magia!

Wyciągnął kilka talerzy ze zlewozmywaka, lśniących i czystych. Guido popatrzył

na niego ze złością. Wreszcie odwrócił się bez słowa na pięcie i pomaszerował na drugi koniec kuchni. Po chwili wrzeszczał już na Rashida, który nieopatrznie ułożył w lodówce truskawki obok steków z miecznika.

Mimo że zmywanie talerzy śmiertelnie nudziło Micky'ego, mimo że Guido był

facetem hałaśliwym i nieprzyjemnym, praca w jego restauracji była zajęciem, jakie było mu potrzebne. Nie była ciężka, wynagrodzenie nie było najgorsze i przede wszystkim robota prawie nie wymagała koncentracji. Zmywając z talerzy sos boloński, mógł

rozmyślać o wielu przyjemniejszych rzeczach. Najczęściej układał w myślach melodie i teksty piosenek; pragnął w niedalekiej przyszłości zostać gwiazdą rocka. Spoglądał też przez kuchenne okno na ulicę i podziwiał urodę przechodzących dziewczyn. Kolejną zaletą jego pracy było to, że codziennie zostawało w kuchni mnóstwo jedzenia i bez trudności zabierał do domu makaron i sfincuni, a kiedy był pewien, że Guido nie patrzy, brał nawet steki z tuńczyka i kotlety wieprzowe. Na dzisiejszy wieczór, na przykład, Micky zdążył już sobie przygotować makaron i ogromną porcję canneleri, starannie opakowane w folię aluminiową.

Ważne też było, że restauracja Guida znajdowała się zaledwie o dziewięć minut jazdy od domu, który Micky wynajmował na Canoe Creek Road. Dzięki temu mógł

wstawać o jedenastej przed południem, a już po dwunastu minutach zanurzał ręce w ciepłej wodzie w zlewozmywaku w restauracyjnej kuchni.

Jego ojciec, prostoduszny, poważny człowiek, bardzo pragnął, by Micky objął po nim warsztat szewski w Poindiana. Za młodu Micky spędzał tam wiele czasu; teraz czuł

awersję do zapachu skóry i ludzkich stóp. Poza tym uważał, że nie ma w sobie nic z szewca. Odziedziczył po ojcu jedynie wysoki wzrost, poza tym był podobny do matki.

Miał drobną twarz, wystające kości policzkowe, długi, prosty nos oraz oczy w kolorze nieba.

W tej chwili był w stanie depresji, w związku z czym widywano go w czarnych koszulkach, czarnych dżinsach i czarnych, kowbojskich butach. Trochę podobny był do świętych z obrazów El Greca.

Kiedy zmył ostatni talerz, zaśpiewał:

- Ujrzałem cię przy moim łóżku... Położyłaś się obok mnie... Lecz ja byłem martwy...

Bardzo pragnął zostać gwiazdą rocka. Jednak wszystkie kompozycje, które wymyślił w restauracji, wylatywały mu z głowy natychmiast, gdy siadał do gitary.

Mimo wszystko wciąż ćwiczył ze swym przyjacielem, Mingusem, i pocieszające było przynajmniej to, że we dwóch stanowili już połowę wymarzonego zespołu. Całymi godzinami potrafili opowiadać sobie, co będą robić, kiedy już staną się bogaci i sławni.

Micky zamierzał kupić sobie dodge'a vipera, a Mingus ferrari i planowali wyścig wzdłuż Daytona Beach.

Micky zamierzał też kupić swojej dziewczynie, Roxanne, pierścionek z wielkim brylantem; mogłaby machać nim przed nosami wszystkich swoich przyjaciółek.

Tymczasem opróżnił zlewozmywak, zdjął fartuch, wziął swoje cannelloni i przeszedł do sali restauracyjnej. Główne pomieszczenie wyłożone było drewnianą boazerią, a jedną ze ścian zdobiła ogromna fototapeta z widokiem jeziora Como. Z krat pod sufitem zwisały sztuczne liście bluszczu. Heng, sprzątaczkę rodem z Chin, ustawiał

właśnie krzesła na stołach. Mario, szef kuchni, zakładał płaszcz i kłócił się z Guidem, co powinno następnego dnia być głównym daniem zakładu. Mario był potężnie zbudowanym mężczyzną o sumiastych, czarnych wąsach i kruczoczarnej, kręconej fryzurze. Był szwagrem Guida i właściwie każda ich rozmowa przeradzała się w kłótnię. Guido wyznawał zasadę, że klient ma zawsze rację, nawet wtedy, gdy życzy sobie keczupu do torta di carciofi. Mario z kolei uważał, że każdy klient to natręt, który nie powinien mieszać się do jego roboty i wszystkie potrawy jeść w takim stanie, w jakim otrzymał je z kuchni. Cóż mogą bowiem wiedzieć o jedzeniu ludzie, wychowani na hamburgerach z McDonalda i smażonych kurczakach, serwowanych w Disney World?

Stanąwszy przed restauracją, Micky zauważył, że szyld z nazwiskiem Guida niebezpiecznie drży w coraz bardziej wzmagającym się wietrze. Ciśnienie opadało z minuty na minutę, wywołując apatię i niechęć do wszelkiej aktywności.

Nagle rozległ się ogromny huk, a po chwili dał się słyszeć pisk opon hamujących samochodów. Odgłosy te miały swe źródło trzy ulice dalej, w kierunku zachodnim, gdzie przewrócił się właśnie na jezdnię ogromny złoty smok ze szklanego włókna, reklamujący Pałac Szechuan.

- Sto lat nieszczęścia - zauważył Heng, który niespodziewanie znalazł się za Mickym. Sprzątał również w Pałacu Szechuan.

Musieli się odsunąć od ściany restauracji, na chodnik bowiem zaczęły opadać dachówki. Guido ze szwagrem wyszli na zewnątrz, by pozamykać drewniane okiennice.

Micky natychmiast podbiegł do nich z pomocą. Kiedy skończyli, Guido odezwał się:

- Weź sobie z kuchni butelkę frascati. Będzie odpowiednia do canneleri, które ukradłeś.

Micky spróbował się uśmiechnąć, jednak nie bardzo mu to wyszło.

Guido starannie zamknął drzwi restauracji i Micky był wolny. Z plastikową torbą, zawierającą dużą porcję canneleri i butelkę frascati, ruszył przed siebie chodnikiem.

Wszelkie prognozy pogody zapowiadały, że huragan Hubert wkrótce mocno da się we znaki Kissimmee, a mimo to Vine Street wciąż jeszcze pełna była samochodów. Micky miał jednak własny plan na ten wieczór. Zamierzał dotrzeć do domu jak najszybciej i pozatrzaszkiwać wszystkie okiennice, zanim huragan na dobre się rozszaleje. Pamiętał, że jego wuj David piętnaście lat wcześniej odniósł poważne rany, gdy przez jego własne niedbalstwo huragan Juanita zniszczył mu połowę domu. Od tego czasu poruszał się na wózku inwalidzkim i miał tylko jedno oko.

Micky wsiadł do swego zdezelowanego czerwonego camaro (z charakterystycznymi przednimi drzwiami po lewej stronie, które były niebieskie) i wyjechał na ulicę z warkotem trochę zbyt głośnym, wywoływanym za sprawą przerdzewiałego tłumika. Włączył radio i nastawił dźwięk niemal na maksymalną głośność. Stacja nadawała akurat piosenkę Sugar, Hoover Dam. Uderzał do rytmu palcami o kierownicę, a od czasu do czasu przyłączał się do piosenkarki, w tych fragmentach utworu, gdy pamiętał tekst.

Po kilku minutach dotarł do St Cloud. Wiatr był już tak potężny, że zdawało się, iż za chwilę uniesie samochód w powietrze i rzuci nim, nie dając kierowcy szans na przeżycie. Micky już miał skręcić w Canoe Creek Road, gdy przypomniał sobie, że w domu w ogóle nie ma kawy. Nie był też pewien, czy jest chleb. Szybko więc skręcił na rześście oświetlony parking przed supermarketem, wyłączył radio i wysiadł z samochodu.

Jedzenie dla psa, cholera, muszę jeszcze kupić jedzenie dla psa, pomyślał.

Wiedział, że jego labrador, Orbison, będzie na niego czekał z niecierpliwością, a gdy przyjdzie, natychmiast wbije w niego szeroko otwarte, szczere oczy i z tym swoim psim spojrzeniem oraz wysuniętym ozorem usiądzie przed nim, oczekując na codzienny posiłek.

Był już niemal przy drzwiach wejściowych do sklepu, gdy usłyszał czyjeś zdławione wołanie. Odwrócił się i ujrzał trzech mężczyzn, szarpiących się przed stojącym przy krawężniku czarnym lincolnem z zapalonym silnikiem. Tylne drzwi samochodu były szeroko otwarte. Micky przez chwilę patrzył na to wszystko, po czym doszedł do wniosku, że to nie jego problem, i wszedł do supermarketu. Jednak kiedy przekroczył próg, stwierdził, że wrzaski przy samochodzie stały się

głośniejsze i odwrócił się ponownie. Stwierdził, że jeden z mężczyzn zdołał wyrwać się dwóm pozostałym i właśnie biegnie do sklepu, gwałtownie wymachując rękoma.

Gdy mężczyzna znalazł się bliżej, Micky zauważył, że jest to starszy człowiek, około siedemdziesiątki, w okularach, o siwych, krótko obciętych włosach. Jego prześladowcy byli dużo młodszy. Szybko go dopadli i powalili. Następnie chwycili za ramiona i powlekli z powrotem do lincolna. Starzec nie chciał iść, jego buty szurały po trotuarze.

Micky zawahał się. Nie dysponował szczególną siłą fizyczną, nie był też zbyt odważny, ale zdenerwował się, widząc, jak bezceremonialnie i okrutnie traktowany jest stary człowiek. Zdecydowanym krokiem zawrócił ze sklepu i zawołał:

- Hej, wy tam! Co, do jasnej cholery, wyprawiacie? Mężczyźni nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi, Micky zawołał więc jeszcze raz:

- Hej, do was mówię! Co się tutaj dzieje?

Nadal go ignorowali, pobiegł więc w ich kierunku. Prawie już wciągnęli starego do limuzyny i próbowali unieruchomić na tylnym siedzeniu. Z siłą, jaką mógł dysponować jedynie skrajnie zrozpaczony człowiek, mężczyzna trzymał się karoserii i krzyczał:

- Zostawcie mnie, do cholery! Odczepcie się. Zostawcie mnie w spokoju!

Micky znalazł się przy lincolnie i szarpnął jednego z prześladowców za ramię.

- Hej, o co wam chodzi? - zapytał.

Napastnicy wreszcie zwrócili na niego uwagę. Ten, którego szarpnął, odwrócił się i zmierzył go zimnym spojrzeniem. Ubrany był w żółtą, sportową, włoską marynarkę, miał ogromną klatkę piersiową, a szyi jakby nie posiadał w ogóle.

- Spierdalaj stąd - warknął.

- Chcę się dowiedzieć, co się tutaj dzieje. Wydaje mi się, że ten starszy pan wcale nie jest uradowany perspektywą przejażdżki razem z wami.

Jakaś pusta puszka po konserwie, poderwana gwałtownym zrywem wichury, uderzyła w karoserię lincolna. Stary człowiek tymczasem krzyczał:

- Puśćcie mnie. Pomóż mi, proszę cię, człowieku! Musisz mi pomóc. Ci ludzie...

Drugi z napastników uderzył starca w twarz. To go na chwilę oszołomiło, dzięki czemu prześladowcy udało się zatrzasnąć drzwiczki lincolna. Mężczyzna był wysoki, rudowłosy, o bladej cerze, a kształt jego czaszki przypominał odrobinę czaszkę konia.

- To wariat - odezwał się do Micky'ego. - Nienormalny. Zabieramy go tam, gdzie się należy. W każdym razie dziękujemy za zainteresowanie.

Stary człowiek uderzył teraz pięściami w szyby samochodu od wewnątrz. Micky tymczasem przeniósł spojrzenie z jednego prześladowcy na drugiego, nie bardzo wiedząc, co począć. Każdy z nich mógł się z nim rozprawić bez większego problemu, nie miał co do tego wątpliwości. Mogli go nawet zabić.

- Może powinienem zawołać policję? - zapytał głośno.

- Uwierz mi, to nie jest konieczne - powiedział gruby i ciężko opadł na fotel obok kierowcy.

Ten o końskiej czaszce okrążył lincolna i usiadł za kierownicą. - Hej, poczekajcie -

zawołał Micky. - Ten starszy pan naprawdę nie chce z wami jechać! I wcale nie wygląda na wariata.

- Oczywiście, że nie! Mało który z nich wygląda. Zaraz jak przyjedziemy na miejsce, lekarze dadzą mu środki uspokajające. No, ale dziękujemy już. Dobranoc.

Micky cofnął się o krok. Ani trochę nie wierzył wyjaśnieniom porywaczy. Tym bardziej, że gdy lincoln ruszył, stary człowiek zdołał jeszcze opuścić tylną szybę i zawołać.

- Na miłość boską, człowieku! Pomóż mi! Oni mnie zabijają!

Grubas odwrócił się i wciągnął starego głębiej do auta, strącając mu przy tym okulary. Micky domyślił się już wszystkiego. Żaden psychiatra nie traktuje swojego pacjenta w taki sposób. Podbiegł szybko do swojego samochodu, rzucił się na fotel kierowcy i jego auto z piskiem opon ruszyło za lincolnem.

Ten tymczasem wyjechał z parkingu na ulicę i gwałtownie włączył się do ruchu, wywołując protesty innych kierowców. Naraz rozległ się nieskoordynowany dźwięk dziesiątek samochodowych klaksonów. Nie zważając na to, rudy natychmiast skręcił w lewo, cudem tylko unikając zderzenia z samochodami jadącymi z naprzeciwka. Dopiero po chwili, naciskając na klakson i włączyny światła drogowe, Micky zdołał go dogonić.

Lincoln musiał zwolnić na skrzyżowaniu z Neptune Road, po chwili jednak znów przyśpieszył i zaczął nadrabiać stratę, wyprzedzając po trzy, cztery samochody od razu.

Niektórzy kierowcy protestowali, naciskając klaksony; ten protest się wzmacniał, kiedy wyprzedzał ich Micky. Przez prawie osiem kilometrów droga wiodła prosto, była jednak wąska i bardzo źle oświetlona. Potężny wiatr znacznie utrudniał jazdę. W powietrzu wirowały rozmaite przedmioty, które uderzały w karoserię i szyby samochodu.

Lincoln uciekał z prędkością co najmniej stu kilometrów na godzinę, Micky jednak nie pozostawał w tyle. Właściwie nie wiedział, dlaczego go goni, i nie miał pojęcia, co robi, jeżeli pościg się uda. Tak bardzo jednak zależało mu na oswobodzeniu starca, że teraz już nie zatrzymałby się za nic w świecie, nawet wobec bardzo ważnego powodu.

Oba samochody wjechały do Lakeside Acres, ostatniego osiedla przed Kenansville.

Tablica z nazwą dzielnicy mignęła przed oczyma kierowców tak szybko, że nawet jej nie zauważyli. Szosa zwężyła się jeszcze bardziej i lincoln, co chwilę zahaczający kołami o suchy piasek pobocza, pozostawiał za sobą gęste chmury kurzu. Micky jechał

teraz niemal po omacku.

A jednak doganiał lincolna. Przejechali jeszcze trzy kilometry i kiedy kurz opadał, Micky wyraźnie widział starego człowieka na tylnym siedzeniu. Błyskał światłami i naciskał klakson swojego samochodu, jednak na kierowcy lincolna nie robiło to wrażenia. Wręcz przeciwnie. Na wszelki wypadek zaczął jechać zygzakiem, od pobocza do pobocza, aby Micky nie mógł go wyprzedzić. Wiedząc, że jego samochód jest o wiele szybszy, pozwolił nawet Micky'emu podjechać tak blisko, że przez chwilę pędzili niemal zderzak w zderzak, lecz zaraz przyśpieszył, oddalając się od camaro. Micky zaczynał pojmować, że nigdy nie doścignie lincolna, że cała ta zabawa nie ma sensu.

Właśnie wtedy ujrzał przed sobą dwa słabe, a jednak rozpraszające ciemność, czerwone światła. Jeszcze jeden samochód? Z sekundy na sekundę do Micky'ego zaczynało docierać to, co musiał też widzieć rudzielec w lincolnie. Szosę blokował

traktor, ciągnący za sobą szeroką przyczepę, załadowaną belami siana. Nie jechał z prędkością większą niż dziesięć kilometrów na godzinę. I traktor, i przyczepa kołysały się na wietrze tak, jak chwieje się pijak, powracający do domu po libacji. Wiatr targał

suchą trawą, strącając z przyczepy mnóstwo siana. Rudzielec w lincolnie zahamował, ostrzegając Micky'ego jaskrawymi, czerwonymi światłami, które zapaliły się nad tylnym zderzakiem. Niczego więcej Micky nie potrzebował. Przyśpieszył i po chwili z całej siły uderzył w tył lincolna.

Zapisać opyny, lincoln zaczął zygzakiem gwałtownie przemieszczać się od pobocza do pobocza. Rudzielec zdołał odzyskać kontrolę nad samochodem, jednak Micky przyłożył mu natychmiast po raz drugi, tym razem o wiele mocniej. Rozległ się zgrzyt rozrywanej blachy i trzask pękającego metalu. Jedno ze świateł lincolna zgasło.

Micky wykonał kolejne uderzenie. Rudzielec przestał już panować nad pojazdem.

Lincoln wirował na wąskiej szosie jak w szalonym tańcu.

Traktor znajdował się nie więcej niż pięćdziesiąt metrów przed nim. Kierowca lincolna jeszcze z desperacją próbował go wyminąć, jednak silny wiatr tak targał

przyczepą, że sunęła środkiem szosy, nie pozostawiając miejsca na żaden inny pojazd ani po lewej, ani po prawej stronie. Micky był już pewien, że dojdzie do kolizji.

Nacisnął hamulec i camaro zatrzymał się po przejechaniu kilku metrów tak gwałtownie, że Micky uderzył głową w kierownicę. W tej samej chwili ujrzał, jak lincoln z ogromną prędkością wjeżdża w przyczepę z sianem.

Z rozbitym czołem, drżący, Micky wysiadł z samochodu. Wiatr dał jak oszalały, a jego zawodzenie przypominało wycie setki głodnych psów. Podniósłszy kołnierz kurtki, Micky ruszył w kierunku

lincolna. Widział tylko połowę samochodu; przednia część ugrzęzła w sianie. Wciąż paliły się światła pojazdu, jednak silnik nie pracował. Jakiś młody człowiek w dżinsowym kombinezonie i czerwonej czapeczce z firmowym znakiem forda stał przed wrakiem i gapił się na niego szeroko otwartymi oczyma.

- To nie była moja wina - jęknął. - To wiatr tak rzucał moją przyczepą. Nic nie mogłem na to poradzić.

Micky w milczeniu szarpnął drzwiczki lincolna. Ujrzał starego człowieka, siedzącego z twarzą ukrytą w dłoniach. Z nosa cieniutką strużką sączyła się krew. Obok kierowcy, z głową opartą o pękniętą szybę, bezwładnie spoczywał grubas. Jego twarz była szara jak popiół, a jednak żył. Micky słyszał jego głośny, chrapliwy oddech. Żył

również rudzielec o końskiej czaszce. Wciśnięty między poduszkę powietrzną a fotel kierowcy był nieprzytomny, jednak co chwilę wstrząsały nim drgawki.

- Widział pan, co się stało? - zapytał młodzieniec. - Nie dali mi żadnego znaku, że chcą wyprzedzać.

Dopiero teraz Micky popatrzył na niego uważnie.

- Zawołaj ambulans, dobrze? - powiedział. Do miejsca wypadku z każdą chwilą zbliżało się coraz więcej samochodów. Od świateł reflektorów robiło się coraz jaśniej.

- Rozejrzyj się tylko, ktoś musi mieć telefon w samochodzie. Ujął dłoń starca, próbując wyczuć puls. Niestety, niezbyt dobrze wiedział, gdzie powinien przyłożyć palec. Niespodziewanie starzec uniósł zakrwawioną twarz i zapytał:

- Czy jest pan lekarzem?

- Nie, proszę pana. Pewnie mnie pan nie poznaje, ale to ja próbowałem wyrwać pana z łap tych łotrów.

Stary rozejrzał się po kabinie lincolna.

- Mieliśmy wypadek - zauważył. Delikatnie dotknął swojego nosa. - Chryste, jak mnie boli. Mam nadzieję, że nie jest złamany.

- Zaraz przyjedzie karetka. Niech pan się o nic nie martwi. Starzec podniósł okulary. Trochę się wygięły, jednak szkła były całe i zdołał nałożyć je na nos.

- A czy nie lepiej byłoby, gdyby pan zawiózł mnie do szpitala? - zapytał

Micky'ego.

- Hmm... Nie wiem. Jeśli odniósł pan jakieś wewnętrzne obrażenia, nie powinien się pan ruszać, bo to może spowodować śmierć.

- Na miłość boską, jedynie krwawi mi nos, to wszystko. Niech mnie pan zabierze do najbliższego szpitala. Lekarz z ambulansu zajmie się tymi dwoma osiłkami, z nimi będzie miał z pewnością o wiele więcej roboty niż ze mną.

- No tak, ale...

Starzec poruszył się, jakby zamierzał wysiąść z samochodu. Popatrzył na Micky'ego niepewnie.

- Niech mnie pan stąd zabierze - powiedział. - Skoro zaczął mnie pan ratować, niech pan dokończy dzieła.

Micky rozejrzał się dookoła. Z każdą chwilą coraz więcej ludzi wysiadało z samochodów i podchodziło do miejsca wypadku. Młody człowiek wskazywał na lincolna i przytrzymując czerwoną czapkę, by wiatr nie zwał jej z głowy, tłumaczył

się wszystkim, czy chcieli tego słuchać, czy nie.

Micky podjął decyzję. Pomógł starymu wysiąść z samochodu, po czym szybko poprowadził go w kierunku camaro i umieścił na siedzeniu obok kierowcy.

- Dziękuję panu - powiedział starzec. - A teraz zwiewajmy stąd, zanim pojawi się policja.

- Ma pan z nimi jakieś kłopoty? - zapytał Micky niepewnie.

- Nie... Nie, skądże. Po prostu chcę uniknąć komplikacji, to wszystko.

Micky przez chwilę jeszcze się zastanawiał, po czym wzruszył ramionami i zatrzasnął drzwiczki za starcem. Skoro ten nie chciał komplikacji, dlaczego on miałby się upierać? W końcu zrobił to, o co mu chodziło, uratował starego. Powinien być zadowolony i jak najszybciej stąd spieprzać. Usiadł za kierownicą camaro, włączył

silnik i mocno nacisnął pedał gazu.

- Zdaje się, że łańcuch rozrządu wymaga naprawy - jakby mimochodem zauważył starzec.

Micky zmierzył go krótkim, zaciekawionym spojrzeniem, po czy zawrócił samochód i ruszył w kierunku St Cloud.

- Jest pan mechanikiem? - zapytał, kiedy auto nabrało prędkości.

Starzec właśnie ocierał chusteczką zakrwawiony nos.

- Hmm... Tak. Można mnie nazwać złotą rączką. Trochę wiem o tym, trochę znam się na tamtym... Rozumie pan.

Prowadząc samochód, Micky co chwilę zerkał w kierunku swego pasażera. Był

bardzo szczupły i miał poważny wyraz twarzy. Przypominał emerytowanego lekarza albo księdza. Jego włosy były białe, a szyja bardzo pomarszczona. Musiał mieć co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, a jednak biła od niego dziwna, nieopisana energia, właściwa ludziom znacznie młodszym. Miał okrągłą twarz, duży nos i bardzo ciemne oczy. Ubrany był w szarą marynarkę i czarne spodnie; na pierwszy rzut oka jego strój sprawiał wrażenie drogiego, w dobrym gatunku. Miał przy sobie jeszcze coś bardzo drogiego: złoty zegarek na odrobinę zbyt luźnej, złotej bransoletce.

- Chcę, żeby pan wiedział, iż jestem bardzo wdzięczny za to, co pan dzisiaj dla mnie zrobił - odezwał się do Micky'ego. - Ryzykował pan własne życie, a przecież wcale pan nie musiał.

- Drobiazg. Nawet spodobała mi się ta zabawa z pościgiem.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie przypuszczałem, że mnie znajdą. Micky milczał, spodziewając się bliższych wyjaśnień, ale nie nastąpiły. Gdy przed samochodem pojawiły się pierwsze światła St Cloud, zapytał:

- Co z pańskim nosem? Czy chce pan jechać do szpitala?

- Nic mi nie będzie. Już przestał krwawić.

- Chciałby pan więc, żebym pana podwiózł w jakieś konkretne miejsce? Czy ma pan samochód na jakimś parkingu?

- Tak. Jednak... Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, dokonajmy najpierw małego rekonesansu.

Micky wjechał do miasta główną drogą i zatrzymał się na czerwonych światłach.

Starzec nakazał mu jechać w kierunku parkingu przed supermarketem, skąd został

porwany. Gdy ruszyli, zaczął się ostrożnie rozglądać.

- No i co? - zapytał Micky, którego powoli opuszczała cierpliwość.

- Zaraz... Tak, teraz widzę mój samochód. Ale kawałek dalej stoi jeszcze jeden i wydaje mi się, że znajduje się w nim dwóch mężczyzn.

- Kolejna para prześladowców? Na Boga, człowieku, komu pan podpadł?

Stary zlekceważył pytanie. Odezwał się natomiast:

- Czy mógłby pan zawieźć mnie do domu? Jestem pewien, że nie dowiedzieli się jeszcze, gdzie mieszkam. W przeciwnym wypadku właśnie w domu zastawiliby na mnie pułapkę.

- A co z samochodem?

- Niech pan o nim zapomni. Skoro wiedzą, że należy do mnie, nie mogą go już więcej używać.

- Tak po prostu chce pan pozbyć się samochodu? Który to pański wóz?

- Ten niebieski mercedes. Widzi go pan?

Micky nie musiał rozglądać się długo, żeby zobaczyć mercedesa SL 600, lśniącego odbitym światłem latarni.

- Chce pan zapomnieć o takim samochodzie? - zawołał. - Przecież musiał

kosztować co najmniej pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt tysięcy!

- Sto dwanaście tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt dolarów i trzydzieści osiem centów.

Micky ciężko westchnął.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdził. - Bo ja za moją maszynę zapłaciłem czterysta osiemdziesiąt dolarów gotówką.

Stary człowiek uśmiechnął się.

- Co dowodzi, jaki jestem głupi - powiedział. - Zamiast jednego mercedesa, mógłbym mieć dwieście trzydzieści pięć takich samochodów jak pański i jeszcze sto sześćdziesiąt dolarów i trzydzieści osiem centów reszty, Przez chwilę obaj milczeli, po czym Micky zapytał:

- Którędy mam do pana jechać?

- Na najbliższym skrzyżowaniu w lewo. Czy zna pan drogę do Winter Park?

- Jasne. Co nie znaczy, żebym tam często jeździł.

- Mieszkam na Summerland Avenue. Pokażę panu, gdzie to jest.

Skręcili w Vine Street, a po chwili przejechali przed restauracją Guida, teraz zamkniętą na głucho, jak prawie wszystkie lokale przed zbliżającym się huraganem.

Złoty smok został już uprzątnięty sprzed Pałacu Szechuan i ulica była przejezdna.

Wciąż pojawiały się samochody, jednak było ich znacznie mniej niż normalnie o tej porze. Wiał o wiele silniejszy wiatr niż wtedy, gdy Micky wychodził z pracy. W

powietrzu fruwał kurz i śmieci. Szeroka niczym Batman dachówka poszybowała w powietrzu i rozbiła się na jezdni zaledwie o kilkanaście metrów przed samochodem Micky'ego.

- Dzika noc... - mruknął starzec. - Ach, przy okazji, jeszcze się panu nie przedstawiłem. Nazywam się Lügner. Doktor John Lügner.

- Jestem Micky Frasier. Miło mi pana poznać, doktorze. Jest pan lekarzem czy specjalizuje się pan w innej dziedzinie?

- Już panu mówiłem, jestem taką złotą rączką. Doktorem od tego i tamtego.

- Co więc pan powie o tej wysypce na moich dłoniach, widzi ją pan?

Doktor Lügner tylko przez chwilę przyglądał się rękom Micky'ego, leżącym na kierownicy.

- Powierzchnowy stan zapalny skóry, nic groźnego. W jaki sposób zarabia pan na życie?

- Zmywam talerze w restauracji. Ale do czasu. Tak naprawdę, to jestem muzykiem.

- Niech pan więc zmywa te talerze w rękawiczkach. I nie nastawia zbyt gorącej wody. Jeśli stan zapalny będzie się utrzymywał, proszę zmienić środki, których używa pan do zmywania.

- W porządku. - Micky skinął głową i unióś rękę do oczu. Popatrzył na nią tak, jakby spodziewał się, że wysypka w każdej chwili zniknie. - Dziękuję za poradę.

Kiedy znaleźli się w Winter Park, doktor Lügner powiedział:

- Niech pan pamięta, że obowiązuje tutaj ograniczenie szybkości. Można jeździć sześćdziesiąt kilometrów na godzinę i policja ściśle to kontroluje. Nawet wtedy, gdy zbliża się huragan.

- Rozumiem - odparł Micky.

Zmniejszył prędkość i samochód sunął powoli całkowicie pustą Park Avenue. Po obu stronach szerokiej alei stały eleganckie betonowe budynki, w których mieściły się nowoczesne biura i sklepy. Wiatr nie unosił żadnych śmieci, ponieważ nigdy żadne odpadki nie walały się w tej okolicy. Mieszkańcy Winter Park stanowili jedną z najbardziej zamożnych społeczności na Florydzie, a władze miasteczka czyniły wszystko, by nie rozrastało się ono nadmiernie i by nie mógł osiedlić się w nim nikt, kto zaniżałby status jego mieszkańców. Za Park Avenue rozciągały się wielkie rezydencje, otoczone jeszcze większymi ogrodami. Ich właściciele mogli bez obawy chodzić po ulicach nawet w nocy, tak sprawna i skuteczna była tutaj policja. Dzisiejszy huragan nie zachęcał, oczywiście, do spacerów i większość ludzi pozostała w domach, nie zapominając o konieczności dokładnego pozamykania wszystkich okiennic i drzwi.

Doktor Lügner wskazał Micky'emu Summerland Avenue. Była to kolejna aleja wielkich domów w wielkich ogrodach, ukrytych za żywopłotami i potężnymi drzewami.

- Teraz w lewo - odezwał się doktor w pewnej chwili i Micky skręcił w szeroką bramę, której skrzydła wykonano z kutego żelaza. Do okazałego domu podjechał alejką z czerwonego asfaltu.

Budynek z jasnożółtej cegły z całą pewnością postawiono na przełomie wieków.

Wchodziło się do niego pod portykiem osadzonym na grubych filarach, przez wysokie, podwójne drzwi dębowe. Mimo zamkniętych okiennic dom imponował swą architekturą i wręcz zapraszał, by

wejść do środka. Micky pomyślał o swoim obskurnym mieszkaniu z jedną sypialnią przy Canoe Creek Road i przez chwilę zastanawiał się, jak można mówić, że Bóg jest sprawiedliwy.

- Napije się pan ze mną? - zapytał doktor Lügner.

- Nie, dziękuję, muszę już wracać. Mój pies strasznie boi się wszelkich wichur. Nie chcę, żeby ze strachu zdemolował mi mieszkanie.

- Niech pan mi jednak nie odmawia przynajmniej jednego drinka. Nic innego nie potrafię dla pana zrobić.

Micky niechętnie wysiadł z camaro i ruszył za doktorem Lügnerem po schodach prowadzących do domu.

- Niezła rezydencja - mruknął. Doktor tymczasem wybrał cztery przyciski na klawiaturze, umieszczonej w ścianie przy drzwiach. Naciskając kolejne cyfry, wymawiał je głośno. Kiedy skończył, podwójne drzwi otworzyły się.

- Niech pan nie stara się zapamiętać tych cyfr - ostrzegł doktor Micky'ego. - Szyfr zmienia się za każdym otwarciem drzwi.

- Nie zapamiętałbym ich, nawet gdybym chciał - odparł Micky. - Prawdę mówiąc, nie potrafię spać nawet własnego numeru telefonu. Dobrze, że nigdy nie muszę dzwonić sam do siebie. - Roześmiał się, a potem uzmysłowił sobie, że to przecież głupio śmiać się z własnego dowcipu.

Weszli do wysokiego holu, urządzonego w jaskrawożółtym kolorze, z długimi rzędami luster na ścianach i lśniąca, marmurową posadzką. W chwili gdy znaleźli się w głębi pomieszczenia, otworzyły się jedne z bocznych drzwi i oczom Micky'ego ukazała się drobna, młoda dziewczyna, ubrana w szkarłatne sari. Mogła być Tajką albo Indonezyjką. Miała ciemną skórę i była niezwykle zgrabna. Jej długie, ciemne włosy, związane były z tyłu w koński ogon. Gdy odezwała się do doktora Lügnera, na jej ustach pojawił się szeroki, radosny uśmiech.

- Martwiłam się o pana, doktorze - powiedziała. - Co się stało z pańskim nosem?

- Już wszystko w porządku, Suna - odparł. - Byłem nieostrożny i uderzyłem się.

Chciałbym, żebyś poznała mojego nowego przyjaciela. Oto Micky Frasier.

Suna złożyła głęboki ukłon w stronę Micky'ego.

- Jestem zaszczycona, że mogę pana poznać.

- To ja jestem zaszczycony - wyjąkał Micky, zmieszany. Jeszcze nigdy z nikim nie wymieniał takich frazesów. - To bardzo miłe miejsce - kontynuował. - Na pewno jest tu bardzo wygodnie. Założę się, że utrzymanie tego domu drogo kosztuje.

- Tak - powiedział doktor Lügner z uśmiechem. - Sporo.

Położył dłoń na ramieniu Micky'ego i poprowadził w kierunku salonu dla gości.

Ściany pomalowane tu były na turkusowo, a podłoga wyłożona lśniącą dębową posadzką. W jednej ze ścian znajdowały się wielkie, wysokie okna, a po przeciwnej stronie stał stary fortepian. Jego dębowy fornir doskonale harmonizował z posadzką.

Wiele miejsca na ścianach zajmowały obrazy olejne, w tym między innymi panorama nowojorskiej ulicy w pełni śnieżnej zimy. Opatulone w grube futra kobiety, mężczyźni w kapeluszach naciągniętych mocno na głowy oraz konie, ciągnące ciężkie sanie, wyglądały na tym obrazie jak żywe.

- Niech pan usiądzie - powiedział doktor Lügner. - Czego się pan napije? Mam doskonałego burbona. Ludzie Jacka Daniela przygotowują go dla mnie według mojego własnego przepisu.

- Żartuje pan.

- Ani mi się śni. Nawet chcieli go sprzedawać, ale nie dostali zgody; chodziło chyba o to, że trunek jest za mocny, by oferować go na rynku.

Micky usiadł na długiej sofie, okrytej materiałem we wzory wyszywane złotą i srebrną nicią. Nigdy dotąd nie był w tak bogatym domu i sam nie potrafiłby określić, jakie w tej chwili miotają nim uczucia: zmieszanie, niepewność, zazdrość, a może wszystkie naraz?

- Od dawna pan tu mieszka? - zapytał doktora.

- Od zbyt dawna - odparł stary człowiek, wręczając mu ciężką kryształową szklankę, do połowy wypełnioną złocistym burbonem. - Czasami bardziej czuję się tutaj jak w więzieniu niż w domu.

- A więc rzadko pan stąd wychodzi.

- Podróżuję tak często, jak tylko mogę. W zeszłym miesiącu byłem w Wiedniu na konferencji poświęconej leczeniu zaawansowanych chorób nowotworowych. W

październiku mam zamiar pojechać na Maltę. Niestety, za każdym razem, kiedy ukazuję publicznie moją twarz, narażony jestem na wielkie ryzyko. Zresztą... Widział pan, co zaszło dzisiaj wieczorem.

Micky wsunął nos do szklanki z burbonem i nabrał powietrza. Nigdy jeszcze nie pił burbona pachnącego w ten sposób. Był aromatyczny, mocny i można było w nim wyczuć delikatny zapach dymu; jaką jednak roślinę należało spalić, by osiągnąć ten zapach? Pociągnął niewielki łyk i przełknąwszy alkohol, potrząsnął głową z uznaniem.

- To jest wspaniałe. Naprawdę pański wynalazek?

- To nie jest wynalazek. Po prostu kompozycja. Musiałem dojść do tego, jakie zapachy najbardziej pasują do burbona, następnie określić ich wzajemne proporcje, moc alkoholu... Reszta była prosta.

Micky pociągnął łyk.

- Mogę jedynie powtórzyć, że to wspaniały burbon.

- Dziękuję panu - powiedział doktor Lügner. Nawet nie usiłował udawać skromności. Widać było wyraźnie, że słowa Micky'ego sprawiają mu ogromną przyjemność. Usiadł w fotelu naprzeciwko gościa i skrzyżował nogi. - Oczywiście, mógłbym go sprzedawać - kontynuował. - Ale właściwie po co?

- Och, jasne, rozumiem pana - przytaknął Micky. - Miałby pan na głowie następny kłopot.

Nie potrafił rozgryźć doktora Lügnera. Oczywiście było, że jest bardzo bogaty.

Zdawał się wiedzieć wszystko na każdy temat, na jaki się wypowiadał. A przecież bał

się podróży i tego, że próba porwania, która nastąpiła dzisiaj wieczorem, powtórzy się.

Kolejny silny podmuch wiatru sprawił, że zatrzeszczały okiennice.

- A więc, jest pan muzykiem, co? - odezwał się doktor Lügner. - Jakich kompozytorów najczęściej pan grywa? Chopina? Rachmaninowa?

Micky wzruszył ramionami.

- Niezupełnie. Nie chcę, żeby mnie pan źle zrozumiał, lubię niektórych kompozytorów muzyki klasycznej. Ale, prawdę mówiąc, w tej chwili uwielbiam Sugar.

Czy słyszał pan kiedykolwiek o Sugar?

- Sugar? Ach, tak. Lubię Sugar. - Doktor Lügner podszedł do pianina, odstawił

szklankę z burbonem i podniósł pokrywę klawiatury. Usiadł na stołeczku przed instrumentem i zamyślił się. Micky przypuszczał, że za chwilę zagra coś klasycznego, na przykład. Eine kleine Nachtmusik. Nagle jednak uderzył palcami w klawisze i zaczął

grać swoją własną, instrumentalną wersję Slick, jednego z największych przebojów Sugar. Grał wspaniale, bezbłędnie, jakby wcześniej odbył co najmniej kilkadziesiąt prób. Micky słuchał bez słowa. Jego początkowe zdumienie zostało zastąpione przez zachwyt i podziw.

Dopiero gdy doktor wstał od fortepianu, Micky ocknął się z zadumy.

- Sugar? - zapytał doktor. - Czy dobrze ją zagrałem? Micky uśmiechnął się.

- To było nadzwyczajne. Pewnie nie zgodzi się pan na małą sesję z moim zespołem, co?

Doktor Lügner potrząsnął przecząco głową.

- Niestety nie. Mam na głowie o wiele poważniejsze sprawy niż grywanie piosenek Sugar.

- Czy jest coś, w czym nie jest pan tak cholernie dobry jak w muzyce?

- Hmm... Beznadziejnie gram w siatkówkę. Nie najlepiej radzę sobie z kobietami.

Cóż... sprzeczność interesów. Podczas gdy ja pragnąłbym rozmawiać o fizyce kwantowej, one wolą raczej tracić czas na krytykowanie sukienek swoich przyjaciółek.

- Nie jest pan żonaty?

- Byłem... wiele lat temu. Sądzę, że jeden raz wystarczy.

- Niech mi pan opowie o ludziach, którzy chcieli pana porwać. Co to za jedni?

- Myślę, że w końcu i tak mnie dopadną. Dzisiaj byli tego o wiele bliżsi niż kiedykolwiek wcześniej.

- Ale, do cholery, kim oni są?

- Przykro mi, Micky, nie mogę panu tego powiedzieć. To by było nie w porządku.

- Przecież uratowałem panu życie! - zawołał Micky. - I cholernie chciałbym wiedzieć, przed kim pana obroniłem.

Doktor Lügner usiadł na sofie obok niego.

- Jeśli chodzi o tych ludzi... Widzi pan, występuje tu pewien paradoks. Wiem, czego oni chcą, ale nie jestem pewien, czy oni to wiedzą.

- Skoro nie wiedzą, czego chcą, to skąd wiedzą, że w ogóle czegoś chcą od pana?

- Myślę, że chcą, abym ja im to powiedział. - Doktor Lügner pociągnął spory łyk burbona i znów wstał. - Niech pan pójdzie za mną, Micky, pokażę panu biblioteczkę -

zapropozował. - Lubi pan książki czy jedynie muzykę?

Micky zabrał drinka i wąskim korytarzem podążył za doktorem do pomieszczenia, w którym wzdłuż wszystkich ścian stały półki z książkami. Biblioteka doktora Lügnera była tylko odrobinę mniejsza od całego domu Micky'ego. Tysiące książek ustawionych było na półkach, sięgających aż do sufitu. Do tych najwyższych można było dotrzeć, jedynie wspinając się na specjalną drabinę. Na środku biblioteki stało wielkie antyczne biurko, obite zieloną skórą. Na biurku znajdował się komputer osobisty IBM. Obok niego leżał gruby manuskrypt z wielkim tytułem na pierwszej stronie: Wpływ nikotyny na acetylocholinę* [przyp.: Acetylocholina - neurohormon, wydzielany na zakończeniach nerwowych większości nerwów. Bierze udział w przekazywaniu impulsów, wpływa na obniżenie ciśnienia krwi (przyp. tłum.)].

- Pan to napisał? - zapytał Micky, a kiedy doktor Lügner przytaknął, dodał: -

Niewiarygodne. Jeśli chodzi o mnie, z trudem wymawiam tytuł, a co dopiero napisać taką książkę.

Na biurku stała także mała figurka tancerki, wykonana z brązu, pochodząca mniej więcej z 1920 roku, zegar od Cartiera i fotografia w srebrnej ramce, przedstawiająca kobietę w kolorowym ogrodzie.

- To moja żona - powiedział doktor Lügner.

- Była bardzo ładną kobietą, prawda?

- Tak, rzeczywiście. Wciąż za nią tęsknię. Nie miałem nawet okazji, żeby się z nią pożegnać.

Micky pomału zaczął chodzić wzdłuż półek z książkami, podczas gdy doktor Lügner oparł się o biurko i uważnie go obserwował. Micky odnosił wrażenie, że doktor wcale nie jest pewien, czy dobrze uczynił, wpuszczając go do swojego domu. Zarazem czuł, że jest on szalenie samotnym człowiekiem i to spotkanie stanowi dla niego rzadką okazję do normalnej rozmowy. Jego nieprzeciętne zdolności z całą pewnością sprawiały, że przyjaciele traktowali go jako ciekawostkę, którą warto zaprezentować na jakimś spotkaniu albo przyjęciu. Jeśli, oczywiście, miał przyjaciół.

Przy jednej ze ścian stała oszklona szafa. Wszystkie znajdujące się w niej książki oprawione były identycznie w zieloną skórę, a tytuły na ich grzbietach wytłoczono złotymi literami.

- Hej! - zawołał Micky ze zdziwieniem. - Tu są książki o łowieniu ryb na morzu!

Czy lubi pan łowić ryby?

- Teraz już jestem za stary, ale dawniej bardzo to lubiłem.

- Mój przyjaciel Mingus i ja, wypłynęliśmy w zeszłym roku z Key West na tuńczyki. Cholera, złapaliśmy tylko głupią makrelę i barrakudę... właściwie to pół

barrakudy. Druga sztuka wyskoczyła z wody i odgryzła kawał naszej ofiary, kiedy już dyndała na wędce.

- Żadne żartowanie. Barrakuda ma okropny smak i czasami powoduje bardzo nieprzyjemną chorobę, ciguaterę. Powinien pan spróbować rekina. Kiedyś zajmowałem się opracowaniem najskuteczniejszego sposobu łowienia rekinów. Wynałazłem w laboratorium żel, który, rozpuszczony w słonej wodzie, zakłócał ich procesy myślowe.

Rekiny zwykle są bardzo ostrożne, żel natomiast sprawiał, że gdy w wodzie pojawiła się przynęta, atakowały ją z potężną agresją. Muszę panu opowiedzieć coś o rekinach. Otóż najdziwniejsze u nich jest...

Doktor Lügner rozprawiał o rekinach i ich łowieniu przez co najmniej kwadrans.

Potem opowiedział, jak wynalazł żyłkę z włókna szklanego, której praktycznie nie sposób było zerwać. Micky słuchał i potakiwał, potakiwał i słuchał, i wkrótce zrozumiał, dlaczego doktor nudził kobiety. On nie tylko wszystko wiedział. Zdawało się, że on już w życiu zrobił wszystko, o czym inni zaledwie pomyśleli, i to zrobił

dziesięć razy lepiej od kogokolwiek z pozostałych ludzi.

Słuchając, Micky wędrował wzdłuż półek z książkami. Nie znalazł już więcej pozycji dotyczących wędkarstwa, natknął się jednak na „Geografię tarła łososi”. Tytuły takie, jak: Mozart a wyobraźnia przestrzenna, Strategia wojenna Napoleona, Ortodoncja, albo wreszcie Dania gastronomiczne świadczyły o szerokich zainteresowaniach doktora.

- Niezła kolekcja - zauważył Micky, gdy doktor Lügner wreszcie umilkł. -

Chciałbym mieć czas, żeby przeczytać choć część tych książek.

- Czy chce pan coś pożyczyć? Proszę bardzo.

- Nie, chyba nie. Ktoś pożyczył mi dwa lata temu Lśnienie Stephena Kinga i do tej pory przeczytałem wszystkiego dwie strony. Jeśli wziąłbym od pana którąś z książek, umarłby pan wcześniej, niż ja zdążyłbym ją przeczytać.

Głośniejsze skrzypnięcie którejs z okiennic przypomniało Micky'emu o zbliżającym się huraganie.

- Dziękuję za drinka - powiedział do doktora. - Był wyśmienity. Miło tu u pana, muszę jednak już wracać. Mój pies i tak dalej...

- Jeszcze jedno - odezwał się doktor Lügner takim głosem, jakby w tej chwili podjął jakąś decyzję. - Jeżeli uda im się mnie dopaść, chciałbym, żeby pan coś dla mnie zrobił.

- Z przyjemnością.

- Niestety, obawiam się najgorszego, skoro już raz zostałem wyśledzony. Jeśli więc coś złego mi się przytrafi, otrzyma pan do domu paczuszkę, specjalną przesyłkę. Kasetę magnetofonową Sugar, co pan na to?

- Nic nie rozumiem - powiedział Micky i zmarszczył czoło. Naprawdę, nie miał

pojęcia, do czego w tej chwili zmierza doktor.

- Będzie pan musiał jedynie ją przesłuchać. Przesłuchać, uważnie wyłapując każde słowo.

- A co potem?

- Potem sam podejmie pan decyzję. Nie będzie pan do niczego zobowiązany.

- Niech pan pamięta, że prawie w ogóle się nie znamy - powiedział Micky ostrożnie.

Doktor Lügner lekko się uśmiechnął.

- Wiem o panu więcej, niż się panu zdaje. Bardzo niewielu ludzi zdolnych byłoby zareagować tak spontanicznie jak pan dzisiaj wieczoru. Chciałbym, żeby na świecie żyło więcej takich ludzi jak

pan.

- I ja bym chciał, jednak moja dziewczyna ciągle zażywa pigułki antykoncepcyjne -
zażartował Micky i roześmiał się z własnego dowcipu.

- Hmm... - doktor Lügner zachował powagę. - Więc zrobi pan to dla mnie?

Micky jeszcze raz rozejrzał się po bibliotece. Kimkolwiek był doktor Lügner, był
bogaty, kulturalny i grzeczny. Co więcej, obiecał przesłać mu do domu kasetę Sugar.

Trudno komuś takiemu odmówić. Powiedział więc:

- Zgoda. Jasne. Skoro panu na tym zależy...

- Niech pan pamięta, Micky, że panu zaufałem - doktor Lügner ujął go pod rękę w dziwnie
ojcowskim odruchu. - Ludzie, którzy mnie ścigają, prawdopodobnie zechcą zapłacić panu ogromne
pieniądze za kasetę. Jeżeli jednak zachowa ją pan dla siebie, zarobi pan o wiele więcej, niż oddając
ją im. Obiecuję panu: pańskim udziałem staną się doświadczenia, o jakich do tej pory nawet pan nie
śnił.

- Miejmy jednak nadzieję, że pana nie złapią - powiedział Micky, starając się, aby jego głos brzmiał
optymistycznie.

Doktor Lügner odprowadził go do frontowych drzwi.

- Dzisiaj prawie mnie złapali. Nie chcę, żeby zabrzmiało to zbyt patetycznie, ale gdyby nie pan,
zapewne już leżałbym w jakichś mokradłach, a moje zwłoki rozszarpywałyby aligatory.

- Nadal nie powie mi pan, kim są pańscy prześladowcy?

- Proszę mi wierzyć, lepiej dla pana, że pan tego nie wie.

- Ale w jaki sposób na pana natrafili?

- Chyba z powodu samochodu. Wynająłem go pod innym nazwiskiem, ale chyba się zorientowali.
Cóż... Rzadko bywam tak nieostrożny.

- A nie może pan zadzwonić na policję?

- Wolalbym od razu się zastrzelić.

Jak duch pojawiła się przy nich Suna i ukloniła się przed Mickym na pożegnanie; przez chwilę
zastanawiał się, czy dziewczyna sypia z doktorem Lügnerem. Nie zdziwiłby się, gdyby tak było. Była
prześliczną dziewczyną.

- Jestem pańskim dłużnikiem, Micky - powiedział doktor na pożegnanie. - Proszę jednak, by pan nigdy nikomu nie wspominał o tym, co wydarzyło się dzisiejszego wieczoru, proszę też nikomu nie mówić, że był pan w tym domu.

- Może pan być spokojny - Micky przekroczył próg. Wiatr wył tak głośno, że następne słowa musiał już wykrzyczeć w kierunku Lügnera. - Nikomu nawet nie wspomnę o niczym.

Wsiadając do samochodu, posłał jeszcze staremu człowiekowi przyjazny uśmiech, po czym ruszył, z niedowierzaniem potrząsając głową. Nie miał wątpliwości, że właśnie pożegnał najbardziej dziwnego człowieka, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkał.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy dotarł do Canoe Creek Road, wicher był już tak silny, że prawie uniemożliwiał prowadzenie samochodu. Zaczął padać deszcz i wycieraczki z trudem zgarniały wodę z przedniej szyby. Zaparkował auto możliwie daleko od zabudowań, na wypadek gdyby wiatr zdmuchiwał z budynków ciężkie dachówki. Następnie podbiegł

do drzwi, osłaniając głowę egzemplarzem „Guitar Player Magazine”. Gdy tylko wsunął

klucz do zamka, usłyszał Orbisona, z furią miotającego się po mieszkaniu.

Wszedł do środka i przez chwilę stał bez słowa, ciężko oddychając i ociekając wodą. Orbison tymczasem biegał dookoła niego i szczekał.

- No, już w porządku, mój drogi, uspokój się - odezwał się do psa. - Na dzisiaj mam dosyć mocnych wrażeń. Nie mam siły denerwować się jeszcze na ciebie.

Ściągnął marynarkę i zarzucił ją na wieszak przy lustrze. Wszedł do salonu i, ku swemu zaskoczeniu, zastał tam Roxanne. Wygodnie rozparta na czerwonej kanapie, oglądała jakiś program telewizyjny i popijała coca-colę z butelki. Ujrawszy Micky’ego, zawołała:

- Cześć, kochanie! Nie śpieszyłeś się dzisiaj do domu. Czekałam na ciebie całe godziny.

- Nie miałem pojęcia, że w ogóle przyjedziesz. - Micky podszedł do niej i pocałował ją w czoło.

- Ja też nie. Ale zwolnili nas dzisiaj wcześniej z pracy. Poza tym mama pojechała do cioci Mercy na dwa dni. Mają jakieś ważne sprawy rodzinne do omówienia, wstrętne plotkary, Micky spotkał Roxanne po raz pierwszy przed siedmioma miesiącami na bożonarodzeniowym przyjęciu dla pracowników Sea World w Orlando. Teraz Roxanne nie była już tam zatrudniona. Porzuciła tę pracę przed miesiącem, gdyż nie pozwalano jej zajmować się wielorybami, a poza tym dlatego, iż twierdziła, że ciągle cuchnie rybami. Teraz pracowała dla Sav-Mart, jednak zamierzała zostać refleksologiem; w związku z tym odpowiedziała na ogłoszenie w „Woman’s Own” i zapisała się na kurs korespondencyjny. Reklama głosiła, że jego ukończenie gwarantuje trzydzieści tysięcy dolarów rocznego dochodu i „komfort pracy jedynie na własny rachunek”.

Miała dwadzieścia dwa lata. Jej rozpuszczone włosy koloru kukurydzy wiecznie przysłaniały

jasnozielone oczy. Była niska i drobna; miała zaledwie sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Duże miała jedynie piersi i Micky od czasu do czasu powtarzał

jej, że powinna złożyć ofertę w „Playboyu”.

Kochał w niej przede wszystkim bezwzględną i stuprocentową uczciwość.

Wiedziała niewiele o polityce, o geografii i w ogóle o świecie, a swe poglądy wyrażała głównie przez miłość do zwierząt, niejedzenie mięsa i ignorowanie codziennych gazet.

O wszystkim wyrażała się jasno i z prostotą, potrafiła śmiać się z samej siebie, kiedy były ku temu powody, i zawsze, absolutnie zawsze, mówiła prawdę.

Mingus twierdził, że Roxanne nigdy nie kłamie, ponieważ jest na to za głupia.

Micky nie komentował tego, akceptował dziewczynę taką, jaka była, a kiedy mówiła

„kocham”, był pewien, że naprawdę go kocha.

- Jadłeś już? - zapytał ją teraz.

- Kanapkę z warzywami, trochę sera i batonik.

- To chyba trochę niezdrowo, taka mieszanka na jeden posiłek. Przyniosłem ogromną porcję cannelloni, ale to mięsna potrawa. Może zjemy po omlecie? Do tego mam pomidory i ser.

- To brzmi zachęcająco. Orbison zaczął skomleć.

- O cholera - westchnął Micky. - Nie kupiłem nic dla Orbisona. To właściwie przez niego jestem tak późno.

Mały dom aż jęczał, smagany silnymi podmuchami wiatru. Micky nazywał

budyneczek domem, a przecież był to zaledwie niewielki prostopadłościan z prefabrykatów, z dachem pokrytym papą. Mieścił się tu salonik, kuchenka, dwie sypialnie i łazienka z prysznicem.

Najmniejsza była kuchnia. Gdy znajdowały się w niej dwie osoby, panował już tłok i nie można było otworzyć lodówki. Micky jednak wszedł do kuchni sam. Uchylił

drzwi lodówki, w której ujrzał osiem hamburgerów. Ucieszył się.

- Popatrz, Orbison - powiedział. - Będziesz miał ucztę. Wyjął hamburgery i nagle poczuł, że uginają się pod nim nogi. W głowie mu się zakręciło, jakby był pijany, i na moment oparł się o blat stolika. Może spotkanie z doktorem Lügnerem wytrąciło go z równowagi bardziej, niż przypuszczał? A może to po prostu sprawa mocnego burbona?

Oszołomienie trwało jednak tylko chwilę. Położył hamburgery dla Orbisona na grillu, wrzucił rozbite

jajka do miski, po czym pokroił pomidory. Wreszcie jakieś normalne, przyziemne zajęcie. Na moment zajrzał do salonu i popatrzył na oparty o fotel fendera stratocastera, którego kupił z drugiej ręki. Przypomniał sobie doktora Lügnera, siedzącego przy fortepianie i grającego Slick w taki sposób, jakby sam był

kompozytorem tego utworu. Co to za człowiek, który jednocześnie interesuje się fizyką kwantową, pisze książki chemiczne, uczy innych, jak łowić rekiny, i w dodatku gra utwory rockowe jak profesjonalista?

Do kuchni weszła Roxanne i zaczęła pomagać Micky'emu.

- W telewizji powiedzieli, że huragan przejdzie bokiem - odezwała się.

- Cudownie.

- Micky, masz szramę na czole. - Dopiero teraz uważnie przyjrzała się jego twarzy.

Opuszkami palców lekko dotknęła niewielkiej rany. - Skąd ci się to wzięło?

- Och, to nic takiego. Miałem po prostu drobną stłuczkę. Uderzyłem głową w kierownicę.

- Miałeś wypadek? Posmaruj sobie masłem to skaleczenie. Tak zawsze robiła moja babcia.

- Kochanie, to nic takiego. I ani myślę smarować się masłem. Nie jestem starą babą.

- Dobrze, dobrze, nie chcesz, to się nie smaruj. A wiesz, że gdzieś w okolicy musiał być jakiś poważny wypadek samochodowy?

- Naprawdę?

- Tak. Kiedy ciebie nie było, zjawili się tutaj dwóch policjantów. Pytali mnie, czy coś zauważyłam, ale powiedziałam im, że nie. Chcieli jeszcze wiedzieć, kiedy wrócisz, to oświadczyłam, że nie wiem.

- Dwóch policjantów?

- Jasne. Tacy detektywi, wiesz.

Micky zaczął rozpuszczać masło na patelni.

- Jak wyglądali? - zapytał.

- Nie wiem, po prostu jak detektywi. Mieli ciemne marynarki i krótkie włosy.

Jeden był czarny, a drugi bardzo mocno opalony.

Micky zmarszczył czoło. Z całą pewnością nie byli to ci sami faceci, którzy porwali doktora Lügnera. Może naprawdę byli to detektywi? Ale co, do diabła, robili w tym domu? Przecież wypadek, w

którym brał udział, wydarzył się co najmniej pięć kilometrów stąd na wschód, a więc tutaj nikt nie mógł niczego zauważyć. A może ktoś zanotował numer rejestracyjny jego samochodu i policja dotarła już do niego dzięki komputerom? Ale jakiemu policjantowi chciałoby się w takiej wichurze szukać sprawcy lub świadków wypadku samochodowego? Chyba że... Chyba że gruby i końska czaszka zmarli, wtedy sprawa ma się o wiele gorzej. Poza tym, na tylnym siedzeniu ich auta była krew i policjanci wcale nie musieli wiedzieć, że pochodzi jedynie z rozbitego nosa.

- Uważaj, bo za chwilę spalisz patelnię - ostrzegła Roxanne.

Micky wrzucił jaja na patelnię i zaczął smażyć omlet.

- Spotkałem dzisiaj bardzo dziwnego faceta - odezwał się zamyślonym głosem.

- Naprawdę? Co to znaczy dziwnego?

- Bardzo, bardzo dziwnego. Ale to wspaniały gość. Błyskotliwy i wszechstronnie utalentowany. Chyba mnie polubił. To chodząca encyklopedia. Wyobraź sobie, że nawet wynalazł żyłkę na ryby, której nic nie jest w stanie zerwać.

- Poważnie?

- Najzupełniej w świecie. Obiecałem mu, że nikomu nie wspomnę o naszym spotkaniu, ale, Chryste, przecież przed tobą nie mam żadnych tajemnic... Uwaga, omlety gotowe. Podaj talerze.

Gdy dwa duże omlety znalazły się na talerzach, Roxanne zapytała:

- Co powiesz na piwko do kolacji? Kupiłam kilka butelek. Zaczęła jeść, nie czekając na Micky'ego, który musiał jeszcze podać hamburgery Orbisonowi. Wrzucił je do miski i pies zaczął nerwowo krążyć wokół niej, gdyż były jeszcze za gorące, by mógł

natychmiast jeść.

- Hej, jesteś zbyt okrutny dla tego psa - odezwała się Roxanne z pełnymi ustami.

- Niech się cieszy, że w ogóle dostał coś do jedzenia. Bo wcale się na to nie zanosilo.

- Opowiedz mi coś jeszcze o tym twoim dziwnym facecie. - Zaprosił mnie do swojego domu, ponieważ oddałem mu małą przysługę. Dwóch facetów chciało go porwać sprzed supermarketu, musiałem więc wkroczyć do akcji. Ten facet jest bardzo stary i zrobiło mi się go żal.

- Naprawdę? I co się stało?

- A co się miało stać? Zostawili go w spokoju.

Nie chciał opowiadać Roxanne o pościgu i jego zakończeniu; przynajmniej jeszcze nie teraz. I tak powiedział jej już chyba za dużo.

- Niewiarygodne! Jestem pod wrażeniem, mój bohaterze.

Przez chwilę Roxanne przeżuwała omlet, po czym odezwała się znowu:

- Kim jest ten bardzo dziwny, bardzo mądry i bardzo stary facet?

- Nie wiem. Nosi jakieś dziwne nazwisko, doktor jakiś-tam. Brzmi jakby z niemiecka. Zawiozłem go do domu i zaprosił mnie na chwilę do siebie.

- Wdzięczni starzy milionerzy zawsze dają ludziom pieniądze.

Micky pokiwał głową.

- Niestety, nie on. Ale za to widziałem jego dom. Co za miejsce!

Skończyli jeść i odstawili talerze do zlewu. Potem przeszli do salonu i wygodnie rozsiadłszy się na kanapie, zabrali się do piwa. Hamburgery Orbisona ostygły na tyle, że zaczął je jeść. Jak zwykle, zachowywał się jak szakal, który od tygodnia nie miał nic w pysku; połykał hamburgery w całości. Wiatr na zewnątrz wyraźnie słabł, jednak zaczął

padać ulewny deszcz, natychmiast przypominając Micky'emu, że dach jego domu jest dziurawy. Ciężkie krople opadały na stół do kawy, do jednej z doniczek i na stertę magazynów „Guitar Player”.

Micky ściszył telewizor.

- Wiesz - znów wrócił do tematu - ten facet musi być bardzo samotny. Z pewnością jest multimilionerem. Ma w domu każdą książkę, jaka tylko przyjdzie ci do głowy. Gra na fortepianie, łowi ryby, nawet jest wynalazcą. Ale jest taki... Nie wiem, odnoszę wrażenie, że jest odizolowany od całego świata.

- Czy chcesz się jeszcze z nim spotkać?

- Nie wiem. Jestem po dzisiejszym spotkaniu dziwnie rozbity.

Roxanne pocałowała go i uśmiechnęła się. - Jesteś bardzo wrażliwy. Łatwo poddajesz się nastrojom - powiedziała.

- A co ty dzisiaj robiłaś? - zapytał Micky. - Jak się ma twoja urocza szefowa?

- Godzilla? Bez zmian. Zieje ogniem i niszczy wszystko, co staje jej na przeszkodzie.

- Nie martw się... Kiedy tylko ukończysz kurs refleksologii, będziesz mogła jej powiedzieć, żeby się wypchała.

Roxanne przytuliła się do Micky'ego i zaczęła bawić się kowbojską sprzączką przy jego pasku.

- Będę bogata i sławna jak ty i Mingus - powiedziała. - Wszyscy będziemy bogaci i będziemy mogli powiedzieć, żeby się wypchali ci, którzy nas teraz gnębią.

Micky pomyślał, że mógłby napisać piosenkę o człowieku, który wie wszystko o wszystkim, jednak żyje samotnie, ponieważ nikt nie chce go znać. Popatrzył na Roxanne i przyszło mu do głowy, że właściwie dobrze, iż nie jest tak mądry jak doktor Lügner.

Obudził ich odgłos dobijania się do drzwi. Nie pukano do nich tak po prostu; drzwi wprost trzeszczały od kopniaków i uderzeń pięści. Micky poderwał się i usiadł na łóżku.

Deszcz wciąż padał.

- Co się dzieje? - zapytała Roxanne.

- Cholera, ktoś chce tutaj wejść. Która godzina? Roxanne odwróciła się i popatrzyła na plastikowy budzik, stojący na nocnym stoliku.

- Dwadzieścia po trzeciej! Kto, do cholery, może mieć do nas jakieś sprawy o wpół do czwartej nad ranem?

Micky wyskoczył z łóżka i szybko wciągnął dżinsy. Walenie w drzwi nie ustawało, natarczywe, głośnie, bezwzględne. Przy wejściu był przycisk dzwonka, jednak ktoś, kto dobijał się w tej chwili do domu, albo go nie zauważył, albo po prostu nie chciał użyć.

Micky krzyknął:

- Spokojnie, na miłość boską! Przecież słyszę!

Roxanne zapaliła nocną lampkę. Miała potargane włosy i mrużyła oczy, jeszcze niezupełnie rozbudzona. Jej szkła kontaktowe leżały w słoiku w łazience.

- Micky, bądź ostrożny - wyszeptała. - Nie wiadomo, kto to może być.

- Komuś się po prostu pomyliły adresy, to wszystko. Ubrany jedynie w dżinsy, Micky z trudem torował sobie w półmroku drogę do holu. Tymczasem walenie do drzwi nie ustawało. Włączywszy światło, chłopak zauważył, że drżą we framudze.

- Hej, człowieku, przecież cię słyszę. Opanuj się, bo za chwilę rozwalisz mi drzwi!

Przekręcił gałkę od wewnątrz, jednak nie poluźnił łańcucha. Jednak dla ludzi, którzy stali na dworze, łańcuch nie stanowił żadnego problemu. Rozerwał się pod wpływem jednego gwałtownego pchnięcia. Drzwi stanęły otworem i trzasnęły głośnie o ścianę. Dwaj mężczyźni bezceremonialnie wtargnęli do domu Micky'ego. Pierwszy od razu wbiegł do sypialni, a drugi natychmiast zatrzasnął drzwi, by Micky nie mógł uciec.

Ten zresztą wcale nie myślał o ucieczce. W sypialni była przecież Roxanne.

- Nie waż się jej dotknąć! - wrzasnął za napastnikiem, który wbiegł do sypialni. -

Tkniesz ją tylko, a cię, kurwa, zabiję!

- Hej, uspokój się, stary - powiedział facet przy drzwiach. - Nikt nikomu jeszcze nie zrobił krzywdy.

- Czego, do cholery, tutaj chcecie? - krzyknął Micky. - Czy nie wiecie, która godzina?!

W tym momencie z sypialni dotarł do niego głos Roxanne:

- Odczep się ode mnie.

Bez chwili zastanowienia Micky wpadł do sypialni, uderzając się boleśnie o framugę. Roxanne, w różowej koszulce z myszką Micky, siedziała sztywno na łóżku, a obok niej bandzior, lewym ramieniem obejmujący ją za szyję, a w prawej ściskający przeguby jej rąk. Oczy Roxanne były szeroko otwarte, a na twarzy malowało się przerażenie.

- Zostaw ją w spokoju! - warknął Micky.

Tymczasem do sypialni wszedł za Micky drugim mężczyzną, niski i tęgi, lecz bez wątpienia silny. Ubrany był w niebieską wełnianą marynarkę i białą koszulę. Twarz miał pulchną, jakby pozbawioną wszelkich rysów.

Mężczyzna obok Roxanne mógł być Kubańczykiem. W przeciwieństwie do swego kumpla był chudy i wymizerowany. Ubrany na czarno, miał czarne włosy zaczesane do tyłu oraz cienki wąsik. Nie wiadomo, dlaczego Micky natychmiast zauważył, że nosi bardzo drogie buty z krokodylej skóry.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Micky po krótkiej chwili ciszy. - Chcecie nas obrabować czy co?

- Och, nie, nie chodzi o żaden napad - odparł pulchny. Miał zadziwiająco dobry akcent, gdzieś z okolic Bostonu. - Nie przybyliśmy tu w celu zdobycia dóbr materialnych, przynajmniej nie bezpośrednio. Zamierzamy jedynie zadać wam kilka pytań.

- Jakich pytań? Na jaki temat?

- Zdaje się, że wpłatałeś się dzisiaj w bardzo nieprzyjemną aferę, przyjacielu.

- Nie rozumiem...

Mężczyzna zrobił kilka kroków i zatrzymał się bardzo blisko Micky'ego. Micky cofnął się, ale niewiele mu to dało, bo zaraz za plecami miał ścianę.

- Niedaleko stąd spowodowałeś wypadek drogowy, mamy na to świadków. Poza tym twój samochód... Jego przód nie wygląda najciekawiej.

- Jeżdżę tak od kilku tygodni, od czasu jak skrzynka z pomarańczami wypadła z ciężarówki jadącej przede mną.

- Och, daj spokój, człowieku. Widziało cię dzisiaj przynajmniej pół tuzina ludzi.

- No i co z tego? Nawet jeżeli uczestniczyłem dzisiaj w wypadku, co wam do tego?

- Zaraz ci powiem, kochasiu. Dwóch naszych przyjaciół jechało samochodem, który beczelnie ścigałeś, i jeden z nich ma teraz złamane obie nogi. Oprócz tego razem z naszymi przyjaciółmi podróżował tym samochodem jeszcze jeden człowiek; ktoś wywiózł go z miejsca wypadku, zgadnij, jakim autem? Tak, masz rację, czerwonym camaro z niebieskimi przednimi drzwiami po stronie kierowcy!

- Czy jesteście z policji? - zapytał Micky. - Jeśli tak, pokażcie mi legitymacje.

- Nie jesteśmy policjantami, lecz po prostu stroną żywo zainteresowaną twoimi ostatnimi wyczynami. Szczególnie ciekawi nas, dokąd zabrałeś naszego wspólnego znajomego po tym, jak spowodowałeś wypadek. Jakikolwiek ten facet sprawia wrażenie, cokolwiek by ci naopowiadał, nie zmieni to faktu, że jest niebezpiecznym szaleńcem i musimy jak najszybciej go odnaleźć.

- Ludzie, którzy go pojмали, mówili, że jest psychicznie chory.

- Zgadza się. Jest psychicznie chorym, niebezpiecznym szaleńcem.

Micky przez chwilę się zastanawiał, po czym zdecydowanie potrząsnął głową.

- Niestety, przykro mi, lecz nie mogę powiedzieć wam, dokąd go zawiozłem.

Obiecałem mu, że zachowam to w tajemnicy.

- Och, naprawdę? Ja z kolei mogę ci obiecać, że jeżeli nie odpowiesz na nasze pytanie, życie twoje przestanie być taką idyllą jak do tej pory. I pewnie nie potrwa zbyt długo.

- Do cholery, o czym ty mówisz, człowieku? Odczep się ode mnie! Nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Jacyś ludzie bili na ulicy starego człowieka, więc stanąłem w jego obronie, to wszystko. Co miałem robić, patrzeć w drugą stronę, udawać, że nic nie widzę?

- Byłoby o wiele lepiej dla ciebie, gdybyś tak właśnie uczynił.

- Cóż, stało się. Bardzo mi przykro.

Bez chwili wahania pulchny dwukrotnie uderzył Micky'ego otwartą dłonią w twarz. Ciosy były tak silne, że Micky upadł, strącając z nocnego stolika szklankę z wodą oraz budzik.

- Przestań! - wrzasnęła Roxanne. Spróbowała wyrwać się Kubańczykowi, ten jednak jeszcze bardziej przyciągnął ją do siebie.

Pulchny tymczasem szarpnął Micky'ego za pasek od spodni i postawił chłopaka na nogi. Micky'emu dzwoniło w uszach i czuł, jak puchną mu wargi. W ustach miał krew.

- Posłuchaj mnie teraz, człowieku - syknął pulchny złowrogo. Jego twarz była teraz tak blisko twarzy Micky'ego, że ten czuł ostry zapach wody po goleniu. - Wszystko się zgadza, rzeczywiście meritum sprawy cię nie dotyczy, ale skoro już wdepnąłeś w to gówno, dla swojego dobra musisz powiedzieć mi, dokąd zawiozłeś tego starego dziada.

Ponad ramieniem Micky'ego skinął na Kubańczyka, po czym odwrócił go tak, żeby widział Roxanne. Kubańczyk tymczasem wyciągnął nóż sprężynowy i jego ostrze przystawił do prawego oka dziewczyny. Micky spróbował się wyrwać, przyjść jej z pomocą, pulchny był jednak silny i wszelkie próby uwolnienia się z jego uścisku musiały spełznąć na niczym.

- Żądamy od ciebie jedynie odrobiny współpracy - szeptał Micky'emu do ucha. -

To chyba niewiele, prawda? Jeśli jej nie podejmiesz, mój przyjaciel zabawi się w okulistę. A że nie ukończył szkół medycznych, to chyba rozumiesz, jak groźna może być ta zabawa dla twojej przyjaciółki.

- Dobrze, już dobrze! - zawołał Micky. - Zawiozłem go na lotnisko! Powiedział, że wsiądzie w najbliższy samolot do Nowego Jorku.

- Hmm... Głupia odpowiedź - stwierdził pulchny z westchnieniem. - Lotnisko w Orlando zamknięto z powodu huraganu już o piątej po południu i do tej pory go nie otwarto. Co ty na to?

Ostrze noża dotykało już powieki Roxanne. Kubańczyk kręcił nożem z widocznym zadowoleniem, nie czyniąc jeszcze dziewczynie krzywdy, jednak radosny uśmiech na jego twarzy świadczył, że tylko czeka na znak pulchnego. Roxanne miała zamknięte oczy, mocno zaciśnięte usta i zwarte szczęki.

- Myślisz, że się zawahamy? - zapytał pulchny. - Mój kumpel ma już na koncie nie takie wyczyny, jak wydlubywanie oczu niewinnym paniąkom. Widziałem, jak przecina ścięgna, ucina palce, a pewnej upartej dziewczynie nawet rozciął wzdłuż śliczny nosek.

Mówię ci, nie była już potem okazem piękności, możesz mi wierzyć na słowo.

Micky otarł krew z ust. Zrozumiał, że nie ma wyboru. W końcu co znaczył dla niego doktor Lügner? Przecież ci ludzie wcale nie musieli kłamać, może rzeczywiście był niebezpiecznym szaleńcem?

- Summerland Avenue, Winter Park - powiedział. - Tam go zawiozłem. Nie znam numeru domu, ale łatwo go rozpoznać. Jest bardzo duży, z przodu są grube filary, a do ogrodu, który go otacza, wjeżdża się przez żelazną, ozdobną bramę.

- Jeżeli kłamiesz, źle się to dla ciebie skończy.

- Mówię prawdę, na miłość boską! Facet tam właśnie mieszka. Nazywa się Lügner, prawda? Doktor Lügner.

- Doktor Lügner? Tak ci się przedstawił?

- Tak. Co z tego?

Pulchny roześmiał się i klepnął Micky'ego w plecy.

- Dostyc tego - powiedział Kubańczyk. - Zostawmy tych dobrych ludzi w świętym spokoju.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytał Micky pulchnego, podczas gdy Kubańczyk wstał z łóżka i chował nóż.

- Ty mnie rozbawiłeś - odparł pulchny z uśmiechem. - Ale przynajmniej nie mam wątpliwości, że teraz powiedziałaś mi prawdę. Wątpię, czy miałbyś dostyc zimnej krwi, żeby mnie okłamać, wymieniając takie nazwisko. Lügner to po niemiecku znaczy

„kłamca”.

Micky ze zwieszoną głową stał na środku sypialni, podczas gdy dwaj bandyci ruszyli do wyjścia. Pulchny przystanął jeszcze na progu, pogroził Micky'emu palcem i powiedział:

- Nigdy nas tutaj nie było, nie widziałeś nas i nigdy w życiu nie byłeś w Winter Park. Jeżeli kiedykolwiek dowiem się, że komuś wspomniałeś o naszej przyjacielskiej wizycie... Rozumiesz chyba, że w takim wypadku wrócimy tutaj, a wówczas... Cóż, nie chciałbym znaleźć się w twojej skórze albo w skórze tej dziewczyny.

Wyszli, głośno trzasnąwszy drzwiami. Przez długi czas zarówno Micky, jak i Roxanne milczeli, a w domu słychać było jedynie szum wiatru i dudnienie kropel deszczu, uderzających o dach. Oboje byli bladzi i przerażeni.

- Chryste - odezwał się wreszcie Micky. - Jezu Chryste, Jezu Chryste.

Podszedł do Roxanne i przytulił ją do siebie. Drżała jak osika, a przerażenie sprawiało, że nie była w stanie nawet płakać.

- Jezu Chryste - powtórzył Micky. Żadne inne słowa, żadne myśli nie przychodziły mu do głowy. W pewnej chwili jednak gwałtownie odsunął się od Roxanne i tylnymi drzwiami wyszedł do ogrodu. Mimo że wciąż padało, postrzępione chmury na niebie zapowiadały rychły koniec deszczu.

Podszedł do budy Orbisona i z całej siły uderzył pięścią w dach. Orbison natychmiast się obudził i zaskoczony zaskomlał.

- Ty głupi skurwysynu! - wrzasnął Micky. - Ty głupi, leniwy, śmierdzący darmozjadzie! Kupiłem cię jako psa obronnego! I masz mnie bronić, ty dupku! A ty, gnoju, leżysz tu sobie jak kłoda drewna, podczas gdy do mojego domu wdziera się dwóch bandytów i nieomal na moich oczach zarzynają mi dziewczynę.

Przestraszony złością swego pana Orbison wcisnął się w najdalszy kąt budy. Bosą stopą Micky kopnął budę z taką siłą, że o mało nie złamał sobie palca. Głośno przeklinając, wrócił do domu. Minąwszy Roxanne, wszedł do sypialni i szybko włożył

bordowy sweter. Schylił się pod łóżko po buty.

- Micky, co robisz? - zawołała Roxanne. - Chyba nie masz zamiaru nigdzie teraz wychodzić?

- Wydałem tego faceta, prawda? Obiecałem mu, że nikomu nie powiem, gdzie mieszka, i nie dotrzymałem obietnicy. Teraz muszę go ostrzec.

- Zwariowałeś? Jak myślisz, co z nami zrobią, kiedy dowiedzą się...

- Niczego się nie dowiedzą. Spróbuję dotrzeć do niego przed nimi. Jeżeli nie zdążę, po prostu się wycofam.

Roxanne chwyciła go za rękę.

- Micky, daj spokój. Przecież ich nie wyprzedzisz.

- Moja droga, wiesz, jak prowadzę samochód...

- Tak, doskonale wiem. Dlatego właśnie nie chcę, żebyś jechał. Jest ciemno, ulice są mokre. Jeżeli nie zabiją cię ci dwaj faceci, najprawdopodobniej spowodujesz wypadek.

Micky podrapał się po głowie i ciężko westchnął.

- Tak, kochanie, oczywiście, masz rację. Jednak cholernie się po tym wszystkim czuję.

- Przecież nie miałeś wyboru. Musiałeś im powiedzieć, prawda?

- Chyba tak.

Roxanne weszła do kuchni i po chwili wróciła z dwiema szklankami Jima Beama.

Były pełne niemal po sam brzeg.

- Oto, czego nam potrzeba - powiedziała. - Orbison też by się teraz napił, gdyby był człowiekiem.

Usiedli na łóżku i powoli sączyli whisky. W pewnej chwili Roxanne zaczęła kaszleć.

- Jesteś blada jak zjawa - zauważył Micky. - A ty myślisz, że jesteś brunatny jak Arab, co?

- Posłuchaj, czy to byli ci sami faceci, którzy odwiedzili cię wcześniej, kiedy mnie jeszcze nie było? Ci, którzy podawali się za policjantów?

- Hmm... Nie, inni. Tamci wyglądali tak jakoś bardziej oficjalnie.

- Zastanawiam się, ilu ludzi szuka doktora Lügnera i dlaczego.

- Daj spokój, Micky, przestań o tym myśleć. Widzisz, jakie to niebezpieczne.

Micky rozejrzał się po małej sypialni. Od ściany odpadła farba, na podłodze leżał

tani, wystrzępiony dywan, łóżko skrzypiało. Stał mu przed oczyma dom doktora Lügnera z lustrami, lśniącymi posadzkami, pięknymi meblami, wielkim fortepianem; dom, który wydawał się zbyt duży, aby w nim mieszkać.

Co powiedział Lügner, kiedy się zegnali? „Obiecuję panu: pańskim udziałem staną się doświadczenia, o jakich do tej pory nawet pan nie śnił”.

W ciszy dokończyli whisky. Potem Roxanne od razu zasnęła. Micky podstawił

krzesła przed frontowe drzwi; nie sposób było w tej chwili naprawić łańcuch zabezpieczający. Potem wyszedł jeszcze do ogrodu i przeprosił Orbisona za to, że się tak rozzłościł.

Poranek był gorący i wilgotny. Nad ziemią unosił się smog - efekt pracy setek tysięcy samochodowych silników. Drogi zawałone były śmieciami i połamanymi gałęziami, a na Neptune Road, gdzie zapchane zostały wszystkie studzienki ściekowe, powstała niemal delta Missisipi.

Micky pocałował Roxanne i wysadził ją z samochodu przed Sav-Mart.

- O której kończysz? - zapytał. - Może pójdziemy do chińskiej restauracji?

- Nie wiem. Zadzwoń do ciebie. Sandy prosiła mnie wczoraj, żebym ułożyła jej fryzurę.

Patrzył jeszcze za nią, jak wchodzi do sklepu i macha ręką do jednej z przyjaciółek.

Potem przez długą chwilę siedział, zamyślony, za kierownicą, zastanawiając się, czy to, co zamierza zrobić, jest słuszne. Nie chciał ryzykować zdrowia ani życia Roxanne. Nie chciał również ryzykować swojej osoby. Musiał jednak dowiedzieć się, co się stało z doktorem Lügnerem, nawet jeśli jego nazwisko znaczyło „kłamca”. Nie potrafił o nim zapomnieć, tym bardziej, że nadużył jego zaufania.

Pojechał do supermarketu, przed którym wczoraj po raz pierwszy zobaczył starca.

Zbliżywszy się do parkingu, zobaczył pomarańczowe błyski kogutów na policyjnych samochodach oraz niewielkie zbiegowisko. Przyjrzawszy się sytuacji uważniej, stwierdził, że wrak spalonego mercedesa SL 600 ładowany jest właśnie na skrzynię ciężarówki. Jeżeli Micky miał jakieś wątpliwości, czy powinien jechać na Winter Park, teraz pozbył się ich w zupełności.

Ruch na szosach był spowolniony, ponieważ wiele ekip sprzątało i naprawiało zniszczenia po wczorajszym huraganie. Micky stracił aż czterdzieści pięć minut, zanim dotarł do Winter Park. Wyłączywszy radio, ostrożnie skręcił w Summerland Avenue.

Jechał bardzo powoli; tak, jak jeździli wszyscy spokojni, przestrzegający prawa mieszkańcy Winter Park. Był jednak czujny, gotów natychmiast przyspieszyć, gdyby w polu jego widzenia pojawił się Kubańczyk albo pulchny. Z każdą minutą dzień stawał

się coraz przyjemniejszy, a słońce wesoło przeświecało pomiędzy wysokimi drzewami, otaczającymi

bogate rezydencje.

Dotarłszy do domu doktora Lügnera, powoli przejechał wzdłuż ogrodzenia.

Podjazd przed budynkiem był pusty. Micky nie zauważył żadnego śladu życia. W pewnej chwili zatrzymał samochód, cofnął, a potem powoli przejechał przez bramę.

Jego serce tłukło się jak pralka automatyczna, do której wrzucono kilka par kaloszy.

Wysiadłszy z samochodu, Micky wszedł po frontowych schodach i zadzwonił do drzwi. Usłyszał, jak przenikliwy dzwonek rozbrzmiewa wewnątrz domu, jednak nikt nie zareagował. Podszedł więc do wielkich okiennic salonu, próbując zajrzeć do środka, jednak okna były tak zasłonięte roletami, że przez wąskie szpary ujrzał jedynie lśniąca podłogę i fragment sofy. Już miał ruszyć dalej, chciał bowiem dotrzeć do tylnych drzwi, gdy niespodziewanie usłyszał za sobą odgłos hamującego samochodu. Chryste, jeżeli to był pulchny i...

Poderwał się do biegu, chcąc dotrzeć do samochodu i uciec, ale drogę zagrodzili mu dwaj mężczyźni w szarych mundurach. Na głowach mieli czapki w kształcie stożków, a do pasów przypięte latarki, pałki, kajdanki i rewolwery. Mieli zaczepne, ale oficjalne miny. Jeden z nich był młody i czarny, a drugi biały, w średnim wieku, w okularach. Cholerni ochroniarze.

- Czy panu w czymś pomóc? - zapytał biały. - To jest prywatna posiadłość.

- Tak, wiem. Poszukuję doktora Lügnera. - Kogo?

- Doktora Lügnera. Byłem tu wczoraj u niego z wizytą. Zapomniałem go o coś zapytać.

- Nie ma tutaj żadnego doktora Lügnera, człowieku - oznajmił czarny. - To jest posiadłość państwa Snow.

Micky zmarszczył czoło.

- Jest pan tego pewien? - zapytał. - Ten facet przedstawił mi się jako Lügner, ale po niemiecku to znaczy „kłamca”. Rozumie pan więc...

Biały ochroniarz zmierzył Micky'ego zimnym spojrzeniem.

- Musimy obejrzeć twój dokument tożsamości, przyjacielu - powiedział. - Czy to twój samochód stoi przed wejściem?

- Tak. Posłuchajcie, nie oceńcie mnie źle. Faceta, który tutaj mieszka, zawiozłem wczoraj wieczorem do domu, a on zaprosił mnie na chwilę do środka. Jeżeli podał mi fałszywe nazwisko... to przecież nie moja wina. Może po prostu dobrze się bawił.

- Bawił się? - powtórzył czarny, jakby pierwszy raz w życiu słyszał to słowo.

- Obejrzymy jego dokumenty - upierał się biały.

- Są w samochodzie - powiedział Micky. Zaczął powoli iść w kierunku camaro, za wszelką cenę starając się uniknąć wszelkich gwałtownych ruchów. Obaj ochroniarze mieli odpięte zatrzaski olstrów; nawet najmniejszy pretekst mógłby sprawić, że zaczęliby strzelać. Micky znalazł w samochodzie prawo jazdy i wyciągnął rękę, aby im je podać.

W chwili gdy biały ochroniarz chciał odebrać od Micky'ego dokument, niespodziewanie otworzyły się frontowe drzwi budynku. Cała trójka odwróciła się w tę stronę. Ku przerażeniu Micky'ego na progu stał jego pulchny prześladowca z ostatniej nocy, tym razem ubrany jedynie w błękitną koszulę. Patrzył na mężczyzn zgromadzonych przed camaro, jakby oczekiwał od nich jakichś wyjaśnień.

- Przepraszam pana - odezwał się biały ochroniarz i ruszył w kierunku pulchnego. -

Właśnie natknęliśmy się na tego osobnika - wskazał na Micky'ego. - Zachowywał się podejrzanie, jakby zamierzał tu kraść, więc właśnie go legitymujemy. Czy przypadkiem pan go zna?

Pulchny lekko się uśmiechnął.

- Nie powiedziałbym, że jest on moim znajomym, ale rzeczywiście wiem, kto to jest.

- Czy ma pan coś przeciwko jego obecności tutaj?

- Nie. Absolutnie nic.

- W takim razie wyjaśniliśmy sprawę. Wykonywaliśmy po prostu nasze obowiązki, mam nadzieję, że pan to rozumie.

Pulchny nie zaszczycił go już żadnym słowem, jednak zbiegł po schodach i zatrzymał się dopiero, gdy znalazł się w odległości kilkudziesięciu centymetrów przed Micky'm. Popatrzył mu prosto w oczy. Jego małe, świńskie oczka nie zdradzały żadnych emocji.

- Wygląda na to, że dobry doktor spodziewał się naszej wizyty - powiedział

wyraźnie, jednak nie na tyle głośno, by usłyszeli go ochroniarze. - Czy to przypadkiem nie ty ostrzegłeś go przed nami?

- A w jaki sposób? Nie znam numeru jego telefonu. Chryste, widziałem go na oczy tylko raz w życiu!

- Wiesz co? - syknął pulchny. - Wierzę ci. Ale jedno musisz sobie wbić do głowy: jeżeli jeszcze kiedykolwiek otrzymasz od niego jakąś wiadomość i mi jej nie przekażesz, a ja się o tym dowiem, poczujesz się jak król Lear.

- Król Lear? - powtórzył Micky, zdziwiony.

- To z Szekspira. Wydłubano mu oczy.

W tej chwili przed budynek podjechała szara ciężarówka. Pulchny położył dłoń na ramieniu Micky'ego i powiedział:

- No, czas na ciebie. Pamiętaj, co ci powiedziałem, i... Tutaj masz kartkę z numerem mojego telefonu. Jeżeli kiedykolwiek otrzymasz wiadomość od doktora Lügnera, natychmiast do mnie dzwoń.

Chyba ci się śni, grubasie, pomyślał Micky, nie odezwał się jednak ani słowem.

Wsiadł do swojego samochodu i włączył silnik. Pulchny oparł się jeszcze o dach i powiedział:

- Przepraszam, że musiałem ci obić twarz, ale widzisz... taka robota. Trochę w tym i twojej winy, bo próbowałaś zrobić ze mnie idiotę.

Nie zwracając uwagi na pulchnego, Micky ruszył, tak że ten prawie się przewrócił.

Przejechał przez bramę i skierował samochód ku centrum Winter Park. Był zły, przestraszony, ale zarazem dziwnie podekscytowany, tak jakby nagle znalazł się w zupełnie nowym świecie, w którym wszystko jest inne niż do tej pory i wszystko jest możliwe.

Przystanął, gdy na skrzyżowaniu, do którego się zbliżał, zapaliło się czerwone światło. Miał sucho w ustach i w tej chwili wiele by oddał za puszkę zimnej coca-coli.

Bębnił palcami w kierownicę i od czasu do czasu zerkał we wsteczne lusterko, by stwierdzić, czy nikt za nim nie jedzie.

Światło zmieniło się na zielone, jednak Micky nie ruszył.

Pulchny otworzył drzwi!

W tej chwili dopiero dotarło to do Micky'ego: w jaki sposób pulchny dostał się do domu? Na wszystkich oknach były kraty, a szyfr przy drzwiach za każdym razem inny!

Wokół nie było akurat żadnych samochodów, Micky zawrócił więc na środku skrzyżowania i ruszył z powrotem w kierunku domu doktora Lügnera. Po drodze minął

się z dwoma ochroniarzami, jadącymi powoli chevroletem caprice, jednak nie zwrócili na niego uwagi. Dotarłszy do celu, zwolnił i zobaczył, że przed frontem posiadłości stoi szara ciężarówka, a drzwi jej ładowni są szeroko otwarte.

Zaparkował jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, wysiadł z camaro i powoli ruszył w kierunku bramy. Szedł bardzo blisko płotu i starał się nie zwracać na siebie uwagi.

Wyjrzał zza ogrodzenia akurat w momencie, gdy czterej mężczyźni wynosili na noszach wypchany szary worek zapięty na zamek błyskawiczny. Chryste! - jęknął Micky. To z całą pewnością były zwłoki. Nigdy na własne oczy nie widział takiego worka, często jednak podobne sceny oglądał w telewizji.

Pobiegł z powrotem do samochodu i szybko odjechał. Teraz już nie miał

wątpliwości co do tego, jak działał pulchny. Z całą pewnością zadzwonił do drzwi i kiedy tylko je otwarto, wdarł się do budynku. Natychmiast zaczął mordować. Jeżeli doktor Lügner zdołał uciec, w szarym worku najprawdopodobniej znajdowały się zwłoki Suny, jego służącej. Biednej małej Azjatki, z czarnymi włosami związanymi w koński ogon. Jezu Chryste!

Jak na złość co chwila zatrzymywał się w mniejszych i większych korkach, a przed każdym skrzyżowaniem światło zmieniało się na czerwone. W efekcie Micky spóźnił

się do pracy całe piętnaście minut. Wskoczywszy z samochodu, szybko wbiegł do restauracji. Marcella jeszcze zmywała podłogę, a Guido kłócił się z Mariem, co ma być potrawą dnia. Guido sugerował salsicce con le cipolle, kiełbaski w duszonej cebuli.

- To jest jedzenie dla chłopów!

- No i dobrze! Przynajmniej go nie spieprzysz!

- Skoro zależy ci na kiełbaskach, może przygotujemy jednak salsicce col vino e i funghi secchi?

- Nie mamy funghi secchi. - Przerywając na chwilę kłótnię ze szwagrem, Guido szarpnął Micky'ego za rękaw. - Gdzie byłeś, co? - Zaraz jednak zawołał do Maria: -

Powinieneś był pomyśleć o funghi secchi, kiedy robiłeś zakupy na rynku!

- Przepraszam, Guido. Na drogach jest cholerny tłok.

- Wyglądasz niezdrowo. Dlaczego? Pośpiesz się, trzeba pozmywać tace do pieczenia.

Zdenerwowany Mario uniósł ręce, jakby wzywając niebiosa na świadka swych słów.

- Ale nie pomyślałem, bo nie w głowie mi było funghi secchu! Dzisiaj przygotuję salsicce con le cipolle, a jutro pollo in fricassea alla marchigiana!

- Cholera jasna - westchnął Heng. - W tej budzie jest głośniejsze niż we włoskiej operze.

Micky milczał. Poszedł do kuchni, założył fartuch i żółte gumowe rękawiczki, po czym stanął przed zlewozmywakiem i przystąpił do pracy. Co chwilę z trudem przełykał

ślinę. Zachowywał się jak człowiek, którego męczą chroniczne mdłości.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pułapkę zastawiono wręcz klasycznie. John i Neville siedzieli w pokoju numer 239

w Howard Johnson's Hotel w Mill Valley, gdy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

John skinął na Neville'a; ten wstał z fotela i podszedł do drzwi.

- Kto tam? - zapytał. Jednocześnie odwrócił się w kierunku Johna i mrugnął do niego.

- Handlarz z Wenecji - padła odpowiedź. John lubił to hasło. Bardzo pasowało do sytuacji.

Neville zdjął łańcuch zabezpieczający i otworzył drzwi. Natychmiast do pokoju wkroczył łysiejący mężczyzna w średnim wieku, w beżowej marynarce, białej koszuli i szerokim brązowym krawacie. Miał ze sobą dużą sportową torbę. Był spocony mimo że w hotelu pełną mocą pracowała klimatyzacja. Rzucił torbę na łóżko, po czym zdjął

okulary i przetarł szkła końcem krawata.

- Cóż, Myron, zdaje się, że sprawiłeś nam dzisiaj mnóstwo radości - powiedział

Neville. Czarnoskóry zawsze był nieskazitelnie i elegancko ubrany, a o kanty jego spodni można było się skaleczyć.

- Wierz mi, nie było to łatwe - odparł Myron zmęczonym głosem. - Strażnicy zatrzymali mnie przy bramie i już myślałem, że będą chcieli mnie przeszukać. A okazało się tylko, że złapałem gumę w przednim kole.

- Bez ryzyka nie ma profitów - zauważył Neville. - Otworzysz torbę? Spojrzymy na to, co nam przyniosłeś.

- Może najpierw popatrzę na pieniądze?

- Och, daj spokój, Myron. Nie bawimy się przecież w kotka i myszkę. Albo masz towar, albo go nie masz.

- W porządku - powiedział Myron z westchnieniem. Otworzył torbę i wytrząsnął

jej zawartość na łóżko. Było to dwadzieścia kartonowych pudełek. - Proszę bardzo -

wskazał dłonią. - Wszystko, czego chcieliście. Po dwa kartony.

John wstał i podszedł do łóżka. Wziął do ręki jeden z kartonów i obejrzał go uważnie ze wszystkich stron. Następnie otworzył, zdjął wewnętrzne opakowanie i powąchał.

- Miły zapach - zauważył. Myron obserwował go, jak rozrywa jeden z woreczków, ślini palec i wsuwa do środka, a po chwili zlizuje z niego proszek. - Równie miło smakuje - stwierdził.

- Możesz sprawdzić wszystko, jeżeli chcesz - powiedział Myron. - Stuprocentowy, pewny towar. Jak tylko odbiorę nalepki z drukarni, również je dostaniesz.

John sprawdził wypisaną na maszynie kartkę, przyklejoną do bocznej ścianki pudełka. „Old Mother Brown: toffi z fistaszkami w lukrze fistaszkowym”. Obejrzał dwa inne pudełka.” Old Mother Brown:

ciasteczka z truskawkami”. „Old Mother Brown: krówki czekoladowe w czekoladowym lukrze”.

- Stara mama Brown* [przyp.: Old Mother Brown (ang.) - stara mama Brown. Tu: nazwa firmy, która jest producentem słodyczy (przyp. tłum.)] musiała być ostatnio bardzo zajęta - zauważył John. - Zdziwiłbym się, gdyby miała czas na krótki odpoczynek.

Sięgnął za łóżko i wyciągnął stamtąd mały, czarny neseser, który następnie położył między pudełkami i otworzył. W środku znajdowało się szesnaście paczek nowiutkich banknotów pięćdziesięcio - i studolarowych. Były tak nowe, że bił od nich jeszcze intensywny zapach farby drukarskiej.

- Oto twoja należność - powiedział do Myrona, który na widok pieniędzy głośno przełknął ślinę. - Chcesz przeliczyć?

Myron wziął na moment do ręki paczkę banknotów i przez chwilę jakby ważył ją w dłoni.

- Nie, dziękuję, to nie jest konieczne. Chyba mogę ci ufać, prawda?

John i Neville milczeli, kiedy Myron zamykał neseser i podnosił go z łóżka.

Właściwie to było już wszystko. John położył dłoń na ramieniu Myrona i poprowadził go do drzwi.

- Założę się, że po raz pierwszy kasujesz sto siedemdziesiąt pięć milionów za kilka kartonów słodyczy - powiedział z uśmiechem.

- Tyle forsy dzięki starej babie, co? - zaśmiał się Myron. - Pardon, dzięki starej mamie Brown.

Zaczął otwierać drzwi, ale John niespodziewanie uderzył w nie otwartą dłonią i zatrzasnął.

- O co ci jeszcze chodzi? - zawołał Myron i przycisnął walizeczkę z pieniędzmi do piersi. - Zdaje się, że dokonaliśmy uczciwej transakcji. Ty dostałeś swoje ciasteczka, a ja pieniądze. Teraz mnie stąd wypuść!

John powoli potrząsnął przecząco głową.

- Przykro mi, Myron, nic z tego. Transakcja wcale nie była tak prosta i uczciwa, jak mogłoby ci się zdawać.

Położył ciężką dłoń na łysinie Myrona i obrócił jego głowę w taki sposób, że ten musiał patrzeć na stolik, znajdujący się na środku pokoju. Stała tam duża brązowa torba na przybory toaletowe; przeznaczenie tej akurat było zupełnie inne. Neville wskazał

palcem na jej przód i Myron dopiero wtedy zobaczył w ścianie torby niewielką, okrągłą dziurę.

- Widzisz to, Myron? Ukryta kamera. Wszystko, co uczyniłeś i powiedziałeś od chwili gdy wszedłeś do tego pokoju, zostało dokładnie zarejestrowane na taśmie wideo.

Jeszcze dziś po południu mam zamiar zaprezentować to nagranie twojemu szacownemu szefowi, panu Peppardowi Falmerowi.

- Ty skurwysynu - wystękał Myron. Jego twarz była biała jak kreda. - Ty zasrany skurwysynu!

- Przykro mi, Myron, wdepnąłeś w to obiema nogami tylko przez swoją głupotę.

Każdy profesjonalista zwróciłby uwagę na tę torbę. Przecież wynajęliśmy ten pokój tylko na godzinę. Po co by nam były potrzebne przybory toaletowe?

Myron przez chwilę stał bez ruchu i nagle uderzył Johna neseserem w ramię.

- Ty skurwysynu! - wrzasnął. - Skurwysynu, zniszczyłeś całe moje życie!

Próbował jeszcze raz uderzyć Johna, ten jednak uchylił się i szybkim ruchem wyrwał mu neseser z pieniędzmi.

- Oddaj to! - krzyknął Myron. Nie panował już nad swoim głosem.

John nie posłuchał go. Rzucił neseser Neville'owi, po czym uderzył Myrona pięścią prosto w nos. Myron zachwiał się i nagle usiadł na łóżku, ukrywając twarz w dłoniach.

- Jesteś bardzo smutnym przypadkiem, Myron - powiedział John, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Przykro mi, że musiałem cię uderzyć.

Spodziewał się, że w tej chwili ofiara całkowicie się załamie, zacznie łkać, recytować listę swych długów i zobowiązań, opowiadać o żonie i chorych dzieciach, tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Po chwili ciszy Myron poderwał się z łóżka jak wystrzelony z katapulty i zaczął wymachiwać ramionami, chcąc uderzyć Johna.

- Oszukałeś mnie! - wrzeszczał. - Kurwa, oszukałeś mnie, skurwysynu! Miałem pojechać na Hawaje, ale ty, skurwysynu, mnie oszukałeś!

John poczęstował go dwoma ciosami starannie wymierzonymi w żołądek i Myron poleciał z powrotem na łóżko. Tym razem padł na plecy. Pod jego ciężarem pękło kilka woreczków i na ubraniu osiadły mu drobiny różowego, brązowego i jasnożółtego proszku. Spróbował się podnieść, jednak John poważnie się zdenerwował. Bił go przez kilka chwil bez opamiętania. Pękały kolejne pudełka oraz woreczki i wkrótce w całym pokoju unosił się zapach czekolady, truskawek i bez cytrynowych.

Neville podszedł do Johna i złapał go za rękę.

- Hej, wystarczy - powiedział. - Popatrz tylko na niego.

John przerwał bicie i, ciężko dysząc, stanął nad swoją ofiarą. Oblepiony proszkiem, wśród

porozrywanych opakowań, Myron leżał na łóżku bez przytomności. Z nosa ciekła mu krew, a pod prawym okiem miał ogromnego, sinego guza.

John powoli uspokajał się. Po chwili starannie otrzepał marynarkę.

- Nie powinieneś był tego robić - zauważył Neville. - Przecież ten facet w jednej chwili przegrał całe życie.

- Powiedz to starej mamie Brown - odparł John.

Szedł dwa piętra białą klatką schodową do apartamentu. Czekąca tam już na niego wysoka kobieta o ciemnych włosach. Siedziała w wygodnym leżaku na szerokim balkonie i paliła papierosa. Popiół otrząsała do doniczki z pelargonią. Była niezwyklej urody. Budowa jej ciała świadczyła, że jest kobietą bardzo silną. Miała wystające kości policzkowe, a osłonięte długimi rzęsami oczy jakby pozbawione były koloru. Włosy ułożone miała w wysoki kok o ostrych kantach. Ubrana była w luźny, płócienny kostium z długimi spodniami.

Nie wstała nawet wtedy, gdy John kluczem otwierał drzwi. Uniosła jedynie dłoń do oczu, by osłonić je przed blaskiem słońca, kiedy mężczyzna przystanął kilka kroków przed nią.

- Czeka pani na mnie? - zapytał ze zdziwieniem.

- Zgadza się, panie Huntley. Zdaje się, że prowadzi pan nieregularny tryb życia.

- Bo mam bardzo nieregularną pracę.

Odwrócił się od niej i poszedł do kuchni. Marmoladowe słońce świeciło na miedziane rondle, zawieszane na hakach pod sufitem, oraz na główki cebuli, przemieniając je cudownie swym światłem w dojrzałe pomarańcze. Umieścił

walizeczkę na sosnowym stole, obok starannie ułożył torby z zakupami. Dzisiaj kupił

między innymi kotlety cielece, kilka pęków świeżego tymianku i butelkę czerwonego wina. Brązowo-czarno-żółty kot, Moliere, zbliżył się do niego i przeciągnął na środku kuchni, drapiąc pazurami wykładzinę.

Tymczasem wysoka kobieta również skierowała swoje kroki do kuchni i przystanęła na progu. Wciąż paliła papierosa i uważnie obserwowała Johna. Za jej plecami, w oddali, można było zobaczyć mknące w półmroku zarysy budynków centrum San Francisco.

- Hmm - mruknął John. - Może się pani czegoś napije? kawy? Albo piwa?

- Nie, dziękuję - odparła. Przeszła przez kuchnię, sztywna i wysoka niczym żyrafa, po czym wysunęła krzesło spod stołu i usiadła bardzo blisko Johna, krzyżując nogi i podpierając się na łokciu. Używała bardzo silnych perfum. - Myślę, że dobrze będzie, jeśli się przedstawię - stwierdziła. - Nazywam się Sara Lake. Jestem wiceprezesem do spraw zatrudnienia w Broussard Guidance Systems w Cocoa Beach na Florydzie.

John schował w lodówce cielęcinę i wyjął puszkę zimnego piwa. Otworzył ją i pociągnął duży łyk.

- No, już trochę lepiej - powiedział. - Miałem cholerny dzień. - Przypatrywał się przez chwilę kobiecie. - A więc niech mi pani wreszcie powie, czego może ode mnie chcieć Broussard Guidance Systems z Cocoa Beach.

- Ktoś nam pana rekomendował, panie Huntley. Wyrażał się o panu z ogromnym uznaniem, na które, jestem pewna, absolutnie pan zasłużył.

- Cóż, dziękuję za komplement. Nie pracuję już jednak jako wolny strzelec. Nie wyżywiłbym z takiej roboty nawet Moliera. Jeśli chce pani skorzystać z moich usług, musi się pani skontaktować z moim biurem. To niedaleko: Western Eye Industrial Investigations przy Sansome Street. W tym miesiącu proponujemy duże obniżki. Dwa śledztwa w sprawie zdrad małżeńskich za cenę jednego.

- Nie będę się kontaktowała z pańskim biurem, panie Huntley. Moja prośba ma czysto osobisty charakter.

John uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Przykro mi, ale przedstawiłem już pani swoje stanowisko.

- Może zmieni pan zdanie, gdy usłyszysz, jaką kwotę chce zaoferować pan Broussard.

- Chwileczkę... Zanim zaczniesz mnie pani kusić milionami, chciałbym wiedzieć, czy ewentualne przyjęcie pani osobistej prośby będzie się wiązało z wyjazdem do Cocoa Beach?

- Oczywiście będzie pan musiał pojechać na Florydę, tak.

- W takim razie nasza rozmowa nie ma sensu. Odmawiam, chociaż bardzo dziękuję, że pani mnie wybrała.

- Panie Huntley, mówimy o wynagrodzeniu w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. John pokiwał głową.

- Tak, oczywiście. Nie miałem wątpliwości, że będzie to oscylowało wokół tej kwoty. Tym bardziej się nie zgadzam.

- Nie chodzi tylko o pieniądze, panie Huntley. To jest naprawdę fascynująca sprawa.

- A cóż to może być takiego? Czy jakiś wazniak sprzedaje tajemnice handlowe, by zabierać swoją sekretarkę na przejażdżki luksusowym jachtem? A może jakiś mądrała usiłuje wydobywać tajemnice systemów naprowadzania od żony pana Broussarda?*

[przyp.: guidance systems (ang.) - systemy naprowadzania (przyp. tłum.).]

- Myślę, że sprawa jest o wiele bardziej interesująca - mówiąc to, Sara Lake patrzyła mu uważnie w oczy. - Z pewnością słyszał pan o Broussardzie. W zeszłym roku, w sierpniu, przejęliśmy Hoshi International, jedną z największych japońskich korporacji.

- Jasne, że o tym słyszałem. W „Fortune” był na ten temat obszerny artykuł. A może to było w „Reader’s Digest”? Nie pamiętam.

- W obu magazynach. Zapłaciliśmy za Hoshi osiemset siedemdziesiąt osiem milionów i dziewięćset tysięcy dolarów. Zdecydowaliśmy się na ten wydatek, ponieważ Hoshi opracowała system naprowadzania pocisków na cel, niepodobny do żadnego spośród znanych do tej pory na świecie.

- Zawsze mówiłem, że Japończycy są inteligentni - stwierdził John. Wysunął taboret spod stołu i wreszcie usiadł.

- Podziwiałby pan ich bardziej, gdyby pan znał całość sprawy - powiedziała Sara Lake. - Zapewne słyszał pan o Tercom, systemie służącym do naprowadzania pocisków Tomahawk? System, z którym mamy do czynienia w tym wypadku, sprawia, że Tercom może wydawać się wynalazkiem z epoki kamienia łupanego. Nazywamy go MiGR8, czyli „migrate”* [przyp.: MiGR8, wym. ang. «migrejɪ», migrate (ang.) - migrować (przyp. tłum.)]. Wykorzystywany jest w nim bowiem ten sam proces, który zachodzi w mózgach ptaków, kiedy odlatują na południe.

- Jestem pod wrażeniem. Na czym jednak polega problem?

- Nie uwierzy pan... W ciągu czterech i pół miesiąca zapoznawania się z efektami prac Hoshi nasi ludzie stwierdzili, że ich działalność przypomina jedynie nieustanne bicie głową w mur. Cały system MiGR8 funkcjonował bez zarzutu; problemy pojawiły się wtedy, gdy próbowali podłączyć do niego pociski. Nie potrafili tego zrobić. Mimo ogromnych wysiłków cała robota przypominała próbę podłączenia mózgu Einsteina do miksera Kenwooda. Po prostu zerowa kompatybilność raket z systemem naprowadzania. Zaczęli więc pytać ludzi z Hoshi; ku ich zdziwieniu Japończycy także nie potrafili niczego poradzić. W gruncie rzeczy nikt z byłych pracowników korporacji nie znał zasady działania MiGR8.

- Wymyślili system i nie wiedzieli, jak działa?

Sara potrząsnęła głową.

- Okazało się, że MiGR8 został skonstruowany przez naukowca z zewnątrz, który niezwykle rzadko pojawiał się w korporacji osobiście i który zniknął natychmiast, gdy pojawiły się pogłoski o przejęciu jej przez nas; nie pozostawił żadnego adresu, żadnego namiaru. Pan Broussard znalazł się praktycznie w sytuacji bez wyjścia. To tak, jakby kupił MicroSoft i dowiedział się, że w firmie nie ma już Billa Gatesa.

- To interesujące. I, muszę przyznać, zabawne. Jak brzmi nazwisko tego zaginionego naukowca?

- Roześmieje się pan, choć panu Broussardowi wcale nie było do śmiechu. Ten człowiek nosi nazwisko Bakayaro, doktor Bakayaro. Początkowo dziwiliśmy się, dlaczego Japończycy rżą jak konie, słysząc to nazwisko, w końcu jednak któryś się zlitował i wyjaśnił nam, że Bakayaro znaczy ni mniej, ni więcej, tylko „przeklęty głupiec”.

- Rozumiem - powiedział John i pociągnął łyk piwa. - Chyba nie był jednak takim głupcem, skoro

wymyślił tak cholernie skomplikowany system naprowadzania, skoro potrafił zniknąć, nie pozostawiając żadnych śladów. Ale... Być może potrafiłbym go odnaleźć, jeżeli o to pani chodzi.

- Och, w gruncie rzeczy go znaleźliśmy. Przynajmniej w tej chwili jesteśmy tego prawie pewni. Nasi ludzie z wydziału bezpieczeństwa poszukiwali go niemal przez rok.

W końcu powiązali jego osobę z pewnym artykułem, opublikowanym w maju w

„Navigational Systems Review”. Podpisany był pod nim niejaki profesor William Cicero z Uniwersytetu Północnej Florydy w Jacksonville. Nie muszę chyba panu mówić, że ktoś taki nie istnieje. W artykule jednak rozważana była możliwość wykorzystania ptasich genów w systemach nawigacyjnych i naprowadzających.

Niektóre z zawartych tam pomysłów były tak bliskie MiGR8, że nie mogło być mowy o przypadku. Jakiś miesiąc później, dzięki rutynowym poszukiwaniom, odkryliśmy, że niejaki William Cicero wynajął mercedesa w Daytona Beach. Dwóch naszych ludzi widziało ten samochód w St Cloud, na wschód od Orlando. Próbowali porwać Cicera, jednak jakiś miejscowy bohater pomieszał im szyki i naukowiec uciekł. Szybko znaleźliśmy jego dom, ale już zdążył się z niego wyprowadzić.

- Domyślam się, że i tym razem nie pozostawił informacji o następnym adresie? -

powiedział John. Słońce za oknami już prawie zaszło; jego ostatnie promienie odbijały się od wód Zatoki San Francisco.

- Rozumiem, że pana zainteresowałam - stwierdziła Sara Lake. Na moment wyprostowała nogi; temu ruchowi towarzyszył cichy szelest ocierających się o siebie drogich pończoch.

- Oczywiście, że mnie pani zainteresowała. To bardzo ciekawa historia. Trudno pojąć, dlaczego człowiek, który wynalazł rewelacyjny system naprowadzania pocisków, zdecydował się na życie w ukryciu. Po co używa głupich kryptonimów? Dlaczego w tej sytuacji publikuje w naukowym periodyku? Przecież z całą pewnością musi wiedzieć, że to ogromnie zwiększa ryzyko rozszyfrowania.

Sara Lake wyjęła z torebki paczkę papierosów i jednego zapaliła.

- A więc przyjmie pan nasze zlecenie? - zapytała.

- Hmm... Niestety nie, dziękuję. W tej chwili jestem zawałony robotą. Właśnie zapobiegłem kradzieży dokumentacji Old Mother Brown. Ktoś usiłuje się dostać do tajnych receptur zup w puszkach Chef Vincenzo; to poważna sprawa i w tej chwili nią się zajmuję.

- Pan sobie stroi ze mnie żarty.

- Wręcz przeciwnie, jestem śmiertelnie poważny. W grę wchodzi szpiegostwo przemysłowe, które moich mocodawców może kosztować miliony dolarów.

- Wiem, jak dobrym jest pan detektywem. Czy po tym wszystkim, czego dokonał

pan w swoim zawodzie, satysfakcjonuje pana taka robota?

John nie odpowiedział, natomiast po chwili rzucił swoje pytanie:

- Czy na pewno nie napije się pani ze mną piwa? A może szklaneczkę wina?

Moglibyśmy posiedzieć na balkonie.

- Zgoda - odparła Sara Lake.

Otworzył butelkę verdicchio, którą umieścił na dolnej półce lodówki po ostatniej wizycie Maggie. Cóż... Jeśli znów trafi się noc, którą będzie mogła tu spędzić, z odpowiednim wyprzedzeniem kupi następny alkohol.

Oboje usiedli w trzciniowych fotelach i długo milczeli. Tę porę dnia John lubił

najbardziej - słońce kończyło właśnie swoją stałą wędrówkę ponad Pacyfikiem, a wzgórza San Francisco wciąż głośno szeptały odgłosami ruchu ulicznego powodowanego przez mieszkańców, którzy właśnie powracali do domów po długim dniu pracy. Ponad Zatoką z głośnym skrzekiem unosiły się mewy, zataczając szerokie koła. John przeżył w San Francisco większość swego trzydziestosześcioletniego życia i wciąż uwielbiał to miasto. Miał tu wielu przyjaciół i znajomych... Czasami, tylko czasami, gdy wpadał w wielką melancholię i nie wiedział, co ze sobą począć, odwiedzał

bary i restauracje, których było tutaj mnóstwo. Był znany w mieście. Kelnerzy, barmani, dziennikarze i inni miejscowi, wszyscy wiedzieli, że John Huntley jest facetem, który jeżeli tylko będzie mógł, udzieli pomocy bliźniemu w potrzebie. Wiedzieli też, że bywają dni, gdy John zachowuje się jak szaleniec.

Był dość krępy, jednak ruchy miał sprężyste i harmonijne. Jego jasne, krótkie włosy powoli już siwiały na skroniach. Miał kwadratową, skandynawską twarz oraz niebieskie oczy, które czasami wydawały się bardziej zimne, niż John by sobie tego życzył. Jego twarz, jak na trzydziestosześcioletka, była już bardzo zniszczona, a na lewym policzku widniała głęboka blizna. Z tego powodu ludzie, którzy widzieli go po raz pierwszy, dawali mu zwykle o dziesięć lat więcej.

Wciąż ubierał się niedbale. Przeważnie chodził w wytartych dżinsach i białej, lekkiej koszuli, chociaż gdy było trzeba, potrafił zaprezentować się bardzo elegancko.

Western Eye Industrial Investigators mieli kilkoro poważnych klientów, w tym z ratusza oraz kilku najważniejszych banków, i czasami nie wypadało wyglądać przed nimi jak pierwszy lepszy facet z ulicy.

- Odnalezienie tego człowieka byłoby siedmiomilowym krokiem w pana karierze, chyba zdaje pan sobie z tego sprawę - powiedziała Sara Lake.

- Być może. Jednak nie mam zamiaru go szukać. Z tego, co mi pani opowiedziała, wynika raczej, że należałoby pozostawić go w spokoju.

- Myli się pan, panie Huntley. Niech pan zwróci uwagę na to, że w grę wchodzi narodowe interesy Stanów Zjednoczonych. Broussard uzyskał kontrakt na dostarczenie systemu naprowadzania nowej generacji dla pocisków międzykontynentalnych. Uzyskał

ten kontrakt dzięki temu, że przedstawił w Departamencie Obrony szczegółowe informacje o MiGR8 i jego funkcjonowaniu. W tej chwili po prostu nie jesteśmy w stanie wywiązać się z kontraktu. Jeżeli MiGR8 nie zostanie wdrożony do naszego systemu obrony, przynajmniej przez najbliższych piętnaście lat kraj będzie słabszy, niż mógłby być. A jesteśmy już pewni, że bez tego człowieka nie damy sobie rady.

- Przykro mi, pani Lake, chciałbym odpowiedzieć na apel ojczyzny, ale, widzi pani, Chef Vincenzo potrzebuje mnie teraz bardziej.

Sara Lake zaciągnęła się papierosem, po czym wydmuchnęła dym, który rozpląnął się w ciepłym powietrzu.

- Poinformowano mnie już, że prawdopodobnie odpowie mi pan w ten właśnie sposób.

- Kto panią poinformował?

- Może pańska była żona? Zdaje się, że dość gorzko pana wspomina, ale to chyba zrozumiałe.

John zadrżał. Zrozumiałe! To było nieporozumienie stulecia. Nieporozumienie, które trwało niemal piętnaście lat, piętnaście lat, podczas których John mozolnie, krok po kroku, wspinał się na szczyty w swojej profesji. Chłodny, inteligentny, cierpliwy, z każdym rokiem zarabiał coraz więcej. Inwestował w najnowsze elektroniczne wynalazki, przydatne w jego zawodzie: wykrywacze urządzeń podsłuchowych, skanery ultrafioletowe, miniaturowe kamery. Zatrudnił trzech asystentów i dysponował dwiema furgonetkami oznaczonymi jego nazwiskiem. Huntley Security było w San Francisco pierwszym wyborem firm i wielkich korporacji, których zarządcy podejrzewali szpiegostwo, marnotrawstwo czy sabotaż we własnych szeregach.

Jego żona Lorna bezustannie narzekała, że nie ma go w domu. Szczególnie denerwowała ją jego nocna praca; gdy wracał nad ranem, padał, wykończony, na łóżko, nie wyjaśniając jej, gdzie był i co robił. Ich syn Jamie miał już prawie cztery lata, a z powodu nawału pracy John prawie się z nim nie bawił. Całą opiekę nad dzieckiem sprawowała Lorna, nie miała więc wolnego czasu dla siebie. Zdając sobie z tego sprawę, pewnego wieczoru John zgodził się pozostać w domu z synem, podczas gdy Lorna miała odwiedzić w Sausalito jakieś swoje koleżanki z college'u.

I tego właśnie wieczoru John otrzymał anonimowy telefon z informacją, że dwóch mężczyzn zamierza włamać się do Kreussman Electronics z zamiarem wykradzenia oprogramowania komputerowego wartego trzy i pół miliona dolarów. W pośpiechu John nie był w stanie znaleźć nikogo do opieki nad synem, owinał go więc szybko w koc i ułożywszy na tylnym siedzeniu samochodu, zabrał ze sobą.

Potem wszystko było już tak tragicznie proste... Zajechawszy przed magazyny Kreussmana, John zaskoczył złodziei przed budynkiem. Próbowali właśnie odciąć system alarmowy. Jeden z nich oddał

strzał w jego kierunku, niecelny. Kula przebiła jedną szybę samochodu i utkwiała w głowie Jamiego.

Jamie przeżył, chociaż John często żałował, że tak właśnie się stało. W tej chwili przebywał w klinice w Santa Cruz. Nie był w stanie chodzić, nie był w stanie mówić, nie był zdolny do niczego. Mógł jedynie leżeć na boku i patrzeć w ścianę. Lekarze zapewniali Johna i Lornę, że jego umysł funkcjonuje, ale cóż to mogło być za funkcjonowanie? Czy miał jakieś marzenia, ten ciemnowłosy dzieciak o kończynach, nad którymi nie miał żadnej władzy? A jeśli nawet marzył, to o czym? O życiu, które zgasło, zanim na dobre się zaczęło? O tym, co mógłby robić, gdyby nie niefrasobliwość jego ojca?

Po tej nocy przed magazynami Kreussmana skończyło się małżeństwo Johna, padła firma, a on sam spędził długie tygodnie w samotności, w małej chatce na wybrzeżu, w Mendocino, zgorzkniały i zniechęcony do życia.

- Naturalnie, pańska była żona opowiedziała nam również o pani Scarbeary -

odezwała się Sara Lake.

John popatrzył na nią obojętnie.

- Nie dziwi mnie to. Cokolwiek jednak powiedziała, zaprzeczę temu. Pani Scarbeary jest żoną mojego pracodawcy i moje uczucia wobec niej polegają wyłącznie na przyjaźni i szacunku.

- Oczywiście. Nie tą kartą zamierzałam grać dzisiaj z panem. Co pan powie, jeżeli zaoferuję panu trochę więcej pieniędzy? Powiedzmy, trzysta tysięcy dolarów plus zwrot wszystkich kosztów?

- Pani Lake, ja naprawdę nie mam zamiaru jechać na Florydę. I nie zamierzam rozmawiać z ludźmi, którzy używają szantażu jako metody perswazji. Proponuję, żebyśmy dopili wino i się pożegnali. Co pani na to?

- Odszukał pan Dietera Waxmana. Nikt nie był w stanie tego dokonać, nawet FBI.

- To było w 1986. Poza tym Dieter Waxman był przestępcą kryminalnym. Kradł

dane komputerowe; to tak, jakby kradł czyjeś pieniądze. Nie wydaje mi się, by człowiek, którego pani poszukuje, popełnił jakieś przestępstwo. Chyba że przestępstwem jest wprowadzenie w zły nastrój szacownego pana Broussarda.

- Panie Huntley, postawmy sprawę jasno. Musimy znaleźć tego człowieka i uważamy, że pan jest jedyną osobą, która potrafi tego dokonać. Oprócz nas szukają go także inni ludzie. Ci z kolei noszą się z zamiarem zamordowania go.

- Proszę, proszę, zmieniamy ton. Teraz, zdaje się, apeluje pani do moich uczuć.

Najpierw proponowała mi pani duże pieniądze, potem próbowała mnie pani szantażować, teraz chce mnie pani podejść jeszcze inaczej. Nic z tego, pani Lake. Nie zamierzam opuszczać San Francisco i nie zamierzam zajmować się poszukiwaniem pani geniusza.

- W porządku - powiedziała Sara Lake. Zdusiła niedopałek papierosa w jednej z doniczek. - Zdaje się, że nie potrafię pana przekonać.

Wstała, wygładziła kostium i wyciągnęła rękę na pożegnanie. John zauważył, że ma niewiarygodnie długie palce i starannie polakierowane, długie paznokcie.

- Jeżeli jednak zmieni pan zdanie... - odezwała się głosem, w którym miała brzmieć pokusa. Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, po czym wsunęła bilet wizytowy do górnej kieszeni jego koszuli.

Patrzył za nią, jak schodzi po schodach, w pantoflach na wysokich obcasach, a potem wyszedł na balkon, by znów na nią popatrzeć. Wsiadła do białego mustanga, pięcio - lub sześcioletniego, z kalifornijskimi tablicami rejestracyjnymi. Samochód z całą pewnością nie pochodził z wypożyczalni. Kiedy auto zniknęło z jego oczu, wszedł

do salonu i nalał sobie pełną szklankę wina. Usadowił się na biało-zielonej kanapie.

Przez chwilę siedział bez ruchu, po czym zatelefonował do Maggie. Bardzo długo nikt nie podnosił słuchawki. Gdy wreszcie Maggie się odezwała, jej głos zdał się Johnowi bardzo ostrożny, czujny.

- Możesz swobodnie rozmawiać? - zapytał.

- Nie bardzo. Moja siostra jest tutaj.

- Posłuchaj więc. Była u mnie kobieta o nazwisku Sara Lake. Pracuje dla jakiejś korporacji na Florydzie, produkującej systemy naprowadzania pocisków na cel czy coś takiego, próbowała mnie namówić, żebym na jakiś czas wyjechał na Florydę i odszukał

jakiegoś naukowca.

- Co takiego?

Gdy John wszystko powoli powtórzył, Maggie odezwała się:

- Floryda? Chyba tam nie pojedziesz?

- Oczywiście, że nie.

- Danny jest zagrzebany w robocie po uszy. Nie wiem, co by począł, gdybyś teraz wyjechał.

- Hej, przecież nie pojechałbym tam za żadne pieniądze, mimo że sporo mi ich oferowała. Za bardzo bym za tobą tęsknił.

- Może jeszcze dzisiaj wpadnę do ciebie. Powiedzmy, o jedenastej.

- Co Danny robi w nocy?

- Będzie sprawdzał księgi rachunkowe Killian Industries za ostatnie sześć lat.

Zajmie mu to sporo czasu.

- Rozumiem. Nie zazdroszczę mu tej roboty.

- John - powiedziała Maggie. - Zobaczymy się później. - Po czym dodała bardzo łagodnym, ciepłym głosem: - Kocham cię, John.

- I ja ciebie też - odparł i odłożył słuchawkę.

Czekając na nią, włączył komputer i zaczął szukać informacji o Hoshi International i MiGR8. Hoshi założono w 1968 roku jako małą fabryczkę w Hiroszynie, produkującą tanie radia tranzystorowe. Jednak w 1974 roku firma niespodziewanie zaczęła konstruować systemy nawigacyjne. Udało jej się nawet uzyskać siedem dużych kontraktów od korporacji amerykańskich.

W październiku 1995 roku Hoshi ogłosiło zakończenie badań nad MiGR8, systemem naprowadzania, który miał zrewolucjonizować wszystko, co do tej pory wymyślono w tym zakresie. MiGR8 opierał się na kodach genetycznych migrujących ptaków, wykorzystując przy tym w bardzo przemyślny sposób pole magnetyczne Ziemi.

Prawdziwe siatkówki z ptasich oczu miały w tym systemie działać jako sekstanty. Z

chwilą wprowadzenia MiGR8 do użytku duże pociski międzykontynentalne miałyby szansę latać w taki sam sposób, jak inteligentne, odbierające bodźce z zewnątrz stworzenia.

I stałoby się tak, gdyby profesor „Przeklęty Głupiec” zdążył Pokazać zainteresowanym, w jaki sposób podłączyć system do pocisków. Jeśli w ogóle takie połączenie było możliwe. Z każdym bowiem dniem daremnych wysiłków coraz wyraźniej narzucał się wniosek, że pan Broussard wydał osiemset siedemdziesiąt osiem milionów dolarów na wynalazek, którego nie potrafił rozgryźć nikt spośród zatrudnionych przez niego ludzi.

Im więcej John czytał o profesorze „przeklętym głupcu”, tym bardziej zaczynała go ta postać intrygować. Według Hoshi został zatrudniony przez tę firmę we wrześniu 1973 roku w charakterze „doradcy do spraw systemów naprowadzających”, z roczną pensją w wysokości dwadzieścia siedem tysięcy trzysta pięćdziesiąt dolarów. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Stratford Hering i był absolwentem Massachusetts Institute of Technology; uczelnię tę ukończył z wyróżnieniem. A jednak gdy John przejrzał nazwiska wszystkich absolwentów MIT z ostatnich trzydziestu lat, jedyną osobą o nazwisku Hering okazała się niejaka Janice, która z miernymi ocenami uzyskała absolutorium w roku 1982. A więc nawet „prawdziwe” nazwisko profesora nie było prawdziwe.

John wyprostował się na krześle. Jego zainteresowanie wzrosło, ale jeszcze nie na tyle, by się zdecydował polecieć na Florydę. Znał swoją pracę zbyt dobrze, by ryzykować poszukiwania profesora. Mimo sukcesów, które odniósł, poszukując Dietera Waxmana i kilku innych przestępców, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli ktoś bardzo nie chce zostać odnalezionym, w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto nie odnajduje się go. Przecież stracił aż jedenaście miesięcy na zlokalizowanie miejsca pobytu Waxmana. I prawdopodobnie straciłby całe lata na poszukiwanie starszego człowieka o inteligencji tak wybitnej, że potrafił sprawić, iż pociski

międzykontynentalne mogą latać w taki sam sposób jak gołębie pocztowe.

Nie, John nie chciał nigdzie wyjeżdżać. Przecież mieszkał wygodnie w San Francisco i doskonale się tutaj czuł. Poza tym nie chciał stracić Maggie, mimo że była żoną innego mężczyzny. Oprócz tego przecież odwiedzał Jamie, dwa albo trzy razy w tygodniu. To była jego pokuta: wystawanie nad błękitnym materacem ułożonym na podłodze i przyglądanie się dziecku, które z powodu jego głupoty stało się kaleką na całe życie: bezwładnymi mięśniami i kośćmi oraz umysłem, do którego wnętrza nikt nie potrafił przeniknąć. Jamie, czy kiedykolwiek marzysz o tym, jak szczęśliwe mogłoby być twoje życie? A może w twoim mózgu nie są w stanie powstawać żadne marzenia?

Wciąż tkwił przed komputerem, gdy usłyszał pukanie do drzwi. To była Maggie.

Otworzył jej i gestem wskazał, by weszła do środka. Przeszedłszy kilka kroków, Maggie kilkakrotnie mocno wciągnęła nosem powietrze, po czym oznajmiła:

- Czuję zapach perfum. Poison, o ile się nie mylę.

- Dobra robota, Holmesie. To perfumy tej kobiety z Broussard International.

- To taka wymówka, co? Śmierdzi tutaj tak, jakbyś przed chwilą skończył obracać ze czterdzieści dziwek.

John roześmiał się, przyciągnął Maggie do siebie i pocałował ją. Maggie Scarbeary była kobietą, którą powinien był poślubić zamiast Lorny. To, że była już żoną Danny'ego Scarbeary, jego pracodawcy i jednego z najstarszych przyjaciół, nie czyniło życia Johna łatwym.

Maggie była drobną blondynką, szczupłą i niską, wyglądała bardzo młodo, mimo że w rzeczywistości była aż o trzy lata starsza od Johna. Miała drobne piersi, „malutkie słodziutki cycuszki”, jak je nazywał. Ale miała zarazem ogromny temperament i była bardzo inteligentna. Twierdziła nawet, że rozumie „Krótką historię czasu”, a przynajmniej większą część tej książki.

Ich romans trwał w absolutnym sekrecie już od czterech lat. Oboje przy tym uwielbiali Danny'ego i zdając sobie sprawę ze swej hipokryzji, za nic w świecie nie chcieli go ranić. Lorna dowiedziała się o ich związku zupełnym przypadkiem; stan zdrowia Jamiego gwałtownie się pogorszył i z tego powodu pojawiła się w apartamencie Johna w środku nocy. Nigdy o niczym nie powiedziała Danny'emu.

Czuła, że jej przewaga nad byłym mężem polega na tym, iż ta możliwość ciąży nad nim niczym miecz Damoklesa, a on to rozumiał. Bez słowa sprzeciwu wypłacał jej czasami spore pieniądze. Do tej pory ją to zadowalało.

John nalał Maggie szklanekę wina.

- Nie mogłem opowiedzieć ci wszystkiego przez telefon - stwierdził. - Ta Sara Lake wie o nas. Niestety, zanim się u mnie pojawiła, odrobiła pracę domową. W

każdym razie rozmawiała z Lorną.

- A więc wie. No i co dalej?

- Trudno odgadnąć. Powiedziała, że jest to karta, którą nie chciałaby grać. Ale skoro tak, to dlaczego o niej wspomniała?

- Chyba rzeczywiście bardzo cię potrzebuje.

- Na to wygląda. Jest gotowa zapłacić mi trzysta tysięcy plus koszty tylko za to, że zlokalizuję jednego faceta.

- Ale ty chyba nie masz na to ochoty, prawda?

- Sam już nie wiem. Chryste, to w końcu duża forsa. Ale coś tutaj nie gra. Jeżeli ta Sara Lake mówiła mi prawdę, facet jest praktycznie geniuszem. Przecież wszystko na to wskazuje, że on sam zrewolucjonizował całą potężną i skomplikowaną gałąź przemysłu zbrojeniowego. Mógłby być miliarderem, gdyby chciał współpracować z Broussard Guidance. A jednak postanowił zniknąć. Dlaczego?

- Jakiś ekscentryk?

- Być może. Ale ta kobieta powiedziała mi, że szuka go także ktoś inny; organizacja, której zależy na jego śmierci. Nie wiem, czy wierzyć jej, czy nie.

- Zdawało mi się, że potrafisz się zorientować, czy ktoś mówi prawdę, zaledwie spojrzawszy mu w oczy. Szczególnie wtedy, gdy tym kimś jest kobieta.

- Tej damy to nie dotyczy. Jest nieprzenikniona. Patrzysz jej w oczy, a widzisz w nich tylko odbicie swoich własnych.

Maggie ujęła go za rękę.

- Mam nadzieję, że się w niej nie zadurzyłeś - powiedziała. John delikatnie pocałował ją w policzek.

- Martwię się jedynie tym, że ona pójdzie do Danny'ego i powie mu o nas dlatego tylko, żebym pojechał z nią na Florydę.

Maggie dotknęła dłonią jego twarzy.

- Nienawidzę Florydy. Kojarzy mi się z bezmyślnymi, opalonymi wczasowiczami, facetami grającymi w golfa i starymi babami. Wydaje mi się, że tam ciągle śmierdzi.

Po chwili milczenia John odezwał się:

- Maggie, zdajesz sobie sprawę, jak delikatna jest sytuacja Jamiego. Jeżeli cokolwiek się z nim stanie, a mnie tam nie będzie... Rozumiesz, że jeśli mam go stracić, chcę być wówczas przy nim, trzymając go za rękę. Nie mam zamiaru przebywać wówczas tysiące kilometrów stąd i akurat podglądać kogoś przez okno.

Maggie ciężko westchnęła.

- Wszystko dobrze się ułoży, John, damy sobie z tym radę. Mam nadzieję, że ta twoja Sara Lake szybko zniknie z pola widzenia.

- Oby.

- A jeśli chodzi o Jamiego...

- Najgorsze jest to, że ja pragnę, aby umarł. Nie mogę znieść świadomości, że on tam leży bezradny z mojego powodu, przez moją głupotę.

Maggie pocałowała go.

- Nie załamuj się, John. Jamie wyzdrowieje, zobaczysz. John milczał przez chwilę, po czym otarł rękawem łzę. - Wiem, że nie mogę się poddać. Życie toczy się dalej, prawda?

Została u niego do drugiej nad ranem. Przez okna zaglądała do sypialni księżyc, była pełnia, więc łóżko tonęło w srebrzystej poświacie. Leżała na pościeli naga i drobna, miała figurę tancerki, a gdy się z nią kochał, zdawało się, że w każdej chwili może ją pokruszyć. Dlatego w pewnej chwili zsunął się z niej, padł na plecy i wtedy ona usiadła na niego. Poruszała się do góry i w dół. Jej plecy wygięte były w łuk, włosy lśniły, a w oczach błyszczały łzy.

Danny zaprowadził go do małej kawiarenki na rogu. Poranek był pogodny, słoneczny. Zamówił kawę capuccino i lody, po czym przez pewien czas siedzieli w milczeniu.

Danny Scarbeary robił już w życiu tyle rzeczy, że trudno mu było wszystko spamiętać. W college'u był gwiazdą footballu. Służył w piechocie morskiej. Pracował

jako policjant i instruktor wychowania fizycznego. Był niski, muskularny, głowę miał

trochę zbyt dużą w stosunku do reszty ciała. Jako detektyw zwalczający szpiegostwo przemysłowe był doskonały: zawsze logiczny, charakteryzujący się samodyscypliną i niemal perfekcyjnym opanowaniem. Znał wartość rynkową prawie wszystkich towarów znajdujących się w obrocie, od zaawansowanych programów komputerowych do dziecięcych zabawek. Wiedza ta pozwalała mu czasami z wyprzedzeniem odgadywać planowane kradzieże własności intelektualnej i patentów. Często z powodzeniem typował potencjalnych złodziei.

Danny zamieszał łyżeczką capuccino.

- Od jak dawna dla mnie pracujesz? - zapytał Johna.

- Od sześciu lat - odparł ostrożnie.

- I jesteś zadowolony?

- Co takiego?

- Czy jesteś zadowolony? Czy podoba ci się praca u mnie?

- Wiesz, że tak.

- A więc nie żałujesz tych lat?

John zamilkł. Czuł, co się zbliża, wiedział, że niewielka jest szansa, by w tej chwili się mylił. Tak, przeklęta Sara Lake...

A więc już rozmawiała z Dannym. Nie dała Johnowi żadnej szansy.

Danny zbierał wiórki czekoladowe z brzegów filiżanki. Słońce oświetlało mu twarz i John nagle pomyślał, że jego przyjaciel ma twarz dziecka, bardzo dojrzałego dziecka.

- Posłuchaj - odezwał się Danny. - Nie jestem głupcem. Wiem o tobie i o Maggie od samego początku. Mój zawód polega na tym, że o takich rzeczach dowiaduję się natychmiast. Jeżeli potrafię wykryć, że prezes Sunset Hotels ma romans ze swoją szwagierką w Santa Barbara, a naczelną redaktorka „San Francisco Woman” regularnie pieprzy się ze swoim kierowcą, to myślisz, że nie potrafię dowiedzieć się, że mój przyjaciel i zastępca pieprzy moją własną żonę? Człowieku, zastanów się tylko nad tym, na co ty liczyłeś?

John milczał. Dopiero po długiej chwili westchnął z rezygnacją i wystękał:

- Cholera jasna, Danny. Bardzo mi przykro.

- Przykro ci! Posuwasz moją żonę od ponad czterech lat! Gdyby ci było przykro, sam któregoś dnia byś przestał! Ale nic z tego, cieszyła cię każda minuta, każda sekunda tego związku, i ją tak samo... Zanim ty pierwszy mi to powiesz, ja powiem za ciebie: oboje mnie lubicie, szanujecie, i dlatego przez cały czas staracie się, aby wszystko ukryć, to dlatego Maggie ode mnie nie odeszła i dlatego ty ani razu nie próbowałeś jej do tego namówić.

Nigdy w życiu John nie czuł się tak paskudnie jak w tej chwili. Był w stanie jedynie gapić się na filiżankę i milczeć.

- Początkowo byłem wkurzony - mówił tymczasem Danny - ale potem nauczyłem się żyć ze świadomością tego świństwa, które oboje mi robicie. Wiesz dlaczego? Bo nie chciałem żadnego z was stracić. Mówiłem sobie: ale przynajmniej nikt o tym nie wie. I dopóki tak właśnie było, niczego nie zmieniałem. Byłem rogaszem, ale przynajmniej nie obwieszczał tego każdy billboard na Union Square. Niestety, wczoraj wieczorem przyszła do mnie jakaś kobieta i wszystko mi opowiedziała. Jakaś obca osoba wiedziała, że Maggie i ty regularnie się pieprzycie. Zastanawiałem się, co bardziej mnie poniży: stwierdzenie, że o niczym nie wiem, czy też przyznanie, iż jej opowieść nie stanowi dla mnie żadnej nowości. - W oczach Danny'ego błyszczały łzy. - Ta kobieta powiedziała, że ma dla ciebie pracę na Florydzie. Zapewniłem ją, że przyjmiesz zlecenie. Tutaj nie ma dla ciebie zajęcia.

John pokiwał głową. Bał się, że za chwilę sam się rozplacze.

- Przykro mi, że to wszystko tak się skończyło - powiedział.

Danny odchrząknął i wzruszył ramionami.

- Podobne rzeczy zawsze tak się kończą.

John wstał i położył dłoń na ramieniu Danny'ego. Ten natychmiast ją strząsnął.

- A więc, do widzenia - mruknął John i wyszedł na ulicę, Na stoliku pozostała nie dopita kawa i nietknięta nawet porcja lodów.

Gdy znalazł się w mieszkaniu, automatyczna sekretarka przekazała mu wiadomość nagraną przez Sarę Lake.

„Panie Huntley, jak się pan miewa? Spotkajmy się na lotnisku o ósmej, przy stanowisku odpraw American Airlines. Nie musi pan zabierać ze sobą zbyt wielu rzeczy. Kilka koszul, spodnie, spodenki kąpielowe zupełnie wystarczą. Do zobaczenia”.

Rozejrzał się dookoła. Nie miał tu już wiele do zrobienia. Teraz, gdy Danny wszystko wiedział, mógł powiedzieć Sarze Lake, żeby się odczepiła. Ale przecież oferowała mu spore pieniądze i pracę, której w najbliższym czasie w San Francisco by nie znalazł. Cóż... w tej chwili nie był panem swojego losu. Pozostawało mu już tylko znaleźć opiekuna dla Moliera.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Do Cocoa Beach dotarli w nieprawdopodobnej ulewie. Na asfalcie zalegała potężna warstwa wody, a deszcz bił w przednią szybę samochodu tak gęsto, że wycieraczki nie nadążały z jego zgarbianiem.

- Witamy w słonecznym stanie - powiedział czarny kierowca, głośno rechocząc.

Johnowi nie w smak były w tej chwili dowcipy. Czuł się niezbyt dobrze. Jego lot opóźnił się o dwie i pół godziny, a poza tym w ogóle nie mógł zasnąć. Nie smakowało mu jedzenie w samolocie: stek był zbyt twardy, a ciasto stare. Zainteresował go natomiast film wyświetlony dla pasażerów. Była to łzawa historia o mężczyźnie, który zakochał się w zamężnej kobiecie. Ku swemu zaskoczeniu John stwierdził, że po jego policzkach spływają powoli łzy; zmieształ się, gdy stwierdził, że zauważyła je również Sara.

Srebrny lincoln wjechał na parking przed Broussard Guidance Systems, budynkiem ze szkła i stali w kształcie prostopadłościanu ustawionego na najmniejszej ze swych ścianek. Do przylądka Canaveral było stąd niedaleko, wystarczyło przejechać zaledwie kilka kilometrów na północ autostradą A1A. Wyraźny czerwony napis na budynku głosił, że Broussard Guidance wiezie Amerykę w przestrzeń.

- Nie wiem, dlaczego to robię - powiedział John, kiedy otworzyły się przed nim automatyczne szklane drzwi i znalazł się w cudownie chłodnym, klimatyzowanym holu o błyszczących, marmurowych podłogach, przystrojonym potężnymi palmami. -

Przecież i tak rozpieprzyłaś całe moje życie.

- Postępujesz tak, jak postąpiłby każdy profesjonalista i patriota - odparła Sara. Jej obcasy przy

zetknięciu z marmurem wydawały odgłosy niczym kastaniety. - A poza tym nie próbuj mi wmawiać, że nie jesteś tym wszystkim choć w pewnym stopniu zaintrygowany. Szukanie zaginionych naukowców jest o wiele bardziej ekscytujące niż zastawianie pułapek na złodziei receptur i przepisów kulinarnych, nawet gdyby były nie wiadomo jak wyjątkowe.

- Pani Scarbeary była jeszcze bardziej wyjątkowa, możesz mi wierzyć.

Sara delikatnie uściśnęła jego rękę.

- Nie bądź zgorzkniały, proszę. Przecież nie możesz zachować takiej postawy do końca życia, prawda?

Podeszli do stolika ochroniarzy i Johnowi przypięto do koszuli emblemat z napisem „gość”.

- Przedstawię cię panu Broussardowi, a potem Michael odwiezie cię do hotelu.

Ponadto, zanim uczynimy jakikolwiek krok naprzód, będziesz musiał poddać się weryfikacji sprawdzającej i uzyskać piąty stopień wiarygodności, który upoważnia do wglądu w niektóre tajemnice, zastrzeżone w zasadzie tylko dla wysokich funkcjonariuszy rządowych... Och, nie martw się, my wiemy, że jesteś czysty, już zdążyliśmy cię dobrze sprawdzić. Ale Pentagon chce to jeszcze raz zrobić po swojemu.

Ludzie z Departamentu Obrony są bardzo podejrzliwi, jeśli w grę wchodzi tajne urządzenia techniczne najnowszej generacji.

Sara poprowadziła Johna do wind. Podeszli do tej, która oznaczona była znakiem

„Tylko dla personelu Biura Prezesa”. Sara wsunęła w otwór kartę magnetyczną i drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie. Podczas jazdy na siódme piętro John oglądał odbicia swoje i kobiety w oprawionych w brązowe ramy lustrach, zawieszonych na wszystkich ścianach kabiny.

- Ciągle zastanawiam się, co taka dziewczyna jak ty robi w tak cholernie męskim interesie, jak systemy naprowadzania pocisków międzykontynentalnych - odezwał się.

Posłała mu dziwny, słaby uśmiech z rodzaju tych, które odbierają pewność siebie każdemu mężczyźnie. John poczuł, że na moment na jego karku pojawiła się gęsia skórka.

- To kwestia władzy, John - powiedziała. - Tylko o to chodzi. Władza to jedyne, co mi imponuje. Zaawansowane technologie rzeczywiście mogą ci się wydawać sprawą wyłącznie męską, ale jeśli jest się mocno osadzonym w tym biznesie, ma się o wiele większą władzę niż politycy, jest się bogatszym od najbogatszych nafiarzy; to mnie podnieca. Muszę ci powiedzieć, że widzę w tej branży więcej seksu niż w najlepszej muzyce rockowej.

- Zdaje się, że wybrałem zły zawód.

- Pomyśl tylko o człowieku, którego masz odnaleźć - ciągnęła Sara. - Pomyśl, jaki musi mieć umysł, żeby stworzyć coś takiego jak MiGR8. Pomyśl, jaki mógłby mieć wpływ na życie innych ludzi.

Pomyśl o pieniądzach, jakie mógłby zarobić. -

Mimowolnie oblizła usta, zwilżając wargi tak, że aż zalśniły. - Jak sądzisz, dlaczego kobiety uwielbiają Stephena Hawkinga? Przecież nie dla jego ciała.

- Stephen Hawking się nie ukrywa. A nasz człowiek tak. Winda zatrzymała się i drzwi znów bezszelestnie się rozsunęły.

- Znajdziesz go - powiedziała Sara z pewnością w głosie. - Ja wiem, że go znajdziesz.

Biuro Gene Broussarda zajmowało więcej niż połowę siódmego piętra. Okna rozciągające się od podłogi do sufitów pozwalały spoglądać na autostradę A1A i dalej, aż na Atlantyk. Podłogi wyłożone były jaskrawoniebieskimi dywanami, a wszystkie meble z całą pewnością zaprojektowano specjalnie z myślą o tych wnętrzach.

Wyposażenie bowiem składało się z nieprawdopodobnie wielkich foteli i sof obitych białą skórą. Wszystkie stoły, stoliki i biurka wydawały się przy nich nadzwyczaj małe.

Gabinet Broussarda ozdobiony był dodatkowo trzema ogromnymi obrazami współczesnych abstrakcjonistów. John nie musiał patrzeć na podpisy, by odgadnąć, że ma do czynienia z dziełami Jaspera Johnsa, Allana D'Arcangela i Franza Kline. Każde z nich warte było co najmniej kilkanaście tysięcy dolarów.

Podszedł do okna i wyrztał na zewnątrz. Deszcz już ustawał, a lekki wietrzyk znad oceanu powoli rozwiewał czarne chmury. Na północy, nad Banana River, już się przejaśniło; zapewne nad Centrum Kosmicznym Kennedy'ego świeciło już słońce.

Ocean wciąż był szary i wzburzony, ale nawet z wysokości siódmego piętra można było dostrzec surferów zmierzających w kierunku plaż z deskami pod pachami. Zapewne prognozy pogody, podawane bezustannie przez wszystkie rozgłośnie radiowe, zachęciły ich do wyjścia.

John wciąż spoglądał przez okno, gdy do gabinetu wszedł Gene Broussard. Nie wiadomo dlaczego, John spodziewał się kogoś bardzo wysokiego. Tymczasem Gene Broussard miał najwyżej sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Podszedł prosto do Johna i ujął jego dłoń żelaznym niemal uściskiem. John nigdy nie lubił takich powitań; nie trzeba przecież nikomu miażdżyć ręki, żeby zapewnić go o przyjaznych zamiarach.

- John... Cieszę się, że pana tu widzę. Jak minął lot?

- Wystartowaliśmy. Wylądowaliśmy.

- Tak... - Gene pokiwał głową. - Proszę, niech pan usiądzie. Może się pan czegoś napije? Mam doskonałego burbona, creole coffee. Po długim locie dobrze panu zrobi.

Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na stoliku przy jednej ze sof i powiedział:

- Velma? Przynies nam burbona i kawę. I coś słodkiego. Wiesz, co lubię.

Wydawszy dyspozycję, rozsiadł się wygodnie, ze skrzyżowanymi nogami, i długo wpatrywał się w Johna. Mimo przyjaznego uśmiechu, który błąkał mu się na ustach, wnikliwe spojrzenie, jakim go obdarzył, wprowadziło Johna w zakłopotanie.

Gene Broussard miał bladą skórę, jakby celowo unikał słońca. Jego głowa była niemal doskonale okrągła. Miał proste, rzadkie włosy i zadziwiająco drobne uszy.

Wygięte w ostry łuk brwi nadawały jego twarzy wyraz ciągłego zdziwienia, niczym u francuskiego komedianta. Miał na sobie białe spodnie, białą koszulę i białą, dwurzędową marynarkę.

Milczenie trwało niemal dwie minuty, podczas których Broussard nie spuszczał wzroku z twarzy Johna. Wreszcie odezwał się:

- Chciałbym pana przeprosić za sposób, w jaki został pan zaproszony do współpracy z nami. Zachowaliśmy się niestosownie i nieetycznie. Wcale nie jestem pewien, czy kiedykolwiek zechce pan nam to wybaczyć.

- Stało się - mruknął John, powoli nabierał przekonania, że zapewne Sara miała rację, iż jego romans z Maggie nie mógł trwać bez końca. Nie mogli przecież bezustannie oszukiwać Danny'ego, trwać w zawieszeniu bez nadziei, że kiedykolwiek coś się zmieni w ich życiu. Może dlatego właśnie wydarzenia ostatnich dni okazały się dla niego mniejszą tragedią, niż mógłby się spodziewać. To Sara przecież zmusiła go w końcu do podjęcia męskiej decyzji, to dzięki niej przerwany został wreszcie krąg kłamstwa i zdrady. Niemal z ulgą John przyjmował to rozwiązanie. Trudna była jednak konieczność pożegnania się na bardzo długo z Jamiem.

Po chwili milczenia Gene Broussard postanowił kontynuować rozmowę.

- Zdaje się, że Sara opowiedziała panu już o naszych kontaktach z Hoshi International. Nie zdziwię się, jeśli uzna pan nas za głupców, którzy wydali osiemset siedemdziesiąt osiem milionów dolarów na coś, czego nie potrafią uruchomić. A jednak nie należy nikogo winić z tego powodu. Nasi naukowcy sami nie skonstruowaliby czegoś podobnego, a konkurencja od Hughesa wciąż deptała nam po piętach. Nie mieliśmy poza tym czasu do stracenia i postanowiliśmy uzyskać coś gotowego. Sam system jest nadzwyczajny, totalnie zadziwiający. Teoretycznie można dzięki niemu zaprogramować międzykontynentalną raketę w taki sposób, aby odszukała i unicestwiła pojedynczą osobę. Tak, jedną osobę! - Broussard uniósł do góry palec wskazujący. -

Wyobraża pan sobie, jak moglibyśmy tak zaprogramowany pocisk wykorzystać w Iraku? Saddam Hussajn usłyszałby za drzwiami jakiś hałas, otworzyłby je i... już go nie ma. Pocisk wystrzelony z okrętu podwodnego trafiłby go prosto pomiędzy oczy. -

Roześmiał się głośno z własnego dowcipu. - Prosto pomiędzy oczy! Prosto pomiędzy jego pieprzone oczy.

Do gabinetu weszła piersiasta dziewczyna w obcisłej karmazynowej sukience. Na srebrnej tacy wniosła filiżanki z gorącą kawą, a na srebrnym talerzyku słodkie ciasteczka.

- Widzisz tę młodą damę? - zapytał Gene Broussard z widocznym zadowoleniem w głosie. - Rozbierała się w Golden Feather Club. Pewnego dnia postanowiłem z nią porozmawiać i odkryłem, że jest bardzo, bardzo inteligentną osobą. Jej iloraz inteligencji wynosi 135, później to sprawdziłem. Zaoferowałem jej pracę w charakterze mojej osobistej sekretarki i oto jest tutaj. Genialnie planuje moje zajęcia.

- A w wolnych chwilach parzy kawę - zauważył John z przekąsem.

- A cóż jest zdrożnego w parzeniu kawy? - obruszył się Broussard. - Kiedy Velma jest zajęta, ja to robię. Drogi panie, uważam, że jednym z celów mojego życia jest danie szansy ludziom, których zatrudniam, wykazania wszystkich ich możliwości. Dobrze na tym wychodzę, zapewniam pana, John. Jednak nawet wtedy, gdy ktoś okaże się drugim Einsteinem, wcale nie oznacza to, że powinien zaniechać tak prozaicznych czynności, jak sprzątanie po sobie czy parzenie kawy.

Tymczasem do gabinetu wkroczyła Sara.

- Gene miał bardzo trudne dzieciństwo - powiedziała od drzwi, jakby chcąc wytłumaczyć Johnowi istotę poglądów szefa.

Broussard pociągnął łyk kawy i kontynuował swoje wystąpienie.

- Jeszcze nie został pan do końca sprawdzony przez naszych rządowych partnerów, jednak proszę mi wierzyć, że robimy wszystko, co w naszej mocy, aby nastąpiło to jak najszybciej. Na razie mogę panu powiedzieć, że Williama Cicero poszukuje sześciu naszych ludzi i o mały włos by go już doścignęli. Na razie zlokalizowaliśmy dom naszego zbiega, niestety trochę za późno. Cóż, musimy przyspieszyć nasze poszukiwania. Czas nas goni i jest to jedna z przyczyn, dla których właśnie pana zaangażowaliśmy.

- Skąd ten pośpiech? - zapytał John. - Wydaje mi się, że prace nad systemem kierowania muszą być długotrwałe i żmudne.

- Jasne. Zwykle tak jest. Tym razem jednak musimy się bardzo śpieszyć. Wkrótce rząd zredukuje federalny budżet na badania w naszej dziedzinie. A MiGR8 jest niemal trzykrotnie droższy od konwencjonalnych systemów. Jeżeli w ciągu najbliższych ośmiu tygodni nie wykażemy się sukcesami w jego wprowadzeniu, Departament Obrony najprawdopodobniej postawi przed nami szlaban. Byłaby to niepowetowana strata dla nas i dla całego kraju. Moglibyśmy wówczas powoli bawić się z MiGR8 i zainteresować nim co najwyżej handlowe towarzystwa lotnicze, nam tymczasem chodzi o wielkie kontrakty wojskowe.

- Czy zamierzacie zainstalować MiGR8 w jakichś konkretnych pociskach?

Gene uśmiechnął się.

- Na razie jest to tajna informacja, nie mogę jej panu ujawnić.

- Rozumiem, że odpowiedź brzmi „tak”.

- Niczego nie ma pan rozumieć. Po prostu znaleźć naszego uciekiniera. Otrzyma pan wszelkie środki, jakie mogą być potrzebne. Za chwilę Sara zaprowadzi pana do pańskiego gabinetu, który specjalnie przygotowaliśmy. Jest tam komputer i odrębna linia faksowa. W piwnicy czeka samochód. O dwunastej trzydzieści zje pan służbowy lunch ze swoimi dwoma współpracownikami. Przygotowali dla pana raport z własnych dotychczasowych poczynań. Mam nadzieję, że po rozmowie z nimi będzie pan wiedział, od czego zacząć.

John odstawił na stolik filiżankę z kawą.

- Jeszcze jedno pytanie.

Gene Broussard pochylił się ku niemu, jakby zachęcając go do wypowiedzenia kolejnych słów. - Tak?

- Co będzie, jeżeli odnajdę Williama Cicero, a on nie zechce pracować dla was?

- To już nie pańska sprawa. My się tym zajmujemy.

- Skąd ma pan pewność, że Cicero nie odmówi?

Gene spojrział z uśmiechem na Sarę, po czym znów popatrzył na Johna.

- Przecież pan także nam nie odmówił, prawda?

Było słoneczne i gorące przedpołudnie, gdy John wyjeżdżał z podziemnego garażu białym eldorado, dostarczonym mu przez Broussard Guidance Systems. Włączył radio i przez chwilę słuchał lokalnych wiadomości. Zniechęcony, wkrótce z tego zrezygnował.

Dojechał do Melbourne Beach, gdzie Sara wynajęła mu apartament w Breakers Hotel. Był to pretensjonalny, pomalowany na różowo budynek z lat pięćdziesiątych.

Jego wnętrze było tak samo pozbawione smaku jak mury. W holu szumiały sztuczne wodospady i niemal wszędzie stały wielkie, różowe fotele z trzciny. Ponury czarny chłopak hotelowy zataszczył bagaż Johna na szóste piętro.

- Czy ma pan może coś wspólnego z wyścigami? - zapytał.

- Nie, dlaczego?

- To takie moje hobby, odgadywanie zawodów ludzi, z którymi rozmawiam. -

Umilkł na chwilę, po czym rzucił kolejne pytanie: - A nie jest pan może księdzem?

- Nie, nie jestem księdzem. Dlaczego przyszły ci do głowy dwa tak przeciwstawne zawody?

- Ponieważ z jednej strony sprawia pan wrażenie człowieka, który lubi ryzyko, a z drugiej bije od pana jakieś uduchowanie.

Wprowadził Johna do apartamentu. Był ogromny, miał różowe ściany, zniszczony dywan, oczywiście różowy, a na środku sypialni stało łóżko królewskich rozmiarów, okryte różową narzutą. Łazienka wyłożona była białymi i różowymi kafelkami, a echo rozchodziło się w niej niczym w sali koncertowej. Znajdowało się tu tak wiele luster, że gdy John wszedł do środka, odniósł wrażenie, iż wraz z nim jest w łazience co najmniej pięć innych postaci.

Chłopak energicznie odsunął siatkowe firanki, aby ukazać Johnowi widok plaży i spienione fale, kończące swój żywot u wybrzeża Atlantyku.

- To prywatny odcinek plaży, proszę pana - powiedział. - Wyłącznie dla gości Breakers. Problem w tym, że wypoczywają u nas głównie starsi ludzie. Jeżeli chciałby pan spotkać naprawdę fajne dupeczki, musi pan przejść jakieś sto metrów na południe.

John dał mu banknot pięciodolarowy. W końcu i tak za nic innego nie musiał tutaj płacić.

- A skąd wiesz, że nie jestem pedałem? - zapytał. Chłopak nawet się nie uśmiechnął.

- Pedały zbierają się na plaży kilkadziesiąt metrów dalej - mruknął. Następnie podszedł do drzwi i je otworzył. W progu jeszcze się odwrócił. - Chyba pracuje pan w zakładzie pogrzebowym - powiedział i wreszcie sobie poszedł.

Rozpakował te kilka najniezbędniejszych rzeczy, o których pomyślał przed wyjazdem: krótkie spodenki, koszulki polo i lekkie sandały. Następnie w towarzystwie piątki swych lustrzanych odbić wziął prysznic. Gapił się to w jedno, to w drugie lustro, i próbował zrozumieć, kim właściwie jest i co tutaj robi. Nigdy dotąd w jego życiu nie zaszła nagle tak gwałtowna zmiana. Czuł się prawie tak, jakby niespodziewanie znalazł

się w zupełnie innym świecie.

Zadzwonił do Maggie, jednak w San Francisco był wczesny poranek i telefon przyjął Danny. John natychmiast, nie odzywając się, odłożył słuchawkę.

Padł na łóżko i spał dokładnie dwie godziny. Podczas długich godzin czuwania, gdy był początkującym detektywem, rozwinął w sobie umiejętność spania tak długo, jak to sobie postanawiał. Potrafił spać pięć minut albo dwadzieścia cztery godziny, zależnie od możliwości i potrzeb. Teraz, dokładnie w południe, wstał, ubrał się i wyszedł na balkon. Od oceanu wiał ciepły i słony wiatr, a wysoko nad powierzchnią wody unosiły się mewy, niemal nieruchome, z rozpostartymi skrzydłami, jakby zawieszane w powietrzu.

Wrócił do pokoju i jeszcze raz zatelefonował. Tym razem niemal natychmiast Maggie podniosła słuchawkę.

- Maggie? To ja.

- John? Gdzie jesteś?

- Na Florydzie, w takim małym kurorcie Melbourne Beach. Chciałem zadzwonić do ciebie jeszcze

przed wyjazdem, ale nie miałem czasu.

- A więc przyjąłeś ofertę tej kobiety?

- Kusiło mnie, żeby posłać ją gdzie pieprz rośnie, ale co by mi z tego przyszło?

- Zdaje się, że dzielnie znosisz swoją nową sytuację.

- Żartujesz? W samolocie pokazywali nam jakiś łzawy film i przez cały czas płakałem jak bóbr. - John... Będę bardzo za tobą tęskniła.

- Ja za tobą też. Jak się ma Danny?

- Wcale nie tak dobrze, jak mógłbyś przypuszczać. Sprawia wrażenie raczej nieszczęśliwego. Myślę, że tęskni za tobą tak samo jak ja.

- To musiało się stać pewnego dnia, Maggie.

- Wiem - odparła. Z trudem powstrzymywała łzy. - Nie przypuszczałam tylko, że ten dzień nadejdzie tak szybko.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas, wreszcie John powiedział Maggie, że ją kocha, i odłożył słuchawkę. Ciężko westchnąwszy, przypomniał sobie słowa O. Henry'ego:

„Życie składa się ze szlochów, westchnień i uśmiechów. Dominują westchnienia”*

[przyp.: O. Henry (właśc. Porter William Sydney) - pisarz amerykański (przyp. tłum.).].

Wyciągnął z szafy płócienną beżową marynarkę i udał się na spotkanie z ludźmi Gene Broussarda.

Wybrali „The Blue Pelican”, niewielką restauracyjkę znajdującą się zaledwie o dwie minuty jazdy od jego hotelu. Zaparkował pod wielkim symbolem pelikana mrużącego oko i wskazującego, że właśnie w tym miejscu powinni zostawiać swe samochody goście restauracji. Wewnątrz panował półmrok, a klimatyzacja sprawiała, iż goście mieli wrażenie, że znajdują się raczej na Alasce, a nie na Florydzie. John wypowiedział słowo „Broussard” i drobna jasnowłosa kelnerka w krótkiej niebieskiej sukience poprowadziła go do stolika w narożniku sali.

Ludzie Broussarda już na niego czekali, pochyleni konspiracyjnie i rozmawiający półgłosem. Kiedy John przystanął nad nimi, nie wstali i nie wyciągnęli dłoni na powitanie. John więc po prostu usiadł pomiędzy nimi i wtedy kelnerka zapytała go, czy się czegoś napije.

Popatrzył na szklanki dwóch osobników. Mogła w nich być zarówno wódka z tonikiem, jak i 7-Up. Zaryzykował i poprosił o „krwawą Mary”.

- Nie będę udawał, że jesteśmy zadowoleni z tej sytuacji, panie Huntley - odezwał

się jeden z mężczyzn. - Sami jesteśmy bliscy schwytania Williama Cicero. Nowy człowiek w ekipie

nie ułatwia nam więc zadania, a może tylko przeszkadzać.

Johna zadziwił jego głos: był łagodny, kulturalny i wyraźnie kontrastował z obscurnym wyglądem mężczyzny.

- Cóż - powiedział John z westchnieniem. - To nie moja decyzja. Chętnie siedziałbym sobie teraz w San Francisco i łapał szpiegów przemysłowych. Skoro jednak już tutaj jestem, ustalmy: ani mnie, ani wam nie podoba się sytuacja, w której, się znaleźliśmy, a jednak musimy współpracować, i to najlepiej, jak potrafimy. W końcu im szybciej znajdziemy tego faceta, tym szybciej dostaniemy naszą forszę i się rozejdziemy.

- Należymy do stałej służby ochrony pana Broussarda - odparł ten sam mężczyzna, który mówił poprzednio. John zauważył, że jest trochę zbyt pulchny i okrągły na twarzy.

- Rozumiem. Przystąpmy więc do rzeczy.

Pulchny zaczął wyjaśniać, w jaki sposób uzyskali z całego świata wycinki prasowe z artykułami choć w minimalnym stopniu nawiązującymi do tematu systemów naprowadzania. Potem powiedział, jak znaleźli Williama Cicero: najpierw przeczytali to nazwisko w specjalistycznym periodyku, a następnie natknęli się na nie w komputerze wypożyczalni samochodów mercedesa.

- Adres, który facet tam podał, był fałszywy. A jednak musiał się posłużyć autentycznym kontem bankowym - w First Florida Bank, w oddziale w St Cloud niedaleko supermarketu Winn-Dixie. Czekaliśmy tam na niego sześć i pół tygodnia i wreszcie, dwa dni temu, niespodziewanie się pojawił. Nasi ludzie zatrzymali go, powiedzieli, kim są i czego chcą. Jak się spodziewaliśmy, William Cicero stawiał opór.

Wywiązała się szamotanina i niespodziewanie jakiś lokalny bohater postanowił odegrać rolę Supermana i wmieszał się do niej. Efektem był poważny wypadek samochodowy.

Obaj nasi ludzie zostali ranni, a Cicero uciekł razem ze swoim supermanem. - Zdaje się, że zlokalizowaliście jego dom - zauważył John. Pojawiła się kelnerka z jego „krwawą Mary”, przez chwilę więc w milczeniu sączył trunek przez słomkę.

- Superman nam powiedział po zastosowaniu lekkich środków perswazji, naprawdę lekkich, nic złego mu się nie stało. Jednak gdy przybyliśmy pod wskazany adres, Cicera już tam nie było. Zastaliśmy jedynie jego służącą, czy kimkolwiek była ta kobieta.

John wyciągnął długopis i zaczął notować na serwetce. - Chciałbym z nią porozmawiać - oznajmił.

- To może być trudne. Kiedy włamaliśmy się do domu, znaleźliśmy ją leżącą martwą w holu.

- I nic, co mogłoby wyjaśnić przyczynę jej śmierci - odezwał się wreszcie drugi mężczyzna, Kubańczyk. Był w purpurowej marynarce, białych płóciennych spodniach i białych dziecięcych trampkach. Na stopach nie miał skarpetek.

- Nie miała żadnych ran, złamań? Żadnych śladów dookoła szyi? Śladów po działaniu trucizny?

Kubańczyk potrząsnął przecząco głową.

- Gdzie ona teraz jest? - zapytał John. - Jej ciało?

- Oczywiście.

- Zabraliśmy je do bezpiecznej kostnicy. Nie chcielibyśmy, żeby wmieszały się do wszystkiego gliny.

- Czy w domu znajdowało się cokolwiek, co mogłoby wskazać, dokąd uciekł

Cicero?

Tym razem to pulchny potrząsnął głową.

- Znaleźliśmy najprzeróżniejsze przedmioty ze wszystkich stron świata: z Europy, Afryki, Japonii... Również pocztówki z kilkudziesięciu krajów. Początkowo myśleliśmy, że Cicero je kolekcjonował, bo adresowane były do różnych ludzi. Dopiero po uważnym zastanowieniu doszliśmy do wniosku, że wszystkie napisano do niego. Ten facet ma więcej nazwisk, niż znajduje się w książce telefonicznej.

- Czy miał komputer?

- Jasne. Wymazał jednak wszystkie dane, zanim się tam zjawiliśmy. Dosłownie wszystko. Chyba był przygotowany, że będzie musiał szybko uciekać. Zostawił jedynie jakiś szyfr; przepisałem go: „A równa się x plus y plus z”.

- Hmm... - mruknął John. - Chyba jednak zacznę od obejrzenia tego domu. Czy macie klucz?

- Główne drzwi zabezpieczone są jakimś kodem cyfrowym. Nie potrafiliśmy go złamać, rozpieprzyliśmy więc zamek w drzwiach kuchennych i zastąpiliśmy go własnym. Oto klucz. - Przez chwilę grzebał po kieszeniach, wreszcie wyciągnął w kierunku Johna dłoń z kluczem. - Niech pan go nie zgubi. Nigdy nie otrzyma pan kopii; to tajny wzór.

Na moment urwali rozmowę, zjawiała się bowiem kelnerka i przyjęła ich zamówienia. Pulchny poprosił o kilka potraw mięsnych; sprawiał wrażenie człowieka, który zawsze jest głodny. John ograniczył swoje zamówienie do fajitas, a Kubańczyk zażądał sałatki z kozim serem i zielonym pieprzem.

Kiedy kelnerka odeszła, pulchny kontynuował:

- To niewiarygodne, jak ten facet potrafił przez tyle lat zmylić wszystkich, którzy go poszukiwali. W tym czasie pisał książki i artykuły naukowe na wszelkie możliwe tematy, publikował je na prawo i na lewo. Posiada ten wielki dom. Nie wiem, jak długo w nim mieszkał. Nikt na niego nawet nie zwrócił uwagi.

- Sąsiedzi...?

- Summerland Avenue nie jest okolicą, w której sąsiedzi zapoznają się wzajemnie, rozmawiając

przez płot. Dom po zachodniej stronie posiadłości naszego ptaszka należy do gościa, który zbił fortunę na plastikowych opakowaniach. Po stronie wschodniej mieszka zamożna wdowa; jest już stara i pieprzy bez sensu.

- Ale przecież mimo wszystko Winter Park jest miejscowością bardzo hermetyczną. Nowi ludzie pojawiają się rzadko.

- To nie ma nic do rzeczy. Wszyscy szanują tam swoją prywatność. Raczej izolują się jedni od drugich, niż nawiązują znajomości. W końcu osiedlają się tam przede wszystkim dla świętego spokoju.

- Czy rozmawialiście już z burmistrzem miasta?

- Rozmawialiśmy już ze wszystkimi... Od pani burmistrz osobiście do psa doręczyciela listów. Kilkoro ludzi widywało Williama Cicero. Wszyscy jednak zgodnie stwierdzili, że wiodł bardzo spokojne życie i cenił sobie odosobnienie.

- Czy jest możliwe, że wyjechał z kraju?

- Z tym facetem wszystko jest możliwe.

Powróciła kelnerka z jedzeniem. Niestety, podając pulchnemu jedną z licznych zamówionych przez niego potraw, strąciła łokciem szklankę z „krwawą Mary” na kolana Johna.

- Och, bardzo pana przepraszam! - zawołała. Zmieszana i zaczerwieniona, próbowała zlikwidować plamy za pomocą papierowej serwetki. - Mam nadzieję, że da się sprać.

- Wszystko w porządku - powiedział John. - Pójdę do toalety i spróbuję to sprać zimną wodą.

Podniósł się i ruszył pomiędzy stolikami. Znalazłszy toaletę, wyczyścił spodnie najlepiej, jak potrafił, a przy okazji poprawił uczesanie. Gdy otwierał drzwi, zauważył

dwóch mężczyzn w szarych marynarkach, zmierzających przez salę w kierunku stolika, przy którym przed chwilą siedział. Kiedy tam doszli, pulchny podniósł głowę i z całkowitym spokojem odezwał się do nich, jakby ich dobrze znał.

Instynkt czy raczej przecucie nakazało Johnowi się cofnąć. Przez nie domknięte drzwi zaczął uważnie obserwować salę restauracyjną. Nie spodobał mu się przede wszystkim ubiór mężczyzn. Ich chód, rozkołysany, ale zarazem równy, wydał mu się złowieszczy. Na cholerę potrzebne im były grube, dokładnie zapięte, szare marynarki w słoneczny, letni dzień w samym sercu Florydy?

John zauważył, że pulchny wzrusza ramionami. Kubańczyk spróbował wstać, jednak jeden z mężczyzn położył ciężką dłoń na jego ramieniu i zmusił go, by siedział.

Drugi odwrócił się, jakby wypatrywał powrotu Johna.

Niespodziewanie przy drzwiach pojawiła się kelnerka.

- Och, jak to dobrze - zaszczębiotała. - Widzę, że doskonale poradził pan sobie z plamą. Jeszcze raz przepraszam za moją niezręczność. Przyniosę panu nowego drinka.

Na koszt firmy oczywiście. Niech pan wróci do stolika.

John uśmiechnął się do niej i pokiwał głową. Postanowił skorzystać z jej rady; to przecież paranoja wietrzyć wszędzie niebezpieczeństwo. Te dwa typki z pewnością nie stanowiły zagrożenia. Właśnie ruszał na salę, gdy zauważył, że jeden z nich odpina marynarkę. Prawą ręką! John często nosił przy sobie ukrytą broń, jednak nigdy nie trzymał jej w olstrze pod ramieniem; wszyscy mężczyźni rozpinają marynarki lewą ręką i czynienie tego inaczej było dla potencjalnego przeciwnika nieomylnym sygnałem, że właśnie zamierza się sięgnąć do olstra. Spostrzegłszy więc nietypowy ruch mężczyzny stojącego przy stoliku, John instynktownie się cofnął, niemal wpadając na kelnerkę, która niosła dla niego nową porcję „krwawej Mary”.

- Hej! - kelnerka roześmiała się. - Widzę, że koniecznie chce pan wyjść od nas upaprany sokiem pomidorowym!

W tej samej chwili mężczyźni wyciągnęli spod marynarek rewolwery o długich lufach. Pulchny skulił się w sobie i wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał zasłonić się przed kulą, jednak niczego mu to już nie dało. Rozległ się krótki, ostry trzask i w jego czole pojawiła się mała, okrągła dziura. Siłą bezwładu poleciał do tyłu i padł na podłogę razem z krzesłem. Kubańczyk odwrócił wzrok od napastników, jakby nie chciał

widzieć swojej własnej egzekucji. Nastąpił drugi trzask i część jego mózgu znalazła się na restauracyjnym oknie.

Nie śpiesząc się, mężczyźni schowali rewolwery do olstrów, pozapinali marynarki, i dopiero wtedy ruszyli w kierunku wyjścia. Minęli Johna zaledwie o kilka stóp; na szczęście żaden z nich nie rozglądał się ani na lewo, ani na prawo. Obaj byli niemal identycznego wzrostu, mniej więcej po sto dziewięćdziesiąt centymetrów, mieli krótkie włosy i bezmyślne, tępe twarze ludzi, którzy na zawołanie potrafią zniknąć w tłumie.

Przez krótką chwilę w restauracji trwała pełna zaskoczenia cisza; słychać było jedynie orkiestrową wersję Moon River, dobiegającą z głośników. Pulchny leżał na plecach, w powiększającej się z każdą chwilą kałuży krwi. Głowa Kubańczyka spoczywała w jego talerzu; z szeroko otwartymi oczyma z niedowierzaniem wpatrywał

się po śmierci w sałatkę, którą przed chwilą zamówił.

Wreszcie pisnęła któraś z kobiet, jakiś mężczyzna zawołał „Mój Boże” i nagle w całej restauracji zapanował nieopisany chaos. Wszyscy zaczęli jednocześnie odsuwać krzesła od stolików, matki przyciągały do siebie dzieci, gromada restauracyjnych gości w jednej chwili napała na jedyne znajdujące się tu, wąskie drzwi. John stał w miejscu i przyszło mu do głowy, że tłum szybko ulega panice i reaguje bardzo nielogicznie.

Przecież ani pulchny, ani Kubańczyk nie byli w stanie wyrządzić już nikomu żadnej krzywdy.

Nieprawdopodobne było też, że powróci którykolwiek z zabójców. Zresztą wszyscy zamierzali uciekać właśnie w tym kierunku, jaki z konieczności obrali również dwaj mordercy.

John odczekał, aż restauracja była niemal pusta. Kierownik właśnie telefonował po policję, kelnerka siedziała na krześle, blada i drżąca. Na zewnątrz tworzyło się zbiegowisko; ludzie przed wejściem przypominali osy latające przed ulem.

Rozważywszy sytuację, John spokojnie, powolnym krokiem, opuścił „The Blue Pelican” i ruszył w kierunku restauracyjnego parkingu.

Słońce wczesnego popołudnia oślepiło go niczym halogenowa lampa.

Przez całe lata uczył się, jak się poruszać, by nie zwracać na siebie uwagi. Była to umiejętność tak cenna, jak umiejętność walki w stylu kung-fu czy karate. John potrafił

przebyć całe miasto powolnym krokiem w taki sposób, że nikt by nie zapamiętał jego przejścia. Mógł przejść przez wioskę lub małe osiedle tak, że nie zaszczekałby żaden pies. Stosował prostą zasadę: „Nie daj żadnego powodu, by na ciebie spojrzano, a będziesz niewidzialny”. Tym razem niczym duch przebrnął przez zbiegowisko ciekawskich. Właśnie nadjeżdżały policyjne samochody, z piskiem opon hamowały przed drzwiami restauracji.

John dotarł do eldorado i w chwili, kiedy miał wsunąć kluczyk w drzwiczki samochodu, zrozumiał, że popełnił błąd. Przecież mężczyźni w marynarkach co chwilę zerkali w restauracji ku wejściu. Musieli doskonale się orientować, że pulchny i Kubańczyk kogoś oczekują, kogoś, kto ma wkrótce do nich dołączyć. Nie mogli jednak wiedzieć, jak ten ktoś wygląda - gdyby wiedzieli, nie przeszliby obok Johna, jakby w ogóle nie istniał. A tak właśnie zrobili, wycofując się z restauracji. Dlaczego więc w ogóle tam weszli? Dlaczego sądzili, że on znajduje się w środku?

Albo ktoś im go nadał, albo po prostu wiedzieli, jakim jeździ samochodem, a auto było przecież zaparkowane na restauracyjnym parkingu.

John schował kluczyki do kieszeni i minął eldorado, jakby widział ten samochód po raz pierwszy w życiu. Przeształ przez niski, błękitny mur otaczający parking i przeszedłszy na chodnik, wmieszał się w grupę przechodniów. Zatrzymał się dopiero przed przejściem dla pieszych, gdy zapaliło się czerwone światło. Stał w nonszalanckiej pozie, z ręką w kieszeni, niczym człowiek, który ma mnóstwo czasu i żadnych problemów. Ruszył, kiedy rozbłysło zielone światło. Za jego plecami, przed restauracją, gęstniał tłum. Pojawiało się coraz więcej policyjnych samochodów, na miejscu znalazł

się już wóz transmisyjny stacji telewizyjnej. Dopiero będąc po drugiej stronie jezdni, John odwrócił głowę. Do tej pory nie miał najmniejszego pojęcia, czy zabójcy podążają za nim, czy nie.

To, co dostrzegł, momentalnie wzmogło jego czujność. Szedł za nim tylko jeden z mężczyzn. Oznaczało to, że drugi udał się do ich samochodu i ma zamiar odciąć Johnowi drogę. Złapany w dwa ognie nie miałby żadnej szansy. To, iż idący za nim facet nie wykazywał najmniejszego zamiaru, by zbliżyć się do niego, potwierdzał tylko takie przypuszczenia.

John popatrzył na plażę. Była teraz pełna opalających się i kąpiących ludzi. Ich krzyki i śmiechy zagłuszały pisk mew unoszących się nad wodą. John nie miał jednak złudzeń co do tego, że zabójcy lekceważą takie szczegóły, jak przypadkowi świadkowie czy też możliwość zranienia podczas strzelaniny niewinnych osób. Zamordują go po prostu tam, gdzie dopadną, nie zwracając sobie głowy tym, co będzie się działo dookoła.

W nagłym ruchu skręciwszy na plażę, John zaczął biec. Niemal natychmiast musiał przeskoczyć dziewczynę leżącą na ręczniku kąpielowym, a przy tym obsypał ją piaskiem.

- Uważaj, co robisz, idioto! - krzyknęła za nim. Odwrócił się na chwilę i zobaczył, że jego prześladowca przyśpieszył. Gdyby nie śmiertelne zagrożenie, John roześmiałby się; facet w lakierkach i oficjalnej szarej marynarce wyglądał groteskowo na zalanej słońcem plaży.

Wbiegłszy na jakiś pomost, John zaczął rozpychać się łokciami w tłumie sióstr zakonnych, których habity wesoło powiewały na wietrze. Skręcił w prawo, oddalając się od oceanu. Minął sklep z pamiątkami i po chwili dotarł do restauracji, znajdującej się na samym końcu pomostu. W chwili gdy znalazł się przy jej drzwiach, usłyszał pisk opon i w odległości zaledwie kilkunastu metrów ujrzał gwałtownie hamującego, szarego buicka. Błyskawicznie wyskoczył z niego drugi morderca, jedną ręką zatrzasnął

drzwiczki samochodu, a drugą nałożył przeciwsłoneczne okulary.

Potrącając kilka osób, John wbiegł do restauracji. Na jego widok podniosła się kelnerka. Na ustach miała przyklejony służbowy uśmiech, a w ręce trzymała kartę dań.

- Czy jest pan sam? - zapytała.

- Zgadza się. Poproszę stolik dla jednej osoby.

Popatrzyła na jego stopy oblepione piaskiem.

- Zazwyczaj wymagamy od naszych gości, by wchodzili na salę restauracyjną w obuwiu - powiedziała.

John popatrzył pod nogi.

- Ach, tak... Cóż, zgubiłem buty w morzu. Właściwie to zostawiłem je na plaży, kiedy się kąpałem, i ktoś je sobie zabrał. Wie pani co? Będę trzymał nogi pod stołem w czasie jedzenia, dobrze?

Mimo że był spięty i spodziewał się w każdej chwili ujrzeć w drzwiach restauracji dwóch typów w marynarkach, zdołał posłać kelnerce jeden ze swych najbardziej czarujących uśmiechów.

- No dobrze - zgodziła się uprzejmie i poprowadziła go do stolika w rogu sali, skąd rozpościerał się wspaniały widok na plażę. Podała Johnowi kartę dań. - Co chciałby pan zamówić?

John znów zerknął w kierunku wejścia. Dziwił się, że nie widzi jeszcze swych prześladowców.

- Czy najpierw czegoś się pan napije?

- Co? - John był rozkojarzony. - Tak, poproszę piwo.

- Coorsa, budweisera czy heinekena?

W tym momencie ujrzał jednego z zabójców. Odprowadzany nienawistnymi spojrzeniami ludzi, których potrącił, zbliżał się do drzwi restauracji.

- Ee... Budweisera poproszę. Gdzie tu jest toaleta?

- Tam, po lewej stronie - odparła kelnerka. - Tylko niech pan pamięta, nikt nie może widzieć, że pan tu jest bosy - dodała konspiracyjnym szeptem.

John wstał od stolika i przeszedł przez salę restauracyjną, zmierzając do toalety.

Wszedł do środka i zamknął się w jednej z dwóch kabin.

Małe okienko składało się z dwóch matowych szybek, umieszczonych w aluminiowej ramie. John stanął na sedesie, wyjął z kieszeni scyzoryk i szybko wykręcił

sześć śrub, którymi rama przymocowana była do futryny. Nie sprawiło mu to kłopotu, gdyż okno było w zasadzie nowe. Ostrożnie ustawił ramę na podłodze. Następnie ściągnął koszulę, rozpiął pasek i zdjął spodnie. Wyjął z kieszeni klucz, który otrzymał

od pulchnego, oraz kluczyki do samochodu. Teraz już tylko w białych majtkach, trzymając w zębach portfel z kluczami umieszczonymi pomiędzy jego okładkami, wydostał się na zewnątrz, przeciskając się przez okno.

Po drugiej stronie był wąski parapet pomalowany na biało, a kilkaset metrów niżej straszyla powierzchnia oceanu. Było aż gęsto od kąpiących się ludzi; tafla wody była przy tym tak biała, spieniona, że trudno było ocenić jej głębokość w tym miejscu. John nie miał pojęcia, czy skacząc, nie uderzy o dno. Postanowił opuścić się jak najniżej po ścianie i skoczyć z jak najmniejszej wysokości. Po chwili, trzymając się dłońmi parapetu, zawisł nad wodą. Teraz nie miał już wyboru, musiał skakać. Groziło to połamaniem nóg, jednak i tak było to lepsze niż rzucanie się głową w dół i - z całą pewnością - przetrącenie karku.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi toalety, a potem, z gwałtownym trzaskiem wejście do sąsiedniej kabiny. Wiedział, że za chwilę wylecą z zawiasów następne drzwi.

Odczekał jeszcze sekundę i w chwili, gdy ujrzał wysoką, spienioną falę sunącą ku brzegowi, skoczył.

Po ciągnącej się niemal w nieskończoność chwili lotu znalazł się w białej, słonej wodzie. Jego stopy dotknęły dna, padł na kolana, jednak fala, w którą wskoczył, złagodziła upadek. Po chwili wychodził już na brzeg. Miał jedynie lekko podrapany łokieć, a w nosie pełno oceanicznej wody. Wyjął portfel z ust; w czasie skoku niemal go przegryzł.

W pierwszej chwili instynkt podpowiedział mu, by dalej uciekać plażą, zaraz jednak cofnął się do wody, w bezpieczne otoczenie kąpiących się ludzi. Idąc w wodzie, ruszył pod pomost, słusznie przypuszczając, że będzie w ten sposób niewidoczny dla kogoś, kto się tam znajdzie. Mnóstwo ludzi widziało jego skok z okna; teraz wpatrywali się w niego zdziwionymi spojrzeniami i na wszelki wypadek trzymali się z daleka. Nie miało to znaczenia tak długo, jak długo mężczyźni w marynarkach nie popatrzą w jego kierunku. „Bądź niewidoczny! Nie daj nikomu powodu, by na ciebie spojrzeć!” Na przemian płynąc i idąc po dnie, ruszył na południe. Nie będą się spodziewali, że wybrał ten kierunek, ponieważ w tę stronę ciągnęło się aż czterdzieści kilometrów plaży, przerwanej dopiero Indian River wpadającą do oceanu. Miał nadzieję, że podczas wędrówki uda mu się zdobyć coś do ubrania. Bardzo zależało mu na tym, by się ubrać, a potem nawiązać kontakt z Sarą Lake.

Dopiero po przebyciu półtora kilometra zatrzymał się zanurzony po pas w wodzie, odwrócił się i osłoniwszy oczy dłońmi, popatrzył w kierunku pomostu. Szarego buicka raczej przy nim nie było, najwyraźniej nikt też Johna nie ścigał. Obliznął wargi, były bardzo słone.

Powoli skierował się ku brzegowi. Był po kolana w wodzie, gdy spoglądające ku niemu dwie młode dziewczyny wybuchnęły śmiechem i krzyknęły:

- Hej, człowieku! Opadają panu majtki!

Poprawiając spodnie, uśmiechnął się gorzko. W innych okolicznościach z przyjemnością zająłby się panienkami. Na Florydzie jest wszystko, czego dusza zapagnie. Na Florydzie nie można się nudzić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego poranka, wyszedłszy przed dom, Micky zauważył, że w skrzynce na listy coś jest. Długo się w nią wpatrywał, a tymczasem w Micky'ego wpatrywał się Orbison, z głową śmiesznie przekrzywioną na bok. Orbison bez trudu wyczuwał, kiedy jego pan jest zmartwiony bądź zakłopotany; wyczuwał to tym bardziej, że takie stany zdarzały się często.

Wreszcie Micky otworzył skrzynkę i zajrzał do środka. Wewnątrz znajdował się rachunek za telefon, egzemplarz „Holistic Times”, które prenumerował poprzedni lokator tego domu i zapomniał przenieść abonament, oraz niewielka paczuszka z brązowego kartonu. Micky wyjął zawiniątko i przez chwilę obracał je w dłoniach; właściwie doskonale wiedział, co się w nim znajduje, chociaż niemal modlił się, by to była nieprawda.

Orbison cicho zaskomlał i Micky zaraz go uspokoił:

- Nic się nie przejmuj, stary, wszystko jest w porządku.

Orbison wiedział, że Micky musi się już spieszyć, by zdążyć na czas do pracy. Nie lubił niepunktualności, dlatego z niecierpliwością czekał już na odjazd swojego pana.

Nie lubił też zaskoczeń i gwałtownych wydarzeń. To najprawdopodobniej dlatego schował się w swojej budzie, gdy Micky i Roxanne zostali zaatakowani przez nieproszonych gości.

Micky powrócił do domu i w kuchni otworzył paczuszkę. W środku nie było żadnego listu, żadnej

kartki; jedynie kasetą zatytułowaną Copper Blue, nagrana przez Sugar. Kiedy otworzył pudełko, w którym znajdowała się kasetka, wypadła z niego wizytówka: Lance, Peutus i Evangeline, doradcy prawni. Zadzwoił tam i niemal natychmiast połączono go z panem Lance'em.

- Przesłaliście mi kasetę Sugar - powiedział.

- Tak, zgadza się. - Pan Lance miał obojętny, nosowy głos. - Wykonaliśmy polecenie jednego z naszych klientów. Przekazał nam, że będzie pan wiedział, co zrobić z tą kasetą.

- Niech pan posłucha, nie podoba mi się ta historia. Nawet nie znam prawdziwego nazwiska tego człowieka. A za każdym razem, kiedy usiłuję mu w czymś pomóc, kończy się to dla mnie kłopotami.

- Mogę panu jedynie powiedzieć, że i my nie mamy z tym klientem stałego kontaktu. Ale niech pan wysłucha kasety, może jej treść coś panu podpowie i zyska pan jakieś informacje o tym człowieku; nawet więcej, niż my posiadamy.

- Spóźnię się do pracy. Mój szef mnie zabije.

- No i problem będzie rozwiązany - powiedział pan Lance i przerwał połączenie.

Przez chwilę Micky stał w salonie ze słuchawką przy uchu, po czym jęknął:

- Cholera jasna.

Wszyscy traktowali go jak ostatniego głupca, a przecież nie kto inny, tylko on uratował Lügnera przed porwaniem. To on pojechał do domu doktora, by ostrzec go przed groźącym niebezpieczeństwem. To jego dziewczyna niemal została okaleczona właśnie z powodu doktora. To on zarobił uderzenie w twarz od bandziorów. A mimo to wciąż nie wiedział, kim naprawdę jest doktor Lügner, i czego od niego oczekiwać.

Usiadł na sofie i przez długi czas wpatrywał się w kasetę, obracając ją w dłoniach.

Doskonale wiedział, że jeżeli tylko jej wysłucha, będzie po uszy wmieszany w aferę, której w ogóle nie rozumiał. Wciągnie w to również Roxanne. Ale przecież rzadko zdarzają się w życiu historie równie tajemnicze jak ta. Wziąć w niej udział to szansa na przeżycie czegoś nowego, na odmianę dotychczasowej codziennej monotonii, szansa na ekscytującą przygodę i może nawet odrobinę niebezpieczną. Prawdę mówiąc, Micky w tej chwili był dumny z blizny, jaką pozostawiło na jego lewym policzku uderzenie pulchnego. Szrama była dowodem na to, że życie składa się z czegoś więcej niż tylko z pracy przy zmywaniu naczyń i prób komponowania piosenek, które nigdy nikomu się nie spodobają.

Zadzwoił telefon. Guido.

- Co się z tobą dzieje? Jeszcze śpisz? Cholera, mamy już pełno garów do umycia!

- Przepraszam, już jadę. Daj mi dziesięć minut, dobrze?

- To ma być ostatni raz, Micky. Następnym razem cię zwolnię.

- Posłuchaj, zostanę dłużej, obiecuję. Wyliżę podłogę w kuchni, w porządku?

Odłożył słuchawkę. Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym podjął decyzję.

Włączył magnetofon i umieścił kasetę w jego kieszeni.

Najpierw usłyszał dwa nagrania, tak jak na oryginalnym albumie: The Act We Act i A Good Idea. Znał je tak dobrze, że przyśpieszył bieg kasyty; nie mógł doczekać się tego, co musiało nastąpić dalej.

Nie mylił się - w połowie trzeciego utworu, Changes, muzyka i głos wokalistki zaczęły cichnąć, aż wreszcie z głośników zaczął dochodzić jedynie delikatny szum przesuwającej się taśmy. Dopiero po długiej chwili Micky usłyszał męski głos; bez wątplenia przemawiał do niego doktor Lügner. Orbison nastawił uszy i głośno zawył.

„Witam cię ponownie, Micky” - mówił doktor Lügner. Jego głos był tak wyraźny, brzmiał tak doskonale, że Micky mimo woli rozejrzał się po mieszkaniu. Zadrżał, lecz niewątpliwie był tutaj sam. „Przykro mi, że się w to wszystko wmieszałeś. Wiem, że zamierzałeś jedynie zrobić dobry uczynek i wyrwać starego człowieka z łap opryszków; o nic więcej ci nie chodziło. A jednak jeden dobry uczynek wymaga drugiego, dlatego twierdzę, że zasługujesz na prezent, który zamierzam ci podarować. Być może ucieknę przed tymi, którzy mnie szukają. Być może nie ucieknę. Jednak niezależnie od tego, co się wydarzy, dzięki tobie dzieło mojego życia może być kontynuowane. Oczywiście, jeżeli się na to zgodzisz. W takim razie możesz stać się moim pierwszym wielkim eksperymentem, poza mną oczywiście. Aby przedstawić to w miarę prosto, słowami zrozumiałymi dla ciebie w tej chwili, chcę ci powiedzieć, że wynalazłem środek, który rozwija potencjał ludzkiego mózgu. Na razie to wyjaśnienie powinno ci wystarczyć...

Jeżeli zechcesz podążać drogą, którą ci wskażę, wkrótce będziesz wiedział na ten temat o wiele więcej i będziesz osiągał z tego tytułu ogromne korzyści. Oferuję ci taką dawkę tego środka, która zdoła odmienić całe twoje życie... Staniesz się mądrzejszy, bystrzejszy, sprytniejszy, sprawniejszy i lepszy we wszystkim, czego się tkniesz, oraz tysiąc razy bardziej pewny siebie. W porównaniu ze mną jesteś niezmiernie młody. Nie należysz jeszcze do geniuszy, ale tych jest tylko kilku na świecie, chociaż każdy z nas mógłby być kimś takim. Szybko się o tym przekonasz.

Micky, powierzam ci sekret, który od wielu dziesiątków lat znam tylko ja. Gdyby mnie złapali i zabili, sekret ten mógłby pozostać niedostępnym dla ludzi na zawsze.

Okoliczności, w jakich do niego dotarłem, w jakich dokonałem mojego odkrycia, już nigdy w historii świata się nie powtórzą. Dlatego teraz wszystko zależy od ciebie.

Będziesz mógł przekazać pochodnię z wiecznym płomieniem swoim dzieciom, a potem dzieciom twych dzieci, jeżeli okaże się to konieczne. Będziecie musieli ukrywać mój sekret dopóty, dopóki społeczność naszej planety zostanie przygotowana na jego przyjęcie, dopóki osobnicy podobni tym, którzy mnie teraz ścigają, nie znikną z jej powierzchni”.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Doktor Lügner odezwał się dopiero wtedy, gdy Micky zaczął tracić nadzieję, że jeszcze coś usłyszy.

„Musisz pojechać do Tampa, na Fowler Avenue. Znajduje się tam Laboratorium Chorób Zwierzęcych. Musisz odnaleźć doktora Richarda Keene’a. Spodziewa się ciebie.

Powiedz mu, jaką złapałeś rybę, kiedy łowiłeś w głębokich wodach przed Key West...

To takie nasze zabezpieczenie na wszelki wypadek. Pracowałem z Keene’em przez dwa albo trzy lata. Pamiętaj tylko, że on zna mnie pod nazwiskiem Bronowski... i przekonany jest, że ty asystowałeś mi w badaniach nad chorobami psychicznymi zwierząt. Nie musisz podejmować z nim żadnych dyskusji na ten temat. Keene powinien jedynie wydać ci z lodówki porcję mojego środka.

Posłuchaj, Micky. Musisz przyjmować to poprzez iniekcję... To znaczy w zastrzykach. Są to porcje po piętnaście mililitrów, oznaczone numerami. Przyjmuj je przez siedem dni, dokładnie w oznaczonej kolejności, od numeru jeden do siedem. Gdy się na to zdecydujesz, nie wolno ci zrobić ani dnia przerwy. Aha... Doktor Keene wyda ci więcej niż siedem ampulek. Później, gdy już postanowisz zażywać ten środek, wyjaśnię ci, po co ta reszta. Początkowo możesz być lekko oszołomiony; jest to jedyny uboczny efekt zażywania tego środka. Zaufaj mi, sprawdziłem to na sobie. Jeżeli uwierzysz w siebie, Micky, jeżeli uwierzysz, że wszyscy możemy stać się istotami o wiele wspanialszymi, niż jesteśmy teraz, że każda kobieta i każdy mężczyzna na Ziemi ma zadatki na błyskotliwego intelektualistę, że wśród nich i ty... Zażyjesz mój środek, Micky. Uwierz mi, w niedługim czasie staniesz się kimś innym, nowym, wspanialszym, otworzysz drzwi, które mogłyby na zawsze pozostawać dla ciebie zamknięte, tak jak są zamknięte przed wszystkimi ludźmi obecnie żyjącymi na świecie”.

Doktor Lügner zamilkł, a po chwili z głośników znów rozbrzmiewała muzyka Sugar. „Mądrzejszy, bystrzejszy, sprytniejszy, sprawniejszy i lepszy we wszystkim, czego się tkniesz...” Micky wcale nie był pewien, czy pragnie stać się kimś takim -

nowym, zupełnie innym, nawet jeśli to jest możliwe. Jego dotychczasowe życie nie charakteryzowało się jakimiś nadzwyczajnymi wzlotami, a jednak zawierało elementy, które go cieszyły i do których był przywiązany. Poza tym ze wstrętem myślał o narkotykach i wszelkich innych środkach, które odmieniały ludzkie zachowanie.

Jedynie czasami pozwalał sobie na niewielkiego skręta, kiedy szedł z Roxanne do dyskoteki albo na imprezę do przyjaciół.

Był prostym człowiekiem, chociaż docierało do niego, że świat bywa czasami bardzo skomplikowany. Wierzył w Boga, w mądrości zawarte w piosenkach Sugar, których namiętnie słuchał, w moc ośmiocylindrowych silników samochodowych i w nieskomplikowaną, szczerą miłość pomiędzy chłopakiem a dziewczyną. I wcale nie dążył do tego, by jego życie uległo jakimś wielkim przemianom. A doktor Lügner...

Było w nim jakieś szaleństwo. W nim i w tych wszystkich jego dziwacznych książkach.

Micky nie lubił książek, a gdy już musiał na nie patrzeć, czynił to najchętniej wtedy, gdy były zamknięte. Wpatrując się w czarne litery, czuł się niepewnie, jakby się bał, że za chwilę wyskoczą z kart i go zaatakują.

„Mądrzejszy, bystrzejszy, sprytniejszy, sprawniejszy i lepszy we wszystkim...” Właściwie w ogóle nie rozumiał tej oferty. I bał się jej. Przed oczyma wciąż miał

pulchnego i Kubańczyka, i nosze ze zwłokami przed domem doktora Lügnera.

Wyjął kasetę z magnetofonu i schował ją do kieszeni koszuli. Następnie wyszedł do pracy, pozostawiając Orbisona przywiązanego do budy, obok miski z wodą i winylowej kości.

Guido natychmiast zaczął na niego wrzeszczeć. W zlewozmywaku piętrzyły się już dwie góry naczyń. W porze lunchu miało się odbyć jakieś urodzinowe spotkanie, co oznaczało trzydzieści dodatkowych naczyń i mnóstwo dodatkowych talerzy do zmywania. Rashid był w fatalnym nastroju, ponieważ właśnie porzuciła go dziewczyna; spodobał jej się wysoki blondyn, były komandos, pracujący za rogiem w sklepie z bawełnianymi koszulkami. Henga bolała głowa. Natomiast Mario, szef kuchni, przygotował dziesiątki spiedini all' uccelletto, mnóstwo kiełbasek i pieczonej cielęciny, i nikt akurat tego nie zamawiał.

O pół do pierwszej po południu niebo się zachmurzyło. Zrobiło się bardzo duszno.

Klimatyzacja jedynie hałasowała, nie radząc sobie z parnym powietrzem. Gorąco było tak dokuczliwe, że z twarzy Micky'ego spływał pot prosto do zlewozmywaków. Na północnym zachodzie, gdzieś w okolicach Disney World, na niebie pojawiła się błyskawica. Prądy powietrzne, które tego lata przywiodły na Florydę huragan Hubert, przypominały, że to jeszcze nie koniec niespodzianek.

- Dlaczego tak długo cię nie było? - zapytał już trochę spokojniejszy Guido, przysiadając na zlewozmywaku.

- Ciągle to samo. Coś z samochodem.

- Mógłbyś znaleźć jakieś nowe wytłumaczenie, nie sądzisz? Micky milczał.

Wysoko na niebie pojawiła się kolejna błyskawica, po czym nastąpił potężny grzmot świadczący, że piorun uderzył gdzieś bardzo blisko. Na ziemię spadły pierwsze, ogromne krople deszczu. W kolejnej błyskawicy, w oślepiającym blasku Micky ujrzał

całą kuchnię, każdy jej detal. Wyraźnie też zobaczył duże wory pod oczami u Guida i ogromny brzuch Maria. Przyszło mu do głowy, że i oni, tak jak on sam, ciężko pracują, by zarobić pieniądze na godziwe życie.

W tym momencie przed oczyma stanął mu obraz domu doktora Lügnera, doktora Kłamcy: błyszczące posadzki, eleganckie meble w stylu rokoko i fortepian, tak wielki, że można by zamieszkać w jego wnętrzu.

Z trudem wytrwał do końca pracy. Niebo rozjaśniło się dokładnie w chwili, kiedy kończył wycierać ostatni czysty talerz. Przez okna wpadały do kuchni jasne promienie słoneczne. Guido przeprosił wszystkich pracowników za awarię klimatyzacji i podziękował, że wytrwali do końca dnia w trudnych warunkach. Mario zjadł prosto z rusztu dwie porcje spiedini all' uccelletto, których nikt nie chciał, i nawet Heng roześmiał się na ten widok.

A Micky tego popołudnia znalazł się w połowie swojej drogi do Damaszku. Doznał olśnienia i wychodząc na ulicę, wiedział już doskonale, co będzie robił przez resztę dnia.

Minał się z Mingusem zaledwie o dwie lub trzy minuty. Mingus pracował już, bawiąc dzieci i pozując z nimi do fotografii. Micky ruszył główną aleją Disneylandu, przepychając się pomiędzy dostojnie kroczącymi dorosłymi i podekscytowanymi dziećmi. Po gwałtownej ulewie popołudnie było bardzo gorące, a w powietrzu unosił się słodkawy zapach gnijącej roślinności.

Odnalazł Chip'n'Dale'a przy wejściu do Świata Przyszłości. Pochylony, głaskał po głowach rozradowane dzieciaki i mówił:

- Cześć, młodziaki. Cieszę się, że was widzę. Wchodźcie do środka.

Micky przystanął i zapytał:

- Cześć, Vance. Cześć, Terry. Widzieliście gdzieś Mingusa? Chip potrząsnął

przecząco głową. Dale jednak wskazał mu kierunek, w którym powinien się udać.

- Dziękuję - powiedział Micky. - Powinniście, chłopcy, napić się zimnego piwa.

Znalazł Mingusa przy stoliku z prażoną kukurydzą. Jako pies Pluto stanowił jedną z najbardziej lubianych przez dzieci bajkowych postaci i płacił za to niezłą cenę. Był

bardziej spocony od innych pracowników Disney World, a jego kostium miał ślady od kukurydzy i tłuste plamy do wysokości, do której sięgały rączki otaczających go dzieci.

- Cześć, Mingus. Jak ci idzie? - A jak myślisz?

- Masz chwilę czasu? Muszę z tobą porozmawiać.

- Powiem ci coś. Jeżeli któryś z tych bachorów jeszcze raz uderzy mnie w jądra...

- To ważne - nalegał Micky. - Stało się coś poważnego i chcę, żebyś w tej sprawie pojechał ze mną do Tampa.

- Nie ma mowy. Kończę dopiero o piątej.

- Powiedz szefom, że jesteś chory. Że dostałeś biegunki. Nie zaryzykują przecież, że zapaskudzisz im ten piękny kostium.

Jakiś drobny chłopaczek głośno zawołał do swojej mamy:

- Mamo, jak to jest, że ten pan rozmawia z Pluto, a do mnie Pluto nie powiedział

jeszcze nic?

- Daj mi spokój, człowieku - powiedział Mingus do Micky'ego. - Jeszcze mnie przez ciebie zwolnią.

- No właśnie! - do narzekań dołączył wysoki mężczyzna o ogorzałej twarzy, najwyraźniej ojciec chłopaczka. - Mój syn grzecznie się z tobą przywitał, a ty nie raczyłeś mu odpowiedzieć nawet jednym słowem.

- Pluto jest psem - wyjaśnił Micky. - I w zasadzie nic nie mówi.

- Ale z panem rozmawia! - Głos mężczyzny brzmiał coraz bardziej agresywnie.

- To co innego. Jestem jego weterynarzem.

Spotkali się z Mingusem po piętnastu minutach przed garderobami dla pracowników. Uwalany prażoną kukurydzą Pluto przemienił się w wysokiego czarnoskórego młodzieńca o krótko przystrzyżonych włosach, z dwoma złotymi kolczykami w uszach. Miał szeroką, sympatyczną twarz i szczerze, duże, brązowe oczy.

Tak naprawdę to Mingus nazywał się Dexter Wells, ale jego ojciec był fanem nowoczesnego jazzu i wołał na syna imieniem swego ulubionego muzyka. Jak na ironię, Mingus nienawidził jazzu, a w szczególności Mingusa; wołał soul i blues.

- Niemal wyleciałem z roboty, człowieku. Przecież wiesz, że nie wolno nam rozmawiać. Kiedy rozmawiamy, stajemy się mniej realistyczni.

- Pies o wzroście niemal dwóch metrów, maszerujący na tylnych łapach. Co w tym realistycznego?

- Realistyczne jest to, że mam pracę. I że dostaję za nią najzupełniej realne pieniądze.

Micky westchnął. Wołał na ten temat nie rozmawiać.

- Posłuchaj tylko - odezwał się po chwili. - Telefonowałem wczoraj do ciebie i opowiadałem ci o facecie, który nazywa się Lügner, doktor Lügner, chyba sobie przypominasz? Ten facet powiedział między innymi, że przyśle mi kasetę magnetofonową. - Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął pudełeczko. - Oto ta kasetka.

Przesłuchałem ją. Facet nagrał się na taśmę i twierdzi, że wynalazł jakiś środek, który sprawia, że ludzie stają się mądrzejsi czy coś w tym rodzaju.

- No i co?

- Mówi też, że jeśli pojedę do Tampa i spotkam się z jakimś innym naukowcem, który przechowuje

ten środek w lodówce, otrzymam go. Po jego zażyciu stanę się bardzo inteligentny i mądry.

- A więc to coś podobnego do narkotyku?

- Tak. Ten gość twierdzi, że decyzja należy tylko do mnie. Ale ten środek to jego wynalazek, dzieło całego życia; twierdzi, że wybrał właśnie mnie, abym pierwszy, po nim, go zażył.

- Odbija ci, człowieku? Chcesz być królikiem doświadczalnym?

Micky niecierpliwie potrząsnął głową.

- Nic nie rozumiesz, Mingus. Jeżeli zażyję ten środek, stanę się mądrzejszy, a jak będę mądrzejszy, rozszyfruję, co to za specyfik, i przygotuję porcję również dla ciebie.

To przecież dla nas obu wielka szansa.

- Mimo wszystko... A jeżeli to ma jakieś straszliwe efekty uboczne? Może będziesz mądry, ale zwariujesz? Albo dostaniesz ataku serca i umrzesz?

- Bzdury pleciesz. Ten doktor zapewnił mnie, że nic takiego się nie wydarzy.

Muszę tego spróbować. Wiesz co? Dzisiaj stanął mi przed oczyma obraz całego mojego dotychczasowego życia. Mam już swoje lata, a nie dokonałem w nim jeszcze niczego, dosłownie niczego. W tej chwili zmywam gary w jakiejś podrzędnej restauracyjce. A przecież dzięki Lügnerowi mam szansę stać się kimś takim jak on, mogę pięknie grać na kilkunastu instrumentach muzycznych i pisać tak mądre artykuły, że nikt w ogóle nie będzie wiedział, co mam na myśli.

- No bo właściwie co masz na myśli? O co ci chodzi?

- Och, daj spokój. Pojedziesz ze mną do Tampa? Mingus wydał policzki i po chwili głośno wypuścił powietrze.

- Jeżeli stracę tę robotę, człowieku...

- Nie stracisz, obiecuję ci. Zaraz zatelefonuję do twojego szefa. Powiem, że jestem twoim ojcem i że właśnie przyszedłeś do domu z objawami jakiegoś ciężkiego zatrucia...

- Zaraz będą chcieli wiedzieć, co jadłem na lunch. Poproszą o próbkę, żeby się upewnić, że w Disney World nie ma zagrożenia żadną epidemią.

- Niech więc będzie udar słoneczny. Mingus przygryzł wargi.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, człowieku - powiedział po chwili z głośnym westchnieniem.

- Jasne! - zawołał Micky i obaj różnym krokiem ruszyli w kierunku głównego wyjścia.

Droga do przedmieść Tampa zabrała im półtorej godziny. Micky na wszelki wypadek sprawdził w

książce telefonicznej adres Laboratorium Chorób Zwierzęcych i kupił mapę Tampa i okolic. Mimo to skręcili na autostradę 75 zamiast 41 i zanim Mingus się zorientował, że zmierzają w złym kierunku, dojechali na północ aż do Thonozosassa. Po ciągnących się nieznośnie długo minutach bezsensownego krążenia w tę i z powrotem po Busch Boulevard i Fowler Avenue, ujrzeli drogowskaz, naprowadzający na trasę do laboratorium, położonego niemal dokładnie naprzeciwko University of South Florida.

Laboratorium Chorób Zwierzęcych mieściło się w niskim budynku o wielkich oknach, postawionym w głębi dużego ogrodu. Otoczone wysokimi drzewami, Laboratorium było niemal niezauważalne z ulicy.

Przy bramie zatrzymał ich strażnik w jasnoniebieskim uniformie i białych rękawiczkach.

- Jedziemy do doktora Keene - powiedział Micky.

- Czy doktor spodziewa się was? - O ile mi wiadomo, tak.

Strażnik wszedł do budki, podniósł słuchawkę telefonu i przez kilka chwil rozmawiał. Wreszcie wychylił się na zewnątrz i zawołał w kierunku Micky'ego:

- Nazwisko?

- Frasier.

Strażnik znów powiedział kilka słów do słuchawki, po czym jeszcze raz zawołał do Micky'ego:

- Ryba?

- Królewska makrela i połowa barakudy. Strażnik odłożył słuchawkę i podszedł do samochodu.

- W porządku - powiedział. - Możecie jechać. Zaparkujecie przed głównym wejściem. W środku otrzymacie przepustki.

Zanim powrócił do budki i uniósł biało-czerwony szlaban, posłał jeszcze Micky'emu surowe spojrzenie.

W budynku zajmowanym przez Laboratorium było chłodno i bardzo jasno. Może rzeczywiście badano tu choroby zwierząt, jednak Micky nie widział najmniejszego śladu obecności jakiegokolwiek zwierzęcia, oprócz grafiki na ścianie w holu przedstawiającej spaniela z czule spoczywającą na jego głowie ludzką dłońią. Wysoka recepcjonistka o długich paznokciach, pomalowanych na jaskrawoczerwony kolor, wydała Micky'emu i Mingusowi przepustki, po czym skierowała ich na trzecie piętro.

Przemierzając długie, zimne korytarze, nie słyszeli żadnych dźwięków poza uderzeniami własnych butów o posadzkę.

Dotarli wreszcie do drzwi z napisem: „Richard M. Keene, Wydział Toksykologii Weterynaryjnej”.

Micky zajrzał do środka przez niewielką szybkę i spostrzegł młodego, łysawego mężczyznę w okularach, siedzącego przed ekranem komputera. Zapukał i razem z Mingusem weszli do środka.

Doktor Keene uniósł do góry dłoń, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest bardzo zajęty. Cisza trwała jeszcze przez kilkanaście sekund, po czym badacz odezwał

się:

- Hmm... tego się raczej nie spodziewałem. - Dopiero teraz odwrócił się, by popatrzeć na swoich gości. - Zdaje się, że jeden z panów jest współpracownikiem doktora Bronowskiego, prawda? - Uśmiechnął się.

- Tak. Nazywam się Micky Frasier, a to jest mój przyjaciel, Mingus.

- Miło mi poznać panów - powiedział doktor Keene i wstał z taboretu. - Sprytny ten Bronowski. Ryba jako hasło! Czy naprawdę złowił pan takie okazy, królewską makrelę i połówkę barakudy?

- Hmm... - Micky był odrobinę zawstydzony. - To było dwa albo trzy lata temu. W ogóle rzadko łowię ryby.

Doktor Keene miał delikatne rysy twarzy i duże jasnoniebieskie oczy. Sprawiał wrażenie, jakby był figurką wykonaną z plastyku, a nie człowiekiem z krwi i kości.

Biały płaszcz laboratoryjny o przynajmniej dwa numery za duży dodawał

niesamowitości jego drobnej sylwetce. Popatrzywszy na Mingusa, doktor niepewnie zamrugał oczyma. Czarna koszulka, sprane dzinsy i spiczaste, kowbojskie buty czarnoskórego chłopaka z pewnością odbierały doktorowi pewność siebie. W tym miejscu nie spotykało się raczej ludzi ubranych w ten sposób. A jednak rekomendacja Bronowskiego była wystarczająca. Głośno przełknąwszy ślinę, doktor Keene odezwał

się:

- Doktor Bronowski wiele opowiadał mi o pańskich sukcesach w badaniach nad chorobami psychicznymi zwierząt, panie Frasier. Obiecał mi kiedyś pokazać pańskie tezy na temat manii prześladowczej psów.

- Naprawdę? Cóż, prześlę panu egzemplarz mojego opracowania.

Doktor Keene rozpromienił się z zadowolenia.

- Wspaniale! Już od sześciu lat prowadzę badania nad zachowaniem kotów. Jestem pewien, iż pańskie wyniki dostarczą mi nowych wskazówek. Nie mam wątpliwości co do tego, że mózgi psów i kotów mają ze sobą wiele wspólnego.

Micky tymczasem rozglądał się po laboratorium. Miało długość około trzydziestu metrów, na środku stała prosta ławeczka z piętrzącymi się na niej wysokimi stosami naczyń, palników na trójnogach, rurek i innych metalowych części. Bardziej wyszukany sprzęt umieszczony był wzdłuż ściany: spektrografy, komputery, skanery i mnóstwo skomplikowanych urządzeń, których znaczenia i przeznaczenia Micky nie był w stanie określić.

Podchwyciwszy spojrzenie Micky'ego, doktor Keene zawołał z entuzjazmem:

- Mamy tutaj najnowocześniejsze urządzenia, panie Frasier! - Ujął go pod rękę i zaczął oprowadzać po laboratorium. - Konsultujemy produkcję niemal trzydziestu dziewięciu procent żywności dla zwierząt domowych, która wytwarzana jest w Stanach Zjednoczonych. Wydajemy certyfikaty dla większości renomowanych światowych producentów środków farmaceutycznych dla zwierząt. Prowadzimy własne badania na najwyższym światowym poziomie. To tutaj wynaleziona została Hydra, właśnie w tym pomieszczeniu, w którym właśnie się znajdujemy.

- Co to jest Hydra? - zapytał Mingus.

- To tabletki przeciwko robakom przeznaczona dla psów - odparł Micky głosem eksperta.

- Zdecydowanie najlepsza na rynku - dodał doktor Keene. - Zabija intruzów, zanim zdążą mrugnąć okiem. Oczywiście pasożyty nie mają oczu.

Podszedł do drzwi umieszczonych w bocznej ścianie i skinął na swoich gości, by udali się za nim. Po chwili znaleźli się w niewielkim magazynie. Największą jego ścianę całkowicie zasłaniały półki z folderami, książkami i dyskietkami komputerowymi.

Naprzeciwko znajdowała się wielka lodówka laboratoryjna, a jej blat zastawiony był

mnóstwem pojemników, butelek, buteleczek i probówek z różnokolorowymi płynami.

Wśród tych pojemników dało się zauważyć również trzy puszkę dietetycznej coca-coli i połowę kanapki ze szwajcarskim serem. Doktor Keene otworzył na chwilę lodówkę i wyjął z niej styropianowy pojemnik, w którym znajdowało się dziesięć małych, szklanych ampulek. Każda wypełniona była bezbarwnym płynem i oznaczona numerem wypisanym ostro zakończonym ołówkiem na kawałeczku plastra.

- Zazdroszczę panu, że może pan pracować z doktorem Bronowskim - powiedział

doktor Keene do Micky'ego. - Nigdy nie znałem nikogo, kto potrafiłby rozwiązywać problemy toksykologiczne tak szybko i tak dokładnie jak on. Właściwie to czymkolwiek on się zainteresował i zajął, odnosił sukces... Mam na myśli sukces naukowy. Niektóre jego rozwiązania wyprzedzają o całe lata świetlne, nie waham się użyć tych słów, współczesną wiedzę weterynaryjną. Potrafił wyobrazić sobie, w jaki sposób myślą wirusy i jak zamierzają bronić się przed tymi wszystkimi środkami, które przeciwko nim preparujemy.

Micky odebrał ampułki i spróbował z powagą i zrozumieniem skinąć głową. Nie bardzo mu to wyszło. Po chwili doktor Keene dał Micky'emu jakąś kartkę do podpisania, po czym potrząsnął jego

dłonią.

- Będzie pan pamiętał, by przesłać mi swoje opracowania? - zapytał.

- Och, tak, oczywiście.

- Proszę mi powiedzieć tylko jedno. Czy sądzi pan, że pobyt w schroniskach naprawdę pozostawia trwałe ślady na psychice psów? Czy w ich późniejszym stosunku do właścicieli naprawdę pozostaje niepewność wynikająca z przekonania, że nie są oni ich naturalnymi rodzicami?

Zapadła długa cisza, aż wreszcie Mingus uznał za stosowne zmobilizować przyjaciela. - No, dalej. Odpowiedz panu doktorowi. Micky uniósł pojemnik z ampułkami na wysokość oczu.

- Hmm... Cóż, tego jeszcze nie możemy stwierdzić z całą pewnością. To właśnie dzięki nim - wymownie popatrzył na ampułki - być może stanę się trochę mądrzejszy w tej kwestii.

Tym razem to on potrząsnął dłonią doktora Keene'a, a potem razem z Mingusem szybko opuścili laboratorium. Spieszyli się w obawie, że doktor zada jeszcze jakieś kłopotliwe pytania, i dlatego ich kroki jeszcze głośniej i jeszcze wyraźniej odbijały się echem na pustych korytarzach.

- O co mu właściwie chodziło? - zapytał Mingus, kiedy wsiadali do camaro Micky'ego.

- Facet chciał chyba wiedzieć, czy Orbison martwi się, że nie jestem jego prawdziwym ojcem.

- A martwi się?

- Nie wiem. Nie rozmawialiśmy dotąd na ten temat.

W drodze powrotnej do Canoe Creek Road zatrzymali się przy aptece, by zaopatrzyć się w paczkę jednorazowych igieł i strzykawki, a potem wstąpili do supermarketu, gdzie kupili sześć puszek zimnego piwa i dwie wielkie porcje pizzy peperoni. Roxanne spędzała wieczór z matką, mogli więc być w domu Micky'ego zupełnie swobodni, to znaczy pić piwo i grać głośno na gitarach bez obawy, że zdenerwują dziewczynę.

Micky położył ampułki na stole w kuchni obok tekturowych kartonów z pizzą.

- Wciąż uważam, że będzie szaleństwem, jeżeli wstrzykniesz sobie to świństwo -

powiedział Mingus. - Przecież zupełnie nie masz pojęcia, co to jest.

- On powiedział, że to może odmienić moje życie.

- Tak, z całą pewnością je odmieni, jeżeli cię zabije. Rozsiedli się wygodnie w pokoju, z gitarami na kolanach.

Przez chwilę brzdąkali, po czym Micky zaczął próbować ich nową piosenkę, której nadali roboczy tytuł Nie z tobą, diable. Melodia i słowa były jeszcze w sferze pomysłów, obaj z Mingusem mieli

jednak nadzieję, że wkrótce powstanie wielki przebój.

Po chwili Mingus przyłączył się do prób przyjaciela; grał trochę lepiej od Micky'ego, lecz i jego umiejętności pozostawiały wiele do życzenia. Praca nad ich własnym utworem nie trwała długo; wkrótce grali swoją wersję Give Me All Your Lovin ZZ Top. Był to zresztą jedyny przebój, który potrafili samodzielnie wykonać w miarę poprawnie. Nastawili wzmacniacze na pełną moc i ich muzyka stała się tak głośna, że w oknach drżały szyby, a na stole zaczęły podskakiwać puste puszkę po piwie. Doskonałą zabawę przerwał im dzwonek, po którym nastąpiło głośne stukanie do drzwi.

Natychmiast przestali grać. Mingus popatrzył niepewnie na Micky'ego i zapytał:

- Kto to może być? Chyba nikogo się nie spodziewasz, co?

- Ampułki - wyszeptał Micky. - Na miłość boską, schowaj ampułki!

- A gdzie mam je schować?

- W drugiej szufladzie w stole kuchennym. Za sztukami. Mingus pognął do kuchni, gdy tymczasem Micky w miarę pewnym krokiem ruszył w kierunku drzwi.

Otworzył je i zobaczył stojącego w progu sąsiada z budynku obok, potężnego, grubego faceta o wybrylantynowanych czarnych włosach, w pstrokatych szortach i purpurowym podkoszulku.

- Cześć, Rhett - powitał go Micky. - Jak leci? Zagadnięty przez chwilę w milczeniu żuł gumę, po czym odezwał się:

- Powiem ci to po raz ostatni, Micky. Mój dzieciak chce zostać lekarzem. Teraz ma jeszcze co najmniej dwie godziny roboty nad zadaniem domowym. W związku z czym i ty, i twój kumpel powinniście, do cholery, zachowywać się trochę ciszej.

- Jasne, Rhett. Przepraszam cię. Chyba trochę przesadziliśmy.

- A jeżeli nie będziecie ciszej, popamiętacie mnie. Już ja wam dam, kurwa, nauczkę.

Micky zamknął drzwi, po czym wzruszył ramionami. W rogu kuchni pokazał się Mingus.

- Kto to był? - zapytał.

- Przeszkadzaliśmy dzieciakowi mojego sąsiada, to wszystko.

- No i co z tego? To jest wolny kraj. Sądzisz, że James Brown kiedykolwiek zastanawiał się, czy komukolwiek przeszkadza, a tym bardziej jakimś zasmarkanym dzieciakom w odrabianiu lekcji?

Micky pociągnął łyk piwa i powiedział:

- Ale ten dzieciak ma być lekarzem. I ten głupi, gruby smarkacz będzie lekarzem, bo tak chce jego ojciec, który ciężko haruje jako kierowca śmieciarki, i jego matka, która pracuje w pralni.

- No i co z tego?

- To z tego, że rodzice wymarzyli sobie, że ich dziecko będzie kimś lepszym niż oni sami.

- No i co?

- To, że ma do tego prawo. I to, że również ja chcę być kimś lepszym, niż byłem do tej pory. Żebyś ty widział dom doktora Lügnera, Mingus. Te piękne meble, książki, obrazy... Wielki fortepian. Jak myślisz, ile lat musiałbym zmywać brudne talerze u Guida, żeby zamieszkać w takiej chacie?

- Nic się nie przejmuj stary, kiedyś będziesz wielką gwiazdą rocka.

- Och, jasne. Ja i jeszcze dziesięć milionów innych, podobnych mi marzycieli.

Mingus posłał Micky'emu długie, pełne wyrzutu spojrzenie. Jasne było, że w tej chwili nie ma już nic więcej do powiedzenia. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, iż ani on, ani jego przyjaciel nie mają najmniejszych szans na profesjonalną karierę. Duet Mingus i Frasier musiał na zawsze pozostać wytworem ich fantazji i marzeń, marzeń, które miały jedynie taką wartość, że pozwalały na krótkie chwile oderwać się od szarości dnia codziennego. Od pewności, że Mingus tak długo będzie odgrywał psa Pluto, aż znudzi się swym pracodawcom, a Micky tak długo będzie zmywał talerze, że zacznie mu schodzić skóra z palców rąk.

Już od wielu miesięcy fantazjowali na ten temat, jak to będą nagrywać płyty, zmieniać agentów, występować w programach telewizyjnych. Wymyślili nawet logo dla swego duetu: splecione litery „M” i „F” - symbol, który z całą pewnością ukaże się na okładce ich pierwszego albumu. I nagle tłusty dzieciak sąsiada okazuje się ważniejszy od ich prób.

Micky wszedł do kuchni i wyciągnął ampułki z szuflady. Mingus stanął za jego plecami.

- Ostrzegam cię - powiedział - jeżeli w tym domu nastąpi coś złego, jeżeli umrzesz albo oszalejesz, nie mam z tym nic wspólnego.

- Mam ci to dać na piśmie?

Micky wyjął strzykawkę z opakowania. Założył igłę, po czym przebił gumową zatyczkę pierwszej ampułki i naciągał przezroczysty płyn do strzykawki tak długo, aż była pełna.

- W środku nie może być ani odrobina powietrza - ostrzegał go Mingus. - Unieś strzykawkę do góry i naciskaj tłoczek tak długo, aż zostanie sam płyn.

Micky głęboko odetchnął i powiedział:

- Masz rację.

Wykonał polecenie przyjaciela, po czym skierował igłę w swoje ramię. Zawahał się jednak.

- No i co? - zapytał Mingus. - Zmieniłeś zdanie czy co?

- Nigdy jeszcze nie robiłem sobie zastrzyku. Chyba nie potrafię.

Mingus roześmiał się głośno.

- Aż wierzyć się nie chce! Wiesz co, człowieku, chyba masz rację. Jeżeli ktokolwiek potrzebuje tego środka, żeby się czegoś nauczyć, to jesteś nim właśnie ty.

- Nie mądruj się, tylko mi pomóż, dobrze?

Mingus wyciągnął pasek ze spodni i obwiązał go wokół przedramienia Micky'ego.

- Zaciśnij pięść, muszę trafić w żyłę... Teraz dobrze, widzę ją wyraźnie. Uważaj, naciskam tłoczek.

Trochę bolało ukłucie, jednak w sumie zrobienie zastrzyku okazało się zadziwiająco proste. Micky uśmiechnął się z triumfem, gdy Mingus wyciągnął igłę z jego ramienia.

- No i co? - zapytał Mingus. - Jesteś od tego mądrzejszy?

- Niczego nadzwyczajnego nie czuję.

- Naprawdę? Może przynajmniej kręci ci się w głowie? - Nie.

Micky oddał Mingusowi pasek, po czym obaj powrócili do pokoju.

- Jesteś pewien, że wszystko jest w porządku? - zapytał Mingus. - Jeśli chcesz wiedzieć, to moim zdaniem trochę pobladłeś.

- Ale czuję się doskonale. Napijmy się jeszcze piwa, co? I spróbujmy jeszcze raz zagrać Nie z tobą, diable, tym razem ciszej.

- Sam nie wiem. Może powinieneś pójść już spać?

- Czuję się doskonale, rozumiesz? Może jestem trochę głodny. W końcu nie jadłem nic od śniadania.

- W takim razie, mój mądralo, zjedźmy po pizzę.

Micky wrócił do kuchni i włączył piekarnik. Otworzył jeden z kartonów i położył

pizzę na blachę. Zdziwił się, że widzi ją tak wyraźnie, w jaskrawych kolorach: żółty ser wręcz świecił, a czerwone plasterki papryki jakby emanowały niesamowite promienie.

Wszystkie kolory były tak zdecydowane, że Micky z trudem powstrzymywał się przed mrużeniem oczu.

Światło lampy zawieszanej na suficie też zdawało się jaśniejsze i mocniejsze z każdą upływającą sekundą. Zdziwiony, Micky chciał już zawołać Mingusa, gdy nagle ujrzał przed oczyma czarne plamy

i w jednej chwili oślepl.

Wypuścił z rąk blachę z pizzą. Świadomy tego, co się dzieje, spróbował jeszcze złapać ją w locie, jednak ruch ten sprawił, że stracił równowagę i przewrócił się na podłogę. Spróbował krzyknąć, ale nie był w stanie wydobyć z gardła żadnego dźwięku.

Jestem ślepy, pomyślał. Cholera jasna, ten pieprzony narkotyk mnie oślepił! Zaczął wymachiwać rękami na oślep, chcąc się czegoś uchwycić, by podnieść się na nogi.

Wreszcie jego dłonie natrafiły na coś płaskiego i chłodnego; odgadł, że to lodówka.

Przesuwając po niej palcami, spróbował wstać, jednak nagle opuściły go siły i znów upadł, rozbijając twarz o podłogę.

Miał nadzieję, że uda mu się wykrzyknąć chociaż jedno słowo, że zawoła Mingusa, jednak bardzo się mylił. Po chwili poczuł, że opada bardzo szybko gdzieś w dół i przestraszył się, iż będzie tak już leciał bez końca. Nie był w stanie odnotować momentu, w którym stracił przytomność.

Śniło mu się, że siedzi w wielkim pomieszczeniu w całości obitym boazerią z ciemnego drewna, że jest zimowe popołudnie, a on przysłuchuje się nudnej dyskusji na temat współczesnej chirurgii. Zdawało mu się, że pokój znajduje się gdzieś w Europie, najprawdopodobniej w Belgii albo w Holandii. Szyby w oknach miały żółtawy odcień, w związku z czym wpadające przez nie światło słoneczne miało kolor słabej herbaty.

Razem z Mickym znajdowało się tutaj szesnastu albo siedemnastu mężczyzn. Wszyscy byli ubrani na czarno, mieli krezowe kołnierzyki i szerokie kapelusze z piórami.

Przywodzili na myśl zgromadzenie starych kruków. Niektórzy palili długie fajki, co sprawiało, że w pomieszczeniu unosiła się gęsta mgła dymu tytoniowego.

Nie rozumiał i nie słyszał dokładnie treści rozmowy, docierały do niego jednak takie słowa jak „kleszcze”, „krwawienie”, „skalpele”. Od czasu do czasu któryś z mężczyzn zwracał się do niego z prośbą o wyrażenie opinii. Twarze wszystkich dyskutantów były trupio blade, niemal wszyscy nosili krótkie, spiczaste bródki. Micky nie był w stanie odpowiadać na kierowane ku niemu pytania z prostej przyczyny: prawie ich nie słyszał. Był jednak pewien, że nie po raz pierwszy znajduje się w tym pokoju i że dobrze zna wszystkich zgromadzonych tutaj mężczyzn.

Jeden z nich, spowity gęstym kłębem dymu z fajki, stał przy oknie.

- Wciąż krążycie wokół prostych zagadnień jak kot dookoła miski z gorącym mlekiem - powiedział ów mężczyzna niespodziewanie głośno. - Ciągłe mówicie o zwłokach, śmierci, morderstwach, deformacjach, amputacjach... Czy nie stać was na nic innego? Chcę, przyjaciele, żebyście jasno zdali sobie sprawę z tego, iż jeden włos na mojej głowie jest mądrzejszy niż wy wszyscy zgromadzeni tutaj razem.

Miał jeszcze sen, że biegnie długim, ciemnym tunelem. Nagle dookoła eksplodowały światła, niczym

podczas obchodów święta Czwartego Lipca* [przyp.: Czwarty lipca jest świętem narodowym w USA (przyp. tłum.)]. Nad jego głową rozbłysnęły gwiazdy, a opadające z nich iskry leciały prosto na twarz chłopaka, parząc go boleśnie.

Śniło mu się jeszcze, że jest martwy.

Gdy otworzył oczy, ujrzał nad sobą Roxanne. Na głowie miała jaskrawoczerwoną przepaskę, a z jej uszu zwisały wielkie kolczyki, które odbijały światło.

Rozejrzał się i stwierdził, że leży na własnym łóżku. Za oknami było ciemno, lecz to nie stanowiło dla niego żadnej wskazówki; nie miał najmniejszego pojęcia, jak długo leżał bez przytomności. Czuł się strasznie zmęczony, jakby bez chwili wytchnienia przebiegł trasę od domu do restauracji Guida i z powrotem. Poza tym bardzo ciążyła mu głowa, jakby wypełniona była ołowiem.

- Która godzina? - zapytał. Z trudem poruszał językiem.

- Piętnaście po trzeciej.

- Piętnaście po trzeciej? Tak długo spałem?

- Powiedzmy, że spałeś. Przez cały czas rzucałeś się, jęczałeś i mówiłeś coś do siebie.

Micky usiadł.

- Boże, moja głowa. Mam wrażenie, że przez chwilę siedział na niej słoń. Czy jest tu Mingus?

- Nie. Musiał iść. Ale powiedział mi, co zrobiłeś.

- Tak? Pewnie jesteś na mnie wściekła? Roxanne ujęła go za rękę.

- Micky, nie jestem na ciebie wściekła. Kocham cię, przecież wiesz. Ale nie chcę, żebyś pozbawił się życia albo zachorował z powodu jakiegoś nawiedzonego naukowca.

Daj sobie spokój z niepoprawnymi marzeniami, chyba miałeś już dość kłopotów z powodu tego faceta.

Micky na długą chwilę zamknął oczy. Kiedy je otworzył, odezwał się:

- We śnie widziałem wiele rzeczy. Ludzi rozmawiających o skomplikowanych problemach, dziwne miejsca. Widziałem rzeczy, które potrafiłem rozpoznać, ale wydały mi się inne niż normalnie.

- Czy chcesz się czegoś napić?

- Tak. Zdaje się, że w lodówce jest pełna butelka. Gatorade, jeśli się nie mylę.

Roxanne przyniosła Micky'emu napój; prosto z butelki, wypił go od razu niemal w jednej trzeciej. Później siedział przez dłuższy czas bez ruchu. Oczy mu łzawiły i co kilka sekund głośno czał.

- Obiecay mi coś, dobrze? - poprosiła Roxanne. - Więcej już sobie nie wstrzykniesz ani kropelki tego świństwa.

- Sam nie wiem... - odparł. - W końcu mnie to nie zabiło, prawda? I wcale nie czuję się już ani chory, ani ślepy, ani otępiały. Zadaj mi jakieś pytanie.

- Jakie pytanie?

- Jakiegokolwiek. Chcę ci udowodnić, że ze mną wszystko w porządku, że mój mózg świetnie pracuje.

- Nie przychodzi mi nic do głowy.

- Do licha, wymyśl coś. Na przykład ile jest 25 podzielone przez 5.

- W porządku. Ile jest 25 podzielone przez 5?

- 5 oczywiście. Wymyśl coś trudniejszego.

- W porządku. Ile jest 99 podzielone przez 3?

- 33. Chodziło mi o coś trudniejszego. Coś, dzięki czemu uwierzyłabyś, że jestem przy zupełnie zdrowych zmysłach.

- Na miłość boską, Micky! Ile jest 3078 podzielone przez 2552?

Micky odparł bez wahania:

- Z dokładnością do czterech miejsc po przecinku 1,2061. Roxanne popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Ile?

Micky wpatrywał się w nią z otwartymi ustami, równie jak ona zaskoczony.

- Jesteś tego pewien? - zapytała Roxanne.

- Nie wiem. Po prostu ta właśnie liczba przyszła mi do głowy. To był taki dziwny błysk i nagle słowa same pojawiły się na moich ustach.

- No dobrze. A ile jest 9442,187 podzielone przez 671? - 14071,813.

- A 13898,602 podzielone przez 77? - 180462,36.

Roxanne potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- To niemożliwe, żebyś potrafił tak szybko liczyć. Chyba mnie oszukujesz.

- Weź kalkulator, to się przekonasz.

Roxanne przez chwilę szukała kalkulatora, który leżał na lodówce w kuchni.

- No dobrze, spróbujmy jeszcze raz - powiedziała, wchodząc do pokoju.

- Najpierw sprawdzimy to pierwsze zadanie.

- Już go nie pamiętam. I nie mów mi, że ty pamiętasz.

- Oczywiście, że pamiętam. To proste. Najpierw dzielił 3078 przez 2552.

Potem 9442,187 przez 671, a potem 13898,602 przez 77.

- Nieprawdopodobne - jęknęła Roxanne. - Jakim cudem to pamiętasz?

- Nie wiem. Tak po prostu.

- Czy myślisz, że to dzięki temu zastrzykowi?

- A czy jesteś w stanie wymyślić jakąś inną przyczynę? Przecież wiesz, że zawsze byłem kiepski z matematyki.

- Wiem też, że zawsze miałeś bardzo słabą pamięć. Zapominałeś o moich urodzinach i tak dalej...

- Hej, chyba cię już za to przeprosiłem!

Siedzieli na sofie i rozmawiali do bladego świtu, aż Orbison zaczął drapać łapami w tylne drzwi nie wiadomo dlaczego: czy chcąc wejść do środka, czy zamierzając ich uciszyć. Roxanne zadawała Micky'emu pytanie za pytaniem: dzielił, mnożył, potęgował, liczył procenty, odpowiadał na wszelkie pytania matematyczne i rozwiązywał zadania, które Roxanne potrafiła ułożyć na podstawie wiedzy, jaką wyniosła ze szkoły. Każde działanie przeprowadzał błyskawicznie i każda jego odpowiedź była poprawna. W końcu wyrecytował z pamięci długi artykuł zamieszczony w magazynie muzycznym po tym, gdy zaledwie raz rzucił na niego okiem. Poddając się kolejnej próbie, dokładnie powtórzył z pamięci całą stronę z książki telefonicznej.

Czuł się nadzwyczajnie. Odnosił wrażenie, jakby jego umysł otrzymał

niespodziewanie mnóstwo nowej energii. Poza tym czuł głód: głód wiedzy, pragnienie dostarczania swemu mózgowi jak największej porcji informacji, znajdowania odpowiedzi na jak najwięcej trudnych pytań i rozwiązywania zadań. Odnosił wrażenie, że mógłby teraz, nie ruszając się z domu, przeczytać jednym tchem dziesiątki książek.

Tymczasem przy jego nogach kręcił się Orbison. Orbison nie potrzebował książek, lecz pożywienia. Micky otworzył puszkę z jedzeniem dla psów, wyszedł na podwórko i wysypał zawartość do miski Orbisona. Przez chwilę patrzył na opakowanie, po czym wyrzucił puszkę do pojemnika na śmieci. Powróciwszy do domu, wyrecytował:

- Mięso i treści pochodne, płatki zbożowe, popiół, pieczywo, zawartość protein sześć i pół procenta.

Dodał do tej listy informacje o producencie, łącznie z początkowym kodem adresowym.

- Nadzwyczajne! - roześmiała się Roxanne.

- Cholera jasna, ten facet miał rację! - zawołał Micky, ściskając dziewczynę. -

Doktor Lügner miał rację! Powiedział, że to, czego doświadczyć, jest warte więcej niż jakiegokolwiek pieniędzy. Zgadza się. To fantastyczne! Potrafię zapamiętać wszystko, co tylko chcę. Teraz pamiętam nawet, w czym byłaś, kiedy pojechaliśmy na kolację razem z Franem i Phil, przypominasz sobie? Miałaś czerwoną bluzeczkę, krótką czarną spódniczkę i czerwoną wstążkę we włosach. Chryste, pamiętam nawet, co wówczas jadłem, a to było przecież aż cztery lata temu! Pamiętam, co ty jadłaś i co jedli Fran i Phil. Pamiętasz, smakował ci makaron z krewetkami?

- Micky, przestań! - zawołała Roxanne. - Bo za chwilę eksplodujesz!

- Nie ma mowy! Prawdę mówiąc, jeszcze nawet nie zacząłem.

Pocałowała go.

- A może teraz napiłbyś się kawy, mój komputerku? - zapytała. - I zjedlibyśmy jakieś śniadanie. Pewnie jesteś głodny.

- Jasne, oczywiście. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Czuję się, jakbym był geniuszem.

Zatelefonował do Mingusa, aby mu powiedzieć, że czuje się dobrze i że preparat doktora Lügnera okazał się doskonały.

- To niewiarygodne! - wołał do słuchawki. - To naprawdę działa. Czuję się tak bystry, że aż trudno mi uwierzyć, iż to wciąż jestem ja, ten sam Micky co wczoraj.

- Doskonale - odparł Mingus. - Tylko w tej bystrości nie zapomnij, że masz przeciętnego przyjaciela.

- Jasne, jasne.

Umówili się na spotkanie jeszcze tego samego dnia, po czym Micky odłożył

słuchawkę. Ogarnęła go niemożliwa do opanowania żądza czytania. Cóż mógł jednak przeczytać w domu poza kilkoma egzemplarzami „Holistic Timesa” i stosem magazynów „Guitar Player”? Był tym bardziej sfrustrowany niż w dniu, w którym zdał

egzamin na prawo jazdy, a nie miał samochodu. Potrzebował czegoś do czytania teraz, natychmiast, i to czegoś na odpowiednim poziomie. Encyklopedii, książek historycznych, chemicznych, atlasów.

Przypomniał sobie niektóre słowa doktora Lügnera, których słuchał z kasyety. „W

niedługim czasie staniesz się kimś innym, nowym, wspanialszym, otworzysz drzwi, które mogłyby na zawsze pozostawać dla ciebie zamknięte”.

Słowo „drzwi” było naturalnie metaforą, odnoszącą się do jego przeszłości. Ale może doktor Lügner miał również na myśli prawdziwe drzwi, drzwi do jego domu, gdzie trzymał wszystkie swoje książki? Może te słowa oznaczały zaproszenie do jego biblioteki, zaproszenie do napełnienia umysłu wiedzą, która była tam zgromadzona?

„Otworzysz drzwi”. Doktor Lügner otwierał je dzięki kombinacji kilku liczb, które wystukiwał na klawiaturze. Niespodziewanie Micky zdał sobie sprawę, że wszystkie je pamięta. Wziął do ręki długopis i szybko zapisał je na marginesie „Holistic Timesa”: 89-144-233-377. Problem polegał jedynie na tym, że doktor Lügner odradzał ich zapamiętywanie, gdyż szyfr ulegał zmianie po każdym otwarciu drzwi. Ale przecież musiały układać się w jakiś logiczny porządek, musiały istnieć między nimi określone zależności. Jeżeli to odgadnie, wówczas z całą pewnością będzie mógł, kiedy tylko zechce, bez problemu otwierać drzwi do domu doktora Lügnera.

- Śniadanie gotowe! - zawołała Roxanne z kuchni.

Micky jednak nie zareagował. Siedział w milczeniu kilkanaście sekund, myśląc intensywnie; to wystarczyło, aby przyszło mu do głowy rozwiązanie. Każda kolejna liczba była sumą dwóch liczb ją poprzedzających; w ten sposób można było ułożyć liczby od jedynki aż do nieskończoności w logicznym ciągu: 1-1-2-3-4-8-13-21-34 i tak dalej. Micky zauważył także, że stosunek pomiędzy 144 i 233 wynosił 1,618; stosunek pomiędzy 233 i 377 był taki sam. Zdał sobie też sprawę, że 1,618 jest jedyną liczbą, którą można podnieść do kwadratu przez dodanie do niej liczby 1.

Wciąż pogrążony był w rozmyślaniach, kiedy w pokoju pojawiła się Roxanne.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytała. Pokiwał głową twierdząco.

- Czuję się dziwnie, ale bardzo dobrze. W gruncie rzeczy jeszcze nigdy w życiu nie czułem się lepiej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z obskurnej budki telefonicznej na zapleczu restauracji „Laughing Lobster” przy New Haven Avenue w West Melbourne John ponownie zadzwonił do Sary Lake.

Próbował się z nią skontaktować już od wczorajszego popołudnia, jednak z każdym razem sekretarka odpowiadała, że „pani Lake nie ma aktualnie w biurze”. Tymczasem zdążył już zarezerwować sobie pokój w małym hoteliku przy Minton Road, wpisując się do księgi gości jako Thomas H. Benton; dość często używał tego pseudonimu. Wybrał

to właśnie nazwisko ze względu na jego popularność i ciepłe, swojskie brzmienie w odczuciu większości Amerykanów. Tylko miłośnicy sztuki mogliby kojarzyć nawiązanie do jednego z największych rodzimych malarzy, ale przecież bardzo rzadko deptali Johnowi po piętach ludzie, którzy interesowaliby się malarstwem późnego baroku.

Wypożyczył także samochód. Nie skorzystał z usług żadnej spośród dużych firm, lecz po prostu wynajął auto od pośredniczącego w sprzedaży używanych pojazdów handlarza, który dzierżawił

niewielki placzyk przy Kissimmee Highway. Pięcioletnia honda w kolorze brązowego metaliku, z tablicami rejestracyjnymi z Florydy, w zupełności mu odpowiadała. Handlarz zażądał dwudziestu pięciu dolarów dziennie.

Przysłuchując się, jak brzmi w słuchawce telefonicznej fragment Czterech pór roku Vivaldiego, niecierpliwie bębnił palcami w brudną półeczkę znajdującą się pod telefonem i czekał na połączenie z Sarą. Trwało to bardzo długo. Gdy już zaczynał

tracić nadzieję i oswajał się z myślą, że znów dzwoni na próżno, niespodziewanie usłyszał jej głos.

- John! To ty? Gdzie jesteś? Czy nic ci się nie stało?

- Ciągle oddycham i żyję, jeżeli to masz na myśli.

- John, tak mi przykro, że wczoraj mnie tutaj nie było. Policja przetrzymywała mnie do ósmej wieczór. Trudy powiedziała mi, że telefonowałeś. Próbowałam złapać cię w hotelu Breakers, ale odpowiadali mi, że nie ma cię w pokoju.

- Naprawdę spodziewałaś się, że po tym wszystkim będę spokojnie siedział w hotelu? Przecież ci bandyci chcieli mnie zlikwidować, Saro, tak samo jak zlikwidowali twoich przyjaciół. To był czysty przypadek, że akurat znajdowałem się w toalecie, kiedy zaczęli strzelać.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytała Sara. - Czy mam przyjechać po ciebie?

- Na razie znajduję się w pewnym anonimowym miejscu i przez jakiś czas zamierzam w nim pozostać. Zatelefonowałem do ciebie, bo wydaje mi się, że należy mi się jakieś wyjaśnienie, nie sądzisz? Jeśli się nie mylę, miałem szukać zaginionego jajogłowego faceta, prawda? W umowie nie było powiedziane, że będą na mnie polować jacyś maniacy z pistoletami.

- John, uwierz mi, nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Mogę tylko przypuszczać, że Kevin i Jesus narobili sobie wrogów wcześniej, zanim ich zatrudniłszy.

- Kevin i Jesus? Takie mieli imiona? Nieważne. Zostali zaskoczeni i nie mieli najmniejszych szans. Ale dlaczego faceci, którzy ich zabili, zaczęli polować na mnie?

- Byłeś świadkiem - zasugerowała.

- Cała restauracja była pełna świadków, dlaczego nie zastrzelili wszystkich, którzy na nich patrzyli? Powiem ci coś jeszcze: ci dwaj wiedzieli, że jestem z Kevinem i Jesusem, tylko nie znali mojego wyglądu. Zaczęli mnie ścigać dopiero wtedy, kiedy skierowałem się do samochodu.

- Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Chcę powiedzieć, że nie wiedzieli, jak wyglądam, wiedzieli natomiast, jakim jeżdżę autem. Skąd? Zdaje się, że samochód został wypożyczony przez Broussard Guidance Systems, prawda?

- Tak, ale...

- Ale co? Na miłość boską, Saro, na moich oczach zginęło dwóch twoich ludzi, a ja sam przeżyłem tylko cudem. Mam dosyć pracy dla ciebie. Rozpieprzyłaś moje życie osobiste, sprawiłaś, że zostałem wylany z dobrej roboty. Jeżeli jeszcze myślisz, że dla ciebie jestem gotów oddać życie, to grubo się mylisz.

- John... Musimy pogadać. I to nie przez telefon.

- Nie mam ochoty na rozmowę. I nie mam już ochoty na szukanie twojego jajogłowego. Dam sobie radę bez ciebie.

- John, uspokój się. Ci faceci z całą pewnością się pomylili. - Posłuchaj, Saro.

Naprawdę, nie stanowi dla mnie różnicy to, czy zostanę zabity przez pomyłkę, czy celowo.

- Chyba nie sugerujesz, że miał z tym coś wspólnego ktokolwiek z Broussard Guidance Systems? Przecież to absurd! Kevin i Jesus byli naszymi najlepszymi detektywami! Zatrudnialiśmy ich za duże pieniądze! Dzięki Kevinowi dotarliśmy do Williama Cicero bliżej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Niczego nie sugeruję. Po prostu rezygnuję z pracy dla twojej firmy i dziękuję za jednodniowe wakacje. Zobaczyc Florydę i umrzeć...

- John, proszę, spotkajmy się. Nie możesz tak po prostu tego zostawić. -

Zostawiam. Kropka.

- Przemyśl to.

- A co tu jest do myślenia? Kula w głowie zawsze jest kulą w głowie, niezależnie od tego, kto i dlaczego odda strzał.

- John, proszę cię. Tu chodzi o coś znacznie poważniejszego niż tylko zaginięcie jednej osoby. Ta sprawa może mieć wpływ na stan bezpieczeństwa narodu.

- A co z moim bezpieczeństwem?

- Nie będziesz bezpieczny, dopóki się nie dowiemy, kto zabił Kevina oraz Jesusa i chciał zabić ciebie. Skoro mają zamiar cię zamordować, będą cię ścigać i dopadną w miejscu i w chwili, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewał. Proszę bardzo, wróć do swojego San Francisco, ale nie bądź naiwny i nie licz, że tam odzyskasz spokojny sen.

- Rezygnuję. Rezygnuję z pracy dla Broussarda, słyszysz?

- Przemyśl to, John. I spotkaj się ze mną.

Wyczuł w jej głosie błagalny ton. Wahał się przez chwilę, aż wreszcie zapytał:

- Kto wpadł na pomysł, żeby mnie zatrudnić? Chyba nie ty, prawda?

- Oczywiście, że nie. To Gene. Ja w ogóle nie wiedziałam, że istnieje ktoś taki jak ty. Gene grywa w golfa z Bobem Prizerem... prezesem Prizer Pharmaceuticals.

- Jasne. Widzę, że rekomendację miałem bardzo mocną.

- Znalazłeś Dietera Waxmana, a nikt inny tego nie potrafił.

- Potrafię odszukać każdego, jeżeli chcę. A nie chcę szukać Williama Cicero.

Sara umilkła. Tak długo nic nie mówiła, że Johnowi przemknęła przez głowę myśl, iż kobieta odwiesiła słuchawkę. W końcu jednak usłyszał jej głos.

- Jeżeli stracę ciebie, John, stracę również moją pracę. Od ciebie zależy cała moja kariera. Jeżeli nie uruchomimy MiGR8, stracimy setki milionów dolarów; ktoś będzie musiał za to odpowiedzieć, a nie sądzisz chyba, że Gene przyjmie winę na siebie.

Jakaś siwa kobieta w wielkich okularach i turkusowym dresie wsunęła głowę do budki i warknęła:

- Co pan tam robi, do diabła? Dyktuje pan swoje pamiętniki?

Skinął do niej głową, dając do zrozumienia, że zaraz skończy rozmowę, po czym odezwał się do Sary:

- Jeszcze do ciebie zadzwonię. Muszę się nad tym wszystkim zastanowić.

- Tylko o to cię proszę.

Odwiesił słuchawkę na widełki. Stał przez chwilę w budce, intensywnie rozmyślając w ciszy. Działo się coś złego i w tym wszystkim zabójstwo Kevina oraz Jesusa wcale nie było najgorsze. Miał przeczucie, że do tej pory tkwi za ledwie na wierzchołku góry lodowej, że sprawa, w którą został uwikłany, jest o wiele groźniejsza i poważniejsza, niż w tej chwili może podejrzewać. A przecież niebezpieczeństwo nie było dla niego nowością. Dieter Waxman odkrył, że Prizer Pharmaceuticals współuczestniczą w produkcji środków paraliżujących system nerwowy i w imię swoiście pojętego dążenia do „równoważenia sił na świecie” spróbował sprzedać ich receptury Irakijczykom. John uniemożliwił tę transakcję, jednak nigdy nie dotarł do sedna afery. Departament Obrony zaprzeczył, że kiedykolwiek finansował

eksperymenty Prizera, a przecież prywatna korporacja farmaceutyczna z całą pewnością nie włożyłaby setek milionów własnych środków w projekt, który nie miał najmniejszej szansy na wolnym rynku. John nie dowiedział się, kto popierał te plany; był niemal pewien, że nie dowie się również, dlaczego zginął pulchny i Kubańczyk, Kevin i Jesus.

W gruncie rzeczy wcale nie zależało mu na tym, żeby się tego dowiedzieć.

Siwa kobieta niecierpliwie uderzyła dziesięciocentówką w szklaną ścianę budki i John wreszcie wyszedł na zewnątrz.

- Przepraszam panią - powiedział. - Właśnie zmarła moja babcia.

- Na każdego z nas przyjdzie czas - mruknęła kobieta i zatrzasnęła za sobą drzwi do budki.

John przeszedł przez jezdnię i ruszył w kierunku Palm Hotel. Był to niewielki budynek w kształcie prostopadłościanu z ciemnobrązowej cegły, postawiony w latach sześćdziesiątych. Przed wejściem rosła samotna palma - marna, zakurzona i zaniedbana, jedynie przy dobrej woli gości mogąca stanowić usprawiedliwienie właściciela hotelu, dlaczego nazwał ów przybytek właśnie tak, a nie inaczej. Poranek był bardzo gorący i koszula już od dawna lepiała się do pleców Johna. Poprzedniego dnia po wyjściu z oceanu pośpieszył do jakiegoś sklepu przy plaży i kupił sobie dzinsy oraz dwie koszule z krótkimi rękawami. Wiedział, że to mu na długo nie wystarczy i będzie musiał zrobić jeszcze jakieś większe zakupy. Nie zamierzał ryzykować powrotu do Breakers.

Dziękował Bogu, że udało mu się uratować portfel, w przeciwnym wypadku musiał by paradować po mieście w spodenkach uwalanych w piasku.

Zamierzał pojechać do Miami i tam złapać samolot do San Francisco. Jeżeli ludzie, którzy go ścigali, myśleli logicznie, powinni raczej obstawić Orlando International.

Oczywiście mogli również obserwować przyloty w San Francisco, ale na to nie był już w stanie nic poradzić. Wszystko zależało od tego, kim oni są, kto im płaci i czego chcą.

Jak do tej pory John nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań; wiedział jedynie, że za wszelką cenę nie chcą dopuścić, by Broussard odnalazł Williama Cicero.

Był już blisko hotelu, gdy zauważył samochód zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy - szarego buicka, takiego samego jak ten, przed którym poprzedniego dnia uciekł

na plażę. Silnik auta był włączony, żeby pracowała klimatyzacja. Wewnątrz znajdował się tylko jeden człowiek, i to na fotelu dla pasażera.

Oczywiście szarych buicków było w Stanach tysiące. Poza tym nie należał do rzadkości widok mężczyzny siedzącego samotnie w samochodzie. Ale... Ten facet z całą pewnością czekał na kierowcę, który gdzieś tutaj załatwiał jakąś sprawę. A przecież w najbliższej okolicy nie było żadnego biura, urzędu, sklepu. Żadnego miejsca, przed którym można by zatrzymać się na chwilę, by kupić papierosy, zrobić fotokopię jakiegoś dokumentu, podczas gdy kolega z pracy czekałby w samochodzie. Dookoła były tylko restauracje i hotele, a jaki mógłby być powód, żeby na moment zatrzymać się przed hotelem? Można było sprawdzić, czy są wolne miejsca, dostarczyć albo odebrać jakąś przesyłkę, dowiedzieć się o drogę. Albo zapytać portiera, czy nie widział pewnej osoby, którą zamierza się odnaleźć.

Zastanawiając się, czy aby nie jest przewrażliwiony, John minął hotel, lecz zerknął

do środka, kiedy obok niego przechodził. Trudno mu było cokolwiek spostrzec, ponieważ w szybach odbijał się widok zalanej słońcem ulicy. W pewnej chwili jednak na ułamek sekundy mignął mu przed oczami mężczyzna w szarym garniturze. Stał przy recepcji i rozmawiał z panem Hubermanem,

właścicielem hotelu. John minął następny budynek i od tyłu wszedł po schodach aż pod drzwi Carden Arts, galerii z antykami.

Tam przystanął w cieniu, z całą pewnością niewidoczny dla mężczyzny w buicku. Sam natomiast mógł bez kłopotów obserwować i samochód, i wejście do Palm Hotel.

Nastawił się na długotrwałe oczekiwanie, do jakiego przywykł podczas minionych piętnastu lat pracy w charakterze detektywa. W ogóle się nie ruszał, nie przestępował z nogi na nogę, nawet nie próbował spoglądać na zegarek. Za szybą we wnętrzu galerii pojawiła się jakaś kobieta o bladej karnacji i wtykając głowę pomiędzy obrazy a wyroby garncarskie, zaczęła się Johnowi uważnie przyglądać. Nie odwzajemnił jej spojrzenia.

Nawet nie mrugnął okiem.

Po chwili kobieta wyszła na zewnątrz i stanęła obok niego. Była bardzo chuda, na rękach miała mnóstwo srebrnych bransolet, a na sobie miała błękitną muślinową sukienkę. Wokół oczu miała makijaż tak gęsty i czarny, że mimo woli przywodziła Johnowi na myśl pandę.

- Zapraszam do środka - powiedziała.

Nie odpowiedział jej, jego oczy przez chwilę cały czas utkwione były w buicku.

- Mam cudowne obrazy oceanu namalowane przez Felicity Frewen. Zapłaciłby pan po trzy tysiące dolarów za każdy, gdyby miał je pan kupować na aukcji.

- Dziękuję serdecznie. Po prostu schroniłem się na chwilę przed słońcem.

Zmarszczyła czoło.

- Wcale nie. Coś pan obserwuje. Dlaczego?

Wyszła na chodnik i rozejrzała się dookoła.

- Niczego nadzwyczajnego nie widzę - stwierdziła.

W tej samej chwili z Palm Hotel wyszedł mężczyzna w szarej marynarce i przeszedł przez jezdnię. John był już pewien, że jest to jeden z tych, którzy zabili pulchnego i Kubańczyka. Jego chód był bardzo charakterystyczny, arytmiczny, nierówny. Poza tym jego twarz... John wiedział, że nigdy już jej nie zapomni.

Mężczyzna wszedł do buicka i zatrzasnął za sobą drzwiczki, jednak samochód nie odjechał.

To był zły znak. Skoro nie zamierzali się stąd ruszać, mogło to znaczyć tylko tyle, że wiedzą już, iż John mieszka w Palm Hotel. Zapewne postanowili na niego czekać.

- O co chodzi? - zapytała kobieta z oczyma pandy. - Na miłość boską, niech pan nie będzie taki zmartwiony.

John wciąż wpatrywał się w buickę.

- Czy zechciałaby pani wyświadczyć mi przysługę? - zapytał niespodziewanie.

Kobieta zamrugła oczyma i przycisnęła dłoń do klatki piersiowej.

- Nie jestem pewna - odparła. - Wszystko zależy od tego, o co mnie pan poprosi.

- Czy zna pani pana Hubermana, właściciela Palm?

- Oczywiście. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Ostatnim razem, gdy zmieniał

wystrój wewnątrz w hotelu, kupił dwanaście obrazów Daphne Screeds. Oryginały, chciałam zaznaczyć.

- Czy mogłaby więc pani udać się do Palm i zapytać pana Hubermana, kim był ten mężczyzna i czego od niego chciał?

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczyma.

- Chyba nie jest pan żadnym zbiegiem, co?

- Jestem prywatnym detektywem.

- Czy to sprawa rozwodowa? Bo jeżeli tak, to panu nie pomogę. Jestem zwolenniczką absolutnej wolności, jeżeli chodzi o fizyczną ekspresję uczuć, niezależnie od tego, czy osoba je eksponująca nosi obrączkę, czy też nie.

- Bardzo panią proszę... To nie ma nic wspólnego z żadnym rozwodem.

- Cóż... Sama nie wiem dlaczego, ale pomogę panu. Tymczasem pan niech pilnuje mojej galerii. Zamek jest zbyt skomplikowany, żeby wszystko na kilka chwil zamykać.

- Będę pilnował galerii, obiecuję.

- I niech pan nie próbuje niczego sprzedawać.

- Dobrze. Obiecuję.

Nie było jej dwie albo trzy minuty. Powróciła swobodnym krokiem, stawiając stopę za stopą dokładnie jedna za drugą, jakby szła po linie.

- Niech pan wejdzie do środka - powiedziała. - W galerii jest chłodniej niż na zewnątrz.

John posłusznie ruszył za nią. Na wszystkich ścianach wisiały obrazy albo grafiki, a i tak nie starczało dla nich miejsca; kilka prac eksponowanych było na stojakach. Dało się zauważyć również kilka figurek z brązu, głównie niekompletnie ubranych tancerek.

- Pan Huberman powiedział, że ten mężczyzna reprezentował jakąś rządową agencję do spraw

bezpieczeństwa. Pokazał mu identyfikator i zaproponował, by zatelefonował pod specjalny tajny numer, jeżeli chce dodatkowo potwierdzić jego wiarygodność. Twierdził, że poszukuje jakiegoś Johna, nazwiska nie zapamiętałam...

Chociaż, chyba brzmiało Hunter, ale nie jestem pewna. Ten mężczyzna być może posługuje się również jeszcze innym nazwiskiem, Benton.

Cholera jasna, pomyślał John. A więc i karty kredytowe są spalone. Na nazwisko Thomas H. Benton miał ich cztery: American Express, Mastercharge, Visę i Exxon.

Oprócz tego ulokował jako Benton 1650 dolarów na koncie w Wells Fargo Bank.

- Chyba to nie o pana chodzi, co? - zapytała kobieta. - Mam nadzieję, że nie jest pan niebezpieczny i nie posiada pan broni?

- Żałuję, ale nic z tych rzeczy. Czy ten mężczyzna powiedział, dlaczego szuka tego Johna?

- Po prostu go szuka. Podobno ma to jakiś związek z bezpieczeństwem narodowym.

John podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Buick wciąż tkwił na swoim miejscu.

- Tu chodzi o pana, prawda? - zapytała kobieta.

- Tak, o mnie. Ale nie ma to nic wspólnego z bezpieczeństwem narodowym, zapewniam panią. Ci faceci są mordercami, to wszystko. Chcą mnie zabić, a ja nawet nie wiem dlaczego.

Kobieta stanęła bardzo blisko, nieomal dotykając Johna. Kiedyś musiała być bardzo piękna, teraz jednak jej skóra była pomarszczona i sucha niczym jesienne liście.

- Zabić pana?

- Właśnie. Zamordować. Zlikwidować. Wyeliminować. Załatwić. Unieszkodliwić, jak mawiają w służbach specjalnych.

- A pan co zamierza?

- Zamierzam spieprzać stąd, kiedy tylko będzie to możliwe. W tym celu chyba znów potrzebowałbym pani pomocy. Mój samochód stoi na parkingu na tyłach hotelu.

Gdyby była pani tak dobra i przyprowadziła go tutaj...

Kobieta jakby się wahała.

- Nie wiem, czy powinnam to robić. W końcu jeżeli oni są naprawdę agentami rządowymi, kto wie, co pan wywinął? Jeżeli panu pomogę, może zostanie aresztowana?

John uściskał obie jej dłonie.

- Jak ma pani na imię? - zapytał. Po krótkim wahaniu odparła:

- Constance. Constance Carden. Dlaczego chce pan wiedzieć?

- Ponieważ, Constance, nie prosiłbym pani o pomoc, nie znając pani imienia, nie prosiłbym też o nią, gdybym nie był naprawdę niewinny żadnej zbrodni i gdybym pani pomocy naprawdę nie potrzebował. Jest pani zbyt wspaniałą kobietą, bym mógł panią wykorzystać. Niech pani spojrzy na tę galerię. Niech pani spojrzy na siebie.

- Nabija się pan ze mnie - powiedziała niepewnym głosem. Jednak sposób, w jaki opuściła głowę, wbijając wzrok w ziemię, upewnił Johna, że miłe były dla niej jego słowa.

Wyjął z kieszeni kluczyki od samochodu.

- To jest brązowa honda. Stoi w samym rogu parkingu, tuż przy płocie. Niech pani jedynie podjedzie tym samochodem pod swoją galerię, a potem już nigdy mnie pani nie zobaczy.

Uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

- W porządku - powiedziała. - Nie wiem dlaczego, ale to zrobię. Może potrzeba mi trochę mocnych wrażeń?

John pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Spotykając takie osoby jak pani, przekonuję się, że warto żyć na tym świecie.

Wzięła od Johna kluczyki, zanim jednak opuściła galerię, podeszła do swego stolika i podała mężczyźnie mały wisiołek. Był to pomalowany na niebiesko kawałek metalu z odciskiem stopy pośrodku.

- Niech pan to weźmie - powiedziała. - To talizman. Będzie pana strzegł.

- Nie mogę tego od pani przyjąć, jeżeli nie zapłacę.

- Och, niech pan przestanie. W moim życiu nic ciekawego się nie dzieje. Wstaję rano, otwieram galerię, sprzedaję kilka obrazów. Potem wracam do domu i śpię sama.

Widzi pan tę stopę? To symbol o ogromnym znaczeniu. Stopy pozwalają człowiekowi chodzić pionowo. Stopa jest też symbolem ludzkiej duszy. Duńczycy zawierali traktaty, spryskując stopy krwią. Pitagoras zabraniał zacierania śladów ludzkich stóp, gdyż twierdził, że w stopie mieści się dusza człowieka; zniszczenie przez innego człowieka takiego śladu mogło stać się przyczyną nieszczęścia. To jest odcisk pańskiej stopy, pomoże panu przetrwać trudne chwile.

- Jeżeli tak, to przyjmę ten podarunek - powiedział John i pochylił się, by Constance mogła zawiesić mu wisiołek na szyi.

- Powodzenia - wyszeptała Constance i wyszła.

John podszedł do drzwi i popatrzył, jak kobieta idzie powoli w kierunku Palm Hotel. Było już prawie południe i nieznośny upał wygonił z ulic wszystkich przechodniów; w zasięgu wzroku Johna oprócz Constance nie było nikogo. Ona tymczasem minęła hotel i po chwili skręciła na parking dla gości hotelowych.

Czas włókł się nieznośnie. Jak długo może trwać odszukanie samochodu i uruchomienie go? John z niepokojem spoglądał co chwilę na mężczyzn siedzących w buicku, doszukując się w ich zachowaniu jakiegokolwiek znaku, że zwrócili uwagę na Constance, ale na razie nic na to nie wskazywało. Czuł się w tej chwili opuszczony, samotny i zniechęcony, zdawało mu się, że nawet gorzej niż wtedy, gdy opuściła go Lorna, gdy zaczął się sypać interes, w uruchomienie którego włożył tak dużo sił i energii. Odnosił wrażenie, że jest teraz białym szczurem w jakimś laboratorium, że próbuje gdzieś uciec, zdobyć dla siebie przyszłość, do której już nie ma prawa.

Niespodziewanie zza hotelu wyjechała honda. Samochód na chwilę przystanął, po czym ruszył w kierunku galerii. Mężczyźni w szarym buicku nie zwrócili na niego uwagi, co oznaczało, że nie wiedzą, iż samochód należy do Johna. Niemal modlił się, by tak rzeczywiście było, by Constance nie stała się żadna krzywda.

Constance powoli przejechała kilkadziesiąt metrów dzielących hotel od galerii i zatrzymała auto. John przez chwilę się wahał, ale zaraz wyszedł z chłodnej galerii i znalazł się na chodniku, doskonale widoczny ze wszystkich stron. Minęła zaledwie sekunda i silnik buicka głośno zawył, a pojazd błyskawicznie oderwał się od krawężnika. John szarpnął za pasażerskie drzwiczki hondy i krzyknął prosto w twarz Constance:

- Jedziemy!

- O mój Boże - jęknęła kobieta. - Jestem słabym kierowcą. Mimo to w chwili, gdy buick kończył nawracanie, by ich doścignąć, nacisnęła pedał gazu i samochód ruszył z piskiem opon.

- Szybciej, szybciej! - krzyknął John.

- Na miłość boską, dokąd mam jechać? - Nieważne. Na razie tutaj, w prawo. Tak, doskonale. Wskoczyli zza rogu i prawie przejechali przechodzącego przez jezdnię starszego mężczyznę w szerokim kapeluszu.

- Chuligani! - zawołał za nimi staruszek.

- Znowu w prawo - powiedział John.

W lusterku na osłonie przeciwsłonecznej, którą opuścił na szybę przed sobą, ujrzał

wkrótce buicka bez wątpienia podążającego za nimi. Constance ponownie skręciła w prawo i w tej chwili jechali w kierunku Kissimmee Highway.

- Zwalniasz! Na Boga, nie zwalniasz!

- Ale tu można jechać tylko sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Do cholery, ci faceci za nami chcą nas zabić! Mandat za przekroczenie szybkości jest w tej chwili naszym najmniejszym zmartwieniem!

- Skoro tak twierdzisz - powiedziała Constance i mocniej nacisnęła na pedał gazu. -

Chyba zaczyna mi się to podobać.

Dotarli do Kissimmee Highway i włączyli się do ruchu, nie zwalniając. Wjechali na autostradę tak gwałtownie, że wywołali prawdziwy chór klaksonów; to protestowali kierowcy, którym zajęchali drogę. John popatrzył z przerażeniem na Constance, ale ona jedynie lekko się uśmiechnęła.

- Chyba można się do czegoś takiego przyzwycząić, nie sądzisz? - odezwała się.

Niewątpliwie miała na myśli odgłosy klaksonów.

Skręciła gwałtownie, by wyprzedzić z prawej strony jakiegoś pickupa, którego pasażer głośno wrzasnął:

- Hej, babuniu, nie możesz doczekać się naturalnej śmierci?

- Odpierdol się! - odkrzyknęła, a Johnowi niemal włosy dęba stanęły na głowie. Co ja zrobiłem, pomyślał.

Skręcili w prawo, w John Rodes Boulevard. Jechali teraz na północ, ale John zamierzał przy pierwszej okazji obrać trasę na wschód, ku wybrzeżu oceanu, i zgubić buicka na zatłoczonej Miramar Avenue. Potem mogli zawrócić na zachód.

Znów popatrzył w lusterko. Przez chwilę miał już nadzieję, że pozbyli się buicka, jednak wkrótce go ujrzał, oddzielonego od hondy dziesięcioma albo jedenastoma innymi pojazdami.

- Utrzymuj szybkość! - zawołał do Constance. - Jeżeli będziemy mieli szczęście, to zgubimy go na światłach, na jakimś skrzyżowaniu.

Jednak cały czas i oni, i buick jechali na zielonej fali, a poza tym im dalej na północ, tym więcej samochodów zjeżdżało w boczne ulice oraz drogi i wkrótce dzielił

ich od prześladowców tylko wielki dodge ram o szerokich kołach, którego kierowca, w czapeczce baseballowej, był uderzająco podobny do Bruce'a Willisa. John zrozumiał, że buick jest równie szybki jak honda i prostą ucieczką niczego nie wskórają.

- Zwolnij - powiedział do Constance. - Stopniowo, równomiernie zwalnij.

Constance wykonała polecenie i po chwili honda poruszała się z prędkością nie większą niż trzydzieści kilometrów na godzinę. Kierowca rama zaczął ich poganiać, naciskając na klakson i dając sygnały reflektorami. Constance popatrzyła w lusterko i odezwała się:

- Jedzie nam niemal na tyłku. Co mam teraz robić?

- Zwolnij jeszcze bardziej.

Constance ściągnęła nogę z pedału gazu i honda zwolniła do prędkości piechura.

Kierowca rama nie zdejmował ręki z klaksonu. Wreszcie wychylił się przez okno.

- Nie panikuj. - John uspokoił kobietę. - Jeżeli możesz, to jedź jeszcze wolniej.

Bądź jednak gotowa, że w każdej chwili będziemy musieli zerwać się do ucieczki.

Kiedy wreszcie dotarli do skrzyżowania z Eau Gallie Boulevard, lewy pas drogi okazał się pusty. Zamierzał z tego skorzystać kierowca rama. Wykonał gwałtowny skręt w lewo, próbując wyprzedzić hondę.

- Teraz! - zawołał John i Constance natychmiast przycisnęła pedał gazu. Honda nie była nowym autem i nie miała szaleńczego zrywu, jednak przyśpieszenie wystarczyło, by uniemożliwić kierowcy rama wyprzedzenie. Przez długą chwilę dwa pojazdy jechały obok siebie; przednie prawe koło ciężarówki obracało się zaledwie w odległości kilkunastu centymetrów od otwartego lewego okna hondy. John wychylił się tak, by dokładnie widzieć kierowcę rama. Jego twarz miała kolor żurawiny i wykrzywiona była w grymasie zdziwienia i wściekłości. Gdy mężczyzna zerknął w bok, John uśmiechnął

się do niego anielsko, co kierowcę rozwścieczyło jeszcze bardziej.

Kilkadziesiąt jardów za skrzyżowaniem ram musiał wrócić na miejsce za nimi. W

miarę jak pędzili na wschód, był jednak coraz bardziej wściekły i w końcu ponowił

manewr wyprzedzania. Szary buick jechał tuż za nimi. Gdy tylko ram znalazł się na lewym pasie, John szarpnął kierownicę hondy, zajeżdżając mu drogę. Tym razem kierowca rama nie wytrzymał: kilkakrotnie naciśnąwszy na klakson, uderzył

jednocześnie w tył hondy. Constance na chwilę straciła panowanie nad kierownicą, a wtedy samochód kilkakrotnie skręcił od lewego pobocza ku prawemu i z powrotem.

Ponieważ honda straciła prędkość, zwolnić musiał również kierowca rama.

Morderca za kierownicą buicka był coraz bardziej zniecierpliwiony pościgiem i całą tą zabawą. Podjął próbę wyprzedzenia rama, jednak rozwścieczony facet za kierownicą ciężarówki nie zamierzał mu na to pozwolić, dopóki sam nie wyprzedzi tej pieprzonej starej baby kierującej hondą.

W szybkim tempie zbliżali się do Eau Gallie Causeway, stanowiącej dojazd do Intercoastal Waterway.

- Jak się czujesz? - zawołał John do Constance. - Uważaj, bo najważniejsze dopiero przed nami. Nie trać teraz zimnej krwi.

Constance popatrzyła w lusterko.

- On znowu próbuje. Co mam robić? - zapytała.

Przed nimi, ciężko sunąc prawym pasem, w kłębach czarnego dymu jechała wielka ciężarówka 7-11, najwyraźniej zmierzając ku Eau Gallie Causeway. Przynajmniej pół

kilometra przed ciężarówką droga była pusta, jeżeli nie liczyć kolejnego dużego, ciężkiego pojazdu, sunącego jednak w tym samym kierunku.

- Zjedź na lewy pas i zajedź mu drogę. Trzymaj się dokładnie na wysokości tylnego zderzaka 7-11, ale nie wyprzedzaj.

Constance w ostatniej chwili udało się wyjechać przed rama, a jego kierowca znów rozpoczął swój tradycyjny już koncert „światło i klakson”. Nie zważając na niego, Constance ustawiła hondę dokładnie tak, jak nakazał jej John; uniemożliwiła ramowi wyprzedzenie, sama natomiast nie wyprzedzała powolnej 7-11. W hondzie słychać już było nawet przekleństwa i okrzyki wydobywające się z kabiny rama.

Tymczasem John dostrzegł w swoim lusterku, że kierowca buicka zamierza zrobić dokładnie to, czego się po nim w tej sytuacji spodziewał. Pozostawał na prawym pasie i powoli zbliżał swój pojazd do hondy, wyprzedzając rama z prawej strony. Wkrótce jechał równolegle z nim. John odwrócił się i dokładnie przyjrzał się twarzom zabójców.

Obaj mieli na oczach ciemne okulary; bez wątpienia byli to jednak ci sami osobnicy, którzy załatwili Kevina i Jesusa w restauracji.

Ich twarze pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu. John nie dojrzał u nich na razie żadnej broni, jednak nie wątpił, że ją posiadają i że wybiorą najbliższą stosowną chwilę, żeby go zastrzelić; zapewne na Eau Gallie Causeway.

- Teraz cię poproszę, żebyś wykonała coś bardzo niebezpiecznego - powiedział do Constance. - Jednak nie rób tego, jeżeli uznasz, że to dla ciebie zbyt trudne.

- Zrobię, zrobię. O co chodzi?

- Gdy tylko nadjedzie coś z naprzeciwka, skręć w lewo i ustaw się pomiędzy tym samochodem i skrajem szosy, na lewym poboczu.

- Chcesz, żebym?...

Kierowca rama ponownie trzasnął w tylny zderzak hondy. Buick jechał niemal równolegle z nimi, niebezpiecznie blisko 7-11. John popatrzył przed siebie i zawołał:

- Teraz!

W tym samym momencie tylna szyba hondy rozprysła się w drobny mak.

Odgłosowi pękającej szyby towarzyszył huk trzech wystrzałów. Przynajmniej dwie kule znalazły się w kabinie hondy. Jedna rozorała podsufitkę, a druga utkwiała w tapicerce fotela, na którym siedział John.

- Boże, wybacz mi! - zawołała Constance i skierowała hondę na lewe pobocze.

Ciężarówka nadjeżdżająca z naprzeciwka znajdowała się o wiele bliżej, niż sądził John.

Usłyszał odgłos klaksonu, a potem widział już tylko w szybie przed sobą wielką maskę, która za chwilę musiała niechybnie uderzyć w przód hondy.

Boże, pomyliłem się, pomyślał John. Zaraz oboje umrzemy.

A jednak kierowca ciężarówki skręcił na środek szosy i jego samochód zaledwie otarł się o hondę. Rozległ się odgłos tłuczonego szkła i rozrywanej blachy, a mimo to jechali dalej; po chwili honda bezpiecznie zatrzymała się na lewym poboczu.

Ujrawszy lukę za 7-11, kierowca ciężarówki dostrzegł w tym swoją szansę.

Niczym mistrz slalomu uniknął zderzenia z ramem, jednak szary buick znalazł się dokładnie na jego drodze.

John nie potrafił zidentyfikować hałasu, który nastąpił w chwili, kiedy doszło do zderzenia. Jak dla niego, kraksa mogła zresztą nastąpić w całkowitej ciszy. Zobaczył

tylko dym unoszący się spod hamujących dwudziestu opon ciężarówki i rozpadającego się na kawałki, pod wpływem uderzenia wielkiego pojazdu, szarego buicka. Nie słyszał

pisku hamujących opon, nie słyszał chrzęstu roztrzaskiwanej blachy, pękających szyb, rozrywanego metalu nawet wtedy, gdy buick, niszcząc barierki ochronne, wypadał z drogi w co najmniej trzech częściach i turlał się po stromym nasypie, długim na jakieś pięćdziesiąt metrów. Podążając za buickiem, po chwili zniknęła z szosy również ciężarówka.

Twarz Constance była biała jak papier.

- Myślałam, że zaraz zginiemy - odezwała się drżącym, słabym głosem. -

Naprawdę myślałam, że zaraz zginiemy.

- Chwileczkę - powiedział John.

Gwałtownie kopnął drzwiczki i wysiadł z samochodu. Przebiegł przez szosę i popatrzył w dół. Dookoła stało już mnóstwo pojazdów i wokół Johna rósł tłum ciekawskich przyglądających się nieszczęściu innych. Widział leżące w kilku miejscach fragmenty buicka i zakrwawione ciała morderców, z pewnością już martwych. Płonął

silnik ciężarówki, jednak kabina kierowcy była w całości i nie wyglądała na bardzo zniszczoną. W

pewnej chwili otworzyły się jej drzwiczki i wyskoczył z niej kierowca.

W tłumie rozległy się oklaski i okrzyki ulgi. John odszedł na bok. To, co zobaczył, już mu wystarczyło i nie miał żadnego powodu, by pozostawać w tym miejscu chociażby chwilę dłużej.

Rzadko się modlił, jednak teraz powiedział półgłosem:

- Dzięki ci, Boże.

Następnie przebiegł przez szosę i dołączył do Constance.

- Wygląda na to, że z kierowcą ciężarówki wszystko w porządku - powiedział. -

Zwiewamy stąd, dobrze?

- A co z tymi mężczyznami, którzy cię ścigali?

- Nie wiem, nie widziałem dokładnie. Być może przeżyli. Constance westchnęła ciężko.

- Wiesz co, John, zawsze pragnęłam przygód. Jednak nie jestem pewna, czy ta akurat mi się spodobała.

John lekko dotknął jej dłoni. Była pomarszczona, jednak zmarszczki były delikatne, niemal przyjemne w dotyku.

- Nie powinienem był cię w to wciągać - powiedział. - Bardzo przepraszam.

Odwiozę cię do galerii. Potem będziesz mogła zapomnieć o tej przygodzie.

W tym momencie ujrzeni kierowcę rama biegnącego w ich kierunku. Jego twarz była jednocześnie szara i czerwona, a rysujący się na niej grymas nie pozostawiał

wątpliwości, że facet jest krańcowo wściekły.

Constance rzuciła szybkie spojrzenie na kierowcę, a potem na Johna.

- Wcale nie chcę o tym zapomnieć - stwierdziła. - Zresztą nie potrafiłabym. Dokąd mam cię zawieźć?

Kierowca rama był już niemal przy hondzie. Johnowi przemknęło przez głowę, że zaraz ich dopadnie i że nie mają szansy przed nim umknąć, jednak prędko krzyknął do Constance:

- Przed siebie!

Honda wyskoczyła do przodu niczym wystrzelona z katapulty. Za nią pozostał

kierowca rama z wyciągniętą przed siebie ręką, którą miał właśnie szarpnąć za drzwiczki auta. Krzyczał coś przez chwilę i wymachiwał jakimś ciężkim przedmiotem, jednak wkrótce jego postać widoczna we wstecznym lusterku stała się zbyt drobna, by określić znaczenie jego ruchów. Jego

intencje były jednak aż nadto oczywiste.

Skręcili na zachód, na autostradę numer 1 wiodącą z powrotem w kierunku New Haven Avenue, a potem Kissimmee Highway. Za nimi przez długi czas widoczna była chmura gęstego dymu unosząca się wysoko ku niebu, a nad ich głowami pojawiły się policyjne helikoptery zmierzające do miejsca wypadku.

Przez długi czas John i Constance jechali w absolutnym milczeniu. Oboje nie wiedzieli, w co zostali wplątani, jednak oboje, każde na podstawie własnych przemyśleń, dochodzili do przekonania, że zechcą sprawę do końca wyjaśnić. Skoro ktoś zamierzał ich zamordować, John musiał poznać tego przyczyny. Jeżeli nie dowie się tego, już nigdy nie będzie czuł się wolnym człowiekiem; do końca jego życia zawładną niepewność i strach. Constance natomiast zdała sobie sprawę z tego, że jeśli przygoda, która się jej przydarzyła, w tej chwili się skończy, zapewne już nigdy nie będzie miała szansy na następną.

To prawda, że była ciężko przestraszona. Ale czuła się tak, jakby nagle odzyskała część młodości i przybyło jej wiele sił witalnych. Jadąc wśród drzew i bagien otaczających autostradę 192, Constance co jakiś czas spoglądała na Johna, a on na nią.

Mój Boże, rozmyślała, gdyby moje wnuki mogły mnie teraz widzieć.

Kilka minut po trzeciej po południu znaleźli się przed domem Williama Cicero w Winter Park i zostawili samochód w pobliżu jego posiadłości, w cieniu wysokiego i rozłożystego drzewa życia. Na ulicach Winter Park ustawiono mnóstwo tabliczek ostrzegających, że patroluje je Miejska Służba Ochrony, dlatego John dobrze rozejrzał

się dookoła, zanim skinął na Constance, by udała się za nim na tyły budynku. Było ciepło i w ogrodzie pełnym azalii oraz orientalnych magnolii rozchodził się ich silny zapach. Trawniki jednak sprawiały wrażenie od dość dawna nie strzyżonych, a niektóre winorośle wymagały natychmiastowego przycięcia. Mimo to wokół domu czuło się atmosferę dobrobytu i spokoju.

John wyjął klucz, który otrzymał od Kevina, i po trzech niewysokich stopniach wszedł na mały taras przed tylnym wejściem. Zamek był odrobinę zardzewiały, jednak mężczyzna zdołał przekręcić klucz i otworzyć drzwi.

- Nie ma żadnego alarmu? - Constance ostrożnie kroczyła tuż za Johnem.

- Najwyraźniej nie. Ale to zapewne robota ludzi Broussarda. Byli tu przecież przede mną.

Przeszli przez ogromny pokój śniadaniowy zastawiony białymi krzesłami z wikliny i udekorowany kilkoma wysokimi palmami w doniczkach.

- Jak tu pięknie - westchnęła Constance, wpatrując się w duży olejny obraz kobiety w błękitnej sukience. - Jaka szkoda, że tu tak pusto.

- Facet, który tu mieszkał, ten cały Cicero, był bardzo tajemniczym człowiekiem -

powiedział John. - Według ludzi Broussarda jakimś geniuszem. Potrafił pisać książki i artykuły naukowe na każdy temat, jaki tylko przyszedł mu do głowy. Wynalazł tak dokładny system naprowadzania raket międzykontynentalnych, że pocisk, przeleciawszy z jednego kontynentu na drugi, potrafiłby w tłumie czy w jakimś ukryciu odszukać konkretną osobę i zabić ją.

- Hmm... - mruknęła Constance. - Interesujące. Użyłabym czegoś takiego po rozwodzie z moim pierwszym mężem.

Weszli do biblioteki. John, spoglądając na półki i dotykając oprawionych w skórę grzbietów książek, potrząsnął głową z niedowierzaniem. W pewnej chwili popatrzył na oszkloną szafkę, w której wszystkie znajdujące się tam książki oprawione były na zielono.

- Popatrz tylko... Mozart a wyobraźnia przestrzenna, Ostatnie twierdzenie Fermata, Tradycje Nyungarystów w Zachodniej Australii. Całkiem przyjemna kolekcja.

Opuścili bibliotekę i przeszli do salonu, gdzie znajdował się wielki fortepian i duża kolekcja obrazów olejnych. Tutaj natknęli się na młodego mężczyznę śpiącego na jednej z żółtych sof o jedwabnym obiciu. Na jego piersi leżała otwarta książka. Młodzieniec był szczupły i miał bladą twarz. Śpiąc, głośno oddychał przez nos.

- Jak myślisz, kto to jest? - wyszeptła Constance. John okrążył sofę i popatrzył na okładkę książki.

- Ciąg Fibonacciego i złote dzielenie. Niewiarygodne, że za coś takiego zabrał się facet, który wygląda, jakby przed chwilą zsiadł z harleya - stwierdził.

- Spodziewałaś się go tutaj? - zapytała Constance.

- Skądże znowu? Ale to, czego się spodziewałem, a czego nie, jest zupełnie nieistotne. Przecież jacyś ludzie zamierzali mnie zabić, a ja nawet nie wiem dlaczego.

Czuję się jak mięczak z Kartorum, który wziął sobie na noc do pokoju lesbijkę.

- Słucham?

- Sprzeczała się całą noc, kto ma prawo co zrobić, z kim i komu. Takie myśli chodzą mi właśnie po głowie.

Podszedł do okna i wyjrzał przez nie, rozsuwając firanki. Gdy patrzył na zewnątrz, młody człowiek nagle drgnął i rzucił książkę na podłogę. Niespodziewanie usiadł, rozejrzał się i jęknął:

- Chryste... Kim jesteście?

- Myślę, że moglibyśmy zadać ci to samo pytanie - odparł John. - A może powinienem wezwać Służbę Ochrony?

- Chwileczkę! Przyszedłem tutaj tylko po to, żeby sobie poczytać. Zaprosił mnie doktor Lügner. No, przynajmniej w pewnym sensie mnie zaprosił.

- Doktor Lügner?

- To nie jest jego prawdziwe nazwisko. Nie wiem, jak ono naprawdę brzmi. Ludzie z ochrony mówili, że to pan Snow, ale... Kto to może wiedzieć?

- Jeżeli mamy na myśli tę samą osobę, to my znamy go jako Williama Cicero -

powiedział John. - Zapewne nie masz najmniejszego pojęcia, gdzie on może się teraz znajdować, co?

Młody mężczyzna popatrzył na niego zwięzionymi oczyma.

- Chyba nie masz nic wspólnego z facetem pochodzącym z Kuby, albo takim drugim, pulchniastym... - zaczął.

To, że mężczyzna wypowiedział te słowa z wahaniem, ostrożnie, kazało Johnowi zaprzeczyć. Potrząsnął głową.

- Kubańczyk i pulchny? Nie. Nikt taki nie przychodzi mi do głowy.

- Szukają doktora Lügnera, tak samo jak wy. Posunęli się nawet do gróźb wobec mojej dziewczyny i mnie. Ale miałem już do czynienia z kolejnymi dwoma facetami, którzy węszą za Lügnerem.

- Ach! - John uderzył się otwartą dłonią w czoło. - Zdaje się, że już o tobie słyszałem. To ty jesteś tym bohaterem, który uratował Williama Cicero przed porwaniem, co?

- Skąd to wiesz? Kim jesteś?

- Wiem o tym, ponieważ ja także poszukuję Williama Cicero. I wygląda na to, że nie tylko ja. - Wyciągnął otwartą dłoń w kierunku młodzieńca. - John Huntley. Jestem prywatnym detektywem. Mam licencję, popatrz. A to jest pani Constance Carden.

Pośredniczy w handlu dziełami sztuki i jest najlepszym kierowcą rajdowym na całej środkowej Florydzie.

Micky potrząsnął ich dłońmi, jednak jego mina świadczyła, że wciąż jest pełen podejrzeń.

- Tylko mnie nie pytajcie, gdzie jest doktor Lügner, ponieważ naprawdę nie wiem - oznajmił.

- A więc co tutaj robisz? - zapytał go John.

Cóż, Micky nie wyglądał na człowieka, który mógłby być przyjacielem geniusza.

Sprawa miała raczej wrażenie marnego muzyka rockowego, właśnie wyrzuconego z zespołu.

A jednak nic nie wskazywało na to, że coś stąd ukradł lub zniszczył, no i w końcu przeczytał połowę

traktatu o ciągu Fibonacciego.

- Nie wiem... - odparł Micky. - Nie wiem, jak wiele powinienem wam powiedzieć.

Nie wiem nawet, czy doktor Lügner żyje, czy też nie.

- Ale ty jesteś tutaj i czytasz jego książkę matematyczną.

- Jasne; to o ciągu Fibonacciego. Chodzi o taki ciąg liczb, w którym każda kolejna jest sumą poprzednich dwóch. Czytałem na ten temat, ponieważ doktor Lügner wykorzystał ten ciąg, konstruując szyfr przy drzwiach frontowych.

- Naprawdę? - John rozejrzył się po pokoju. - Jasne. To przecież takie proste.

- Hmm... Rzeczywiście, dobrze wiedzieć. Ale to wciąż nie tłumaczy, dlaczego tutaj jesteś.

- Po prostu czytam książkę matematyczną. Potem zamierzam poczytać coś o muzyce, a następnie sięgnę po jakiś traktat z fizyki. Będę czytał tak długo, dopóki nie dowiem się wszystkiego.

- Wszystkiego? - powtórzył John. Nie był w tej chwili pewien, czy Micky jest przy zdrowych zmysłach.

- Dopóki nie nauczę się wszystkiego, czego mogę się nauczyć w tym domu. A potem zobaczymy. Na świecie jest jeszcze wiele innych książek.

- Ale przecież tutaj jest ich z dziesięć tysięcy! - zawołał John. - Jak myślisz, ile czasu zajmie ci ich przeczytanie?

- Naprawdę, czytam bardzo szybko. Zresztą z każdą chwilą coraz szybciej. Mam też bardzo dobrą pamięć. Czy wiesz, co jest napisane na górze strony 113?

Wręczył książkę Johnowi. Ten przyjął ją z wahaniem. Przez chwilę jakby ważył ją w rękach, aż wreszcie otworzył na wskazanej stronie. Micky tymczasem odezwał się, stojąc kilkanaście kroków od niego:

- Znalazłeś? - I zaczął cytować: - Dzielenie postępujących po sobie liczb w ciągu Fibonacciego daje liczbę 1,618033989; to złote dzielenie, znane matematykom już przynajmniej trzysta lat przed Chrystusem. Jeżeli...

John ze zniechęceniem zamknął książkę.

- W porządku. Dobry jesteś.

- Tylko dobry? Myślałem, że bardziej ci zaimponowałem.

- W takim razie wiedz, że jesteś wspaniały. Pasuje ci? Micky zawahał się.

- Nic więcej już nie będę mówił, dopóki nie dowiem się na przykład, dlaczego i wy poszukujecie doktora Lügnera. W końcu nie po to wyrwałem go z łap jednej pary oprychów, by kolejnej parze pomóc go złapać. Nie chcę was obrazić, ale sami rozumiecie...

- Posłuchaj mnie, młodzieńcze - powiedział John z westchnieniem. - Albo będziemy brnęli dalej w paranoję, albo sobie nawzajem zaufamy. W sumie nie ma to dla mnie dużego znaczenia. Zostałem zatrudniony przez korporację o nazwie Broussard Guidance Systems, aby jak najszybciej odnaleźć niejakiego Williama Cicero. Stworzył

on wyjątkowo skuteczny system naprowadzania pocisków na cel. Z tego, co mi wiadomo, jest to wynalazek genialny, o dziesiątki lat wyprzedzający naszą epokę, i nikt bez pomocy Williama Cicero nie jest w stanie zastosować go w praktyce. Bez Cicera nie ma on więc żadnej wartości.

- Dlaczego jednak szukają go ci inni faceci?

- Nie wiem. Może wynalazł coś jeszcze?

- Hmm... To całkiem możliwe - stwierdził Micky. - Lügner jest totalnym geniuszem. To znaczy, uważam, że nie jest takim przeciętnym geniuszem jak Albert Einstein albo Thomas Edison, albo Max Pianek. On jest geniuszem w każdej dziedzinie, dosłownie w każdej. Tak jak ludzie Renesansu, ci najwybitniejsi oczywiście.

John popatrzył na Constance i uniósł brwi. Oto obdarty młody chłopak w kowbojskich butach wymienia największe nazwiska z historii ludzkości, jakby mówił co najwyżej o swoich bliskich kumplach.

- Nie wierzysz, co? - zapytał Micky, jakby czytając w myślach Johna. - Chodź, pokażę ci.

Poprowadził Constance i Johna z powrotem do biblioteki. Oboje ostrożnie ruszyli za nim.

- Odkryłem, że te wszystkie książki oprawione na zielono napisał sam, posługując się różnymi nazwiskami. Znalazłem katalog, ale i bez niego łatwo się domyślić, że autorem prac jest jeden człowiek, w każdym bowiem wypadku nazwisko autora jest anagramem jakiegoś miasta na Florydzie. Popatrzcie tylko. Polowy na głębokich wodach autorstwa O. Rolanda. Oczywiście chodzi o Orlando. Dalej, Ben Rigs Fotografowanie w podczerwieni. Tutaj nazwisko autora jest anagramem Sebring. Moja ulubiona książka to jednak Gąbki morskie. Autor: Walter Cera. Chodzi oczywiście o Clearwater.

John wyjął z szafki jedną z książek i zaczął przerzucać kartki. Liczne przypisy wystarczyły mu do uzyskania pewności, że nie ma do czynienia z dziełem amatora, lecz dokładnego i skrupulatnego naukowca. Książkę z całą pewnością napisał ktoś, kto miał

bardzo głęboką wiedzę o przedmiocie swej pracy.

- Czy jest możliwe, że jeden człowiek był w stanie napisać te wszystkie książki i jeszcze na dodatek wymyślić najbardziej doskonały na świecie system naprowadzania? -

zapytał John retorycznie. - W jaki sposób?

Micky potrząsnął głową.

- Nie pytaj mnie. Ja tylko ocalałem mu życie.

- On miał dość czasu, żeby to wszystko napisać, a teraz ty twierdzisz, że znajdziesz dość czasu, żeby przeczytać dziesięć tysięcy książek, i wkrótce zabierzesz się za następne. W jaki sposób? Co się tutaj dzieje? Nie chcę być niegrzeczny, ale na uczonego to ty nie wyglądasz.

- Mam dobrą pamięć, to wszystko.

John zamyślił się, a Micky szybko wykorzystał okazję, żeby zmienić temat rozmowy.

- Popatrzcie tylko na te wszystkie obrazy na ścianach. Namalował je osobiście doktor Lügner. Są fantastyczne, nie sądzicie?

Na jednej ze ścian wisiały trzy duże pejzaże prezentujące różne krajobrazy Florydy. Constance pokiwała głową.

- Już je podziwiałam - stwierdziła. - Prawdę mówiąc, podejrzewam, że sprzedałam już w mojej galerii ze dwa obrazy tego samego artysty. Pamiętam, że nazywa się Charles Babson. Cóż, ceny były wysrubowane. Za te prace wręcz nie wypadało żądać drobnych pieniędzy.

- Tak, w domu znajduje się kilka obrazów podpisanych przez Charlesa Babsona -

powiedział Micky. - Spośród tych trzech jednak dwa sygnowane są nazwiskiem Arthura Frienda, a jeden - Davisa Watkina. Mimo to nie mam wątpliwości, że autorem wszystkich jest doktor Lügner. Umieścił je zresztą w katalogu znajdującym się w komputerze. Ale to nie wszystko. On również komponował i pisał poezję. Rzeźbił. Był

artystą w każdej dziedzinie, o jakiej tylko można pomyśleć.

Jestem tutaj dopiero od - popatrzył na zegarek - trzech i pół godziny, ale niektóre z tych rzeczy zdążyłem już dokładnie obejrzeć...

- I chyba zastanawiasz się, dlaczego doktor Lügner nie był sławnym człowiekiem, co? - zapytała Constance.

Micky wzruszył ramionami.

- Myślę, iż nie jest znany, ponieważ nigdy tego nie pragnął. I uważam, że ci faceci, którzy usiłowali go porwać, mają jakiś związek z jego niechęcią do sławy.

Rozmawiałem z nim; odniosłem wrażenie, że doktor Lügner ukrywa się przez całe życie.

John podszedł do komputera i włączył go.

- Nic tutaj nie znajdziesz - zapewnił go Micky. - Wszystko, co mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie, doktor Lügner skasował, zanim opuścił ten dom. Jedyne, co mnie intryguje, to sentencja, która ukazuje się zaraz po włączeniu komputera. Już ją chyba widzisz, prawda?

Na monitorze pojawiło się tylko jedno zdanie, zapisane dużymi czerwonymi literami: „A równa się x plus y plus z”.

- Czy wiesz, co to znaczy? - zapytał John.

- To cytat z Alberta Einsteina, który powiedział: „Jeżeli A jest sukcesem w życiu, wtedy A równa się x plus y plus z. Praca to x, y to zabawa, natomiast z to milczenie wtedy, kiedy trzeba”.

John chrząknął zdziwiony i wyłączył komputer.

- Zdaje się, że korzystasz z tej rady - zauważył. - Przynajmniej wtedy, gdy masz mówić o swoim doktorze Lügnerze.

- Nie powiem wam, gdzie on teraz jest, ponieważ sam tego nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia. Poprzezglądałem jego prace, część notatek; nie ma w nich nic, co mogłoby naprowadzić na jego ślad. A przynajmniej nic takiego, co by do mnie przemówiło.

John milczał przez chwilę, rozmyślając. Wreszcie odezwał się:

- Widzisz, Micky, musimy go znaleźć, i to szybko. Okłamałem cię. Posłuchaj, ja znam facetów, o których mi wspomniałeś, tego Kubańczyka i pulchnego. Ich imiona brzmiały Kevin i Jesus. Pracowali dla Broussarda, tak jak i ja, z tą tylko różnicą, że byli tam na stałe zatrudnieni w ochronie.

Na twarzy Micky'ego pojawiła się wściekłość.

- Cholera jasna, człowieku! - zawołał. - Ten Kubańczyk groził, że wydłubie oczy mojej dziewczynie! A ten drugi uderzył mnie w twarz! Byli tutaj, kiedy ktoś wynosił

zwłoki z tego domu! Zwłoki gospodyni doktora Lügnera. Człowieku, czy Broussard ci o tym powiedział? Cholera jasna, nie mam ochoty więcej z tobą rozmawiać.

- Micky, na miłość boską! Przysięgam, o niczym nie wiedziałem. To wszystko musiało się wydarzyć, zanim mnie zatrudnili. Albo postawili mnie w takiej sytuacji, że nie miałem wyboru, musiałem przyjąć ich ofertę. Kevin i Jesus... Tak naprawdę przecież nic ci nie zrobili. Uważali się za mocnych facetów, ale wiele im jeszcze brakowało do perfekcji. Obaj zostali wczoraj zastrzeleni. Do restauracji, w której się znajdowali, weszło dwóch innych mężczyzn. Na oczach jakichś sześćdziesięciu świadków wyciągnęli pistolety z tłumikami i po prostu strzelili im w głowy. Tylko przez przypadek nie zginąłem razem z nimi.

Micky popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Cholera - westchnął po chwili. - Duża rzecz. Ale przecież nie będę im współczuł.

W moim domu zachowywali się jak zwierzęta.

- To z całą pewnością leżało w ich naturze. Teraz jednak są martwi, nie ma więc sensu wieszać na nich psów. Najistotniejsze dla nas jest w tej chwili to, że nie tylko ludzie Broussarda poszukują doktora Lügnera, Williama Cicero, czy jakkolwiek jeszcze ten człowiek się nazywa.

- Być może. Jednak jak mam z tobą współpracować, skoro pracujesz dla tych samych ludzi, którzy chcieli porwać go z ulicy, a potem grozili mnie i Roxanne?

Wyobrażasz sobie, że mogę ci zaufać?

- Wszystko zależy od ciebie - stwierdził John. - Powiedziałem ci, że znałem Kevina i Jesusa, byłem szczery, więc chyba nie mam złych zamiarów, prawda? A jeśli chodzi o pracę dla Broussarda, cóż, otrzymałem ofertę nie do odrzucenia. Rozpocząłem robotę i w jej trakcie ktoś usiłował mnie załatwić razem z Kevinem i Jesusem. W tej sytuacji nie zamierzam kontaktować się z Broussardem, dopóki nie dowiem się, kto czyha na moje życie. Uważam, że ty i ja jesteśmy w stanie pomóc sobie nawzajem. Możemy razem poszukać naszego „ Williama Cicero ” i dowiedzieć się, kto właściwie go ściga i dlaczego.

Micky przez chwilę milczał.

- Sam nie wiem - powiedział wreszcie z niechęcią. John zbliżył się i stanął tuż przed nim.

- Posłuchaj mnie tylko, przyjacielu - powiedział. - Jeżeli nie dotrzemy do tego Williama Cicero pierwszy, nie będziemy mieli w rękach żadnej karty przetargowej.

Oglądasz zapewne filmy i pamiętasz, co się dzieje z ludźmi, którzy wiedzą za dużo?

Zdaje się, że my obaj mamy już o całej sprawie zdecydowanie zbyt dużo informacji, żeby spokojnie spać. Nigdy, naprawdę nigdy nie będziemy już bezpieczni, jeżeli nie zlokalizujemy miejsca pobytu twojego genialnego przyjaciela, i to pierwszy spośród wszystkich tych, którzy go teraz poszukują. Jeśli oczywiście jeszcze pozostaje wśród żywych.

- Naprawdę, nie wiem, człowieku - powiedział Micky. Wciąż był pełen podejrzeń wobec Johna. Nie wiedział, co powinien o nim myśleć. Miał przed sobą mężczyznę w średnim wieku, dobrze zbudowanego, zapewne wielbiciela grupy REM. W jego postawie było jednak coś takiego, co wzbudzało zaufanie. Z pewnością ufała mu ta Constance; teraz obdarzyła Micky'ego przyjaznym, matczynym uśmiechem.

Chłopak rozejrzał się po bibliotece i zrozumiał, że znajduje się tutaj skarb, którego nie wolno zniszczyć. Przez te wszystkie lata doktor Lügner pozostawał w ukryciu, zapewne nigdy nie chciał ujawnić się ludziom. Ale przecież nie można pozostać nie zauważonym, gdy pisze się tak jak on, gdy tak się maluje, rozwiązuje skomplikowane równania; nie, to niemożliwe. Poza tym co było przyczyną takiego zachowania? To tak, jakby Mark Twain po napisaniu Przygód Hucka wyrzucił wszystkie kartki rękopisu do Missisipi, zanim ktokolwiek zdołałby przeczytać książkę. Tak, jakby Monet podpalił

swoje obrazy, a Caruso śpiewał wyłącznie pod prysznicem.

Z pewnością doktor Lügner nie był w stanie zapobiec opublikowaniu większości swoich prac i wystawieniu na widok publiczny obrazów. Nie był w stanie oprzeć się pokusom dalekich podróży, uczestnictwa w konferencjach, nie potrafił całkowicie wyrzec się splendoru, jaki z całą pewnością mu się należał z powodu jego znakomitego umysłu. Micky zaczynał rozumieć sytuację doktora. Przecież sam w ciągu zaledwie kilkunastu godzin rozwinął w sobie nadzwyczajną pamięć. W jego głowie, w umyśle, rozkwitał niczym na filmie, który w przyspieszonym tempie ukazuje otwierający się kwiat, cały ogród nowych zdolności i możliwości. Tego ranka stwierdził, że potrafi pisać kilkakrotnie szybciej niż do tej pory i nawet dość dobrze szkicuje. Jeszcze wczoraj na każdy jego rysunek składało się zaledwie kilka byle jak nabazgranych, niczego nie przypominających linii. Dzisiaj, ot tak po prostu, z pamięci narysował twarz Roxanne na kartce, którą znalazł w bibliotece doktora Lügnera. Twarz wpatrująca się w niego z papieru była tak wierna rzeczywistości, że przez długą chwilę z uśmiechem przyglądał

się swemu dziełu, nie dowierzając, że potrafił je wykonać.

Bez szacunku dla doktora Lügnera, nie zachowując środków ostrożności, zaczął

oglądać jego dom; było tu tak wiele ciekawych rzeczy... Tyle dzieł sztuki, nut, książek, najróżniejszych przyrządów naukowych. Na tyłach budynku znalazł nawet niewielkie, lecz dobrze wyposażone laboratorium fizyczne. Nie potrafił odgadnąć, jakie eksperymenty przeprowadzał tu doktor, jednak zauważył coś, co wyglądało jak skrzyżowanie akumulatora pozbawionego obudowy z ludzkim mózgiem. Micky zdał

sobie sprawę, że jeśli się tylko postara, zrozumienie eksperymentów dokonywanych przez doktora Lügnera nie zajmie mu wiele czasu.

Musiał zresztą podążyć drogą, którą wskazał mu genialny naukowiec. W

przeciwieństwie do niego nie zamierzał ukrywać ani siebie, ani swej wiedzy. Bo niby dlaczego? Doktor Lügner był już martwy, a w najlepszym wypadku na zawsze zniknął i nie istniał żaden powód, by postępować tak jak on; zresztą niczego takiego nie wymagał.

- No i jak? - zapytała Constance. Położyła dłoń na ramieniu Micky'ego, jakby chciała dodać mu otuchy.

- Nie wiem - powtórzył Micky po raz kolejny. - Być może okażę się niegodny zaufania, jakim zostałem obdarzony. Ale właściwie nie przypominam sobie, by doktor Lügner zastrzegł, żebym nic nikomu nie mówił.

- A gdyby zastrzegł, to czego niby miałyby to dotyczyć?

- On coś odkrył albo wynalazł; nie wiem, które słowo jest bardziej właściwe. W

każdym razie chodzi o jakiś środek, który sprawia, że ludzki umysł zaczyna funkcjonować inaczej, o wiele lepiej.

- Chcesz więc powiedzieć, że te wszystkie obrazy, książki, wynalazki... że zdołał

tego dokonać dlatego, że zażył jakieś lekarstwo, które sam wynalazł?

- Tak. To działa, uwierz mi - odparł Micky.

- Skąd wiesz?

- W szkole średniej z wielkim trudem zdałem do czwartej klasy. A teraz znam nawet liczbę „pi” z dokładnością do kilkudziesięciu tysięcy miejsc po przecinku, sam dobrze nie wiem do ilu. Chcesz mnie sprawdzić?

- Zażyłeś to?! - zawołała Constance.

- Nabijasz się z nas - powiedział John. Zaczął chodzić dookoła Micky’ego, oglądać jego oczy, uszy i potargane, zbyt długie włosy.

- To działa - powtórzył Micky z uporem. - Posłuchajcie tylko. W mojej głowie kłębią się myśli, które wcześniej w ogóle nie miałyby szansy się w niej pojawić.

Potrafię rozwiązywać problemy, o których istnieniu jeszcze wczoraj nie miałem najmniejszego pojęcia. Dajcie mi tylko kostkę Rubika, a ułożę ją w pięć sekund. Dajcie mi kartkę papieru, a po dziesięciu sekundach otrzymacie ode mnie konia origami, i to z jeźdźcem w siodle.

- Sprawiasz wrażenie, jakby coś eksplodowało w twojej głowie.

- Tak, zgadza się. Czuję się, jakbym spał całe życie i nagle się obudził. Pragnę, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

- Twój doktor Lügner jednak nikomu o tym nie mówił, prawda? Trzymał wszystko dla siebie.

- Tak. Cóż, nie wiem dlaczego. Może miał jakiś istotny powód? Ale jego dokonania... Był w stanie zmienić życie każdego mieszkańca Ziemi. Wynalazł system kolorowania żywności, nie zmieniający jej smaku ani zapachu. Wynalazł jakiś gaz, dzięki któremu można gasić płonące szyby naftowe. Do tego skomponował wspaniałe symfonie, na miłość boską!

- Interesujące - odezwała się Constance. - Jednak gdyby wprowadził na rynek środek, który ty zażyłeś, cóż, każdy mógłby być geniuszem, każdy byłby bardzo szybko taki sam jak on.

- Jeśli o mnie chodzi, uważam, że tego właśnie nie chciał - powiedział John. Wyjął

z kieszeni listek gumy do żucia i wsunął ją do ust. - Znacie chyba to powiedzenie: w królestwie ślepych jednooki jest królem. Wyobraźcie sobie kogoś, kto widzi na obydwójce oczu w królestwie ślepych. Byłby naprawdę kimś wielkim, prawda? Miałby władzę jak jeszcze nikt, nigdy i nigdzie.

- Według mnie - znów odezwała się Constance - on już ma tę władzę, a przecież nie zdecydował się

jej wykorzystać. Dlaczego namalował te wszystkie obrazy pod fałszywymi nazwiskami? Dlaczego pisze książki, używając głupiutkich anagramów i dziwacznych nazwisk przy innych publikacjach?

- Kto to może wiedzieć? Może ma jakąś manię prześladowczą?

- Myślę, że nie. Moim zdaniem po prostu się czegoś boi i to czegoś bardzo realnego.

- Niby czego? - zdziwił się John.

- Człowieku, jak możesz pytać? - zawołał Micky. - Przecież próbowano go porwać! Powiedział mi, że gdyby nie ja, to ci faceci strzeliliby mu w głowę i wrzucili do bagna.

- Ale gdyby nie był taki tajemniczy, gdyby dawno już ujawnił swój geniusz, byłby teraz sławny, miał ochronę, uznanie w świecie. Nikt by nie próbował go tknąć.

- Niestety nie ujawnił się - zauważył Micky. John pokiwał głową.

- Właśnie, Micky, nie ujawnił się. Uważam, że odpowiedź na pytanie, dlaczego się nie ujawnił, jest jednocześnie rozwiązaniem całej naszej cholernej zagadki. Dlaczego tak nagle opuścił Hoshi International, kiedy zostało przejęte przez Broussard Guidance Systems? Dlaczego ci wszyscy faceci w marynarkach tak gwałtownie go poszukują?

Dlaczego chcą mnie zlikwidować? Kim są? Przecież ktoś im musi płacić. Faceci w marynarkach nie krążą po świecie ot tak sobie i nie mordują bez powodu przypadkowych ludzi.

- Cóż, uważam, że masz rację: jeżeli doktor Lügner wciąż jest wśród żywych, my pierwsi musimy go znaleźć. Musimy przyjąć jakiś plan. John, jesteś prywatnym detektywem. Jak uważasz, co powinniśmy teraz zrobić?

- A więc zaufasz nam? - zapytał John.

Micky odpowiedział dopiero po długim zastanowieniu.

- Przecież nie mam nikogo innego, komu mógłbym zaufać, prawda?

- A jeżeli ja nie ufam tobie?

Micky popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Nie rozumiem cię. Niby dlaczego miałbyś mi nie ufać? - Wskazał palcem na swoją koszulkę; na wysokości brzucha widniał wizerunek zespołu Grateful Dead. -

Przecież to ja, Micky Frasier.

John popatrzył na Constance. Na jego twarzy widać było walkę trzech uczuć: niedowierzania, ulgi i wreszcie szczerego rozbawienia. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie parsknąć śmiechem.

- W porządku - powiedział w końcu. - Musimy ułożyć plan. Najważniejsze jest w tej chwili to, byśmy sami uchronili się przed nieprzyjemnymi niespodziankami.

Ktokolwiek węszy za Williamem Cicero albo doktorem Lügnerem, nieważne, jak nasz geniusz się nazywa, gotów jest nas sprzątnąć, kiedy tylko staniemy na jego drodze. To naprawdę groźni i bezwzględni mordercy, pozbawieni skrupułów. Ludzi podobnych do tych, którzy mnie dzisiaj ścigali, widziałem dotąd w życiu tylko raz; byli to amnestionowani zabójcy, opuszczający po wielu latach San Quentin. Takim ludziom jest obojętne, czy żyją, czy nie, i z takimi ludźmi nie sposób walczyć, walka bowiem nie ma żadnych reguł. - Przerwał na chwilę, po czym kontynuował: - Przeszukamy najpierw ten dom od strychu po piwnice. Musimy znaleźć jakąś wskazówkę, która podpowie nam, gdzie jest teraz William Cicero. Chociażby jedną, najmniejszą. Jakiś pamiętnik, list. - Popatrzył na Micky'ego. - To nam zabierze trochę czasu. Czy znasz może jakieś miejsce, w którym mógłbym się ukryć przez najbliższe kilka dni? Im bardziej skryte, tym byłoby lepsze.

- A co ze mną? - zapytała Constance.

- Z tobą? Myślałem, że powrócisz do Melbourne i nadal będziesz sprzedawała dzieła sztuki. Nasi prześladowcy chyba nie skojarzą cię z moją osobą.

Na twarzy Constance pojawiło się rozdrażnienie. - Ryzykowałam dla ciebie własne życie, John. Pragnęłam przeżyć przygodę; i nadal tego pragnę.

- Constance, rzeczywiście przeżyliśmy w samochodzie kilka ekscytujących chwil.

Odtąd jednak, zapewniam cię, wszystkie nasze poczynania będą żmudne i nudne.

Musimy przeczytać papiery Williama Cicero. Musimy obejrzeć wszystkie jego notatki, rachunki, wyciągi z banków. Jak myślisz, dlaczego ująłem Dietera Waxmana? Dzięki cierpliwości, nieskończonej cierpliwości. Podczas następnych kilku dni spędzonych w moim towarzystwie zanudziłabyś się na śmierć, ręczę za to.

- Wolę więc zanudzić się z tobą niż samotnie - zaprotestowała Constance. Nagle zaczerwieniła się i powiedziała już mniej pewnym głosem: - Chyba mnie rozumiesz?

Zaangażowałam się w tę przygodę. Chcę więc pozostać z wami do końca. Muszę jedynie zatelefonować do siostry i powiedzieć jej, żeby przez ten czas dopilnowała galerii.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które przerwał Micky.

- W restauracji, w której pracuję, u Guida, jest na zapleczu kilka pokoi. Właściciel korzysta z nich, kiedy przyjeżdża jego rodzina z Włoch. Myślę, że moglibyście tam się zatrzymać. I jadalibyście w restauracji bez konieczności zbyt częstego wychodzenia na ulicę i ryzykowania. Poza tym Guido karmi naprawdę wspaniale. - Urwał na moment. -

Moja dziewczyna pracuje w Sav-Mart... Jeżeli potrzebowalibyście czegoś do przebrania, no i przybory toaletowe...

- Zapewniam cię, najlepiej będzie, jeżeli Constance powróci do Melbourne. - John był uparty.

W tej samej chwili Constance odsunęła firankę i powiedziała:

- Patrzcie, tam stoi samochód.

John natychmiast podszedł do okna. W połowie schowany za drzewami, które rosły przed podjazdem, stał czerwonoszafirowy chevrolet caprice. Po kilku sekundach samochód błysnął światłami i cofnął się.

- Chyba powinniśmy stąd pójść - zauważył John cicho.

- Mój samochód stoi z drugiej strony budynku - powiedział Micky. - Co z waszym?

- Najlepiej będzie, jeżeli nasz zostawimy tam, gdzie jest.

- W porządku. Wyjdźmy tylnymi drzwiami.

Byli w salonie, gdy usłyszeli tupot nóg. John popatrzył przez okno i ujrzał trzech mężczyzn zbliżających się do budynku. Ich sylwetki widoczne przez zasłaniające szybę firanki były niewyraźne, jednak sposób, w jaki trzymali ręce, nie pozostawiał

wątpliwości, że uzbrojeni są w ciężkie pistolety.

- Na ziemię! - wrzasnął.

- Co? - zdziwiła się Constance.

- Na ziemię, na miłość boską! - krzyknął i popchnął kobietę.

Wpadła na boczny stolik i straciła z niego piękną porcelanową wazę z Sevres, która natychmiast roztrzaskała się na tysiące kawałków. W tym samym momencie pierwsze kule przebiły szyby okien i w pokoju rozpętało się piekło.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Trwało to ponad minutę; salon doktora Lügnera zasypany został setkami kul.

Odbijały się od ścian, krusząc tynk i wzbijając tumany białego kurzu. Antyczne meble pękały jak zapałki, a wielki fortepian jęczał, jakby wydzierano z niego życie. Obrazy spadały na podłogę, tłukła się porcelana, książki zmieniały się w bezwartościową makulaturę.

John leżał z twarzą przyciśniętą do lśniącego parkietu i jedną ręką przyciskał do niego również Constance. Micky leżał w odległości zaledwie kilku metrów od nich, jakby przyklejony do podłogi. Co najmniej dwadzieścia kul rozkruszyło ścianę dosłownie kilka centymetrów nad jego głową.

Nagle strzelanina ustała i zrobiło się bardzo cicho. Micky nawet nie próbował

wstać, wykręcił jedynie głowę tak, by widzieć Johna i Constance, wciąż przylepionych do parkietu.

- Jak tam z wami, w porządku? - zapytał.

- Chyba tak. A co z tobą?

- Jak dotąd nieźle. Do cholery, co to było? - Ingramy, sądząc po odgłosach.

- Co to takiego te Ingramy? - zapytała Constance drżącym głosem.

- Karabiny automatyczne - odrzekł John. - Potrafią wystrzelać cały magazynek, trzydzieści pocisków, zanim mrugniesz okiem. Szybkostrzelność: tysiąc sto pocisków na minutę. Ten karabin potrafi przeciąć słonia na pół.

- A więc to poważna sprawa - stwierdził Micky. Był przestraszony, ale zarazem czuł w sobie jakąś dziwną radość.

- Też tak myślę.

- I jesteś pewien, że oni nie pracują dla tych samych ludzi co ty? Broussard Guidance?

- Micky, powiedziałem ci. Nie mam pojęcia, kto na kogo poluje. Moim marzeniem jest odnalezienie tego Williama Cicero i zachowanie własnego tyłka w jednym kawałku.

- Tyłki większości ludzi składają się z dwóch kawałków.

- Na miłość boską, Micky, musimy się stąd wydostać! - Wiem, wiem, właśnie się zastanawiam, jak tego dokonać.

Czy zamknąłeś na klucz tylne drzwi, kiedy weszliśmy? - Uhm... Nie, cholera, nie zamknąłem.

- Czy mógłbyś zrobić to teraz? Musimy na jakiś czas zatrzymać naszych napastników. Wracaj jednak jak najszybciej.

John zaczął podnosić się z podłogi, gdy niespodziewanie przeszkodziła mu w tym Constance.

- Ja to zrobię - powiedziała.

- Nie możesz. To zbyt niebezpieczne.

- John, właśnie dlatego tutaj jestem!

Z tym okrzykiem podniosła się i wybiegła z pokoju.

- Kawał baby przyprowadziłeś ze sobą - zauważył Micky, kręcąc głowę z podziwem. - Powiem ci teraz, co zrobimy. Ci faceci nie zamierzają wejść do środka przez drzwi frontowe, prawda? To bardzo grube drewno dębowe, no a poza tym zamek szyfrowy oparty jest na ciągu Fibonacciego i go

nie otworzą. Będą więc próbowali przedostać się od tyłu.

- Co możemy zrobić, żeby ich powstrzymać? Micky wskazał na sufit.

- Widzisz ten hak od żyrandola? Jak myślisz, jaki ciężar zdoła udźwignąć?

- Nie mam pojęcia. Ze dwie tony?

- Właśnie. Pośpieszmy się więc.

Micky wstał i podszedł do okna. Zaczął wyciągać długie sznury służące do przesuwania zasłon i firanek; wkrótce zebrał ich co najmniej kilkanaście metrów.

Ostrożnie stąpając po odłamkach szkła zgrzytających pod jego stopami, podszedł do fortepianu. Przykucnął pod nim i obwiązał sznurkiem wszystkie jego nogi. Następnie wspiał się na wieko instrumentu i powiedział do Johna:

- Podaj mi krzesło.

- Do diabła, co ty robisz? - syknął ten w odpowiedzi. - Musimy się stąd jak najszybciej wynieść!

Micky uderzył się otwartą dłonią w czoło.

- Wyniesiemy się, człowieku! Jednak faceci, którzy na nas polują, mają karabiny automatyczne. Co więc nam pozostaje? Własne mózgownice, żeby się obronić przed bandziorami, kapujesz?

Bez dalszych protestów John podał Micky'emu ciężkie dębowe krzesło, które ten ustawił na wieku fortepianu.

- Teraz podaj mi końce sznurów - zażądał.

Zużył niewiele ponad minutę na wejście na krzesło i przywiązanie kilku sznurów skomplikowanym węzłem do haka podtrzymującego żyrandol. Tymczasem powróciła Constance.

- Są z tyłu, za domem - oznajmiła. - Widziałam jednego z nich na trawniku. Zdaje się, że się naradzają, co dalej robić.

Oboje z Johnem obserwowali, jak Micky zeskakuje z fortepianu i podchodzi z ośmioma sznurkami do okna. Po kolei przerzucił je przez karnisz do firanek, a potem podzielił na dwie grupy po cztery.

- Pleciony jedwab - stwierdził. - Nie wiem, czy mogliśmy trafić na coś mocniejszego. - Końcówki czterech sznurów wręczył Johnowi. - Właśnie o siłę nam chodzi. Ale nie aż o taką, jak moglibyście przypuszczać.

Obaj mężczyźni owinęli końcówki sznurów dookoła swych pięści, a potem zaczęli się posuwać wzdłuż ściany, jak najdalej od fortepianu. Wkrótce sznury napięły się, a instrument zaczął trzeszczeć.

- Nie podniesiemy go! - zawołał John z niedowierzaniem w głosie. - Przecież żeby podnieść ten kłopot, potrzeba przynajmniej stalowych lin!

- No właśnie - powiedział Micky z uśmiechem. - Tym właśnie dysponujemy.

Cofali się centymetr po centymetrze; John ze zdziwieniem stwierdził, że w pewnym momencie nogi fortepianu oderwały się od podłogi. Instrument zakołysał się, a jednak z każdą chwilą, z każdym krokiem Micky'ego i Johna unosił się coraz wyżej.

Gdy znalazł się na wysokości ich głów, Micky odezwał się:

- W porządku. To wystarczy. Teraz musimy go przez chwilę przytrzymać.

- Przytrzymać? Tak po prostu?

- Damy radę, gwarantuję ci. Czytałem dzisiaj na ten temat przez całe popołudnie.

- Na jaki temat, na miłość boską?

- Na przykład o tym, jak budowano piramidy. Używali lin w taki sam sposób.

Można unosić tony, jeżeli zastosuje się odpowiednie dźwignie. - Spod sufitu wydobywały się bezustannie głośnie, suche trzaski, jednak Micky ignorował je. Jeżeli fortepian miał spaść, jeżeli za chwilę sufit miał się znaleźć na ich głowach, widocznie tak musiało być i nie potrafił temu zaradzić; wytrzymałość haka do żyrandola była jedynym elementem jego planu, na który nie miał żadnego wpływu. Tymczasem kolejny sznur przewiązał wokół nogi fortepianu i również przerzucił go przez karnisz do firan. -

W porządku - odezwał się do Johna. - Teraz musimy jedynie podciągnąć fortepian aż pod sufit.

John nie uwierzyłby w ten eksperyment, gdyby nie oglądał go na własne oczy. A jednak dopięli swego bez trudu; wkrótce klawiatura niemal ocierała się o sufit. Widok fortepianu w takim miejscu to czysty surrealizm. Przywodził na myśl obraz jakiegoś zdiwaczałego malarza. Na suficie pojawiły się pierwsze rysy i było pewne, że ta sytuacja nie potrwa długo.

Widząc przerażenie w oczach Johna, Micky klepnął go w ramię i powiedział:

- Potrzeba nam jeszcze tylko jakichś dwóch minut. Nic się nie martw, wszystko pójdzie dobrze.

- Do cholery, nie wiem, w jaki sposób to osiągnęliśmy. Jakby to pudło nic nie ważyło!

- Taki sposób przenoszenia ciężarów wymyślili starożytni Egipcjanie, budując piramidę Cheopsa. Musieli przecież wznosić granitowe bloki na ogromne wysokości. A działało się to dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt lat przed Chrystusem. Wyobrażasz sobie?

Przecież nie znano wtedy podnośników hydraulicznych, pozostawały więc jedynie wielokrążki i liny.

Constance potrząsnęła głową.

- A co właściwie zamierzasz zrobić teraz z tym fortepianem? - zapytała przytomnie.

- Czy nigdy nie oglądałeś Kevin sam w domu? - zdziwił się Micky. - Zrobię to samo co ten dzieciak, użyję jedynie trochę innej metody. No, ale zniknijmy teraz z oczu naszym prześladowcom. Najlepiej będzie, jeśli schowamy się za tę kanapę.

Przykucnęli za złoconą sofą, jak dzieci bawiące się w chowanego, i czekali. Przez chwilę było zupełnie cicho, jednak po kilkunastu sekundach usłyszeli walenie w drzwi frontowe. Zdawało im się, że słyszą również męskie głosy, lecz nie potrafili rozróżnić i zrozumieć poszczególnych słów. Sufit nad nimi trzeszczał ostrzegawczo. W pewnym momencie hak do żyrandola jakby się poluznił i fortepian zaczął się lekko kołysać.

- Steinwayowie dostaliby ataku serca, gdyby zobaczyli, co wyprawiacie -

stwierdziła Constance.

Niespodziewanie tę względną ciszę rozdarły dwie krótkie serie z broni automatycznej; pierwsza skierowana była w drzwi frontowe, druga w tylne. Zaraz potem dłuższa seria roztrzaskała zamek w tylnych drzwiach i rozległy się głosy stąpania po szkle i rozbitym drewnie. Z głuchym łomotem uszkodzone drzwi wypadły z zawiasów i przewróciły się na podłogę. Wreszcie ktoś krzyknął:

- Vince! Sprawdź boczny pokój. Cal! Ty chodź ze mną! Usłyszeli, że napastnicy ostrożnie lustrują bibliotekę. - Nikogo tutaj nie ma, Moody. Chyba schowali się w salonie.

- Taak... - wyszeptał Micky, z widoczną radością. Sufit jednak trzeszczał coraz głośniejsze i nawet kawałek tynku spadł na podłogę.

- Co to było? - zawołał jeden z mężczyzn. - Słyszeliście?

- Cisza! Tak, tam ktoś jest. Wyczuwam to.

Mężczyźni bardzo wolno szli korytarzem. Wreszcie stanęli w drzwiach i zaraz potem wkroczyli do salonu. Trzech ciemnowłosych osiłek w tradycyjnych szarych marynarkach i białych koszulach. Każdy z nich trzymał w ręce ingrama. Wszyscy mieli prostackie, pospolite twarze i trudno było odróżnić jednego od drugiego. Zaczęli rozglądać się po salonie; stąpając po rozbitym szkle i odpryskach tynku, jednocześnie trącali lufami automatów wszystko, co było w ich zasięgu.

Wreszcie w tej samej chwili wszyscy trzej przystanęli i zamarli w bezruchu.

- Kurwa, a to co takiego? - zdziwił się głośno jeden z nich, opuszczając lufę pistoletu ku podłodze. - Na miłość boską, oni zawiesili fortepian pod sufitem! Po co, do cholery?

Zrobił jeszcze jeden krok do przodu, a potem zrozumiał. Micky puścił wszystkie sznurki i 335 kilogramów kilkumetrowej powierzchni spadało z impetem na mężczyznę i trzasnęło go prosto w klatkę piersiową. Drugi z napastników spróbował uskoczyć w bok, jednak zaledwie szturchnięcie

przez nogę fortepianu wystarczyło, by połamiał

własne obie nogi. Trzeci mężczyzna do końca nie zrozumiał, co się stało; tkwił w bezruchu z wytrzeszczonymi oczyma tak długo, aż wreszcie rozpedzona bryła pchnęła go i przycisnęła do ściany. Towarzyszył temu dźwięk najgłośniejszej symfonii, jaką kiedykolwiek napisano.

Gdy wszystko umilkło, pozostał makabryczny widok: czaszka pęknięta na pół, ręka odcięta od zmiążdżonego tułowia i krew - mnóstwo krwi, która zbryzgała żółtą ozdobną tapetę.

- O mój Boże - jęknęła Constance.

John delikatnie ujął ją za rękę i wyszeptał:

- Musimy stąd odejść, i to szybko.

Z trudem przeszli nad szczątkami fortepianu. Gdy wreszcie znaleźli się w korytarzu, Micky zapytał:

- Co z ich automatami? Czy nie powinniśmy ich ze sobą zabrać?

- A po co ci ingram? - zdziwił się John.

- Nie wiem. - Micky wzruszył ramionami. - Chociażby po to, by bronić się przed ludźmi mającymi inną broń.

- Pieprzysz. Nie potrzebujesz ingrama, skoro potrafisz zabijać ludzi zwykłym fortepianem.

Dopiero gdy jechali camaro Micky'ego, John zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od wielu lat obdarzył kogoś komplementem.

Micky zawiózł Constance i Johna do restauracji. Guido był akurat w fatalnym humorze, ponieważ dwunastoosobowa grupa odwołała rezerwację na pół godziny przed terminem, a ponadto jeden z kelnerów zatelefonował, że jest chory. Poza tym Mario chciał ugotować calamari ripieni con funghi secchi, czyli kałamarnice z dzikimi muchomorami; zdaniem Guida coś takiego dobre było dla potępieńców w piekle, ale nie dla ludzi, którzy płacą za to, co jedzą.

- Guido, to dwoje moich przyjaciół - powiedział Micky. - Zastanawiam się, czy mogliby tutaj trochę pomieszkać.

- Będę gotował to, na co mam ochotę! - wrzeszczał Mario z kuchni.

- Będiesz gotował to, co smakuje moim klientom! To, co ja ci każę gotować. Moi klienci nie lubią gumowych skarpetek wypełnionych gotowanymi ropuchami; i ja też tego nie lubię. - Odwrócił się do Micky'ego i powiedział: - Może byś jednak wrócił do pracy. Myślałem, że jesteś powolny, jednak ten nowy... Powinien zdobyć złoty medal olimpijski w guzdraniu.

- Guido, zgódź się. Chodzi tylko o dwie albo trzy noce. Guido popatrzył na Johna i Constance podejrziwym, ostrym wzrokiem, jaki w zasadzie rezerwował do oceniania świeżości wątróbki

cielęcej. Stanowili dziwną parę: obszarpany mężczyzna w nowych dżinsach i dama co najmniej dwadzieścia lat od niego starsza. Jeszcze dziwniejsze było to, że są przyjaciółmi takiego sfrustrowanego rockandrollowca jak Micky. Te kontrasty jednak uspokoiły Guida; ludzie ci nie sprawiali przynajmniej wrażenia, że będą kraść zastawę albo urządzać całonocne orgie.

- W porządku - skinął głową. - Trzydzieści pięć dolarów za noc. Włoskie śniadanie.

- Co to takiego to włoskie śniadanie?

- Makaron z poprzedniego wieczoru, a co myślicie?

- Będę gotował to, na co mam ochotę! - znów wrzasnął Mario.

Guido pokazał im pokoje. Były niewielkie, lecz bardzo czyste, wyposażone w sosnowe meble, ładne narzuty na łóżka, a do ścian przypięte były plakaty włoskich biur podróży.

- Widzicie tę fotografię? - zapytał Guido. - Terracina. Tam urodził się mój ojciec.

To piękne miejsce. Niebo na ziemi.

Gdy Guido poszedł, John usiadł na łóżku i powiedział:

- Musimy teraz przemyśleć, co będziemy robić dalej. Myślę, iż jedno nie ulega wątpliwości: komuś cholernie zależy na tym, żebyśmy się nie dowiedzieli, gdzie przebywa William Cicero. Tak cholernie, że z pewnością nie poprzestanie wobec nas na jednym ostrzeżeniu.

- Może to Rosjanie, Chińczycy albo Irakijczycy? - zasugerował Micky. - Ktoś, kto bardzo nie chce, żeby ten nowy system naprowadzania zadziałał? A może ktoś, komu bardzo zależy na mózgu doktora Lügnera i dlatego nie chce, abyśmy dotarli do niego pierwsi?

- Jest tylko jedna osoba, która mogłaby powiedzieć nam to z całą pewnością -

stwierdził John.

- Tak, oczywiście. Jednak jak go znaleźć?

- Cóż, to nie będzie łatwe. Szczególnie w sytuacji, w jakiej się teraz znaleźliśmy; nie możemy już liczyć na to, że uda nam się przeszukać jego dom. W związku z tym przede wszystkim chciałbym odnaleźć ludzi, którzy mogli go znać.

- Znam jego prawników, jeżeli to może w czymś pomóc.

- Żartujesz, Micky? Znasz jego prawników?

- Oczywiście. To Lance, Peutus i Evangeline z Orlando. Po zniknięciu doktora Lügnera przesłali mi kasetę magnetofonową z informacją, gdzie mam szukać lekarstwa, które robi ze mnie geniusza, oraz jak je zażywać.

- Czy pytałeś ich, w jaki sposób można się z nimi kontaktować?

Micky zaprzeczył ruchem głowy.

- Rozmowa była bardzo krótka. Ale mogę zatelefonować do nich jeszcze raz.

- Nie ma potrzeby. Czy mógłbyś udostępnić mi jakiś komputer osobisty?

- Jasne. Mój przyjaciel, Mingus, dostał komputer na urodziny. Nie używa go zbyt często. Czasami się bawi jakimiś grami, ale to wszystko.

- Znajdź mi więc tego Mingusa najszybciej, jak tylko możesz. Im wcześniej się dowiemy, kto depcze nam po piętach i dlaczego, tym wcześniej będziemy wiedzieli, jak się bronić.

Mingus mieszkał zaraz za Emmet, w spokojniejszej części Kissimmee, gdzie jego rodzina dzieliła mały czerwono-żółty domek z kuzynką matki i jej rodziną. Na podwórku przed domem zawsze bawiły się dzieci, zawsze też było ich pełno na klatce schodowej. W którejś z dwóch kuchni nieustannie coś się gotowało lub smażyło, z okien bez przerwy rozbrzmiewała muzyka. Na zewnątrz parkowały trzy pojazdy: firebird, stary, lecz lśniący LTD oraz należący do Mingusa jasnożółty pickup z chromowaną rurą wydechową.

Matka Mingusa była akurat w kuchni i przygotowywała podplomyki z kurczaka.

Była postawną, miłą kobietą o wspaniałym głosie. Siostra Mingusa, Dauphine, siedziała ze skrzyżowanymi nogami na krześle i oglądała w telewizji „Ulicę Sezamkową”.

- Szukasz pana Hałaśnika? - zapytała matka Mingusa. - Jest w swoim pokoju i przyprawia mnie o ból uszu.

Micky od razu rozpoznał brzmienie gitary przyjaciela. Ruszył w kierunku jego sypialni i nie pukając, wszedł do środka. Pokój był mały, jednak należał wyłącznie do Mingusa. Można było przejść stąd na balkon, gdzie stało mnóstwo doniczek z kolorowymi kwiatami. Na ścianach wisiały malowane farbą olejną podobizny Jamesa Browna, Bo Diddleya i Johna Lee Hookera; amatorskie, kiepskie obrazy, ale zawsze.

Mingus siedział na łóżku i grał na gitarze. Wzmacniacz wyciszony był do minimum mocy.

- Cześć, Mingus. Jak leci?

Mingus z beznadziejną miną odłożył gitarę i złączył dłonie za głową.

- Nie wiem, człowieku. Chyba nic nie potrafię. Od kilku godzin próbuję zagrać to przejście. Bez powodzenia.

- Zagraj dla mnie jeszcze raz.

Mingus niechętnie ujął gitarę i ponownie zaczął grać ich nowy utwór Szczury uciekają swobodnie.

Rzeczywiście, rytm okazywał się jakby zbyt trudny dla Mingusa.

- Gówno, człowieku. Totalne gówno - jęknął i znów odłożył gitarę. - Ja sam jestem gówno. Wyraźnie widzę całą moją przyszłość: do śmierci będę zamiatał chodniki przed McDonalodem albo sprzedawał bilety do Alligatorland.

- Przestań pieprzyć - powiedział Micky. - Już grałeś prawie zupełnie dobrze.

Posłuchaj tylko.

Wziął gitarę, zagrał kilka akordów i nastroił dwie struny. Od pierwszej chwili, gdy zaczął grać, Mingus nie wykonał żadnego ruchu, a jedynie wpatrywał się w przyjaciela z niedowierzaniem. Od samego początku bowiem muzyka Micky'ego była wspaniała.

Emanowała z niej głęboka bluesowa siła, dźwięki mogące przebić mury, uparcie biegnące naprzód. Chwilami Micky zdawał się odrywać od ziemi: z przymkniętymi oczyma, z głową odrzuconą do tyłu, z rozwianymi włosami i z natchnionym wyrazem twarzy. Mingus nie wytrzymał, zerwał się na równe nogi i wrzasnął:

- Brawo, człowieku! To jest nadzwyczajne, genialne! Grasz jak czarodziej!

Matka Mingusa otworzyła drzwi i stanęła w progu z rękami złożonymi na piersiach.

- Przepraszam panów - powiedziała - ale siostra Mingusa nie słyszy, o czym rozmawiają Ernie i Bert, a to przecież jej ulubieńcy.

Micky przerwał grę i położył gitarę na łóżku.

- Przepraszam, pani Wells. Chyba trochę przesadziłem.

- Hmm... - mruknęła matka Mingusa i uśmiechnęła się. - Możesz spowodować u ludzi głuchotę, ale jesteś dobry. Mingus, czas najwyższy, żebyś i ty nauczył się grać w ten sposób.

Kiedy poszła, Mingus odezwał się:

- Nigdy nie słyszałem, żebyś tak grał. Czy to z powodu tego środka wzmacniającego mózg?

Micky uniósł przed oczy obie dłonie i przez chwilę nimi poruszał, jakby nie mógł uwierzyć, że przed chwilą szarpał struny własnymi palcami.

- To wydaje mi się takie proste, takie zrozumiałe... Odnoszę wrażenie, że wszystko zawsze było proste, a jedynie mój mózg nie funkcjonował należycie. W końcu skoro Albert Einstein był w stanie pojąć ogólną teorię względności, dlaczego, do diabła, nie potrafiłbym i ja?

- Ogólną teorię względności, powiadasz? Że twoja matka jest starsza względem ciebie, a młodsza względem twojego dziadka...

- $E = mc^2$, ty durniu.

- Sam jesteś dureń, to miał być żart. Słuchaj, za pięć minut muszę iść do pracy.

Może jak skończę, wpadnę do ciebie i pogramy trochę więcej, co?

- Nie wiem... Coś się dzisiaj wydarzyło. Byłem w domu doktora Lügnera i wpadliśmy w poważne kłopoty.

Mingus właśnie przebierał się w czystą koszulkę.

- Kłopoty? Jakie kłopoty? I dlaczego „my”?

- Spotkałem detektywa, który szuka Lügnera, i kobietę współpracującą z nim. Ale potem jacyś faceci włamali się do domu. Wszyscy uzbrojeni w karabiny automatyczne.

- Nabierasz mnie. Przestań. Karabiny automatyczne? Nie, na pewno nabierasz mnie.

- Chciałbym. Urządzili taką strzelaninę w tym domu, że praktycznie roznieśli go na kawałki. Nie uwierzysz, w jaki sposób udało się nam uciec.

- W porządku, nie uwierzę. W gruncie rzeczy nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Gdzie jest teraz ten twój tajemniczy detektyw?

- On i ta kobieta są u Guida.

- Poważnie?

Micky pokiwał głową.

- Cholera jasna - powiedział Mingus i cicho gwizdnął. - Człowieku, chyba nie wiesz, w co się wpakowałeś. Naprawdę mieli automatyczne karabiny?

- Mnie raczej nie szukali. Chodzi im o tego detektywa. Ale posłuchaj, naprawdę ważne jest, żebyśmy jak najszybciej znaleźli doktora Lügnera. Czy pożyczyłbyś detektywowi swój komputer?

- Mój komputer? - zdziwił się Mingus. - Nie wiem. Kosztował moich starych fortunę.

- Nic mu się nie stanie, obiecuję ci.

- No dobra. Ale jeżeli go ten twój detektyw popsuje, kupisz mi nowy.

- Kupię ci dwa.

- I nauczysz mnie grać na gitarze tak dobrze, jak ty grałeś dzisiaj.

- Jeżeli tylko będę w stanie, nauczę cię.

- Mam nadzieję. A teraz zagraj jeszcze raz Szczury uciekają swobodnie, tylko naprawdę głośno. Mama nie będzie miała nic przeciwko temu. No, może trochę, ale tylko trochę.

Micky wziął gitarę i pokręcił potencjometr do oporu; rozległ się delikatny szum w głośnikach. Następnie zagrał, jednocześnie śpiewając ich piosenkę - protestsong, wyraz młodzieńczego niezadowolenia ze świata. Słowa wymyślił na poczekaniu, jednak czynił

to tak płynnie, jakby je czytał albo po prostu znał na pamięć.

Szczury niosą śmierć i zniszczenie, Ale szczury zawsze uciekają swobodnie...

Micky grał tak, że drżały szyby w oknach. Mingus siedział na łóżku oparty o ścianę i z niedowierzaniem kręcił głową. Gdy wreszcie Micky zamilkł, odezwał się:

- Cholera jasna, człowieku, jeszcze nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Jesteś wielki.

- Obaj będziemy wielcy. Mingus i Wells, dobra?

- Tak, ale co będą mówili ludzie? Będą pytać, dlaczego taki geniusz jak ty współpracuje z grajkiem, który nie potrafi zagrać Domu wschodzącego słońca bez osiemdziesięciu pięciu pomyłek.

- Mingus, jesteśmy przyjaciółmi.

- Byliśmy przyjaciółmi. Wtedy, kiedy byliśmy tak samo głupi.

- Wciąż jesteśmy przyjaciółmi, na miłość boską! Mingus wstał i wziął gitarę od Micky'ego.

- Jasne - powiedział. W jego głosie nie było jednak ani śladu przekonania. - Jasne -

powtórzył. - Pomogę ci przenieść komputer do samochodu.

Odebrał Roxanne z Sav-Mart piętnaście po szóstej. Wieczór był ciepły i słoneczny, chociaż nisko szybujące ptaki zwiastowały burzę. Roxanne była w białych obcisłych spodniach i lśniącej bluzeczce z krótkimi rękawkami. Usta wymalowała na różowo; taki sam kolor miała bluzeczka.

- Cześć! - pozdrowiła Micky'ego. Ujęła go za ramiona i pocałowała w policzek. -

Jak się ma mój jajogłowy dziś wieczorem?

- Chyba w porządku. Miałem dzisiaj jeden z tych dni, o których najchętniej by się zapomniało. Aha, i chciałbym, żebyś nie nazywała mnie jajogłowym.

- Co więc poszło źle? Byłeś u tego doktora jak-mu-tam? Tak bardzo chciałeś przeczytać wszystkie jego książki.

- Rozejrzałem się po jego domu i przeczytałem dwie albo trzy pozycje.

- W ciągu jednego dnia przeczytałeś dwie albo trzy książki? - Jasne. Nie były zbyt trudne. Tylko funkcje modularne sprawiły mi pewne kłopoty. Ciekawe, doktor Lügner bardzo intensywnie zajmował się matematyką abstrakcyjną. Jestem pewien, że niektóre z jego twierdzeń nie są znane nawet najsłynniejszym matematykom.

- Co chcesz robić dzisiaj wieczorem? Może pójdziemy do domu? Mogłabym przygotować peklowaną wołowinę. Jest taka krucha w moim wydaniu, prawda?

Micky ze zdziwieniem stwierdził, że spogląda na Roxanne z niesmakiem. Była tak samo ładna jak wczoraj. Tak samo pachniała i była tak samo zadowolona z życia. Jej jasne włosy lśniły w wieczornym słońcu. Jej duże piersi wyraźnie odznaczały się pod bluzeczką. Ale peklowana wołowina? I kolejny wieczór przed telewizorem przy butelce taniego krajowego wina?

- Co się stało? - zapytała Roxanne z uśmiechem; w jej oczach nie było jednak uśmiechu.

- Nie wiem. Nic.

- Czy na pewno nie odczuwasz żadnych skutków ubocznych tego twojego cudownego środka?

- Nie.

Przez chwilę zamierzał powiedzieć Roxanne o tym, co wydarzyło się w domu doktora Lügnera, zdecydował jednak, że lepiej będzie milczeć. Wystarczająco przestraszyli ją pulchny i Kubańczyk. Otworzył dziewczynie drzwiczki auta i po chwili już jechali Canoe Creek Road.

- Czy rozmyślałeś kiedykolwiek o małżeństwie? - zapytała. Zerknął na nią z ukosa.

Słońce było akurat za jej głową, roztaczając wokół niej czerwonożółtą aureolę.

- Jasne, że pewnego dnia chciałbym się ożenić. I mieć dzieci. Nie chcę, żeby nazwisko Frasier zniknęło z tego świata. Dlaczego pytasz?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Zastanawiam się, czego będziesz oczekiwał po swojej żonie.

- O co chodzi? Polujesz na komplementy?

- Chcę wiedzieć, to wszystko.

- Cóż... Musi być blondynką, niebieskooką, mieć ładną buzię i figurę taką, jak dziewczyny z okładek magazynów. Musi też dobrze gotować i lubić muzykę rockową.

Musi mieć swoje zdanie, kiedy trzeba, nie potakiwać mi we wszystkim. I musi być wykształconym refleksologiem.

- Wspaniale - powiedziała, przysuwając się bliżej do niego. - Dlaczego mi więc nie zaproponujesz?

- Mam ci zaproponować małżeństwo? Poważnie?

- Chyba nie jesteś na mnie zły, co?

- A dlaczego miałbym być zły? Jestem mile połączony. Zaskoczyłaś mnie, to wszystko.

- Żyjemy razem już od nie wiadomo jak dawna. - Jasne. Ale małżeństwo... Wiesz, pan i pani Frasier...

- Skąd wiesz, że nie zechciałabym zachować panińskiego nazwiska?

- Nie wiem. Ale to na jedno wychodzi. Bylibyśmy mężem i żoną. Poza tym -

popatrzył na swoje odbicie w lusterku - nie jestem pewien, czy mam aparycję męża. I kwalifikacje.

- Myślę, że będziesz wspaniałym mężem. Bez dwóch zdań.

W domu czekał już na nich Orbison, wariacko merdając ogonem. Roxanne poszła do kuchni, by rozpakować zakupy i przynieść piwo z lodówki, a tymczasem Micky stanął na środku pokoju i poczuł się dziwnie obco w tym miejscu, jakby tu nigdy nie mieszkał. Popatrzył na wiszący na ścianie obraz Alfreda E. Neumana Co, ja mam się martwić i stwierdził, że irytuje go jego otwarta bezmyślność. Sprawiał wrażenie reklamującego wartości, jakie niesie głupota; a właściwie kto, do cholery, chciałby być głupcem?

Roxanne wyszła z kuchni, niosąc piwo.

- Nie włączyłeś telewizora - zdziwiła się.

- Rzeczywiście, nie włączyłem.

- Ale przecież zaraz będą Domowe robótki! Uwielbiasz tę audycję!

- Jasne, oczywiście. Obejrzymy więc Domowe robótki. Pocałowała go, a potem zmarszczyła czoło.

- Czy jesteś pewien, że nie odczuwasz żadnych efektów ubocznych? - zapytała z niepokojem w głosie. - Może powinien cię zbadać jakiś lekarz?

- Hej, ze mną wszystko w porządku - zapewnił ją. - Naprawdę. Czuję się doskonale. Rozpiera mnie energia. Chciałbym dokądś pójść. Gdzieś daleko.

- Pójść? Przecież dopiero co wróciliśmy!

- To taka metafora.

Długo wpatrywała się w niego, aż wreszcie Micky zrozumiał, że Roxanne nie pojmuje znaczenia słowa „metafora”.

- Obejrzymy Domowe robótki - zasugerował.

Przez jakiś czas siedzieli na kanapie i oglądali telewizję. Roxanne uwielbiała Domowe robótki i co chwilę wybuchała głośnym śmiechem. Micky obejmował ją ramieniem i też próbował się uśmiechać. Słońce powoli zachodziło i wkrótce niebo przybrało kolor ciemnego granatu. Niecałą dobę wcześniej Micky śmiałby się głośno razem z Roxanne. Teraz jego myśli krążyły wokół ostatniego twierdzenia Fermata.

Zostało zaledwie wspomniane w jednej z książek doktora Lügnera, jednak bez przerwy, niczym natrętna mucha, myśl o nim drażyła jego umysł.

„ $X^n + Y^n$ nigdy nie jest równe Z^n , jeżeli n jest liczbą całkowitą większą od 2”.

Inaczej mówiąc, dwie liczby podniesione do kwadratu mogą po ich dodaniu dać inną podniesioną do kwadratu, ale dwie liczby podniesione do sześciastu nie dadzą kolejnej liczby podniesionej do sześciastu, gdy je dodamy. Także dwie liczby podniesione do czwartej potęgi nie dadzą w wyniku dodawania kolejnej. I tak dalej, bez końca, niezależnie od tego, czy dane liczby podniesiemy do potęgi piątej, szóstej czy siedemdziesięciomiliardowej.

Pierre de Fermat, siedemnastowieczny matematyk francuski, który zaprezentował

tę teorię, nie potrafił dojść do jej sedna. Przez trzysta lat te same problemy mieli jego uczeni koledzy. Tego wieczoru Micky nie rozmyślał o niczym innym. Na miłość boską, dowolne dwie liczby można mnożyć przez niezliczone liczby. Czy naprawdę można udowodnić, że żadne z nich, dodane do siebie, nigdy nie dadzą kolejnej podniesionej do tej samej potęgi? Naprawdę nigdy?

- Suzie przybrała na wadze - odezwała się Roxanne. - Je zbyt dużo chipsów ziemniaczanych.

- Powinna spróbować tych nowych chipsów, dla osób dbających o linię. Są smażone w sztucznym tłuszczu, który przepływa przez ludzkie wnętrza, nie pozostawiając po sobie śladu.

Roxanne uderzyła Micky'ego łokciem w bok.

- To wstrętne.

- Nie ma w tym nic wstrętnego, to czysta nauka. Roxanne przez chwilę milczała, przypatrując się Micky'emu.

Wreszcie odezwała się:

- Chyba nie będziesz już do końca tak się wymądrzał, co? Czy może chcesz, żebym czuła się przy tobie jak ostatnia idiotka?

Ścisnął jej bosą stopę.

- Wcale mi na tym nie zależy. Po prostu mam lepszą pamięć niż wczoraj i o wiele szybciej myślę. To przecież nie czyni ze mnie innej osoby, prawda?

- A jeśli chodzi o małżeństwo?

- Ukończysz matematykę na renomowanym uniwersytecie i następnego dnia się z tobą ożenisz.

- Ty draniu! - zawołała Roxanne i uderzyła go.

- Zaraz, zaraz, przecież zamierzasz ukończyć kurs refleksologii! - zawołał. - To będzie równie dobre.

Pocałował ją. Wyglądała ślicznie w bladym świetle rzucanym przez telewizyjny kineskop.

- Pomożesz mi, mam nadzieję, otworzyć mój refleksologiczny interes -

powiedziała.

- Wiesz przecież, że ci pomogę niezależnie od tego, czego zażadasz.

Tym razem Roxanne pocałowała Micky'ego i zaczęła rozpinąć jego koszulę.

- Jesteś najwspanialszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Gdy tylko pomyślę, że nasze drogi mogły się nigdy nie zejść... Ciarki przebiegają mi po krzyżu.

Oddał jej pocałunek. Jej usta jak zwykle były miękkie i słodkie. Przebiegł językiem po jej prostych białych zębach, a potem przez chwilę smakowali nawzajem swoje języki. Przycisnął Roxanne mocno do siebie. Miała gładką skórę i tak wspaniale pachniała, że Micky'emu czasami zdawało się, iż jest ona fantastyczną istotą, a nie zwyczajną kobietą, która przygotowuje peklowaną wołowinę i przynosi z kuchni puszkę z piwem.

Wsunął dłoń pod jej bieliznę.

- Oooch! - jęknęła głosem małej dziewczynki. - Jesteś dzisiaj bardzo szybki...

- To lepsze, niż być bardzo wolnym.

Uniosła ramiona i ściągnęła przez głowę obcisłą różową bluzeczkę. Pod spodem -

mimo że miała duże piersi - nosiła tylko mały prosty stanik z białego nylonu, przez który prześwitywały różowe, szerokie brodawki. Micky znów ją pocałował w usta, a potem opuścił głowę ku jej piersiom. Niemal połknął mały srebrny krzyżyk, z którym Roxanne nigdy się nie rozstawała. Natrafiwszy na niego, głośno parsknął i roześmiał

się.

- Chyba mnie nie zgwałcisz, co? - odezwała się. Jej oczy lśniły.

Delikatnie ściągnął z niej stanik i odrzucił go za siebie. Uwolnione piersi Roxanne lekko opadły z cichym plaśnięciem. Micky ujął je w dłonie, rozkoszując się ich ciepłem, czując ich ciężar, przebiegając kciukiem po brodawkach, aż wreszcie poczuł, że unoszą się i sztywnieją.

- Miałbym cię zgwałcić? - odezwał się. - Skąd ci to przyszło do głowy? Jestem przecież geniuszem. Geniusze nigdy nie gwałcą ludzi.

- W takim wypadku... - wyszeptała Roxanne i z westchnieniem padła na kanapę.

Micky ściągnął z niej spodnie, potem cienkie majteczki i już leżała przed nim naga.

Pochylił się nad nią i dalej bawił się jej piersiami. Potem przesunął dłońmi do płaskiego brzucha i do wzgórka łonowego. Przez chwilę obracał w palcach jej złote włosy.

Czubkami palców głaskał jej uda od zewnątrz, a potem skierował je pomiędzy uda, do środka. Wargi sromowe Roxanne były delikatne i błyszcząły wilgocią. Dziewczyna stanowiła klasyczny obraz młodości, zdrowia, zadowolenia i oddania; mówiło to jej ciało i jej spojrzenie.

Micky przez chwilę głaskał jej nogi, a potem dotarł dłońmi do stóp, które zaczął delikatnie łaskotać. Dziewczyna spróbowała je schować, jednak przytrzymał mocno.

- Hej, czytałem dzisiaj coś o refleksologii...

- Czy jednak zamierzasz się ze mną kochać, czy głaskać moje stopy? Wiesz, że nie znoszę łaskotek.

- Nie chodzi mi o łaskotki. Sprawdzam pewną teorię refleksologiczną.

- Refleksologowie zalecają masowanie stóp, a nie łaskotanie, głuptasie.

- Masowanie? W ten sposób?

- Tak, tak już lepiej... Nie! Ty wciąż mnie łaskoczesz!

- Słyszałem, że odpowiedni masaż stóp może doprowadzić nawet do orgazmu.

- Nie wiem. Tego nas jeszcze nie uczyli.

Micky stopniowo zaczął masować kciukiem podbicia jej stóp.

- Cóż, twierdzi się, że to działa na obie płci. Mężczyzna może masować stopy kobiety, dopóki ona nie dozna orgazmu, a potem kobieta może to samo zrobić mężczyźnie. Nawet nie dotykając żadnego innego miejsca na ciele.

- Po co to wszystko? - zdziwiła się Roxanne. - Wolę dochodzić do orgazmu w normalny sposób.

Mimo to rozłożyła się wygodniej na kanapie i ciepło uśmiechnęła się do Micky'ego; wcale nie chciała, żeby przestał. A on, mimo że poważny podręcznik refleksologii miał w rękach zaledwie przez trzydzieści sekund w domu doktora Lügnera, doskonale pamiętał fragment zatytułowany „Refleksologia a seks”. Masował w tej chwili te fragmenty stóp Roxanne, dzięki którym mógł wyzwolić z dziewczyny wszelki stres wywołany wrażeniami całego dnia. Dziewczyna mruknęła

cicho i przymknęła oczy. Tymczasem Micky powoli zmieniał rejony zainteresowania, uspokajając puls Roxanne, a następnie pracę płuc. Jej oddech stał się spokojniejszy, skóra na klatce piersiowej lekko się zaczerwieniła. Reakcje kobiety miały wpływ i na niego. Stwierdził, że on z kolei oddycha coraz szybciej i że sztywnieje mu penis. Kusiło go, by zapomnieć o stopach Roxanne i kochać się z nią natychmiast, szybko, byle jak, gwałtownie; a jednak zdołał się powstrzymać, tak bardzo poruszyły go możliwości refleksologii, możliwości kontroli i dania tak wielu doznań drugiej osobie zaledwie poprzez masaż jej stóp.

Zaczął wodzić kciukiem wokół trzeciego palca każdej ze stóp Roxanne, gdy tymczasem palcami wskazującymi wciąż przebiegał po ich spodach. Oddychała teraz lekkim, krótkim oddechem i zaciskała dłonie. Oczy miała mocno zamknięte, głowę odrzuconą do tyłu i tylko wyraz twarzy świadczył o tym, jak jest jej dobrze. W pewnej chwili rozrzuciła szeroko nogi i Micky ujrzał lśniąca wilgoć. Szybko złączył je z powrotem.

- Och, Micky - jęknęła Roxanne. - Och, Micky, co ty mi robisz?

Wciąż ją masował, nawet gdy dzięki temu, że usztywniała nogi, czuł, że jej orgazm jest coraz bliższy. Na całym ciele Roxanne pojawił się pot. Brodawki piersi uniosły się tak wysoko, że stanowiły wyraźne cienie na oparciu kanapy.

W pewnej chwili odniósł wrażenie, że on i Roxanne są spleceni ze sobą jakby mocnym drutem, że jej nerwy przechodzą na niego poprzez jej stopy i jego palce, łącząc ich i emocjonalnie, i fizycznie i wywołując fale nieskończonej rozkoszy.

Roxanne zwykle bardzo głośno zachowywała się podczas orgazmu; jednak nie tego wieczoru. Zadrżała, a potem całym jej ciałem wstrząsnęły głębokie i silne drgawki, bardzo długie, jakby już nigdy nie miało się to skończyć. Uspokoila się dopiero po kilkudziesięciu sekundach, wydając długi, głośny jęk ulgi.

- Och, Micky...

Położył się obok niej i pocałował ją. Oddała mu pocałunek i popatrzyła w oczy.

- Wiesz co? Jesteś najwspanialszym refleksologiem na świecie. To było nadzwyczajne.

- Zastosujemy więc teraz tradycyjną metodę, co? Kochali się powoli w absolutnej ciszy. Oboje byli bowiem spokojni i zadowoleni z wzajemnej bliskości. Gdy skończyli, leżeli długo obok siebie objęci, milczący.

- O czym myślisz? - zapytała wreszcie Roxanne.

- O niczym szczególnym. - (Ostatnie twierdzenie Fermata, jak zwykle).

- Może zjemy lody?

- Czemu nie? Mam chyba Cherry Garcia w zamrażalniku.

- Micky.

- Co takiego?

- Kochasz mnie, prawda? Pocałował ją.

- Oczywiście, że cię kocham. Szczególnie twoje stopy.

- Odnoszę wrażenie, że częśćka ciebie jest teraz zupełnie gdzieś indziej, nie tutaj ze mną.

Ujął jej dłoń i uścisnął ją.

- Jestem cały przy tobie, kochanie. Widzisz, chodzi jedynie o to, że odkryłem w sobie coś, z istnienia czego dotąd w ogóle nie zdawałem sobie sprawy. To jest tak, jakbym był biedny przez całe życie i nagle znalazł milion dolarów pod łóżkiem, w którym sypiałem przez wszystkie te lata.

- Ale gdybyś znalazł milion dolarów pod łóżkiem, mógłbyś się nimi ze mną podzielić. Tymczasem tym, co znalazłeś w swojej głowie, dzielić się nie możesz.

Micky popatrzył na Roxanne i stwierdził, że jest słodziutką dziewczyną. Mógłby zjeść ją z apetytem, kawałek po kawałku. Nie miał natomiast pojęcia, czy nowy, wspaniały intelekt, który w sobie odkrył, pozwoli przetrwać ich związkowi.

Ona tymczasem wstała i poszła do kuchni. Micky usiadł na kanapie i otworzył

kolejną puszkę z piwem. Orbison przysiadł w kącie i ze śmiesznie przekrzywionym łbem patrzył na swojego pana. Micky czytał już dzisiaj o Jamesie Clarku Maxwellu, błyskotliwym dziewiętnastowiecznym fizyku ze Szkocji, który opisał fale elektromagnetyczne dwie dekady wcześniej, niż ktokolwiek był w stanie udowodnić ich istnienie. Maxwell doskonił swe teorie między innymi dzięki „rozmowom” z własnym psem Tobi; prowadził je w myślach nawet podczas głośnych przyjęć.

- Porozmawiamy o matematyce? - zapytał Orbisona. Orbison jęknął i wycofał się pod krzesło.

- Chryste - westchnął Micky. - Nawet psa mam głupiego.

Tej samej nocy, gdy Roxanne już spała, a Orbison grzecznie wycofał się do swojej budy, Micky poszedł do kuchni i wyjął z lodówki ampułki ze środkiem doktora Lügnera. Przygotował strzykawkę i świeżą igłę.

Wplątał się w poważną historię, i to go przerażało. Bardziej jednak zatrważająca okazała się myśl, że mógłby utracić zdolności, które niespodziewanie posiadał, i znów stałby się tą osobą, którą był jeszcze dwa dni temu. Nie rozumiał w tej chwili, skąd brała się tamta jego głupota i ograniczenie, niechęć do jakiegokolwiek nauki. Policzki aż mu płonęły, gdy myślał o sobie i swym starym samochodzie wiecznie wymagającym naprawy, gdy wspominał, jak próbował układać głupie piosenki i opowiadał każdej napotkanej dziewczynie, że jest wiceprezesem firmy zajmującej się ochroną środowiska, a był zaledwie pomywaczem u Guida.

Czas, który stracił, był jego największym żmierzaniem. Wstydził się, że do tej pory w ogóle nie wierzył w siebie. Wiedza dawała mu przecież ogromną władzę.

Pieprzyć gwiazdy rocka, bokserów wagi ciężkiej i hollywoodzkie gwiazdy. Co oni wszyscy wiedzieli? Z całą pewnością nie zdawali sobie sprawy z tego, że w ziemskiej atmosferze jest tyle molekuł, iż z każdym oddechem wdychamy część tych samych cząsteczek, którymi oddychaliśmy w dniu urodzin, że częścią tych molekuł oddychał

Juliusz Cezar i Abraham Lincoln, i każda postać historyczna, o jakiej sobie tylko pomyślimy.

Nie wiedzieli też z pewnością, w jaki sposób skonstruować bombę z kuchennego fartuszka, albo jak wygrać miliony dolarów, odpowiednio wykorzystując teorię względności, albo jak żyć, żeby dożyć stu dwudziestu lat. Nie znali swoich potencjalnych możliwości. Nie rozumieli, kim naprawdę są. Rodzili się, dorastali, żyli i umierali. I nie zdawali sobie sprawy z tego, że w ich głowach znajdują się najcenniejsze skarby całego wszechświata: mózgi.

Sztuczka z fortepianem, którą zastosował po południu, była genialna. Micky pragnął robić rzeczy jeszcze bardziej genialne.

Owinał przedramię gumowym węzem tak silnie, że wszystkie żyły ręki były doskonale widoczne. Natychmiast wbił igłę w największą z nich. Nie stanowiło to żadnej trudności; poczuł jedynie lekki ból. Jeszcze przez moment wahał się, po czym podjął decyzję i wstrzyknął sobie do żyły zawartość drugiej ampułki. Z telewizora znajdującego się w pokoju docierał do niego czyjś głos: „...w moim wieku wie się tak wiele rzeczy, ale brakuje już sił, by tę wiedzę wykorzystywać”.

Micky długo stał w kuchni i wpatrywał się w swoje odbicie w okiennej szybie.

Odnosił wrażenie, że to jego duch stoi po drugiej stronie i uważnie mu się przypatruje.

Duch wyglądał na poważnego i zamyślnego.

Tej nocy śnił, że znajduje się w obcym kraju, a na horyzoncie widzi kontury czarnych, postrzępionych gór. Niebo miało cynowy kolor i padał deszcz. Siedział na werandzie jakiegoś domu, do którego prowadziła błotnista dróżka gęsto upstrzona kałużami. Młoda bosa dziewczyna w słomkowym kapeluszu szła wzdłuż ścieżki, prowadząc przed sobą kilkanaście kaczek.

W powietrzu czuł dym; ale nie taki, do jakiego był przyzwyczajony. Ten był

pachnący i ostry, jakby ktoś palił bambusy.

W werandzie pojawił się drugi mężczyzna i przystanął za nim. Nie musiał się ku niemu odwracać, ponieważ doskonale wiedział, kto to jest.

- Czy w końcu przestanie padać? - zapytał mężczyzna.

- Kaczki to lubią - zauważył Micky. Wyciągnął z kieszeni papierosa bez filtra wypełnionego luźnym tytoniem. Zapalił, po czym splunął odrobinę tytoniu, która przylgnęła mu do języka.

- Czuję się, jakbym spędził tutaj już całe życie - zauważył mężczyzna.

Micky wygodniej rozparł się w skrzypiącym wiklinowym fotelu.

- Pewnego dnia, gdy będziemy to wspominać, być może nie uwierzemy, że wszystko wydarzyło się naprawdę.

Deszcz wciąż padał, tworząc na powierzchniach kałuż śmieszne kółeczka.

Dziewczyna z kaczkami gdzieś zniknęła. Nagle Micky'emu przyszła do głowy liczba 731. 731 - 731 - 731 i chłopakowi zrobiło się zimno i opanowało go niewytłumaczalne poczucie winy i panika...

Obudził się i leżał bez ruchu prawie pięć minut, niemal całkowicie przekonany, że był tam na werandzie i oglądał postrzępione góry na linii horyzontu. Ale gdzie? Co znaczyła liczba 731 i dlaczego sprawiła, że poczuł się tak źle?

Była szósta nad ranem, słońce zaczynało prześwitywać przez zasłony. Wszedł z łóżka i podszedł do lodówki. Wyjął z niej butelkę coli i wypił całą zawartość. Nie smakowała mu, ale była przynajmniej chłodna i gasiła pragnienie. Zaczął rozglądać się za czymś do jedzenia, z niechęcią jednak popatrzył na starą cannelloni. W końcu znalazł

jakieś ciasteczka i oparty o lodówkę zaczął je jeść jedno po drugim.

„Czuję się, jakbym był tutaj przez całe życie”.

Zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i przytrzymał pomiędzy ramieniem a policzkiem.

- Tak? - odezwał się.

- Micky? Tu John Huntley. Posłuchaj, ile czasu zajmie ci droga do mnie?

- Dziesięć do piętnastu minut. Jak ci idzie z komputerem?

- Nie uzyskałem wiele, ale niektóre rezultaty są interesujące. Chyba mógłbyś mi pomóc.

- Czy zlokalizowałeś naszego ptaszka?

- Co? Nie słyszę cię! Są jakieś zakłócenia na linii.

- Nie, żadne zakłócenia, to tylko ja jem kruche ciastka. Chciałem się dowiedzieć, czy odnalazłeś naszego przyjaciela.

- Aha... Nie, ale chyba zawęziłem pole poszukiwań. Mimo to wciąż stoimy przed otwartą zagadką.

- Pozwól tylko, że coś na siebie wrzucę, dobra? - Jasne. Upewnij się tylko, że nikt cię nie śledzi. Uważaj także na gliniarzy. Rano mówili w telewizji o naszej prywatnej wojence w Winter Park.

- W porządku. Będę uważał.

Pocałował śpiącą Roxanne w policzek, po czym wciągnął dzinsy, koszulkę i wyszedł z domu. Zdążył jeszcze zostawić Roxanne wiadomość: „Proszę, nakarm Orbisona. I pod żadnym pozorem nie otwieraj nikomu drzwi”.

Przez chwilę zastanawiał się, po czym pod spodem dopisał: „Możesz być sobie wegetarianką, nie zapomnij jednak o małej śwince, która lubi smaczne rostbefy”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

John był na nogach już od piątej. Nie ogolił się, a stolik, który pożyczył od Guida, zastawiony był kubkami zimnej, nie dopitej kawy. Siedział przy komputerze Mingusa z zaczerwienionymi i piekącymi oczyma, którymi nie był już w stanie mrugać.

- Gdzie jest Constance? - zapytał Micky i wcisnął się pomiędzy łóżko a oparcie krzesła, na którym siedział John.

- Wciąż śpi, o ile mi wiadomo.

- Chyba nie pozwolisz, żeby z tobą została, co?

- Hmm? Oczywiście, że nie. Kiedy tylko zje śniadanie, wyślę ją do bezpieczniejszego i bardziej dla niej odpowiedniego świata sztuki.

- Przyznasz chyba jednak, że to kobieta z klasą. I jak na jej wiek, ma jeszcze w sobie całkiem sporo energii.

Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że drzwi pokoju są nie domknięte, a Constance stoi niemal w progu. Po chwili weszła do środka.

- Proszę, proszę, jakie to komplementy można usłyszeć z samego rana. Dziękuję wam bardzo.

Micky aż podskoczył i zaczerwienił się.

- Och, Constance, bardzo cię przepraszam. Posłuchaj, naprawdę jest mi bardzo przykro. Chciałem po prostu powiedzieć, że jesteś młoda duchem.

- Zamknij się. - Constance machnęła ręką i usiadła na łóżku obok niego. Ubrana była w tę samą spódniczkę, którą miała na sobie poprzedniego dnia, jednak zamiast wczorajszej bluzeczki założyła koszulkę z napisem „Botticelli’s Prosciutto” i wizerunkiem uśmiechniętego włoskiego kucharza, którą zapewne pożyczył jej Guido.

Włosy owinęła w ręcznik kąpielowy zwinięty w turban. - Znalazłeś go już? - zapytała Johna.

John odchylił się na krześle i wskazał na ekran monitora.

- W nocy udało mi się włamać do poufnej kartoteki Lance'a, Peutusa i Evangeline'a. Czego tam nie ma! Z wiedzą tam zawartą moglibyśmy szantażować połowę bogaczy z centralnej Florydy, a potem spędzić resztę życia beztrudnie na jakiejś słonecznej wyspie. Nie natrafiłem jednak ani na hasło „Cicero”, ani „Lügner”. Ani na żadne z nazwisk, których używał, pisząc te swoje książki, jak na przykład „Walter Cera”. A sprawdziłem każdego ich klienta, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat zarejestrował jakiś patent, opublikował książkę albo miał cokolwiek wspólnego z jakąkolwiek inną dziedziną sztuki.

- Coś jednak osiągnąłeś...

- Tak, znam nazwiska pięciu projektantów pól golfowych; czegoż innego można się jednak spodziewać w centralnej Florydzie. Wiem o dwóch patentach na sprzęt sportowy i trzech na usprawnienie działania klimatyzacji. Opatentowano też pomysł na leczenie skóry aligatorów. Jakiś Warwick Bellows napisał książkę, jak zrobić duże pieniądze na emeryturze. Ktoś inny napisał Jak osiągnąć sukces w życiu. Nic genialnego, zapewniam was. Jeżeli Lance, Peutus i Evangeline mają w kartotece komputerowej cokolwiek, co dotyczy Cicero, jestem pewien, że nie dam rady tego odnaleźć: zrobiłem wszystko, co leżało w zasięgu możliwości mojego umysłu. Czuję, że to tutaj jest, ale nie potrafię sobie z tym poradzić.

- William Cicero ukrywa się - zauważył Micky. - I jest w tym dobry, ponieważ robi to przez całe życie.

- Z mojego doświadczenia wynika - odezwała się Constance - że ludzie, którzy lubią się chować, lubią także pozostawiać wskazówki. Krycie się nie przynosi najmniejszej satysfakcji, jeśli nie ma żadnego ryzyka, że zostanie się odnalezionym.

- Naprawdę? - zdziwił się John. Constance uśmiechnęła się słabo.

- Mój pierwszy mąż... Do dziś jestem przekonana, że chciał, abym odkryła, że ma romans. Chciał, żebym była wściekła i posłała go do diabła. Chciał, żebym wzięła na siebie odpowiedzialność za zerwanie naszego małżeństwa. Nie miał dość odwagi, żeby przyjąć ją na siebie. Dlatego moim zdaniem bez kłopotu znajdziecie tego Williama Cicero, jeżeli tylko w odpowiedni sposób użyjecie szarych komórek.

Micky popatrzył na ekran.

- Pokaż mi listę wynalazków - poprosił i po chwili John wywołał na ekran zbiór oznaczony hasłem „PATENTY”. Ludzie opatentowali najróżniejsze rzeczy: od dwustronnych kijów golfowych po zraszacze trawników działające zależnie od pogody.

Żaden z patentów nie kojarzył się z dokonaniem doktora Lügnera.

- Teraz pokaż mi książki.

John wyświetlił listę „PRAWA AUTORSKIE”. Jedna z książek nosiła tytuł Jak osiągnąć sukces w życiu, a napisał ją Bert Singlestone.

- Sukces w życiu - powiedział Micky w zamyśleniu. - Co doktor Lügner zostawił nam w swoim komputerze?

- „Jeżeli A jest sukcesem w życiu, wtedy A równa się x plus y plus z”.

- I Singlestone... - wtrąciła Constance. - Przecież to angielskie tłumaczenie słowa „Einstein”.

- Bert Singlestone: Albert Einstein. To musi być to - stwierdził John.

Micky sam zaczął szukać i wkrótce dotarł do szczegółów dotyczących publikacji książki. Była to typowa umowa autorska, co jednak najważniejsze - zawierała adres autora: Kissimmee Acres Country Club.

- Wspaniale - powiedział John i przeciągnął się z ulgą. - Chodźmy więc i znajdziemy naszego zbiega.

- Nie możemy - oznajmił Micky.

- A to dlaczego? Co nas powstrzymuje?

- Kissimmee Country Club nie został jeszcze zbudowany. Nawet nie przygotowano terenu pod budowę.

- Jakim więc cudem on może tam mieszkać? - zapytała Constance.

John siedział przez chwilę ze zmarszczonym czołem. Wreszcie, jakby wstąpiła w niego nowa energia, niemal rzucił się na klawiaturę komputera i wywołał kartoteki Real Estate Development, firmy pośredniczącej w handlu nieruchomościami. Ich oferta zawierała ogromną liczbę „wspaniałych rezydencji” i „domów jedynych w swoim rodzaju”. Było w niej także siedem „żywych społeczności golfowych”.

- Wolę nie wyobrażać sobie martwej społeczności golfowej - stwierdził Micky.

John przeszedł do następnej listy nieruchomości i wreszcie znalazł: Kissimmee Acres Country Club. Obok znajdowała się adnotacja: PEŁNA SYMULACJA.

- Oto, jakim cudem on tam mieszka - powiedział John. Przebiegł palcami po klawiaturze i po chwili na ekranie rozbłysło jaskrawe wejście do Kissimmee Acres Country Club z piękną, łukowo sklepioną bramą z cegły. Za nią, jak naturalne, rozciągały się zielone trawniki. Po obu stronach drogi znajdowały się wykwintnie zdobione fontanny. Na wprost nieprawdopodobnie niebieskim niebie nie było chmur.

Rozległy się fanfary, a następnie ciepły, łagodny głos zaczął mówić:

„Kissimmee Acres... Jeżeli kiedykolwiek marzył ci się elegancki klub albo rezydencja na wsi, lecz

nie było cię na to stać, teraz możesz przemyśleć problem ponownie. W Kissimmee Acres Country Club w centralnej Florydzie czeka na ciebie życie na najwyższym poziomie. To tutaj znajdziesz najlepsze warunki do gry w golfa, eleganckie obiekty klubowe, doskonałą kuchnię, sieć sklepów, baseny kąpielowe i korty tenisowe. To tutaj spełnią się twoje marzenia o wiejskim życiu”.

- Czy jesteś pewien, że natrafiliśmy na właściwy trop? - zapytała Constance.

- Tylko popatrz.

Sterując obrazem na ekranie komputera, John powoli prowadził swych towarzyszy przez bramę i pojazdem aż do budynku klubowego. Symulacja jego wnętrza była tak doskonała, że niewiarygodne wydawało się, iż w rzeczywistości to miejsce nie istnieje.

W szklanych gablotach widniały trofea golfowe, na stolikach stały piękne wazony z kolorowymi kwiatami. Słychać było nawet szmer półgłosem prowadzonych rozmów.

Wkrótce na ekranie ukazał się obszerny, elegancki bar. Zwiedzając go, dostrzegli jakiegoś mężczyznę siedzącego na wysokim stołku. W charakterystyczny sposób ścisnął

w dłoni szklanekę z porcją martini, jakby czekał na spotkanie z osobą, którą umówił tutaj poprzez wyspecjalizowaną agencję, a która się spóźniała. Jednak nie. W pewnej chwili wznosił kieliszek w górę i odezwał się: - A więc dotarliście tutaj. To dobrze. Lepiej późno niż wcale.

- To on - powiedział Micky. - Jezu, nie mogę uwierzyć, to on.

Nie było co do tego wątpliwości. Z całą pewnością wpatrywali się w komputerowy wizerunek „doktora Lügnera” albo „Williama Cicero”, albo „Waltera Cery”, albo... Ten osobnik miał jeszcze setki fałszywych nazwisk. Symulacja komputerowa zlikwidowała zmarszczki na jego twarzy. Przypominał teraz bardziej bohatera niezliczonych gier niż wysuszonego, starszego mężczyznę, którym jeśli wciąż jeszcze żył, był naprawdę.

Mimo wszystko jego wizerunek był niezwykle realistyczny.

- Wcale nie tak trudno było mnie znaleźć, co, Micky? - odezwał się doktor Lügner.

- Mówię to, ponieważ skoro mnie odnalazłeś, musiałeś zażyć mój wspaniały środek.

Bardzo mnie interesuje, jak się czujesz. Bo jeśli chodzi o mnie, gdy spróbowałem tego po raz pierwszy, poczułem się, jakby zerwało mi czubek głowy i słońce zaglądało do mojego mózgu. - Pociągnął łyk martini, zsunął się ze stołka i kontynuował: - Chodźcie, przespacerujemy się. Chciałbym pokazać wam zielone tereny, które wkrótce znajdą się tutaj w rzeczywistości. To będzie przeurocze; wszystko zaprojektował Tom Fazio.

Lubię jego wyobraźnię. Jest bardziej błyskotliwy niż Gary Player. Potrafi sprawić, że człowiek czuje jedność z naturą.

Przez hol poprowadził ich na tyły budynku klubowego. Po chwili szerokimi kamiennymi schodami

zstępowali na tereny do gry w golfa. Wyraźnie słyszeli szum lekkiego wiatru i wesołe ćwierkanie ptaków.

- Teraz, Micky, skoro zażyłeś już mój środek, wiesz, co zrobiłem dla ciebie. Co zrobiłem dla twojego umysłu - mówił doktor Lügner. - Wyobraź sobie coś. Gdybyś podzielił swój mózg na najdrobniejsze cząstki, uzyskałbyś sto miliardów oddzielnych neuronów, a więc mniej więcej tyle, ile jest drzew w puszczech Amazonki pokrywających obszar wielu tysięcy kilometrów kwadratowych.

- Co to jest, wykład naukowy? - zawołał John, jednak Constance uciszyła go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Doktor Lügner znalazł się tymczasem przy pierwszym dołku golfowym i kontynuował.

- Te neurony bezustannie komunikują się pomiędzy sobą.

Dzięki temu zachodzi proces myślenia. Ale żeby komunikacja miała miejsce, neurony potrzebują mocy; dlatego przez cały czas umysł generuje elektryczność. Twój mózg, Micky, to zaledwie dwa procent wagi całego ciała, jednak zużywa więcej niż dwadzieścia procent tlenu wykorzystywanego przez ciało. Te miliardy neuronów stale wytwarzają napięcie. Przesyłanie sygnałów pomiędzy nimi polega właśnie na drobnych zmianach w tym napięciu, które są istotą krótkich sygnałów trwających za każdym razem co najwyżej od jednej do dwóch tysięcznych sekundy. - Urwał na chwilę i niespodziewanie zmienił temat. - Czyż nie zaprojektowano tego dołka we wspinałym miejscu? Spójrzcie tylko, jak precyzyjnie trzeba uderzyć piłeczkę, żeby ominąć te drzewa. - Przeszedł kilka kroków i znów mówił: - Większość ludzi porównuje swoje mózgi do superkomputerów lub łączy telefonicznych. W porządku, mają w tym trochę racji, ponieważ ich funkcjonowanie polega na przekazywaniu impulsów elektrycznych od neuronu do neuronu. A jednak proces ten jest o wiele bardziej skomplikowany.

Przecież gdyby chodziło o zwykłą elektryczność, nie reagowalibyśmy na środki przeciw bólom głowy, LSD czy marihuanę.

- Przyczyną wszystkiego są styki pomiędzy neuronami nazywane synapsami.

Można je zobaczyć jedynie w mikroskopach elektronowych, powiększone dziesięć tysięcy razy. Neuron, czyli komórka nerwowa, wysyła sygnał elektryczny przebiegający po długiej wypustce zwanej aksonem do kolejnego neuronu. Co się jednak dzieje, kiedy sygnał natrafia na synapsę? W jaki sposób przekazuje on do neuronu docelowego po drugiej stronie?

- Odpowiedź brzmi następująco: oto sygnał elektryczny zamieniany jest w sygnał

chemiczny. To tak, jakby dojechać do rzeki, pozostawić samochód na brzegu i na drugą stronę podróżować łodzią. W ludzkim mózgu znajduje się ponad pięćdziesiąt typów substancji chemicznych, które przenoszą impulsy poprzez synapsy na drugą stronę; tam natychmiast przemieniane są z powrotem w sygnały elektryczne. Wyskakujesz z łodzi i wsiadasz do następnego samochodu.

- Łodzie, samochody, do diabła, o czym on mówi? - warknął John.

- Cii... - uspokoiła go Constance. A doktor Lügner wciąż spacerował.

- Czyż nie jest tu pięknie? - zapytał, odwracając się w ich kierunku. - Nie mogę się doczekać, kiedy tu wreszcie zagram. Naprawdę nie mogę się doczekać. - Ruszył w kierunku drugiego dołka. Za nim podążał symulowany golfkart prowadzony przez uśmiechniętego kierowcę. - Kiedy sygnał przebiega przez synapsę, kiedy przenoszą go substancje chemiczne, a nie elektryczność, wtedy właśnie jest on podatny na wszelkie inne środki, które mogą dostać się do ludzkiego organizmu z zewnątrz.

Czy wiecie, czym jest currara? To trucizna, której Indianie z Ameryki Południowej używają do zatruwania strzał służących do polowań. Currara blokuje działanie acetylocholino, która jest jednym ze środków chemicznych używanych przez komórki nerwowe do wzajemnej komunikacji. - Doktor Lügner wciąż się uśmiechał. - Niektórzy ludzie są szybsi i sprytniejsi od innych. Niektórych uważamy za geniuszy. Większość z nas godzi się z takimi podziałami, wzruszając ramionami i mówiąc, że cóż, takie jest życie, po prostu ten facet urodził się mądrzejszy ode mnie, a ten głupszy. Zapewniam was jednak, nic nie musi pozostawać kwestią samego tylko urodzenia; to biologiczny mit. Micky, pracuję już pięćdziesiąt dwa lata nad chemią mózgu i powiem teraz właśnie tobie, przede wszystkim tobie: z wyjątkiem biednych i nieszczęśliwych ludzi, których mózgi zostały zniszczone przy urodzeniu albo odmienione z powodu jakiejś choroby czy wypadku, każda kobieta i każdy mężczyzna na tej planecie jest potencjalnym geniuszem.

Gdyby wynaleziony przeze mnie środek był powszechnie dostępny, w gruncie rzeczy geniuszy na świecie by nie było: przecież wszyscy bylibyśmy genialni. Czy byłeś inteligentny, zanim przyjąłeś mój środek? Czy miałeś w sobie coś z Einsteina? A może powinienem raczej powiedzieć: Singlestone'a? Byłeś przeciętnikiem, prawda? Nie chcę cię obrazić, to wcale nie była twoja wina. Musisz jednak wiedzieć, że twoja przeciętność wcale nie wynikała z ukształtowania genów, nie była następstwem ewolucji. Najznakomitsi ludzie tego świata miewali przecież najgłupszych rodziców; i vice versa. Geniusz, to nie kwestia dziedziczenia. To kwestia chemii.

- Właśnie, Micky. Jestem przekonany, że podążasz za tokiem mojego myślenia.

Ponieważ jest to kwestia chemii, możesz sztucznie wywołać w sobie geniusza. W teorii mógłbyś uzyskać chemiczny transmiter, który umożliwiłby twoim neuronom przesyłanie informacji z prędkością o tysiąc razy większą niż normalna. W teorii mógłbyś otworzyć całe ogromne obszary ludzkiego umysłu, które do tej pory się nie rozwijają. Czy pamiętasz stare filmy science fiction, jak na przykład Wyspa Ziemia, w których wszyscy przybysze z kosmosu byli jajogłowymi? To wcale nie musi być fantazją. Gdybym wypuścił mój środek na wolny rynek, wkrótce każda gospodyni domowa w tym kraju podczas prasowania koszuli dla męża liczyłaby w pamięci równania z dwiema niewiadomymi. - Doktor Lügner zmierzał ku kolejnym połaciom pięknie przystrzyżonej trawy. Wszystko na ekranie wydawało się prawdziwe.

Niesamowite było jedynie to, że doktor w ogóle nie rzucał cienia. - Oczywiście -

kontynuował - to nie jest teoria. To już są fakty. Do tej pory dwukrotnie albo trzykrotnie zażywałeś mój środek i doskonale wiesz, co on z tobą uczynił. Doskonale też rozumiesz, że największym

problemem w związku z tym środkiem może już wkrótce okazać się dylemat, kto powinien go zażywać, a kto nie; niestety, na razie nie wystarczy go dla wszystkich chętnych”.

Jak myślisz, dlaczego używam tak wielu pseudonimów? Jak myślisz, dlaczego wciąż uciekam? Wynałazłem środek, który doskonale działa. Spróbowałem go. Poza mną zażyło go jeszcze dwóch innych naukowców. Teraz ty. To takie proste, prawda? I do jak wspaniałych prowadzi rezultatów!

Kolejny problem: co się stanie, gdy o moim wynalazku dowie się rząd? Tylko mi nie mów, że zaczną rozprawiać go sprawiedliwie wśród obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki, co w gruncie rzeczy jest ich obowiązkiem. Rządzącym nie zależy na populacji intelektualistów, na Amerykanach, którzy zaczną wyłączać telewizory podczas programów Oprah i myśleć samodzielnie. Amerykanach, którym znudzi się oglądanie meczów baseballowych i masowo zaczną pytać o zasady polityki fiskalnej albo zmiany swego prezydenta wobec Nikaragui. Oni nie chcą Amerykanów, którzy zdadzą sobie sprawę z tego, że cheesburgery, którymi się ich karmi, to gówno, że opery mydlane to bajki, które nie odzwierciedlają rzeczywistości, że Elvis Presley naprawdę nie żyje.

John w milczeniu wpatrywał się w ekran. Całe jego zawodowe doświadczenie podpowiadało mu, że doktor Lügner mówi prawdę. Nawet najlepsze ciasteczka Old Mother Brown były tylko chemicznymi kompozycjami zapachów, pudru kakaowego i fosfatów.

A naukowiec kontynuował:

- Mówimy o Amerykańskim Marzeniu. A przecież Amerykanie nie powinni marzyć. Wszyscy powinniśmy się obudzić. Wszyscy. Począwszy od tych, którzy żyją w największych miastach, skończywszy na mieszkańcach najbardziej zapadłych wiosek.

Wówczas dopiero okażemy się gotowi na przyjęcie środka, który wynalazłem, a możliwość taka nie będzie niczym przywilejem, lecz równym prawem każdego z nas. -

Dotarł do olśniewającego błękitnego stawu, po którego spokojnej powierzchni dumnie pływały kaczki. - Wiem, Micky, że teraz, gdy zażyłeś mój środek, powinniśmy się spotkać. Jest kilka spraw, które chciałbym, abyś dla mnie załatwił; spraw zbyt trudnych i niebezpiecznych, bym podołał im samodzielnie. Już wkrótce powiem ci, w jaki sposób uzyskać mój środek, dzięki czemu jeżeli cokolwiek złego mi się przydarzy, jego receptura nie zostanie przez ludzkość utracona na zawsze. Aha, nazywam to synaptyną, choć nazwy tej oczywiście jeszcze nie zarejestrowałem.

Wkrótce znów otrzymasz ode mnie wiadomość. Tymczasem mam nadzieję, że jesteś zadowolony z naszej przechadzki. Zdradzę ci, że bardzo chciałbym zamieszkać w takim miejscu jak to.

Uniósł dłoń w geście pozdrowienia i zaczął się oddalać. Po chwili zniknął

między drzewami.

- Uff - westchnął John i wyłączył komputer. - Przynajmniej wiemy, że najprawdopodobniej wciąż żyje. I skoro chce się spotkać z Mickym, nie musimy tracić energii na szukanie go.

- A gdy go wreszcie spotkamy? - zapytał Micky. - Chyba nie zamierzasz go porwać, co?

- Oczywiście, że nie. Po prostu namówię go, żeby poszedł ze mną do Broussarda i pokazał jego nieborakom, w jaki sposób wprawić w ruch te nieszczęsne pociski. Na tym cała zabawa się skończy.

- Czy mogę ci wierzyć?

- To zależy od ciebie. Mam nadzieję, że mi uwierzysz. W tej chwili pragnę tylko jednego: zakończyć tę robotę, skasować forszę i wrócić do San Francisco.

- Zawrzyjmy więc umowę. Gdy doktor Lügner się ze mną skontaktuje, zorganizuję spotkanie. Poproszę go, by rozważył udanie się razem z tobą do Broussarda i jeśli wyrazi zgodę, wszystko będzie w porządku.

- A jeżeli odmówi?

- Wówczas nic z tego.

- Przecież znajdę go tak czy siak. Na tym polega mój zawód. Jeżeli będziesz mi utrudniał robotę, potrwa to jedynie trochę dłużej.

- Poproszę go, dobrze?

- No dobrze, dobrze. - John wzruszył ramionami. - W końcu to ty jesteś geniuszem.

Micky przyniósł z restauracji kolejny dzbanek kawy, a potem włączył komputer, żeby jeszcze raz obejrzeć symulację. Znów znaleźli się przed bramą Kissimmee Acres.

Znów rozglądali się po barze.

Tym razem jednak doktora Lügnera tam nie było. Jego kieliszek był pusty, a stółek wolny. Przenieśli się na tereny golfowe, ale i tam nie było ani śladu po naukowcu.

Najwyraźniej przygotował wszystko tak, że spotkanie z nim mogło nastąpić tylko raz.

- Nigdy nie przechytrzymy tego faceta - powiedział John, kręcąc głową.

- Cóż, udawało mu się ukrywać przez pięćdziesiąt dwa lata, mimo że publikował

artykuły, książki i rozpowszechniał swą muzykę. Czy wiesz, że to on napisał Słoneczną serenadę dla Doris Day?

W tym momencie zadzwonił telefon. John chciał podnieść słuchawkę, jednak uprzedziła go Constance.

- Halo - odezwała się. - To ty, Elspeth? Najwyraźniej nie uzyskała żadnej odpowiedzi. Potrząsnęła słuchawką i powtórzyła „halo, halo”, jednak z drugiej strony dobiegał tylko dźwięk sygnału.

- Spodziewałaś się telefonu? - John natychmiast stał się czujny.

- Tak, od mojej siostry. Poprosiłem ją, żeby pilnowała galerii, kiedy mnie nie będzie. Miała do mnie dzwonić dzisiaj rano. Czy coś nie w porządku?

- Telefonowałaś do swojej siostry?! - Tak. W jaki inny sposób...

- Wynosimy się stąd! - krzyknął John. - Zabieramy swoje rzeczy i zwiewamy.

Micky, powiedz swojemu przyjacielowi, żeby także natychmiast ewakuował restaurację.

Natychmiast!

- Co ja takiego zrobiłam? - zapytała zaczerwieniona Constance.

John włożył do kieszeni dzinsów swój portfel i rozejrzał się, aby sprawdzić, czy musi zabrać coś jeszcze.

- Gdybym właśnie nas poszukiwał, Constance, przede wszystkim sprawdzałbym, czy kontaktujemy się ze znajomymi lub krewnymi. A teraz opuszczamy to miejsce.

Micky był już w restauracji i rozmawiał z Guidem. - Musicie wszyscy stąd wyjść chociażby na chwilę. Zaraz pojawią się tutaj nieprzyjemni ludzie uzbrojeni w automaty.

- O czym ty mówisz? Jacy ludzie?

- Nie wiem, nie znam ich. Wiem jednak tyle, że są bezwzględni i niszczą wszystko i wszystkich, którzy stają na ich drodze.

W tym momencie z kuchni wyszedł Mario, wycierając ręce.

- O co chodzi? Co to za krzyki? - zapytał.

- Mario, musimy opuścić restaurację. Prawdopodobnie nie na długo. Jednak dzięki temu umkniemy spotkania z uzbrojonymi bandytami.

- Jak mogę teraz wyjść z restauracji? W połowie passatelli?

- Cholera, wariactwo - jęknął Guido. - A czego ci ludzie właściwie chcą?

- Przykro mi, ale oni szukają moich przyjaciół - odparł Micky.

- Wiedziałaś, że tak będzie, kiedy ich tu przyprowadzałeś, prawda?

- Tak, raczej tak. Bardzo mi przykro. Miałem jednak nadzieję, że w tej kryjówce będą mimo wszystko bezpieczni. Zresztą... Być może nadal są bezpieczni. Ale przed chwilą zadzwonił u nas telefon i po drugiej stronie nikt się nie zgłosił. Dlatego John uważa, że jesteśmy w

niebezpieczeństwie.

W tym momencie John pojawił się w sali restauracyjnej.

- To ty jesteś John? - natychmiast natarł na niego Guido.

- Posłuchaj, za chwilę nikogo nie powinno być w restauracji. - John nie bawił się w żadne wstępy. - Wiem, że to dla ciebie problem, jednak faceci, którzy tu się zaraz pojawią, są bardzo, naprawdę bardzo nieprzyjemni.

- Wiem, jak sobie radzić z nieprzyjemnymi facetami - stwierdził Guido. Wszedł do kuchni i po chwili powrócił z wielką śrutówką. - Oto, w jaki sposób radzę sobie z naprawdę bardzo nieprzyjemnymi facetami.

- Myślę, że nic nie rozumiesz - stwierdził John. - Ci ludzie zabiją cię w tym samym momencie, w którym na ciebie spojrzą.

- To może powinniśmy zawołać policję?

- Lepiej nie.

- Nie? Dlaczego? Nie mów mi tylko, że gliny was również szukają.

- Niezupełnie. Ale z pewnością policja nic tu nie pomoże.

- Panie John, ta restauracja to moja własność, a to jest Ameryka i nikomu nie pozostawię mojej własności.

Jeszcze dobrze nie wypowiedział tych słów, gdy z ulicy dotarł do wnętrza restauracji pisk opon hamujących samochodów. Zatrzymywały się dokładnie przed tą częścią budynku, w której mieszkali John i Constance.

- Constance, uciekaj stamtąd! To mogą być oni!

Guido przeładował śrutówkę. Był blady z wściekłości i napięcia.

- Nikt nie będzie bezkarnie pętał się po mojej restauracji - oznajmił przez zaciśnięte zęby. Mario dał nura do kuchni i zaraz powrócił z młotkiem do bicia kotletów. - Już raz tacy tutaj się zjawili, cwaniaczki. Chcieli naprawiać dach po huraganie. Żądali osiem tysięcy dolarów! Powiedziałem im, że w chwili, w której tkną się tego dachu, zginą.

- Cholera, nic nie rozumiecie - naciskał John. - To nie są ludzie od napraw dachów!

To...

Nastąpił grzmot, przypominający potężne trzaśnięcie drzwiami, i cała restauracja zatrzęsała się w posadach. Butelki wystawione za barem pospadały na podłogę. Popękały w oknach szyby, w kilku

miejscach od sufitu odpadł tynk. Pod drzwiami wejściowymi pojawił się dym i błyskawicznie zaczął się rozprzestrzeniać po restauracji. Do sali wbiegła Constance i przez sekundę stała zdezorientowana, jednak John natychmiast pociągnął ją na podłogę. Za oknami ukazały się żółte płomyki ognia.

- Na ziemię! - krzyknął John do Guida i Maria. Micky już od kilku chwil tkwił

przykucnięty za barem i nerwowo rozglądał się za czymś, co mogłoby posłużyć mu jako broń.

- Mój Boże, co się stało? - zawołała Constance ze zdziwieniem.

- Używaj ciężkiej broni - odparł John. - Chowaj głowę w ramiona, cokolwiek będzie się działo.

- Co oni robią? - wrzasnął Guido. - Co oni robią? Przecież to jest całe moje życie, moja praca! - Ruszył w kierunku tylnych drzwi ze śrutówką do strzału. - Dranie! Co zrobiliście? Pozabijam was za to! Pozabijam wasze matki! Pozabijam całe wasze rodziny!

- Guido, na miłość boską, padnij! - krzyknął Micky. Guido jednak niczego nie słyszał. W gęstym dymie zmierzał w kierunku tylnych drzwi, aż wreszcie dotarł do nich i szarpnął za klamkę. Odgłosy dochodzące z płonącej części mieszkalnej zabrzmiały niczym huk wywoływany przez przejeżdżający pociąg.

- Dranie! Bandyci! Czy wiecie, jak ciężko musiałem pracować, żeby zbudować ten interes? Jakim prawem mi go niszczyacie?

- Guido, na ziemię! - wrzeszczał John. Gęsty dym gryzł go w gardło i sprawiał, że z trudnością mówił i oddychał.

Nawet Mario zawołał do brata:

- Guido, wracaj! Wracaj, słyszysz?

John pociągnął Constance w kierunku baru i wkrótce znaleźli się obok Micky'ego.

- No i co teraz, geniuszu? - zapytał John. - Co powinniśmy teraz zrobić?

- Nie wiem - odparł Micky. - Ale chyba musimy się stąd wydostać.

- Jak? Przez frontowe drzwi? Zdaje się, że tam właśnie na nas czekają.

- Nie. Raczej przez tylne. Przez płomienie.

- Wspaniale - stwierdził John. - I uciekniemy pod postacią pieczeni.

- Zdaje się, że mają tutaj koce przeciwpożarowe, prawda? Mario! - zawołał Micky.

- Słuchasz mnie, Mario? Macie tutaj koce przeciwpożarowe?

- Si, si, koce przeciwpożarowe - odparł Mario, nie bardzo wiedząc, co mówi.

Poprzez dym próbował dojrzeć, co robi Guido. Dym w sali restauracyjnej był już tak gęsty, że widoczność nie przekraczała pięciu metrów. I z każdą chwilą się pogarszała.

- Chryste, musimy stąd zwać - jęknął John, pokaszując.

- Guido! - zawołał Mario. Oczy miał wilgotne, dłońmi osłaniał twarz przed piekącym dymem. - Guido, gdzie jesteś?

- Mario, na miłość boską, nie ruszaj się! - wołał Micky. John przez chwilę intensywnie rozmyślał.

- Poczekaj tu, Constance - powiedział wreszcie i zaczął czołgać się w kierunku kuchni, równie zadymionej jak sala restauracyjna. O dziwo kuchnia wciąż pracowała i poprzez dym przebijały się zapachy smażonych klopsików i świeżo zerwanych liści bazylii. Wszystkie noże i inne przybory Maria starannie ułożone znajdowały się na swoim miejscu, na dużym stole pośrodku kuchni. Pod stołem John dostrzegł pudło z napisem „koc przeciwpożarowe”. Gdy jednak je otworzył, stwierdził, że jest puste.

Szybko powrócił na miejsce za barem.

- Cholera, nie ma żadnych koców! - zawołał. - Co teraz zrobimy? Doniesiemy straży pożarnej na Guida?

- Możemy się modlić - zauważyła Constance. Mocno przyciskała do ust chusteczkę.

- Lepiej zmożmy w wodzie kilka obrusów - zaproponował Micky. - Kiedyś w Tokio widziałem, jak ludzie owijali się w mokre szmaty i bez trudu przechodzili przez szalejące płomienie.

- Dobra, spróbujemy. Każdy pomysł jest lepszy od ślęczenia w tym miejscu i oczekiwania na niechybny koniec.

John przeczołgał się na środek restauracji i ściągnął ze stołów tyle obrusów, ile zdołał. Na zewnątrz nastąpiła tymczasem kolejna eksplozja, o wiele głośniejsza niż poprzednia. Po niej nastąpiły jakieś nawoływania i wkrótce rozległy się również strzały.

Potem usłyszeli głuchy odgłos, który z całą pewnością pochodził ze śrutówki Guida.

- Mój Boże, to jakiś western! - zawołała Constance. John zakaszłał i pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że ci się to w końcu znudzi. Zwłaszcza gdy wywiesimy białą flagę i wyjdziemy stąd z rękami podniesionymi do góry.

Constance jednak nie wyglądała na znudzoną.

- Ile razy mam ci powtarzać, że mi się to nie sprzykrzy? Jeżeli podczas tej przygody umrę, przynajmniej zakończę życie, robiąc coś, a nie wysiadując godzinami w galerii i gapiąc się w okno.

John niechętnie pokiwał głową.

- Dobra - wykrztusił. - W końcu to chodzi o twój pogrzeb. - W gardle tak go szczypało, że nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

- Mamy obrusy! - zawołał Micky i poczołgał się do kuchni. Ściągnął nakrycia z siedmiu albo ośmiu stołów. Natychmiast wrzucił je do zlewu i odkręcił wodę.

Nastąpił jeszcze jeden wybuch, a po nim chwila ciszy. Niezbyt długa jednak, bo nagle zaczęły klekotać karabiny automatyczne i restauracja wypełniła się latającym ołowiem. Lustra pękały na tysiące kawałków. Tynk odpadał ze ścian drobnymi fragmentami, draperia szalała w dziwnym tańcu. Ostatnie butelki campari, punt e mes i galliano rozprysły się za barem, stoliki, od których odpadały nogi, żałośnie wały się po kątach.

Mario wciąż próbował dotrzeć do brata.

- Guido! Guido! Gdzie jesteś, Guido? Czy nic ci się nie stało? Odezwij się, Guido?

Micky zdołał dołączyć do Johna i razem moczyli obrusy.

- Mario! - zawołał John. - Wróć tutaj i owiń się w mokry obrus. Tylko w ten sposób ocalisz życie!

Pozar, którego nikt nie próbował gasić, szalał w najlepsze. Płomienie huczały, szumiały i dudniły, a monotonię tych odgłosów przerywały jedynie trzaski szyb pękających pod wpływem gorąca. John jeszcze raz krzyknął w kierunku Maria, ten jednak nie odpowiedział, a dym był tak gęsty, że mężczyzny nie sposób już było dojrzeć.

John podbiegł do Constance, owinał jej głowę mokrym obrusem, następnie tak samo zabezpieczył siebie.

Opatuleni w miarę szczelnie w czerwono-białe obrusy, potykając się, ruszyli na tyły restauracji. Gdy tylko Micky pchnął drzwi, runęła ku niemu korytarzem kula ognia, nieomal go pochłaniając.

- Nie możemy tędy uciec! - zawołał. - Całe zaplecze się pali!

Z drugiej strony ponownie rozległo się jednak ujadanie ingramów. Cała trójka znalazła się w potrzasku.

John wahał się tylko chwilę.

- Za mną! - krzyknął i ruszył na spotkanie ognia.

Przez kilka pierwszych sekund czuli się, jakby wstąpili do piekła. Ogień był tak intensywny, że woda w obrusach natychmiast się zagotowała i otoczyły ich kłęby pary.

A jednak dotarli do drzwi wyjściowych i wybiegli na otwartą przestrzeń przed płonącym budynkiem. Natychmiast skierowali się w boczną ulicę, zawierając bardziej instynktowi niż znajomości terenu. Po pokonaniu kilkudziesięciu metrów przystanęli.

- Myślicie, że oni są przed nami? - zapytał John. - I tak możemy uciekać tylko w tę stronę.

- W każdym razie na pewno nie możemy tu stać i gadać - stwierdziła Constance.

Tym razem ruszyli ostrożniej. Zza ich pleców wciąż docierały odgłosy pożaru i swąd spalenizny. Restauracja Guida nie miała już żadnej szansy.

Micky wyprzedził pozostałą dwójkę o kilka kroków. Gdy tylko dotarł do rogu, wyrzwał za załom budynku. Przez chwilę patrzył uważnie.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Tutaj chyba nikt na nas nie czeka.

Kierowani nie uświadomionym poczuciem winy, wracali na miejsce pożaru, podchodząc do restauracji Guida od frontu. Wmieszali się w tłum gapiów obserwujących strażaków przy pracy. Na chodniku leżały czyjeś zwłoki. Podeszedłszy bliżej, Micky natychmiast rozpoznał Guida. Jego starannie pielęgnowane wąsiki były spalone, a w czole miał, osadzone w odległości zaledwie pół centymetra jeden od drugiego, dwa otwory po kulach.

Wszyscy troje jeszcze przez długą chwilę w milczeniu patrzyli, jak straż pożarna z Kissimmee dogasza ruiny marzeń i nadziei Guida.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czarny cadillac, który odebrał Sarę Lake z portu lotniczego Logan International, przybył do Twisted River niemal równocześnie z zachodem słońca; Sara zobaczyła jeszcze ostatnie jego promyki wesoło tańczące na trawnikach. Lampy w całej posiadłości zapalały się automatycznie i wkrótce rześnym blaskiem zalane zostały nawet puste korty tenisowe. Podświetlany basen pływacki przypominał szkatułkę w kolorze turkus.

Samochód zatrzymał się przed głównym budynkiem posiadłości, u stóp szerokich, kamiennych schodów strzeżonych przez kamienne postaci dwóch gryfonów. Po stopniach zbiegł szczupły mężczyzna o kruczoczarnej czuprynie, w czarnych płóciennych spodniach i kremowej jedwabnej koszuli. Otworzył przed Sarą drzwiczki samochodu.

- Dzień dobry, pani Lake - powiedział. W jego głosie nie dało się jednak zauważyć ani odrobiny służalczości. Co najwyżej nieco zdziwienia widokiem Sary.

- Cześć, Victor - odparła, wysiadając z cadillaca. Mimo że był środek lipca, tutaj panował chłód, tym bardziej odczuwalny przez kogoś, kto właśnie przyleciał z Florydy, a Sara miała na sobie jedynie lekki, biały płaszczyk letni.

- Mam nadzieję, że nie jadła pani w samolocie - powiedział Victor z uśmiechem. -

Zdaje się, że przygotował na dzisiaj pani ulubione dania.

Sara w milczeniu zaczęła wchodzić po schodach, zmierzając do głównych drzwi.

Również nic nie mówiąc, podążył za nią kierowca niosący jej jedyną walizkę. Niebo przybrało wygląd pomarszczonych kobiecych policzków.

- Nie jest bardzo zadowolony - powiedział Victor.

- On nigdy nie jest bardzo zadowolony - odparła Sara. Mimo wszystko niezbyt cieszyła się na myśl o rozmowie z nim. Gdy jechała do portu lotniczego w Orlando, odebrała telefon od Rolanda z informacją, że John Huntley i jego kompani są wciąż na wolności, mimo „powiedzmy, fajerwerków” (tak to określił) w samym centrum Kissimmee. Co gorsza, „fajerwerki” spowodowały śmierć dwóch przypadkowych osób, a to oznaczało, że policjanci zażądają czegoś więcej niż pokrętnych tłumaczeń i dziesięciu biletów pierwszej klasy na Barbados.

Ciężkie rzeźbione drzwi z dębowego drewna były już otwarte i Sara weszła prosto do holu. Jej buty na wysokich obcasach wydawały głośnie dźwięki przy każdym zetknięciu z podłogą z czerwonego i białego marmuru. Wzdłuż ścian w całym pomieszczeniu znajdowały się niewielkie, równomiernie rozmieszczone i dyskretnie oświetlone alkwoty, mieszczące reprodukcje aktów o wartości przekraczającej nierzadko granicę złego smaku. Wargi modelek były zbyt wydęte, piersi zbyt duże, pozy zbyt sugestywne. Pośrodku holu stał ciężki złocony stół, na którym umieszczono donicę wielkości wanny. Rosły w niej orchidee, pachnące groszki, lilie i róże. Mijając je, Sara mimo woli wciągnęła powietrze; pachniało wspaniale. Pomyślała, że za cenę tych kwiatów przeciętna amerykańska rodzina mogłaby przez cały miesiąc żyć nie tylko w dostatku, ale w komforcie.

- Czy chce pani najpierw się odświeżyć? - zapytał Victor. - On czeka w bibliotece.

- Nie, pójdę prosto do niego. Bóg by mi nie wybaczył, gdybym kazała mu czekać zbyt długo.

Victor lekko wzruszył ramionami. Poprowadził ją prosto ku podwójnym drzwiom i zapukał. Nie czekając na odpowiedź, otworzył je i skinął na Sarę, by weszła do środka.

W bibliotece panował półmrok. Pięć lamp o zielonych kloszach dawało jedynie pięć wysepek światła na brązowych skórzanych sofach, antycznych stolikach i wyblakłych tureckich dywanach. Na jednej ze ścian znajdował się duży dębowy kominek ozdobiony płaskorzeźbami diabłów, demonów i splątanych winorośli. Nie płonął w nim jednak ogień; w środku stał jedynie wazon z kolorowymi kwiatami.

Pachniało biblioteką. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach starych, zakurzonych książek i wysuszonej skóry, a także zapach starszego mężczyzny.

Titan Blight w czarno-purpurowej hawajskiej koszuli i trochę za obszernych czarnych szortach stał przy oknie. Obserwował słońce zachodzące po drugiej stronie Charles River. Jak zwykle palił papierosa.

- Titan, Sara właśnie przyjechała - powiedział Victor, mimo że ta informacja wcale nie była

konieczna.

Zagadnięty odwrócił się. Mimo że liczył siedemdziesiąt osiem lat, wciąż był

jednym z najwyższych mężczyzn znanych Sarze. W młodości, gdy studiował w Yale, liczył ponad dwa metry wzrostu i ważył sto czterdzieści kilogramów. Miał potężną głowę. Kiedyś pokrywały ją złociste, niesforne, rzadko strzyżone kędziorki. Teraz były znacznie krótsze, rzadsze i już siwe. Twarz Titana miała klasyczne rysy; z całą pewnością nie zawahałby się zatrudnić go w swoim filmie żaden z reżyserów kręcących wielkie epepeje biblijne, na przykład Szatę czy Dziesięć przykazań. Jego oczy, dawniej brązowe, teraz były bezbarwne, wyblakłe, blade niczym zbliżająca się śmierć. Usta miał

wąskie i ściągnięte; zdawało się, że każde padające z nich słowo musi być starannie wyważone i mądre. W rzeczywistości taki układ warg spowodowany został wieloletnim nałogowym paleniem papierosów i bolesnymi zabiegami, podczas których usunięto Titanowi wszystkie zęby. Zawsze miał kłopoty z uzębieniem. Jednym z powodów, dla których przeniósł się do Bostonu, było to, że miasto słynęło z doskonałych dentystów.

- Dzień dobry, Saro - powiedział. Mówił ochryłym szeptem, jednak jego słowa wystarczająco wyraźnie docierały do rozmówców. - Przepraszam, że w takim pośpiechu ściągnąłem cię tutaj ze Słonecznego Stanu. Słyszałem jednak, że ostatnio nie najlepiej tam sobie poczynasz. Jeden z naszych ludzi nie żyje. Dwóch jest ciężko rannych.

- Czy mam się tłumaczyć?

Titan podszedł do niej i pocałował ją. Jego oddech tak czuć było tytoniem, że oczy Sary zasły łzami.

- Z każdym dniem piękniejesz - powiedział i pogłaskał jej policzek palcami żółtymi od nikotyny. - Jeżeli zgłosiłbym jakieś pretensje do Boga, to tylko takie, że nie powołał nas obojga na świat w tym samym czasie. Ale bym cię pieprzył, Saro, ale bym cię pieprzył. Tak byś krzyczała, że szyby pękałyby w całym domu.

Sara ściągnęła płaszcz. Pod spodem miała prostą sukienkę w kolorze khaki od Armaniego i bardzo krótką spódniczkę. Victor natychmiast podszedł do niej i z nikłym uśmiechem przyklepionym do ust odebrał jej płaszcz.

- Myślałem, że dasz sobie radę z Gene Broussardem - mówił Titan. - Jest bystry, inteligentny, owszem. Z tego, co słyszałem, nawet da się lubić. Ale jest tylko inżynierem. Inżynierem, moja droga! I patriotą, w najgorszym sensie tego słowa.

- Gene nie jest problemem. Problem stanowi mężczyzna, którego on sprowadził.

- Och, tak. Twój przyjaciel, którego zawód polega na ściganiu złodziei zastrzeżonych receptur. Hunter, zdaje się, że właśnie tak się nazywa?

- Huntley. John Huntley.

- I na czym polega problem z Johnem Huntleyem?

- Jest uparty i dociekliwy, w tym tkwi problem. Nie ma zbyt wielkiej wyobraźni, ale jest uparty. I co najgorsze, potrafi wychodzić cało z najgorszych opresji. To cud, że wciąż żyje.

Titan posłał Sarze słaby uśmiech.

- Może jest po prostu dobry?

- Ma szczęście, to wszystko. Poza tym zdaje się, że zdołał pozyskać jakichś przyjaciół, równie jak on upartych.

- Tak, Roland powiedział mi o tym. Starszą kobietę i jakiegoś młodzieńca. Drużyna A to chyba nie jest, co?

- Gdyby Roland był tak dobry w działaniu, jak w gadaniu, już pierwszego dnia pozbylibyśmy się problemu Johna Huntleya razem z tym Kevinem i Jesusem.

- Roland był bardzo skruszony z powodu tego błędu, zapewniam cię. - Titan otworzył wielką srebrną papierośnicę i wydobył z niej kolejnego papierosa.

- Tak czy inaczej John Huntley to już historia - powiedziała Sara zdecydowanie. -

Dostanę go dla ciebie. Obiecuję.

- Tak, dostaniesz go - zgodził się Titan. - Dostaniesz go, bo musisz go dostać. Nie życzę sobie, by ktokolwiek miał nawet cień szansy znaleźć się w pobliżu Williama Cicero. Z wyjątkiem Rolanda oczywiście, który ma obowiązek dotrzeć do niego choćby po trupach.

- Widzisz, wydaje mi się, że John mi ufa. Jest bardzo ostrożny, jednak przypuszczam, iż wciąż wierzy w sens swego oryginalnego zadania. Gdyby Roland dał

mu trochę luzu, może John skontaktowałby się ze mną.

- A tymczasem, kiedy my damy mu „trochę luzu”, on znajdzie Williama Cicero?

Nie podoba mi się to.

- To jest ryzyko, które musimy podjąć.

- Czyżby? To chyba ty musisz je podjąć. Boisz się powrotu do rynsztoka, prawda?

Ale ani ja, ani Baxter nie możemy ryzykować. Baxter będzie się starał tej jesieni o prezydenturę, a ja muszę zebrać wystarczająco dużo pieniędzy na jego kampanię.

- Wciąż nie rozumiem, jaką rolę gra w tym William Cicero. Dlaczego tak bardzo go potrzebujesz? Przecież to tylko naukowiec. Czy może wyrządził ci kiedyś jakąś krzywdę?

Titan zapalił papierosa i wypuścił dym nozdrzami.

- Nie chodzi o to, co on mi zrobił, moja droga. Problem tkwi w tym, co ja mu uczyniłem.

Sara czekała z nadzieją, że będzie kontynuował, Titan jednak palił papierosa w milczeniu. Wreszcie pokiwał głową.

- Pentagon sprawdził Huntleya - powiedziała. - Jest czysty.

- Jakie to ma znaczenie, skoro on o tym nie wie?

- Dowie się. Zadzwoń do mnie, zobaczysz.

- Uważasz, że potrafisz przewidywać jego zachowanie?

- No, może niezupełnie, ale... Przecież zajmuje się tą sprawą, prawda? Był w domu Williama Cicero w Winter Park czy nie? A potem próbował ukryć się w tej włoskiej restauracji. A więc ciągle szuka naszego jajogłowego, a jeżeli tak, to prędzej czy później zechce wyjaśnić zagadkę od początku do końca. To facet, który lubi dobrze wykonać swoją robotę, zanim zgłosi się po wynagrodzenie. Poza tym jest strasznie ciekawski.

Ciekawość i ubóstwo to silne bodźce, prawda?

- Ból i strach są silniejsze - stwierdził Titan, uważnie ją obserwując.

I znów zapadła niezręczna cisza. Titan potrafił wtrącać do rozmowy zdania, które przerywały ją w najmniej spodziewanym momencie. Była to maniera zrodzona z bogactwa, samotności i pogardy wobec innych.

- Nie wiem - odezwała się Sara z ciężkim westchnieniem - dlaczego nie pozwolisz Huntleyowi znaleźć dla ciebie Williama Cicero, by potem uciszyć ich obu.

Zaoszczędziłbyś w ten sposób mnóstwo czasu i pieniędzy... Nie wspomnę już kłopotów w Kissimmee, które wywołuje Roland, siejąc zniszczenie w mieście.

- Roland robi to, co ja mu każę.

- Wiem. Ale i jego, i moja praca byłaby łatwiejsza, gdybyś po prostu pozwolił

Johnowi znaleźć Williama Cicero.

Trupioblada twarz Titana odbijała się w okiennej szybie. Przypominała księżyc w pełni, jasno płonący na niebie w noc, kiedy człowiek czuje się naprawdę bardzo samotny. Dym z papierosa zastępował chmury.

- Masz rację, moja droga, tak byłoby łatwiej. Ale ja nie chcę, żeby ktokolwiek z zewnątrz znalazł Williama Cicero. A już szczególnie taki mały spryciarz, jak John Huntley. Właśnie dlatego pracujesz

dla Broussarda i właśnie dlatego jesteś tutaj dziś wieczorem. Jesteś tu także po to, by spotkać się z Baxterem. No i po to, by zjeść ze mną homara.

Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że istnieje jeszcze jeden powód pobytu Sary w Twisted River, na razie jednak Titan nie zamierzał go zdradzać.

Popatrzył na zegarek.

- Teraz wezmę prysznic i przebiorę się - powiedział. - Myślę, że i ty powinnaś pójść do swojego pokoju, by rozpakować walizkę. Szczególnie bieliznę. Te wszystkie miękkie, jedwabne rzeczy, które nosisz między nogami.

- Brzydzisz mnie.

Titan roześmiał się, ale po chwili jego śmiech przeszedł w gwałtowny kaszel.

- Mam nadzieję, że się zakaszlesz na śmierć - powiedziała Sara.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł oczy.

- Uwielbiam, kiedy jesteś zła - stwierdził. - A może zapomniałabyś na chwilę o swojej bieliźnie i pomogłabyś mi wziąć prysznic?

- Za nic w świecie.

Podszedł do niej i pochwycił za przegub jej dłoni. Przyciągnął ją do siebie w taki sposób, że zmuszona była spojrzeć prosto w jego twarz.

- Powiem ci coś. Weźmiesz razem ze mną prysznic, a ja będę nadal płacił ci pensję, refundował wydatki i czasami sprawiał prezenty w postaci nowego BMW i tym podobnych. Ponadto nie będę zbyt napastliwy, gdy dojdzie do dyskusji o Johnie Huntleyu i Williamie Cicero.

Sara gwałtownie odrzuciła głowę do tyłu i spróbowała się wyrwać. Titan jednak jedynie uśmiechnął się szyderczo.

- Daj z tym spokój, Saro. Bunt niewiele ci przyniesie. Sara usłyszała, że ktoś kaszle za jej plecami i odwróciła głowę. W progu stał Victor i uśmiechał się do niej. Był to miły uśmiech, pełen współczucia, pozbawiony drwiny. Tak jak i Sara, Victor wyrwany został przez Titana ze szponów narkotyków i uratowany od totalnej degradacji. Jednak w przeciwieństwie do niej, nigdy nie pozwalał sobie na najmniejszą oznakę nieposłuszeństwa. Gdyby Titan kazał biegać mu nago po głównych ulicach Bostonu, wykonałby ten rozkaz bez sprzeciwu. Alternatywa była zbyt straszna, żeby w ogóle o niej myślał.

- Dobrze - powiedziała Sara. Zamknęła oczy, by Titan nie mógł odczytać z nich jej myśli. Pogodziła się z jego wolą. Była ślepa. Była niewolnicą. Była jego własnością.

John wyszedł spod prysznica, wycierając ręcznikiem włosy. Lokalna stacja telewizyjna już po raz

dwudziesty opowiadała o kataklizmie w restauracji i o tym, że obaj właściciele, Guido i Mario, zginęli.

„Jak do tej pory policja nie potrafi wskazać na potencjalnych sprawców bestialskiej napaści, jednak uważa się, że w zamach ten mogą być wmieszani inni Amerykanie włoskiego pochodzenia. Ostra rywalizacja pomiędzy restauratorami z Vina Street w Kissimmee wzmogła się z chwilą znacznego spadku zainteresowania turystów tym regionem. Lokal Guida jest już drugim obiektem restauracyjnym strawionym przez ogień w ciągu ostatnich trzech tygodni”.

- A więc nie powiązali tego ze strzelaniną w domu doktora Lügnera? - Micky z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Oni chyba nie mają mózgow.

- Przestań, Micky - powiedział John, siadając obok niego na łóżku. - Nie wszyscy jesteśmy geniuszami.

- Ale moglibyśmy być, prawda? Przynajmniej, gdybyśmy wszyscy zażyli synaptynę.

- Lepiej nie myśl o tym. Świat potrzebuje tak samo głupków, jak i mądrali. Gdyby wszyscy znali się na fizyce kwantowej, kto sprzątałby toalety?

- Nie wiem. Ale jeśli byśmy wszyscy mieli możliwość stać się geniuszami, powinniśmy z niej skorzystać.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu i oglądali mecz baseballowy. Obaj byli wyczerpani wydarzeniami ostatniego dnia i obaj bardzo potrzebowali wypoczynku oraz czasu na przemyślenia. Constance już dawno spała, cicho pochrapując. Micky pomyślał, że we śnie wygląda prawie pięknie; jej twarz zdradzała, że śni, iż znowu jest młoda, pełna radości życia.

Zajęli dwa pokoje w Royal Tudor Motel, betonowym budynku w kształcie prostopadłościanu, zwieńczonym sztuczną strzechą przeciwpożarową udającą słomę; groteskowy zabieg właścicieli, by przyciągać turystów z Wielkiej Brytanii. W środku znajdował się brytyjski pub i klimatyzowana restauracja, której specjalnością były potrawy z ryb i grzyby.

Micky nie ryzykował powrotu do domu. Nikt z nich nie wiedział, czy ich prześladowcy znają go i wiedzą, gdzie mieszka. Na wszelki wypadek Micky zatelefonował do Roxanne do pracy i powiedział jej, żeby nie wracała na noc do niego.

Zadzwoił także do swego sąsiada, Rhetta, i poprosił, żeby nakarmił Orbisona.

- Czy on je pizzę?

- Pod warunkiem, że nie jest za ostra. Jeżeli chcesz, możesz go także zabrać na spacer.

- Co ty sobie myślisz, że będę niańczył twojego psa, podczas gdy ty balujesz nie wiadomo gdzie?

- Przepraszam cię, Rhett, tak tylko mi się powiedziało.

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem, Rhett. Niezbyt długo. Zadzwoń do ciebie jutro. I bardzo ci dziękuję.

Gdy Micky odłożył słuchawkę, John odezwał się:

- Może byśmy coś zjedli? Zamówilibyśmy posiłek do pokoju. Micky potrząsnął głową.

- Nie, John, nie jestem głodny, a jedynie trochę zmęczony. Od czasu, gdy przyjmuję synaptynę, odnoszę wrażenie, że mój mózg funkcjonuje sto razy szybciej niż reszta mojego ciała.

- Hmm. Słyszałeś, co mówił doktor Lügner z komputera? Twój mózg zużywa dwadzieścia procent tlenu, jaki spala twój organizm.

Micky jedynie westchnął.

- Jak myślisz, znajdziemy go? - zapytał po chwili.

John wzruszył ramionami.

- To zależy - odparł. - Zostawił za sobą wiele śladów, tak zresztą jak przez całe życie... Książki, artykuły, obrazy. Bóg jeden wie, ile miał fałszywych tożsamości.

Zanim wykonamy jakikolwiek ruch, musimy teraz zestawić wszystkie fakty na jego temat, do których udało nam się dotrzeć. Jednak nie będzie to łatwe. Uważam, że facet ujawnia ludziom tylko to, co chce, żeby o nim wiedzieli. W końcu to geniusz, prawda?

- Jasne. To ktoś więcej niż Einstein - powiedział Micky. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju, a gdy wspomniał nazwisko Einsteina, jego niepokój jeszcze się powiększył.

- Co z tobą? - zapytał John. Zwykle nie przejmował się tym, co czują inni, a już w ogóle nie przejmował się stanami duchowymi mężczyzn, w których towarzystwie przebywał. Tym bardziej był zaskoczony, przekonując się, że z każdą chwilą darzy Micky'ego większą sympatią. Może było w Mickym coś, co przypominało mu jego samego w młodości? Pewność siebie, ambicja, zadowolenie z życia? Oczywiście Micky nie był teraz zwyczajnym młodzieńcem, lecz chodzącym intelektem, geniuszem, który do nadzwyczajnego stanu umysłu musiał dopasować swoją osobowość. Nie było to łatwe dla chłopaka, który bez trudu pojmował konstrukcje fug Bacha, podczas gdy cała jego natura ciągnęła go ku muzyce ZZ Top.

- Sam nie wiem - odparł. - Niby czuję się wspaniale, ale zarazem fatalnie. Tak jakoś inaczej. Widzisz, nigdy nie czytałem niczego o Einsteinie. A potrafiłem zacytować jego zdanie o sukcesie. Wiesz, to że A równa się x plus y plus z . Skąd ja to wiedziałem?

- Po prostu poprawiła się twoja pamięć, ot i wszystko. Zapewne słyszałeś to w szkole.

Micky potrząsnął głową tak gwałtownie, jak otrząsający się z wody pies.

- Nie słyszałem tego w szkole. W ogóle nigdzie tego nie słyszałem. To tkwiło w mojej głowie, John, jako oczywista, w pełni zrozumiała prawda. Nie potrafię tego wyjaśnić. Odnoszę wrażenie, że znam i rozumiem sprawy, z którymi nigdy dotąd nie miałem żadnej styczności. Mało tego, potrafiłbym cytować twierdzenia, których najnormalniej w świecie jeszcze nie rozumiem, nie rozgryzłem. Poza tym... Na miłość boską, mogę usiąść przy biurku i w ciągu kilku godzin napisać gruby podręcznik na temat stosowania środków owadobójczych! Przecież nigdy nie miałem do czynienia z czymś takim.

- Cholera, mówisz poważnie?

- A co ty myślałeś? Chciałbyś dowiedzieć się wszystkiego o DDT albo BHC, albo tetraetylofosforatach? Wyodrębniono je przy okazji eksperymentów z gazami bojowymi podczas drugiej wojny światowej. Niby nic nadzwyczajnego, ale skąd ja o tym wiem?

John sięgnął po pilota i ściszył głos w telewizorze.

- Jeżeli już o to chodzi, zdziwiło mnie coś, co powiedziałaś, kiedy za wszelką cenę staraliśmy się uciec z restauracji Guida. Zawołałaś: „Kiedyś w Tokio widziałem, jak ludzie owijali się w mokre szmaty i bez trudu przechodzili przez szalejące płomienie”.

Micky popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę to powiedziałem? Przecież nigdy w życiu nie byłem w Tokio. Najdalej stąd to byłem chyba w Nowym Orleanie razem z Mingusem na koncercie Mardi Gres.

Pamiętam to jak dziś, bo ktoś okradł mnie na ulicy; straciłem pięćdziesiąt osiem dolarów.

- Nawet gdybyś był w Tokio, nie mógłbyś widzieć, jak szaleją tam pożary.

Przecież bombardowania tego miasta skończyły się w 1945 roku.

Zapadła długa cisza, którą obaj równocześnie przerwali, wypowiadając te same słowa:

- Czy uważasz, że?... - po czym obaj równocześnie umilkli.

- Czy uważam - kontynuował John - że doktor Lügner mógł nie tylko wzmocnić twój intelekt, ale też przekazać ci zawartość swojej własnej pamięci?

Micky pokiwał głową.

- Chyba innego wyjaśnienia nie ma, prawda? Wczoraj rano bardzo dużo czytałem, jednak nie stanowi to nawet maleńkiej części tego, co wiem. Posłuchaj tylko... - Urwał

i zaczął nucić piosenkę Sugar Change. Następnie wziął papier firmowy Royal Tudor Motel i szybko zapisał na niej melodię, którą przed chwilą zanucił.

- No i co? - zapytał John.

- A to, że jeszcze wczoraj potrafiłem grać na gitarze, ale nie potrafiłem ani zapisywać, ani czytać nut. A dziś już potrafię.

- Co jeszcze potrafisz teraz, a nie potrafiłeś przedtem?

- Nie wiem. Odnoszę jednak wrażenie, że potrafię wszystko. John wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Doktor Lügner powiedział, że sygnały elektryczne w twoim mózgu w ułamku sekundy zamieniane są w sygnały chemiczne i zaraz z powrotem w elektryczne.

Dlaczego więc nie można by pamięci przerobić w chemię i przekazać komuś innemu?

Micky zaczął się nad tym zastanawiać i po chwili oczyma wyobraźni widział

niemal cały proces zachodzący w jego głowie. Dokładnie jeden po drugim stawały mu przed oczyma chemiczne symbole i równania odzwierciedlające zachodzące zmiany. To było takie jasne i takie proste... Do tego stopnia, że dziwił się, iż nie zastanawiał się nad tym nigdy wcześniej.

- Tak - powiedział cicho. - To jest możliwe. - Uderzył się w czoło palcem wskazującym. - To nie tylko jest możliwe, to się stało! Nie mogło być inaczej.

- Chryste! Czy ty wiesz, co to znaczy?... Głupie pytanie. Oczywiście, że wiesz.

- Coś takiego może odmienić świat, prawda? - powiedział Micky. - Nie będzie już żadnych barier. Dzieciaki nie będą musiały wysiadywać godzinami w szkołach; wystarczy kilka zastrzyków i proszę, jesteś absolwentem takiej szkoły czy uczelni, jaka ci się tylko wymarzy.

- Każdy będzie mógł ukończyć college, niezależnie od swych zdolności, umiejętności, zaangażowania i chęci do nauki - kontynuował John.

- Nauka zatriumfuje! - wykrzyknął Micky. - Naukowcy nie będą już musieli udowadniać swoich odkryć na piśmie, po prostu będą przekazywali je bezpośrednio, z umysłu do umysłu. I wszyscy staniemy się wspaniali: muzycy, pisarze, malarze, sportowcy... Już nikt nie będzie chciał oglądać na ekranie swojego ulubionego aktora, potrafiąc odgrywać dowolne role równie dobrze.

- Jeżeli do tego dojdziemy, to ludzie tak naprawdę przestaną umierać. Każdy będzie mógł zachować w swojej głowie wszystko to, co pamiętali jego ojciec i matka, tak jasno i wyraźnie, jakby był tymi dwiema osobami naraz.

- Tak, być może. - Micky niespodziewanie zawahał się. - Z chwilą gdy zażyłem synaptynę, w mojej głowie pojawiło się wiele informacji: naukowych, muzycznych, nawet zdaje się, że potrafiłbym pięknie malować. Ale nie ma tam już miejsca na sprawy osobiste. Ludzie jakby przestali mnie obchodzić, stanowią zaledwie dodatek do mojej wiedzy.

- Może doktor Lügner przelał w ciebie tylko część swojej pamięci? Przecież trudno go posądzić, że nie jest zdolny do żadnych ludzkich uczuć - zasugerował John. - Zdaje się, że mówił o ponad pięćdziesięciu różnych związkach chemicznych, które przenoszą informacje. Może istnieje jakaś możliwość wyboru i on jej dokonał?

- Próbuję przypomnieć sobie Tokio. Pożary, bombardowania i te mokre szmaty, ale nic z tego. Pamiętam jakieś miejsce, które mogłoby istnieć w Japonii, jednak ono znajduje się na wsi, oddalone od miast. Pamiętam dziewczynę i kaczki. Ale to przecież może być jedno z moich własnych wspomnień z dzieciństwa.

John popatrzył na zegarek.

- Kiedy powinieneś zażyć następną dawkę?

- Już kilka godzin temu.

- Będziesz kontynuował, prawda? Przyjmiesz cały zestaw. Micky zawahał się.

- Nie wiem. Nie wiem, czym to się dla mnie skończy.

- Posłuchaj tylko, doktor Lügner musiał mieć jakiś powód, jeśli chciał, żebyś zażył

jego środek. Do tej pory nie znamy tego powodu, ale dopóty, dopóki nie będziemy go znać, nie będziemy też wiedzieli, dlaczego ci faceci w marynarkach tak bardzo chcą się dostać do naszych dup.

- Synaptyna jest w moim domu w lodówce. Myślę, że mój przyjaciel Mingus mógłby tam pójść i ją przynieść.

- Dobra. Idź do telefonu po drugiej stronie ulicy i zadzwoń do niego.

Micky pokiwał głową, chociaż bez entuzjazmu. Niespodziewanie poczuł się zmęczony i przygnębiony; jakby wystartował w maratonie i ukończył bieg, ale na bardzo odległej pozycji, nie dającej satysfakcji. John otoczył go ramieniem.

- Posłuchaj - powiedział. - Poluję na ludzi i przed nimi uciekam już od tak dawna, że nie sposób pamiętać, kiedy był pierwszy raz. To jest zawsze nieprzyjemne, frustrujące zajęcie i żadna sprawa nie kończy się tak, jak bym sobie życzył. Dlatego wiem, że tak będzie i teraz. Dlatego też w tej chwili powinieneś pomyśleć o sobie i o swoich najbliższych, ludziach, na których ci zależy. Nic więcej się nie liczy.

- Wiem. Bardzo martwi mnie los Guida i Maria. Wciąż nie potrafię uwierzyć, że nie żyją.

John nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że jest współodpowiedzialny za wydarzenie w restauracji, ale odpowiada też za Jamiego, Maggie, Constance i nawet Moliera, a w końcu nie można się bez przerwy za wszystko obwiniać, gdyż w takim wypadku pozostanie jedynie whisky i przedawkowanie valium albo kulka dużego kalibru wystrzelona prosto w głowę. Klepnął

Micky'ego w plecy i powiedział:

- No dalej, rusz się. Zadzwoń do swego przyjaciela.

Wielka, szklana kabina z prysznicem wypełniona była parą wodną niczym stanowisko magika na scenie. Titan już tam był i mył głowę. Śpiewał przy tym głębokim, poważnym barytonem Aquellos Cuos Verdes, przebój z lat czterdziestych.

Sara weszła do łazienki jedynie w atłasowym płaszczu kąpielowym w kolorze akwamaryny. Zamknęła za sobą drzwi najciszej, jak potrafiła, a mimo to Titan usłyszał ją i momentalnie przestał śpiewać.

- Saro? To ty? - zawołał.

Przez chwilę stała bez ruchu, nie reagując na jego słowa. Ogarnęło ją pragnienie, by czym prędzej odwrócić się na pięcie i wyjść stąd. Rękę wciąż zresztą trzymała na klamce. Widziała swoje odbicie w lustrze nad zlewem i pomyślała, że wygląda teraz jak duch: blada, z podkrążonymi oczyma.

- Saro! - powtórzył Titan. - Chodź do mnie, zanim mnie to wszystko znudzi. Już się nudzę, Saro. Jestem sam i nudzę się!

- Jesteś złym, wstrętnym człowiekiem - powiedziała Sara z wściekłością. - Mam nadzieję, że zanudzisz się na śmierć.

Titan milczał przez jakieś pięć sekund, po czym odezwał się:

- Nie powinnaś być taka ordynarna, moja droga. Czy wiesz, co ludzie mówią o gryzieniu ręki, która karmi?

Sara puściła klamkę i ruszyła w kierunku kabiny. Jej serce biło z taką siłą, że obawiała się, iż za chwilę zemdleje. Łazienka była ogromna, cała wyłożona jaskrawozielonymi płytkami. Zielone były zlewy, zielone były także ręczniki. Nawet mydła były tutaj zielone, przypominały kostki wypolerowanego onyksu.

- No chodź, Saro! - zawołał Titan.

Jej wahanie trwało jeszcze dwa uderzenia serca. Gdy podjęła decyzję, błyskawicznie opuściła płaszcz kąpielowy na zielone kafelki. Jej skóra była tak blada, że niemal mieniła się srebrem. Jedyny ciemniejszy kolor miały blad różowe piersi i żyły, widoczne pod ich skórą. Odrobinę nad pępkiem, z lewej strony, widniał jeszcze niewielki, pojedynczy ciemny pieprzyk. Jej włosy łonowe były tak ciemne, jak włosy na głowie, i równie miękkie.

Otworzyła drzwi kabiny, weszła do środka i zamknęła oczy. Stała przez chwilę bez ruchu i czuła tylko ciepłą wodę zraszającą jej ciało. Zaraz jednak podszedł do niej Titan i zaczął ocierać swoim brzuchem o jej brzuch.

- Otwórz oczy, dobrze? - poprosił ją. - Czyżbyś się bała, że polubisz to, co zobaczysz?

Sara używała znacznie chłodniejszej wody, biorąc prysznic, i stwierdziła teraz, że z trudnością oddycha.

- Otwórz oczy, rozmawiaj ze mną - nalegał Titan. - Co mi z tego, że wezmę prysznic z jakimś pieprzonym posągiem?

Sara jednak powtarzała w myślach: dopóty, dopóki mam zamknięte oczy, on mnie nie widzi. Jestem niczym. Jestem niewidzialna.

Titan objął jej biodra i przyciągnął je do siebie. Sara trzymała ręce luźno opuszczone wzdłuż tułowia.

- Czy pamiętasz dzień, kiedy się spotkaliśmy? - zapytał Titan. - Podbiegłaś do mnie i zapytałaś, co chciałbym, żebyś zrobiła. Wtedy ja cię zapytałem, co masz na myśli, a ty odparłaś: „Wszystko. Absolutnie wszystko”. I wiesz co? Strasznie śmierdziałaś. Byłaś ładna jak wszyscy diabli, ale strasznie śmierdziałaś. Śmierdziałaś narkotykiem, alkoholem, grzechem i ryszotkiem, tak właśnie. I śmierdziałaś czymś jeszcze, czymś nieuchwytnym, jakby jakaś twoja część już dawno była martwa. Śmierdziałaś emocjonalną gangreną.

Sara otworzyła wreszcie oczy. Twarz Titana znajdowała się zaledwie w odległości kilku centymetrów od jej twarzy. Mężczyzna miał na głowie dziwaczny czepek kąpielowy w białe łatki, co sprawiało, że wyglądał jak duże dziecko w kąpeli. Nagi był

jeszcze bardziej niezgrabny i nieproporcjonalny niż w ubraniu. Krawiec mógł ukryć tłuszcz na czerwonych, okrągłych ramionach, mógł zaprojektować ubrania tak, że starcze, obwisłe piersi nie zwracały uwagi, a i wypukły brzuch był trochę zamaskowany; bez ubrania Titan był jednak niezgrabną masą tłuszczu schowaną pod sterczącą, wysuszoną skórą o niezdrowej karnacji.

- No, do dzieła - odezwał się znowu i wręczył Sarze kostkę mydła. - Namydlisz mi plecy.

Odwrócił się i Sara znalazła się przed wielką czerwoną ścianą, upstrzoną licznymi ciemnymi pieprzykami i bladymi piegami. Z niechęcią uniosła dłonie i powoli zaczęła mydlić plecy Titana. Spodziewała się, że skórę na plecach będzie miał gładką, a tymczasem była chropowata, pomarszczona i przypominała koci języczek. Podczas gdy Sara go mydliła, Titan mruczał pod nosem melodię, czasami również śpiewając kilka słów. Był to kolejny spośród jego ulubionych przebojów z lat czterdziestych He Wears a Pair of Silver Wings.

- Wspaniale. Doskonale. - Titan nie zapominał jednak o swoich plecach. - Trochę niżej. Tak właśnie. Jeszcze niżej. O tak, czuję się jak w niebie.

Przesuwała mydłem po miękkich, obwisłych pośladkach Titana, przypominających torby z muślinu zanadto wyładowane wiejskim twarogiem.

- Tylko dokładnie - powiedział Titan.

I była bardzo dokładna, mimo że w tej chwili nienawidziła się za to. Miał rację.

Podeszła wtedy do niego i zaoferowała wszystko, czego tylko zapragnie. A przecież nikt jej wtedy do tego nie zmuszał, mogła sobie pójść, dokąd by ją oczy poniosły.

- Teraz chcę, żebyś mnie objęła - mówił, wciąż stojąc tyłem do niej. - Obejmij mnie, złóż dłonie na moim brzuchu i wbij je w niego. Głęboko, głęboko. Masuj go i mydlisz.

Przez chwilę myślała, że nie jest w stanie tego zrobić, a jednak przemogła się i przyłgnęła do niego. Czuła obrzydzenie, gdy jej piersi dotknęły starczej skóry. Woda rozpryskiwała się o jego ramiona i uderzała ją w twarz. Musiała odwrócić głowę, by w ogóle móc oddychać.

- Przyłgnij do mnie mocno, z całej siły. Chcę, żebyś poczuła wszystkie moje wnętrzności, masz raz na zawsze przekonać się, że jestem mężczyzną z krwi i kości.

Sara posłuchała go i mocno złączyła dłonie na jego brzuchu.

- Wiesz co? - Titan odwrócił głowę tak, że mógł ją obserwować kątem oka. -

Wiesz, co teraz czujesz? Obejmujesz cud i jest ci cudownie. Powinnaś być mi wdzięczna.

Powoli rozłączyła dłonie i cofnęła się. Titan odwrócił się z uśmiechem na ustach. Z

penisa ściekał mu gruby strumień wody, jakby mężczyzna bez przerwy oddawał mocz.

- Wiesz, że powinienem mieć bliźniaka? - zapytał. - Czasami się to zdarza, ale niestety bardzo rzadko. Mój ojciec pracował jako nauczyciel w szkole. Był bardzo sympatyczny, niezmiernie dobry dla zwierząt i uczynny wobec ludzi. Tak uczynny, że poślubił moją matkę, która pochodziła z bardzo biednej rodziny żyjącej niedaleko Billeriki. Była ładna i pracowita, jednak nie miała za grosz inteligencji. Okazała się tak głupia, że w końcu jej głupota doprowadziła mojego ojca do szaleństwa. Jego, mądrego, doskonale wykształconego nauczyciela. Coś jeszcze było nie tak z moją matką. Coś, co tkwiło w jej genach. Lekarz mówił, że powinna urodzić bliźniaki, ale ona urodziła tylko mnie. Ale za to mam cztery nerki, dwa żółtaczki i dwa dodatkowe płuca. Wiesz, dlaczego powiedziałem, że obejmujesz cud? Bo obejmowałaś dwóch ludzi w jednym.

Sara nie wiedziała, jak zareagować. Nie rozumiała, o co mu chodzi. Czy to miała być jakaś metafora? Żart? Z coraz większym trudem oddychała, zaczynała bać się Titana i z każdą chwilą bardziej chciała stąd uciec.

Titan odebrał jej mydło i zaczął obracać je w dłoniach. Gdy pojawiła się piana, ze słabym uśmiechem na ustach zabrał się za mydlenie ramion Sary.

- Matka nigdy nie potrafiła dać sobie ze mną rady. Denerwowałem ją, sprawiałem, że robiła się czerwona z wściekłości albo wybuchała płaczem. Mój ojciec próbował ją uczyć, jak wychowywać dziecko. Nie była jednak w stanie tego pojąć; a może nie chciała. Są ludzie, którzy gardzą wszelką wiedzą.

Titan mydlił teraz szyję Sary. Na moment obie jego dłonie zatrzymały się na jej tchawicy. Wpatrywała się w jego oczy, szukając jakiejś wskazówki, że chce ją zranić, zadać jej ból, on jednak wciąż się uśmiechał. Po chwili przeniósł dłonie na jej piersi.

Zaprzagnęła znów zamknąć oczy, jednak tym razem stwierdziła, że nie potrafi. Jakiś wewnętrzny nakaz zmuszał ją, by trzymała je szeroko otwarte. W tym momencie fascynował ją widok twarzy Titana i mimo że go nienawidziła, mimo że ją brzydził, jego powolne ruchy zaczęły ją podniecać. Ułamki sekund, w których muskał palcami brodawki jej piersi, przynosiły jej ogromną rozkosz.

- W końcu mój ojciec nie był w stanie już znieść głupoty matki. Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło, ale pobili się i matka spadła ze schodów. Śpiączka, potem śmierć... Walka z ojcem to były ostatnie świadome chwile w jej życiu. Również ojciec się z tego nie otrząsnął. Miał przyjaciela, który produkował tapety. Pewnego dnia poszedł tam i włożył głowę pod nóż do cięcia tapet. Powiedziano mi o tym, gdy miałem szesnaście lat. Wcale nie wybrał takiej śmierci przypadkowo. Zostawił list i napisał w nim, że przez całe życie niczego dobrego głowa mu nie przyniosła. Była jedynie źródłem żalu i frustracji. Napisał, że nie ma nic gorszego, jak być mądrym i wykształconym w świecie głupków i ignorantów.

Dłonie Titana przesuwają się teraz po biodrach Sary. Jego wielki brzuch z dwoma żołądkami ocierał się o nią. Pocałował ją w czoło. W tym samym momencie ujął od spodu jej pośladki i na krótką chwilę wtargnął w nią palcami.

Ich oczy dzieliła teraz przestrzeń dwóch, może trzech centymetrów. Titan uśmiechał się, jednak jego źrenice były nieprzeniknione. Sara nie była w stanie odgadnąć, o czym w tej chwili myśli i co zamierza z nią zrobić.

Niespodziewanie cofnął ręce i odszedł dwa kroki do tyłu.

- Co powiesz na wspólną kolację? - zapytał. - Zamówiłem to, co najbardziej lubisz.

No i nie mogę się doczekać, kiedy spotkasz Baxtera.

Boże, pomyślała Sara. A więc znów to samo. Przecież on wie, jak bardzo mnie brzydzi, i mimo to, kiedy sprawił, że niemal go zaprzagnęłam, odepchnął mnie.

Uniosła rękę, by uderzyć go w twarz, był jednak szybszy i chwycił jej przegub.

Natychmiast ją puścił, jakby ośmielając dziewczynę, by spróbowała jeszcze raz.

- Pachniesz już trochę ładniej - powiedział. Zakręcił wodę, wyszedł z kabiny i rzucił Sarze ręcznik. - Nie czuć już od ciebie narkotyków ani alkoholu. Wciąż jednak pozostała ta moralna zgnilizna. Cóż, tę przypadłość najtrudniej usunąć.

Mingus miał właśnie wyjść z domu, kiedy zatelefonowała Roxanne.

- Mingus? - odezwała się. - Czy miałeś jakieś wiadomości od Micky'ego?

- Jasne. Dzwonił kilka minut temu. Chciał, żebym pojechał do niego i zabrał z lodówki ten środek robiący z niego geniusza.

- Jak wejdiesz do środka?

- Mam zapasowy klucz, który kiedyś dostałem od Micky'ego.

- A potem? Zamierzasz się z nim spotkać?

- Posłuchaj, Roxanne, Micky powiedział mi, żebym trzymał cię od tego wszystkiego z daleka. Wiesz, że Guido zginął. Micky nie chce, żeby podobny los spotkał ciebie.

- To co mam robić? Siedzieć na tyłku i czekać nie wiadomo na co? Mingus, ja chyba zwariuję. Mingus...

- Zabije mnie, jeżeli zabiorę cię ze sobą.

- A ja cię zabiję, jeżeli mnie nie zabierzesz. Teraz decyduj. Mingus podrapał się po nosie. Podjęcie decyzji zabrało mu dłuższą chwilę. Wreszcie powiedział:

- W porządku. Gdzie teraz jesteś? U mamy?

Podjechał po nią krótko po dziesiątej wieczorem do niewielkiego żółtego domku przy Tohopekaliga Street. Widział, jak jej matka wypatruje jeszcze za nimi z jasno oświetlonego saloniku. Roxanne była bardzo podobna do matki; różnił je jedynie kolor włosów, u kobiety żegnającej córkę bardzo rozjaśniony, oraz wyraz twarzy - starsza pani nosiła na niej nieomylnie ślady wczesnego rozwodu, nudy i wielu godzin spędzanych codziennie przed telewizorem.

Roxanne ubrana była w zieloną atłasową bluzeczkę i czarną, obcisłą spódnicę. Na włosach miała tyle lakieru, że były niemal zupełnie sztywne.

- Micky powiedział mi tylko, że na razie mam się trzymać z daleka od jego domu -

powiedziała na powitanie.

Mingus zawrócił i ruszył w kierunku 10th Street.

- Mnie także wiele nie powiedział - stwierdził. - Zdaje się jednak, że polują na niego jacyś faceci w marynarkach.

- Z powodu tego środka na genialność?

- Chyba tak, bo jaki mogliby mieć inny powód? Przecież nie zrównali z ziemią restauracji Guida tylko dlatego, że podawano tam na brudnych talerzach.

Wkrótce dotarli do domu Micky'ego na Canoe Creek Road. Mingus znów zawrócił

i zatrzymał samochód po przeciwnej stronie drogi; na wszelki wypadek, by w razie potrzeby mógł natychmiast uciekać z powrotem do St Cloud. Wyłączył światło, otworzył okna i zaczął nasłuchiwać.

- Co robisz? - zapytała Roxanne. - Mam przy sobie klucz. Możemy od razu wejść do środka i zabrać, co nam potrzeba.

Mingus uniósł w górę dłoń, uciszając dziewczynę.

- Chcę się upewnić, czy nikt nas nie śledził. Poza tym nie zaszkodzi sprawdzić, czy nie kręci się tutaj nikt niepowołany.

Mijały minuty, podczas których przejechały obok nich tylko dwa pojazdy: duża ciężarówka i dwudziestoletni buick z czterema starszymi kobietami w środku. Nie było słyhać nic poza upartym cykaniem cykad i odległym szumem pojazdów pędzących po 10th Street. Za firankami w domu Rhetta wyraźnie było widać niebieskawą poświatę, świadczącą o tym, że gospodarze wpatrują się w telewizor.

- W porządku, idziemy - postanowił Mingus i oboje wysiedli z samochodu.

Przeszli przez jezdnię i zatrzymali się dopiero przed drzwiami domu Micky'ego.

Roxanne wyjęła klucze i po chwili mieszkanie stało otworem.

- Nie zapalaj światła - ostrzegł Mingus. - Weźmy tylko ten środek i wynośmy się stąd.

- Muszę zabrać trochę moich rzeczy - zaprotestowała Roxanne. - I kosmetyki.

Gdzieś tutaj zostawiłam zupełnie nowe opakowanie tuszu do rzęs.

- Daj spokój, nie mamy czasu na szukanie jakiegoś tuszu. - Ale tutaj są trzy moje najlepsze sukienki!

- Na miłość boską! Gdybym wiedział, że zamierzasz zabrać stąd całą garderobę, nigdy bym cię ze mną nie przywiózł.

- To nie zabierze dużo czasu. Wrzucę tylko sukienki do torby i po krzyku.

Przeszli przez ciemny salon. Roxanne skierowała się do sypialni, a Mingus do kuchni. Otworzył lodówkę, odsunął talerz z resztkami pizzy pepperoni i pojemnik z masłem, po czym wyciągnął ampułki z synaptyną. Przez chwilę grzebał także w szufladzie ze sztuczcami, skąd zabrał jednorazowe igły i strzykawki.

Zamykał właśnie szufladę, gdy ktoś klepnął go od tyłu w ramię.

- Już idę - mruknął, przekonany, że stoi za nim Roxanne. Odwrócił się i zaskoczony aż podskoczył. To nie była Roxanne, lecz siwowłosa mężczyzna o bladej twarzy. W szklach jego okularów odbijało się światło z nie domkniętej lodówki.

- Spokojnie, wszystko jest w porządku - powiedział mężczyzna.

Mingus szybko ochłonął.

- Kim pan jest, do diabła? - wybuchnął. - I co pan sobie myśli? Nachodzi mnie pan w taki sposób, jakby zależało panu, żebym padł na miejscu na atak serca.

Siwowłosy mężczyzna uniósł ręce, wskazując, że nie jest uzbrojony i ma przyjazne zamiary.

- Przepraszam. Nie zamierzałem pana straszyć. W aktualnej sytuacji muszę jednak zachowywać wszelkie środki ostrożności. Kręcą się tutaj źli, zdecydowani na wszystko ludzie i trzeba zachowywać czujność. Nigdy nie wiadomo, co im przyjdzie do głowy.

W tym momencie do kuchni weszła Roxanne.

- Co się dzieje? Kto to jest? - zapytała Mingusa. Odpowiedział jej jednak nieznajomy.

- Pani z pewnością ma na imię Roxanne. Micky wiele opowiadał mi o pani nieprzeciętnej urodzie.

Roxanne zaczerwieniła się.

- Micky, kiedy chce, potrafi prawić komplementy - stwierdziła. Mężczyzna uśmiechnął się.

- A pan jest zapewne Mingusem, muzykiem.

- Mam zamiar zostać muzykiem - poprawił go Mingus.

- Hmm... - mruknął mężczyzna. - Kiedy to wszystko się skończy, może potrafimy pomóc panu w zrealizowaniu tego zamiaru.

- Pan jest doktorem Lügnerem, prawda? - zapytała Roxanne. - Tak, z całą pewnością to właśnie pan. Co pan tutaj robi?

- Tak, Roxanne, jestem doktorem Lügnerem. Doskonale to odgadłaś. I w gruncie rzeczy szukam Micky'ego, prawdę mówiąc od samego rana. Jednak nie odbierał

telefonu, a potem, gdy usłyszałem w radiu, że policja poszukuje czerwonego camaro z jednymi drzwiami w kolorze niebieskim, wiedziałem już, że to chodzi o niego. Zdaje się, że popadł w drobne tarapaty.

- Czy pan żartuje? - zawołał Mingus. - Został prawie posiekany na kawałki przez facetów, którzy włamali się do pańskiego domu, a potem niemal spalił się w restauracji Guida. Jego przyjaciele, Guido i Mario, zginęli! Teraz Micky boi się pokazać gdziekolwiek. I taką sytuację nazywa pan drobnymi tarapatami?

Doktora Lügnera nie wzruszyła ta tyrada.

- Ma dość mózgu, by dobrze o siebie zadbać. W końcu ja znajduję się w podobnych opałach od pięćdziesięciu lat i żaden z moich prześladowców nie zdołał

mnie tknąć.

- Kim oni są? - zapytała Roxanne. - I czego chcą? Doktor Lügner potrząsnął głową.

- Mogę powiedzieć ci tylko to, co powiedziałem Micky'emu. Lepiej będzie dla ciebie, żebyś nie wiedziała, kim są. Zresztą nawet gdybyś wiedziała, nie stałabyś się odrobinę mądrzejsza. A jeśli chodzi o to, czego chcą... Cóż, właściwie wiedzą to tylko oni. Z całą pewnością jednym z ich celów jest uśmiercenie mojej osoby.

- Czy ten środek, który pan wynalazł... - zapytał Mingus. - Czy może chodzi im właśnie o niego?

- Częściowo. Nie jest to ich idee fixe. Ich priorytetem jest krycie własnych dup, wybaczenie wyrażenie, a już z całą pewnością krycie pewnej bardzo ważnej dupy w szczególności. Z powodu tej osoby są tacy zdeterminowani i tacy gwałtowni, dlatego nie przebierają w środkach. Czy uważacie, że Watergate było wielkim skandalem? To drobiazg w porównaniu ze sprawą, którą oni mają zamiar zatuszować.

- Prawdę mówiąc, byłem jeszcze zbyt młody, żeby zrozumieć, o co chodziło w Watergate - przyznał Mingus.

- To wtedy prezydent Carter musiał ustąpić - powiedziała Roxanne z przekonaniem w głosie.

Jakiś samochód przejechał ulicą i jego reflektory oświetliły na moment kuchnię.

Doktor Lügner rozejrzał się nerwowo.

- Posłuchajcie - powiedział. - Muszę spotkać się z Mickym, i to jak najszybciej.

Najlepiej będzie, jeśli podacie mi numer telefonu, pod którym go złapię.

- Najpierw spytamy go o pozwolenie - stwierdził Mingus stanowczo. - Wcale nie jestem pewien, czy Micky tak samo chce się spotkać z panem, jak pan z nim.

- Cóż, zgadzam się. Zapytajcie go. Przy okazji... Nie zmuszałem go do zażycia mojego środka, a tylko stworzyłem mu taką możliwość. Jeżeli zechce przerwać jego stosowanie, wszystko w porządku. Ale ponieważ widzę, że zabieracie ampułki z lodówki, przypuszczam, że Micky będzie zażywał go nadal.

Roxanne zmierzyła doktora Lügnera groźnym spojrzeniem.

- Chciałabym się dowiedzieć - powiedziała - dlaczego wybrał pan właśnie jego.

Przecież to zaledwie przeciętny młodzieniec z Florydy, niezbyt rozgarnięty, muszę przyznać. Ale to przecież nie jego wina, że taki się urodził. Był zadowolony z życia, szczęśliwy. A teraz nie może nawet spokojnie wrócić do domu.

- Przykro mi z tego powodu - odparł doktor Lügner. - Wcale nie zamierzałem wciągać go w to wszystko. Ale skoro już tak się stało, będzie potrzebował dodatkowych wskazówek z mojej strony; dlatego właśnie musimy się spotkać.

- Wykorzystał go pan jak szczura w jakimś laboratorium. Doktor Lügner potrząsnął przecząco głową.

- Zaoferowałem mu jedynie możliwość znacznego i błyskawicznego rozwoju.

Wyłącznie od niego zależało, czy skorzysta z tej możliwości. Szczury laboratoryjne nie mogą wybierać, Micky natomiast mógł. A teraz może jednak pójście po rozum do głowy i powiecie mi, jak się z nim skontaktować?

- Dobrze zna pan Disney World? - zapytał Mingus.

- Cóż, nigdy tam nie byłem.

- Da pan sobie radę. Spotkajmy się tam jutro o jedenastej przed domem myszki Micky, dobrze?

- Dlaczego nie dasz po prostu numeru telefonu? Albo przynajmniej wymyśl na to spotkanie jakieś mniej zatłoczone miejsce.

- Nic z tego. Znając telefon, doszedłby pan, gdzie jest Micky. A miejsce? W

Disney World będzie równie dobrze, jak gdziekolwiek indziej. Spotkamy się i powiem panu, czy Micky życzy sobie kontaktu z panem, czy też nie.

- W porządku - zgodził się doktor Lügner i ciężko westchnął. - Skoro tak musi być, niech będzie. A teraz chodźmy już stąd, zanim wyśledzi nas jakiś bandzior w marynarce.

Roxanne szybko pakowała swoje rzeczy do różowej sportowej torby. Zaraz potem cała trójka skierowała się ku drzwiom. Doktor Lügner powoli je otworzył i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Przez chwilę uważnie się rozglądał, po czym nagle przeszedł przez próg i błyskawicznie zniknął w cieniu przed domem.

- Co się dzieje? - zawołał Mingus dramatycznym szeptem. - Czy coś jest nie w porządku?

- Nie wiem - syknął doktor Lügner. - Niedaleko parkuje jakiś samochód. Nie było go tutaj przedtem.

- Nie widzę go.

- Bo jest czarny... Zaraz za płotem pod drzewami.

- Wciąż nic nie widzę... Zaraz, zauważyłem go! Co zrobimy?

- Nic. Musimy po prostu stąd zwać. Mój samochód stoi przed bramą, ford.

- Też nie widzę.

- Bo ustawiłem go blisko płotu. Ty pójdziesz pierwszy, masz przecież synaptynę.

Będę krzyczał, jeżeli tylko zauważę coś podejrzanego.

- Może pan powinien pójść pierwszy? - zasugerował Mingus. - Co się stanie, jeżeli oni są uzbrojeni?

- Czy są uzbrojeni, czy też nie, nie możemy przecież tkwić przed tym domem całą noc.

- To może wybiegnijmy wszyscy razem?

- W porządku, niech tak będzie.

Mingus i Roxanne zamknęli na klucz frontowe drzwi do domu. Przez chwilę czekali w progu, rozglądając się w lewo i w prawo; gdziekolwiek spojrzeli, widzieli tylko czarne drzewa i ciemne krzaki. W cieniu każdego z nich mógł kryć się demon, troll albo mężczyzna w marynarce.

- Myślę, że tutaj nikogo nie ma - powiedział Mingus. - Chodźmy stąd.

Nie uszli nawet trzech kroków, gdy drogę zastąpili im dwaj mężczyźni w szarych marynarkach. Niczym duchy wyłonili się z cienia. Jeden z nich ochryłym głosem zapytał:

- Co to za ciuciubabka? - Po chwili dodał: - Nie ruszać się. Mingus i Roxanne zamarli i odruchowo podnieśli ręce do góry. Roxanne nie wypuściła torby ze swoimi sukienkami.

- Opuśćcie te łapska, to nie jest western, do cholery - rozległ się znów ten sam głos.

Kątem oka Mingus dostrzegł, że doktor Lügner przesuwają się w głęboki cień, jednak drugi z mężczyzn, ten, który do tej pory milczał, błyskawicznie odwrócił się i wycelował w niego automat.

- Zdaje się, że mieliście się nie ruszać, prawda? - zapytał retorycznie.

- A teraz powiedzcie nam, kim jesteście i co tutaj robicie - pierwszy mężczyzna zapytał Mingusa i Roxanne.

- A kto pyta? - zaryzykował Mingus, mimo że serce biło mu ze strachu jak oszalałe.

- Pan Smith i pan Wesson, oto kto pyta. Macie trzy sekundy. Naprawdę nie robi mi żadnej różnicy, czy żyjecie, czy jesteście martwi. Być może wam jest to również obojętne, nie wiem.

- Ta dziewczyna przyjechała tutaj po swoje rzeczy - powiedział Mingus.

- Jakie rzeczy?

- Takie - wtrąciła Roxanne, otwierając torbę, by mężczyzna mógł zajrzeć do środka. Spojrzenie mu nie wystarczyło. Wsunął dłoń do torby i po chwili wyciągnął z niej biały koronkowy biustonosz.

Oglądał go z zaciekawieniem.

- Pokłóciła się ze swoim chłopakiem, to wszystko - improwizował Mingus. -

Przywiozłem ją tutaj, żeby mogła zabrać resztę tego, co do niej należy.

- A ty kim jesteś, nowym chłopakiem? - zapytał mężczyzna; Mingus wyczuł w jego głosie nutę rasizmu. Z całą pewnością nie spodobałby mu się związek białej dziewczyny z czarnym chłopakiem.

- Nie, proszę pana, ja tylko razem z nią pracuję. Poprosiła mnie, żebym ją tutaj przywiózł.

Mężczyzna gapił się na niego przez chwilę zwężonymi, pełnymi niechęci oczyma.

Wreszcie zwrócił się do doktora Lügnera:

- A ty kim jesteś? Nie pasujesz mi do tego towarzystwa. Twarz doktora Lügnera pozostawała w cieniu. - Jestem tylko sąsiadem, proszę pana - odparł. Mówił z akcentem prostego, niewykształconego człowieka. - Otworzyłem im drzwi i pomogłem wynosić bagaże. Nic złego nikomu nie zrobiłem.

- Podejdź do mnie, chcę ci się dobrze przyjrzeć.

- Nikomu nic złego nie zrobiłem, proszę pana. Chcę już iść do domu.

- Powiedziałem, podejdź do mnie, śmierdzielu. Chcę ci się dobrze przyjrzeć.

Doktor Lügner wykonał ruchy, jakby chciał iść przed siebie, jednak jego kroki przypominały księżycowy chód Michaela Jacksona; zamiast do przodu szedł do tyłu i w ułamku sekundy całą jego postać skrył głęboki cień.

Drugi mężczyzna wycelował z pistoletu, jednak jak zahipnotyzowany trzymał go w wyprostowanej dłoni. Z tego stanu wyrwał go dopiero krzyk kumpla:

- Zatrzymaj go, kurwa mać, co ty robisz? Przecież to jest Cicero!

Mężczyzna strzelił. Rozległ się ogromny huk, który odbił się echem od ścian okolicznych domów.

Pierwszy mężczyzna ruszył w kierunku miejsca, w którym po raz ostatni widział

doktora Lügnera, a drugi, ten z pistoletem, natychmiast pobiegł za nim.

- Boże, tam nie ma przejścia! - wrzasnęła Roxanne. - On wpadł w pułapkę, teraz na pewno go zabiją!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Doktor Lügner dotarł do wysokiego płotu ograniczającego posesję Micky'ego od tyłu i uczynił heroiczny wysiłek, by się wspiąć na ogrodzenie. Niestety, próba skończyła się jedynie poranieniem

obu dłoni. Stwierdziwszy, że nie jest w stanie uciec, mężczyzna przystanął pod płotem ze zwieszoną nisko głową, ciężko oddychając.

Pierwszy napastnik dotarł do niego już po kilku sekundach. Szturchnął go w plecy automatem i powiedział:

- Odwróć się. Niech się przyjrzę słynnemu Williamowi Cicero. Bóg tylko wie, jak długo na pana polowałem, panie Cicero.

Doktor Lügner powoli odwrócił się i ściągnął okulary.

- Przykro mi, że stracił pan przeze mnie tak wiele cennego czasu - stwierdził

spokojnie. - Mam jednak nadzieję, że odnalazłszy mnie, nie jest pan rozczarowany.

- Och, oczywiście, że nie. - Mężczyzna był wysoki, proporcjonalnie zbudowany i miał twarz o słowiańskich rysach; można by ją uznać nawet za przystojną, gdyby nie oczy osadzone zbyt blisko siebie i zbyt grube wargi. Z całą pewnością przekroczył już trzydziestkę. Doskonale skrojona marynarka leżała na nim jak ulał. Nosił złoty zegarek ze złotą bransoletką, a mimo to otaczała go aura nie pozwalająca wątpić, że jest to osobnik, który pochodzi z nizin społecznych. Prymitywna, prostacka osobowość w drogim opakowaniu. - Mam nadzieję, że nie utrudnisz nam zadania - powiedział. -

Przespacerujemy się teraz do naszego samochodu, i to w taki sposób, żebyśmy wyglądali jak starzy kumple, dobrze? Nie próbuj żadnych sztuczek, panie Cicero, ponieważ jest mi absolutnie obojętne, czy wywiozę cię stąd żywego czy martwego.

W tym momencie z wnętrza budy Orbisona rozległ się niesamowity odgłos: długi, straszliwy skowyt. Było to tylko ziewnięcie psa Micky'ego; jego spokojny sen zakłócony został przez odgłos strzału. Rozbudzony, postanowił się przewietrzyć i zaczął

się powoli gramolić z budy. Znalazłszy się na zewnątrz, ze zdziwieniem i nie skrywaną nienawiścią spojrzął swymi bursztynowymi ślepiami w oczy pierwszego bandyty, zdaje się, że tego ważniejszego.

- Miły piesek, bądź spokojny - powiedział ten, lekceważąc Orbisona. - No, panie Cicero, idziemy.

Wyciągnął rękę, żeby chwycić doktora Lügnera za łokieć, jednak w tym momencie Orbison warknął i wyszczerzył kły.

- Miły piesek, wracaj do budy i śpij, do kurwy nędzy. Panie Cicero, spieprzamy stąd. Szybko.

Doktor Lügner przycisnął dwa palce do dolnej wargi i nadał policzki jakby gwizdał, chociaż z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk; przynajmniej żaden dźwięk słyszalny dla ludzkiego ucha. Orbison najprawdopodobniej coś usłyszał. Złożył uszy pod siebie, a jego futro najeżyło się, jakby pobudził je prąd elektryczny.

- Co, do cholery? - zdziwił się bandyta.

Doktor Lügner tymczasem przyłożył do ust kolejny palec. Jeszcze raz dmuchnął i wtedy Orbisona ogarnął szal. Rzucił się na mężczyznę w marynarce, wściekle warcząc i gryząc gdzie popadnie. Był wielkim, ciężkim psem (mimo że Micky czasami zapominał

go nakarmić) i bez trudu przewrócił bandytę na ziemię. Głowa zaatakowanego głośno uderzyła o kamień.

Mężczyzna próbował się bronić, Orbison jednak, rozerwawszy rękawy jego marynarki, po chwili zaczął mu szarpać koszulę. Klatka piersiowa bandyty błyskawicznie pokryła się krwią.

Drugi mężczyzna przypatrywał się jak urzeczony gwałtownej walce psa z człowiekiem. Nie ryzykował strzału, gdyż mógł trafić kompana.

- Kurwa, zabij tego psa! - wrzeszczał zaatakowany. - Zabij go, zanim rozszarpie mi twarz!

Wrzask jeszcze bardziej rozjuszył Orbisona. Zatopił kły w przedramieniu swej ofiary i targał nim, jakby miał do czynienia z martwym królikiem.

- Zabij go, ty kretynie! - wołał napadnięty, bezskutecznie próbując się uwolnić od Orbisona. Nie doczekał się pomocy, a jednak miał szczęście, pies bowiem popełnił błąd.

Puścił na chwilę jego ramię i to wystarczyło mężczyźnie. Chwyciwszy w obie ręce pistolet, strzelił do Orbisona z najbliższej odległości.

Strzał odrzucił psa aż na płot. W miejscu, gdzie trafiła kula, jego futro dymiło, a mimo to zaraz się zerwał i zaatakował drugiego bandytę z taką samą furją, jak przed chwilą pierwszego. Mężczyzna zaczął w panice uciekać i po chwili zniknął w ciemności, a pies podążył za nim.

Pierwszy bandyta z trudem się podniósł. Stał przez chwilę niepewnie, chwiejąc się i brocząc krwią. Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Wyglądał na zdziwionego, oszołomionego i na pewno cierpiał z bólu. Doktor Lügner wykorzystał sytuację; podszedł do niego i odebrał mu pistolet.

- To na wypadek, gdyby cię kusilo - powiedział. Wyciągnął z pistoletu magazynek i schował go do kieszeni. Broń wyrzucił daleko za płot.

- Przysięgam na Boga Wszechmogącego, że zapłacisz mi za to - warknął bandyta. -

Przysięgam na Boga, że sprawię ci gorszy los, niż mógłby cię spotkać w piekle.

- Nie mogę się doczekać - odparł doktor Lügner.

Wciąż brocząc krwią, mężczyzna wyszedł na ulicę i podszedł do samochodu. Po chwili rozległ się trzask drzwiczek i caprice z piskiem opon ruszył do Kissimmee.

- Do cholery, co się stało? - zdziwił się Mingus. - Jeszcze nigdy nie widziałem Orbisona w takim stanie, tak rozwścieczonego.

- Wiele lat temu nauczyłem się pewnej sztuczki od australijskich policjantów -

powiedział doktor Lügner. - Uczą swoje psy reagować na ultradźwięki, które tylko one słyszą. Zapamiętałem, jak się je wydobywa z ust; nigdy nie przypuszczałem, że ta umiejętność uratuje mi życie.

- Niewiarygodne - westchnął Mingus.

Roxanne tymczasem rozglądała się z zaniepokojeniem.

- Gdzie jest Orbison? - zapytała niespodziewanie. - Jeszcze nie wrócił.

- Chyba jest ranny - powiedział doktor Lügner. - Nie wiem, jak mocno. W każdym razie rana nie spowolniła jego ruchów.

Z sąsiedniego domu wyszedł tymczasem Rhett. Miał na sobie podkoszulek, krótkie spodenki, a w dłoni trzymał puszkę z piwem.

- Hej, ludzie, co to za hałasy? Czy ktoś tutaj strzelał? - zawołał.

Drzwi do domu pozostawił otwarte. Telewizor w pokoju włączony był tak głośno, że wyraźnie słychać było dialogi z archiwum X. Najwyraźniej tego wieczoru Rhett junior nie odrabiał lekcji.

- Chyba Orbison został ranny. Czy pomógłby pan nam go znaleźć?

- Jasne. W którym kierunku się oddalił?

- Przepraszam - doktor Lügner zmienił temat - będę jednak musiał teraz państwa opuścić. Pozostanie tutaj byłoby dla mnie zbyt dużym ryzykiem. Przykro mi z powodu psa, mam nadzieję, że nic złego mu się nie stało. Mingus, spotkamy się jutro w południe w Disney World. Roxanne, dobranoc, uważaj na siebie. Pozdrówcie ode mnie Micky'ego.

Lekko pocałował Roxanne w policzek i już go nie było. Dziewczyna przez chwilę patrzyła za oddalającymi się światłami jego samochodu, po czym powiedziała:

- Kurczę, facet być może jest stary, jednak ma coś w sobie...

Przez ponad pół godziny gwizdali i szukali Orbisona. Wreszcie niemal w chwili, gdy już mieli zrezygnować, z ciemności wynurzył się Rhett, trzymając w ramionach coś ciężkiego. Miał zakrwawiony podkoszulek, krew ściekała mu również po nogach.

Orbison spoczywał w jego ramionach z zamkniętymi ślepiami i z językiem wyrzuconym na zewnątrz.

- Znalazłem go w trawie - oznajmił Rhett. - Wygląda na to, że kula trafiła go w piersi.

- Czy jest martwy? - zapytała Roxanne z troską.

- Wciąż oddycha, ale ledwo ledwo. Zabiorę go do siebie, a wy zatelefonujcie po weterynarza.

Rhett otworzył drzwi do swojego garażu i zaniósł Orbisona do tylnej części pomieszczenia, tam, gdzie stała automatyczna pralka i elektryczny bojler do podgrzewania wody. Rozłożył na cementowej posadzce gruby, niebieski koc, ułożył na nim psa, a potem starannie go okrył.

- Leż tu, chłopcze, i wypoczywaj - mruknął. - Postaramy się, abyś jak najszybciej odzyskał siły. - Rhett sprawiał wrażenie bohatera z westernu opiekującego się rannym partnerem. Spocony i brudny uniósł wzrok na Roxanne oraz Mingusa i powiedział: - Co to za ludzie tak go urządzili? Z kim wy się zadajecie?

Mingus wzruszył ramionami. Nie wiedział, co odpowiedzieć Rhettowi. W gruncie rzeczy nie wiedział przecież, z kim się zadaje i dlaczego.

Rhett powstał z kolan, po czym wytarł zbroczone krwią dłonie w starą szmatę, której używał zwykle do czyszczenia bagnetu wskazującego poziom oleju w samochodzie.

- Wiecie przecież, że gliny zainteresują się, kto strzelał do psa - powiedział. - Co zamierzacie zeznać?

- Rhett, razem z nami szukałeś Orbisona - zauważyła Roxanne. - Mamy nadzieję, że to ty porozmawiasz z gliniarzami. Najlepiej jak im powiesz, że jakiś wariat strzelił z przejeżdżającego samochodu do psa i nic więcej nie wiesz, niczego nie zauważyłeś, bo było ciemno.

- Chcesz, żebym kłamał?

- Posłuchaj - ciągnęła Roxanne. - Micky wpadł w poważne kłopoty. Jeżeli jeszcze wmieszają się w to gliny... Cóż, sprawa będzie wyglądała jeszcze gorzej.

- Czy złamał prawo?

- Nie. Na pewno nie. Zapewniam cię, że nie.

- A więc chcesz, żebym powiedział, iż do Orbisona strzelał ktoś z przejeżdżającego samochodu?

- Na razie tak. To dla dobra Micky'ego. I dla Orbisona również.

Rhett zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

- Mogę powiedzieć tylko, że usłyszałem strzały, i kiedy wyszedłem z domu, znalazłem psa na ulicy. Dwie z tych rzeczy są prawdziwe. Nie posunę się ani kroku dalej.

Przed domem zatrzymał się samochód.

- Weterynarz - powiedział Mingus. - Cóż, Rhett, Roxanne i ja musimy już iść.

Kolację podawano w Twisted River zawsze bardzo późno. Titan lubił noc i zwykle nie kładł się

spać przed czwartą nad ranem. W nocy palił papierosy, grał w brydża, słuchał muzyki operowej i znów palił papierosy. Dzisiaj, ponieważ miały jeść tylko trzy osoby, nakryto w bocznym saloniku, niewielkim pokoju wyłożonym perskim dywanem.

Na ścianach wisiały grube brązowe draperie, tłumiące wszelkie dźwięki. Lśniący mahoniowy stół zastawiono kryształowymi naczyniami i angielskimi sztucami.

Wszystkie talerze pochodziły z Drezna i miały piękne czerwono-białe wzory - liście i kwiaty o przedziwnych kształtach.

- Podoba ci się moja porcelana? - zapytał Titan Sarę. - To wszystko oryginały z największego kompletu obiadowego, który przetrwał. Fabryka Meissen, rocznik 1729.

- Są piękne. Musiały cię kosztować fortunę. Titan wyjął z paczki papierosa i potrząsnął głową.

- Otrzymałem je w prezencie. Miałem kiedyś w Niemczech bardzo dobrego przyjaciela.

Sara wyglądała bardzo ładnie, lecz była blada. Spięła włosy spinką wysadzaną drogimi kamieniami, a ubrała na ten wieczór krótką, jasnoniebieską sukienkę. Titan miał na sobie smoking tak obszerny jak namiot beduina, a na brzuchu szeroki czarny pas, odrobinę maskujący jego rozmiary. Baxter Patrick jeszcze się nie pojawił; jego learjet z opóźnieniem wystartował z Waszyngtonu. Victor zdążył już jednak na polecenie Titana otworzyć butelkę sauvignon i rozlać wino do dużych szklanek.

- Minęły dziesięciolecia, zanim wreszcie znalazłem takiego faceta jak Baxter -

powiedział Titan. - Och, miałem co prawda do czynienia z dziesiątkami polityków, którzy dobrze prezentowali się wobec wyborców. Mieli odpowiednie pochodzenie, a ich przeszłość nie zawierała niczego, co można by kiedykolwiek użyć przeciwko nim. A jednak żaden z nich nie miał umysłu Baxtera, jego kompetencji i perspektyw, które wykraczały znacznie poza czubek własnego nosa. Większość z nich miała równe zęby, szerokie uśmiechy i programy, które sprowadzały się do obietnic zmniejszenia podatków w jakichś niewielkich miasteczkach, na przykład w Uterus w stanie Ohio.

- A więc Baxter jest inny?

- Tak, inny. Jego rodzice byli dyplomatami. Ukończył prawo międzynarodowe w Brukseli. Potem studiował prawo japońskie i chińskie w Hongkongu. Postrzega naszą planetę tak samo jak ja. Jako jednolitą społeczność, a nie zbieraninę ulicznych gangów wojujących na śmierć i życie o kawałek śmietnika na Blue Hill Avenue. A przy tym Baxter łatwo znajduje sobie potencjalnych wyborców. Doskonale rozumie, czego potrzebuje przeciętny Amerykanin. Telewizji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, większych hamburgerów, taniej benzyny i broni palnej. Przeciętny Amerykanin nie jest zainteresowany współpracą Stanów Zjednoczonych z blokiem wschodnim; Baxter nie będzie więc nikogo zanudzał tym tematem. Dopóty, dopóki będzie właściwie głosował, nasz Amerykanin nie musi w ogóle wiedzieć, że istnieją na świecie państwa komunistyczne. Dla swojego dobra zresztą.

- Ten Baxter wygląda mi na cynika - stwierdziła Sara.

W tej samej chwili do salonu wkroczył przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna.

- Hej! - zawołał z progu. - Wolałbym, żebyś nazwała mnie realistą.

Sara zaczerwieniła się, mimo że prawie nigdy jej się to nie zdarzało. I tym razem nie zawstydził jej nietakt, który popełniła. Przyczyną tego, że zapłonęły jej policzki, był

ciepły uśmiech na twarzy mężczyzny, uśmiech, jaki ludzie zawsze pewni siebie prezentują na okrągło przez cały dzień. Uśmiech, który jakby mówił: „Lubię siebie tak bardzo, że z pewnością i ty mnie polubisz, moja droga”. Sara przypuszczała, że uśmiech nie znika z twarzy mężczyzny nawet podczas snu.

W każdym razie Baxter był bardzo przystojny. Miał dużą, kształtną głowę, mocne, ciemne włosy i szczerą, otwartą twarz, przywodzącą Sarze na myśl Cliffa Robertsona.

Był mocno opalony, a to sprawiło, że jego szafirowoniebieskie oczy zdawały się lśnić jeszcze bardziej niż w rzeczywistości. Miał na sobie klasyczną, lekką marynarkę.

Jedwabny krawat ozdobiony był wizerunkiem dwóch słoni związanych trąbami.

Mężczyzna podszedł do Sary, uściśnął jej dłoń, a potem ją pocałował.

- Stary polski zwyczaj - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Mój ojciec przez krótki czas pracował w Warszawie. To ty zapewne jesteś Sarą, dziewczyną z marzeń Titana.

- A ty jesteś pewnie Baxterem, mężczyzną z marzeń Titana.

- Co ty jej naopowiadałeś, Titan? - Baxter roześmiał się głośno. Podszedł do Titana, potrząsnął jego dłonią i roześmiał się jeszcze raz. - Mieliśmy dzisiaj poważne spięcie z senatorem Westlake'em a propos naszych restrykcji importowych wobec Koreańczyków. Biedny facet, pod koniec dyskusji brakowało mu już argumentów. Mam nadzieję, że w końcu zrozumie, iż Seul i Sioux City znajdują się na tej samej planecie.

Usiadł pomiędzy Titanem a Sarą; Victor natychmiast nalał mu wina. Baxter uniósł

szklankę i odezwał się do Sary:

- Bardzo mi przyjemnie, że mogę cię poznać. Titan opowiedział mi o tobie wiele miłych i interesujących rzeczy.

- Titan jest niepoprawnym i nieuleczalnym łgarzem - oznajmiła Sara. - Czy powiedział ci może, że byłam narkomanką i dziwką i że uratował mnie od degeneracji, desperacji i przedwczesnej śmierci?

Tym razem zmieszał się Baxter. Titan ze spokojem popijał wino i milczał.

- Titan lubi, gdy ludzie są przekonani, że jest on centralną postacią we wszechświecie - kontynuowała Sara. - Lubi, gdy boją się, że bez niego nie byłiby w stanie żyć. To z tego powodu

wymyśla opowieści o ratowaniu dziewcząt z rynsztoków.

Powiedz mi, Patrick, czy wyglądam na dziewczynę, którą wydostano z dna?

Baxter wyprostował się na krześle.

- Jeżeli ty wyglądasz na kogoś takiego, Saro, to z pewnością wywodzą się stamtąd wszystkie pozostałe kobiety tego świata.

- Ha! - zawołał Titan i uderzył dłonią w stół. - Oto słowa prawdziwego polityka!

Cha, cha, cha!

Victor wniósł talerzyki z ciastem i przepiórczymi jajami. Titan odłożył papierosa na srebrną popielniczkę i natychmiast, jakby nie jadł od wielu dni, zaczął pożerać swoją porcję. Tymczasem Baxter odezwał się do Sary:

- Titan powiedział mi, że prowadzisz dla nas jakieś bardzo ważne prace badawcze.

- Myślę, że można to tak nazwać.

- To nie jest ważne, to sprawa o krytycznym znaczeniu! - odezwał się Titan z pełnymi ustami. - Zdecyduje o całej kampanii wyborczej.

- Czy podzielisz się ze mną informacją na ten temat? - zapytał Baxter.

Najwyraźniej irytowało go, że nie ma najmniejszego pojęcia o sprawie mającej znaczenie decydujące.

- Nie - odparł Titan.

- Przepraszam, że pytam, czy jednak naprawdę nie mam prawa wiedzieć?

- Powiedzmy, że problem koordynuje Sara. Ona też pilnuje, by nasze dupy były kryte w tej sprawie.

Baxter pociągnął łyk wina.

- Nie wiedziałem, że ktoś musi kryć moją dupę. Dlaczego trzeba to robić?

Titan westchnął, wziął papierosa z popielniczki i pochylił się ku Baxterowi.

- Baxter, czasami nie opłaca się wiedzieć zbyt dużo - oznajmił. - Wystarczy, że cię poinformuję, iż w pewnym miejscu Ameryki mamy lokalne trudności i już zajęliśmy się ich pokonywaniem.

- Mój ojciec był dyplomatą - powiedział Baxter. - I doskonale wiem, co oznacza eufemizm „lokalne trudności”. A mianowicie, że zupełnie niespodziewanie ktoś wrzucił

gówno do systemu klimatyzacji.

Titan zapalił papierosa, który zgasił w czasie, kiedy on się obżerał.

- Czyżbym tak właśnie powiedział? Czy powiedziałem „lokalne trudności”?

- Może na Florydzie? - zapytał Baxter. - Sara, pracujesz chyba na Florydzie, prawda?

- Tamtejszy klimat jej odpowiada - powiedział Titan. Urwał na moment i przez chwilę wpatrywał się w nią lubieżnie. - Popatrz tylko, jak jest opalona.

- A więc chodzi o Florydę - wnioskujeł Baxter. - To tam masz te „lokalne trudności”.

Sara wzruszyła ramionami.

- To są po prostu zwyczajne rutynowe badania - powiedziała. - Za miesiąc albo dwa będę z powrotem w Bostonie.

- Tylko nie zacznij panikować, Baxter - odezwał się Titan. - Tak, mamy problemy, jednak za dzień lub dwa spodziewam się usłyszeć, że zostały rozwiązane. Nic się nie bój.

- Dobrze, dobrze. - Baxter zdawał się odrobinę uspokojony. Odwrócił się od Sary i rzekł: - Kiedy wrócisz do Bostonu, mam nadzieję, że będziesz pracowała na rzecz wyboru Patricka na prezydenta.

- Zależy, co zleci mi Titan.

- Czy nie możesz zrobić tego, co ty będziesz chciała? Uśmiechnęła się i położyła swoją dłoń na jego dłoni. Bardzo kontrastowały ze sobą: blada, niemal biała dłoń kobiety i jasnobrązowa, doskonale opalona dłoń mężczyzny z wielkim, złotym sygnetem na serdecznym palcu.

- Nigdy nie byłam kobietą decydującą o własnym przeznaczeniu - powiedziała. -

Widzę gwiazdy, ale one mnie omijają. Nie wiem, co robić, by się ku nim zbliżyć.

- Nie potrafię w to uwierzyć. Wyglądasz na osobę, która wie, czego chce.

- Tak myślisz? A może Titan jednak nie kłamał?

- Nie rozumiem.

- Czy kiedykolwiek byłeś tak nisko, że zastanawiałeś się, czy nie przyjąć pięćdziesięciu dolarów w zamian za to, że ktoś naszcza ci do ust?

Baxter wpatrywał się w Sarę, a uśmiech zniknął z jego ust w takim tempie, w jakim woda przenika ścianki papierowej torby. Szukał w jej oczach jakiejś wskazówki, że to nieprawda, że to tylko gra. Nie otrzymał jej. Jednak po chwili uśmiech znowu zagościł

na jego ustach, a on sam odchylił się do tyłu i głośno roześmiał.

- Och Saro, lubię takie kobiety jak ty! Jesteś nadzwyczajna. Jeżeli Titan nie pozwoli ci pracować na rzecz mojego wyboru, będzie musiał mi się tłumaczyć.

Słyszysz, Titan? Będziesz mi się musiał z tego wytłumaczyć.

Sara i tak wiedziała, że głęboko nim wstrząsnęła, i była z tego powodu bardzo zadowolona. Zastanawiała się, jak przyjąłby wiadomość, że wzięła te pięćdziesiąt dolarów i wydała je na działkę heroiny.

Kiedy zadzwonił telefon, Victor akurat zbierał brudne talerze. Podeszedł do aparatu i po chwili przyniósł słuchawkę Titanowi, jednocześnie wyciągając antenę.

- Co takiego? - westchnął Titan. - Przecież akurat jem. O co chodzi?

Przez chwilę słuchał, po czym zaklął pod nosem i podał słuchawkę Baxterowi, ten zaś natychmiast przekazał ją Sarze, jakby to był rozżarzony węgiel.

- Sara? Tu Roland. Cholera, Saro, prawie go mieliśmy.

- Co to znaczy „prawie”? - Właśnie to. Już niemal był nasz. - Mów.

- To był czysty przypadek. Po tym, jak spłonęła restauracja, sierżant McAllister zawiadomił nas, że na jej zapleczu wciąż stoi samochód Frasiera. Pojechaliśmy więc do jego domu, żeby sprawdzić, czy nie dostał się tam pieszo albo jakimś innym pojazdem.

Mógł się przecież przyczaić w ciemnym budynku. Nie było go, ale natrafiliśmy na Cicera; akurat wychodził z mieszkania razem z dziewczyną Frasiera i jakimś czarnym chłopakiem. Próbował uciec, ale przyskrzyniliśmy go na tyłach budynku.

- No i co dalej?

- Kurwa, poszczuł nas psem.

- Psem? Jakim psem?

- Ogromnym! Cholera, to był pieprzony pies Baskerville'ów! Poszarpał mi policzek i pogryzł rękę! Rozszarpał na strzępy moją wspaniałą marynarkę od Armaniego! Torry do niego strzelił i nawet trafił, ale to bydlę jakby tego nie poczuło!

Ścigało potem Torry'ego po całej okolicy!

- A Cicero uciekł?

- Tak, Saro, uciekł. Ale przynajmniej wiemy, że wciąż jest gdzieś niedaleko.

- O czym ty mówisz? W tej chwili może być nawet w Peru!

- Nie, nie, ciągle gdzieś tu jest, uwierz mi. Chyba istnieje jakiś związek pomiędzy nim a młodym Frasierem, tak samo jak między Frasierem a tym twoim Huntleyem.

Huntley z kolei skumał się z tą starą babą z galerii.

- Chyba naoglądałeś się zbyt wielu oper mydlanych. - Posłuchaj, Saro, znajdziemy go, nie musisz się martwić.

I powiedz panu Blightowi, żeby się niczym nie przejmował. Zdaje się, że nie jest z nas zbyt zadowolony. Przekaż mu, że jesteśmy bardzo blisko celu, a „blisko” to znacznie lepsza pozycja niż ślepy zaułek.

- Powiem mu. Ale zadowolony i tak nie będzie.

Mingus zaparkował samochód na żółtym trawniku przed barem o nazwie

„Cracker House”. Była to prosta chałupa z przełomu stuleci, typowy okaz budownictwa pionierów. Obecnie pozostała jedynym pochodzącym z dawnych lat, nie wyburzonym budynkiem w okolicy, otoczonym przez nowoczesne betonowe konstrukcje i szerokie, asfaltowe szosy.

Mingus wysiadł. Ruch samochodowy osiągnął o tej porze największe natężenie i z autostrady 92 nieustannie dobiegał głośny szum. Chłopak wszedł do baru. Panował tu spory tłok, jednak Mingusa to nie zdziwiło. Widok samochodów gęsto ustawionych jeden obok drugiego na parkingu przy barze nie pozostawiał wątpliwości co do tego, jaka sytuacja panuje w środku.

Obszedł całą salę i natknął się na Micky’ego dopiero w najciemniejszym kącie za stołami bilardowymi, niedaleko obskurnego kominka. Micky miał na głowie pomiętą, czarny kapelusz z szerokim rondem opuszczonym nisko na oczy. Pił coorsa prosto z butelki. W ten sposób doskonale wtapiał się w tłum pozostałych gości i bywalców

„Cracker House”.

Zgodnie z tym, co ustalił z Roxanne, Mingus powrócił do samochodu i po chwili znów pojawił się w barze, tym razem z dziewczyną.

Salon rozbrzmiewał śmiechem i głośnymi rozmowami. Zespół country o nazwie Rex McShane and the Alligator Five ni to koncertował, ni to robił próbę przed właściwym występem.

Równocześnie szafa grająca odtwarzała A Lot about Lovin’ and a Little ‘bout Love.

Mingus usiadł naprzeciwko Micky’ego i ostrożnie położył ampułki z synaptyną na blacie stolika.

- Mam nadzieję, że cię nikt nie śledził - odezwał się Micky. Wciąż trzymał twarz w cieniu.

- O ile wiem, to nie.

- Dzięki Bogu. I dziękuję za synaptykę.

- Posłuchaj, Micky, na twoim podwórku rozegrała się dramatyczna walka. Orbison jest ranny.

- Ranny? Dlaczego?

Mingus opowiedział mu, co wydarzyło się przy Canoe Creek Road. Wyjaśnił, że wezwany został weterynarz, a Rhett obiecał zaopiekować się Orbisonem” jak własnym synem”.

- Chryste, muszę go zobaczyć! - zawołał Micky. - Jeszcze pomyśli, że go opuściłem. Już nigdy więcej nie będzie mi ufał.

- Nie obawiaj się, Micky. Psy nie myślą w ten sposób.

- Och, Mingus, a jeśli on umrze i ja nie będę miał okazji się z nim pożegnać?

- Ale nie możesz tam teraz jechać! To zbyt ryzykowne. Ci faceci polują na ciebie jak nienormalni!

- Muszę go jednak zobaczyć.

- Na miłość boską, będę odwiedzał go codziennie i natychmiast cię poinformuję, jeżeli jego stan się zmieni. Gdy tylko się tam pokażesz, ci faceci zlikwidują cię z zimną krwią.

- Czy masz pojęcie, kim oni są? Powiedzieli coś, co mogłoby to sugerować?

- Nie, ale z całą pewnością numerem jeden na liście osób, które ścigają, jest doktor Lügner. Gdyby nie Orbison...

- Cholera jasna - westchnął Micky i z hukiem odstawił butelkę na stolik. - Gdybym nie próbował bronić tego faceta, gdybym nie stał się nagle pieprzonym bohaterem...

Mingus potrząsnął głową.

- Nie cofniesz czasu, człowieku. To, co się stało, już się stało i tego nie zmienisz.

Myśl o tym, co przed tobą.

- Co jest przede mną? Podpowiedz mi.

Mingus wymownie spojrział na Roxanne. Micky jakby dopiero teraz ją zauważył.

Przyciemnione światło jeszcze dodawało dziewczynie urody. Jej włosy kręciły się, usta miała pomalowane na jaskrawoczerwony kolor, a jej oczy lśniły niczym u lalki Barbie.

Micky zdjął kapelusz i uśmiechnął się. Wstał, pochylił się nad Roxanne i pocałował ją.

Pocałunek trwał tak długo, że Mingus zdążył w tym czasie dokończyć piwo z butelki Micky’ego.

Usiadłszy wreszcie, Micky przysunął swoje krzesło do krzesła Roxanne i odtąd siedzieli bardzo blisko siebie, trzymając się za ręce.

- Musisz wreszcie podjąć jakąś decyzję, człowieku - odezwał się Mingus. - Musisz wreszcie pogodzić się z nieubłaganymi skutkami tego, co zrobiłeś, i zdecydować co dalej. Wszyscy twoi znajomi i przyjaciele, w tym także i ja, obawiają się o swoje życie, a dwóch spośród nich jest już martwych. Nie możesz do końca życia uciekać przed tajemniczymi prześladowcami; my zresztą też.

- Wiem. - Micky pokiwał głową. - Co proponujesz? Przecież nie porozmawiam z tymi facetami, nie wyperswaduję im tego, co chcą zrobić. A ich celem jest zlikwidowanie nas, to wszystko.

- Może powinieneś na pewien czas wyjechać, a my razem z tobą? - zasugerowała Roxanne. - Na tak długo, aż całe zamieszanie nie ucichnie?

- To nie jest zły pomysł - przyznał Mingus. - Mam rodzinę w Mobile, może to by było dobre miejsce?

- Ale co z doktorem Lügnerem? I co z synaptyną?

- A co ma być? Wdepnąłeś w to wszystko przez zwykły przypadek. Możesz więc o tym po prostu zapomnieć.

Micky wyprostował się. Roxanne tymczasem mocniej ścisnęła jego dłoń i powiedziała:

- Mingus ma rację, kochanie. Ty nie masz nic wspólnego z tym, co się dzieje.

Ścigają cię niebezpieczni ludzie i możesz w każdej chwili zginąć, nie wiedząc nawet dlaczego.

Alligator Five zaczęli grać pierwsze akordy Back Door Man, po czym zaraz przerwali, a z rzęzących głośników do wszystkich zakamarków sali dotarł głos wokalisty:

- Raz... dwa... trzy... raz... dwa... próba mikrofonu...

Micky był przygnębiony. Wciąż cierpiał z powodu śmierci Guida i Maria. Nie potrafił przestać o nich myśleć, jego dusza wypełniona była tęym, uporczywym niedowierzaniem, że ktoś, kogo tak dobrze znał, nie żyje. Przed oczyma miał ich twarze, chwilami chciał nawet wstać, podejść do telefonu i do nich zadzwonić. W myślach rozmawiał nawet z nimi. „Co dzisiaj podajesz, Guido?” „Spezzato d’agnello con peperone e prosciutto - duszone jagnię z pieprzem i szynką”. „Nie, wcale nie, właśnie że pesce spada al salmoriglio - miecznika w sosie oregano!” „Nie mamy żadnych mieczników!” „No i co z tego? Nie mamy także cielęciny!” Tęsknił również za Orbisonem i czuł się wobec niego winny. Nie potrafił pozbyć się wspomnień tych chwil, gdy na niego krzyczał, zapominał nakarmić albo był zbyt leniwy czy zbyt pijany, by pójść z nim na spacer.

Przede wszystkim jednak czuł ogromną odpowiedzialność za Mingusa i Roxanne.

Jeżeli mężczyźni w marynarkach, nie mrugnawszy okiem, zabili Guida oraz Maria i doszczętnie spalili ich restaurację, nie zawahają się również przed zamordowaniem kogokolwiek innego.

A jednak nie potrafił obrócić się plecami do doktora Lügnera, zrezygnować z synaptyny i tak po prostu odejść. Doktor Lügner wpłynął na jego życie z gwałtownością trzęsienia ziemi; Micky był już w tej chwili zupełnie innym człowiekiem niż do tej pory.

Jego mózg rozwijał się ponad wszelkie przypuszczenia. Nawet rozmawiając z Mingusem i Roxanne, Micky równocześnie rozmyślał o czasie, przestrzeni, odległościach i prawdopodobieństwach. Rozmyślał o muzyce i poezji, o liczbach i równaniach. Zastanawiał się, czy mniej inteligentni ludzie mają takie samo poczucie czasu jak ci bardziej inteligentni, czy zegar biologiczny ich ciał, decydujący o tempie starzenia się, pracuje inaczej. Przypuszczał, że można to sprawdzić, badając suprachiazmatyczne komórki nerwowe w ich mózgach, a potem...

- Nie - postanowił. - Nigdzie nie będę wyjeżdżał.

- Ale dlaczego? - zawołała Roxanne. - Przecież nie jesteś nic winien doktorowi Lügnerowi. Czy on coś dla ciebie zrobił? Wpakował cię tylko w kłopoty.

- Mylisz się. Popatrz tylko.

Micky wstał od stolika. Szybkim krokiem przeszedł przez salę i wszedł na scenę, na której wciąż tkwili Alligator Five, niepewni, co bardziej szwankuje: aparatura czy ich umiejętności.

Micky podszedł do lidera grupy i powiedział mu coś na ucho. Ten zmarszczył

czoło, jakby się czymś bardzo zdziwił, ale po chwili pokiwał głową i oddał Micky'emu swoją gitarę. A on tylko chwilę ją stroił, po czym zaczął grać.

Nie lubił ani muzyki, ani piosenek country. I właściwie nie znał dobrze żadnej z nich, a mimo to od pierwszej chwili, gdy uderzył w struny, w sali rozbrzmiała soczysta, rytmiczna melodia. Micky komponował ją w trakcie gry. Po pierwszych taktach pewnym krokiem podszedł do mikrofonu i zaczął śpiewać. Nie zdążył dokończyć pierwszej zwrotki, gdy zachowanie wszystkich klientów baru raptownie się zmieniło.

Przytupywali, wymachiwali kapeluszami, a gdzieś tam odzywały się wesołe gwizdy.

Po drugiej zwrotce Micky skończył i mimo głośnych nawoływań uniósł ręce w geście wskazującym, że nie zamierza występować ani chwili dłużej.

- To było coś niezwykłego, wiesz? - zaczął go lider zespołu. Miał szare oczy i długie, opadające wąsy.

Micky potrząsnął głową.

- Ot, takie sobie muzykowanie dla zabicia czasu - powiedział.

- Czy nigdy nie myślałeś o graniu za pieniądze? Mógłbym zabrać cię na sześć tygodni w trasę dookoła Tamy, Sarasoty i St Pete. Płacę dwie stowy za wieczór i refunduję wszystkie koszty.

- Przykro mi, ale country to nie jest moja ulubiona muzyka.

- Żartujesz! Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś lepiej grał country! Słuchaj jednak... Jeżeli nie chcesz u mnie grać, to przynajmniej powiedz mi, kto napisał dla ciebie tę piosenkę. Może byś mnie z

nim skontaktował, a on skrobnałby coś i dla mnie?

- Wymyśliłem ją sam na poczekaniu.

Lider popatrzył na Micky'ego jak na wariata.

- Wiesz co? - zapytał Micky. - Zapiszę ją dla ciebie. Będiesz mógł sobie ją grać tyle razy, ile tylko zechcesz, dobrze?

Podeszła Roxanne i przytuliła się do Micky'ego.

- To było wspaniale - powiedziała. Pocałowała go, a potem wyszeptała mu do ucha: - Rozumiem, kochany. Teraz naprawdę rozumiem.

Mingus pojawił się obok niego, tuż za Roxanne, i potrząsnął dłonią przyjaciela.

- Człowieku, sam powinienem być zażyć ten środek ulepszający mózg. Byłeś doskonały, muszę to przyznać, mimo że nienawidzę country.

Micky otoczył Mingusa ramieniem i mocno go do siebie przycisnął.

- Zobacysz, nadejdzie dzień, gdy będziesz mógł kupić synaptykę w dowolnym sklepie - powiedział.
- Wówczas i ty zagrasz na gitarze tak, jak ja dzisiaj.

Mingus nie był specjalnie zachwycony.

- Jasne, ale wtedy każdy będzie tak potrafił. Co to za frajda być Lennym Kravitzem w pokoju pełnym Lennych Kravitzów?

Była prawie druga nad ranem, gdy Sara wstała od stołu i powiedziała:

- Dziękuję za kolację, Titan. Myślę, że czas najwyższy, abym poszła do łóżka.

Titan rozparty wygodnie na krześle, z jednym okiem przymkniętym, wpatrywał się w dym unoszący się z jego papierosa.

- Myślałem, że jeszcze pogramy w karty - stwierdził.

- Nie, dziękuję. Wczesnie rano muszę lecieć do Miami.

- Miałem na myśli rozbieranego pokera, Saro, by gra była bardziej interesująca...

Czy mimo wszystko nie zagrasz?

- Nie.

- Nie? Jesteś taką skromną dziewczyną, Saro. Ale wiesz co? Lubię tę skromność.

Myślę, że jest lepsza od służalczości. Porozmawiamy jeszcze podczas śniadania, dobrze?

Sara pocałowała Titana w policzek, a potem podeszła do Baxtera i jego również pocałowała.

- Śpij dobrze - powiedział Baxter, patrząc jej w oczy. Gdy wyszła z pokoju, odezwał się do Titana: - To bardzo interesująca dziewczyna, prawda? I niezwykle atrakcyjna.

- Tak, to jedna z tych, o których marzy każdy mężczyzna - odparł Titan. - Jest piękna, inteligentna, a ciało ma takie, że dla niej i kardynał zapomnieliby o celibacie. A jednak absolutnie pozbawiona jest charakteru. Idealna do zadania, które jej wyznaczyłem.

- Wciąż nie dają mi spokoju te „lokalne trudności” - zauważył Baxter.

Titan zapalił kolejnego papierosa niedopałkiem poprzedniego, wydmuchnął dym, po czym energicznie potrząsnął głową.

- Zupełnie niepotrzebnie - powiedział. - Wszystkie figury były już starannie ustawione na szachownicy, kiedy w zabawę przypadkowo wmieszał się ktoś zupełnie niezaangażowany w to wszystko, ktoś absolutnie bez znaczenia. Sara szybko się z nim upora.

- Mam nadzieję, że mogę ci zaufać. Titan groźnie popatrzył na Baxtera.

- Posłuchaj mnie tylko, Baxter. Możemy sobie przy tym stole rozmawiać na temat twojej politycznej przyszłości, ale podczas tych dywagacji przez cały czas musisz pamiętać, że twoja polityczna przyszłość zależy wyłącznie od moich pieniędzy. I im szybciej skończą się między nami nieporozumienia na tym tle, tym lepiej będzie dla ciebie.

- Dobrze, dobrze - powiedział Baxter defensywnie. - Przecież wiesz, jak bardzo cenię sobie to wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Titan popatrzył na swój złoty zegarek marki Jaeger-le-Coultre.

- Pięć minut - mruknął. - Myślę, że pięć minut jej wystarczy. - Ociężale podniósł

się z krzesła i skinął na Baxtera, by podążył za nim. - Chodź ze mną i zabierz ze sobą kieliszek z winem. Przed snem czeka nas jeszcze porcja doskonałej rozrywki.

Poprowadził Baxtera ciemnymi korytarzami Twisted River. Krążyli długo, zanim dotarli do schodów. Gdy znaleźli się na pierwszym półpiętrze, Titan był już tak spocony, że musiał obetrzeć twarz i szyję wielką chustką.

- W domu jest winda - powiedział, jakby się usprawiedliwiał - jednak mój lekarz twierdzi, że potrzebuję dużo ruchu. Mam przestać palić i uprawiać ćwiczenia fizyczne, a najlepiej robi mi częsty seks. Zapytałem go, czy przepisze mi na recepcie sześć kurew na tydzień.

Baxter spróbował się uśmiechnąć. Za każdym razem, gdy odwiedzał Titana, ten wprowadzał go w zakłopotanie. Wiedział, że Titan jest tak samo jak on zwolennikiem globalnej współpracy

międzynarodowej w nauce i medycynie, że jak i on popiera wszelkie inicjatywy, których celem było niesienie pomocy krajom trzeciego świata.

Titan często głośno marzył o „internecie ludzkich uczuć” i „światowej sieci wzajemnej miłości i zrozumienia”. A jednak stając z nim twarzą w twarz, Baxter znajdował jedynie zepsutego starego człowieka i nie potrafił powstrzymać w sobie podejrzeń, że rzeczywiste cele Titana są całkowicie różne od tych, które wypowiada głośno, i ujawnią się dopiero wtedy, gdy on, Baxter, zasiądzie (jeżeli rzeczywiście zasiądzie) w Gabinetcie Ovalnym.

Baxter tak bardzo pragnął zostać prezydentem, że nie mógł w nocy zasnąć.

Dopiero niedawno zaczął podejrzewać, że pragnienie to wiedzie go ku paktowi z diabłem. Jego żona, Claire, już kilkakrotnie ostrzegła go przed Titanem. Nie przyjęła dotąd żadnego z wielu zaproszeń do Twisted River, a kiedy spotykała starca w innych miejscach, prawie się do niego nie odzywała. Baxter od pierwszych dni, gdy ją poznał, podziwiał i szanował jej intuicję. Trudno więc mu było ignorować ją, gdy rzecz dotyczyła Titana.

Gospodarz zaprowadził go do apartamentu na drugim piętrze. Było tu bardzo ciemno, jednak nie włączył światła. Odsunął natomiast zasłony z okien i pokój rozjaśniła nieco poświata księżycowa. Baxter ujrzał swe niewyraźne odbicie w szybie osłaniającej dużą grafikę, która wisiała naprzeciwko okien. Przez chwilę przypatrywał

się sobie i pomyślał, że wygląda jak własny ojciec, zmarły dawno temu, zawsze uczciwy i pryncypialny. On z całą pewnością nie pochwalałby jego postępowania. No tak, ale ojciec nigdy nie miał szansy zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Titan ustawił przed oknami dwa krzesła.

- Usiądź - powiedział. - A może napijesz się szampana?

- Dziękuję, nie - odparł Baxter. - Jutro wieczorem mam ważne spotkanie w Indianapolis. Muszę być w jak najlepszej formie.

Titan ciężko opadł na jedno z krzeseł.

- Jak chcesz. - Strząsnął popiół z papierosa na dywan. Był to przecież jego dywan.

- O, popatrz, oto ona, jak zwykle. Czyż nie jest wspaniała?

Baxter zawahał się. Już od kilku chwil odgadywał, na co będzie patrzył, i wcale nie był pewien, czy chce tego. Titan jednak już wpatrywał się w okno. Księżyc oświetlający jego twarz uwidaczniał malujące się na niej lubieżne pożądanie. Z kącika ust Titana ciekła ślina.

- Boże, ona jest aniołem - sapał. - Czy widziałeś kiedykolwiek taką kobietę?

- Titan, daj spokój - powiedział Baxter. - Każdy ma prawo do prywatności.

- Prywatności? Sara zrezygnowała z tego prawa, kiedy ukończyła czternaście lat!

Nie zna nawet znaczenia tego słowa. Jej prywatność należy zawsze do tego mężczyzny, który kupi jej najlepsze stroje, najlepiej nakarmi i wyposaży ją w najlepsze samochody, przede wszystkim niemieckie. Ona jest dziwką, Baxter, i ty doskonale o tym wiesz.

Przecież powiedziała ci to przy stole.

Baxter niepewnie popatrzył na swój kieliszek z winem. Titan przyjrzał mu się i głośno roześmiał.

- No dalej, przełam się. Nawet gdyby wiedziała, że tutaj jesteśmy, nie miałaby nic przeciwko temu.

Im bardziej Titan go zachęcał, tym większa niechęć narastała w Baxterze. W końcu jednak podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Okno wychodziło na centralny dziedziniec, wokół którego zbudowano Twisted River. Po przeciwnej stronie w jednym z pokoiów paliło się światło, bardzo jasne, a zasłony nie były zaciągnięte. Wyraźnie widać było różowy dywan oraz żółte i różowe meble, a także szerokie, biało-różowe łóżko. Na nim leżała naga Sara Lake, jeśli nie liczyć elastycznych pończoch, które właśnie naciągała ponad kolana.

- Teraz możesz odwrócić wzrok - drwił Titan. - Ale nie potrafisz, co? Nie potrafisz oderwać oczu od takiego ciała.

Na głowie Sara miała szeroką różowo-białą przepaskę. Jej jasne ciało lśniło w ostrym świetle. Powoli zaczęła przesuwając swymi dłońmi po biodrach, po czym przesunęła je na piersi. Gdy tylko do nich dotarła, przystąpiła do pieszczenia ich i ugniatania. Brodawki na piersiach zesztyniały. Sara tymczasem przyknęła oczy i zabawiała się swymi piersiami z widoczną rozkoszą. Baxter rzucił szybkie spojrzenie na Titana, ten jednak był tak pochłonięty widokiem Sary, że nie zauważył nawet, iż niedopałek papierosa parzy go w dłoń.

Sara zeszła z łóżka i stanęła przed dużym sypialnym lustrem. Z miejsca, w którym się znajdował, Baxter widział jej obnażone plecy i całe ciało od szyi w dół odbite w lustrze. Sara wykonała kilka podstawowych pozycji baletowych, unosząc ręce tak energicznie, że zatańczyły okrągłe, jędrne piersi. Nogi rozstawiała tak szeroko, że Baxter dojrzał różowość pochwy. Czuł podniecenie, a jednocześnie zażenowanie. Nie był jednak w stanie oderwać spojrzenia od dziewczyny.

Była nadzwyczaj zwinna i wygimnastykowana. Leżąc na podłodze, tak wygięła plecy, że sformowała mostek. Następnie stworzyła okrąg, łącząc ręce i nogi za sobą, po czym tak się rozciągnęła, że dotknęła stopami pleców.

Titan zapalił kolejnego papierosa, osłaniając dłońmi zapalniczkę, by przypadkiem Sara nie zobaczyła płomienia z naprzeciwka.

- No i co, nie mówiłem ci? To prawdziwy anioł! Hipnotyzujący widok, prawda?

Baxter nie wiedział, co odpowiedzieć. Wciąż nie potrafił oderwać wzroku od gimnastykującej się i rozciągającej Sary, czasami ukrywającej nagość w płataninie rąk i nóg, a czasami eksponującej swą pleć tak otwarcie, że na widok jej obnażonej pochwy mimowolnie otwierał usta i zaciskał pięści.

- Co o tym myślisz? - zapytał Titan w pewnej chwili. - Czy ona wie, że ją obserwujemy, czy nie?

- Zawsze to robi, kiedy tu przyjeżdża?

Titan zaciągnął się papierosem i skinął głową.

- Robi to co wieczór, gdziekolwiek się znajduje. Kiedyś chciała być tancerką, ale napotkała na swej drodze niewłaściwego mężczyznę i zaczęła się staczać. Mogła być wielka. Mogła tańczyć na Broadwayu. Ale żeby się tam dostać, trzeba poświęcić tańcowi duszę. A Sara nigdy nie miała duszy, tak jak nie miała charakteru. Ona jest nikim i niczym, Baxter. Pięknym, urzekającym niczym.

Usiadła na skraju różowego dywanu z rękami ułożonymi wzdłuż tułowia.

Następnie złączyła nogi w kolanach i wyciągnęła je. Baxter z fascynacją obserwował, jak unosi się ponad podłogę, opierając ciało jedynie na dłoniach. Jej nogi wciąż były wyprostowane i ułożone równolegle do dywanu.

- Chryste, ile to wymaga siły! - jęknął. Titan przyłożył palce do ust i uciszył go.

- Poczekaj - szepnął. - Jeszcze niewiele widziałeś.

Stopniowo, powoli, z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek grymasu, Sara rozchyliła nogi na szerokość przynajmniej metra. Wtedy dopiero Baxter zauważył, że łokcie jej drżą. Wysiłek musiał być w tej chwili ogromny, a jednak byłby zupełnie niezauważalny, gdyby nie to ledwo uchwytnie drżenie. Ćwiczenie nie kończyło się na tym. Po chwili Sara zaczęła unosić nogi i przesuwawa je wyprostowane w górę, tak długo dopóki nie znalazły się za jej uszami. W końcu jej ciało ułożyło się w kształt litery „e”. Teraz Sara opuściła głowę pomiędzy swe uda i przed oczyma miała otwartą pochwę, wilgotną, lśniąca.

Nagle zachwiała się i prawie przewróciła, a jednak zdołała odzyskać równowagę i pochyliła głowę jeszcze bardziej. Teraz z jej ust wysunął się długi, czerwony język i przesunął się po włosach łonowych. Sara mocniej zaokrągliła szyję: Baxter widział

ścięgną napięte w maksymalnym wysiłku. Język znów się wysunął, i tym razem bezbłędnie trafił w pochwę. A potem Sara lizała ją długimi, płynnymi, systematycznymi ruchami.

Zacząła mocno drżeć z wysiłku i podniecenia. To już nie mogło trwać długo.

Mięśnie Sary z trudem wytrzymywały skrajne napięcie, jednak język lizał z każdą chwilą szybciej. Baxter zdał sobie sprawę, jak bardzo Sara pragnie, by jego ruchy były jeszcze szybsze. Twarz miała czerwoną, a tępy jej wyraz świadczył o tym, że skupiona jest wyłącznie na tym, by dać sobie jak najwięcej przyjemności.

Liznęła kolejny raz i niespodziewanie jej prawy łokieć zgiął się. Natychmiast opadła na podłogę, niczym rozsypany domek z kart. Mimowolnie wyprostowała ręce i nogi. Leżała długą chwilę, ciężko dysząc, z jedną dłonią pomiędzy udami. Wreszcie jednak powstała, wykonała kilka ćwiczeń rozluźniających i ubrała koszulę nocną.

- Przedstawienie skończone - oznajmił Titan.

Baxter wstał i odstawił swoje krzesło od okna. Czuł jedynie ogromny wstyd.

- Nie rozumiesz, dlaczego ci to pokazałem, prawda? - zapytał Titan. - Uważasz to za burleskę, tak?

Baxter milczał. Nie miał nic do powiedzenia. Titan podniósł się z krzesła, stanął

obok Baxtera i położył ciężką dłoń na jego ramieniu.

- Chciałem ci pokazać, do czego są zdolni posunąć się ludzie w zamian za niewielkie gratyfikacje. Gotowi są brodzić po pępek w gównach, uwierz mi. Żyjemy w nudnym, bardzo nudnym świecie, Baxter, świecie, który jest w stanie uraczyć nas tylko niewieloma przyjemnościami, żądając w zamian ogromnych cen. A nawet przyjemności bywają czasami i nudne, i drogie jednocześnie. Dlatego...

- Chcesz, żebym jeździł po Ameryce i namawiał ludzi do lizania własnych dup dla przyjemności?

- Jesteś zabawnym facetem, Baxter - stwierdził Titan. W jego głosie nie było jednak ani śladu rozbawienia. - Kiedy stąd pójdziesz, pamiętaj, co widziałeś dzisiejszej nocy. To była metafora. Zastanów się nad nią. To klucz do twojego sukcesu.

Baxter pożegnał się z Titanem i odszedł do swojego pokoju. Był skrajnie zmęczony, lekko podпиты, a przy tym nie potrafił wyrzucić ze swoich myśli obrazu nagiej Sary. Długo stał w łazience przed lustrem i przypatrywał się sobie. Czy gdyby teraz zapukał do jej pokoju, uznałaby go za atrakcyjnego mężczyznę, przyjęłaby do siebie? Czy otwarłaby przed nim tę lśniąca cipkę, którą widział, podglądając przez okno ze szklanką wina w dłoni i penisem szalejącym w spodniach szytych na miarę?

Nie, uznał. Chyba jednak nie.

Usiadł na łóżku, podniósł słuchawkę i zadzwonił do Claire. Ale nagle zdał sobie sprawę, że jest trzecia nad ranem, i przerwał połączenie, zanim po drugiej stronie ktoś się zgłosił.

Nękaną gwałtowną potrzebą porozmawiania z żoną, zatelefonował jeszcze raz, usłyszał jednak tylko własny głos odtworzony z automatycznej sekretarki: „Obecnie nie możemy odebrać telefonu, prosimy jednak o pozostawienie wiadomości...” Ze złością rzucił słuchawkę na widełki. Dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że Claire jest przecież w Detroit, gdzie wizytuje centrum rehabilitacji dzieci upośledzonych fizycznie.

Zniechęcony do wszystkich i wszystkiego, ciężko padł na pościel.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego dnia o jedenastej przed południem pies Pluto kręcił się niecierpliwie wokół domku myszki Micky, a krok w krok za nim podążały tłumy dzieciaków i rodziców zmęczonych niemiłosiernie prażącym słońcem. Był jasny, gorący dzień.

Temperatura pod kostiumem psa Pluto przekraczała czterdzieści stopni Celsjusza, a wilgotność powietrza sięgała osiemdziesięciu siedmiu procent.

- Hej, Pluto, czy mógłbyś na chwilę się zatrzymać? - zawołał jakiś ojciec, wpatrując się w obiektyw swego polaroidu. - Chciałbym, żeby moja Lee-Marie miała z tobą fotografię.

Pluto przyklęknął, by Lee-Marie mogła przysiąc na jego kolanie. Miała mały koński ogon i wilgotną pieluszkę w majtkach. Dziecięcy ulubieniec z trudem powstrzymywał pokusę, by odepchnąć dziewczynkę z całej siły i odejść w drugą stronę.

Udał jednak, że przytula się do dziecka, a ojciec tymczasem toczył walkę z aparatem fotograficznym, który najwyraźniej był dla niego zbyt skomplikowany. Matka Lee-Marie stała kilka kroków za nim. Miała krzykliwą blond fryzurę, rozciągnięte turkusowe legginsy i wpatrywała się nieobecny wzrokiem w dal, mieląc w ustach kukurydzą niczym przeżuwająca krowa.

- Pluto, Pluto, stań do fotografii z moją dziewczynką! - zawołała inna matka.

W tej samej jednak chwili pies Pluto ujrzał doktora Lügnera zmierzającego ścieżką w jego kierunku. Doktor Lügner nie był przebrany, miał jedynie biały słomkowy kapelusz oraz szerokie okulary przeciwsłoneczne. Pluto z pewnością nie rozpoznałby go, gdyby go nie oczekiwał.

- Pluto, proszę cię... - zaczęła błagać matka, gdy Pluto odsunął jej dziewczynkę.

- Przepraszam panią, lecz natura mnie wzywa - usprawiedliwił się Pluto. - Muszę znaleźć sobie jakieś drzewo.

Doktor Lügner podszedł do domku myszki Micky i przez chwilę uważnie się rozglądał. Wreszcie wszedł do środka. Pluto podążył za nim. Obaj po kolei przeszli przez hol i wreszcie znaleźli się w sypialni, której ściany upstrzone były mnóstwem wizerunków myszy z wielkimi uszami.

- Doktor Lügner?

Zagadnięty odwrócił się, ujrzał Pluta i uderzył się otwartą dłonią w piersi.

- Jezu, ale mnie przestraszyłeś.

- Przepraszam. Po prostu pracuję w tym przebraniu. Niech pan posłucha, wczoraj wieczorem rozmawiałem z Mickym. Chce się z panem spotkać. Bierze ten pana środek codziennie i bardzo mu się to podoba.

- Cóż, nie miałem wątpliwości, że tak będzie. Gdy ktoś raz zazna uroku bycia geniuszem... Trudniej jest się od tego oderwać niż od najbardziej uzależniającego narkotyku.

- Chyba Micky nie wpadnie w nałóg?

- Z powody synaptyny? Fizjologicznie nie. Nałogiem jest jednak dążenie do wiedzy. Nałogiem jest dążenie do bycia najlepszym we wszystkim, co się robi.

- Niestety, dla mnie istotna jest inna sprawa. Od dnia, w którym Micky pana spotkał, wpadł w straszne tarapaty. On jest moim przyjacielem, doktorze Lügner, i nie chcę, żeby przytrafiło mu się coś złego.

Doktor Lügner ściągnął okulary.

- Możesz mi wierzyć, że i ja nie chcę, by stało się coś takiego. Micky ma do wykonania bardzo poważną misję.

- W porządku, wierzę panu - powiedział Pluto. - Niech pan pójdzie za mną do szatni dla pracowników; przebiorę się i odbiję moją kartę na zegarze. Potem obaj udamy się na spotkanie z Mickym.

Doktor Lügner podszedł do drzwi na zewnątrz.

- Mój Boże, tam jest więcej zwierząt - jęknął. - Kim są ci dwaj?

- To Chip i Dale - odparł Micky i w geście pozdrowienia pomachał przyjacielom ręką. - Ich prawdziwe imiona to Terry i Vance. Obaj studiują biznes i zarządzanie.

- Nigdy tutaj nie byłem - powiedział doktor Lügner. - Chyba mam lukę w mojej wiedzy o kulturze. Nie rozumiem, po co ci wszyscy ludzie tutaj przychodzą, czego pragną doświadczyć.

- Szukają prostoty - zauważył Pluto. - Chcą radości, zabawy i wspomnień z dzieciństwa, którego pewnie nie mieli.

- W twoim głosie nie słyszę jednak radości.

- Radości w moim głosie? Po całym dniu chodzenia w tym przebraniu nie w głowie byłaby panu radość. Nastrój miałby pan raczej morderczy.

Chip i Dale ominęli tłum dzieciaków i zaczęli się zbliżać do domku myszki Micky.

W ich sposobie poruszania się Pluto zauważył coś dziwnego. Nie był to wesoły chód, pełen podskoków, lecz długie, zdecydowane, pewne kroki. I zamiast głaskać dzieci po główkach i potrząsać dłońmi ich rodziców, Chip i Dale odpychali wszystkich, których napotykali na swojej drodze, a dzieciaki, które dotykały ich futer, ignorowali.

Pluto zaczął się gorączkowo zastanawiać. Chwileczkę, gdyby dwaj faceci, którzy tak zdecydowanie zmierzają w moją stronę, nie byli przebrani w te idiotyczne stroje, co bym zrobił?

W momencie gdy Dale sięgnął ręką pod futro, Pluto szarpnął doktora Lügnera i powiedział:

- Szybko... Musimy stąd uciekać.

Zaczęli się przepychać przez tłum zgromadzony wokół domku myszki Micky. W

pewnej chwili natrafili na grubego faceta, którego zdenerwował ich nieuzasadniony pośpiech w tym miejscu radości i zabawy i który postanowił ich zatrzymać. Doktor Lügner odbił się od niego niemal jak piłka, jednak Pluto stanął na wysokości zadania.

Błyskawicznie trzasnął grubasa w żołądek i ten padł w klomb kwiatów rosnących przy asfaltowej alejce. Rozległy się okrzyki protestu, a jakaś starsza kobieta zaczęła zbierać grubasa z ziemi.

Pluto i doktor Lügner przebiegli tymczasem przez trawnik, przeskoczyli niski płot i przepychając się przez tłum, ruszyli w kierunku Main Street. Mijani ludzie pozdrawiali ulubieńca ich dzieci, niektórzy dotykali go, próbowali ucisnąć jego rękę, on jednak wszystkich traktował bardzo obcesowo i poruszał się z taką prędkością, na jaką tylko pozwalał mu ciężki kostium. Na moment odwrócił głowę, by sprawdzić, czy doktor Lügner podąża za nim. Okazało się, że naukowiec bez trudu dotrzymuje mu kroku: nie miał przecież na sobie przebrania.

- Czy oni nas ścigają? - wystękał Pluto. - W tym cholernym kostiumie nic nie widzę.

- Są jakieś sto, sto pięćdziesiąt metrów za nami. Bez wątpienia nas namierzili.

- Nic trudnego namierzyć faceta przebranego za psa. - Pluto pocił się obficie w swoim futrze, a w głowie szumiało mu od gorąca i wysiłku.

Dotarli do Main Street, jednak Chip i Dale znacznie się do nich zbliżyli. Pluto potykał się o własne nogi i bał się, że zaraz zemdleje. Doktor Lügner ujął go pod łokieć i próbował mu pomóc, chociaż obaj wiedzieli, że to na nic się nie zda.

Nagle usłyszeli głośnie „bum-bum-bum” werbli i dźwięk trąbek. Zza rogu Main Street wyłoniła się disneyowska parada prowadzona przez myszkę Micky dyrygującą orkiestrą, za którą podążało mnóstwo barwnych bajkowych postaci. Była wśród nich Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków, był Kubuś Puchatek i wszystkie postaci z Króla Lwa i Aladyna. Na chodnikach tłoczyli się turyści starający się jak najwyżej unosić swoje dzieci i jednocześnie wykonać jak najlepsze fotografie.

- Za mną! - zarządził Pluto ochryłym głosem. Wbiegł na jezdnię i niemal potracił

myszkę Micky, której i tak wypadła z dłoni wielka batuta.

Dwóch pracowników Disney World tylko udawało, że chcą powstrzymać psa i biegnącego za nim starca; w końcu to był Pluto i nie mieli do końca pewności, czy ta sytuacja nie została specjalnie zaaranżowana. Tymczasem Pluto, ciągnąc za sobą doktora Lügnera, wbiegł prosto w orkiestrę. Przez chwilę obaj słyszeli jedynie Kiedy święci maszerują w jakiejś dziwacznej aranżacji. Muzyka zaczęła niespodziewanie tracić rytm, gdy Pluto zderzył się z puzonem, a doktor Lügner nadepnął na stopę cymbalisty. Po kilku sekundach orkiestrę zaczęli roztrącać również Chip i Dale; ten ostatni wytrącił instrument korneciście. Wiewiórki rozdzieliły się. Roztrącając muzyków, jedna goniła psa, a druga doktora Lügnera.

Przebrnąwszy przez orkiestrę, Pluto i doktor Lügner stanęli przed frontem podrygujących i wymachujących kolorowo ubranych dziewcząt. Pluto natychmiast przewrócił dwie spośród nich. W

tłumie od razu rozległy się okrzyki protestu i niezadowolonia, ale były też i inne.

- Patrz, tato, co robi Pluto! Za chwilę rozwali całą tę paradę!

Pluto znów się potknął i w ostatniej chwili uniknął staranowania przez ruchomą platformę Królowny Śnieżki. Pociągnął doktora Lügnera i obaj schowali się za nią.

- Co teraz robimy? - krzyknął.

- A skąd mam wiedzieć? Jeszcze nigdy nie ścigały mnie wiewiórki.

Pluto trzymał się blisko platformy. Przez chwilę myślał, że prześladowcy zrezygnowali z pościgu, ale niespodziewanie jeden z nich ukazał się kilka kroków przed nim; jedną rękę trzymał głęboko w kieszeni, nie pozostawiając wątpliwości, co za chwilę zamierza zrobić. Pluto nie czekał, lecz skoczył na niego i z całej siły uderzył

pięścią w twarz. Przebieraniec zachwiał się i padł na tory tramwajowe. Maską zapewne złagodziła siłę uderzenia, ponieważ bandyta natychmiast wstał. Spróbował wydobyć pistolet - Pluto już go zauważył - jednak broń niespodziewanie zahaczyła o coś w kieszeni i pies bezkarnie uderzył wiewiórkę po raz kolejny.

- Mamo! Pluto i Chip biją się! Mamo, oni naprawdę się biją! Wiewiórka znów chciała wstać i Pluto walnął ją jeszcze raz, celując tym razem w żołądek. Trafił dobrze i mocno, otrzymawszy bowiem uderzenie, jego przeciwnik nie próbował już się podnieść, lecz leżał na asfalcie zwinięty w kłębek, nie mogąc złapać oddechu. Pluto zamierzył się, by kopnąć go w głowę i ostatecznie zakończyć walkę, gdy ktoś go popchnął. Odwrócił

się błyskawicznie i zobaczył drugą wiewiórkę z pistoletem zaopatrzoną w tłumik, wycelowanym w doktora Lügnera.

Zanim Pluto zrozumiał, co się dzieje, napastnik strzelił. Pluto nie usłyszał

wystrzału, gdyż zagłuszył go zgiełk tłumu i odgłosy orkiestry, ujrzał jednak błysk ognia u wylotu lufy pistoletu. Zobaczył też, że doktor Lügner zgiął się wpół, jakby został

trafiony. Zrobił krok w jego kierunku, by podtrzymać rannego, ale w tym samym momencie naukowiec odwrócił twarz w jego stronę. Cholera jasna, pomyślał Pluto, on się śmieje!

Jakaś kobieta zaczęła krzyczeć. Pluto przestraszył się, że wiewiórka zaraz strzeli po raz drugi, jednak uniemożliwiła jej to kolejna platforma, która znalazła się na linii strzału. Poza tym przepychając się przez tłum ku miejscu, gdzie trwało całe zamieszanie, zaczęli się zbliżać dwaj strażnicy. Wiewiórka jakby się zawahała, ale tylko na chwilę, zaraz bowiem podjęła decyzję i łokciami torując sobie drogę wśród dzieci i protestujących rodziców, rozpoczęła gwałtowny odwrót z pola walki.

Pluto popatrzył na tę wiewiórkę, którą unieszkodliwił. Napastnik leżał na asfalcie na plecach, z ramionami rozrzuconymi szeroko, a na jego piersi widoczna była wilgotna czerwona plama powiększająca się z każdą chwilą.

- Uciekajmy! - zawołał doktor Lügner. - Nic tu po nas. - Ale co się stało, do diabła?

- zapytał Pluto.

- Potem ci wyjaśnię. Teraz zwiewajmy stąd, zanim zgarnie nas policja.

Tym razem oni zaczęli się przepychać przez tłum. Nikt nie protestował, nikt nie próbował ich zatrzymać, bo nikt też nie rozumiał, co tak naprawdę się tutaj wydarzyło.

Pluto ściągnął futrzaną maskę i popędził w kierunku parkingu, wprawiając w osłupienie grupę pięciolatek. Troje z nich wybuchnęło płaczem. W Disney World zdejmowanie kostiumów na oczach turystów było ciężkim naruszeniem regulaminu. W tej chwili jednak Mingusa nic to nie obchodziło. Nie zamierzał już tutaj wracać. Nie zamierzał już nigdy więcej przebierać się za psa.

- Nauczyłem się tego w Japonii od mistrza Ken-zai. Dowiedziałem się od niego, jak odczytywać zamiary przeciwnika na podstawie ruchów jego ciała. Tym razem nie było to łatwe, gdyż przeciwnik przebrany był za wiewiórkę i miał na sobie futro. Ale i tak na ułamek sekundy przed strzałem nieznacznie uniosł ramiona i opuścił głowę. Z

powodu maski nie widział mnie wyraźnie. No i dzięki temu ocalałem.

- Czy wiedział pan, że kula trafi tego drugiego? Doktor Lügner potrząsnął

przecząco głową.

- To był po prostu pech. Tego faceta oczywiście.

Dotarli do Royal Tudor Motel, jednak Mingus minął go, po czym skręcił w prawo i zaparkował przed jakimś sklepem z tekstyliami. Wysiadł z samochodu i założył duże, ciemne okulary przeciwsłoneczne. Następnie rozejrzał się uważnie we wszystkie strony i dopiero wtedy, stwierdziwszy, że wokół nie ma żadnego zagrożenia, skinął na doktora Lügnera, pozwalając mu wysiąść z samochodu. Obaj szybko oddalili się od auta.

Micky i John siedzieli w restauracji noszącej imię Henryka VIII. Wybrali miejsce w najdalszym końcu sali, gdzie było najciemniej. Nad stolikiem płonęły dwie czerwone żarówki. Było parno i duszno. Sala restauracyjna nie miała klimatyzacji, a dwa wielkie wentylatory umieszczone pod sufitem służyły jedynie jako ozdoba i to wątpliwa, hałasowały bowiem nieznośnie, mącąc nie powietrze, lecz nastrój gości.

Micky wstał i potrząsnął dłonią doktora Lügnera. Popatrzył przy tym uważnie na naukowca; nie miał pojęcia, czemu ma służyć to spotkanie, i nie był pewien, czy nie zwiastuje przypadkiem nowych kłopotów. John siedział i tylko skinął głową na powitanie.

- Proszę, proszę - powiedział. - Zaoszczędził mi pan mnóstwo kłopotów, doktorze, przychodząc tutaj, może mi pan wierzyć. Poza tym zarobiłem dzięki panu trzysta tysięcy dolarów.

Doktor Lügner ściągnął okulary i wsunął je do kieszeni koszuli. Był krótkowidzem, jednak w ciemnej

sali restauracyjnej okulary w niczym nie pomagały. Miał delikatne ręce o długich palcach, na zewnętrznej stronie dłoni wyraźnie widać było szerokie żyły.

- Kto więc panu płaci? - zapytał. - Gene Broussard?

- A któżby inny? - odparł John pytaniem, patrząc mu prosto w oczy. Zdawał sobie sprawę, że znajduje się w towarzystwie mężczyzny, który jest od niego o niebo mądrzejszy i sprytniejszy. Nie potrafił jednak oprzeć się pokusie potraktowania go tak, jak traktował złodziei receptur spożywczych i kosmetycznych. Każdemu z nich zawsze się zdawało, że jest dziesięć razy mądrzejszy od wszystkich innych i że na zawsze pozostanie bezkarny... Do czasu. Szukaj wahania w jego oczach, mówił do siebie John, patrząc na doktora Lügnera, i odnosił wrażenie, że takie wahanie dostrzegł.

- Hmm... Wielu ludzi chciałoby wiedzieć, gdzie teraz jestem, i tyle samo pragnęłoby, żebym już wachał kwiatki od spodu.

- Gene Broussard nie chce pana martwego. Chodzi mu o to, żeby podłączył pan jakiś system naprowadzania pocisków dla jego kompanii, to wszystko.

- Zrobiłbym to. Właściwie to chcę to zrobić. Ale nie zrobię. Do rozmowy wtrącił się Mingus.

- Zanim będziecie kontynuować, powiem wam, co wydarzyło się w Disney World.

Spotkałem się z doktorem Lügnerem w domku myszki Micky. Jeszcze nie zdążyliśmy zamienić dobrze kilku słów, gdy zaczęło nas gonić dwóch facetów z pistoletami.

- Chip i Dale - powiedział głośno Lügner. - Niestety, padły strzały. Oni strzelali, nie my. Jeden z nich jednak zginął.

John z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Ścigali was Chip i Dale, obaj mieli pistolety i jeden z nich został zastrzelony? W

Disney World? W samym środku Disney World?

- A cóż w tym nadzwyczajnego? Tragedia może się wydarzyć w każdym miejscu na świecie.

- Kurczę, bardzo ich obu lubiłem - stwierdził Micky.

- Tych dwóch byś nie polubił - powiedział doktor Lügner i dokładnie odtworzył

przebieg wydarzeń. - Chciałbym się dowiedzieć, skąd mieli informację, że tam będę.

- Z pewnością od nikogo z nas - oznajmił Micky. - Na pewno nie ode mnie. Na pewno nie od Johna. A Constance nawet o tym spotkaniu nie wiedziała.

Nagle przypomniał sobie, że nie wymienił jeszcze jednej osoby.

- Zaraz... Ale Roxanne... Przecież ona by nigdy...

John skinął na kelnerkę.

- Posłuchaj, Micky, nikt niczego nie sugeruje. Ale przecież jakoś musieli się dowiedzieć. Może poznali numer rejestracyjny samochodu Mingusa i pojechali za nim do pracy? Może już wcześniej wiedzieli, gdzie pracuje? A może ktoś szedł za doktorem Lügnerem? W końcu wciąż nie wiemy, kto jest naszym przeciwnikiem, dlaczego i jaką prezentuje siłę.

- Napiłbym się - oznajmił Mingus.

- Jasne - zgodził się John. - Podają tutaj brytyjskie piwo. Możesz się napić, jeżeli lubisz piwo o temperaturze świeżo ugotowanej zupy jarzynowej i chcesz spędzić następne trzy tygodnie na sedesie. A jeśli nie, polecam całkiem znośną „krwawą Mary”.

- Mnie wystarczy woda sodowa - powiedział doktor Lügner. - Nie można jednocześnie pić alkoholu i myśleć.

- Dla mnie to samo - dorzucił odrobinę zmieszany Micky.

- A ja wypiję millera - zdecydował Mingus. Popatrzył na Micky'ego takim wzrokiem, jakby go nie poznawał. Milczał, gdyż wciąż nie mógł dojść do siebie po wydarzeniach w Disney World; wobec nich nawet rezygnacja Micky'ego z alkoholu nie miała wielkiego znaczenia. Poza tym dopiero teraz dotarło do niego, że jest bez pracy i bez referencji, gdyż od poprzedniego pracodawcy po prostu uciekł.

Zapadło przedłużające się milczenie, które przerwał dopiero doktor Lügner.

- Przede wszystkim chcę przeprosić, że wciągnąłem was do tego wszystkiego, nie pytając o zgodę. Nie zasługujecie na kłopoty, które macie z mojego powodu, jednak...

Czasami na świecie dzieją się rzeczy znacznie przewyższające swą wagą i powagą codzienne ludzkie problemy, a angażowanie się w nie może mieć nieraz wymiar obowiązku wobec ludzkości.

- Brzmi to bardzo patetycznie - zauważył John, po raz kolejny dając sygnał

kelnerce, że chce złożyć zamówienie.

- Może jednak wcześniej należy przemyśleć konsekwencje? - spytał Mingus.

- Cóż, być może masz rację. Nie zawsze jednak można do końca przewidzieć skutki pewnych poczynań.

John zamówił wreszcie drinki i powiedział:

- Pierwsza konsekwencja będzie taka, że zabiorę pana, doktorze, do Broussard Guidance Systems, czy pan tego chce, czy też nie.

- Wolałbym, żebyś najpierw wysłuchał, co mam do powiedzenia. Ponad pięćdziesiąt lat temu byłem uczestnikiem pewnego bardzo poważnego programu badawczego, który miał na celu rozszerzenie możliwości tkwiących w ludzkim mózgu.

To był naprawdę poważny program. Mieliśmy do dyspozycji wszystko, o czym mogli marzyć naukowcy. Nie jakieś dwa laboratoria w wilgotnej piwnicy, ale cztery ogromne hale i ponad setkę współpracowników. Trwała wówczas wojna, ale nas nie obowiązywały niemal żadne ograniczenia tamtego okresu. Mieliśmy tyle pieniędzy i tyle swobody, że w ciągu trzech lat osiągnęliśmy znaczne postępy. Pod koniec wojny byliśmy bardzo bliscy wyodrębnienia środka, który później nazwałem synaptyną.

- Niestety, kiedy wojna się zakończyła, uznano nasze badania za zbędne. Fundusze obcięto, a cały rozbudowany program trafił szlag. Do dziś nie wiem, dlaczego tak się stało. Być może dlatego, że ówczesne społeczeństwo żądało równości między ludźmi w każdej dziedzinie. Synaptyny wystarczyłoby dla bardzo niewielu i siłą rzeczy stworzyliby elitę, o jakiej świat do tej pory nie słyszał.

- Cóż, politycy doszli do przekonania, że stworzylibyśmy „rasę panów”, tym razem rzeczywistą, a to sformułowanie było wówczas niemal wyklęte. Ja jednak w tajemnicy kontynuowałem pracę i w 1954 roku udało mi się wyodrębnić odpowiednią ilość związku chemicznego, dzięki któremu można było przystąpić do produkcji synaptyny.

Pojawił się jednak problem: nie mogłem ruszyć z badaniami ani o krok dalej, nie weryfikując ich. Dlatego, chociaż niechętnie, przedstawiłem wyniki moich prac dwóm chemikom: doktorowi Charlesowi Bronowi z University of Minnesota i doktorowi Nathanowi Schoenmanowi z Brigham and Women's Hospital z Massachusetts. Obaj niezależnie od siebie sprawdzili wyniki moich prac i obaj zażyli niewielkie porcje synaptyny. Dało to takie same efekty, jak w wypadku Micky'ego. Stali się bardziej inteligentni, znacznie rozwinęła się ich zdolność zapamiętywania, nagle odkryli w sobie umiejętności, o które wcześniej nawet siebie nie podejrzewali.

- I Brown, i Schoenman byli zachwyceni. Namawiali mnie, żebym jak najprędzej opublikował rezultaty swoich prac, ja jednak nie byłem jeszcze przygotowany na to.

Synaptyna wymagała wciąż wielu badań. Poza tym istniał problem, kto będzie kontrolował dystrybucję, kiedy specyfik już zostanie wyprodukowany. Przecież ludzie wciąż czekają w kolejkach na operacje serca i inne zabiegi ratujące życie; w różnych sytuacjach podejmuje się decyzje, kto jest wart, by go ocalić, a kto nie. Co się stałoby, gdyby na synaptynie łapę położył rząd i rozprowadzał ją tylko wśród wybrańców?

Gdyby pozwalano zażywać ją tylko ludziom z administracji rządowej i najwyższym rangą wojskowym? Jak ogromna przepaść powstałaby pomiędzy wąską grupą ludzi a resztą społeczeństwa? Z pewnością też, i to byłoby jeszcze groźniejsze, zaczęłby funkcjonować czarny rynek w handlu synaptyną.

- Czy nie pomyślał pan o tym przed przystąpieniem do pracy? - zapytał John, posyłając doktorowi Lügnerowi spojrzenie, które zwykle wywoływało przestrasz u rozmówców.

- Oczywiście, że pomyślałem. Ale przecież żaden naukowiec nie przerwie pracy nad czymś, co mógłby określić jako dzieło swojego życia, z powodu czynników, które można by nazwać socjoekonomicznymi. Gdyby tak było, ludzkość nie dysponowałaby do dzisiaj łącznością radiową, medycyna nie stosowałaby przeszczepów i tak dalej.

Pomyślcie chociażby o penicylinie albo tabletkach antykoncepcyjnych. Przecież to były cudowne wynalazki, a w jaki sposób wpłynęły na zmianę funkcjonowania społeczeństw, nie muszę chyba mówić.

- W każdym razie nie opublikował pan wyników swych badań.

Doktor Lügner potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Po prostu nie byłem gotowy. Wiedziałem, że kiedy tylko to uczynię, zaczną mnie ścigać dziennikarze, a wszystkie magazyny naukowe świata zechcą, żebym opublikował w nich artykuły. Postanowiłem zatrzymać wszystko w tajemnicy, dopóki nie będę całkowicie gotów. Poza tym zdałem sobie przecież sprawę, że wynalazłem coś bardzo niebezpiecznego dla mnie i - jak się okazało - także dla was. Kiedyś powróciłem z wycieczki na wschód do domu w Escondido i zastałem mieszkanie całkowicie zdemolowane. Zniszczono wszystkie meble, wszystkie moje notatki, książki porozrywano na strzępy. Dwa dni później, gdy jechałem do San Diego, mój samochód został zepchnięty z drogi. Zjechałem sześćdziesiąt metrów w dół po stromym zboczu i pojazd się zapalił. Tylko cudem wydostałem się z niego. - Podciągnął koszulę i pokazał

szeroką czerwoną bliznę na przedramieniu. - To od klamki w drzwiczkach. Niemal urwała mi rękę.

- Czy to wtedy zdecydował pan zatrzymać tajemnicę dla siebie? - zapytał John.

- A pan co by zrobił na moim miejscu? Wyodrębnienie synaptyny zabrało mi dwadzieścia pięć lat. Postanowiłem, że nie dam się wykończyć jakiemuś bezimiennemu mordercy, dopóki sam nie zaznam przyjemności i rozkoszy, jakie niósł ze sobą ten wynalazek.

- Co więc pan zrobił?

- Zniknąłem. Miałem kilku wpływowych przyjaciół na Dalekim Wschodzie; pomogli mi od nowa ułożyć życie, skompletować nowe laboratorium. Wyodrębniłem ulepszoną synaptynę, jakby drugiej generacji, i wypróbowałem ją na sobie. Resztę, jak myślę, wiecie. Stałem się pisarzem, malarzem, muzykiem, sportowcem, fizykiem, astronomem, matematykiem, chirurgiem; we wszystkim, do czego się zabrałem, byłem doskonały. Przez jakiś czas pracowałem w Seulu i w Tokio. Potem przenieśliem się do fabryki Hoshi w Seattle. Wreszcie znalazłem się na Florydzie.

- I ani przez chwilę nie pragnął pan się z kimś podzielić swoim sekretem? - zapytał

Mingus.

- Rozwazałem to od wielu lat. Dzieliłem się moim geniuszem z ludzkością na taką skalę, na jaką to tylko było możliwe, pisząc książki, komponując muzykę i biorąc udział

w poważnych przedsięwzięciach naukowych. Hoshi nie była jedyną kompanią, dla której pracowałem. Opracowałem system oszczędnościowego wykorzystywania paliwa w samochodach dla Ford Motor Company, cyfrowy kolorowy skaner dla Rockwella. A jednak nikomu nie ujawniłem tajemnicy synaptyny. Cóż, bałem się nieobliczalnych następstw tego kroku. Wreszcie jednak wytropili mnie mężczyźni w marynarkach i zmieniłem zdanie. Musiałem się z kimś podzielić swoją tajemnicą, nie bardzo jednak wiedziałem z kim. - Popatrzył na Micky'ego i posłał mu słaby, niemal przepaszający uśmiech. - Nie chciałem, żeby to był mądrała ze środowiska akademickiego.

Potrzebowałem kogoś, dla kogo niespodziewanie przyswojona wiedza matematyczna i z innych dziedzin stałaby się nagłym olśnieniem. Kogoś, kto miałby trudności z zapamiętaniem, co jadł przed kilkoma godzinami na śniadanie, kto z entuzjazmem przystąpiłby do uczenia się Biblii na pamięć, od „Na początku...” do „Nadejść, Panie Jezu”. Kogoś, kto pragnąłby stać się mądrzejszy, bardziej bystry i lepszy, lecz do tej pory nie był w stanie.

- Problem polegał na tym, że nikogo takiego nie znałem. Ci nieliczni ludzie, z którymi utrzymywałem kontakty, to bez wyjątku jajogłowi w najgorszym tego słowa znaczeniu. Owszem, byli intelektualistami, ale pełnymi uprzedzeń i o wąskim spojrzeniu na rzeczywistość. A przecież synaptyna ma przede wszystkim rozszerzać horyzonty, tworzyć ludzi renesansu, tyle że o wiele mądrzejszych, niż byli nasi przodkowie.

- Ci pierwsi dwaj faceci, którzy próbowali pana porwać, zostali nasłani przez Broussard Guidance Systems, a więc tę firmę, dla której ja w tej chwili pracuję -

powiedział John. - Byli brutalni, muszę przyznać, jednak zadanie, które przed nimi postawiono, nie polegało na uczynieniu panu krzywdy.

- Nie miałem pojęcia, kim są. Byli bardzo agresywni.

- Ale nawet nie w połowie tak agresywni, jak ci z drugiej poszukującej pana ekipy.

Doktorze Lügner, Williamie Cicero albo jakkolwiek pan się zowie, myślę, że nadszedł

czas, by powiedział nam pan, kim oni są. Jeżeli pan to uczyni, być może znajdziemy sposób, by przeprowadzić jakiś mały kontratak.

Kelnerka przyniosła napoje. Doktor Lügner wypił trzema głośnymi łykami połowę swojej wody mineralnej. Dopiero wtedy odezwał się:

- Z tego, co mi wiadomo, pracują dla niezależnej agencji federalnej o nazwie DMWN: Departament Międzynarodowej Współpracy Naukowej. Powstała w połowie lat trzydziestych, aby koordynować wymianę doświadczeń naukowych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a pozostałymi krajami świata. W rzeczywistości pomysł wcale nie był tak wzniosły, jak by się mogło wydawać z tych słów. Rząd i wojskowi byli zaniepokojeni tym, że w zagranicznych placówkach badawczych i na uczelniach

dochodzi do odkryć stanowiących potencjalne zagrożenie dla naszego kraju, a nasi agenci są zbyt mało rozgarnięci, aby rozumieć ich znaczenie.

Współpracę z DMWN rozpoczęło więc kilkunastu wybitnych naukowców, którzy analizowali informacje na temat największych projektów badawczych spływające z Anglii, Francji, Szwecji... nawet z Japonii. Ja również znalazłem się w sferze zainteresowań DMWN i coś tam dla nich zrobiłem; zapewniam, że nic nadzwyczajnego.

Wiem, iż współpracował z nimi także Albert Einstein. To on ostrzegł nasz rząd, że Niemcy produkują ciężką wodę, co oznacza, że pracują nad produkcją bomby nuklearnej.

- Przepraszam, że nie mówię jak geniusz, jednak wielu rzeczy tu nie rozumiem -

wtrącił John. - Dlaczego, do diabła, DMWN tak dąży do zlikwidowania pana? Przecież skoro chodzi im o synaptynę, musi im również zależeć na tym, żeby jak najdłużej trzymał się pan cało i zdrowo.

- Tak, to jest prawdziwa zagadka - przyznał doktor Lügner. - Powiedzmy więc, że ktoś w tej agencji, kto ma wpływ na jej działania, bardzo mnie nie lubi.

- Wciąż jednak nic nie rozumiem. Przecież jedynym osobnikiem, który chciałby widzieć pana martwego, musi być ten, który zarazem chciałby, żeby rasa ludzka była permanentnie głupia.

- Chyba się pan orientuje, że są tacy ludzie. Na przykład właściciele stacji telewizyjnych, producenci oper mydlanych...

- Ale to nie może być jedyny powód!

- Panie Huntley, nie mogę panu powiedzieć, jakie są motywy działania DMWN.

Wcale nie jestem pewien, czy ci ludzie wiedzą, jakie jest znaczenie synaptyny; przecież tego nie rozgłaszałem. Jeżeli wiedzą, cóż, zgadzam się z panem, zabicie mnie przed przejęciem mojej wiedzy byłoby absurdem. Ale jeśli nie wiedzą... Mimo to nie mam pojęcia, dlaczego zamierzają mnie zgładzić.

- W tej sprawie jest coś jeszcze. - John odchrząknął. - Kolejna rzecz, która mocno mnie zastanawia. Szefowie nie wysyłają zabójców za swoimi byłymi pracownikami, jeżeli nie mają ku temu bardzo poważnych powodów.

- Prawdę mówiąc, nie byłem pracownikiem DMWN, panie Huntley. W tamtych czasach pełniłem zaledwie funkcję kogoś w rodzaju doradcy i muszę ze smutkiem przyznać, że rzadko słuchano moich rad. Przykro mi, nie jestem w stanie panu pomóc. I niech pan wreszcie zważy, że przybyłem tutaj porozmawiać z Mickym, a nie z panem.

- Pamiętam o tym i rozumiem. Czy zgodzi się pan jednak, że zadam jeszcze jedno pytanie?

Doktor Lügner wzruszył ramionami. Gest ten nie oznaczał ani zgody, ani sprzeciwu.

- Pańska służąca... to była chyba pańska służąca... przynajmniej w ten sposób Micky ją opisywał. Dziewczyna o azjatyckich rysach twarzy imieniem Suna. Co się jej stało? Kiedy nasi ludzie włamali się do pańskiego domu, znaleźli ją martwą.

- Słyszałem o tym.

- Czy domyśla się pan, jak to się stało? Kto mógł to zrobić?

- Spodziewam się, że ludzie Broussarda. Dlaczego ich pan nie zapyta?

- To nie byłoby łatwe. Oni też nie żyją. Pańscy przyjaciele z DMWN dopadli ich pierwsi. - John przyłożył sobie dwa palce do głowy w wymownym geście.

- W takim razie nie mam na to żadnego pomysłu. I... niech pan posłucha, rozmowa o śmierci Suny nie sprawia mi przyjemności.

- W porządku - powiedział John z westchnieniem. Zamieszał „krwawą Mary” i wypił mały łyk. - Niech mi pan jednak pozwoli zadać jeszcze jedno pytanie. Czy zechciałby pan wybaczyć Broussardowi próbę porwania? W końcu na szczęście nic się panu nie stało. Może pod moją opieką pojechałby pan do Cocoa Beach i porozmawiał z Gene Broussardem na temat podłączenia tego systemu naprowadzania? W ten sposób wszyscy będziemy zwycięzcami w tej grze. Pan Broussard uzyska swoje pociski. Pan zarobi mnóstwo forsy i jestem pewien, że kiedy tylko wykona pan swoją robotę, Broussard osobiście dopilnuje, by przez nikogo nie niepokojony mógł pan zniknąć o dowolnej porze w dowolnym zakątku świata.

- Nie ma mowy - odparł doktor Lügner krótko. - Nie ufam nikomu, kto ma jakiegokolwiek związki z Broussardem.

- Chwileczkę, ja nie jestem rzecznikiem Broussarda ani tym bardziej jego człowiekiem, doktorze Lügner! Jego firma wciągnęła mnie w to wszystko wbrew mojej woli! Pragnę jedynie dokończyć robotę, którą na siebie przyjąłem, odebrać forsy i wrócić do domu.

- Mimo to nie chcę nawet słyszeć o takim rozwiązaniu. Niech mnie pan nie uzna za paranoika, jestem jednak głęboko przekonany, że DMWN ma swojego informatora wśród ludzi Broussarda. Kiedy Broussard kupował Hoshi i trwało zamieszanie związane z przeprowadzką, rozumie pan: przenoszenie biur, baz danych i tak dalej, ktoś od Broussarda zadzwonił do Hoshi z pytaniem, dokąd należy posyłać moją korespondencję. Sekretarka prezesa, która jako jedyna w firmie знаła numer mojej skrzynki pocztowej, podała go. Prozaiczny ludzki błąd; miała przecież dobre intencje.

Jednak kiedy dwa dni później odbierałem pocztę, trzy pociski przebiły mój samochód.

Szczęśliwie żaden mnie nie trafił. Nie była to jednak pomyłka ani przypadkowy zamach. Gdy powróciłem do mieszkania, stwierdziłem, że ktoś się właśnie do niego włamał. Nie zauważony przez człowieka lub ludzi, którzy znajdowali się w środku, wycofałem się. Prawdę mówiąc, nigdy już tam nie wróciłem. Wyjechałem i w ogóle nigdy więcej nie byłem w Seattle. Na szczęście nie tęsknię za tym miastem.

- Jeżeli powróci pan do Broussarda, mogę panu dać dziewięćdziesięcioprocentową gwarancję, że wykryję tego informatora i unieszkodliwię - oświadczył John. - Jestem w tym bardzo dobry.

- Nie, panie Huntley. Moja odpowiedź wciąż jest negatywna.

- Doktorze Lügner, jeżeli doprowadzę pana przed oblicze Broussarda, otrzymam trzysta tysięcy dolarów. To mnóstwo pieniędzy!

- No i co z tego? Pan zainkasuje trzysta tysięcy, a ja znajdę się w trumnie za trzysta dolarów. Nie pasuje mi taki interes.

- A więc dlaczego, do diabła, przyszedł pan tutaj? Jeżeli nie zamierza pan się pokazać Broussardowi, to jakie są pańskie plany?

- Jeszcze pan nie rozumie? Wyślę zastępcę!

- Zastępcę? O czym pan mówi?

- O kimś, kto mnie zastąpi u Broussarda. Przecież nie trzeba być geniuszem, żeby to pojąć!

John przez chwilę wpatrywał się w doktora Lügnera i nagle go olśniło. Obaj odwrócili głowy w kierunku Micky'ego, który mieszał lód na dnie swojej szklanki i półgłosem rozmawiał z Mingusem na temat wspólnego napisania opery rockowej.

Minęło kilkanaście sekund, zanim młodzieńcy zdali sobie sprawę, że John i doktor Lügner przypatrują im się.

- Co takiego? - zapytał Mingus i spojrzał na nich niepewnie. Micky jednak wiedział, o czym rozmawiali przed chwilą.

Odstawił swoją szklankę i odezwał się:

- Słyszałem, o czym mówiliście. Doktorze Lügner, czy słowo „zastępca” oznacza właśnie to, o czym myślę?

Doktor Lügner pogładził się dłonią po siwej, rzednącej czuprynie.

- Oczywiście nie musisz na to przystać, Micky, tak samo jak nie musiałeś zażywać synaptyny. Chociaż uważam, że jeśli się zgodzisz, nie poniesiesz wielkiego ryzyka. Z

kolei jeżeli ja bym tam poszedł, nie przeżyłbym nawet kilku godzin.

- Dlaczego więc ja miałbym być bezpieczny?

- Ponieważ w gruncie rzeczy wcale nie chodzi im o MiGR8. Owszem, dobrze się stanie, jeżeli system zadziała, jeżeli nasi rządzący będą w stanie strzelać do niechętnych im przywódców różnych państw jak do kaczek. Ale chodzi im przede wszystkim o mnie. O to, co ja wiem, i o to, co oni sądzą,

że wiem. Chcą, żeby cała ta wiedza zniknęła z powierzchni ziemi, żeby zniknęły zagrożenia, które jak przypuszczają, ona ze sobą niesie. Według ich ocen warto poświęcić nawet MiGR8, aby to osiągnąć. Takie jest stanowisko DMWN. - Na chwilę umilkł, po czym dodał: - MiGR8 to wspaniały system.

Wierzę, że będzie funkcjonował bez zarzutu. Technicy Broussarda nie mają pojęcia, jak zainstalować go w pociskach, ale ty będziesz wiedział, Micky, ty będziesz wiedział, bo tylko ty zrozumiesz moje instrukcje.

Micky potarł dłonią czoło.

- Prawdę mówiąc... Nie jestem jeszcze pewien, ale chyba potrafiłbym zamontować MiGR8 już teraz. Czy to możliwe? Czy to jeszcze mój umysł, czy pańska pamięć funkcjonuje we mnie?

- Wszystko po trochu. Synaptyna zawiera acetylocholinę, która wzmacnia sygnały pamięci krążące pomiędzy komórkami mózgu. Kiedy uzyskiwałem tę porcję synaptyny, którą ty zażyłeś, poddałem komponent acetylocholiny wstrząsom elektrycznym płynącym dzięki elektrodom wprost z mojej kory mózgowej. W tym czasie rozmyślałem jedynie o MiGR8, o wyższej matematyce i przywoływałem kilkanaście innych wspomnień, które mogłyby być użyteczne dla kogoś jeszcze oprócz mnie.

Acetylocholina przekształcała w impulsy elektryczne moje myśli, które gdy ty zażyłeś synaptynę, zamieniły się w twoją pamięć. Może nie wyszło to doskonale, przynajmniej nie tak, jak ja chciałem, jednak ten aspekt działania synaptyny pozostaje dla mnie wciąż pewną niewiadomą. W każdym razie pracuję nad tym.

- Nie odebrałem żadnych osobistych pana wspomnień - zauważył Micky. -

Żadnych odczuć, emocji.

- Nikt nie chciałby przeżywać doznań innego człowieka, prawda? - zapytał doktor Lügner retorycznie.

Do rozmowy włączył się milczący dotąd John.

- Co o tym wszystkim sądzisz, Micky? Jeżeli zadzwonię do Broussarda i powiem, że ty potrafisz zainstalować jego system naprowadzania? Zgodzisz się na to?

Micky popatrzył na Mingusa, ten jednak zrobił jedynie głupią minę. Problemy omawiane przez pozostałą trójkę najwyraźniej go przerastały.

- Jestem przekonany, że w takim wypadku wszyscy przez jakiś czas zajmowałiby się wyłącznie MiGR8, a ja mógłbym spokojnie zniknąć - powiedział doktor Lügner. -

Pan otrzymałby swoje pieniądze, panie Huntley. A ty, Micky, zostałbyś z pewnością wynagrodzony przez Gene Broussarda tak sownie, że do końca życia robiłbyś wyłącznie to, na co miałbyś ochotę. Mógłbyś czytać, malować, łowić ryby, żeglować i zastanawiać się nad nie rozwiązanymi do tej pory zagadnieniami fizyki kwantowej. A może pozostałbyś w branży i skonstruował jeszcze doskonalszy

system naprowadzania?

W tym interesie można zarobić ogromne pieniądze.

- Zaraz, zaraz - przerwał mu Micky. - Na razie nie wiem jeszcze do końca, jak funkcjonuje MiGR8. Poza tym...

- Co poza tym? - zawołał doktor Lügner. - Masz tak chłonny umysł, że w ciągu godziny mogę przekazać ci wszystkie wiadomości na temat MiGR8. To tylko kwestia nawigacji optyczno-magnetycznej sprzężonej ze zdolnością do termiczno-optycznego rozpoznawania obiektów. Jak myślisz, skąd wiem, że to ty jesteś Mickym? Każdy z nas ma oczy, nos i usta. Skąd mój mózg wie, że to jesteś właśnie ty, kiedy znajdziesz się w pobliżu?

- Ponieważ Micky jest wśród nas jedyną osobą ubraną jak pracownik zakładu pogrzebowego - wtrącił Mingus - i jedyną osobą, która pachnie tak, jakby natychmiast musiała wziąć prysznic.

Nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi. John pochylił się ku Micky'emu i powiedział:

- Doktor Lügner ma rację, Micky. Gdybyś się zgodził, pewnie opadłaby cała gorączka. Jeżeli ci faceci w marynarkach uwierzą, że doktor Lügner wyjechał z Florydy i przebywa gdzieś daleko, a Broussard nie będzie go już więcej potrzebował, cóż...

Istnieje szansa, że pozostawią nas wszystkich w spokoju.

Micky długo się zastanawiał. Zaczynał czuć się bardzo dziwnie, jakby spoglądał na wszystko z góry. Jeżeli nie liczyć Roxanne, niczyj los nigdy nie zależał od niego i nie był przyzwyczajony do podejmowania trudnych i odpowiedzialnych decyzji. Na szczęście synaptyka rozwinęła jego umysł tak bardzo, że rozumiał wszystkie alternatywy wskazywane przez Johna i doktora Lügnera; ponadto przychodziło mu do głowy jeszcze kilka innych. Tego ranka zastanawiał się, czy nie wywieźć Roxanne gdzieś na zachód, może do Nowego Meksyku albo do Arizony. Ale gdyby to zrobił, skończyłby tak jak doktor Lügner: jako intelektualista kryjący się przed światem, który z uporem pragnął pozostawać rzeczywistością głupców. I co właściwie robiłby razem z Roxanne? Czy zamykaliby się w motelowych pokojach, zaciągając zasłony i w każdej chwili oczekując nadejścia mężczyzn w szarych marynarkach?

Wciąż rozmyślał, gdy pojawiła się Constance. W centrum handlowym po drugiej stronie Vine Street kupiła sobie bladoliliową wełnianą sukienkę oraz parę sandałów i pasujący do zestawu żakiet. Zdążyła już umyć włosy oraz nałożyć na twarz stonowany makijaż; wyglądała dziesięć lat młodziej niż dzień wcześniej.

- Witam panów - powiedziała. - Czy mogę dołączyć? - Usiadła przy stoliku i uśmiechnęła się szeroko do doktora Lügnera. - To pan jest zapewne tym naukowcem, o którym już tyle słyszałam. Jest pan spod znaku Koziorożca, prawda?

Doktor Lügner popatrzył niepewnie na Johna, ten jednak tylko wzruszył

ramionami, tak jak przed kilkoma minutami zrobił to jego rozmówca, i szybko odwrócił

głowę.

Constance tymczasem oparła łokcie na stoliku, podparła głowę dłońmi i patrząc na doktora Lügnera, mówiła:

- Jest pan Koziorożcem, ponieważ roztacza pan wokół siebie taką mroczną, tajemniczą atmosferę. A może mieszka pan już zbyt długo na środkowej Florydzie? Jest pan bardzo ambitny, ale nigdy pewien do końca swoich możliwości. Walczą w panu dwie osobowości. Jedna woła: „Jestem doskonały!”, a druga odpowiada: „Nie, wcale nie!” Pierwsza z uporem krzyczy: „Jestem geniuszem!”, a druga tymczasem uparcie jej przeczy. A jednak jest pan we wszystkim doskonały i dobrze o tym wie. Tymczasem skrzętnie skrywa pan w sobie tę doskonałość na wszelki wypadek, by przenigdy z nikim się nią nie dzielić. Mógłby pan być opiekuńczy i czuły, ale życie zmusza pana do egoizmu, a doskonałość sprawiła, że zachowuje się pan opryskliwie i okazuje niecierpliwość ludziom, którzy nie są równie błyskotliwi jak pan.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. John wpatrywał się w Constance z otwartymi ustami. Mingus z desperacją przyciskał dłonie do skroni, a Micky wpatrywał się w przestrzeń, nie wiadomo dlaczego zaciskając nos, jakby ktoś po cichu puścił wiatry.

A jednak na twarzy doktora Lügnera powoli rozkwitał szeroki uśmiech, w pewnej chwili naukowiec nawet pokiwał głową. Constance odpowiedziała mu uśmiechem, a w jej oczach czały się wesołe iskierki.

- Brawo, ma pani rację, rzeczywiście jestem Koziorożcem! - zawołał doktor Lügner. - I rzeczywiście miewam wątpliwości co do mojej błyskotliwości i doskonałości. Niemniej starannie usiłuję to ukryć. Nie jestem jedynie przekonany co do tej tajemniczej i mrocznej atmosfery, którą niby to roztaczam.

- Powiedziałam to tylko po to, żeby pana trochę zdenerwować - przyznała Constance. - Takie niewinne oskarżenia zawsze skutkują. Nazywam się Constance Carden. Zdaje się, że wplątałam się w historię, której panowie jesteście głównymi bohaterami. Muszę przyznać, że przez cały czas jestem śmiertelnie przerażona, ale za żadne skarby świata nie pozwoliłabym sobie teraz odebrać radości z przeżywania tego wszystkiego.

- Pani Carden pomogła mi w ucieczce przed ludźmi z DMWN wyjaśnił John. - Jest właścicielką galerii sztuki. Obrazy, rzeźby i tym podobne rzeczy. Handluje nimi, i to z powodzeniem.

- Sprzedałam już kilka obrazów, które pan namalował, doktorze Lügner.

Uwielbiam pana jako Charlesa Babsona. Niezbyt podoba mi się jednak Davis Watkins.

Myślę, że jest trochę zbyt ponury.

- Cóż, był taki okres w moim życiu. Jednak aż do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że uwidaczniało się to w malowanych wówczas obrazach.

Constance położyła dłoń na dłoni doktora Lügnera. Jeden z jej smukłych, opalonych palców

ozdobiony był pięknym złotym pierścionkiem z ametystem. Doktor Lügner nie cofnął ręki.

- Tak... - powiedział. - Właściwie to zawsze podejrzewałem, że malarz bardziej zdradza swe uczucia niż pisarz, czy tego chce, czy nie. Pisarz może ukrywać je pod płaszczykiem żartów, lecz malarz nie ma takiej możliwości. Malowanie jest obnażaniem własnej duszy, całego wnętrza, tak jak podczas autopsji. Skrytość w tej dziedzinie sztuki nie jest możliwa.

- Dlaczego pan się ukrywa?

- Ponieważ pewni ludzie chcą mnie zabić, dlatego.

- Nie tylko. Ukrywa się pan przed czymś jeszcze.

- Czy zauważyła to pani w moich obrazach?

- Och, skąd ta postawa obronna?

- Pani Carden, prawie pani nie znam. Dlaczego więc miałbym być wobec pani bardziej szczery, niż jestem?

Constance cofnęła dłoń i uśmiechnęła się. A doktor Lügner nie potrafił ukryć rozczarowania; pojawiło się na jego twarzy natychmiast, gdy stracił kontakt z dłonią Constance.

- Przepraszam - powiedział. - Może źle panią zrozumiałem?

- Och, niemożliwie - stwierdziła Constance na poły żartobliwym, na poły jadowitym głosem. - Jest pan przecież geniuszem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Roland popatrzył na zegarek. Następnie wyłączył silnik lincolna i wysiadł z samochodu, odruchowo poprawiając zapinki na mankietach koszuli i krawat. Drugi mężczyzna również opuścił pojazd i również poprawił zapinki oraz krawat. To samo uczynili trzeci i czwarty. Cała czwórka skryła oczy za ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi. Wszyscy mieli czarne włosy lśniące w jasnym słońcu późnego przedpołudnia.

- Bywają dni, gdy Bóg się do mnie uśmiecha - powiedział Roland.

- Po prostu bywają dni, kiedy szczęście uśmiecha się nawet do takich sukinsynów jak my - poprawił go Vincent. - Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

Gdyby Vincent mógł przeniknąć czarne szkła okularów Rolanda, zauważyłby spojrzenie, które z pewnością by go zmroziło. Roland uważał, że jest najlepszy we wszystkim, do czego tylko się zabierze, i nieomal psychopatycznie nienawidził

jakiegokolwiek krytyki, poprawek, a nawet drobnych, życzliwych sugestii dotyczących jego poczynań. Łatwo wpadał w gniew. Miewał ataki wściekłości, które trwały czasami i po kilka godzin.

Pomieszczenia, w których wówczas się znajdował, przemieniały się w pobojuwiska, jakby co najmniej ostrzelała je bośniacka artyleria. Nigdy w sobie nie dusił i nie zapominał uraz. W tej chwili największą urazę żywił do Williama Cicero i ludzi, którzy mu pomagali.

W ciągu piętnastu lat pracy w służbach bezpieczeństwa Roland nie odnotował

żadnych strat wśród ludzi swego zespołu; aż do teraz. Podczas ostatnich czterdziestu ośmiu godzin jeden jego człowiek zginął (Kaminski - z głową roztrzaskaną przez fortepian doktora Lügnera), a dwaj inni zostali ciężko poranieni (Venn i Spinetti, ofiary tego samego fortepianu). Jakby tego było mało, kolejny jego człowiek, Brogan, leżał

pod strażą w Osceola County Hospital z nieomal śmiertelną raną postrzałową klatki piersiowej.

Policja z Orlando i ludzie z biura szeryfa Osceola County wydawali już jakieś nieprzyjemne pomruki oznaczające, że jeżeli nastąpi kolejny skandal, będzie musiał

wycofać swoich ludzi ze środkowej Florydy, i to szybko. Istniała pewna granica tolerancji władz, której nie było wolno przekroczyć, i Roland doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

A jednak nie było już żadnego powodu, by przypuszczać, że w dalszym ciągu sprawy będą układały się źle, przynajmniej nie dzisiaj. We wczesnych godzinach porannych Roland odkrył, że John Huntley, Micky Frasier i Constance Carden zatrzymali się w Royal Tudor Motel. Poprzedniego wieczoru Vincent i Matthew widzieli samochód Mingusa zaparkowany przed sklepem z odzieżą. Roland natychmiast kazał im sprawdzić wszystkie hotele i motele w promieniu dwóch mil i pytać o wszystkie nowo zameldowane osoby. O odpowiedzi nie było trudno, tym bardziej że każde pytanie poparte było dziesięciodolarowym banknotem dla recepcjonisty. Tylko dwa hotele odnotowały przybycie trzyosobowych grup: dwudziestolatka, kobiety około sześćdziesiątki i starszego siwiejącego mężczyzny w okularach. Jedną z tych grup okazało się małżeństwo z Omahy w stanie Nebraska, które przywiozło upośledzonego umysłowo syna, by obejrzał Disney World. Druga grupa podała w hotelu adresy z Madison w stanie Wisconsin. Roland był dumny z tego, że natychmiast się zorientował, iż zameldowali się pod fałszywymi nazwiskami. Zdumiewało go zresztą nieraz, że tylu uciekinierów próbuje być bardzo sprytnymi na własną zgubę. Przecież ci troje mogli z powodzeniem wpisać się do książki hotelowej jako Goin, Prizer i Loing albo Carroll, McComas i Pyle; sprawdzenie ich tożsamości zabrałoby długie godziny, jeżeli nie dni.

Oni tymczasem zarejestrowali się jako Serre, Werner i Moreau, a przecież każdy, kto znał kino francuskie lat sześćdziesiątych, doskonale wiedział, że to aktorzy grający w filmie Jules i Jim. Roland dobrze znał ten obraz.

- Do diabła, co to takiego jest Jules i Jim? - zapytał go Vincent.

- To tragiczna historia o dwóch facetach i kobiecie. Cała po francusku, nie rozumiałbyś więc ani jednego słowa. Na koniec wszyscy troje umierają. To ci powinno wystarczyć.

Roland starał się być uprzejmy wobec swoich ludzi, przychodziło mu to jednak z ogromną trudnością. Dziś rano posłał Brogana i Harkinsa, aby obserwowali Mingusa w pracy. Miał nadzieję, że gdzieś

tam ponownie zjawi się William Cicero. „Tylko dobrze się przebierzcie”, poinstruował ich. „Zachowujcie się tak, żeby nie wzbudzać niczyich podejrzeń”. Jeszcze nie wierzył, że poszli za Mingusem do szatni pracowników i ukradli dwa kostiumy wiewiórek. To było tak niewiarygodnie głupie, że nie było w stanie nawet wywołać jego wściekłości. Nie wierzył, że można zachowywać się tak po kretyńsku i jednocześnie być przekonanym o swoim sprycie.

- Wydaje ci się, że widziałeś Williama Cicero? - Roland zapytał Harkinsa.

- To musiał być William Cicero.

- I zamiast obserwować i śledzić, zacząłeś go gonić? - Daj spokój, Roland.

Mogliśmy wtedy załatwić go na miejscu.

- W pieprzonym wiewiórczym przebraniu?

- A co to ma za znaczenie? Mogłem zabić Cicero, nawet będąc nago. Przecież gdybym go wtedy załatwił, nie byłoby tej rozmowy.

- Tak, ale go przecież nie załatwiłeś, prawda? Załatwiłeś natomiast Brogana.

Odstreliliś mu, kurwa, kawał płuca.

Mimo że Brogan i Harkins spieprzyli robotę, upewnili przynajmniej Rolanda, że William Cicero wciąż znajduje się gdzieś niedaleko Kissimmee. Zresztą z niewiadomego powodu wszyscy trzymali się razem: John Huntley, Micky Frasier i Constance Carden, a także Mingus i ta długonoga piękność o cychach jak dwa wielkie dzwony. Amatorzy, myślał o nich z pogardą Roland, a jednak doświadczenie podpowiadało mu, że najtrudniej jest dać sobie radę z amatorami. W ich zachowaniu nie było żadnych reguł. Robili rzeczy zupełnie nieoczekiwane, na przykład rzucali fortepianem spod sufitu.

- Miejmy nadzieję, że nie natrafimy na kolejny pieprzony latający instrument -

powiedział Roland, kiedy szli przez parking. Jakaś jaszczurka umknęła spod jego buta.

Popatrzawszy na niego, dojrzała gada znacznie potężniejszego od siebie.

Royal Tudor Motel stanowił obiekt znacznie łatwiejszy do spacyfikowania niż restauracja Guida. Były tam, co prawda, dwa tylne wyjścia, jednak oba mógł

obserwować jeden człowiek. Przez małe boczne wejście wchodziło się prosto do sklepu ze staroangielskimi pamiątkami, chociaż znajdowały się tutaj również plastikowe modele czerwonych, piętrowych londyńskich autobusów i talerzyki z podobizną lady Diany.

Roland wszedł do motelu głównym wejściem, drzwiami otwieranymi przez fotokomórkę. Klimatyzacja działała na całą moc i w środku było tak zimno, że zadrżał.

Jakiś portier o oddechu śmierdzącym whisky podszedł do niego i kroczącego z tyłu Vincenta, po

czym odezwał się:

- Witam panów w Royal Tudor. Smak starej Anglii w centrum Kissimmee; zaznajcie go w całej pełni. Jedzcie, pijcie i bądźcie szczęśliwi.

- Sam jedz i pij, i pocałuj mnie w dupę - odparł Vincent.

Przeszli przez restaurację. Była niemal zupełnie pusta. Vincent przemierzał salę wzdłuż i wszerz, aż w końcu rozłożył bezradnie ręce.

- Powinni tutaj być. Ale ich nie ma - westchnął z rezygnacją.

Roland podszedł do kelnerki. Miała bladą twarz i jasne, tlenione włosy. Bez chwili zastanowienia wsunął jej banknot pięćdziesięciodolarowy pod suknię na piersiach.

- Było tutaj kilka osób, prawda? Dwóch białych facetów, czarny chłopak, starsza kobieta i jeszcze jeden mężczyzna, biały siwowłosy starzec - powiedział.

- A jeżeli tak, to co z tego?

- Posłuchaj, kochanie - syknął Roland. - Powiedz mi „tak” lub „nie”. Jestem agentem federalnym. To bardzo ważna sprawa.

- Tak, byli tutaj - odparła kelnerka. - Wyszli już jednak jakieś pięć minut temu.

- Masz pomysł, dokąd mogli się udać?

- To byli goście, proszę pana. Nie wolno mi udzielać na ten temat informacji.

- Posłuchaj, panienko. Chodzi o bezpieczeństwo twojego kraju, zwalnim cię więc z obowiązku zachowania dyskrecji w tej sprawie. Czy oglądasz może telewizję? Czy nie wiesz, z jak bardzo złymi ludźmi mamy do czynienia w tym wypadku? Występują wprost przeciwko konstytucji. Czy ty w ogóle wiesz, co to jest konstytucja?

- Oczywiście, że wiem. Ale nie wolno mi udzielać informacji na temat gości.

Roland wreszcie stracił cierpliwość. Szarpnął dziewczynę za sukienkę pod szyją i przyciągnął do siebie. Patrząc na nią z odległości zaledwie dwóch centymetrów, wyszeptał:

- Czy-wiesz-dokąd-oni-poszli?

- Puść mnie! - pisnęła dziewczyna. - Puść mnie, natychmiast!

- Powiedz mi to, co chcę wiedzieć, i zaraz cię puszcze. Dziewczyna jednak zamilkła i wpatrywała się w Rolanda z zaciśniętymi ustami. Zrozumiał, że nie tędy droga, i oswobodził ją.

- Sprawdź ich pokoje - powiedział do Vincenta. - Trzecie piętro, numery 323 i 325.

A jeśli chodzi o ciebie - zwrócił się do kelnerki - dowiem się, gdzie mieszkasz.

Utrudniłaś mi życie i w ten sposób postąpię wobec ciebie.

- Jestem samotną matką, próbuję związać jakoś koniec z końcem - powiedziała. - A ty jesteś złym człowiekiem. Niczego jednak nie jesteś w stanie mi zrobić.

Roland posłał jej złośliwy uśmiech.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz, kochanie.

Po chwili wrócił Vincent.

- Nie ma ich - zameldował. - Ich pokoje są zupełnie puste. Nie pozostawili nawet niedopałków ani papierków po cukierkach, dosłownie niczego. Jeśli to - wyciągnął

przed siebie małą spinkę do włosów - jest niczym.

- Cholera jasna, wiedzieli, że przyjdziemy - warknął Roland. Zacisnął dłonie, a potem uderzył jedną o drugą. Momentalnie skrzywił się z bólu; nosił zbyt wiele pierścieni, by ten gest mógł mu ujść bezkarnie. - Do diabła, skąd oni się dowiedzieli?

Siedzieli stłoczeni w pickupie Mingusa, obserwując Royal Tudor Motel z parkingu po drugiej stronie ulicy. Cały ich dobytek zajmował niewiele miejsca w części samochodu przeznaczonej na ładunki: trochę bielizny i ubrań, i jeszcze kilka innych przedmiotów oraz pakunków, jednym słowem wszystko to, co zdołali zabrać z pokojów w ciągu kilku minut po ostrzeżeniu Roxanne, że przyjechał Roland.

- Wiele ci zawdzięczamy. - Doktor Lügner pochylił głowę, po czym uśmiechnął się do dziewczyny.

Roxanne siedziała na kolanach Micky'ego.

- Zapamiętałam go od wczoraj - powiedziała. Micky pocałował ją.

- Świetnie się spisałaś. Nawet nie przypuszczałem, że to ty, kiedy podeszła kelnerka i powiedziała, że jest do mnie telefon.

Roland nie mógł przewidzieć, że Roxanne przybędzie do Royal Tudor Motel niemal równocześnie z jego ekipą. Nawet gdyby go o tym uprzedzono, nie uwierzyłby chyba. Nie uwierzyłby, że może mieć tak cholernego pecha podczas jednego zaledwie przedpołudnia.

- Zjeżdżajmy już stąd jednak - powiedział John. - Doktor Lügner może sobie porozmawiać z Mickym po drodze. Musimy znaleźć inny motel. A potem zastanowimy się, co dalej.

Mingus włączył silnik i ustawił się na pasie wyjazdowym z parkingu. Gdy chciał

ruszać, zapaliło się czerwone światło i musiał poczekać, aby przepuścić pędzące samochody. Jednak w chwili, kiedy światło zmieniło się na zielone, wyjazd zablokowała wielka ciężarówka oczekująca

w sznurze pojazdów na wolny przejazd przez skrzyżowanie znajdujące się kilkadziesiąt metrów dalej. Za ciężarówką ustawionych było kilkanaście innych samochodów, dlatego mimo zmiany światła na zielone na skrzyżowaniu wszystkie nie zdołały przez nie przejechać i kiedy auta na ulicy znów się zatrzymały, wyjazd z parkingu wciąż był zablokowany.

- No dalej, do cholery - jęknął Mingus. - Co to jest? Procesja pogrzebowa?

Wciąż tkwili w tej idiotycznej pułapce, kiedy Roland, Vincent i dwaj inni faceci z ich ekipy pojawili się przed głównym wejściem do motelu. Roland ściągnął okulary przeciwsłoneczne i uważnie rozglądał się na wszystkie strony. Na moment zastygł w bezruchu, jakby zauważył coś istotnego, zaraz jednak machnął ręką na swoich podwładnych i cała czwórka ruszyła w kierunku parkingu.

- Na miłość boską, nie patrzcie w naszym kierunku - wyszeptał Micky. Mingus niecierpliwie bębnił palcami w kierownicę, jednak nie był w stanie wydostać samochodu z pułapki. Nic nie wskazywało na to, że którykolwiek z kierowców znajdujących się przed nimi zechce ułatwić mu włączenie się do ruchu.

Mingus nacisnął klakson, jednak został tylko obrzucony pogardliwymi spojrzeniami. Dokąd się śpieszysz, człowieku? Przecież wszyscy jesteśmy tutaj na wakacjach. Czyż nie jest pięknie?

Zaraz jednak dwie rzeczy wydarzyły się niemal równocześnie. Jeden z samochodów ruszył do przodu o ułamek sekundy zbyt wolno i Mingus z piskiem opon, wykorzystując niewielką lukę, włączył się do ruchu. W tej samej chwili Vincent spojrzał na pickupa i wskazał go Rolandowi, szarpiąc szefa za ramię. Cała czwórka błyskawicznie wskoczyła do lincolna.

- Szybciej! - zawołał John.

Mingus przejechał na zewnętrzny pas i błyskając reflektorami oraz gwałtownie naciskając na klakson, ruszył na wschód w kierunku St Cloud. Niewiarygodne, jednak inne samochody ustępowały mu z drogi. Kierowcy byli w większości zbyt leniwi, żeby zainteresować się, czy naprawdę mają do czynienia z samochodem śpieszącym na ratunek, czy też ze spóźnialskim, który za wszelką cenę chce dokąś dotrzeć na czas.

Oczywiście żaden z nich nie miał pojęcia, iż w pickupie znajduje się sześcioro przerażonych uciekinierów.

- Zawiozę was do mnie - powiedział Mingus, wyprzedzając od prawej strony przeładowaną ciężarówkę. - Tam nas nie znajdą.

Roland tymczasem nie miał już trudności z wyjechaniem na Vine Street. Wrogie okrzyki i kakofonię klaksonów wywołał dopiero wtedy, gdy pierwsze skrzyżowanie przejechał na czerwonym świetle. Jakiś kierowca ciężarówki, gruby facet o czerwonej twarzy, wrzasnął do niego:

- Hej ty! Tak, ty! Co, kurwa, wyprawiasz?

Roland tylko pokazał mu środkowy palec w nieprzyzwoitym geście i mocniej nacisnął na pedał gazu. W tej samej chwili jednak silnik lincolna zakrztusił się i zgasł.

Roland z trudem dobrnął do pobocza i tam zatrzymał auto. Wsiadł i podniósł maskę silnika. Natychmiast ogarnął go gęsty, czarny dym. Cofnął się i popatrzył z niedowierzaniem na to, co działo się pod maską. Właściwie to nic nie znajdowało się tutaj na swoim miejscu. Głowica cylindra była oderwana, filtr oleju w strzępach, urządzenie do klimatyzacji w kabinie w kawałkach.

- Co? - jęknął Roland. - Co takiego?

Z samochodu wysiadł również Vincent. Nie musiał patrzeć na silnik. Jedyne przelotnie spojrzął pod maskę i pokiwał głową.

- Oni nie tylko wiedzieli, że nadchodzisz, Roland, oni także przygotowali się na twoje przyjęcie.

- Uważasz, że to ich sprawka? - zawołał Roland z wściekłością.

- Oczywiście. Zwykle, żeby osiągnąć coś takiego, używa się ziemniaka, zatykając nim rurę wydechową. W układzie wydechowym powstaje wówczas ogromne ciśnienie.

Wystarczy wtedy jedno solidne naciśnięcie na pedał gazu i albo ziemniak wylatuje z rury, niszcząc wszystko, co napotka na swojej drodze na odcinku około pięciu kilometrów, albo głowica cylindra wystrzelona zostaje na orbitę okołozemską.

Oczywiście przeważnie zatrzymuje ją maska silnika. - Vincent przeszedł za samochód. -

Popatrz tylko.

Trzęsąc się z wściekłości, Roland dołączył do Vincenta. Ktoś wsunął do rury wydechowej całego ananasa. Owoc wepchnięty został z ogromną siłą, sądząc po wyglądzie, wandal zapewne używał do tego młotka. Widok ten niemal zemdlił Rolanda; odwrócił się i przez długą chwilę patrzył w przestrzeń, zaciskając usta, zgrzytając zębami i nie czując w tej chwili niczego poza wielką nienawiścią do wszystkich i wszystkiego, a szczególnie do Williama Cicero i jego bandy amatorów; również do Sary Lake, tej egzaltowanej kurwy noszącej bluzki, przez które przeświecały brodawki na jej cycach.

Wciąż stał bez ruchu, gdy zbliżył się do niego kierowca o czerwonej twarzy.

Rękawy przepoconej koszuli miał podwinięte, krople potu lśniły również na jego czole.

Miał niebieskie oczy osadzone bardzo blisko siebie oraz drobny, zadarty nos.

- Hej, przyjacielu - powiedział do Rolanda i klepnął go z całej siły w ramię. - Zdaje się, że przed chwilą wykonałeś wobec mnie jakiś nieprzyjazny gest.

- Gest? Jaki gest?

- Hmm... Albo chciałeś dać mi do zrozumienia, że zjadłeś dzisiaj na śniadanie tylko jedną parówkę, albo po prostu byłeś bardzo niegrzeczny.

Wściekłość Rolanda sięgnęła zenitu. To wszystko było tak cholernie frustrujące i bez tego upierdliwego grubasa. Oto na włosku wisiała cała jego zawodowa kariera, a tu jakiś pacan ośmielał się przyleźć i twierdzić, że on, Roland, jest niegrzeczny. Odwrócił

się i zamierzył na niego, jednak w tej samej chwili kierowca trafił go lewym prostym w samą szczękę. Roland poleciał do tyłu i padł na betonowy chodnik na plecy, z rozłożonymi rękami, uderzając przy tym boleśnie głową o kamienną płytę.

Przez chwilę przed oczyma miał matkę, kuchnię zalaną słońcem i siebie samego śpieszącego się do szkoły, szybko jedzącego śniadanie. Niemal uwierzył, że matka wciąż żyje. Dotknął jej fartucha i wyczuł jego materiał. Poglądził jej twarz; kobieta istniała naprawdę.

- Mamo - jęknął i otworzył oczy. W tym samym momencie stwierdził, że głaszczke gładko ogolony policzek Vincenta, a to, co uznał za fartuch matki, było jego purpurowoczerwonym krawatem.

- Dalej - mówił Vincent. - Musimy stąd pryskać, zanim pojawią się gliny.

- Co z samochodem? - zapytał Roland. Usta miał pełne krwi, a jeden z zębów się ruszał.

- Wszystko w porządku, Leon zabezpieczył broń. Zamówiliśmy taksówkę. Dalej, rusz się. Zobaczymy, czy możesz wstać.

Roland niepewnie podparł się na ręce. Dookoła zebrał się już tłum ludzi. Wszyscy gapili się na niego niczym złote rybki wypatrujące z akwarium na świat, którego nie rozumieją. Jakiś żujący gumę gruby chłopaczek w pstrokatej koszulce patrzył na niego, nie mrugając nawet okiem. Roland dałby teraz wiele, by dotrzeć do taksówki, otworzyć szarą walizkę, w której trzymał broń, wyciągnąć ingrama i posiekać tego gówniarza na drobne kawałki.

W oddali rozległo się zawodzenie syren policyjnych radiowozów. Vincent pomógł

Rolandowi wstać i wepchnął go na tylne siedzenie taksówki.

- Nie chcecie zaczekać na gliny? - zapytał kierowca. - Nie, przyjacielu, i ty także na nich nie będziesz czekał - odparł Vincent.

Taksówkarz wzruszył ramionami i obracając kierownicę tylko jednym palcem, szybko włączył się do ruchu ulicznego, nie zważając na klaksony i piski opon aut, które hamowały, by uniknąć zderzenia z nim.

- Jak twój kumpel, w porządku? - taksówkarz rzucił Vincentowi kolejne pytanie.

Uważnie wpatrywał się we wsteczne lusterko, w którym widział twarz Rolanda.

- Pilnuj swego pieprzonego interesu i uważaj, jak jedziesz - padła odpowiedź.

- Dobra, dobra, w porządku. Ja tylko pytałem.

- Czy prosiłem cię, żebyś o cokolwiek pytał? Jeżeli będę tego chciał, to cię poproszę, w porządku?

- W porządku.

Roland przyciskał do ust pogniecioną chusteczkę. Była mokra od śliny i poplamiona od krwi.

- Nie uciekną daleko - seplenił. - Zaskoczyliśmy ich, dlatego nie mają żadnego planu. Założysz się, że wrócą do chałupy tego czarnego chłopaka?

- Zobaczymy. Najpierw pojedziemy po mój samochód.

Roland po raz kolejny posłał Vincentowi złowrogie spojrzenie. Tym razem nie miał na oczach ciemnych okularów i Vincent zrozumiał wymowę wzroku zwierznika.

Natychmiast powiedział „przepraszam”, chociaż nie miał pojęcia, za co właściwie przeprasza teraz swego szefa. Nie wiedział, że następnym zdaniem Rolanda miało być:

„Zobaczymy. Najpierw pojedziemy po twój samochód”.

Taksówkarz zawiózł ich do Whispering Palms Motel, pomalowanego na żółto budynku z cegieł, gdzie wynajmowali pokoje. W zasięgu wzroku nie było tutaj ani jednej palmy. Vincent zapłacił taksówkarzowi, a tymczasem Leon przeniósł szarą walizkę do srebrnego buicka i ostrożnie umieścił ją w bagażniku.

- Nie chciałbyś przemyć ust zimną wodą? - zapytał Rolanda Vincent, próbując ulżyć mu w cierpieniach.

- Kto ty, do cholery, jesteś, Marcus Welby? W tej chwili chciałbym jedynie dostać w ręce tych pajacy i zrobić z nimi dokładnie to samo, co oni zrobili z moim samochodem.

Po chwili z piskiem opon wyjeżdżali z parkingu Whispering Palms, pozostawiając na betonie ciemne ślady.

- Pamiętasz, gdzie jest dom tego czarnucha? - zapytał Roland.

- Pamiętam.

Roland pochylił się do przodu. Jego wściekłość sięgała zenitu. Co chwilę przetykał

ślinę i poprawiał kołnierzyk, jakby się bał, że nagle może się udusić.

Kiedy zajechali przed dom, matka Mingusa znajdowała się akurat na podwórku i podlewała kwiatki. Miała na sobie jasną, różowo-żółtą sukienkę, którą sąsiadka przywiozła jej z Kuby, a na głowie jasnorożową przepaskę. Siostra Mingusa, jedenastoletnia Dauphine, bawiła się na schodach przed domem lalką Barbie.

- Mamo - powiedział Mingus - chciałbym, żebyś poznała kilka osób. To jest doktor Lügner... to jest

pan Huntley, a to pani Carden.

Pani Wells wyłączyła wodę i zbliżyła się do przybyszów. Mokre dłonie otarła o sukienkę.

- Miło mi poznać twoich przyjaciół, synu - odezwała się. Mrużyła oczy przed słońcem, które świeciło jej prosto w oczy. Po chwili dorzuciła: - Dzień dobry, Micky.

Dzień dobry, Roxanne. Jak leci?

- W tej chwili tak sobie, pani Wells - odparł Micky. - Mamy prośbę. Chcielibyśmy wszyscy zatrzymać się u pani na jakieś pół godziny, żeby się trochę odświeżyć.

- Macie jakieś kłopoty? Dexter, o co chodzi?

- Nic, mam. Zaszło drobne nieporozumienie, to wszystko.

- Przepraszam was, ale wszyscy sprawiacie wrażenie, jakbyście byli ofiarami czegoś znacznie poważniejszego niż małe nieporozumienie. - Popatrzyła na doktora Lügnera i dodała: - Wybaczcie, państwo, ale mój syn obraca się zwykle w innym towarzystwie. Ciekawe, w jakich okolicznościach was poznał.

Doktor Lügner posłał jej słaby uśmiech.

- Nieistotne, gdzie i jak Mingus się z nami spotkał, droga pani - powiedział. -

Proszę przyjąć moje zapewnienie, że nie sprawimy najmniejszych kłopotów. Chodzi jedynie o to, że pani syn zgodził się nas podwieźć, gdyż nie dysponujemy żadnym pojazdem. Nie pozostaniemy tutaj długo, obiecuję. Trzydzieści, trzydzieści pięć minut i będzie nas pani miała z głowy. - W porządku - zgodziła się matka Mingusa. - Ugoszczę was kawą i sernikiem.

- Dziękujemy - powiedział John. - Od rana nikt nie zaproponował mi nic wspanialszego.

Wszyscy ruszyli do budynku, jednak doktor Lügner położył dłoń na ramieniu Micky'ego.

- Pozostańmy na zewnątrz - zaproponował. - To nie potrwa długo, a musisz dowiedzieć się kilku rzeczy.

- Nie chcecie kawy? - zawołała w ich stronę matka Mingusa.

- Potrzebujemy kilku minut, żeby spokojnie porozmawiać. - Doktor Lügner machnął ręką w jej kierunku. Następnie usiadł na stopniu schodów i skinął na Micky'ego, aby ten zajął miejsce obok niego. Ściągnął okulary i powiedział: - Sytuacja jest już bardzo niebezpieczna, a nie chcę, żeby komuś stała się jakakolwiek krzywda.

Kiedy tylko powiem ci o wszystkim, co powinieneś wiedzieć, zniknę i już nigdy nie powrócę.

- Co to znaczy?

- Właśnie to, co słyszysz. Nigdy już się nie spotkamy. Nie będziesz miał szansy mnie znaleźć. Dlatego, jeżeli będziesz miał jeszcze jakieś pytania, gdy skończę, jakiegokolwiek, zadaj je od razu, ponieważ będzie to ostatnia okazja.

- Dobrze - zgodził się Micky. Słowa doktora Lügnera nie wstrząsnęły nim. W

miarę jak wzrastał poziom jego intelektu, stary naukowiec zdawał mu się mniej imponujący i godny podziwu. W końcu skoro w każdym człowieku tkwiły potencjalne możliwości doskonałego pisania, malowania, dokonywania wynalazków i rozwiązywania skomplikowanych zagadnień fizyki kwantowej, skoro on sam, Micky, wszystko to potrafił, cóż wspaniałego mógł widzieć w doktorze Lügnerze? Teraz, gdy bogactwa i mądrość doktora już go nie olśniewały, Micky zaczynał zadawać sobie pytanie, czy kiedykolwiek szanował tego człowieka i czy kiedykolwiek go lubił.

W każdym razie usiadł obok niego na schodach. Wtedy doktor Lügner wydobył z kieszeni pomięty notes. Micky zrozumiał, że znów nauczy się czegoś nowego. W tych dniach nauka sprawiała mu ogromną radość. Przeczytał nawet jakieś opracowanie przedstawione przez University of Minnesota, dowodzące, że z uczenia się można czerpać rozkosz niejednokrotnie większą niż z seksu.

- Broussard przygotował cztery pociski gotowe do podłączenia w system naprowadzania MiGR8, chociaż tylko dwa egzemplarze MiGR8 przygotowane są do instalacji. Pociski te to BGM-109 Tomahawk. Dwa z nich ma przetestować marynarka, a kolejne dwa Dowództwo Powietrznych Sił Taktycznych armii USA.

- W obecnym stanie Tomahawki naprowadzane są na cel dzięki urządzeniu o nazwie Tercom, jeżeli wykonują zadania strategiczne, albo przez zespół

konwencjonalnych systemów naprowadzania, jeżeli wykonują zadania taktyczne.

- Taktyczny system naprowadzania pracuje na trzech poziomach. Na poziomie przedwstępnym pocisk otrzymuje dane dotyczące celu, a ich źródłem jest komputer IBM. Po wprowadzeniu tych danych pocisk przejęty jest przez celownik Lear Siegler i radarowy miernik odległości. Na samym końcu, już blisko celu, do akcji wchodzi aktywny poszukiwacz radarowy TI.

- MiGR8 jest urządzeniem o wiele prostszym. Wszystkie poziomy naprowadzania, o których wspominałem, ujmuje w jednym. I nie tylko, jest bowiem w stanie zastąpić również Tercom, co oznacza, że ten sam system można stosować zarówno w miejscach strategicznych, jak i taktycznych. Jego działanie nie zależy od nawigacji satelitarnej, co oznacza, że system odporny jest na wszelki sabotaż, omyłki i inne negatywne czynniki.

Pracuje dokładnie tak, jak działa umysł ptaka; jego sensory reagują na sygnały geomagnetyczne z Ziemi oraz ustalają położenie na podstawie pozycji Słońca i gwiazd.

- Tak jak ptak, MiGR8 „wie”, dokąd zmierza i co lub kto jest jego celem.

Znalazłszy się w pobliżu celu, rozpoznaje go tak jak ptak. Potrafi rozróżnić przedmiot od żywej istoty. Rozróżnia nawet płęć. Potrafi rozpoznać człowieka, przeciwko któremu jest skierowany,

niezależnie od miejsca na planecie, i zabić go. Zabić skutecznie i, nazwijmy to, wielokrotnie. Tomahawk jest przecież w stanie przenosić nuklearne głowice bojowe albo konwencjonalne ładunki wybuchowe o wadze czterystu pięćdziesięciu czterech kilogramów.

- Prawdziwa wartość MiGR8 polega jednak na tym, że wszystkie jego połączenia i styki są chemiczne, a nie elektryczne. Wszelkie informacje w systemie przenoszone są w taki sposób, w jaki przenoszone są wiadomości pomiędzy komórkami nerwowymi.

To dlatego ci biedni idioci od Broussarda nie potrafią zainstalować tego systemu.

Wszystkie łącza elektryczne są tam umieszczone tylko dla zmylenia osób nieuprawnionych do korzystania z wynalazku. Działanie systemu gwarantują wyłącznie synapsy; ludzie Broussarda nie rozumieją, jaka jest ich rola, i w ogóle nie mają pojęcia, jak je łączyć. Zresztą nawet gdyby przez absolutny przypadek opanowali ten etap, nie dysponują synaptyną.

- A więc MiGR8 również używa synaptyny?

- Oczywiście. Dlatego właśnie jest tak doskonałym systemem. Dzięki użyciu transmitera chemicznego uzyskałem coś na kształt komputera, tyle że tysiące razy szybszego i mądrzejszego od używanych współcześnie, bez zwiększania potrzebnej dla niego przestrzeni i jego wagi. Popatrz na ten schemat: system naprowadzania jest tutaj, w dziobie Tomahawka. Wystarczy siedemdziesiąt pięć setnych mililitra synaptyny i gotów jest do działania. To bardzo proste... Jednak nie wyjaśniłem tego nikomu w Hoshi, a tym bardziej naukowcom i ekspertom elektronikom, których zatrudnia Broussard. Zauważ, nie ma wśród nich neurochemika, a więc niczego nawet nie mogą się domyślać.

- Jeżeli pomożesz mi podłączyć MiGR8, otrzymasz ode mnie pełną informację, jak uzyskiwać synaptynę. Chyba cię to usatysfakcjonuje...

- Jak programować system, by kierował pocisk na konkretną osobę? - zapytał

Micky, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w schematy prezentowane przez naukowca.

Doktor Lügner obdarzył go szerokim uśmiechem.

- To jest szczyt geniuszu, uwierz mi. System komputerowy przekazuje MiGR8

podstawowe dane dotyczące celu w sposób w zasadzie niemal identyczny, w jaki systemy naprowadzania funkcjonują na poziomie przedwstępnym. Różnica polega tylko na tym, że MiGR8 przyswaja je setki razy szybciej i dokładniej niż współczesne systemy elektroniczne.

- Popatrz jednak, Micky. Tutaj znajduje się dodatkowe złącze elektryczne.

Funkcjonariusz odpowiedzialny za lot konkretnego pocisku podłącza je za pomocą elektrod do własnych skroni. Gdy tego dokona, musi bezustannie wpatrywać się w podobiznę, najlepiej fotografię osobnika lub miejsca, które jest celem. Proces identyfikacji przesyłany jest wówczas drogą radiową do „mózgu” MiGR8. Synaptyną zamienia napływające sygnały w obrazy obiektu.

- Personifikując te kategorie, można powiedzieć, że MiGR8 staje się w tym momencie obsesyjnie zainteresowany wykryciem obiektu i zniszczeniem go. Gdy operacja osiągnie ten etap, nic już nie jest w stanie powstrzymać pocisków przed wypełnieniem misji. To tak, jakby łowca nagród ścigał po całym kraju osobnika poszukiwanego listem gończym; z zastrzeżeniem, że żaden łowca nagród nie waży ponad tonę i nie ściga swej ofiary z prędkością dwóch tysięcy kilometrów na godzinę.

Micky wziął od doktora Lügnera notatnik i przez dłuższą chwilę przeglądał go uważnie. Jeszcze niecały tydzień temu popatrzyłby tylko na kartki pokryte skomplikowanymi wzorami oraz rysunkami i natychmiast odwróciłby od nich wzrok, niczego nie rozumiejąc. Teraz jednak wszystko wydawało mu się tutaj tak proste jak samochodowa mapa Ameryki, a reguły instalacyjne tak przejrzyste jak instrukcje obsługi wież stereofonicznych.

- Czy jesteś w stanie to wszystko zapamiętać? - zapytał doktor Lügner. - Nie śpiesz się, masz jeszcze czas. Nie możesz popełnić żadnego błędu. Niestety, niemożliwe jest, żebym to ja pojechał do Broussarda i wykonał tę robotę. Nie przeżyłbym pięciu minut, wiesz o tym dobrze. Na szczęście, kiedy ci faceci w marynarkach się zorientują, że znów nawiałem, będą się mną interesować, a nie tobą.

- Zaraz, zaraz, dlaczego sądzi pan, że nie zechcą mnie zatrzymać, powstrzymać, zabić? Czyż nie MiGR8 jest sednem całej sprawy?

Doktor Lügner potrząsnął przecząco głową.

- Micky, mówiłem ci to już wcześniej: chodzi im o mnie, a nie o MiGR8.

Prawdopodobnie będą zadowoleni, jeżeli uruchomisz system. Są na swój idiosynkratyczny sposób autentycznymi amerykańskimi patriotami.

- Co będzie, jeżeli się dowiedzą, że potrafię wyodrębnić synaptykę?

- Nie mają pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje. A jeżeli nawet mają, to jedynie bardzo mgliste.

Micky przez chwilę milczał.

- Doktorze Lügner - odezwał się niespodziewanie - wywrócił pan całe moje życie do góry nogami i teraz prosi mnie pan jeszcze o wielką przysługę. Dlaczego jednak nie chce mi pan powiedzieć, z jakiego powodu ci ludzie są na pana tak cholernie zawzięci?

- Zawzięci to złe słowo - odparł doktor Lügner. - Oni są śmiertelnie przerażeni.

- Czyja też powinienem być przerażony?

- Oczywiście! Odwaga bez cienia strachu jest głupotą! A przecież ostatnim, co można by o tobie powiedzieć, byłoby stwierdzenie, że jesteś głupi.

Micky wstał. Uniki stosowane przez doktora Lügnera doprowadzały go niemal do rozpacz.

- Sam nie wiem, co o tym sądzić - oznajmił. - Muszę to wszystko jeszcze przemyśleć.

- Micky, nie masz już czasu na przemyślenia. Sytuacja jest krytyczna! Jeżeli MiGR8 będzie pracowało tak, jak zostało zaprojektowane, Stany Zjednoczone odzyskają władzę nad światem. Staniemy się potęgą, potęgą, której już nikt nigdy nie będzie kwestionował. Ludzie przypuszczają, że blok komunistyczny padł z powodu pokoju i przyjaźni. Nie ma w tym ani krzty prawdy. Dodam, że z powodu rozdrobnienia sił światowych nasz glob stał się miejscem o wiele bardziej niebezpiecznym niż wówczas, gdy funkcjonowały dwa bloki i sytuacja była czytelna. Sytuacja w każdej chwili grozi wybuchem niosącym nieobliczalne skutki! Zapobiegniemy temu, jeżeli będziemy dysponowali MiGR8. Przy okazji staniemy się jedyną potęgą rządzącą tym światem i dzielącą jego dobra. Przecież będziemy w stanie strzelać pociskami aż na Kreml, celować prosto w twarz Borysa Jelcyna.

- Kiedy miałbym uruchomić testowe pociski? - zapytał Micky. Doktor Lügner popatrzył na zegarek.

- Datę ćwiczeń wyznaczono za trzy dni. Lotnictwo Stanów Zjednoczonych ma wystrzelić swoje pociski z Intrudera A-6, który wystartuje z bazy sił powietrznych na przylądku Canaveral. Marynarka wystrzeli swoje z krążownika Kalifornia napędzanego paliwem jądrowym. Krążownik będzie się wówczas znajdował sto dwadzieścia kilometrów na południe od wyspy Cheju-Do leżącej na Morzu Wschodniochińskim. To taka mała prowokacja przy okazji; niedawno Chińczycy urządzali sobie strzelanie w pobliżu Tajwanu.

- Pod względem technicznym wszystko jest przygotowane do testów. Całość programów naprowadzania napisałem jeszcze wtedy, gdy pracowałem w Hoshi. Było to w czasie, zanim mężczyźni w marynarkach zorientowali się, gdzie przebywam. W

końcu próbowaliśmy sprzedać kompanię tylko po to, by pokazać, że MiGR8 spełnia pokładane w nim wymagania.

Micky podrapał się po nosie. Widać było, że nadal ma wątpliwości.

- A więc ja mam jedynie zażywać synaptynę i podłączyć do komputera system naprowadzania w przedwstępnej fazie operacji, tak?

- Właśnie. To przecież takie proste. Otrzymałeś ode mnie dziesięć ampulek synaptyny. Użyjesz numeru siódmego i ósmego.

- Rozumiem, że żaden z pocisków nie będzie wymierzony w żadną konkretną osobę. Inaczej mówiąc, mam nadzieję, że nie zamierza pan nikogo zabić.

- I tak, i nie. Oficerowie odpowiedzialni za strzały będą mieli fotografie dwóch nieżyjących osób. Ich zwłoki będą celem pocisków.

- Martwi ludzie?

- Właśnie. To najlepszy sposób na bezkrwawe sprawdzenie funkcjonowania MiGR8 wobec konkretnego celu.

- Rozumiem.

- Możesz mi wierzyć, system jest bezpieczny. Nie będzie przypadkowych ofiar -

powiedział Lügner i nałożył okulary. Po chwili odebrał papier od Micky'ego i schował

do kieszeni. - Ważne jest jedno: nikt i nic nie jest w stanie zatrzymać raz wystrzelonego pocisku.

- A jeśli strzelec zmieni zdanie? - zapytał Micky. - Zmieni zdanie? - doktor Lügner popatrzył na niego ze zdziwieniem. - Nie bardzo rozumiem.

- Na przykład wystrzelony zostanie pocisk i MiGR8 będzie kierował go na niejakiego Alego ben Wali albo kogokolwiek innego, a tymczasem Ali ben Wali zatelefonuje i powie „oszczędźcie mnie, poddam się”. Czy wówczas będzie można zniszczyć sam pocisk?

- Jasne... Cel można zmienić jeszcze w trakcie lotu. W tym momencie podeszła do nich matka Mingusa.

- Panowie, wasza kawa stygnie - powiedziała. - Poza tym sernik już prawie się kończy. Wasi przyjaciele nic wam nie zostawią.

- Idziemy. - Micky wstał.

- A więc zrobisz to? - zapytał doktor Lügner. - Uwierz mi, Micky, jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który może się tego podjąć.

Chłopak nie odpowiedział. Po prostu ruszył za panią Wells.

Constance przygotowywała w kuchni kolejny dzbanek kawy, a Roxanne pomagała matce Mingusa zmywać naczynia. John siedział przy stole razem z Dauphine.

Opowiadał jej właśnie, jak to kiedyś złapał na gorącym uczynku szpiega, który usiłował

ukraść pilnie strzeżoną tajemnicę produkcji płatków Lucky Charms.

- Zamknął się na klucz w ubikacji i próbował połknąć dowody rzeczowe. Nie mógł

jednak tego zrobić, ponieważ zrobiono je tak, że nie dawało się ich zjeść bez mleka; to dla bezpieczeństwa dzieci. Potem chciał je spuścić z wodą, ale i to mu się nie udało.

Płatki pływały na powierzchni. Miękły tylko w mleku.

Kiedy Micky i doktor Lügner weszli do środka, Constance postawiła przed nimi filiżanki z kawą.

- Zjecie coś słodkiego? - zapytała.

Micky potrząsnął przecząco głową, doktor Lügner odparł jednak:

- Dziękuję ci, Constance, z przyjemnością. - Po chwili milczenia ogłosił: - Właśnie przekazałem Micky'emu wszystkie informacje, jakich potrzebuje do uruchomienia pocisków Broussarda. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej długą, ozdobną kopertę z czerpanego papieru. - W tej kopercie znajduje się formuła synaptyny. Za chwilę opuszczę was i w ten sposób każdy z tu zgromadzonych będzie mógł się cieszyć własnym życiem. Przypilnuję, by mężczyźni, którzy was niepokoją, zorientowali się, że mnie już nie ma wśród was. Bez wątpienia przez jakiś czas będziecie jeszcze pod ich obserwacją. Najprawdopodobniej będą mieć na podsłuchu wasze telefony i śledzić poczynania. Ale gdy tylko się zorientują, że Broussard już mnie nie poszukuje, a wy nie macie pojęcia, gdzie się znajduję, stracą zainteresowanie wami, uwierzcie mi.

- Boże, mam nadzieję, że tak będzie - powiedziała Roxanne i ujęła Micky'ego za rękę.

- Czy gdzieś pana podwieźć, doktorze? - zapytał Mingus.

- Hmm... Zanim was pożegnam, muszę coś jeszcze usłyszeć. A mianowicie, jak Micky mówi „tak”.

Micky rozejrzał się po zebranych. Popatrzył na Roxanne, Johna, Mingusa i Constance. Wiedział, że nie będzie w stanie odmówić. Mimo że w sprawy doktora Lügnera wmieszał się przez przypadek, zdawał sobie sprawę, iż musi uczynić to, czego tamten zażąda, chociażby po to, by ochronić przyjaciół. Poza tym kto wie, może praca przy pociskach spodoba mu się?

- W porządku - pokiwał głową. - Zrobię to. John zabierze mnie na Cocoa Beach, kiedy tylko uzna to za stosowne.

Doktor Lügner podszedł do niego i uściśnął obie jego dłonie. Oczy starego naukowca lśniły z radości i widać w nich było wielką ulgę.

- Nie zapomnę cię, Micky Frasier, zresztą chyba nie będę w stanie, nawet gdybym tego bardzo pragnął. Pewnego dnia staniesz się sławny, usłyszy o tobie cała Ameryka.

Będziesz wspaniałym muzykiem, artystą, pisarzem, naukowcem, kimkolwiek zechcesz.

Wszystko zależy od ciebie. Jeszcze... Chcę was wszystkich przeprosić, że z mojego powodu narażeni byliście na tak wielkie niebezpieczeństwa i cierpienia.

Odwrócił się do matki Mingusa i podziękował za kawę. Następnie ucałował

Constance w policzek.

- Jest pani odważną i interesującą kobietą, pani Carden. Żałuję, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach.

- Ja także żałuję, doktorze Lügner, albo jak tam naprawdę pan się nazywa.

Doktor Lügner uśmiechnął się.

- Nazwiska nie mają znaczenia, Constance. Mozart zawsze byłby geniuszem, nawet gdyby nosił

nazwisko Katzenjammer - umilkł, po czym odezwał się do Johna: - Przykro mi, że nie mogę jechać do Broussarda z panem. Myślę jednak, że będą równie zadowoleni, gdy dotrze tam Micky. Mam nadzieję, że bez oporów wypłacą panu obiecaną trzysta tysięcy dolarów.

- Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś zobaczymy, doktorze Lügner.

Teraz naukowiec zwrócił się do Mingusa:

- To co, mogę liczyć, że mnie gdzieś podrzucisz? Jeżeli nie, to pojedę autobusem.

- Nie ma problemu - powiedział Mingus. Pocałował matkę, lekko poklepał po policzku siostrę, po czym podszedł do frontowych drzwi i otworzył je. W tym samym momencie nastąpił potężny wybuch. Głowa Mingusa odpadła od tułowia i trzasnęła o ścianę, a pokój został zbryzgany jego krwią.

To, co zostało z Mingusa, tkwiło jeszcze przez moment w progu, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, po czym sztywno przewróciło się do tyłu.

- Dexter! - wrzasnęła matka Mingusa i rzuciła się na zwłoki. - Och nie, Jezu Chryste! Chryste, Dexter!

- Z powrotem! - krzyknął John i spróbował odciągnąć kobietę w głąb pokoju, szarpiąc ją za sukienkę. Spóźnił się jednak. Ktoś strzelił z zewnątrz i kula ugodziła ją prosto w serce. Wydawszy cichy jęk, padła na zwłoki syna i w tej samej chwili zmarła.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

John wycofał się do kuchni, gestem nakazując wszystkim zgromadzonym w pokoju, by przycupnęli pod ścianami.

Micky był blady i przerażony. Na kilka chwil stracił zdolność jakiegokolwiek reakcji. Widząc, w jakim chłopak jest stanie, dopiero doktor Lügner pociągnął go na podłogę.

- Mingus, mój przyjacielu! Zabili mojego najlepszego przyjaciela. Zabili go!

- Uspokój się, na miłość boską! Musimy jakoś wydostać się stąd.

- Może przez tylne podwórkę! - zawołała Roxanne histerycznie. - Czy możemy wyjść tamtędy?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, z tyłu domu rozległy się strzały. Kule trafiły w okna, rozpryskując po całym pokoju szkło i niszcząc piękne, niebieskie zasłony. Siostra Mingusa zaczęła krzyczeć; właściwie to przeraźliwie piszczeć, wydając odgłos bardziej podobny do gwizdu niż do krzyku. Roxanne zakryła uszy.

- Wiecie co, może powinienem się poddać? - zasugerował doktor Lügner. - Chodzi im o mnie. Jeżeli mnie dostaną, nie skrzywdzą nikogo spośród was.

- Nie! - zaprotestowała Constance. - Zabiją pana.

John popatrzył na Micky'ego. W ciągu sekundy porozumieli się bez słów. Znali swoje myśli: doktor Lügner wpakował nas w to wszystko, on więc musi nas z tego wyciągnąć.

Gdy wybrzmiały odgłosy strzałów na podwórku, zapadła kilkuminutowa cisza.

Micky leżał na boku obok lodówki, obejmując ramionami Roxanne. Doktor Lügner skulił się pod parapetem. Constance siedziała przy drzwiach prowadzących na podwórko, głaszcząc po głowie siostrę Mingusa i starając się ją uspokoić. Tylko John stał oparty o kuchenną ścianę, co chwilę zerkając przez okno, by sprawdzić, czy nikt się nie zbliża do domu od frontu.

- Widzę jednego z nich - powiedział po chwili. - O, teraz pokazał się i drugi.

Dwóch jest z przodu, a dwóch innych, jak sądzę, za domem.

- Co więc zrobimy? - zapytała Constance. - Jeżeli spróbujemy ucieczki, zabiją nas, prawda? A jeśli pozostaniemy tutaj, w końcu wejdą do środka i też nas zabiją.

Micky przez chwilę się zastanawiał, po czym powiedział:

- Ten dom ma piwnicę.

- No i co z tego? - zapytał John niecierpliwie. - Mnóstwo domów ma piwnice.

- Ten dom ma piwnicę i kuchenkę na gaz.

- Micky, nie doprowadzaj mnie do rozpacz. W jaki sposób to może nam pomóc?

- Chyba wiem, o co chodzi Micky'emu - powiedział doktor Lügner. - Gdzie są drzwi do piwnicy?

John opuścił swój posterunek w kuchni.

- Tędy - mruknął i wskazał na korytarz prowadzący do pokoju Mingusa. Byłego pokoju Mingusa. Nie było już pokoju Mingusa, ponieważ nie było już samego Mingusa.

Jego zwłoki bez głowy, odstrzelonej przez Vincenta z karabinu myśliwskiego dużego kalibru, leżały w kałuży krwi.

- Co, do cholery, zamierzacie? - zdziwiła się Constance. - Jeżeli wejdziemy do piwnicy, znajdziemy się w pułapce.

Roxanne również zaprotestowała.

- Nienawidzę piwnic! Micky, doskonale wiesz, że nienawidzę piwnic.

- Zaufaj mi - powiedział krótko Micky.

Otworzył drzwi do piwnicy i zapalił światło. Jego oczom ukazały się strome drewniane schody,

prowadzące do pomieszczenia o niskim suficie, zagraconego puszkami z farbą, dziecięcymi zabawkami i setkami innych, chwilowo niepotrzebnych w domu przedmiotów. Doktor Lügner bez wahania ujął Constance pod rękę i szybko sprowadził ją na dół.

- Dalej, ty też! - zawołał do siostry Mingusa. - Płakać będziesz później, kiedy minie niebezpieczeństwo.

Micky opuścił jeszcze żaluzje na wszystkich oknach. Wtedy otworzył gaz we wszystkich palnikach na kuchence oraz w piekarniku. Głośny syk gazu rozległ się w całej kuchni. Mimo że rozbite były szyby w dwóch oknach, gorący bezwietrzny dzień i opuszczone żaluzje sprzyjały pomysłowi Micky'ego: nie miną dwie albo trzy minuty i stężenie gazu w mieszkaniu osiągnie punkt, w którym w połączeniu z tlenem stanie się mieszkanką wybuchową.

Odczekał jeszcze kilka sekund, a potem dołączył do pozostałych zgromadzonych w piwnicy. Sam zatrzymał się jednak na schodach bardzo blisko drzwi.

- Micky, co ty robisz? - zawołała Roxanne. - Przecież oni tu w każdej chwili się zjawią i nas wytluką!

- Uspokój się, dziewczyno. Micky próbuje wykorzystać jedyną szansę, jaka nam pozostała. To ryzykowne, ale lepiej jest zaryzykować, niż dobrowolnie skazać się na śmierć, uwierz mi - próbował uspokoić ją doktor Lügner.

- Czuję gaz - powiedziała Constance. - Tylko mi nie mówcie...

- Cicho - syknął Micky. - Chyba wchodzą do domu.

Miał rację. W piwnicy było wyraźnie słychać szuranie butów od Gucciego, gdy Roland i Vincent gwałtownie pchnęli drzwi wejściowe, po czym wpadli do salonu, w którym nie było dywanu.

Po chwili rozległ się głos Vincenta.

- Muszą być gdzieś z tyłu.

- Skoro nie ma ich we frontowych pomieszczeniach, to gdzie indziej, kurwa, mogą być? - warknął natychmiast Roland.

- Czuję coś, co to takiego? - dobiegł głos Vincenta.

- To gaz, głupku - mówił Roland. - Gdzieś ulatnia się gaz.

- Ulatnia się? To śmierdzi o wiele mocniej niż przy zwykłym ulatnianiu.

- To zobacz, kurwa, do kuchni. Może coś gotowali, nie odstawili w porę i woda zalała palnik?

W tym momencie Micky celowo zapukał w drzwi piwnicy.

- Słyszałeś to? - zapytał Roland. - Mówiłem ci, że są z tyłu.

- Zawołaj Terry'ego z podwórka. Zamierzam zabić tych ludzi i będę miał z tego ogromną przyjemność. Widziałeś, co zrobili z moim samochodem, prawda?

- Czy to takie ważne? I tak był wypożyczony.

- Chodzi o zasadę. Czy nigdy nie słyszałeś o czymś takim jak duma? Żeby mojemu autu włożyć ananasa do rury wydechowej! Przecież ja nawet nie lubię ananasów.

Micky zapukał w drzwi jeszcze raz, teraz o wiele głośniej. Przerazona Dauphine jęknęła i Constance musiała ją uspokajać:

- Cicho, maleńka, tylko cicho.

- Słyszałeś? - zapytał Vincent. - Są w piwnicy. Usłyszeli, jak otwiera drzwi do kuchni, i nagle rozległ się głos Rolanda:

- Chryste! Oni odkręcili wszystkie kurki!

Roland, który miał wrodzony instynkt przetrwania, natychmiast rzucił się w kierunku drzwi frontowych, natomiast Vincent, urodzony optymista i lekkoduch, podbiegł do maszyny i zaczął wyłączać dopływ gazu. W tym samym momencie Terry otworzył tylne drzwi budynku, wpuszczając do środka porcję świeżego tlenu.

Równocześnie Micky otworzył drzwi do piwnicy. Nie przyszło mu do głowy, to że może go kosztować życie, że natychmiast może zostać zastrzelony. Myślał jedynie o Mingusie, o tym, co ci bandyci uczynili z przyjacielem i jego matką, a poza tym pragnął

zemsty. Nigdy dotąd nie trafiła go kula z broni palnej i mimo całego swojego geniuszu nie potrafił wyobrazić sobie takiej sytuacji. Zresztą wcale nie chciał sobie wyobrazić.

Vincent odwrócił się na pięcie, uniósł ingrama i wypalił. W tej samej chwili Terry rzucił się w kierunku kumpla, głośno krzycząc:

- Niiieee!

Wszystkie kule utkwily w ścianie i w futrynie. Micky zatrzasnął drzwi i rzucił się po schodach w dół, a przez głowę przemknęła mu myśl, że będzie miał cholernego pecha, jeżeli teraz złamie nogę, natomiast jego plan się nie powiedzie. Boleśnie uderzył

biodrem w poręcz, skoczył i wylądował wśród plastikowych zabawek, siejąc okropne zniszczenie.

Wówczas dom eksplodował. Wystarczyły iskry spowodowane strzałami Vincenta, by wybuchła śmiertelna mieszanka gazu i tlenu. W jednej chwili cały budynek pozbawiony został wszystkich okien i drzwi. Zaraz po pierwszej nastąpiła druga eksplozja; ta z kolei sprawiła, że rozpadł się dach, jakby był elementem domku z kart.

Ku błękitnemu niebu wystrzeliły wysoko pomarańczowe płomienie.

Piwnica zadrżała jak podczas trzęsienia ziemi. Wiele narzędzi pospadało z haków przewróciła się drewniana szafka. Johna uderzył w głowę drewniany młotek, a na Micky'ego posypał się deszcz wielkich gwoździ. Nad nimi natomiast rozszalało się piekło. W chwili wybuchu zgasło światło w piwnicy, a po kilku sekundach do środka zaczął przedostawać się ciężki gryzący dym. Constance zakrzuszyła się pierwsza, zaraz po niej kaszleli wszyscy pozostali. Siostra Mingusa była tak przerażona, że zapomniała nawet o płaczu.

- Wynośmy się stąd - wychrypiał John. Oczy mu łzawiły i prawie nic nie słyszał.

- A jeśli oni ciągle tam są?

- Po tym, co się stało?

- Nie, chyba nie. Wychodzimy.

John wspiał się na szczyt drewnianych schodów. Musiał użyć sporo sił, żeby otworzyć drzwi, które początkowo nawet nie drgnęły. Gdy je pokonał, w jasnym świetle ujrzeli wydobywający się zewsząd gęsty dym i tumany kurzu.

- Poczekaj chwilę! - niespodziewanie zawołał doktor Lügner. - Zanim wyjdziemy, musimy ustalić, co będziemy robić i którędy stąd uciekniemy.

- Czy chce pan nas teraz opuścić?

- Już najwyższy czas na to. Ja już zrobiłem swoje. Micky ma przepis na synaptynę... Ty zabierzesz go do Broussarda. Gdy to zrobisz, także twoja rola w tym wszystkim się skończy. Wykonasz swoją robotę i wrócisz do San Francisco.

- A co ze mną? - zapytała Constance.

Mimo półmroku panującego w piwnicy na brudnej twarzy doktora Lügnera dał się zauważyć uśmiech.

- Constance, to koniec przygody. Musisz wrócić do swojej galerii.

- Nie mogę! - zawołała Constance. - Nie po tym wszystkim, co przeżyłam.

Chybabym tam umarła!

- Przecież ludzie wracają z wojen i wykonują swoje normalne zajęcia. Jestem pewien, że i ty potrafisz.

- Hmm, być może - przyznała Constance. W jej głosie wyraźnie słychać było rozczarowanie.

Micky popatrzył na Roxanne.

- Może wzięłabyś Dauphine do swojej matki? - zaproponował. - Zdaje się, że potrzebowałaby teraz wiele czulej opieki. A ja zadzwonię do ciebie, gdy tylko dotrę do Cocoa Beach.

- Czy mogłabym jechać z tobą?

- Kochanie, to niemożliwe. Sytuacja wciąż jest niejasna i nam wszystkim grozi niebezpieczeństwo. Chciałbym, żebyś była od tego jak najdalej.

Roxanne pociągnęła Micky'ego za rękaw, uniosła głowę i pocałowała go w spieczone usta. Być może rozumiała, że od chwili, gdy przyjął po raz pierwszy synaptykę, jego przyszłość była gdzieś indziej, nie przy niej, lecz wśród ludzi, którzy rozumieli sztukę, rozwiązywali skomplikowane równania matematyczne i potrafili wystrzeliwać w powietrze doskonale skonstruowane pociski.

- Będę więc czekała na wiadomość od ciebie - powiedziała. Wkrótce usłyszeli zawodzenie syren wozów policyjnych i strażackich.

- Zbierajmy się - ponaglił doktor Lügner. - Musimy jak najszybciej opuścić to miejsce, bo w przeciwnym wypadku nie będziemy już dłużej panami własnego losu.

John szerzej otworzył drzwi na zewnątrz. Po kolei opuszczając piwnicę, wszyscy z niedowierzaniem przyglądali się zniszczeniom, jakie spowodowała „bomba” wymyślona przez Micky'ego.

Budynek był całkowicie zdewastowany. Wewnątrz zostały jedynie schody, które prowadziły donikąd, oraz znajdujące się pod nimi drzwi do piwnicy. Kuchni nie było; w jej miejscu stał jedynie piecyk gazowy, a raczej to, co z niego zostało. Nie było ani śladu po Vincencie i po Terrym. Ich ciała albo wyparowały w potwornej temperaturze, albo zostały pogrzebane pod gruzami. W miejscu, w którym był salon, tkwiły tylko szczątki kominka z cegieł. Wciąż stały na nim ocalałe jakimś cudem trzy rodzinne fotografie. Większość mebli w momencie wybuchu wyleciała na zewnątrz: do ogródka, na podwórze i na ulicę. Z daleka widać było walające się dookoła szczątki krzeseł, stołów, tapczanów, szaf i szafek oraz tanich reprodukcji obrazów, które poodpadały ze ścian. Okolicę zaścieniały także ubrania porwane z wieszaków i szaf. Wśród odzieży znajdowały się dzinsy i ulubiona skórzana kurtka Mingusa. Najbardziej jednak rzucała się w oczy poszarpana kolorowa sukienka jego matki.

W salonie dopalało się łóżko, które siłą wybuchu zostało tu rzucone z sypialni.

Zgliszcza wciąż dymiły, potęgując atmosferę pustki i zniszczenia.

John popatrzył na Roxanne oraz Micky'ego i powiedział:

- Opuśćmy to potworne miejsce, dopóki jeszcze możemy.

Samochody straży pożarnej i policji były coraz bliżej. Decyzja, co robić, zapadła i cała grupa zaczęła oddalać się od pogorzelniska. Po chwili pożegnali się i rozdzielili.

Dookoła domu Mingusa zgromadziły się już tłumy gapiów. Z piskiem opon zahamowały dwa wozy policyjne. Wskoczyli z nich funkcjonariusze, a jeden nawet niechcący potrącił Johna. Ten odwrócił się i zobaczył, że Micky i Roxanne idą kilka kroków za nim, trzymając się za ręce.

- Pośpieszcie się - powiedział. - Nic tu po nas, a spektakl będzie trwał jeszcze parę ładnych godzin.
- Gdzie jest Constance? - zapytał Micky. - Nigdzie jej nie widziałem. Nie możemy jej przecież zostawić.

John otoczył go ramieniem.

- Nie martw się o Constance. Już od dawna nie jest dzieckiem. Z całą pewnością sama trafi do domu.

Taksówką dojechali do Southern Sun Hotel na Vine Street, a potem wynajęli brązowego buicka regala, przeznaczając na to ostatnie sto pięćdziesiąt dolarów z karty Mastercharge Micky'ego. Wcześniej zawieźli Roxanne i Dauphine do matki dziewczyny.

Gdy wreszcie znaleźli się w pokoju hotelowym, Micky'ego i Johna ogarnął

grobowy nastrój. Micky ze łzami w oczach rozmyślał o Mingusie, o tym, jak tragiczny widok stanowiło jego ciało pozbawione głowy. Nie pocieszała go myśl, że jego cierpienia są niczym wobec tego, co przeszła mała Dauphine.

- Napijesz cię czegoś? - zapytał John. - Tylko mi nie mów, że nie potrafisz jednocześnie myśleć i pić.
- Wypiję piwo - postanowił Micky. - Ale najpierw zatelefonuję do Roxanne.

Wsunął dłoń do kieszeni, jednak nie znalazł ani jednej monety. Dopiero John podał

mu garść dziesięciocentówek i poinformował, że aparat telefoniczny znajduje się niedaleko recepcji. Micky pokiwał głową i wyszedł z pokoju.

John tymczasem usiadł w głębokim fotelu ze szklanką podwójnego jacka daniela w dłoni. Nie potrafił pozbyć się myśli, że doktor Lügner prowadzi jakąś własną grę, i to, co opowiedział o synaptynie, MiGR8 i DMWN, jest tylko częścią bardziej skomplikowanej historii. John spędził przecież sporą część życia w środowisku oszustów, złodziei oraz utalentowanych aferzystów i znał wspólną cechę wszystkich tych ludzi: potrafili doskonale kłamać albo mówić półprawdy, omijając rzeczy dla nich niewygodne. O coś takiego właśnie posądzał teraz doktora Lügnera: że mówił prawdę, ale niecałą, że ukrył coś bardzo istotnego.

Naukowiec uparcie odmawiał rozmów, które mogłyby wyjaśnić, dlaczego mężczyźni w marynarkach polują na niego, dlaczego chcą go zabić. Dziwna była też pewność doktora, że z chwilą, kiedy on zostanie zamordowany, nikomu więcej już nic złego się nie stanie. Przecież jego prześladowcy nie przebierali w środkach i aż do tej chwili było dla nich obojętne, czy pozostawią za sobą jednego trupa więcej czy mniej.

Zginął już Mingus, jego matka, Guido i Mario. John rozumiał ból Micky'ego po ich śmierci i zarazem czuł się współwinny. To przecież była jego sprawa i jego praca; co mógł zrobić, by w trakcie jej wykonywania nie cierpieli niewinni ludzie? Jak chociażby Jamie?

Jego rozmyślania przerwał powrót Micky'ego.

- Z Roxanne wszystko w porządku - oznajmił. - Z Dauphine trochę gorzej. Cholera jasna, dlaczego ci ludzie zabijają tak na oślep?

John uściśnął dłoń Micky'ego.

- Chyba już najwyższy czas, żebyśmy się dowiedzieli - powiedział.

Micky wyciągnął z kieszeni ampułki z synaptyną.

- A więc to jest ten środek na genialność? - zapytał John. Micky tylko pokiwał głową.

- Żałuję, że kiedykolwiek to przyjąłem. Żałuję, że uratowałem doktora Lügnera.

Jak wspaniałe byłoby życie, gdybym wtedy odwrócił głowę i poszedł w swoją stronę.

- A co zamierzasz teraz? Przystaniesz to brać? Micky potrząsnął głową.

- Nie mogę. Nie potrafię. Musiałbyś wiedzieć, jak to jest... Wczoraj rano, gdy się obudziłem i leżałem jeszcze w łóżku, wymyśliłem urządzenie, które może dostarczyć do przeciętnego amerykańskiego domu tyle energii elektrycznej, ile będzie potrzeba. I to w zasadzie za darmo. Nie całkowicie, ale prawie. Problem byłby tylko jeden: gdyby coś takiego zainstalowano w każdym domu w Ameryce, Ziemia rok po roku obracałaby się wolniej o jedną milionową sekundy.

- Jesteś pewien? - Tak.

- Dobry jesteś. Będziesz sławnym naukowcem.

- Wcale mi na tym nie zależy. Najbardziej chciałbym grać na gitarze. Mieliśmy obaj być sławni: Mingus i ja. Nigdy nie przypuszczałem, że to się tak skończy.

- A któż z nas snuje takie przypuszczenia? Wiesz co? Daj mi pięć minut. Teraz ja muszę zatelefonować.

Najpierw zadzwonił do Maggie. Jej głos pozbawiony był zwykłego ciepła, mimo że zapewniła Johna, iż jest teraz sama i może swobodnie rozmawiać.

- Będę w San Francisco za kilka dni. Wrócę z dużą forszą. Dobrze sobie na nią zapracowałem. Do tej pory ścigano mnie, strzelano i nawet, kurwa, wysadzono w powietrze pieprzony dom, w którym się znajdowałem.

- John, dlaczego przeklinasz, kiedy do mnie mówisz?

- Bo chcę się trochę uspokoić. Bo potrzebuję trochę normalności. I wierzę, że otrzymam ją od ciebie.

Patrzył na swoje odbicie w ciemnej szybie budki telefonicznej. Widział

zmęczonego, zestresowanego człowieka. Jeszcze nigdy dotąd nie oglądał siebie w takim stanie.

- John, nie dam ci normalności. Nigdy nie mogłam ci jej dać. Chyba dlatego wszystko się skończyło. John odwiesił słuchawkę i natychmiast pożałował, że to zrobił.

W głębi serca wiedział jednak, że jego związek z Maggie należy do przeszłości. Gdy zdawało mu się, że Danny o niczym nie wie, mógł mieć jakąś nadzieję. Skoro jednak przyjaciel wiedział, nie było szansy na kontynuowanie tej historii i John musiał się z tym pogodzić.

Następnie zatelefonował do kliniki w Santa Cruz. Stan Jamiego był „stabilny” -

tylko tyle mu powiedziano.

- Żadnych oznak poprawy?

- Nie, panie Huntley. Bardzo mi przykro. - Ale sytuacja nie pogarsza się?

- Nie, panie Huntley. Nie ma objawów pogorszenia. Zadzwoił do Lorny, ale gdy usłyszał jej głos w słuchawce, nie potrafił wydobyć z siebie głosu i przerwał połączenie.

Na koniec wykręcił numer Broussard Guidance Systems i poprosił o rozmowę z Sara Lake.

- John...? Martwiliśmy się o ciebie. Czy dobrze się czujesz?

- Bywało lepiej.

- Znalazłeś Williama Cicero?

- Spotkałem go, owszem, jednak nie znalazłem. To on mnie odszukał. Muszę ci jednak powiedzieć, że ten facet to chodząca katastrofa. Ostatnie dwa dni spędziłem w jego towarzystwie i nie robiłem nic innego, tylko cały czas uciekałem przed śmiercią.

- Gdzie on teraz jest? - zapytała Sara. Jej głos drżał, jakby dziewczyna czegoś się bała.

- Nie wiem. Nawet gdybym wiedział, nie jestem pewien, czy powiedziałbym ci.

- John, przecież płacimy ci za odnalezienie go! To sprawa nie cierpiąca zwłoki!

Jeżeli go tutaj nie przyprowadzisz, Gene będzie bankrutem, a pewnie przytrafią mu się jeszcze gorsze rzeczy.

- Przykro mi, pani Lake, ale jest absolutnie niemożliwe, by William Cicero podjął

pracę dla Broussarda. Twierdzi, że byłoby to dla niego zbyt niebezpieczne. Uważa także, że macie w kompanii kreta.

- Kreta?

- Szpiega. - To paranoja!

- Nieważne, co powiesz, Saro, William Cicero ci nie pomoże. Po prostu zamierza jeszcze trochę pożyć.

- John, musisz go tu doprowadzić. Koszty nie mają znaczenia. Podaj tylko swoją cenę? Dostarcz go tutaj, nawet gdybyś musiał go uspić albo założyć mu kajdanki.

- Przykro mi, Saro, nie masz żadnej szansy. Kazałaś mi go znaleźć, zrobiłem to.

Gdybym przywiózł go do Broussard Guidance Systems wbrew jego woli, popełniłbym poważne przestępstwo.

- John, na miłość boską!

- Jestem prywatnym detektywem, pani Lake. Prywatni detektywi nie mogą postępować niezgodnie z prawem.

- Och, naprawdę? A czy zdajesz sobie sprawę, że przez tę twoją cholerną prawość ja stracę pracę?

John przyzwyczajony był do takich słów. Ludzie często próbowali wzbudzać jego litość, twierdząc, że zostaną pozbawieni zatrudnienia. Napotkał wielu takich: księgowych, którzy publiczne pieniądze przelewali na prywatne konta, a potem kupowali sobie jachty i utrzymywali kochanki; naukowców sprzedających receptury, na których sporządzenie ich pracodawcy stracili pięć lat i pięćdziesiąt milionów dolarów; zwykłych kucharzy, którzy wynosili pod płaszcami całe kilogramy szynki. „Proszę...

Nigdy więcej tego nie zrobię. Błagam...”

Sara jednak mówiła innym głosem. Słowa „stracę pracę” zabrzmiały tak, jakby mówiła „stracę życie”, mimo że nie użyła takiego zwrotu. W jej głosie było prawdziwe przerażenie i John nie musiał widzieć kobiety, by mieć pewność, że jest bliska łez.

- Posłuchaj - odezwał się. - Być może będę w stanie ci pomóc. Usłyszał lekkie westchnienie ulgi.

- W jaki sposób? Powiedz mi.

- Czy pamiętasz, jak twoi ludzie po raz pierwszy natrafili na niego i próbowali go porwać? Pewien „miejscowy bohater”, jak go nazwałaś, pomógł mu wtedy...

- Prawda. No i co z tego?

- Okazało się, że Cicero oświecił tego lokalnego bohatera i przekazał mu wszelką wiedzę potrzebną do uruchomienia systemu nawigacyjnego o nazwie MiGR8. Ten człowiek jest teraz ze mną. Może przyjechać razem ze mną do Cocoa Beach i oświecić z kolei ludzi Broussarda, którzy nie potrafią dać sobie rady z problemem.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła długa, bardzo długa cisza. John zaczął już przypuszczać, że zerwało się połączenie.

- Halo! - zawołał. - Saro, jesteś tam? Halo!

- Tak, jestem. To chyba nie wystarczy - odezwała się dziewczyna. W jej głosie wciąż była ta sama panika, co przed chwilą.

- Saro, uwierz mi, ten chłopak jest młody, ale ma całą wiedzę Cicera. Rozumie działanie MiGR8. Wie, jak ten system zaprogramować i podłączyć.

- Nie jestem przekonana...

- Nie jesteś przekonana? Stawiam na szalę całą moją wypłatę, że ten chłopak to potrafi.

- Zakład w tym wypadku nie ma sensu. Gdyby chłopak nie dał sobie rady, i tak nie dostałbyś forsy.

- Och, mam już dość tego przekomarzania się. Znalazłem, co chciałaś, i gwarantuję skuteczność. Połącz mnie z panem Broussardem.

- Muszę znaleźć Williama Cicero - jęknęła Sara. - Nikt inny nie jest mi potrzebny.

Muszę znaleźć Williama Cicero.

John odwiesił słuchawkę. Tego dnia miał już dość wrażeń, a wiedział, że jeszcze trochę i Sara zaczęłyby na niego krzyczeć. Wrócił do pokoju i zanim odezwał się do Micky'ego, wypił do dna jacka daniela.

- Wszystko w porządku? - zapytał Micky. John potrząsnął przecząco głową.

- W moim życiu, Micky, nigdy nic nie jest w porządku. Pewnej nocy wyjechałem z domu z synem w samochodzie i od tego czasu nic już w moim życiu nie jest w porządku. I nigdy już nie będzie.

Micky westchnął.

- Nie masz powodu, żeby być pesymistą, John. Popatrz tylko na mnie. Jeszcze kilka dni temu byłem zwykłym pomywaczem w podrzędnej restauracji, a teraz gram na gitarze jak sam Ry Cooder i wymyślam skomplikowane urządzenia.

- Och, ta twoja maszyna do prądu - powiedział John i popatrzył na Micky'ego przez pustą szklankę. - Co by się stało, gdyby Ziemia co roku zwalniała swój obrót o jedną milionową część sekundy?

Micky wzruszył ramionami.

- W końcu obracałaby się tak wolno, że wszyscy byśmy od niej odpadli.

- Hmm, wierzę. Właściwie to już zaczynamy odpadać.

Zadzwoił do Sary po raz drugi. Wciąż była na skraju hysterii. - Posłuchaj -

odezwał się. - Przepraszam za tak brutalne przerwanie rozmowy, ale prawda jest taka, że nie mogę ci dostarczyć Williama Cicero, mogę natomiast przyprowadzić kogoś, kto w jego zastępstwie uruchomi te cholerne pociski.

- Przywieź więc go do mnie - próbowała nad sobą zapanować.

- Trzeba mu zapewnić jakieś bezpieczne miejsce. Być może ktoś będzie usiłował dopaść i jego.

- Nie przejmuj się, zajmę się tym. Będzie miał ochronę.

- Czy powiedziałaś o wszystkim Broussardowi?

- Tak, jest zachwycony.

- Ale ty nie sprawiasz takiego wrażenia.

- Obiecałam mu, że dostanę Williama Cicero, i spieprzyłam sprawę. Czy mam więc powody do zachwyty? A co, jeżeli okaże się, że twój bohater nie da sobie rady z problemem? Skoro nasi najlepsi technicy są bezradni, jak na Boga, poradzi sobie ze skomplikowanym mechanizmem MiGR8 jakiś młodzieniec?

- Poradzi sobie, pani Lake.

Długo trwała cisza, zanim Sara odezwała się po raz kolejny.

- W porządku więc, John, im szybciej, tym lepiej. Pozwól jednak, że zapytam cię jeszcze raz: czy naprawdę nie masz pojęcia, gdzie jest teraz William Cicero?

- Przykro mi, ale będę milczał, pani Lake.

- Kiedyś tego pożałujesz, John, zobaczysz. I daj mi już spokój z tą „panią Lake”.

Roxanne siedziała właśnie w ogródku przed domem matki przy Holopaw Road i popijała coca-colę, kiedy zatelefonował Micky i powiedział, że wyjeżdża do Cocoa Beach.

Matka obrzuciła córkę uważnym spojrzeniem. Nigdy nie pochwalała związku z Micky; uważała, że Roxanne ma zły gust, jeżeli chodzi o mężczyzn.

- Naprawdę musisz tam jechać? - zapytała dziewczyna.

- Przykro mi... ale przecież wiesz, co dzieje się w moim mózgu.

Roxanne pokiwała głową, potwierdzając, mimo że Micky tego nie widział.

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem. Może trzy, a może cztery dni. Będę za tobą tęsknił, kochanie. I codziennie będę do ciebie telefonował.

Roxanne popatrzyła na Dauphine. Dziewczynka siedziała na kanapie i oglądała jakąś kreskówkę dla dzieci. Głos w telewizorze był jednak wyłączony.

- Czy ci ludzie zostawią nas teraz w spokoju, Micky? - zapytała Roxanne.

- Myślę, że tak. Przecież nigdy nie chodziło im o nas. Ścigali doktora Lügnera; i na niego wciąż polują.

- A jeżeli go nie znajdą? Czy na pewno nie wrócą? Micky przez chwilę się wahał.

- Módlmy się, żeby nie wrócili.

Roxanne odłożyła słuchawkę. Od czasu, gdy zaczął zażywać środek doktora Lügnera, Micky stał się taki odmieniony. Miał zupełnie inne pomysły, używał innych słów niż przedtem. Nawet jego głos brzmiał inaczej. Zastanawiała się, czy trudno mu jest teraz nadal ją kochać, tym bardziej że nie potrafiła stać się bardziej inteligentna, zrozumieć muzyki Mozarta czy ładnie rysować.

Rozmyślając o wydarzeniach ostatnich dni, stwierdzała, że nienawidzi doktora Lügnera, autentycznie, szczerze go nienawidzi. Nie dlatego, że wystawił tak wielu ludzi na wielkie niebezpieczeństwo, ale dlatego, że odebrał jej jedyną pewność, jaką miała w życiu: pewność, że Micky ją kocha, a ona kocha Micky'ego, bo podobają im się te same programy telewizyjne, bo śmieją się z tych samych dowcipów, bo lubią takie same potrawy.

Matka dojrzała zafrasowaną minę córki.

- Co się stało? - zapytała. - Czyżby cię rzucił?

- Musi wyjechać na kilka dni, to wszystko.

- Zaslługujesz na lepszego chłopaka niż on. Cały czas chodzi ubrany na czarno. Z

takimi strojami mógłby być księdzem.

- Ja go kocham, mamo.

- A on ciebie?

- Chyba przeżywa wielkie rozterki. Ostatnio miał ciężkie dni. W tym momencie zadzwonił dzwonek. Roxanne podeszła do okna i rozchyliwszy żaluzje, wyjrzała na zewnątrz. Na ulicy przed domem zaparkował czarny lincoln, w jego przyciemnionych szybach odbijało się słońce. Obok samochodu stało dwóch mężczyzn. Obaj ubrani byli w ciemnoszare marynarki. Roxanne pośpieszyła do kuchni, chwyciła za telefon i szybko wybrała numer Southern Sun Motel. Usłyszała sygnał, ale

niespodziewanie w słuchawce rozległ się głośny trzask i zaległa cisza. To mężczyźni w marynarkach odcięli aparat od centrali.

- Roxanne, kto dzwonił do drzwi? - zawołała matka.

- Nikt, mammo.

- Ale tam przecież ktoś jest! Widzę przez okno jakichś ludzi za drzwiami.

Roxanne spojrzała jeszcze raz. Nie było wątpliwości, że ktoś zablokował frontowe wejście. Nie było czasu do stracenia. Roxanne podbiegła do matki i pchnęła ją w kierunku tylnych drzwi. Równocześnie zawołała do Dauphine:

- Dauphine! Dauphine! Chodź ze mną, szybko. Początkowo dziewczynka jakby jej nie zrozumiała, ponieważ bardzo powoli odwróciła głowę. Wciąż była w szoku, a jej twarz cały czas pokrywały łzy. Popatrzyła na Roxanne i zapytała:

- Co takiego? Co się dzieje?

- Dauphine, pośpiesz się. Musimy uciekać!

Dauphine zdziwiona wstała z kanapy. Świadomość zagrożenia wciąż do niej nie docierała. Było już zresztą za późno. Jak spod ziemi, w tylnych drzwiach prowadzących do ogródka wyrosła postać Rolanda. Jego marynarka była zakurzona, rękawy podwinięte za łokcie. Na nosie miał ciemne okulary przeciwsłoneczne, najwyraźniej pożyczone, gdyż przynajmniej o dwa rozmiary za małe dla niego, a jednak nadające mu jeszcze bardziej złowieszczy wygląd niż zazwyczaj. Sprawiał wrażenie złoczyńcy i szaleńca w jednej osobie.

Wszedł do mieszkania swobodnym krokiem. Po jego twarzy błąkał się złośliwy uśmiech.

- Jezu Chryste, kim jesteś, człowieku? - zawołała matka Roxanne. - Zresztą kimkolwiek jesteś, natychmiast wyjdź stąd.

- Przykro mi, ale nie mogę tego uczynić - odparł Roland. - Muszę porozmawiać z tą młodą damą, i to na tematy nie cierpiące zwłoki.

Matka Roxanne podeszła bliżej do Rolanda i pchnęła go dłonią w piersi.

- Spieprzaj z mojego domu, zanim zawołam policję.

- Mammo! - ostrzegła ją Roxanne.

Początkowo zdawało się, że Roland nie zareaguje. Stał spokojnie z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Po chwili jednak powolnym ruchem ściągnął prawą ręką okulary, a lewą ręką błyskawicznie uderzył matkę Roxanne w twarz. Uderzenie było tak mocne, że kobieta poleciała w bok i uderzyła w ścianę.

Roxanne podbiegła do Rolanda, nie wiedząc właściwie po co, być może chcąc się zemścić, dać mu nauczkę za uderzenie matki. Nie miała żadnej szansy. Roland błyskawicznie wykręcił jej rękę. Tymczasem starsza kobieta podniosła się. Na lewym policzku miała wyraźny czerwony ślad, a z jej rozciętej wargi ciekła krew. Roland wyciągnął w jej kierunku palec, jakby to był pistolet, i syknął:

- Lepiej zostań, gdzie jesteś, babciu. - Po chwili ten sam palec wskazał Dauphine: -

To samo dotyczy ciebie, afrykańsko-amerykańska panno.

Roxanne spróbowała mu się wyrwać, Roland jednak błyskawicznie ścisnął palce jej dłoni tak mocno, że zawyła z bólu.

- Słodziutka, nie utrudniaj mi zadania, dobrze? Nikt nie zamierza zrobić ci żadnej krzywdy, zabierzemy cię jedynie na małą przejażdżkę, to wszystko.

- Nigdzie jej nie zabierzesz! - zawołała matka Roxanne, stanąwszy na nogi. - Albo ją puścisz, albo zawołam policję!

Roland posłał jej złośliwy uśmiech.

- Jeżeli tylko usłyszę syreny radiowozów, mamusko, twoja dziewczynka nigdy już nie ujrzy rodzinnego domu. Ani dziś, ani jutro, nigdy.

- Mamo - jęknęła Roxanne. - Rób to, co on każe. Proszę cię. Roland nie powiedział

już ani słowa, tylko pchnął Roxanne w kierunku tylnego wyjścia, do ogródka. Następnie wyprowadził ją na ulicę. Jeden z jego kumpli w szarych marynarkach otworzył

drzwiczki lincolna i Roxanne została wepchnięta do ciemnego, luksusowego wnętrza.

- Ty i twoi przyjaciele sprawiliście mi ogromny ból - powiedział Roland, siadając obok niej. - Teraz zobaczymy, co da się zrobić, żeby wyrównać bilans. Oko za oko, ból za ból. Czy wiesz, gdzie jest William Cicero?

Roxanne potrząsnęła przecząco głową. Roland dotknął dłonią jej uda i przysunął

usta do jej twarzy. Poczowała zapach czosnku i miętowej gumy do żucia.

- Jeżeli wiesz, gdzie jest William Cicero, moglibyśmy wszyscy zaoszczędzić sobie wiele czasu i wydatków, że nie wspomnę o pewnych nieprzyjemnościach, hmm...

fizycznych. Czy spotkały cię już kiedyś nieprzyjemności fizyczne? Bo mnie tak, strasznie dały mi się we znaki, kiedy służyłem w piechocie morskiej. Pewnego dnia podczas ćwiczeń spadłem z wysokości trzydziestu stóp w sam środek zwoju drutu kolczastego. Było mi potem bardzo ciężko. Opuściłem piechotę morską po tym wypadku. I postanowiłem, że jeżeli ból fizyczny musi istnieć na tym świecie, nigdy nie będę jego ofiarą, a co najwyżej dostarczycielem.

- Dokąd chcesz mnie zabrać? - zapytała Roxanne, gdy Lincoln skręcił na drogę numer 15 prowadzącą w kierunku Narcoossee.

- Jeżeli powiesz mi, ślicznotko, gdzie znajduje się William Cicero, to donikąd.

- Nie mam pojęcia. On odszedł od nas po tym, jak wyleciał w powietrze ten dom.

Nie powiedział, dokąd idzie. Oświadczył tylko, że już nigdy więcej go nie zobaczymy.

- Czy wiesz, że za wszelką cenę muszę znaleźć tego człowieka?

- Zabiłeś już wielu ludzi - powiedziała Roxanne, a w jej oczach zalśniły łzy. -

Zamordowałeś naszych przyjaciół! Dlaczego?

- Już ci powiedziałem. Muszę znaleźć tego faceta. Nic innego się nie liczy. Poza tym nie chciałem żadnej z tych śmierci, żadna nie nastąpiła z mojej winy. Nikt nie zostałby nawet draśnięty, gdyby nie upór Williama Cicero, by się przede mną ukrywać.

- I co potem? Też byś go pewnie zamordował!

- Miałabyś coś przeciwko?

Roxanne z przerażeniem popatrzyła na Rolanda. Spotkała już w życiu mężczyzn okrutnych i brutalnych, mężczyzn, którzy uwielbiali przysparzać bólu i cierpienia. A jednak nigdy nie miała do czynienia z kimś takim jak Roland, dla którego cudze cierpienia były czymś zupełnie nieistotnym, obojętnym. Zadrzała. W Lincolnie było chłodno, jednak to nie chłód spowodował jej dreszcz.

Autobus minął właśnie Palm Bay, zmierzając drogą numer 1 w kierunku Miami.

Był niemal zupełnie pusty. Jego jedynymi pasażerami było czworo studentów grających w pokera, hałaśliwa gromadka czarnoskórych dzieci jadących do Fort Pierce i wreszcie para starszych ludzi zajmujących miejsca zupełnie z tyłu i nie zwracających uwagi na nic i na nikogo poza sobą.

Mężczyzna był w białym wymiętym garniturze, a na głowie miał wygnieciony biały kapelusz. Kobieta miała sukienkę w kolorze liliowym. Na podłodze obok jej nóg stała niewielka torba podróżna.

- Mam nadzieję, że nie będziesz tego żałowała - mówił mężczyzna.

Kobieta położyła dłoń na jego ramieniu.

- Gwiazdy powiedziały mi, że takie jest moje przeznaczenie. Urodziłam się po to, by tak właśnie teraz postąpić.

- Wciąż nie rozumiem, jak mogłaś tak po prostu pozostawić za sobą całe dotychczasowe życie. Przyjaciół, siostrę, sklep...

- To ty sprawiłeś.

Doktor Lügner ciężko westchnął.

- Ja czułem się bardzo źle, kiedy musiałem pozostawić mój dom. Kochałem, uwielbiałem go. Wszystkie książki, które tam były, obrazy, wyniki badań i poszukiwań.

Teraz jestem za stary, żeby wszystko rozpocząć od nowa.

- Wcale nie jesteś za stary - powiedziała z przekonaniem Constance. - I nigdy nie będziesz. Popatrz tylko na mnie. Dopóki nie wplątałam się w tę historię, też uważałam się za starą, zapomnianą i przegraną osobę. A teraz myślę, że to dobry los sprowadził

Johna pewnego dnia na próg mojej galerii. To los przemówił do mnie: „Przez ostatnie czterdzieści lat wiodłaś dostatnie, bezpieczne i nudne życie. Teraz pora na coś niebezpiecznego. Masz szansę, by wreszcie naprawdę żyć”.

- Żyć? Chryste, przecież prawie zginęłaś!

- No właśnie. Człowiek nie wie, co to znaczy żyć, dopóki nie stanie twarzą w twarz ze śmiercią.

- Czy nie boisz się jednak, że w naszej sytuacji śmierć może nadejść bardzo szybko, właściwie w każdej chwili? Poza tym i beze mnie mogłabyś szybko umrzeć.

- Hej! - zaprotestowała Constance. - Nie jestem aż taka stara!

- Przepraszam - powiedział doktor Lügner i zaczął patrzeć przez okno autobusu.

Po chwili Constance odezwała się:

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, że jadę z tobą, co? Popatrzył na nią i po kilku sekundach potrząsnął przecząco głową.

- Wspaniale się czuję w twoim towarzystwie - przyznał. - Jesteś bystra, miła i sprawiasz, że często się śmieję. Poza tym stanowisz doskonały element mojej maskarady. Ludzie z DMWN będą przecież szukać samotnego starszego mężczyzny w wypożyczonym samochodzie, a nie pary starszków jadących autobusem do Miami.

- Chciałabym zapytać cię o coś jeszcze - powiedziała Constance. - Czy mogłabym się dowiedzieć, jak brzmi twoje nazwisko? Mam na myśli prawdziwe nazwisko.

Doktor Lügner przez chwilę milczał, po czym odparł:

- A wiesz, chyba je zapomniałem.

- Skoro jednak zamierzamy spędzić ze sobą jeszcze tyle czasu, byłoby mi miło, gdybym wiedziała, z kim mam do czynienia. Przecież nie będę cię nazywała „doktorem Lügnerem”, „Williamem Cicero”

albo „Charlesem Babsonem”, prawda?

- Hmm... Powinniśmy się zachowywać jak małżeństwo, mów więc do mnie

„najdroższy” albo „ty stary, głupi baranie”.

Położyła swoją dłoń na jego dłoni. Popatrzyła mu w oczy i nagle zrozumiała, że od bardzo dawna nikt w ten sposób go nie dotykał. Oboje milczeli, ale oczy doktora Lügnera jakby powilgotniały i głośno przełknął ślinę. Constance domyślała się jedynie, jak bardzo samotny musiał być do tej pory.

- Nazywam się... - zaczął i urwał.

- Rumpelstiltskin? - Constance próbowała żartować. Potrząsnął przecząco głową.

Było to dla niego tak bolesne, że w tej chwili nie potrafił się zdobyć na uśmiech.

- Nazywam się... - zaczął jeszcze raz; i po chwili powiedział jej.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sara stała przy stanowisku recepcyjnym, gdy automatyczne drzwi gmachu Broussard Guidance Systems otworzyły się bezszelestnie i do holu weszli John i Micky.

Ruszyli prosto ku niej. Obcasy Micky’ego głośno stukały o lśniąca, marmurową podłogę.

- Cześć, John, witamy w domu - powiedziała Sara dźwięcznym głosem, niemal wesoło.

- Dzień dobry, pani Lake - odparł John.

Barwa jej głosu nie zmyliła go. Lata pracy detektywa dały mu dość doświadczenia, by od razu wyczuł, jak bardzo Sara jest zdenerwowana. Tego dnia była w szarej jedwabnej bluzce, spiętej pod szyją perłową broszką. Na wierzch miała narzucony prosty, czarny kostium. Jej strój był stonowany, dyskretny, jakby dawał do zrozumienia, że jest zdyscyplinowaną, fachową pracownicą Broussarda. Strój ten poświadczał

zarazem strach Sary: ludzie obawiający się o swoją pracę ubierają się zwykle w taki sposób, by sprawić wrażenie, że należą do firmy tak samo jak biurka, sprzęty i tapeta na ścianach.

Sara miała również czarną spódnicę, bardzo krótką, a na nogach ciemne rajstopy.

W oczach Johna stanowiło to kolejny dowód jej zdenerwowania: jestem zdyscyplinowaną, dobrą pracownicą, ale wciąż pozostaję seksowną dziewczyną. Czy ktoś chciałby zwalniać z pracy elegancką, atrakcyjną kobietę?

- A ty zapewne nazywasz się Micky Frasier - odezwała się Sara i wyciągnęła do Micky’ego dłoń. - Witam u pana Broussarda. Zdaje się, że będziesz w stanie wyświadczyć nam bardzo cenną przysługę, prawda?

- W języku biznesu znaczy to, że wyciągniesz im dupy z ognia - zauważył John.

- Rozumiem, że wciąż nie wiesz, gdzie jest Cicero.

- Już mówiłem, pani Lake. Zniknął i dał całkowicie jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty więcej mnie widzieć. Ale przyprowadziłem Micky'ego. Mając jego, nie potrzebujesz już Williama Cicero. Poza tym nie sądzę, żeby Cicero był w stanie sprawić ci jakieś kłopoty. Po co ci on więc?

- Nadal go potrzebuję.

- To już twój problem. Sara popatrzyła na zegarek.

- Chodźmy na górę - zaproponowała. - Pan Broussard czeka na nas.

- Czy jest zadowolony z rozwiązania?

Sara zmierzyła Micky'ego uważnym spojrzeniem, po czym odparła:

- Jeszcze nie jest pewien. Wszystko zależy od tego, czy pan Frasier podłączy MiGR8 do pocisków Tomahawk, czy też nie.

Gdy wsiadali do windy, Micky uchwycił spojrzenie Johna i wesoło do niego mrugnął. Sara akurat poprawiała włosy i strzepywała z kostiumu niewidzialny pył.

Gene Broussard czekał już na nich w swoim gabinecie. Siedział przy końcu długiego stołu konferencyjnego ze szkła; szkło odbijało górną część jego sylwetki, przez co przypominał kartę do gry. Jedna jego głowa znajdowała się w normalnym położeniu, a druga odwrócona była o sto osiemdziesiąt stopni. Miał na sobie niebieską koszulę i marynarkę w kolorze, jakim zwykle maluje się wozy strażackie.

Nie wstał, kiedy Sara wprowadziła gości do środka. Siedział sztywno wyprostowany i przez długą chwilę wpatrywał się w Micky'ego nieodgadnionym wzrokiem.

- Oto Micky Frasier - przedstawiła go Sara. - Właśnie przyjechał z St Cloud.

- Jesteś protegowanym Williama Cicero? - zapytał Gene Broussard.

- Niezupełnie protegowanym, proszę pana - odparł Micky. - Spotkaliśmy się przypadkowo kilka dni temu. Jednak zrobił dla mnie wiele. Poprawił funkcjonowanie mojej pamięci, zdolność rozumienia i rozumowania, no i oczywiście pokazał mi, co należy zrobić, by zaczął funkcjonować system naprowadzania MiGR8.

John odchrząknął. Wcześniej już ostrzegł Micky'ego, by nie wspominał zbyt wiele o swoich nowo nabytych talentach. Po zrealizowaniu kontraktu z Broussardem zamierzał bowiem porozmawiać z Mickym o wspólnym wprowadzeniu na rynek synaptyny. Nie chciał, aby ktokolwiek przedwcześnie dowiedział się o jej istnieniu, a zwłaszcza żeby nie dowiedział się o niej agresywny biznesmen, taki jak Gene Broussard. Obserwował już w swym życiu boje o przepisy na ciasteczka truskawkowe,

podczas których padały nawet trupy. Jeden Bóg mógł wiedzieć, co by się działo, gdyby jakaś międzynarodowa korporacja farmaceutyczna dowiedziała się o istnieniu synaptyny, do jakich środków by się uciekła, żeby wejść w posiadanie technologii jej produkcji.

- Co robiłeś, zanim spotkałeś Williama Cicero? - Gene zapytał Micky'ego.

Chłopak skrzywił się.

- Nic nadzwyczajnego - odparł. - Próbowałem założyć zespół rockowy, a w ciągu dnia zajmowałem się hmm... depasteryzacją.

- Depasteryzacją? Co to takiego?

- Na przykład zmywanie talerzy we włoskiej restauracji. Depasteryzacją, czyli oczyszczanie talerzy z pasty, makaronu.

- Czy to ma być jakiś żart?

- Nie, panie Broussard, to nie jest żaden żart. - John wystąpił krok do przodu. -

Micky, zanim spotkał Williama Cicero, zajmował się prostymi fizycznymi pracami, ale już wtedy dysponował umysłem zdolnym pojąć funkcjonowanie systemu MiGR8. W

pewnym sensie można by go nazwać wybrykiem natury. William Cicero rozpoznał jego zdolności, udzielił mu kilku prostych rad oraz wskazówek i oto ma go pan przed sobą.

Gene wreszcie wstał i powolnym krokiem obszedł stół. Następnie zbliżył się do Micky'ego i spojrzał mu prosto w oczy. Wydał przy tym wargi jak Mussolini.

- Nie sprawiasz wrażenia faceta, który zna się na systemach naprowadzania.

- He?

- Co to znaczy „he”?

- Zdziwił mnie pan. Uważa pan, że ja chcę wyglądać jak facet, który się na tym zna? A po co? Staram się pozować na gwiazdę rocka. Poza tym jakiego wrażenia się pan spodziewa? Przecież nie mogę być podobny do nikogo innego z tej branży, bo znam się na rzeczach, o których nikt poza mną nie ma pojęcia.

- Co to ma znaczyć?

- To, że MiGR8 funkcjonuje inaczej niż jakikolwiek system naprowadzania opracowany w przeszłości. To jest urządzenie prawie że organiczne, rozumie pan? Ono dysponuje zmysłami, dzięki którym odnajduje cel. Technologicznie rzecz ujmując, różnica pomiędzy MiGR8 a wszelkimi innymi systemami naprowadzania jest taka, jak pomiędzy pierwszą maszyną do pisania Remingtona a współczesnym składem offsetowym.

- Wyjaśnij mi więc dokładnie, jak to funkcjonuje.

Micky potrząsnął odmownie głową, tak jak wcześniej poinstruował go John.

- Przykro mi, panie Broussard. Przybyłem tutaj, żeby podłączyć system MiGR8 i spowodować, że pańskie pociski zostaną w porę przetestowane i osiągną założone cele.

W tej chwili mogę zrobić dla pana tylko tyle.

Gene zaczął nerwowo przemierzać gabinet. Na chwilę zatrzymał się przy oknie, by spojrzeć na autostradę A1 i rozpościerający się za nią szaroniebieski ocean.

- Nie do wiary - westchnął. - Dysponuję wartym miliard dolarów systemem naprowadzania na cel pocisków międzykontynentalnych i jedyną osobą, która potrafi ten system uruchomić, okazuje się pomywacz pragnący zostać gwiazdą rocka. Saro, czy właśnie taka jest rzeczywistość, czy może sobie to wszystko wymyśliłem?

- Nasi technicy będą z nim współpracować - zauważyła Sara. - Nauczą się przy nim wszystkiego.

- Płonne nadzieje - powiedział Micky. Poklepał się po czole. - Wszystko, co potrzeba do podłączenia MiGR8, jest tutaj. Geomagnetyczne bodźce naprowadzające, czujniki rozpoznające cel, wszystko jest w mojej głowie i tylko w niej. Jeżeli macie przygotowane Tomahawki, a MiGR8 gotów jest do wdrożenia, uwinę się z tym sam w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. W środę pociski będzie można odpalić.

Gene potrząsnął głową. Uśmiechnął się lekko do Micky'ego i znów zaczął chodzić.

- Jeszcze nie potrafię w to uwierzyć, wiesz? Jeszcze nie potrafię uwierzyć. To chyba jakiś trick skonstruowany tylko po to, żeby John mógł zgarnąć swoje trzysta kawałków i posłać nas do wszystkich diabłów. Ale nie, to nie może być trick.

Gdybyście mieli jakieś nieczne plany, nie zjawiłby się przede mną facet, który sprawia wrażenie ostatniego niedołągi. A może jednak?.. Może to jest podwójny trick? Może skombinowaliście coś tak nieprawdopodobnie głupiego po to właśnie, żeby wyglądało zbyt idiotycznie, by wietrzyć podstęp?

- Nie poznaję pana, panie Broussard - odezwał się John. - Niech pan pomyśli tylko o Velmie, swojej sekretarce, którą wyciągnął pan z nocnego klubu. Wygląda na ostatnią kretynkę, a przecież nią nie jest, prawda? Dlaczego więc usiłuje pan sądzić Micky'ego jedynie po wyglądzie? Niech pan zada mu jakieś pytania, chętnie na nie odpowie.

Gene podszedł do Micky'ego i popatrzył mu prosto w oczy.

- Pytania? Jakiegokolwiek pytania?

- Oczywiście - odparł John. - Z matematyki, fizyki, wiedzy ogólnej, z dowolnego przedmiotu.

- Nie, nie, nie bądźmy tak dowolni. Ten chłopak zamierza pracować przy naszym systemie

naprowadzania. Chcę więc usłyszeć, co wie o innych naszych systemach naprowadzania. Na przykład o Nocnym Jastrzębiu. Micky, co wiesz o Nocnym Jastrzębiu?

Micky nawet się nie zawahał.

- Nocny Jastrząb potrafi kierować pociskami w kompletnej ciemności, we mgle albo w nieprzeniknionym dymie. Po raz pierwszy użyto go w walce podczas operacji

„Pustynna Burza”. Posłużył do niszczenia irackiej broni pancernej w warunkach burz piaskowych i wśród płonących szybów naftowych.

- Mów dalej. - Gene ponownie zasiadł za stołem.

- Nocny Jastrząb został przez was udoskonalony dla Hughes AGM-65 Maverick, czyli pocisku raketowego napędzanego przez silnik o symbolu Thiokol TX-481

pracujący na paliwie stałym. Szczegóły jego funkcjonowania są tajne, jednak mogę panu powiedzieć, w jaki sposób działa. Nocny Jastrząb wytwarza zespół promieni podczerwonych, które automatycznie dostosowują się do częstotliwości promieni charakteryzujących namierzony cel. Dysponuje korelatorem kierującym pocisk na cel.

Przetestowany został na dwustu sześćdziesięciu dwóch obiektach o rozmiarach czołgów i współczynnik celności wyniósł dziewięćdziesiąt sześć i dwie dziesiąte procent.

Gene popatrzył na Johna, a potem na Sarę. Żadne z nich się nie uśmiechało.

- To chyba nie jest żart, co? - zapytał. - Dziwacznie brzmi, ale na pewno nie śmiesznie.

- Czy chce pan, żebym opowiedział o pańskim systemie Talon? - spytał Micky. - A może o EM?

- Nie, nie, dziękuję, to mi w zupełności wystarczy, Micky. John wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. Gene popatrzył na nią zdziwionym wzrokiem.

- Co takiego?

- Zdaje się, że wykonałem zadanie, do którego mnie pan najął.

- Aha, chcesz dostać pieniądze. Otrzymasz je, kiedy MiGR8 zadziała.

- Żarty się pana trzymają. Nie będzie forsy, to nie będzie i MiGR8.

- Wynająłem cię, żebyś przyprowadził mi Williama Cicero. Taka była nasza umowa, prawda? Chcesz się ze mną sprzeczać? W sądzie nie będziesz miał przecież żadnych szans.

- No i co z tego? Jeżeli nie dostanę swojej forsy, Micky nie podłączy systemu naprowadzania. Bądźmy realistami, panie Broussard. W takim wypadku straci pan znacznie więcej niż ja.

Gene zacisnął zęby. Wstał, podszedł do jednego z obrazów Franza Kline i zatrzymał się przed nim w zamyśleniu.

- Powiem ci, co zrobię, John. Wypłacę ci teraz z dobrej woli sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Resztę dostaniesz w tej samej chwili, w której pociski osiągną wyznaczone cele. Jeżeli strzały będą precyzyjne, dostaniesz dwieście tysięcy. - Gene odwrócił się od Micky'ego. - Jak będzie, Micky? Utrafisz do celu?

- Jasne - odparł Micky, uśmiechając się.

Gene przypatrywał mu się kilkadziesiąt sekund. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, iż bardzo chce wierzyć, że Micky potrafi zainstalować MiGR8.

Przyswojenie sobie tej wiary sprawiało mu jednak ogromną trudność. W końcu powiedział:

- No dobrze, musimy spróbować. Użyję wszystkich swoich wpływów, żebyś jak najprędzej otrzymał prawo dostępu do materiałów o strategicznym znaczeniu dla narodowego bezpieczeństwa. Zadzwoń też do generała majora Broadmore'a z Taktycznego Dowództwa Sił Powietrznych USA i do admirała Wenninga z Yokosuki.

Powiem im, żeby w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin byli gotowi do testów. -

Urwał na moment, po czym podszedł do Johna i wycelował wskazujący palec prosto w jego nos. - Zgadzasz się na to tylko dlatego, John, że miałeś u mnie doskonałe rekomendacje, i to od nie byle kogo. Ale jeżeli twój przyjaciel Micky okaże się naciągaczem albo jeśli dojdę do wniosku, że to ty od początku do końca próbujesz mnie oszukać, uwierz mi, zaczniesz żałować, że nie siedziałeś przy stoliku razem z Kevinem i Jesusem, kiedy do nich strzelano. Bo miałbyś wtedy lekką, szybką śmierć.

- Jasne - odparł John. Popatrzył następnie na Sarę i rzekł: - Co byś powiedziała na wspólną kolację dzisiaj wieczorem? Pozwolę ci zapłacić. Chyba masz wobec mnie dług.

Gene przydzielił im niedaleko Lake Poinsett niewielki, uroczy domek. Miał ściany w kremowym kolorze, od frontu portyk z kilkoma filarami, a zwieńczony był

jaskrawoczerwonymi dachówkami. Otaczało go kilkanaście starych dębów. Dojechać do niego można było tylko z autostrady, specjalnym, krętym zjazdem. W odległości około stu metrów od murów rezydencja otoczona była wysokim płotem, w którym znajdowała się tylko jedna brama otwierana i zamykana elektronicznie. Nie mogło więc być tutaj mowy ani o niepożądanych gościach, ani o przypadkowych przechodniach.

Rezydencja należała do emerytowanego prezesa Normex Propellants, jednak właściciel spędzał letnie miesiące głównie na swoim rancho w Kolorado. Wilgotne i gorące powietrze środkowej Florydy źle wpływało na jego płuca.

W budynku zamieszkało dwóch ochroniarzy zatrudnionych przez Broussarda z zadaniem strzeżenia obiektu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dodatkowych dwóch ludzi miało strzec

Micky'ego. Bardzo przypominali Kevina i Jesusa; wszyscy okazali się albo byłymi policjantami, albo funkcjonariuszami policji wojskowej.

Niewątpliwie cechował ich profesjonalizm i perfekcja, lecz zarazem byli śmiertelnie nudni i z dużą przesadą podchodzili do swoich obowiązków. Co jakiś czas sprawdzali każdy kąt budynku, jakby tropili karaluchy, a gdy Micky musiał wyjechać, krótką drogę do samochodu musiał przebywać w ich towarzystwie, otoczony czymś w rodzaju żywej ściany, a w aucie nie pozwalali mu podnosić głowy ponad poziom szyb.

John otrzymał do dyspozycji dużą sypialnię z balkonem wychodzącym na ogród i jezioro. Powierzchnię jeziora przez cały czas marszczyła delikatna bryza znad Atlantyku; na fali unosiły się pelikany niczym małe, białe drewniane łodzie. W ogrodzie rosły czerwone i purpurowe kwiaty.

John wyszedł na balkon i po raz kolejny rozejrzał się dookoła. Ciężko westchnął.

Tak... W taki sposób zawsze chciał żyć. Bogato, wygodnie, w ciszy, wśród przyrody.

Powrócił do swojego pokoju. Ściany miały spokojny, szary kolor, na środku pomieszczenia stało wielkie łóżko. Zrobiono je z dębowych desek. John usiadł na jego skraju, a następnie padł na plecy. Teraz widział tylko sufit.

Leżał bez ruchu przez ponad pół godziny, aż wreszcie zapadł w drzemkę. Śnił mu się wybuch w domu Mingusa. Tym razem jednak eksplozja była bardzo cicha. Budynek w setkach kawałków uleciał wysoko ku niebu, jakby porwał go huragan.

Potem miał jeszcze jeden sen, o Jamiem. Słyszał, jak syn płacze za drzwiami, nie był jednak w stanie ich otworzyć i poznać przyczyny łez. Boże, on przecież nie płakał

od nocy, kiedy został postrzelony! John zapragnął natychmiast objąć go, przytulić, ale chyba ktoś celowo zamknął drzwi na klucz albo na zasuwę, ponieważ nie chciały ustąpić. Pukał, walił w nie, ale nic to nie pomagało. A Jamie wciąż płakał, płakał tak bardzo, jakby był najbardziej nieszczęśliwym i opuszczonym dzieckiem na planecie.

I wtedy ktoś dotknął policzka Johna. W jednej chwili sen się skończył i mężczyzna skoczył na równe nogi. W sypialni była Sara; na jej ustach błąkał się dziwny uśmiech.

- Dobrze się czujesz? - zapytała. - Pukałam, ale nie odpowiadałeś.

John z powrotem padł na łóżko i podparł się na łokciu. Był spocony i czuł niesmak w ustach.

- Wszystko w porządku - odparł. - Czuję się doskonale, ale chyba jestem przemęczony. Przepraszam. Która godzina?

- Piętnaście po szóstej. Pozwoliłabym ci spać, ale coś się stało.

- Och, nie przejmuj się. Zawsze coś się dzieje, kiedy już mam nadzieję, że złapię trochę snu.

- Odebraliśmy telefon - mówiła Sara. - To dotyczy Micky'ego, ale pomyślałam, że najlepiej będzie, jeżeli najpierw porozmawiam z tobą. Nie chcę go niepokoić, bo jest jeszcze nadzieja, że ten telefon to tylko głupi żart.

John znów wstał i schował koszulę w spodnie. Wyszedł na balkon i stanął przy poręczy, pozwalając, aby orzeźwiła go chłodna wieczorna bryza. Po chwili Sara stanęła za nim. Pelikany już odleciały, a jezioro miało kolor zachodzącego słońca i budziło wspomnienia z dzieciństwa. Sara położyła dłoń na ramieniu Johna, ale zaraz ją cofnęła, gdyż mężczyzna był mokry, strasznie spocony.

- Czy Micky ma dziewczynę o imieniu Roxanne? - zapytała.

- Tak - odparł John i odwrócił się. - Dlaczego pytasz? Chyba nic jej się nie stało?

- Przykro mi, John. Mieliśmy telefon od kogoś, kto chciał wiedzieć, dokąd udał się William Cicero. Ten ktoś porwał Roxanne i nie zamierza jej uwolnić, dopóki mu tego nie powiemy.

- Na miłość boską! Kto to taki? Sara potrząsnęła głową.

- Powiedział tylko, że skontaktuje się z nami jutro o siódmej trzydzieści nad ranem.

Jeżeli nie powiemy mu, gdzie jest William Cicero, nigdy nie znajdziemy Roxanne.

- Czy to był mężczyzna? - Tak.

- Dokąd zadzwonił?

- Do mnie, do biura, krótko po piątej. Natychmiast po tej rozmowie wsiadłam w samochód i przyjechałam do ciebie.

- Skąd ten facet wiedział, że znasz Micky'ego?

- Nie powiedział. Może zgadywał. W centrali poprosił o połączenie z Mickym Frasierem.

- Może to blef? Może Roxanne wcale nie została porwana?

- Właśnie po to, żeby wyjaśnić wątpliwości, przyjechałam do ciebie. Nie mam możliwości sprawdzenia informacji tego człowieka. Muszę jednak powiedzieć, że jego głos brzmiał śmiertelnie poważnie.

- To szaleństwo, czyste szaleństwo. Przecież Micky nie ma pojęcia, gdzie jest William Cicero. Ja zresztą też tego nie wiem. Jediną osobą, która może udzielić informacji w tej sprawie, jest doktor Lügner, a ponieważ on i William Cicero to ta sama osoba, nie możemy spodziewać się z jego strony pomocy.

- Jesteś tego pewien?

- Jasne, że jestem pewien. Na miłość boską, Saro, wiem, że Micky nie sprawia wrażenia

jajogłowego, ale on naprawdę połączy MiGR8 bez żadnego problemu!

Właściwie dlaczego wciąż tak ci zależy na odnalezieniu Williama Cicero?

I nagle w jednej chwili wszystkie cząsteczki układanki trafiły na swoje miejsce.

Johna olśniło. Przyłożył dłoń do ust i popatrzył na Sarę zimno, bez słowa. Podchwyciła jego spojrzenie i popatrzyła mu w oczy ze wzrastającym niepokojem.

- Co się stało? - zapytała. - Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz?

Doktor Lügner ostrzegł go przecież: jestem pewien, że w Broussard Guidance Systems pracuje ukryty informator tych, którzy tak usilnie mnie poszukują. Jeżeli tam wrócę, zginę w ciągu godziny.

Być może tajemniczy porywacz coś zgadywał, ale kto wiedział na pewno, że John i Micky zgłosili się tego popołudnia u Broussarda? Gene, Sara i nikt więcej. Ochroniarze nie byli informowani, z kim mają do czynienia.

Kto wiedział, że John miał spotkać Kevina i Jesusa w restauracji „Blue Pelican”?

Kevin, Jesus i Sara. Kto wiedział, jakim jeździ samochodem, gdy mężczyźni w szarych marynarkach krążyli po parkingu, a potem ścigali go na plaży i na molo? Sara i sekretarz Sary, który załatwiał wypożyczenie samochodu.

I kto teraz namawiał go, by wyjawiał, gdzie znajduje się doktor Lügner, grożąc, że Roxanne stanie się krzywdą?

Dowody nie były jednoznaczne. W końcu można też było podejrzewać sekretarza Sary, telefonistkę, kogoś z komórki bezpieczeństwa Broussarda. Mogło chodzić o typowy sabotaż niezadowolonego pracownika. A jednak John czuł, że za tym wszystkim stoi Sara. Była skrajnie przerażona, spanikowana, a panika ma swój charakterystyczny zapach, jak ozon w powietrzu w czasie burzy albo lufa magnum, z którego właśnie wystrzelono pocisk, albo kobieta długo korzystająca z kąpieli słonecznych. Nagle niepewność i strach Sary stały się zrozumiałe. Przecież powinna być zadowolona, szczęśliwa niemal, gdy John pojawił się z substytutem Williama Cicero. A nie była.

W tym momencie dla Johna stało się oczywiste, że sprawa zainstalowania MiGR8

nie jest w tej grze celem Sary. Najważniejsze było dla niej znalezienie doktora Lügnera.

Wszedł do pokoju, otworzył torbę podróżną i wyciągnął czystą koszulę. Rozebrał

się do pasa. Był lekko opalony, muskularny, jednak troszeczkę zbyt chudy, jak na swój wzrost. Z przyjemnością spędziłby miesiąc z kobietą, która by go karmiła stekami i słodyczami, żeby nabrał ciała.

- Wiesz, dlaczego tak dziwnie patrzę? - zapytał. - Bo nagle coś zrozumiałem, coś szalonego.

- Nie wiem, o czym mówisz. Czyżbyś sugerował, że ja...

- Tak, Saro, ty. Bo któżby inny? Mówię o Williamie Cicero. Albo o doktorze Lügnerze, jak wolisz. Ten człowiek używa setek nazwisk. Potrzebujesz go, prawda? Ale nie potrzebujesz go dla Broussard Guidance Systems. Zaczęłaś pracować dla Gene Broussarda tylko dlatego, że jego ludzie usilnie poszukiwali doktora Lügnera, z desperacją, gorączkowo, w wypadku bowiem niezalezienia go kompania Broussard Guidance Systems zagrożona była totalnym krachem.

- Postradałaś zmysły - powiedziała Sara, rozpoczęła jednak nerwową wędrówkę po pokoju. Gdyby myślała to, co mówiła, wyszłaby teraz i trzasnęła za sobą drzwiami. A jednak nie. Po raz kolejny zdradzając zdenerwowanie, desperację, udowodniła Johnowi, że to on ma rację. Mężczyzna był zdziwiony łatwością, z jaką Sara wprowadza się w ten stan, jednak John jeszcze nigdy w życiu nie spotkał Titana Blighta.

- Naprawdę ją mają?- zapytał John.

- Roxanne? Tak, tak. Uważam, że ją mają.

- Saro, nie obchodzi mnie, co uważasz! Mają ją czy nie? - Przestań! Przesłuchujesz mnie, jakbym to ja ją porwała!

Co właściwie chcesz zasugerować, panie Huntley? Że jestem czyimś ukrytym agentem u Broussarda? Że jestem szpiegiem? John spokojnie rozkładał czystą koszulę.

- Czy kiedykolwiek słyszała pani o organizacji nazywającej się DMWN, pani Lake?

Sara usiadła na skraju łóżka. Jej twarz była tak szara, jak tapeta na ścianach.

- O co ci teraz chodzi? - zapytała.

- Słyszałaś o DMWN czy nie?

- Tak, słyszałam. Jednak niewiele, więc nie ma powodu, byś mnie na jej temat przesłuchiwał.

- Doktor Lügner uważa, że to DMWN zamierza go zamordować, chociaż nie zdradził mi, co jest tego przyczyną. Ludzie Broussarda chcieli go żywego, prawda?

Kevin i Jesus. Mieli go tu przywieźć, żeby zamontował MiGR8. Ale ludzie z DMWN

namierzili ich i kiedy Kevin i Jesus trafili na wyraźny ślad doktora, załatwili ich. Nie przewidzieli jednego: że doktor Lügner okaże się od nich sprytniejszy i nawieje im. -

John umilkł na chwilę, po czym odezwał się znowu: - Tylko szczęśliwym zrządzeniem losu nie zabili również mnie. Myślę, że to ty przygotowałaś tę pułapkę.

Sara popatrzyła na Johna żalonym wzrokiem.

- Wcale nie chciałam, żebyś się w to mieszał - powiedziała. - To wszystko dlatego, że Gene nalegał.

John podszedł do niej i mówił dalej, wściekły:

- Jak już mówiłem, nie wiem, dlaczego ludzie z DMWN tak bardzo chcą zlikwidować doktora Lügnera. Może ty wiesz.

Powiem ci jednak jedno: również ja się tego dowiem. I będę tych ludzi ścigał, kimkolwiek są, i dla własnej satysfakcji sprawię, że zostaną osądzeni za zamordowanie Kevina, Jesusa, faceta o imieniu Guido, faceta o imieniu Mario, młodego Mingusa i jego matki.

- Okazałbyś się mądrzejszy, znacznie mądrzejszy, gdybyś teraz odszedł i o wszystkim zapomniał.

- Mądrość nigdy nie była moją najsilniejszą stroną.

- John, oni zrobią absolutnie wszystko, by unicestwić Williama Cicero. Jak myślisz, dlaczego ponieśli ogromne koszty, umieszczając mnie u Broussarda? A nie było to łatwe, uwierz mi. Gdyby Gene nie był takim zagorzałym dobroczyńcą wszelkich striptizerek i kurew, prawdopodobnie nie miałabym na tę robotę żadnej szansy.

- Byłaś striptizerką?

- Nie, i nie byłam też kurwą, przynajmniej w takim znaczeniu tego słowa, w jakim ty je rozumiesz. Powiedzmy lepiej, że byłam po szyję pogrążona w gównie; ktoś znalazł

mnie, wy dostał z niego i dał mi ostatnią szansę.

- Ktoś z DMWN? Niby dlaczego?

- To nie był ktoś, tylko dyrektor DMWN, Titan Blight.

- Titan Blight? Coś mi to mówi, ale nie potrafię teraz skojarzyć...

- A powinieneś. To facet, który od dawna głośno i mądrze wypowiada się na temat konieczności utworzenia rządu światowego. Kilka lat temu ogłoszony został przez

„Time” człowiekiem roku.

- Ach tak. - John pokiwał głową. - Czytałem o nim. Zdaje się, że finansuje teraz jakiegoś kandydata na prezydenta. Jak nazywa się ten facet?

- Baxter Patrick. Titan Blight wydał już na niego przynajmniej trzydzieści pięć milionów dolarów.

- I to właśnie Titanowi Blightowi zależy na śmierci Williama Cicero?

Sara opuściła głowę i milczała. John odczekał chwilę i wreszcie położył palec pod jej brodę. Podniósł dziewczynie głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Czy to on więzi teraz Roxanne? - zapytał.

- Tak - wyszeptwała.

- A więc zgłosimy ten fakt policji.

- Nie. Jeżeli Titan poweźmie chociażby podejrzenie, że ktoś chce w to wmieszać policję, Roxanne zniknie i nikt nigdy już jej nie znajdzie. A Titan i tak pozostanie bezkarny.

- Nie mów mi, że jest aż tak wpływowo.

- Wpływowo? W Massachusetts jest prawie bogiem. John, jeżeli masz cień podejrzenia, gdzie może teraz przebywa William Cicero, powinieneś mi powiedzieć.

Jeżeli nie chcesz zrobić tego dla mnie, ratuj przynajmniej Roxanne.

- Ile razy mam ci powtarzać, że po prostu nie wiem, gdzie on jest. I Micky też nie wie. Poza tym nawet gdybym wiedział, nie sądzisz, że stałbym przed ogromnym moralnym dylematem? Nie powiedziałbym ci i zginęłaby Roxanne. Powiedziałbym ci i zginąłby doktor Lügner. Musiałbym decydować. Nie wiem, czy potrafiłbym spokojnie żyć po dokonaniu takiego wyboru.

Sara ciężko westchnęła.

- Wiesz, co bym zrobiła na twoim miejscu? Najpierw bym go znalazła, a potem zastanawiałabym się nad moralnymi dylematami.

John odsunął się od niej. Sam już nie wiedział, co myśleć o tej dziewczynie.

Nasłała na niego morderców, współpracowała z najbardziej okrutnymi ludźmi, o jakich kiedykolwiek słyszał. Ale zarazem oczywiste były jej strach i bezradność. John już wielokrotnie spotkał się z podobnymi słabościami ludzi, którzy pracowali dla innych, potężnych i bezwzględnych. Bywali czasami mądrzy, utalentowani, a jednak przed obliczami swych panów i władców miękli i słabli.

- Co teraz zamierzasz? - zapytał.

- Nie wiem. Jeżeli William Cicero nie zjawi się ostatecznie u Broussarda, zostaną wysłana gdzieś indziej, żeby go szukać. A może nie będę miała tego szczęścia? Titan nie jest osobnikiem, który wybacza.

- Czy William Cicero dysponuje czymś przeciwko Titanowi Blightowi? To znaczy czy wie coś, co Blight wolałby, żeby zachować w tajemnicy?

- Jeżeli nawet tak jest, Titan nigdy o tym ze mną nie rozmawiał.

- Jak uważasz, gdzie może teraz być Roxanne?

- Wiem, gdzie ona jest. W Twisted River. To rezydencja Titana na przedmieściach Bostonu. Nie ma sensu jednak tam jechać. Posiadłość zabezpieczona jest tak, jak jeszcze nigdy w życiu nie widziałeś. Cóż, w końcu Titan ma na ścianach sześć dzieł Picassa.

- Jakim cudem jest aż tak bogaty?

- Wcale nie urodził się jako bogacz. Jednak po drugiej wojnie światowej rząd zlecił

mu zadanie skonfiskowania naukowych i technicznych patentów Niemców i Japończyków. Większość z nich przejął rząd, tak jak planowano. Ale zarazem dziesiątki bardzo lukratywnych dziwnym trafem zginęły. Czy słyszałeś o aspirynie Feislera?

- Należy do niego? Jezu!

- Tak samo jak nutrinol i slumberex. Przejął na swe wyłączne użytkowanie połowę nazistowskiego przemysłu farmaceutycznego. Nie wspomnę już o kilku patentach na paliwo rakietowe, w tym jego kauczukowe substytuty. Już w 1952 roku Titan był

multimilionerem. Bóg jeden raczy wiedzieć, ile pieniędzy ma dzisiaj.

- Wiesz co? - zapytał John, nagle zamyślony. - Chyba masz rację, że w tej sytuacji trzeba przede wszystkim znaleźć Williama Cicero. Ale z całą pewnością nie uchwycę go nigdzie przed jutrzejszym popołudniem. Jak myślisz, czy potrafiłabyś przekonać Titana Blighta, żeby nie krzywdził Roxanne przez jakiś czas?

- Nie wiem - odparła Sara. - Mogę spróbować, jeżeli wierzysz, że możesz go znaleźć.

- Odnalazłem Dietera Waxmana, pamiętasz?

- A co z twoim moralnym dylematem?

- Tak jak już zasugerowałam, będę się nad tym zastanawiał trochę później.

- Uważasz, że możesz mi ufać? W końcu niemal sprowadziłam na ciebie śmierć, prawda?

- Zadałaś dziwne pytanie. Oczywiście, że ci ufam. A jednak jestem przekonany, iż potrafię znaleźć Williama Cicero. Jeżeli zabierze się za to Titan Blight albo którykolwiek z tych tępaków w marynarkach, nie dam im żadnej szansy. W związku z tym dopóty, dopóki desperacko będziesz go poszukiwała, nie muszę się martwić kwestią zaufania do ciebie, prawda.

Sara wstała i poprawiła na sobie sukienkę? - W porządku. Zadzwońię do Titana i powiem mu, co zamierzasz.

- Powiedz mu coś jeszcze. Jeżeli chociażby palcem tknie Roxanne, będzie moim wrogiem i żaden ochroniarz mu nie pomoże, kiedy będę roztrzaskiwał dzieła Picassa na jego głowie.

Gdy John wszedł do pokoju Micky'ego, ten spał na łóżku na wznak z rozrzuconymi rękami i nogami,

jakby właśnie spadł na to miejsce z ogromnej wysokości. Usta miał szeroko otwarte. Przez zaśnięciem nie zdążył nawet zdjąć butów.

John usiadł koło niego i głośno odchrząknął. Promienie słoneczne tańczyły po pomieszczeniu, przypominając o sobie przed całkowitym zapadnięciem zmroku. Żółtym blaskiem oświetlały właśnie olejne dzieło zatytułowane Jezioro Okechobee w środku lata.

- Micky - powiedział i potrząsnął jego ramieniem. - Micky - powtórzył i szarpnął jeszcze raz.

W końcu Micky otworzył oczy. - Ach... to ty. Miałem sen.

- Posłuchaj tylko... Przepraszam, że cię obudziłem, ale wydarzyło się coś bardzo ważnego.

- Ważnego? Masz bardzo poważną minę.

- Chodzi o Roxanne. Ci faceci w marynarkach zabrali ją... Porwali ją.

Micky natychmiast usiadł.

- Co? Czy zrobili jej jakąś krzywdę?

- Nie, nie zrobili. Przynajmniej tak zostałem poinformowany. Chcą jednak wiedzieć, gdzie jest doktor Lügner. I nie uwolnią Roxanne, dopóki się nie dowiedzą.

Micky zsunął nogi z łóżka.

- A więc wszystko jasne! - zawołał. - Mogą sobie wystrzelić te swoje rakiety, gdzie słońce nie dochodzi. Nie chcę mieć z tym więcej nic wspólnego. Jestem jedyną osobą, która potrafi podłączyć do nich MiGR8 i nie ma takiej siły na świecie, która by mnie do tego zmusiła, dopóki Roxanne nie zostanie uwolniona.

- Micky, uspokój się. Ci ludzie nie mają nic wspólnego z Broussardem.

John streścił Micky'emu przebieg rozmowy z Sarą. Opowiedział mu zarówno o Titanie Blighcie, jak i o DMWN.

- Namówię Titana Blighta, żeby nie robił nic złego Roxanne, dopóki nie znajdę doktora Lügnera. Potem zobaczymy.

- A może policja...?

- Zapomnij o policji. Titan Blight odpowiada wyłącznie przed Titanem Blightem.

Ten facet jest miliarderem. Ma sześć obrazów Picassa!

- Nie obchodzi mnie to. I nie obchodzi mnie, ile ma dziur w tyłku. Chcę odzyskać Roxanne.

- Będziesz ją miał. Obiecuję ci.

- Jak możesz mi coś takiego obiecywać, John? Najpierw musisz znaleźć doktora Lügnera. A co dalej? Przekażesz go Titanowi Blightowi, żeby ten drań zastrzelił go z zimną krwią i wrzucił do Charles River?

- Jeszcze nie wiem, co dalej, przynajmniej nie wiem teraz. W tej chwili jednak najważniejsze jest zrozumienie, w jakiej grze bierzemy udział. Nie będziemy mieli żadnego wpływu na postępowanie Titana Blighta, dopóki nie zrozumiemy, dlaczego tak bardzo zależy mu na śmierci doktora Lügnera.

- A co zyskamy, nawet jeśli się dowiemy? Doktor Lügner przecież wie, o co chodzi, i nie korzysta z tego. Jeżeli Titan Blight uwikłany jest w jakiś skandal, dlaczego Lügner nie zawiadamia o nim mediów? Nawet nam nie szepnął słówka, prawda?

- Intuicja podpowiada mi, że nie nagłośnił sprawy tylko z jednego powodu.

- Ponieważ chodzi o coś, co i jego ukazuje w nie najkorzystniejszym świetle, prawda?

- Właśnie. Ta synaptyna czyni cuda, Micky. Ile porcji musisz jeszcze zażyć?

- Trzy bez dzisiejszej. Potem sam wyprodukuję synaptynę.

- Kiedy to wszystko się skończy, mam nadzieję, że i dla mnie przygotujesz jakąś porcję.

Micky niechętnie potrząsnął głową.

- Jeszcze się zastanowię. I ty też się zastanów. Teraz przynajmniej nie budzisz się w nocy z teorią chaosu w głowie.

Zapadła cisza. Micky rozmyślał o Roxanne, a John o Sarze. Promienie słońca powoli gasły.

- A więc co robimy? - zapytał w końcu Micky.

- Musimy pokazać wszystkim dookoła, że gramy zgodnie z regułami.

- To znaczy?

- To znaczy, że ja zacznę poszukiwania doktora Lügnera, a ty będziesz pracował

przy tym MiGR8. Spróbuj nie martwić się za bardzo sytuacją Roxanne. Załatwię z Sarą, żeby Titan Blight zgodził się poczekać na doktora kilka dni. Jutro o świcie przystąpię do śledztwa.

- A jeżeli doktor Lügner wyjechał do Peru? Albo Tierra del Fuego? Albo do Anchorage na Alasce? Jak go wtedy znajdziesz?

John potrząsnął głową.

- Z pewnością jest gdzieś niedaleko. Pomyśl tylko, w końcu to ty jesteś geniuszem.

Podjął ogromne ryzyko, żeby nauczyć cię, jak podłączyć MiGR8, a to oznacza, iż wciąż jest zainteresowany tym, by system zadziałał. Jasne, że mógł polecieć na jakąś wyspę na zachodnim Pacyfiku; w końcu któryś z pocisków ma lądować niedaleko Japonii.

Myślmy jednak praktycznie. Jeżeli nasz ptaszek pofrunął do Japonii, musiał przejść przez kontrolę paszportową i celną, a to oznaczałoby zwiększone ryzyko. Moim zdaniem pozostał w kraju, żeby obserwować lot pocisku, który zostanie wystrzelony z bazy sił powietrznych na przylądku Canaveral.
- John umilkł na chwilę i poklepał

Micky'ego po ramieniu. - Nie załamuj się - powiedział po chwili. - Teraz jest przed nami tylko jedna droga w tej grze. Obaj stanowimy w niej pionki, ale dwa pionki to już spora siła.

- Może masz rację? Zjadłbym coś.

- Ja chyba też. Poproszę naszych ochroniarzy, żeby nam przynieśli jakiś posiłek.

Co sobie życzysz?

- Tak naprawdę to zjadłbym fettine di manzo farcite, tak jak je przyrządzał Mario, z mnóstwem serafontina i prosciutto. Ale... myślę, że cheesburger z pewnością mi wystarczy.

- W porządku. Coś jeszcze?

- Czy pozwolą nam na rozmowę telefoniczną? Może zadzwoniłbyś do Rhetta i zapytał go, jak się czuje Orbison? Sam boję się takiej rozmowy; nie wiem, jak zniosłbym złe wiadomości.

John znalazł numer w książce telefonicznej i zadzwonił. Musiał czekać niemal minutę, zanim podniesiono słuchawkę.

- Rhett?

- A kto mówi? Darlene, ścis� ten cholerny telewizor, dobrze?

- Nazywam się John Huntley. Jestem przyjacielem pańskiego sąsiada, Micky'ego Frasiera. Micky przebywa akurat w Cocoa Beach, jednak bardzo się niepokoi o Orbisona.

- Och, chodzi o psa! Było z nim bardzo źle. Naprawdę źle. W końcu musiałem zadzwonić po weterynarza i zabrali go do szpitala dla zwierząt. Mam nadzieję, że Micky wróci. Musiałem zapłacić rachunki szpitalne własną kartą kredytową. Z powodu tego psa wydałem mnóstwo forsy.

- Jasne, że Micky wróci - powiedział John i uniesionym do góry kciukiem dał

Micky'emu znak, że z Orbisonem wszystko w porządku. - Czy może mi pan powiedzieć, w jakim

szpitalu przebywa Orbison?

- Tak. W St Francis Ass-Easy Animal Clinic, Orange Blossom Trail numer 3339.

- Dziękuję.

John odłożył słuchawkę.

- Orbison ma fachową opiekę. Chcesz, żebym również tam zadzwonił?

Micky popatrzył na niego, jednak nic nie odpowiedział. Nie był w stanie mówić. W jego oczach błyszczały łzy. John wiedział, o czym Micky rozmyśla i dlaczego milczy.

Roland czekał na Sarę w barze przy plaży. Nie sprawiał wrażenia zniecierpliwionego, mimo to od czasu do czasu dyskretnie spoglądał na zegarek. Popijał

napój przez słomkę, a jeżeli coś wzbudzało jego szczególne zainteresowanie, to pojawiające się co chwilę w zasięgu jego wzroku dziewczyny w skąpych kostiumach kąpielowych.

Miał na sobie pastelowo błękitną marynarkę i czerwone spodnie. Po wybuchu w domu Mingusa ostatni ciemny garnitur musiał oddać do pralni. Czuł się niezręcznie w nietypowym dla siebie stroju, niczym człowiek, który przez pomyłkę przyszedł do biura w domowych bamboszach. Miał wyraźnie widoczne blizny nad brwią i na nosie, z którego podmuch wywołany eksplozją zrzucił ciemne okulary.

Z całą pewnością usłyszał stukot obcasów Sary na parkiecie, nie odwrócił się jednak. Dotarłszy do jego stolika, dziewczyna usiadła w wiklinowym fotelu naprzeciwko Rolanda i założyła nogę na nogę.

- No i...? - zapytał Roland.

- Napiłabym się.

Roland strzelił palcami, ale barman zignorował ten gest. Powtórzył go, jednak i tym razem niczego nie osiągnął. W końcu musiał wstać i przy barze zamówić drinka dla Sary.

- Syf - warknął. - Powinni zamienić cały ten pieprzony hotel na garaż.

Sara natychmiast przystąpiła do rzeczy.

- Rozmawiałam z Johnem Huntleyem i Mickym Frasierem, razem i osobno. Jestem w stu procentach przekonana, że nie wiedzą, gdzie jest William Cicero.

- Jestem rozczarowany. Cóż, najbardziej straci na tym młoda Roxanne. Uroczą dziewczynką. Ma miłe cycki. Szkoda.

- John Huntley nie życzy sobie, żeby cokolwiek się jej stało. Nie ma cierpieć.

- A kto mówi o cierpieniu? Niczego nie poczuje.

- Czy ty niczego nie rozumiesz? John Huntley to prawdziwy talent w lokalizowaniu osób, które nie chcą być zlokalizowane. Jest gotów znaleźć dla nas Williama Cicero, jeżeli nie skrzywdzimy Roxanne. Posłuchaj, doskonale mi wiadomo, że Titan polecił ci odnalezienie Williama Cicero i natychmiastowe załatwienie go. Nikt nie powinien z nim rozmawiać. Ale jakoś nie znalazłeś faceta i nie masz najmniejszej szansy wykonać drugiej części rozkazu Titana. Dlatego... Roland wbił w jej pierś palec wskazujący.

- I ty masz czelność odzywać się do mnie w ten sposób? Do jasnej cholery, kim ty jesteś? Pojemnikiem na spermę, dla wygody chodzącym bez majtek!

- A ty, kim ty jesteś? Facetem na pasku Titana, przeznaczonym do mokrej roboty, i to nieudolnym!

Roland zacisnął usta, z trudem panując nad sobą. Pomyślał o swoim magnum kaliber 44, tkwiącym pod pachą. W tej chwili gotów był wyciągnąć je i odstrzelić tej dziwce głowę. W innych okolicznościach nawet by się nie zawahał. Pomyślał o jej zgrabnym, prowokującym ciele pozbawionym głowy i myśl ta sprawiła mu przyjemność. Krew tryskałaby daleko, szerokim strumieniem. Ale niestety pan Blight lubił tę dziwkę, i to nawet bardziej, niż ona sobie z tego zdawała sprawę. Dlatego Roland nie ośmielał się jej tknąć, tak samo jak nie ośmieliłby się wydrapać swych inicjałów na lśniącym lakierze ferrari pana Blighta. Titan nigdy nie używał tego samochodu, ale to przecież nie miało znaczenia.

- Nie jestem nieudolny, potrafię sam znaleźć tego Williama Cicero - powiedział

Roland. - Wiesz, że taka robota to moja specjalność. Urodziłem się z nosem przeznaczonym do tego fachu. - Zapomniał o głębokiej ranie na swoim nosie i nie zrozumiał, dlaczego Sara się w tym momencie uśmiechnęła.

- Roland, jesteś dobry w tym, co robisz, i Titan zdaje sobie z tego sprawę. Ale John Huntley nie jest po prostu dobry. Jest najlepszy.

- Nic już z tego nie rozumiem. - Roland westchnął. - Najpierw chciałaś, żeby go załatwić, a teraz wychwalasz go pod niebiosa.

- A co tu jest do rozumienia, Roland? Wszystko jest kwestią taktyki.

Roland popatrzył w kierunku oceanu; jego uwagę przykuła na moment opalona na brązowo brunetka o wielkich piersiach, w bardzo skąpym bikini. Powierzchnia wody była naturalnie jasna, miała kolor nierdzewnej stali. Na horyzoncie pojawiały się coraz bardziej gęste chmury zwiastujące burzę. W pewnym momencie nawet błysnęło.

Powietrze było naelektryzowane.

- Ile czasu mu potrzeba? - zapytał w końcu Roland. Gdy nie nosił ciemnych okularów, jego małe świńskie oczka raczej rozbawiały, aniżeli straszyły rozmówców.

- Najwyżej trzy dni. Posłuchaj, Roland, to ma sens. Kiedy on znajdzie Williama Cicero, będziesz mógł bez trudności sprzątnąć ich obu i zyskać uznanie oraz wdzięczność Titana. Nikt nie będzie przecież znał prawdy.

- Na przykład ty...

- Nie bądź śmieszny. Znasz przecież moją sytuację.

- Hmm... znam. A ty znasz mnie. Jeżeli raz mnie oszukasz, nigdy nie będziesz miała szansy zrobić tego po raz drugi. Nikomu to się jeszcze nie udało.

Sara dobrze o tym wiedziała.

Półtorej godziny po rozstaniu z Sarą Roland zadzwonił do Broussard Guidance Systems i powiedział jej, że Titan zgodził się opóźnić „zakończenie” sprawy o trzy dni, licząc od najbliższego poranka. Próbował nadać swojemu głosowi niechętny ton, Sara jednak wiedziała, iż w gruncie rzeczy Roland jest zadowolony. Zdawał sobie bowiem sprawę, że jeśli zadzwoni do Titana w piątek i powie mu, iż William Cicero nie żyje, zostanie sownie wynagrodzony.

Sara rozsiadła się wygodniej w białym skórzanym fotelu i wpatrzyła się w swoje odbicie w szybie. Na autostradzie poniżej mknące szybko samochody wesoło błyskały światłami. Dalej była plaża i ocean, a Sara bardziej niż kiedykolwiek zdawała sobie sprawę z tego, że znajduje się na wąziutkiej krawędzi pomiędzy życiem a czarną topielą, z której gdy się w nią wpadnie, nie ma już ratunku.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Niebo było już szare, gdy następnego dnia późnym popołudniem John wylądował

na lotnisku Minneapolis-St Paul. Ostatnie promienie słońca odbijały się jeszcze od budynku IDS i wieży Norwest, a silne podmuchy wiatru znad jeziora Long Meadow, utrudniały lądowanie boeinga 737.

John pośpiesznie opuścił budynek portu lotniczego i szybko złapał taksówkę.

Uczył to tak błyskawicznie, że zdołał uniknąć dalszej podróży w towarzystwie sprzedawcy koszul, który zawracał mu głowę podczas całego lotu z Atlanty.

Taksówkarzem okazał się biały pięćdziesięciolatek o włosach ostrzyżonych na jeża, w czapce drużyny baseballowej Minnesota Twins na głowie. Prowadził samochód, trzymając na kierownicy jedynie prawą dłoń i cicho przeklinając, gdy na jego drodze pojawiła się jakakolwiek przeszkoda opóźniająca jazdę. Dzień był gorący i tak duszny, że para wodna zbierała się nawet na zewnętrznej stronie szyb samochodów.

- Odnoszę wrażenie, że ta robota działa panu na nerwy - odezwał się John do taksówkarza.

Kierowca popatrzył we wsteczne lusterko i zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

- Bo przez cały czas muszę siedzieć, za przeproszeniem, na dupie i się stresować.

To fatalnie wpływa na stan zdrowia.

- To niech pan sobie robi czasami przerwę na ćwiczenia.

- Próbowałem. Biegałem w zeszłym tygodniu i o mało mi serce nie stanęło.

Jechali początkowo Hiawatha Avenue, a potem skręcili w prawo, w kierunku University of Minnesota. W końcu taksówkarz zaparkował obok betonowego bloku laboratorium i zaczekał, aż John poda mu pieniądze.

- Chce pan resztę? - zapytał, gdy odebrał dwa banknoty po dwadzieścia dolarów.

- Jasne, że chcę resztę. Dziwi to pana? Należy mi się dokładnie szesnaście dolarów i czterdzieści dwa centy. Twój mózg, przyjacielu, zużywa zaledwie dwadzieścia procent energii, którą otrzymuje twoje ciało. Gdyby zużywał więcej, nie zadawałbyś takich pytań i pewnie byś trochę schudł.

- Dowcipniś się znalazł.

- Nie można być bez przerwy poważnym.

W budynku wydziału neurologii smętny laborant w białym kitlu poprowadził

Johna do niewielkiego pokoju biurowego z widokiem na szarą, zamgloną Missisipi.

Doktor Hopkins Bron siedział za jednym z najbardziej uporządkowanych biur, jakie zdarzyło się Johnowi kiedykolwiek widzieć. We właściwym miejscu stał tu niewielki zegar, leżał laptop, a obok porządną bloki do notowania. W rogu ustawiona była oprawiona w srebrne ramki fotografia szeroko uśmiechniętego niemowlaka.

Doktor Bron miał pięćdziesiąt pięć lat, starannie utrzymane wąsiki, łysą głowę, lekki uśmiech przyklejony do ust, a na nosie drogie okulary bez oprawek. Pod białym fartuchem laboratoryjnym nosił niebieską koszulę i również niebieski krawat, tyle że w ciemniejszym odcieniu. Krawat ozdobiony był wyhaftowanym logo Amerykańskiego Instytutu Neurologicznego.

- Pan Huntley, prawda? - odezwał się doktor Bron. - Czy zechce pan... - wskazał na krzesło po drugiej stronie biurka.

John usiadł i rozejrzał się po gabinecie. Wzdłuż ścian stały półki z książkami, w większości identycznie oprawionymi i noszącymi takie tytuły, jak: Zahamowania nerwowe, Fizjologia włókien nerwowych, ale o dziwo były tu także roczniki „Little Woman”.

- Widzi pan - odezwał się John - może niepotrzebnie pana fatyguję, ale pewna korporacja elektroniczna z Florydy zatrudniła mnie, żebym odnalazł pewnego neurochemika, który niestety zaginął.

- To brzmi bardzo tajemniczo.

- Bo to jest w gruncie rzeczy bardzo tajemnicza sprawa. Przyjechałem do pana z nadzieją, że pomoże mi pan zlokalizować miejsce pobytu tego neurochemika.

- Zrobię, co będę w stanie, jednak prawdę mówiąc, nie za bardzo zajmuję się neurochemią. Mój ojciec był wielkim neurochemikiem. Ja jestem neurofizjologiem. Być może wie pan, że w dzisiejszych czasach specjalizacje są bardzo wąskie, a fachowcy z różnych dziedzin niewiele wiedzą o sobie nawzajem. Mógłbym powiedzieć panu, co wielu naukowców z mojej dziedziny jadło dzisiaj na śniadanie, jednak jeśli chodzi o chemików... - Uśmiechnął się i zaraz dodał: - No tak, ale o kogo właściwie panu chodzi?

- To bardzo trudne pytanie. Ten naukowiec jest osobnikiem bardzo ekscentrycznym, wręcz paranoikiem, i używa dziesiątek różnych nazwisk. Na przykład William Cicero, Charles Babson. Czy one panu coś mówią? Nie? A może Lügner? Albo Walter Cera?

- Przykro mi, ale żadne z nazwisk, które pan wymienił, nie jest mi znane. No, o Williamie Cicero słyszałem w szkole. Czy istnieje jednak jakiś powód, dla którego powinienem znać poszukiwanego przez pana człowieka?

- Wiadomo mi jedynie, że pracował on z pańskim ojcem przez jakiś czas w połowie lat pięćdziesiątych. Wiem też, że on i pański ojciec przeprowadzili wspólnie serię eksperymentów z chemikaliami, których przeznaczeniem było zwiększenie faktycznych możliwości mózgu człowieka.

Doktor Bron potrząsnął głową.

- Mój ojciec pracował z setkami różnych ludzi. Pochodzili z całego świata: z Francji, Hiszpanii, Japonii, nawet z Rosji. Ojciec prawdopodobnie był największym światowym ekspertem w dziedzinie chemii ludzkiego mózgu.

- Czy poznał pan któregokolwiek z jego pracowników?

- Och, oczywiście. Ojciec pracował nieraz po kilkadziesiąt godzin bez przerwy. W

chwili, gdy zamykał za sobą drzwi laboratorium i przystępował do kolejnego eksperymentu, zapominał o całym bożym świecie. A jednak uwielbiał życie rodzinne, lubił swój dom i często przyprowadzał do nas bardzo interesujących ludzi. Bywało, że zostawali na weekendy, bo tata rozmawiał z nimi bez końca i nigdy nie mógł się nagadać.

- Czy pamięta pan kogokolwiek w szczególności? Chodzi mi o chudego faceta o krótkich włosach; miał jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu.

- Przykro mi, ale w latach pięćdziesiątych właściwie wszyscy chemicy wyglądali właśnie w ten sposób.

John sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął portret narysowany poprzedniego wieczoru przez Micky'ego. Doktor Lügner spoglądał z kartki jak żywy i kilkadziesiąt lat młodszy, a to dzięki

temu, że Micky błyskawicznie przeczytał dwie książki z dziedziny chirurgii kosmetycznej. Portret przedstawiał ciemnowłosego szczupłego mężczyznę o lekko podwiniętej górnej wardze.

- To jest Byron Hemming - powiedział doktor Bron bez chwili wahania.

- Zna go pan? Jest pan pewien?

- Oczywiście, że go znam. Był ostatnim neurochemikiem, z jakim pracował mój ojciec. Mieszkał u nas niemal przez miesiąc.

- Czy jest pan całkowicie pewien, że to jest ten właśnie człowiek?

- Jestem pewien. Skąd ma pan ten rysunek? Nie oglądałem tego człowieka chyba od czasu moich czternastych urodzin.

- Jaki on był, ten Byron Hemming? Jak się zachowywał?

- Ojciec traktował go, jakby był nie wiadomo jakim mędrcom, ja jednak nigdy go nie lubiłem. Czternastoletni chłopcy są bardzo czujni; potrafią wyczuć fałsz na sto metrów. Ja właśnie czułem fałsz bijący od tego człowieka. - W jakim sensie?

- Nie pamiętam już teraz dokładnie. Był chytry, przebiegły, to wszystko. Nigdy nie przychodził do nas, gdy na dworze było jasno, a gdy wychodził, to też zawsze po zmroku. Mój starszy brat, Tom, mówił, że jest wampirem. Moim zdaniem zawsze gdzieś się śpieszył albo czegoś się obawiał. Gdy wychodził, za każdym razem mówił, na jak długo, i nigdy się nie spóźniał. I bez przerwy gadał. Był jedynym człowiekiem na świecie, jakiego znałem, który potrafił przegadać mojego ojca. Mógł godzinami siedzieć przy wystygłej kawie i gadał, gadał, gadał, aż miało się ochotę go udusić.

John schował portret do kieszeni.

- Mówi pan, że był ostatnim neurochemikiem, który pracował z pańskim ojcem.

Kiedy to było dokładnie?

- Hmm... Ojciec zmarł w lutym 1957, mówimy więc o późnym lecie 1956 roku.

- Czy ojciec mówił panu coś o rodzaju pracy, którą wspólnie wykonywali?

- Być może wspomniał mi coś, ale teraz nic już nie pamiętam.

Przez chwilę trwało milczenie.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pan to pytanie - odezwał się w końcu John - ale chciałbym wiedzieć, czy zaobserwował pan jakieś zmiany w zachowaniu ojca w ostatnich dniach przed śmiercią.

- Skoro pan o tym wspomniał, muszę odpowiedzieć, że tak, rzeczywiście. W

gruncie rzeczy w ostatnim kwartale 1956 roku był bardziej ożywiony i energiczny niż kiedykolwiek indziej. Wcześniej nigdy nie grywał ze mną w baseball, ale w tym czasie zaczął zabierać mnie na boisko i rzucaliśmy piłką długie godziny; właściwie to zawsze kończyliśmy o zmroku. Dziwiłem się, skąd bierze tyle energii, ale to jeszcze nic, on okazał się w tym dobry! Miał doskonałą koordynację ruchów. Zaczął grać na pianinie i to nie jakieś tam proste kawałki, ale prawdziwą muzykę klasyczną: Mozarta, Beethovena, Berlioza... Wraz z matką i bratem zaczęliśmy wierzyć, że on właściwie potrafi wszystko, i chyba naprawdę wszystko umiał. Gdy popsuł się hornet Toma Hudsona, zakasał rękawy i go naprawił, a chodziło o poważną awarię skrzyni biegów.

Mama zaczynała o nim mówić „supermąż”.

- Czy Byron Hemming bywał u was w tym czasie?

- Przez jakiś czas bywał, jednak wkrótce odnieśliśmy wrażenie, że ojciec strasznie się z nim o coś pokłócił. Słyszałem pod drzwiami gabinetu ojca, jak krzyczeli na siebie.

Po tej sprzeczce widziałem Byrona już tylko jeden raz. Przyszedł do nas, żeby zabrać jakieś papiery, i to wszystko.

- A ojciec?

Doktor Bron odsunął obrotowy fotel na kółkach od biurka i okręcił się na nim.

Teraz patrzył przez okno, na budynki campusu uniwersyteckiego, rzędy lip i szarzejącą za nimi Missisipi.

- Dwa dni przed Bożym Narodzeniem 1956 roku ojciec wstał na śniadanie i okazało się, że nie ma pojęcia, jak się nazywa. Nie rozpoznawał także nikogo z rodziny.

Mówiąc, używał bardzo ograniczonego słownictwa. Najgorsza jednak była całkowita utrata pamięci. Zabraliśmy go do trzech różnych specjalistów i każdy z nich mówił to samo: utrata pamięci, zdolności do logicznego myślenia, katastrofa podobna do wymazania wszystkich danych z pamięci komputera, chociaż w tamtych dniach oczywiście używano innych określeń. - Doktor Bron umilkł, jednak John czekał na dalszy ciąg jego opowieści. - W końcu trafił do szpitala psychiatrycznego. Było to piękne miejsce w Stillwater nad rzeką St Croix. Moja mama nazywała je „domem dla ludzi, którzy zapomnieli, kim są”. Trochę świadomości chyba w nim do końca pozostało; nie chciał spędzić reszty życia w odosobnieniu, siedząc na krześle i gapiąc się w ścianę. Po trzech albo czterech tygodniach pobytu w szpitalu podciął sobie żyły odłamkiem szkła. - Doktor Bron powrócił z fotelem za biurko. Na jego twarzy znów błąkał się lekki uśmiech. - Odplynął od nas - wyszeptał. - Po prostu odplynął, samodzielnie, dobrowolnie, w momencie, który sam wybrał.

- Bardzo mi przykro - powiedział John. - To bardzo smutna historia. Chciałbym jednak dowiedzieć się jeszcze, czy ma pan jakieś stare notatki ojca? Coś, co pomogłoby mi ustalić, skąd wziął się Byron Hemming i dokąd się udał po sprzeczce z pańskim ojcem.

- Wszystko znajduje się w bibliotece uniwersyteckiej. Mogę zatelefonować i poprosić, żeby je panu

udostępniono. Jeżeli chce pan poznać moją opinię, wydaje mi się, że Byron pochodził z południowej Kalifornii. Rozmawiałem kiedyś z ojcem o łowieniu ryb i pamiętam, jak Byron dorzucił kilka zdań o połowach przybrzeżnych w Kalifornii, niedaleko miejsca, gdzie mieszka. Potem oglądałem program telewizyjny na ten temat i dlatego przypominałem sobie tę rozmowę.

- Dziękuję panu bardzo. - John wstał i potrząsnął dłonią naukowca. - Bardzo mi pan pomógł. Jeszcze raz bardzo przepraszam, że z mojego powodu musiał pan powrócić myślami do przykrych wspomnień. Jednak poszukiwania, jakie prowadzę, mają to do siebie, że zwykle dotyczą rzeczy nieprzyjemnych.

- Mam nadzieję, że znajdzie pan swojego człowieka. Gdy się to panu uda, proszę do mnie zadzwonić i powiedzieć, kim naprawdę był.

Zgoda na udostępnienie Micky'emu materiałów o strategicznym znaczeniu dla narodowego bezpieczeństwa nadeszła dopiero późnym popołudniem, dlatego cały poranek i przedpołudnie spędził, grając na starej hiszpańskiej gitarze, którą znalazł w jakiejś szafie pomiędzy poniszczonymi rakietami tenisowymi. Przed lunchem skomponował trzy utwory. Były to spokojne, melodyjne piosenki, wszystkie poświęcone Mingusowi. Gdyby miał czas, ułożyłby jeszcze następnego dnia pięć lub sześć i wysłałby kasetę demo do Polygramu. Myśl, że mógłby wydać płytę w tej samej firmie, co Sugar, sprawiała mu dużą przyjemność.

W porze lunchu siedział samotnie na werandzie nad talerzem smażonego tuńczyka, szklanką chłodnego wina i zbiorem esejów dwudziestowiecznego francuskiego filozofa Henri Louisa Bergsona. Coraz bardziej wciągały go idee Bergsona na temat ewolucji intelektu oraz jego poglądy na temat czasu i przestrzeni. Przede wszystkim intrygowało go przekonanie myśliciela, że czasu nie można zawrócić, przewartościować, i że czas jest nieustannym tworzeniem.

Te myśli pozwoliły mu pogodzić się w jakimś stopniu ze śmiercią Mingusa. Nauka dowiodła, że nigdy nie usłyszy głosu przyjaciela, jego śmiechu, nigdy go nie ujrzy, a rozpacz i żal niczego nie zmieniają.

Kiedy przyjechała Sara, Micky był w ogrodzie, gdzie rozkoszował się ciszą i spokojem. Zmierzając ku niemu, zdjęła buty i brodziła wśród jasnozielonej trawy. W

krótkiej sukience z białego płótna i jasnoróżowej bluzeczce wyglądała jeszcze korzystniej niż zazwyczaj.

- Cześć, Micky - powiedziała.

Chłopak musiał osłonić oczy przed blaskiem słońca, gdy patrzył w jej stronę.

- Co z Roxanne? Masz od niej jakieś wiadomości? - zapytał.

- Nic złego jej się nie stanie, Micky, zapewniam cię.

- Chciałbym to usłyszeć od niej osobiście. Czy mogłaby porozmawiać ze mną przez telefon?

- Obawiam się, że nie uzyskałabym na to zgody. Klnę się jednak na Boga, że nie pozwolę, by ktokolwiek ją skrzywdził.

- Cholera jasna. Ciągłe wydaje mi się, że najlepiej zrobię, jeżeli zatelefonuję na policję.

- Policję? - Sara pomachała Micky'emu przed oczyma identyfikatorem z zalaminowaną fotografią, zezwalającym mu na wgląd w najbardziej strzeżone tajemnice państwa. - Policja była jedyną instytucją mającą obiekcje co do przyznania ci tej karteczki. Titan musiał się mocno napracować, żeby odrzuciono zastrzeżenia. Pamiętaj, że policja chętnie by z tobą porozmawiała w związku ze zniszczeniami w domu Williama Cicero w Winter Park i w restauracji twojego przyjaciela Guida. Nie będę już wspominała o wybuchu w domu w St Cloud. Nie wiem, jak Titan to zrobił, w każdym razie przekonał kogo trzeba, że jesteś osobą o kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa Ameryki, dzięki czemu przynajmniej na razie masz spokój z policją. Widzisz, Micky, Titanowi nie chodzi o ciebie, nie chodzi mu też o te pociski. Ale przekonany jest, że dopóki trwają prace przy MiGR8, William Cicero będzie kręcił się blisko Cocoa Beach.

Dzięki temu mamy szansę go zlokalizować.

- I zabić, prawda?

Sara wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, jak potoczą się jego losy, Micky. Czasami zdarzają się w życiu momenty, gdy nie kontrolujemy tego, co dzieje się z nami i wokół nas. - Wręczyła Micky'emu identyfikator. - Proszę, należy do ciebie. Najwyższy stopień wtajemniczenia. Jeszcze nikt w historii Stanów Zjednoczonych nie uzyskał go w tak szybkim tempie. Wywiad wojskowy działał błyskawicznie. Wiem, że posłali kogoś na rozmowę z twoją nauczycielką. Ktoś inny kontaktował się z twoją byłą gospodynią, sąsiadami i sprzedawcami ze sklepów. Wysłali nawet ludzi do Tallahassee na spotkanie z twoją babką. Nie wiem, co im powiedziała, ale agent stwierdził, że jeśli w twojej rodzinie były jakieś tendencje do komunizowania, to on jest Fidelem Castro.

Micky niechętnie odebrał identyfikator. Obejrzał go i wsunął do kieszeni. Sara tymczasem usiadła na ławeczce obok.

- Co czytałeś? - zapytała i popatrzyła na okładkę książki. - Duree et Simultaneite?

- To Bergson w oryginale. Twierdzi, że nic nigdy nie dzieje się dwa razy w taki sam sposób, dlatego nie ma sensu snucie jakichkolwiek planów życiowych.

- Może ma rację. A co chcesz przeczytać w następnej kolejności?

- O bezpośrednich danych świadomości, o ile znajdę gdzieś egzemplarz.

- Brzmi oszłamiająco.

- To rzecz o noumenach i fenomenach. Noumen to rzecz sama w sobie, niezależna od sposobu jej odbioru, wiedzy na jej temat. To skała na środku pustyni, skała, której nikt nigdy nie widział. Ale w

chwili, gdy w końcu na nią spojrzysz albo jej dotkniesz, zmieni się. Stanie się obserwowalna, stanie się fenomenem.

- Czy to samo dzieje się z ludźmi? Czy, zanim mnie poznałeś, byłam noumenem? I czy zmieniłam się, gdy mnie poznałeś? Czy stałam się fenomenem?

Micky długo jej się przyglądał. Była rzeczywiście fenomenem: piękną kobietą o gładkiej skórze, długich rzęsach i oczach tak zimnych i pozbawionych barwy jak pusty morski brzeg. Była zamknięta w sobie i nigdy nie reagowała spontanicznie, co rodziło podejrzenie, że w tym bezbarwnym spojrzeniu nie kryje się żadna głębia, a postępowaniem Sary kieruje wyłącznie egoizm i troska jedynie o własne interesy. Ale przecież w tej chwili podjęła flirt, zaczęła żartować na temat noumenów i fenomenów; żadnej z dziewczyn Micky'ego nie było dotąd stać na dowcipy na takim poziomie.

Niespodziewanie przyszło mu do głowy, że przecież mógłby mieć właśnie takie kobiety jak Sara. Był młody, przystojny, a teraz nawet wybitnie inteligentny.

Sara przysunęła się bliżej niego.

- Czy chciałbyś zobaczyć swoje pociski? - zapytała go głosem, jakby składała wyjątkowo erotyczną propozycję.

- Mogę je teraz zobaczyć?

- Oczywiście. Właśnie z tego powodu tutaj przyjechałam. Po to tak bardzo się spieszyliśmy ze sprawdzeniem ciebie, żebyś je jak najszybciej zobaczył.

Micky wahał się przez chwilę. Wyciągnął z kieszeni identyfikator.

- Obiecaj mi tylko jedno. Naprawdę mi obiecaj. Osobiście dopilnujesz, żeby nic złego nie stało się Roxanne.

Sara powoli pokiwała głową, po czym uściśnęła jego dłoń.

- Wstawaj - powiedziała. - Chyba czas już rozpocząć najważniejszą część przedstawienia.

Przed domem czekał na nich czarny cadillac seville z zaciemnionymi szybami.

Ochroniarz z rudymi wąsami otworzył im drzwiczki samochodu.

- Gene jest bardzo niespokojny - powiedziała Sara. - Zachowuje się jak facet, który za parę godzin ma po raz pierwszy zostać ojcem. Powiem ci coś, Micky: jeżeli dobrze wykonasz swoją robotę, Gene sprawi, że twoje konto bankowe będzie wyglądało jak rachunek szejka arabskiego.

- Nie mam konta w banku - odparł Micky. - Do tej pory wszyscy płacili mi w gotówce.

Sara położyła dłoń na jego kolanie.

- Niektóre rzeczy będą musiały się zmienić, prawda? - zapytała.

Znalazłszy się na terenie Broussard Guidance Systems, minęli budynek biurowy i zatrzymali się dopiero na jego tyłach, przed niskim aluminiowym gmachem, w którym mieściły się laboratoria i warsztaty. Umundurowany strażnik dokładnie obejrzał ich przepustki, szczególną uwagę poświęcając dokumentom i osobie Micky'ego, po czym dał im znak, że mogą wjechać na kryty parking.

Zaparkowali samochód na samym końcu długiego rzędu luksusowych aut i wysiedli. Wszedłszy do budynku, od razu znaleźli się w wielkiej hali podzielonej na kilkadziesiąt boksów, w których trwała intensywna praca. Sara dotknęła jakiegoś przycisku znajdującego się w głównej ścianie i zaraz pojawił się kolejny strażnik, który ponownie sprawdził dokumenty przybyszów. Po dokonaniu tej formalności ruszyli długim korytarzem wśród boksów i szli dopóty, dopóki nie znaleźli się wreszcie w warsztacie. Było to obszerne pomieszczenie jaskrawo oświetlone halogenowymi żarówkami, cuchnące olejami, farbą i najróżniejszymi chemikaliami.

Po obu stronach warsztatu znajdowały się szerokie półki pełne instrumentów do kalibrowania, elektronicznego sprzętu diagnostycznego oraz zwyczajnych rur, metalowych narzędzi, przyrządów i części, których przeznaczenia nie sposób było odgadnąć. Nawet wyposażony w wiedzę, którą przekazał mu doktor Lügner na temat MiGR8, Micky odniósł silne wrażenie, że nagle znalazł się na planie filmu science fiction, a pracujący tutaj ludzie to aktorzy udający agentów federalnych, którzy rozpracowują UFO zniszczone po nieszczęśliwym upadku na ziemię.

W tej chwili pracowało tylko pięciu techników, młodych ludzi o poważnych twarzach, krótko ściętych włosach, w bladoniebieskich obcisłych kombinezonach z logo Broussard Guidance Systems na plecach. Same pociski rozczerowały Micky'ego. Były to dwie długie rury ułożone na jaskrawopomarańczowych platformach ustawionych mniej więcej w odległości stu metrów od siebie. W tej chwili były w większości rozmontowane; wystawało z nich mnóstwo kolorowych drutów, w otworach widoczne były srebrzyste fragmenty konstrukcji. Sprawiały wrażenie raczej pralek automatycznych znajdujących się w naprawie niż groźnych pocisków międzykontynentalnych.

Sara podeszła z Mickyem do środkowego fragmentu jednego z pocisków, gdzie akurat pracował szczupły opalony technik, który zajmował się oporządzaniem jakiegoś elementu silnika turboodrzutowego.

- Nestor - odezwała się - chciałabym przedstawić ci Micky'ego Frasiera. Micky jest właśnie tym facetem, który ma sprawić, że twoje pociski polecą prosto do celu. Micky, oto Nestor Drysdale.

Nestor wytarł dłonie w szmatę, która zwisała z jego kieszeni, po czym potrząsnął

dłonią Micky'ego. Nie sprawiał wrażenia technika zajmującego się groźną bronią. Miał

jasnoniebieskie oczy osadzone odrobinę zbyt blisko siebie, a jego nos był tak zakrzywiony, że zdawało się, iż mógłby otworzyć nim puszkę z zupą. Mówiąc, często pochrząkiwał, po akcencie zaś można było się domyślić, że pochodzi z Wirginii.

- Muszę powiedzieć, że nie wyglądasz na eksperta od systemów naprowadzania -

odezwał się do Micky'ego. - Przynajmniej nie przypominasz żadnego z tych, z którymi miałem do czynienia do tej pory. Nie dostałeś białego fartucha?

- Sprawdzono tylko moją przepustkę - powiedział Micky trochę nieśmiało.

Popatrzył na silnik, przy którym pracował Nestor. - Teledyne CA J402 - rozpoznał. -

Siła ciągu dwieście siedemdziesiąt dwa kilogramy. Masz z nim jakieś kłopoty?

- Skądże znowu. Po prostu uwielbiam to cacko. Z przyjemnością składam je i rozkładam, wsłuchuję się w niego, hmm... Jak dotąd, miałem na to wiele czasu. Żadna z ekip, które się tutaj zjeżdżały, nie dawała nadziei, że mój ulubieniec kiedykolwiek oderwie się od ziemi.

- Oderwie się, obiecuję ci to - stwierdził Micky stanowczo. Ponad ramieniem Nestora posłał Sarze słaby uśmiech. Kobieta odwróciła się, jakby w ogóle go nie znała.

Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego to zrobiła, ale zaraz powrócił do konkretów i zapytał Nestora: - Kto tutaj odpowiada za naprowadzanie na cel?

Nestor skinął na ogorzałego młodego człowieka w okularach o soczewkach tak grubych jak denka butelek od coca-coli.

- Manuel Ortez - przedstawił się, ściskając dłoń Micky'ego. - Cieszę się, że pan tu przyjechał, chociaż właściwie to powinienem być niezadowolony, ponieważ to ja miałem rozwiązać problem i nie dałem sobie z nim rady. Jestem więc wściekły i wybaczy pan, jeżeli czasami zapomnę o zasadach dobrego wychowania.

Sara otoczyła ramieniem plecy Manuela.

- Manuel to najlepszy fachowiec w Stanach, jeśli chodzi o systemy naprowadzania.

Prawda, Manuelu?

- Nie pogarszaj mojej sytuacji - mruknął zagadnięty i odsunął Sarę od siebie.

- Nad czym pracowałeś, zanim tutaj trafiłeś? - zapytał Micky.

- Byłem zatrudniony w Rockwell International, a zagadnienia, którymi się zajmowałem, do dzisiaj są tajne.

- Powiedz mu - nalegała Sara.

- A po co? Jeżeli ten facet potrafi podłączyć MiGR8, to nic, co dotychczas zrobiłem, nie wyrze na nim najmniejszego wrażenia.

- Nie wygłupiaj się człowieku, mów - zachęcił go Micky. Manuel jeszcze przez chwilę milczał, zaciskając usta, ale w końcu przełamał się.

- Wynałazłem Redeye - oznajmił.

- Masz na myśli celowniki na podczerwień używane w pociskach Hecate?

- Tak. Jeszcze dwóch innych facetów mi pomagało.

- Redeye potrafił trafić w cel z odległości czterdziestu kilometrów z dokładnością pół metra. To robi wrażenie.

- Dziękuję ci, Micky. Redeye nie potrafi jednak tego, do czego, o ile zadziała, zdolne jest MiGR8. Redeye widzi, ale nie myśli. Redeye identyfikuje, ale nie rozpoznaje. Redeye nie osądza.

Ujął Micky'ego pod łokieć i podprowadził go do stolika z nierdzewnej stali. W

zaimprovizowanych ramach umieszczone były na nim dwa urządzenia przypominające żółwie przewrócone na plecy. Micky odniósł wrażenie, że gdyby ktoś je odwrócił, powoli by odeszły. Zamiast nóg miały jednak od dziesięciu do dwunastu wystających bolców wykonanych z platyny.

- Oto twoja robota. Masz przed sobą MiGR8 - ogłosił Manuel. - Nie wyglądają imponująco, co? Mniejsze od Tercom, lżejsze niż Lear Seigler. Od chwili gdy przejęliśmy Hoshi, zajmuję się tym paskudztwem. Przestudiowałem każdą książkę, która mogłaby być mi pomocna, przeczytałem każde doniesienie naukowe, każdy podręcznik, wszystkie dostępne materiały. I nic. Rozumiem, co to jest, wiem, w jaki sposób ma zadziałać, ale nie mam pojęcia, co zrobić, żeby zainicjować jego pracę.

Micky pochylił się nad „żółwiami”. Był pewien, że nosi teraz w sobie część pamięci doktora Lügnera, ponieważ kształty MiGR8 wydawały mu się znajome. W

przeciwieństwie do Tercom przypominającego prostopadłościan, MiGR8 zdawało się niemal żywym organizmem. Dwa pociski leżały teraz obok siebie, jakby drzemiąc, i tylko Micky wiedział, co zrobić, by je ożywić, zbudzić, by zaczęły myśleć i zabijać ludzi.

Micky podszedł do rozłożonego pocisku i zapytał Manuela, w którym miejscu należy umieścić MiGR8.

Manuel pochylił się nad otwartym nosem rakiety. Znajdowały się tam plastikowe kontakty o rozmiarach, które powinny pasować do wystających bolców MiGR8.

- Myślałem, że sprawa jest prosta - powiedział Manuel. - Początkowo wydawało mi się, że to tylko kwestia osadzenia bolców w odpowiednich kontaktach i MiGR8

będzie przekazywał sygnały do zespołu napędowego. Nic z tego. Po osadzeniu MiGR8

na miejscu pomiędzy każdym bolcem i przewodnikami w kontaktach wciąż istnieje luka i nie przemieszczają się tędy żadne sygnały. Te szczeliny są tak niewielkie, że można je zobaczyć jedynie pod mikroskopem. Ale są realne, istnieją, i dopóki nie wymyślimy pomostów, które by je zlikwidowały, MiGR8 nie będzie przekazywało do zespołu napędowego żadnych informacji. Będzie zachowywało się jak geniusz, którego dotknął

nagły zanik mowy. Znając wszystkie odpowiedzi, nie będzie w stanie w żaden sposób przekazać ich dalej.

Micky pokiwał głową. Milczał. John poradził mu, żeby mówił jak najmniej, żeby bardziej starał się sprawiać wrażenie idioty niż geniusza. Teraz Micky dostrzegł sens takiego zachowania. Miał przed sobą tajny projekt, otaczał go personel składający się z ludzi, którzy by dojść do tego miejsca, poświęcili wiele lat żmudnej pracy i byli wielokrotnie sprawdzani przez rządowe agencje bezpieczeństwa. Gdyby więc Micky zaczął robić mądre miny, dyskutować na temat wartości dzieł Prousta albo współczesnej amerykańskiej opery i wykazywać na wszystkie tematy taką samą głęboką wiedzę jak na temat MiGR8, prędzej czy później ktoś zainteresowałby się, dlaczego jakiś muzyk albo były pomywacz z restauracji nagle stał się mądrzejszy od Einsteina, Mozarta i Wernhera von Brauna razem wziętych.

- MiGR8 było już w całości zaprogramowane, zanim je przejęliśmy - mówił

Manuel. - Jeden strzał ma nastąpić z bazy Sił Powietrznych na przylądku Canaveral, drugi z krążownika znajdującego się na Morzu Wschodniochińskim. Sprawdziłem oba programy i nie widzę w nich nic, co można by jeszcze usprawnić. Kimkolwiek był ten facet z Hoshi, był nawiedzony. MiGR8 jest doskonale i zarazem niepodobne do niczego innego w swojej dziedzinie.

- Zdaje się, że ma naprowadzać pociski przede wszystkim wymierzone przeciwko konkretnym osobom - powiedział Micky.

- Tak. I nie popełni błędu, nawet jeśli wskazana ofiara ma na sobie maskę albo chowa się w betonowym bunkrze. System wykorzystuje promienie podczerwone i jest fotoczuły. Pocisk, który wystrzelony zostanie z morza, ma uderzyć w wyspę Yoronjima, znajdującą się jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od Okinawy. Celem jest manekin o wyglądzie Charlie Chaplina, który żołnierze marynarki mają umieścić na brzegu.

- A jeśli chodzi o strzał z przylądka Canaveral?

- Chodź, pokażę ci.

Manuel położył dłoń na ramieniu Micky'ego i poprowadził go do terminalu komputerowego IBM. Na ekranie kolorowego monitora widniało jedynie logo Broussarda. Manuel szybko jednak wystukał jakiś kod i ukazał się napis „MiGR8

Atlantic”, a po nim trójwymiarowe mapy Florydy, Bahamów i Indii zachodnich.

- Popatrz, pocisk wystrzelony zostanie stąd, z przylądka. Polecą na południowy wschód, aż osiągnie Isla Mona, pomiędzy Dominikaną a Portoryko. Wtedy zaczną szukać swojego celu po północno-zachodniej stronie wyspy i zniszczy go.

- Jak wygląda ten cel?

- Czy uwierzysz, że jako żywo przypomina papę Duvaliera?

Nie, to nie był najlepszy żart. Wojskowi chcieli jednak, żeby MiGR8 rozpoznawał

tak samo dobrze białego, jak i czarnoskórego. Może więc namierzyli OJ Simpsona?

- Co z głowicami bojowymi?

- Oczywiście pocisk będzie w nie wyposażony. Poleci razem z pełnym ładunkiem konwencjonalnym. W końcu, żeby generałowie byli usatysfakcjonowani, musi nastąpić wielkie „bang!”

- Czy będziesz miał coś przeciwko temu, że zajmę się teraz trochę tym komputerem?

- Skądże znowu, czuj się jak u siebie w domu. W końcu jesteś osobą, która ma sprawić, że te szczenięta oderwą się od ziemi. Może napijesz się kawy? Chyba poznałeś już od tej strony Gene Broussarda: wypicie filiżanki dobrej kawy to u niego niemal tradycja kultywowana przy każdej okazji.

Micky przysunął sobie fotel obrotowy i zasiadł przed ekranem komputera.

Przywrócił program „MiGR8 Atlantic” i zaczął odczytywać dane dotyczące startu i szczegółów lotu pocisku. Jego śladem miało podążyć kilkanaście myśliwców i podejmować próby zakłócania drogi symulowanymi radarowo pociskami antyrakietowymi. Działania takie nie miały jednak najmniejszej szansy powodzenia; MiGR8 wyprzedzał swoją epokę o długie lata i był w stanie uniknąć każdego zagrożenia. Próby takie podejmowano tylko dla formalności.

Po dwudziestu minutach Micky przeszedł do programu „MiGR8 Pacific” i badał

plan lotu pocisku, który miał zostać wystrzelony z USS Kalifornia.

Manuel powrócił z dwiema filiżankami gorącej kawy.

- Sprawdziłeś plany lotów? - zapytał Micky’ego. - A teraz popatrz na samo MiGR8. Które chcesz przejrzeć? „Atlantic” czy „Pacific”?

- „Pacific” - poprosił Micky.

Manuel przyniósł sześć elektrod, podłączył je do długich czarnych drutów, te zaś złączył z gniazdem o siedemdziesięciu dwóch otworach, znajdującym się w boku systemu naprowadzania ułożonego z lewej strony. Następnie wyjął z biurka pudełko nasączonych chusteczek higienicznych i jedną z nich zwilżył skronie Micky’ego. Potem przycisnął wszystkie sześć elektrod do wilgotnych miejsc na jego głowie i włączył

zasilanie.

Micky natychmiast ujrzał trójwymiarową podobiznę Charlie Chaplina. Obraz powstał gdzieś w jego głowie, był czarno-biały, jednak tak realistyczny, że odnosił

wrażenie, iż może dotknąć tego, co widzi. Niemal zastanawiał się, dlaczego Chaplin milczy.

- Czy to nie jest nadzwyczajne? - zapytał Manuel. - Jesteś teraz podłączony do SIR, Systemu Indywidualnego Rozpoznawania. Kimkolwiek był ten facet, mam na myśli gościa, który to wymyślił, musiał wgrać wizerunek Charlie Chaplina w system MiGR8

prosto z własnego umysłu. MiGR8 zapamiętało ten obraz, w związku z czym dokładnie wie, na kogo naprowadzić pocisk, w którym się znajdzie. Zauważ, że tak jak ty teraz, każdy człowiek może podłączyć się do MiGR8. A to oznacza, iż systemem tym jedna osoba może przekazywać drugiej swoje myśli na zasadzie zbliżonej do telepatii.

- Ale co dalej? Czy dostałeś się do reszty systemu? Micky zadał to pytanie, jednak odpowiedź doskonale już znał. Umysł MiGR8 nie zacznie funkcjonować, dopóki nie zostanie wzmocniony synaptyką. Był pełen informacji, zarzucony faktami. Znał każdy zakątek planety, od Alaski do pustyni Gobi. Potrafił lecieć na wysokości metra nad powierzchnią ziemi, wśród wąwozów i nad płaskowyżami. Umiał znaleźć właściwą drogę wśród ulic każdego miasta i miasteczka, wszędzie na świecie, od Austin po Zaporozże. A jednak w tej chwili były to umiejętności zupełnie nieprzydatne, ponieważ nie potrafił przekazywać informacji ani ludziom, ani maszynom.

- Pięciu analityków komputerowych próbowało go rozszyfrować - odparł Manuel -

jednak bez skutku. Nie jesteśmy w stanie nawet zgadywać, w jaki sposób następuje przekazywanie informacji do systemu napędowego i sterowania. Spójrz: komputer wskazuje, że MiGR8 wyposażony jest we wszystkie dane i gotowy do działania. A jednak nie możemy zmusić samego MiGR8, by to potwierdził, i nie potrafimy zmusić go do współpracy z Tomahawkim. Czuję się jak dzieciak, który dostał kolejkę elektryczną na Boże Narodzenie, jednak nie ma pojęcia, w jaki sposób zabrać się do zabawy.

Odłączył elektrody i Charlie Chaplin zniknął z umysłu Micky'ego. Chłopak ciężko westchnął i popatrzył na zegarek.

- Zajmę się tym jutro z samego rana - powiedział. - Nic się nie przejmuj, z tego, co zobaczyłem, wnioskuję, że podłączenie MiGR8 do pierwszego pocisku nie zajmie mi więcej niż dwadzieścia cztery godziny.

- Jesteś cholernie pewny siebie. Micky wstał.

- Wiesz, co powiedział Izajasz? „W cichości serca i zaufaniu do samego siebie leży wasza siła”.

Manuel popatrzył na niego niepewnie, po czym pociągnął łyk gorącej kawy.

- Jasne - mruknął. Nie był jednak pewien, czy w ogóle powinien się odzywać, gdyż nie bardzo wiedział, kto to taki ten Izajasz.

Zapadł wieczór, a oni siedzieli na piasku na opustoszałej już plaży przed Doral Hotel w Miami i obserwowali, jak niebo powoli staje się coraz ciemniejsze. Lekki wiatr wciąż był ciepły, jednak Constance opatulila się wełnianą narzutą, ponieważ co jakiś czas od strony oceanu docierał zimny powiew. Lionel siedział obok niej tylko w koszuli, której rękawy podwinął. Od czasu, gdy tutaj

przybyli, mówił bardzo niewiele, jednak Constance widziała, jak bardzo jest zmęczony i jak bardzo cieszy się z jej towarzystwa.

Uśmiechnęła się do niego, a on oddał jej uśmiech. Było cudownie; Constance zyskiwała coraz większą pewność, że wreszcie znalazła kogoś, kogo będzie zawsze kochała, kogoś, z kim zechce zostać na zawsze.

Uwielbiała sztukę i uwielbiała swoją dotychczasową pracę, lecz coraz szybciej zbliżający się kres życia i perspektywa spędzenia starości samotnie w Melbourne na Florydzie w roli „starej kobiety - właścicielki sklepu z obrazami” była nie do zniesienia.

Nie musiała zadawać sobie pytania, dlaczego pozostawiła galerię i tak spontanicznie dołączyła do Johna. Dobrze znała powody. Bardziej zależało jej na kilku jeszcze krótkich latach radości, szczęścia i fascynacji niż na długim życiu w ciszy i samotności, na nie kończącym się obserwowaniu wschodów i zachodów słońca zawsze z tego samego miejsca. Nie miałyby nic przeciwko śmierci w posiadłości Lionela w Winter Park albo w restauracji Guida, albo w domu Mingusa. Dawno temu siedziała przy boku swej matki, gdy ta stopniowo traciła kontakt ze światem i ściskając córkę za rękę, unosiła czasami wzrok i pytała: „I po co to wszystko było, Constance? Po co to wszystko było?”

- Czy widziałaś kiedykolwiek Amerykę Południową? - zapytał Lionel. - Na przykład Rio de Janeiro?

Constance potrząsnęła przecząco głową.

- Pokochasz Rio. To jest takie miasto, w którym po prostu chce się żyć pełną parą.

Tego chyba szukasz, co? Prawdziwego życia.

- Tak - odparła. - Szukam życia.

Obserwowała młodą blondynkę w niebieskim bikini, biegnącą wzdłuż brzegu. U

jej stóp plątał się mały piesek.

- Nie wierzyłam, że kiedyś się zestarzeję - mówiła Constance. - Aż pewnego dnia obudziłam się nad ranem, popatrzyłam w lustro i stwierdziłam, że jestem stara. Od tego czasu nie boję się umrzeć. Lękam się jednak życia, które nie będzie prawdziwe.

- Zostań więc ze mną, Constance. Możemy jeszcze spędzić razem wspaniałe chwile.

- Chcesz mnie zabrać do Rio? Naprawdę?

- Dotarłaś ze mną aż tutaj, prawda? Czy stanie się coś złego, jeżeli pójdziesz dalej?

- Niczego o tobie nie wiem, Lionelu. Och... - roześmiała się. - Wiem, że jesteś jakoby geniuszem, że jacyś niebezpieczni ludzie pragną koniecznie cię uśmiercić. Ale to niewiele, prawda?

Lionel wzruszył ramionami.

- To o wiele więcej, aniżeli niektórzy ludzie dowiadują się o sobie podczas kilkudziesięciu lat małżeństwa. Ale jeżeli naprawdę chcesz poznać mnie lepiej, opowiem ci o sobie podczas podróży.

Constance popatrzyła na Lionela ponad swym ramieniem, chcąc spojrzeć wprost w jego oczy. Było już niemal zupełnie ciemno, a mrok rozpraszały jedynie światła w hotelach usytuowanych przy plażach. Nad wodą, głośno skrzecząc, unosiły się mewy, jakby wyczuwały, że wkrótce ma się zdarzyć coś strasznego.

- Wyjedź ze mną, Constance. Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety takiej jak ty; kobiety, która zebrałaby w sobie tak wiele odwagi tylko po to, by robić to, na co ma ochotę. - Zamilkł na długą chwilę, jakby ważył w sobie kolejne słowa. - Przez te wszystkie lata byłem tak cholernie samotny...

Constance pochyliła się i pocałowała go w policzek. Lionel zdjął okulary i ich usta zetknęły się w długim pocałunku. Ocean szumiał obojętnie, jakby wcześniej już był

świadkiem wielu podobnych scen i zdążył się nimi znudzić, mewy natomiast krążyły teraz wyżej i w absolutnej ciszy.

Titan Blight zapukał do pokoju Roxanne, jednak nie czekał na zaproszenie i natychmiast wkroczył do środka. Roxanne stała przy oknie; obie ręce miała wzniesione i wpatrywała się w swoje odbicie w ciemnej szybie. Na stoliku leżała taca z nietkniętym posiłkiem.

Titan popatrzył na jedzenie, w roztopiony lód z bitą śmietaną wsunął palec i oblizał go.

- Nie wiesz, co tracisz, ślicznotko - odezwał się. - George jest jednym z najlepszych szefów kuchni w całym Bostonie. Załamałby się, gdyby się dowiedział, że niczego nie tknęłaś.

Podszedł do niej i zapalił papierosa. Przypatrywał się przez chwilę dziewczynie, a tymczasem z kącika jego ust wykrzywionych w lekkim uśmiechu wydobywał się wąski słupek dymu. Twarz Roxanne częściowo zakrywały włosy, ale dobrze widział jej wydęte wargi. Ubrana była w te same dżinsy i obcisłą koszulkę, które miała na sobie, gdy Roland dotarł do jej domu w St Cloud. Titan zaoferował jej inne ubranie, lecz odmówiła.

- Jeszcze nie miałem wiadomości od pana Huntleya - oznajmił. - Módl się, żeby powiodła się jego misja. Tymczasem naprawdę powinnaś coś zjeść. Uwierz mi, będziesz zachwycona potrawami George'a.

- Sam je sobie zjedz! Nie możesz mnie tutaj więzić! To jest niezgodne z prawem i doskonale o tym wiesz!

- Cóż, wszystko zależy od tego, co rozumie się pod pojęciem „prawo”. Niektóre prawa są ważniejsze od innych, jak na przykład prawo do przetrwania, prawo do postępu, prawo do realizacji przeznaczenia. Wartościując sprawy globalnie, powiedziałbym, że przetrzymywanie cię tutaj wbrew twojej woli jest mniejszym przestępstwem niż prowadzenie samochodu po wypiciu butelki Jacka Daniela albo pozwolenie pudelkowi, żeby nasiusił na chodnik. - Przez chwilę kaszlał, ale

skończywszy, mówił dalej. - Jeżeli znajdę tego twojego doktora Lügnera, nie będziesz musiała się niczym martwić. W ostatnich dniach, kochanie, zrobiliśmy na Florydzie zbyt dużo zamieszania. Zbyt wielkie pandemonium, a to zawsze kosztuje i przysparza złej prasy. W związku z tym postanowiłem, że zamiast nadal siać na Florydzie śmierć i zniszczenie, porwę ciebie i będę cię tu trzymał dopóty, dopóki pan Huntley nie przyprowadzi do mnie doktora Lügnera.

- I co potem? Wypuścisz mnie?

Titan wyciągnął rękę i pogłaskał Roxanne po włosach. Między palcami wciąż trzymał papierosa.

- Bardzo chciałbym, żebyś tutaj została. Kiedy już będziesz wolna, pozwolę ci zostać u mnie tak długo, jak tylko zechcesz.

- Chyba żartujesz - parsknęła, odrzucając głowę. Nie sprawiał wrażenia urażonego ani zniechęconego.

- Powiedz mi - poprosił - czy nosisz majteczki? A może pod tymi dżinsami masz gołą cipkę? Jestem pewien, że rozpoznam to po zapachu. Czy pozwolisz mi powąchać?

- Zostaw mnie w spokoju! - zawołała Roxanne i odskoczyła od niego. Przystanęła dopiero za stołem.

Titan powoli niczym ciężki pociąg podążył za nią.

- Moja droga, darowanemu koniowi nie powinnaś zaglądać w zęby. Mogłabyś zamieszkać tutaj na całe życie i pławić się bez końca w niewyobrażalnym luksusie.

Mogłabyś mieć wszystko, czego byś zapragnęła, jedynie dzwoniąc dzwoneczkiem na służącego. Miałabyś piękny, sportowy samochód, stroje projektowane specjalnie dla ciebie i najdroższą biżuterię. Mogłabyś jeździć na wakacje, dokąd byś tylko zapragnęła

- do Europy, na Hawaje, nie wiem dokąd jeszcze. A wiesz, czego żądałbym w zamian?

Żebyś od czasu do czasu mydliła mi plecy pod prysznicem, żebyś traktowała mnie jak przyjaciela.

- Odczep się ode mnie, jesteś chory! - wrzasnęła Roxanne. Titan uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Oczywiście, masz absolutną rację. Jestem chory. Jestem bardzo chorym osobnikiem. W moim wieku nie powinienem już myśleć o wączaniu dżinsów młodych dziewcząt. Powinienem rozmyślać o wyższych sprawach. Na przykład o zamieraniu życia religijnego w naszym społeczeństwie albo o socjologicznych skutkach funkcjonowania internetu.

W zamyśleniu popatrzył na tacę z jedzeniem. Następnie podniósł ją i z całej siły rzucił o ścianę. Na kolorowej tapecie roztrzaskały się naczynia z sosami, kompotami, lodami... cała kolacja, której nie chciała tknąć Roxanne.

Roxanne znów wycofała się pod okno. Drżała, a w jej oczach czaił się ogromny strach przed tym, co mogą przynieść jej najbliższe chwile.

Tymczasem Titan bez słowa wyszedł z pokoju, pozostawiając za sobą nie domknięte drzwi oraz swąd papierosowego dymu.

Był szary, chmurny poranek w Boxboro, kiedy John zaparkował wypożyczonego chryslera przed domem państwa Klein. Był to wpisany w powierzchnię kwadratu osiemnastowieczny budynek z czerwonej cegły, stojący na szczycie niewielkiego wzniesienia. Otoczony niskim białym płotem i rzędem drzew po obu stronach, wyglądał

niczym domek z dziecięcych bajek.

John zadzwonił do drzwi i pani Klein pojawiła się w progu tak błyskawicznie, że z całą pewnością obserwowała go, gdy szedł ścieżką przez mały ogródek.

- Pani Klein? Nazywam się John Huntley.

- Proszę, niech pan wejdzie - powiedziała.

Była wysoką, dobiegającą osiemdziesiątki kobietą o bladej cerze. Długie siwe włosy spięte miała w koński ogon. Była w prostej sukience bez rękawów, a na chudych przegubach nosiła ciężkie bransolety wysadzone jakimiś kamieniami. Wyglądała na jedną z tych kobiet, dla których era hippisów przysłała trochę za późno.

Jej dom był mały i przytulny. Ściany pomalowano tu kredową farbą, a na fotelach i kanapie leżały kolorowe indiańskie narzuty. Pełno tu było białych półek z muszelkami, porcelanowymi pieskami, laleczkami i oprawionymi w ramki rodzinnymi fotografiami.

- Czy napije się pan herbaty imbirowej? - zapytała pani Klein. - Właśnie przyrządzałam dla siebie.

- Nie, nie, bardzo dziękuję. Nie przełknąłbym niczego o tym smaku.

Opadła na kanapę przy kominku.

- Niech pan więc usiądzie - zaprosiła Johna. - Pański telefon bardzo mnie zaintrygował. Aż do tej pory mało kto wspominał biednego Nathana...

- Jakaś zmowa milczenia?

- Och nie, skądże znowu! Nathan był jednak jednym z najlepszych neurochemików w tym kraju i uważam, że po jego śmierci zbyt prędko o nim zapomniano. Jakby w ogóle nie istniał. To było bardzo smutne.

- Pani Klein... Wiem, że było to bardzo dawno temu. Nie chciałbym ożywiać przykrych wspomnień, a jednak muszę się dowiedzieć kilku rzeczy o pani mężu. Czy pamięta pani ostatnie tygodnie jego życia? Chodzi mi o to, czy zachowywał się wówczas, no... nienormalnie?

- Skądże! Był normalny i czuł się doskonale. Dlatego tak bardzo się zdziwiliśmy, kiedy miał ten atak. Pracował akurat nad jakimś zupełnie nowym zagadnieniem neurochemicznym i bardzo go to

ekscytowało. Był taki ożywiony, jakby odmłodził, wszystko, co robił, robił z ogromnym entuzjazmem. Poza tym okazało się, że pięknie maluje. Lubił malować już wtedy, gdy go poznałam, jednak wkrótce praca naukowa tak go pochłonęła, że musiał to porzucić. W tych ostatnich tygodniach niespodziewanie ściągnął ze strychu sztalugi i zaczął malować portrety, krajobrazy i Bóg jeden wie co jeszcze. Były doskonałe, mówię panu, o wiele lepsze niż te, które tworzył za młodu; nawiasem mówiąc, wówczas jego prace wcale mi się nie podobały.

- Coś jeszcze?

- Jasne. Zrobił dla mnie cały komplet nowych mebli do kuchni. Zbudował

stylizowaną na gotyk budę dla psa. Z trzema przyjaciółmi założył kwartet muzyczny i skomponował dla niego wszystkie utwory. Tworzył również poezje; dotąd nie miałam pojęcia, że potrafi pisać wiersze.

- Wróćmy do tego projektu neurochemicznego, o którym pani wspomniała... Czy mąż pracował nad tym sam, czy razem z kimś?

- Tak, miał współpracownika. Nawet nie jestem pewna, czy był to oryginalny pomysł Nathana, czy tamten włączył się do badań na jakimś późniejszym etapie.

- Pamięta pani, z kim współpracował?

- Oczywiście. Z doktorem Zweifelem. Czasami odnosiłam wrażenie, iż nie mogą istnieć bez siebie. Nathan mówił, że ich praca objęta jest najściślejszą tajemnicą.

Opracowywali jakieś lekarstwo, które miało leczyć upośledzonych umysłowo czy coś takiego.

- Wiadomo pani może, czy zmarły mąż sam zażył to lekarstwo?

- Hmm... Nie wiem. Chyba nie. Był bardzo ostrożny, jeżeli w grę wchodziły jakiegokolwiek pigułki i środki farmakologiczne. Wszystko testował na szczurach.

Czasami mówił do mnie, że działanie każdego specyfiku należałoby próbować w pierwszym rzędzie na politykach. Oczywiście żartował.

- Niech pani jednak pomyśli o jego zachowaniu w ostatnich miesiącach przed śmiercią. Przecież namiętnie malował, pisał i tak dalej. To nie było u niego normalne, prawda? Czy nie sądzi pani, że mógł to być efekt działania jakiegoś leku? Na przykład takiego, który rozszerzał możliwości umysłu?

Pani Klein przechyliła głowę i popatrzyła podejrzliwie na Johna.

- Czy pan wie o czymś, o czym ja nie wiem? - zapytała.

- Będę z panią szczery. Chyba tak. Zechce mi pani powiedzieć, jak zmarł pani mąż?

- Czy to ma jakieś znaczenie? To było straszne. - Utrata kogoś, kogo się kocha, zawsze jest straszna.

A dla mnie naprawdę ważne jest, bym poznał szczegóły jego śmierci.

- Jak pan powiedział, skąd pan przyjechał?

- Reprezentuję Western Eye Industrial Investigations z San Francisco. Zajmujemy się obecnie pewnymi poważnymi nadużyciami w amerykańskiej neurochemii.

- Chyba nie sugeruje pan, że Nathan uczynił coś złego...

- Och, nie. Daleko mi do tego. Podejrzewamy, że Nathan padł ofiarą poważnej niekompetencji. Jeżeli to udowodnimy, być może będzie pani mogła wystąpić do sądu o milionową rekompensatę. Z dużymi szansami na zwycięstwo w procesie.

To akurat nie zrobiło na pani Klein wrażenia.

- Nie dbam o pieniądze. Dałabym dziesięć milionów dolarów, żeby wrócić życie Nathanowi. - Milczała przez chwilę. - A więc chce się pan dowiedzieć, jak umarł...

Wiózł mnie właśnie na kolację do państwa Buracków do Littleton. Po jakichś dziesięciu minutach jazdy niespodziewanie podniósł ręce z kierownicy i pozwolił, żeby samochód stoczył się do rowu. Zapytałam go, co się stało, czy dobrze się czuje, ale on tylko na mnie popatrzył i wyszeptał: „Kim jesteś?” Zapomniał mnie w jednej chwili. Zapomniał

też, kim sam jest. Nie wiedział, dokąd właśnie jedziemy i dlaczego. Zapomniał nawet, jak prowadzi się samochód. Zdołałam zatrzymać jakąś przejeżdżającą ciężarówkę i kierowca zawołał ambulans. Nathan spędził pięć tygodni w szpitalu. Odwiedzałam go codziennie; nie odzyskał już pamięci, a pod koniec piątego tygodnia jego stan gwałtownie się pogorszył. Cóż, w chwili gdy umierał, trzymałam jego rękę, a on nawet nie pamiętał, kim jestem. To było okropne. - Pani Klein wyjęła chusteczkę i otarła wilgotne oczy. - Nawet jeżeli się dowiem, dlaczego umarł i kto jest za to odpowiedzialny, niczego to nie zmieni. Nic nie przywróci mi Nathana. Mimo to gdyby istniała taka możliwość, chciałabym wiedzieć...

- Przypuszczam, że mam już coś na ten temat - powiedział John. - Czy pani mąż zostawił jakieś papiery, notatki, na które mógłbym zerknąć?

- Większość dokumentów znajduje się w bibliotece. Wciąż przechowuję jednak jego osobiste dokumenty. Przypuszczam, że chciałby pan obejrzeć te, które sporządził

na samym końcu?

- Potrzebuję czegokolwiek z okresu, gdy współpracował z doktorem Zweifelem.

Pani Klein pozostawiła Johna na chwilę samego. Czekał niecierpliwie, wsłuchując się w głośne tykanie zegara na kominku. To nie mógł być przypadek: dwóch naukowców, którzy współpracowali z doktorem Lügnerem, doznało nagłego, całkowitego i niewytłumaczalnego zaniku pamięci. Czyżby to był naturalny, uboczny efekt działania synaptyny? Ale przecież doktor Lügner również zażywał synaptynę, dlaczego więc nie przydarzyło mu się to samo?

Może był świadkiem tego, co się stało z doktorem Bronem oraz doktorem Kleinem, i zmienił skład synaptyny w taki sposób, że stała się bezpieczna? A może nie musiał tego robić? Może jego umysł stał się tak genialny, że sam wyprodukował środek przeciwko ubocznemu działaniu synaptyny likwidującemu pamięć?

Pani Klein powróciła z wielką księgą oprawioną w skórę.

- Proszę bardzo, chyba tego pan szuka. Nathan zawsze prowadził coś w rodzaju pamiętnika. Mężczyzna, który brał jego dokumenty do biblioteki, powiedział, że chce wszystko: notatki, kasety magnetofonowe, również osobiste zapiski. Ja mu jednak tego nie dałam, to zbyt osobiste. Zobacz pan, że w środku znajdują się nawet małe szkice i rysunki.

- Jak sądzę, nie pożyczę mi pani tego...

- Nie - odparła pani Klein uprzejmie, ale stanowczo. - Może pan jednak czytać tutaj. Jeżeli będzie pan chciał robić notatki, może pan usiąść przy stole w jadalni.

John spędził w pokoju jadalnym pani Klein prawie trzy godziny. Doktor Klein prowadził tak szczegółowy dziennik, że aż dziwne było, iż znajdował jeszcze czas na pracę naukową. Pisał, co zjadł na śniadanie, jak się ubierał, jaka była pogoda, notował

setki szczegółów. Jeżeli tylko zainteresował go jakiś artykuł w „Boston Globe”, wycinał

go i wklejał do pamiętnika, dodając mnóstwo własnych komentarzy. Robił niewielkie szkice miejsc, które odwiedzał, a także karykатуrował ludzi, których spotkał.

Wreszcie przejrzawszy dwie trzecie dziennika, zaraz po uwagach doktora Kleina na temat pogody i komentarzach na temat pewnej notatki prasowej (CZŁOWIEK Z

BOSTONU,

KTÓRY ZAPAMIĘTAŁ JEDENAŚCIE TYSIĘCY NUMERÓW

TELEFONICZNYCH!), John natrafił na karykaturę mężczyzny, w którym natychmiast rozpoznał doktora Lügnera. Pod rysunkiem doktor Klein napisał: „Jadłem dziś lunch z doktorem Henrym Zweifellem z University of California w San Diego. Doktor Zweifel jest przekonany, że wynalazł środek, który zrewolucjonizuje ludzki umysł. Pragnie, bym asystował mu przy serii testów. Wypróbował już ten środek częściowo na sobie i podczas lunchu zademonstrował mi nadzwyczajne zdolności, jakie dzięki niemu błyskawicznie uzyskał. Przy pierwszym daniu byłem sceptykiem, ale kiedy kelner podał

drugie danie, byłem już przekonany. Na przykład doktor Zweifel był w stanie pamiętać każde słowo wypowiedziane podczas naszej rozmowy od samego początku. Potrafił

także w ciągu minuty powtórzyć po kolei sto cyfr, które chwilę wcześniej zapisałem na serwetce, a zaledwie przez moment na nią spojrział”.

W ciągu następnych dwóch miesięcy doktor Klein pisał bardzo niewiele o doktorze Zweifelu, a już zupełnie nic o synaptynie. Dziennik nie pozostawiał jednak wątpliwości, że poziom inteligencji jego autora wzrastał w błyskawicznym tempie. Kilka stronik zajmowały filozoficzne rozważania na temat ludzkiej zdolności do percepcji zjawisk i wydarzeń; było to tak nudne, że John prawie zasnął.

Potem jednak pojawił się akapit jednoznacznie wskazujący, że doktor Klein zaczął nabierać jakichś podejrzeń wobec doktora Zweifela.

„Zadałem doktorowi Z. kilka pytań dotyczących drogi naukowej, jaką musiał przejść, by dokonać swojego wynalazku. Zaczął unikać jasnych odpowiedzi, co dotąd było u niego raczej niespotykane. Jego gadanina była w gruncie rzeczy tak pokrętna, że postanowiłem sam skontaktować się z katedrą neurochemii University of California.

Rozmawiałem telefonicznie z profesorem Fellowesem i dowiedziałem się, że nigdy nie słyszał o doktorze Z. ani o badaniach, które byłyby chociażby pokrewne z jego odkryciem. Naturalnie żywo się zagadnieniem zainteresował. Kiedy opowiedziałem o tej rozmowie doktorowi Z., wpadł w złość i stwierdził, że nadużywam jego zaufania.

Synaptyna powstała bowiem podczas drugiej wojny światowej, badania koordynował i finansował Departament Obrony i nikt nie powinien na jej temat niczego wiedzieć”.

Mimo tego wyjaśnienia doktor Klein wciąż był dociekliwy.

Zażywał przecież synaptynę i uważał, że ma prawo dowiedzieć się jak najwięcej o tym specyfiku. Skontaktował się z przyjacielem, którego syn pracował w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa w Waszyngtonie.

„Jamie dotarł do pewnych tajnych materiałów i przekazał mi informację, że Departament Obrony interesował się podczas drugiej wojny światowej pewnymi badaniami neurochemicznymi. Ich rezultaty miały służyć doskonaleniu efektywności przesłuchań i tak zwanemu «praniu mózgów». Poszukiwano chemikaliów, które można by rozpryskiwać nad terenami zajmowanymi przez nieprzyjaciela albo rozpuszczać w systemie wodnym. Działanie tych środków miało polegać na osłabieniu morale wroga i woli walki; nie miały natomiast zabijać ani trwale upośledzać. Istniały jeszcze inne projekty neurochemiczne, na przykład plany pozbawienia ludzi pamięci na skalę całych narodów. Czy można wyobrazić sobie naród, który nagle stracił tożsamość, który zapomina, dlaczego właściwie toczy wojnę? Wiele projektów wydaje się czystą fantazją, rozważając je jednak, należy pamiętać, że w latach czterdziestych toczyliśmy wojnę o samo istnienie, traciliśmy dziesiątki, setki, tysiące młodych mężczyzn i nawet najbardziej nieprawdopodobne pomysły, których celem było szybsze zakończenie konfliktu zbrojnego, poddawano szczegółowym rozważaniom”.

Doktorowi Kleinowi powiedziano, że wszystkimi projektami z dziedziny neurochemii zajmował się Departament Międzynarodowej Współpracy Naukowej -

DMWN. „Spróbowałem dotrzeć do nich. Numer ich telefonu widniał w książce telefonicznej

Rockville w stanie Maryland. Dzwoniłem tam wielokrotnie, jednak nikt nie podnosił słuchawki. Rozmawiałem z Rayem Gatlingiem, kierownikiem działu nauki w «Boston Globe»; powiedział mi, że owszem, słyszał o DMWN, jednak wszystkie poczynania tej instytucji są tajne i do dnia dzisiejszego nie ujawniono żadnego fragmentu jej prac, nawet tych z początków jej funkcjonowania. Ray wiedział, że dyrektorem DMWN jest Titan Blight, bogaty biznesmen z Massachusetts, zamieszkujący w Dedham nad Charles River. Próbowałem dotrzeć do pana Blighta, powiedziano mi jednak, że przebywa na wakacjach w Europie i nieprędko wróci”.

Ostatnie notatki doktora Kleina były znacznie krótsze i znacznie bardziej ogólnikowe niż wcześniejsze. Dawało się jednak wyczuć w nich pewne wahania uczonego. Z jednej strony bowiem środek doktora Zweifela mógł otworzyć nową erę ludzkości, z drugiej jednak naukowiec okazywał się człowiekiem trudnym we współpracy, upartym i wybuchowym.

„Ponownie zasugerowałem doktorowi Z. ogłoszenie wspólnego artykułu w

«Neurochemii». Wpadł w niewyobrażalny gniew. Krzyczał i biegał po laboratorium jak opętany. Powiedziałem, że nie zażyję więcej synaptyny, jeżeli nie zgodzi się na publikację, ale chyba wiedział, że nie jestem zdolny do takiego posunięcia. Synaptyna otworzyła mi oczy na nowy świat. Środek ten uczynił mnie kimś w rodzaju boga. Jak mógłbym przestać to zażywać, skoro dzięki temu jestem w stanie zrozumieć wszystko, co się wokół mnie dzieje; interesuje mnie nawet baseball, którego zasad przez tyle lat nie potrafiłem pojąć”.

Kolejny wpis znacznie różnił się od pozostałych. Było to tylko jedno zdanie, napisane na kartce, która poza tym była pusta. „Odkryłem, że Zweifel znaczy po niemiecku «wątpliwość»,.. Po tym zdaniu następowały jeszcze trzy znaki zapytania. A więc stary trick, pomyślał John. Doktor Lügner - „Kłamca” - mógł być geniuszem, uwielbiał jednak kusić los.

Przedostatni wpis: „Spotkałem się dzisiaj z doktorem Z. na nabrzeżu w Bostonie i powiedziałem mu, że nie zamierzam kontynuować naszego wspólnego eksperymentu.

Wyznałem także, iż rozważam możliwość przeprowadzenia szczerzej rozmowy z Rayem Gatlingiem i opowiedzenia mu wszystkiego o synaptynie. Początkowo doktor Z. znów wpadł we wściekłość, ale wkrótce uspokoił się i zaczął mnie błagać, abym tego nie robił. Powiedział, że synaptyna wynaleziona została kosztem wielu istnień ludzkich.

Ludzie ci ucierpieli przy badaniach nad nią tak samo jak cywile, którzy znajdowali się w Alamagordo podczas testów broni atomowej. Tego typu działania dopuszczalne były w warunkach wojennych, obecnie jednak wszelkie informacje na ich temat mogłyby wywołać spore zamieszanie wśród najwyższej postawionych urzędników Departamentu Obrony. Nie dałem się jednak zbyć. Oznajmiłem mu, że cała sprawa musi zostać podana do publicznej wiadomości. Po długim wahaniu przyznał mi rację, poprosił jednak o dwadzieścia cztery godziny zwłoki, by mógł uprzedzić wszystkich osobiście nią zainteresowanych. Tego wieczoru zażyłem siódmą i ostatnią dawkę synaptyny”.

Następnego ranka doktor Klein pisał w swoim dzienniku po raz ostatni: „Znów miałem ten dziwny sen o Mandzurii. Padał deszcz, a ja obserwowałem dziewczynę prowadzącą kaczkę.

I znów numer 731. Chyba nigdy nie zrozumieję, co znaczy ów sen i dlaczego ogarnia mnie po nim tak wielkie poczucie winy”. John zamknął pamiętnik. Zdał sobie sprawę, że jest bardzo bliski zrozumienia, z jakiego powodu DMWN tak bardzo pragnie uśmiercić doktora Lügnera.

Tej nocy Micky przyjął w łazience piątą dawkę synaptyny. Popatrzył na swoje odbicie w lustrze i stwierdził, że prawie w niczym nie przypomina już tego Micky’ego sprzed kilku dni. Wzrastająca inteligencja jakby wpłynęła również na wyraz jego twarzy.

Powrócił do łóżka i zajął się lekturą Theory of Reversion Kellera. Autor twierdził, że diamenty wydobyte z ziemi i nie podlegające już dłużej ogromnemu ciśnieniu natychmiast ulegają procesowi, który polega na powrocie do poprzedniego, oryginalnego stanu. Za kilka tysięcy lat nawet z najpiękniejszej biżuterii na świecie nie pozostanie nic, jedynie bezwartościowe kawałki czarnego węgla. Nawet diamenty nie są wieczne.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Bładym świtem samolot Johna wylądował w Orlando. Podczas podróży mężczyzna nie zmrużył oka. Siedział obok potężnego ciemnoskórego marynarza, który zasnawszy snem sprawiedliwego, już przy starcie oparł głowę o ramię Johna z taką siłą, że ten nad ranem niemal go nie czuł. Do domu dotarł krótko po ósmej. Poranek był wyjątkowo gorący, a prognozy pogody ostrzegały przed gwałtownymi burzami spodziewanymi około południa.

Micky siedział przed domem, zajadając tosta z galaretą i czytając Zasadę nieoznaczoności Heisenberga. John przewiesił marynarkę przez poręcz werandy, usiadł

naprzeciwko Micky’ego i nalał sobie do filiżanki czarną kawę.

- Co słyszeć? - zapytał. - Masz jakieś wiadomości od Roxanne?

Micky odłożył książkę.

- Nie. Kompletnie nic. Nawet nie pozwolili mi rozmawiać z nią przez telefon. A ty wyśledziłeś doktora Lügnera?

- Jeszcze nie. Ale poczyniłem postępy i dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy.

Chyba wiem, dlaczego ci faceci w marynarkach chcą go zabić. Pamiętasz, jak mówił

nam, że w czasie drugiej wojny światowej pracował na rzecz zakrojonego na szeroką skalę programu mającego zwiększyć ludzki intelekt? Wygląda na to, że mówił prawdę, ale nie całą. Program pociągnął za sobą ofiary!

- Ofiary? Nie rozumiem.

- Wielu ludzi cierpiało z powodu przeprowadzanych na nich eksperymentach.

„Istotny ludzki koszt” to słowa samego Lügnera. Zresztą czytałem wcześniej wiele raportów o tym,

jak Departament Obrony Narodowej wykorzystywał personel militarny do testów broni chemicznej i biologicznej. Czy pamiętasz film Eksperyment filadelfijski? Pokazywał, jak testowano jakieś niewidzialne promienie na marynarzach.

W rzeczywistości naukowcy posuwają się często o wiele dalej. Jakies trzy lata temu prowadziłem śledztwo przeciwko kompanii farmaceutycznej z Anaheim. Chodziło o spór dotyczący zagranicznych patentów. Ale wiesz, co przy okazji wykryłem? Że podczas wojny kompania uczyniła młodych żołnierzy piechoty królikami doświadczalnymi. Czy wyobrażasz sobie, co im wstrzykiwano? Zarazki cholery, na miłość boską! Biedne dzieciaki zarażano cholera, żeby badać odporność ludzkiego organizmu.

- Ale doktor Lügner...

- Myślę, że ludzie, którzy porwali Roxanne, ci z DMWN, muszą mieć jakiś związek z eksperymentami doktora Lügnera. Podczas wojny DMWN odpowiedzialne było za wywiad naukowy, koncentrując się głównie na uzyskiwaniu informacji o badaniach wroga nad nowymi rodzajami broni, przede wszystkim niekonwencjonalnej.

Drugą część tego zadania stanowiły działania organizacyjne zmierzające do tego, by Stany Zjednoczone podążały za ewentualnymi osiągnięciami wroga, nie pozostawały w tyle, bo to przecież mogło spowodować nawet przegranie wojny. Pytanie brzmi: co się stało, gdy w kraju podjęto badania nad środkiem zwiększającym wydajność ludzkiego mózgu? Z całą pewnością coś bardzo złego i doktor Lügner wszystko na ten temat dokładnie wie.

- Masz jakiś pomysł, co to mogło być?

- Być może wielu ludzi straciło pamięć, tak jak to się stało z doktorem Bronem i doktorem Kleinem. Cóż, obaj współpracowali z doktorem Lügnerem i obaj zażywali synaptynę. Początkowo działała wspaniale; zarówno jeden, jak i drugi pięknie malowali, grali na fortepianie i tak dalej. Jednak i Bron, i Klein zaznali nagłej całkowitej utraty pamięci. W jednej chwili funkcjonowali na najwyższych obrotach, a w następnej wszystko się skończyło! Panowie nie wiedzieli nawet, jaki jest dzień tygodnia. Powiem ci coś, Micky: jeżeli cenisz własny mózg, powinieneś przestać zażywać to świństwo.

- Sam nie wiem... Do tej pory nie miałem żadnych problemów, no, może czasami czułem, że mam zbyt sucho w ustach.

- Mimo wszystko nigdy nie wiadomo... Problemy mogą się dopiero zacząć.

Przyjmiesz jeszcze jedną dawkę, a ta właśnie może okazać się kroplą, która przeleje czarę.

Micky popatrzył na zegarek.

- Zaraz muszę jechać do Broussarda. Systemy naprowadzania są gotowe do podłączenia.

- Jeszcze jedno - odezwał się John. - Pamiętasz swój sen o Mandżurii? I numer 731? I przebudzenie z poczuciem winy?

- Jasne. Dlaczego?

- Doktor Klein miał również ten sam sen. Ten sam numer 731. I to samo poczucie winy.

- To synaptyna. Doktor Lügner w jakiś sposób zdołał zawrzeć w niej fragmenty swojej pamięci.

- Właśnie. Ale co takiego wydarzyło się w Mandżurii, że wywołało u doktora Lügnera poczucie winy, które przelał na inne osoby: na ciebie, doktora Kleina i zapewne również na doktora Brona?

- Nie wiem. W ogóle nie rozumiem tego snu. Przecież na dobrą sprawę doktor Lügner nie mógł być w Mandżurii w czasie wojny. Zdaje się, że była okupowana przez Japończyków, prawda?

Micky poszedł się przebrać, a John pozostał na werandzie i w milczeniu pił kawę.

W jego umyśle zaczęły kiełkować jakieś nieuchwytnie, mgliste podejrzenia. To było coś związanego z Mandżurią. Może dotyczyło jedynie filmu Kandydat z Mandżurii, który pamiętał z lat sześćdziesiątych? Film opowiadał o zabójcy, który zaczął mordować, gdy poddano go praniu mózgu. Kojarzyło się to jakoś nieuchwytnie z synaptyna, doktorem Lügnerem...

Micky wyszedł na werandę w czystej żółtej koszuli i niebieskich dzinsach.

- No to na razie. Jeszcze się dzisiaj spotkamy - powiedział do Johna. - A może pojedziesz ze mną? Tam będzie Sara...

- Jasne. Poczekaj, zaraz będę gotów. - John podjął decyzję błyskawicznie.

Właściwie marzył o prysznicu, ale uznał, że kąpiel zabrałaby mu zbyt wiele czasu. -

Muszę koniecznie zobaczyć te twoje pociski.

- Nie robią wielkiego wrażenia.

- Zrobią dopiero wtedy, kiedy przelecą trzysta mil i trafią wyznaczonych osobników prosto w głowy.

Do Broussard Guidance dowiózł ich stały zespół ochroniarzy, którzy nie mieli zamiaru odstępować od rytuału osłaniania swych podopiecznych własnymi ciałami przy wsiadaniu do samochodu. Gdy dotarli do miejsca, Micky poszedł do warsztatu, a John rozgościł się w jego niewielkim pokoiku biurowym, przydzielonym mu tutaj na czas pracy dla Broussarda. Pomieszczenie umeblowane było mniej niż skromnie. W kącie stał wyschnięty kwiat w doniczce, a na ścianie wisiał wymięty kalendarz wydany przez NASA. Z boku znajdowało się duże biurko. Szerokie okno wychodziło na parking zastawiony dziesiątkami lśniących samochodów. Dla bezpieczeństwa umieszczono w oknie kratę.

John usiadł na krześle, ściągnął krawat i włączył komputer. Odnalazł swoje dane z Western Eye z San Francisco; ucieszył się, że Danny nie zmienił jeszcze hasła, dzięki czemu miał dostęp do całej kartoteki firmy. Zaczął przeglądać informacje na temat dwóch ostatnich spraw, do których

rozwiązania wynajęta została Western Eye: Hashimoto Pharmaceuticals i Heart Felt Inc. Instynkt podpowiadał mu, że znajdzie tutaj coś ważnego.

Najpierw zapoznał się ze sprawą Hashimoto. Długie i trudne śledztwo dotyczyło serii włamań do Bay Area - instytutu naukowego prowadzącego badania farmaceutyczne - oraz ukazywania się pewnych leków, które tam komponowano, na rynku japońskim, pod zmienioną nazwą i w innych opakowaniach. Jednym z leków był

środek antykoncepcyjny dla mężczyzn podawany w zastrzykach, dlatego Danny nazywał sprawę „śledztwem miękkiego członka”.

John przejrzał dokumenty Hashimoto linijka po linijce, ale jedyną wzmianką, którą można by odnieść do czasów drugiej wojny światowej, było nazwisko Ryosuke Murata, ówczesnego wicedyrektora japońskiego Narodowego Instytutu Zdrowia. Było tajemnicą poliszynelem, że w tajnych laboratoriach mieszczących się na terenie Jednostki 1644 w Nanjing Murata dokonywał makabrycznych eksperymentów na ludziach.

Kilkanaście minut wystarczyło, by John nabrał przekonania, że Hashimoto to trop wiodący ślepią uliczką. Postanowił przyjrzeć się Heart Felt.

Heart Felt Inc. było bankiem krwi w San Francisco, zajmującym się głównie eksportem elementów wzmagających krzepliwość krwi u osób cierpiących na hemofilię.

Firmę założono w roku 1980 i przez trzy lata prowadziła ona doskonale interesy z państwami położonymi na zachodnim Pacyfiku: Indonezją, Malezją, Tajwanem i Japonią, gdzie szybko utworzono drugi co do wielkości bank krwi. Znajdował się w Tokio i nosił nazwę Green Cross. Jednak w 1983 roku wśród chorych na hemofilię pojawiły się masowe zachorowania na AIDS i Ministerstwo Zdrowia z Tokio „ze względów bezpieczeństwa” ustanowiło dwuletni zakaz importu krwi i produktów krwiopochodnych. Heart Felt również została objęta zakazem, mimo że właśnie dla wyeliminowania wirusa HIV wszystkie jej produkty były przed opuszczeniem firmy podgrzewane do temperatury wrzenia. Green Cross nie stosował tego środka zapobiegawczego. Żadna z apelacji nie odniosła skutku i Heart Felt straciła w Japonii ponad trzy miliony siedemset tysięcy dolarów.

A jednak w 1996 roku japoński prawnik o nazwisku Tsutomu Shimuzu odnalazł

dokumenty, z których jasno wynikało, że Green Cross nie zabezpieczał odpowiednio swoich produktów i że zakaz wystosowany przez Ministerstwo Zdrowia miał na celu danie Green Cross czasu na rozwinięcie technologii zapobiegawczych. W okresie obowiązywania zakazu, gdy w lecznictwie stosowano tylko krajowe produkty, z powodu ich przyjmowania zachorowało ponad dwa tysiące ludzi. Ministerstwo Zdrowia i pięć wielkich kompanii farmaceutycznych wypłaciło im z tej racji wysokie odszkodowania.

Western Eye wynajęta zostało przez prawników Heart Felt dla udowodnienia, że istniało tajne porozumienie pomiędzy Ryoichi Naito, założycielem Green Cross, a japońskim Ministerstwem Zdrowia. John nie musiał udawać się do Japonii osobiście. Na bieżąco jedynie koordynował działania Ipi Sinkoshy, japońskiego agenta Western Eye.

Po sześciu tygodniach śledztwa Ipi przedstawił swój raport.

John nie miał wówczas powodów, żeby nadmiernie się nim interesować, teraz jednak przeczytał uważnie każde słowo.

„Ofiary wirusa HIV, które wniosły skargi do sądów w Tokio i Osace, twierdzą, że kompanie farmaceutyczne i banki krwi wykazały rażące lekceważenie ludzkiego życia.

Podkreślają, że po pięćdziesięciu latach od zakończenia drugiej wojny światowej nie spodziewano się po medycznym establishmencie kraju postawy, z jakiej znany był

wówczas, gdy działały «obozy badawcze broni biologicznej».

Japońscy żołnierze, którzy budowali ufortyfikowane laboratorium w Harbinie znajdującym się w Mandżurii, rozpowiadali na prawo i lewo, że ma to być tartak.

Później żartowali pomiędzy sobą, że maruta, czyli kłody drewna, były w rzeczywistości ludzkimi ciałami. Wewnątrz tego laboratorium i jeszcze innych tajnych ośrodków w Chinach naukowcy-lekarze odnotowywali efekty wstrzykiwania ludziom tyfusu i narażania ich na ukąszenia zarażonych much.

Chorych maruta japońscy lekarze rozcinali bez żadnych środków znieczulających i wyciągali z nich organy wewnętrzne w celu zbadania, z jaką szybkością oddziałuje na nie konkretna choroba. Jednym z najbardziej odrażających eksperymentów była operacja Kashkoi (po japońsku: „spryt”), do której posłużyło ponad 1100 więźniów; za życia odcięto im górne części czaszek, dzięki czemu japońscy lekarze mogli badać funkcjonowanie ich mózgow. Łącznie w ten sposób zginęło ponad trzy tysiące maruta, jeżeli nie znacznie więcej.

Kiedy wojna się zakończyła, lekarze musieli zadbać o własne bezpieczeństwo.

Sowieci chcieli ich wszystkich rozstrzelać. Jednak Ryoichi Naito, bakteriolog, dotarł do amerykańskiego pułkownika Murraya Saundersa, odpowiedzialnego za ściganie przestępstw dotyczących broni bakteriologicznej, gdy ten wylądował w 1945 roku w Jokohamie. Doktor Naito wybłagał amnestię w zamian za udostępnienie przez Japończyków wszystkich danych, które uzyskali w wyniku zbrodniczych eksperymentów.

Pułkownik Saunders, obawiając się, że otwarty proces mógłby przyczynić się do uzyskania przez stalinowskich naukowców wielu cennych informacji, wyraził zgodę na propozycję Ryoichi Naito. Dokumentację dotyczącą japońskich badań zablokowano, a ich uczestnicy zrobili po wojnie spektakularne kariery. Kilku objęło kierownictwo katedr medycznych na uniwersytetach. Przynajmniej czterech przestępców medycznych znalazło zatrudnienie w Narodowym Instytucie Zdrowia zajmującym się między innymi rejestracją leków dopuszczonych do obrotu. Ryoichi Naito założył razem z Masaji Kitano bank krwi. Trzecim współnikiem, który dołączył do nich po kilku tygodniach, był Hideo Futagi. Cała trójka miała na sumieniu nieludzkie eksperymenty, które przeprowadzili podczas wojny.

Rozmawiałem z profesorem Keiichi Tsuneishi, ekspertem w zakresie medycznych okrucieństw popełnionych przez Japończyków w czasie wojny. Uważa on, że to, iż zbrodniarze wojenni znaleźli się na wysokich stanowiskach w społeczności lekarzy, wskazuje na moralne zwyrodnienie tego środowiska w Japonii”.

Ostatni akapit raportu zbulwersował Johna najmocniej. Brzmiał następująco:

„Istnienie japońskiej jednostki medycznej rząd Stanów Zjednoczonych otacza taką tajemnicą, że jej nazwa nigdy nie pojawi się obok nazw Auschwitz, Buchenwald czy Bergen-Belsen, chociaż wielu młodych japońskich prawników nie ma wątpliwości, iż taki oddział istniał i powinien zostać właściwie osądzony. Laboratorium w Harbinie nosiło nazwę Jednostka 731”.

Boże, pomyślał John. Jednostka 731! Nic dziwnego, że doktor Lügner nosił w sobie tak wielkie poczucie winy. Zapewne pracował w Mandżurii razem z doktorem Naito i doktorem Kitano. Wynalazł synaptynę, eksperymentując na żywych ludziach: otwierał ich czaszki i przypatrywał się, jak funkcjonuje mózg.

Operacja Kashkoi... spryt.

Ale w jaki sposób znalazł się w Mandżurii? Amerykanin prowadzący badania w dziedzinie najbardziej tajnej z tajnych, w otoczonych największą tajemnicą ośrodkach na terytorium wroga?

Czy był zdrajcą? A skoro tak, dlaczego Titan Blight pragnął wyłącznie jego śmierci? Przecież wystarczyło złożyć na niego doniesienie, by został aresztowany i osądzony.

Chyba że Departament Międzynarodowej Współpracy Naukowej wiedział o operacji Kashkoi od samego początku i był w nią mocno zaangażowany.

Nieprawdopodobne? Niewyobrażalne? John nie wiedział, co o tym sądzić. Jednak zdawał sobie sprawę z tego, że bardzo głęboko zaczyna przenikać wielką tajemnicę i że jest ona znacznie mroczniejsza, niż się początkowo mogło zdawać.

John wciąż siedział przed komputerem, gdy do pomieszczenia weszła Sara. Była w jaskrawopurpurowej sukience, do której przypięła dużą lśniącą broszkę. Usiadła na skraju biurka i przez chwilę przypatrywała się Johnowi.

- Micky powiedział mi, że tutaj jesteś - odezwała się. - A więc nie znalazłeś jeszcze Williama Cicero?

- Jestem na tropie.

Wstała i pochyliwszy się, spojrzała na ekran monitora. John mógł teraz zajrzeć głęboko w jej dekolt. Czuł zapach perfum Ombre Rose, którymi skropiła ciało.

- Na monitorze masz coś o bankach krwi - stwierdziła. - Chyba nie sądzisz, że nasz ptaszek tam się schował?

- Próbuję dotrzeć do jego przeszłości, to wszystko.
- Telefonowałam dziś rano do Twisted River. Myślę, że zainteresuje cię wiadomość, iż Roxanne jest cała i zdrowa.
- Zdziwiał mnie przekonanie tego twojego pana Bligha, że to porwanie ujdzie mu na sucho.
- Och, na pewno ujdzie mu na sucho. Nigdy nie dzieje się inaczej. Żebyś wiedział, jak wielu ma przyjaciół. W policji, w sądownictwie, na Kapitolu. Nawet jeżeli doprowadziłbyś do aresztowania go, nie trzymano by go w celi dłużej niż przez jeden dzień. A ty tymczasem już do końca życia nie byłbyś pewien ani dnia, ani godziny.

Pocałowała Johna w czoło i wyprostowała się.

- Powinieneś zejść do warsztatu - stwierdziła. - Micky prawie już skończył

instalowanie pierwszego MiGR8.

- Prawie?

- W gruncie rzeczy tylko on wie, co się dzieje. Nasi technicy wpatrują się w niego jak w obrazek.

- Kiedy ma się rozpocząć test?

- Za dwa dni. Natychmiast po sprawdzeniu pocisków marynarka przetransportuje jeden z nich do bazy Sił Powietrznych Clark na Filipinach, a potem helikopterem na Kalifornię. Jeżeli pogoda pozwoli, oba pociski wystrzelone zostaną równocześnie.

- To bardzo mało czasu.

- Wcale nie. Oprócz systemu naprowadzania wszystko jest już gotowe od wielu miesięcy. John wyłączył komputer i wstał.

- Powiedz mi coś - odezwał się. - Co taka dziewczyna jak ty robi w tym przebrzydłym interesie?

Posłała mu uśmiech, który sprawił, że serce podskoczyło mu do gardła.

- Postaw mi dzisiaj kolację, a powiem ci - odparła.

Constance obudziła się o dziewiątej trzydzieści siedem i stwierdziła, że łóżko Lionela jest puste. Nigdy dotąd nie sypiała tak długo, jednak tej nocy leżała bezsennie i wsłuchiwała się w monotony szum oceanu i w oddech Lionela. Zastanawiała się, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy rzeczywiście polecą wkrótce do Rio de Janeiro w towarzystwie tego dziwnego mężczyzny.

Prawdę mówiąc, zaczynała już trochę tęsknić za domem. Wiele oddałaby za możliwość powrotu na dwie lub trzy godziny do galerii, aby sprawdzić, czy siostra utrzymuje wszystko w należytym porządku. Na szczęście spojrzawszy na plażę i białe grzywy zdobiące powierzchnię oceanu,

powiedziała sobie, że powinna mieć więcej odwagi i na razie zapomnieć o tym, co jeszcze niedawno stanowiło szarą codzienność jej życia. Jeśli teraz zrezygnuje z przygody, nigdy już nie zazna następnej. A gdy to wszystko się skończy, jaką wspaniałą autobiografię będzie mogła napisać!

Na nocnym stoliku leżała karteczka: „Do zobaczenia na basenie, gdy tylko zechcesz wyjść z pokoju. Kocham. L.” Ze skromnej garderoby wybrała prostą jasnozieloną sukienkę, białe sandały zawiązywane na rzemyki, naszyjnik z białych paciorków i biały słomkowy kapelusz. Zeszła na dół, by odszukać Lionela.

Był kolejny gorący dzień, wiał lekki, ciepły wiaterek. Przy basenie kłębiło się mnóstwo ludzi. Zaczęła się rozglądać, jednak nigdzie nie widziała Lionela. Minęło kilka minut, zanim wreszcie zauważyła go na schodach wiodących na plażę. Rozmawiał z młodą, ciemnowłosą dziewczyną, przyodzianą jedynie w bikini w paski zebry. Gdy Constance zbliżyła się na odległość kilku kroków, dziewczyna natychmiast odbiegła, a Lionel zerwał się na równe nogi.

Zawahała się na moment, jednak nie dała po sobie poznać, że scena ta jej się nie spodobała.

- Aha! - zawołał. - Oto moja śpiąca piękność. Zarezerwowałem dla nas materace do opalania. A może najpierw zjedlibyśmy jakieś śniadanie?

Constance usiadła na schodach.

- Musisz uważać na siebie - powiedziała. - Nie możesz przebywać za długo na słońcu, bo spalisz sobie skórę.

- Nie przewiduję więcej niż piętnaście minut opalania - zapewnił ją. - Muszę jednak pozbyć się przynajmniej mojej chorobliwej bladości.

Podeszli do restauracji na otwartym powietrzu i Lionel zamówił kawę, bułki i jajka po benedyktyńsku.

- Dzisiejszy dzień możemy w całości przeznaczyć na odpoczynek - powiedział. -

Jutro pojedziemy do Key West. A potem... Jeden skok i jesteśmy w Meksyku, skąd niedaleko do Rio.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytała Constance. Zmarszczył czoło.

- Z nikim - odparł.

- Rozmawiałeś. Na schodach prowadzących na plażę.

- Och, chodzi ci o tę dziewczynę? Pytała mnie o godzinę, to wszystko. - Umilkł na moment, po czym uśmiechnął się i uściśnął dłoń Constance. - Chyba nie jesteś zazdrosna, co?

Wcisnąwszy się w niewygodny kombinezon Broussard Guidance Systems i włożywszy papierowy kapelusz, John poszedł do warsztatu. Micky w podobnym stroju chirurgicznym i dodatkowo w masce na twarzy pochylał się nad jednym z pocisków, ostrożnie opuszczając MiGR8 na przeznaczone mu

miejsce. Manuel Ortez i trzej inni technicy z bliska obserwowali każdy jego ruch; na ich twarzach malowało się niemal komiczne skupienie.

- Jak idzie? - zapytał John, kiedy Micky odkręcił ostatnią śrubę mocującą MiGR8.

- Chyba skończyłem - odparł Micky, cofając się i zdejmując maskę z twarzy. - Oba systemy naprowadzania były już kompletnie zaprogramowane i gotowe do pracy.

Gdyby ci biedni ludzie mieli pojęcie o synaptynie, sami by wszystko podłączyli.

- Sara powiedziała mi, że testy odbędą się za dwa dni. Wiesz, na czym wówczas polegać ma twoja rola.

- Gdyby zaszła taka potrzeba, moglibyśmy strzelać nawet dzisiaj.

- Gene Broussard jest chyba zadowolony...

- Zadowolony? Zachowuje się, jakby Boże Narodzenie przyszło o pół roku wcześniej. Lotnictwo taktyczne Sił Powietrznych USA przysłała tu dla oceny nowego wynalazku całą ekipę łącznie z zastępcą sekretarza obrony do spraw programów i wdrożeń.

John chwycił Micky'ego za ramię.

- Posłuchaj - powiedział. - Być może miałem dzisiaj rano trochę szczęścia. Sen, który ci się śnił, wspomnienie czy jakkolwiek to nazwiesz, widzisz... przypuszczam, że związany jest z japońskim laboratorium badawczym, które istniało podczas drugiej wojny światowej w Harbinie. Wykonywano tam najróżniejsze eksperymenty medyczne na żywych ludziach; na przykład zamrażano ich albo usuwano im wewnątrzności bez żadnych środków znieczulających. Jeden z eksperymentów nosił nazwę operacja Kashkoi. Polegał na odcinaniu ludziom wierzchołków czaszek, żeby obejrzeć, jak funkcjonują ich mózgi, podczas gdy oni przez cały czas żyli.

- Japończycy byli, rzecz jasna, naszymi wojennymi wrogami. Ale nawet w czasie konfliktów zbrojnych poszczególne kraje nie zrywają całkowicie łączności między sobą.

Kontaktują się biznesmeni, artyści, pisarze... W tym wypadku wygląda na to, że współpracowali również naukowcy. Uważam, że operacja Kashkoi została częściowo lub całkowicie zainicjowana przez DMWN i że doktor Lügner brał w tym udział.

Dlatego otacza się taką tajemnicą. Być może Titan Blight jest winien przestępstw wojennych, ale w tym wypadku winien jest również doktor Lügner. Prawdopodobnie wystarczy to, by nigdy nikomu nic na ten temat nie powiedział, jednak Titan Blight prowadzi w tej chwili kampanię prezydencką tego całego Baxtera Patrica i chciałby mieć więcej niż stuprocentową pewność, że doktor Lügner nie zniszczy go poprzez wyznaczenie, co i na czyje polecenie robił w czasie wojny.

- Jest dla mnie jasne, że wciąż istnieje jakieś powiązanie między doktorem Lügnerem i Titanem Blightem, nie wiem jednak, na czym ono obecnie polega. Doktor Lügner to wolny strzelec, ekscentryk, no i geniusz. Titan Blight opiera wszystko na swoim bogactwie. Nie będzie mi łatwo

znaleźć Lügnera, czuję jednak, że mi się to uda.

- A jeżeli nie?

- Znajdę go, obiecuję ci. Tymczasem jednak chcę zdobyć wszelkie możliwe informacje, które pozwolą mi udowodnić zaangażowanie DMWN w operację Kashkoi.

Kiedy mi się to uda, Titan Blight nawet palcem nie śmie tknąć Roxanne.

- Ale wysła facetów w marynarkach również za tobą.

- Będę się tym martwił wtedy, gdy to nastąpi. Micky położył dłoń na ramieniu Johna.

- Dziękuję ci - powiedział. - Wiem, że zrobisz wszystko, co będzie w twojej mocy.

Trzymaj się. Ja muszę wracać do mojego MiGR8. Przed nami przynajmniej pięć godzin testów „na sucho”, zanim zaczniemy montować głowice z materiałem wybuchowym.

Titan powrócił do pokoju Roxanne krótko po pierwszej. Siedziała na skraju łóżka i oglądała program telewizyjny. Lunch znajdował się nietknięty na tacy.

Titan stał przez chwilę obok dziewczyny, paląc papierosa i obserwując przygody kaczoza Donalda. W końcu odezwał się:

- Czego pragniesz najbardziej na świecie?

- A jak myślisz? - odburknęła, nie odrywając oczu od ekranu telewizora. - Chcę się stąd wydostać i znaleźć w domu.

- Czy nigdy nie zastanawiałaś się, jak by to było, gdybyś była bogata? - zapytał

Titan. - Miałabyś własny samochód. Jakie samochody ci się podobają? Mercedesy?

Ferrari? Mogłabyś nosić najdroższe ubrania, wszystkie, jakie by ci się spodobaly.

Mogłabyś podróżować. Byłaś kiedyś na Bali albo na Madagaskarze?

- Chcę jechać do domu - powtórzyła. Klepnął ją w ramię.

- Oczywiście, że chcesz - powiedział łagodnie. - Masz jednak wiele czasu, by zmienić zdanie.

Kiedy tylko w Tokio rozpoczął się dzień, John zatelefonował do Ipi Sinkoshy. Ten jechał akurat do centrum miasta ze swego domu w podmiejskiej dzielnicy Shibuya i utknął w tej chwili w potężnym korku. Padał deszcz i John słyszał w słuchawce odgłos wydawany przez gumowe wycieraczkę oczyszczającą z wody przednią szybę auta.

- John? Co za niespodzianka! Rozmawiałem w zeszłym tygodniu z Dannym i powiedział mi, że nie

pracujesz już dla Western Eye.

- Zgadza się. Ale to nie znaczy, że nie pracują wcale. Posłuchaj, czy pamiętasz śledztwo w sprawie banku krwi Heart Felt? W swoim raporcie wspomniałeś o czymś, co nazwałeś Jednostką 731... Chodzi o to medyczne laboratorium badawcze w Mandżurii...

Tak, właśnie o to. Wspomniałeś także w kontekście badań na otwartych mózgach żywych ludzi o operacji Kashkoi... Właśnie, muszę się dowiedzieć, czy w tych eksperymentach brał udział lekarz z Ameryki.

- Amerykanin? Oczywiście, że nie. Przecież była wojna, a istnienie Jednostki 731

otoczono najgłębszą tajemnicą.

- Ale czy istnieje możliwość, że do Jednostki 731 przeszmyglowano kogoś w tajemnicy?

- Chyba nie. Po wojnie wywiad wojskowy USA dokładnie sprawdził wszystkich lekarzy, którzy pracowali w Harbinie. Nie uwięziono ich oczywiście. To była część układu z pułkownikiem Saundersem. Jednak wszystkich szczegółowo przesłuchano.

Jeżeli jakikolwiek amerykański naukowiec miałby coś wspólnego z badaniami w Harbinie, jestem pewien, że wywiad by się o tym dowiedział.

John pochylił się nad biurkiem, podpierając czoło dłońmi. Za oknem dogasało słońce, w Tokio Ipi przespał już noc, która tutaj dopiero miała nadejść.

- Czy mógłbyś jednak jeszcze raz to sprawdzić? - zapytał. - Naprawdę jestem przekonany, że w operację Kashkoi zaangażowany był neurochemik z Ameryki.

- Nie jestem pewien - odparł Ipi. - Mogę ewentualnie porozmawiać z panem Shimuzu, prawnikiem. Może on ma informacje, o jakich ja nie słyszałem.

- Ile czasu na to potrzebujesz? To naprawdę pilna sprawa, uwierz mi.

- Nie wiem. Może uda mi się złapać go dzisiaj, jeśli wydam się z tego korka.

Czy jesteś pewien, że ten neurochemik nie był Niemcem?

- Co?

- Mówię o tym twoim lekarzu. Czy jesteś pewien, że nie był Niemcem? Wiem, że mieli jakiegoś niemieckiego badacza w Jednostce 731. Przynajmniej tyle wynika z raportów wywiadu amerykańskiego. Pracował przy operacji Kashkoi i jakichś eksperymentach na kobietach. Po wojnie jednak zniknął; po pięciu latach uznano go za zmarłego.

- Jak on się nazywał?

- Och, daj spokój, John! Spodziewasz się, że pamiętam?

- Ale masz jakieś notatki na jego temat...

- Jasne, w biurze. Mogę ewentualnie zadzwonić do mojej sekretarki, by rzuciła na nie okiem.

- Zrób to, Ipi. To bardzo ważne.

John odłożył słuchawkę. Siedział przez chwilę w milczeniu, nerwowo bębniąc palcami o blat biurka i rozmyślając. Nagle ponownie chwycił słuchawkę i zatelefonował

do kliniki w Santa Cruz.

- Pan Huntley? Dobrze, że pan zadzwonił. Od wczoraj próbujemy się z panem skontaktować.

- Co z Jamiem? Czy dobrze się czuje?

- Przykro mi, panie Huntley, ale sprawy przybrały zły obrót. John natychmiast odgadł, co za chwilę usłyszy; wiedział, że musi to usłyszeć, że wreszcie stało się to, co było od początku nieuchronne. A mimo to bał się, chciał odłożyć słuchawkę i udawać, iż nie próbował kontaktować się dzisiaj z Santa Cruz, a wszystko wciąż jest tak, jak było wczoraj i przedwczoraj.

- Czy Jamie nie żyje...? - wyjąkał z trudem.

- Bardzo nam przykro, panie Huntley - usłyszał odpowiedź. Nie miał wątpliwości, że personelowi kliniki rzeczywiście jest przykro. - Nie cierpiał - dodał litościwie rozmówca Johna.

Skąd jednak mogli to wiedzieć? Przecież od chwili, w której kula przeszła czaszkę Jamiego, nie był w stanie z nikim nawiązać kontaktu. Może był szczęśliwy, a może tragicznie smutny... Może miewał wspaniałe sny, może słyszał muzykę, może żył

wewnętrznym życiem, którego nikt poza nim nie znał?

John odłożył słuchawkę i siedział wyprostowany, nawet nie zdając sobie sprawy, że łzy płyną z jego oczu, toczą się po policzkach i kapią na koszulę. Pomyślał, że powinien zatelefonować do Lorny, jednak wiedział, że łkałby do słuchawki, a ona byłaby spokojna, zimna jak gład... Zapragnął usłyszeć Maggie, ale uznał, że nie potrafiłby teraz dzielić z nią swojego żalu. Być może w tej właśnie chwili po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że ich związek definitywnie się zakończył.

Nigdzie nie zadzwonił. Wstał i poszedł do warsztatu, gdzie Micky siedział przed rzędem monitorów, sprawdzając program MiGR8.

- John... Co się stało? Hej, człowieku, o co chodzi? - zawołał Micky na jego widok.

John stał przez chwilę na środku warsztatu i niespodziewanie odkrył, że nie jest w stanie wymówić słowa. - Ja... ee...

- Co się stało, John? - powtórzył Micky. - Wyglądasz okropnie.

- Ja... Właśnie dowiedziałem się o moim synu.

Micky wiedział już, że Jamie jest w stanie śpiączki; wystarczyło mu jedno spojrzenie na twarz Johna, by się zorientować, co się stało. Podeszedł do niego i objął go ramieniem. Milczał, a tymczasem John przyłgął do niego i cicho, żałośnie łkał, ocierając łzy w jego niebieski kombinezon Broussarda.

- To była moja wina - powiedział John po długiej chwili. - Miał zaledwie cztery lata i z mojej winy...

Micky nie próbował mu przerywać. Wiedział, że nie miałyby to sensu. Z

podobnym poczuciem winy chodził przecież i on sam. Czuł się odpowiedzialny za śmierć Mingusa i jego matki.

Czuł się też winny z powodu porwania Roxanne, zresztą nie tylko z powodu porwania i zagrożenia jej życia; wiedział, że do tej pory nie dbał o nią tak, jak powinien.

W końcu John odsunął się od niego, wytarł nos i spróbował się uśmiechnąć.

- To przecież musiało się zdarzyć któregoś dnia - odezwał się. - Może powinienem być zadowolony, że męczarnia Jamiego się zakończyła? Może śmierć była dla niego lepszym wyjściem niż leżenie przez kilkadziesiąt lat na niebieskim materacu i wegetowanie?

Do Micky'ego podeszedł Manuel Ortez.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział. - Musimy dokończyć test orientacji.

- Nie, na dzisiaj dosyć - postanowił Micky. - Dokończymy go jutro.

- Micky, nie przeszkadzaj sobie - zaproponował John. - Ze mną już wszystko w porządku. Właściwie to spodziewałem się tej chwili od wielu lat. Poza tym... Muszę przecież szukać doktora Lügnera. Twoja Roxanne wciąż żyje. Teraz musimy myśleć przede wszystkim o niej.

Powrócił do biura. Trzy sekretarki, które minęły go po drodze, uśmiechnęły się do niego i powiedziały „cześć”, jednak przeszedł obok dziewcząt, jakby ich nie zauważył.

Wbrew temu, co powiedział do Micky'ego, jeszcze całkowicie nie doszedł do siebie.

Nagle laboratoria Broussarda wydały mu się nieprzyjemne i obce. Na jakiejś ścianie ujrzał wizerunek roześmianego klauna i odebrał to tak, jakby wymalowano go tutaj po to, żeby z niego zadrwić w dniu, w którym spotkało go tak wielkie nieszczęście.

Znów usiadł za biurkiem. Wykręcił numer Lorny, ale gdy tylko usłyszał sygnał, odłożył słuchawkę. Po chwili zatelefonował do Constance, do Melbourne. Nie miał od niej żadnej wiadomości od dłuższego czasu i przypuszczał, że powróciła już do swojej galerii. Bardzo lubił z nią rozmawiać.

Była ekscentryczna, dziwaczna, ale na swój sposób opiekuńcza i pełna ciepła. Przybrana matka dla mężczyzn w średnim wieku, którzy dawno stracili własne matki.

- Galeria Carden, w czym mogę panu pomóc?

- Constance? Tu John Huntley. Krótka pauza.

- Przepraszam, panie Huntley, ale Constance tutaj nie ma. Mówi jej siostra, Irenę Walmer.

- A kiedy Constance wróci?

- Sama chciałabym wiedzieć, panie Huntley. Zdaje się, że zafundowała sobie przedłużone wakacje.

- Sama?

- Nie wiem, czy wolno mi odpowiedzieć.

- Pani Walmer, sytuacja jest krytyczna. Muszę wiedzieć, czy Constance jest teraz sama, czy nie.

- Chyba pan nie sugeruje, że coś jej grozi?

- Nie wiem. Ale jeżeli jest właśnie z kimś, kogo mam na myśli, muszę z nią porozmawiać, i to bardzo szybko.

- Mogłabym przekazać wiadomość od pana.

- Proszę, pani Walmer. Muszę się natychmiast dowiedzieć, gdzie teraz jest Constance i z kim!

Kolejna, dłuższa pauza.

- Zabije mnie, jeżeli panu powiem.

- Pani Walmer, musi mi pani powiedzieć! Nawet nie potrafię wytłumaczyć pani, jakie to ważne.

Jeszcze dłuższa pauza.

- A nie powie jej pan, że wiadomość pochodzi ode mnie?

- Oczywiście, że nie.

- No dobrze, powiem więc panu. Dzisiaj po południu telefonowała do mnie z hotelu Doral z Miami. Powiedziała, że spotkała wspaniałego mężczyznę i że zamierza spędzić z nim trochę czasu w Ameryce Południowej. W Rio de Janeiro, żeby być precyzyjnym. Powiedziała, że temu mężczyźnie na imię Lionel i że chyba go kocha.

- Lionel? Czy to wszystko, co pani o nim powiedziała?

- Mówiła też, że jest bardzo inteligentny. Uczył ją, w jaki sposób należy rozumieć sztukę Renesansu.

- To on - powiedział John zdecydowanym głosem. - To ten sam facet. Dziękuję pani, pani Walmer, bardzo mi pani pomogła. W gruncie rzeczy rozmowa z panią przyniosła mi pierwsze promyki słońca podczas tego ponurego dnia.

- Cieszę się - odparła Irene trochę zaskoczona. - Niech pan powie Constance, żeby się ze mną skontaktowała, dobrze?

- Oczywiście, pani Walmer - odparł i odłożył słuchawkę. Znalazłem go, ucieszył się. Znalazłem go. Teraz potrzebuję jeszcze tylko niepodważalnego dowodu, że pracował dla Jednostki 731.

Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaterkotał faks i po chwili John miał przed sobą kartkę z wiadomością. Nadał ją Ipi i miała datę dnia następnego, zgodnie z czasem, który obowiązywał już w Japonii. John przeczytał:

„Według danych wywiadu wojskowego Stanów Zjednoczonych jedynym niejapońskim lekarzem, który pracował w Jednostce 731 w Harbinie, był Niemiec.

Naukowiec ten spędził blisko trzy lata w Mandżurii, po czym wyjechał do Tokio; ostatnie wiadomości o nim pochodzą z dnia 9 marca 1954 roku, sprzed wielkiego bombardowania stolicy Japonii, które trwało przez całą noc z 9 na 10 marca. Ponieważ tej nocy zginęło w Tokio bardzo wiele osób - ponad osiemdziesiąt tysięcy - i sporej grupy ofiar nie zidentyfikowano, mężczyznę tego uznano za zmarłego. Podczas pracy w Jednostce 731 związany był przede wszystkim z eksperymentami wykonywanymi na mózgu ludzkim, w większości prowadzonymi na żywych jeńcach wojennych. Nazywał

się doktor Hans Versammlung. Nie natrafiłem na żadne informacje o jego wcześniejszej karierze i pracy w Niemczech; być może wszelka dokumentacja zaginęła podczas wojny”.

John obejrzał na półce słownik niemiecko-angielski i zaczął szukać słowa Versammlung. Już na pierwszy rzut oka bardziej przypominało pospolity rzeczownik niż jakiegokolwiek niemieckie nazwisko. ”Versammlung, rzeczownik, rodzaj żeński =

gathering”. Czy był to kolejny dowcip naukowca, taki jak „Lügner” albo „Bakayaro”?

Jeżeli tak, to był to dowcip cholernie trudny do zrozumienia. Gathering - co?* [przyp.: Gathering (ang.) - zgromadzenie (przyp. tłum.)] Gathering - kto? Może chodziło o zmysły? Albo o jakiś klan? W przeciwieństwie do poprzednich nazwisk, których używał

doktor Lügner, to wydawało się nie mieć żadnego sensu.

A może „Gathering” było jego prawdziwym nazwiskiem?

John postanowił pójść tym tropem. W końcu co zaszkodzi sprawdzenie tego? Być może absurdalne było przypuszczenie, że doktor Lügner użyje nazwiska, które w taki prosty sposób doprowadzi do

odnalezienia jego prawdziwych personaliów. Ale przecież zachowanie zawsze było nieobliczalne. Z jednej strony zdawał się zdeterminowany w swej panicznej ucieczce przed mężczyznami w marynarkach, ale z drugiej pozostawiał

za sobą tyle śladów i wskazówek, że można było odnieść wrażenie, iż bardzo chce, by wciąż deptano mu po piętach.

Może wynikało to z poczucia winy? Identycznego z tym, które gnębiło Johna?

Takiego samego, jakie spotka każdego, kto chce być Bogiem, lecz mu się to nie udaje...

W końcu jeżeli doktor Lügner naprawdę był doktorem Hansem Versammlungiem, miał nieskończoną ilość powodów, by do końca życia nosić w sobie wielkie poczucie winy.

Z jego opowiadań o połowach ryb wynikało, że pochodził z południowej Kalifornii. Jeżeli był na tyle wykształconym człowiekiem, by w 1942 roku prowadzić zaawansowane badania naukowe, musiał mieć wówczas przynajmniej dwadzieścia pięć lat; a więc obecnie około osiemdziesięciu. Jeżeli sprawność jego ciała dorównała sprawności umysłu, był bardzo żywotnym osiemdziesięciolatkiem.

John zaczął przeglądać listę absolwentów kalifornijskich uniwersytetów, zaczynając od Santa Cruz w latach 1935-1942. Było wśród studentów mnóstwo Gasparellich, Gatesów, Gotlandów, ale żadnego Gatheringa. Przerzucił się na California State z Fresno, a potem na Uniwersytet w Santa Barbara. Komputer wyświetlił nazwiska dwóch Gatherów i jednego Gathercole'a, jednak wciąż nie mógł odnaleźć żadnego Gatheringa.

Był jeden wśród absolwentów Uniwersytetu w Los Angeles z 1940 roku, jednak studiował on język francuski. Dopiero w roczniku absolwentów z 1938 roku Uniwersytetu w San Diego John znalazł osobę, której poszukiwał. Doktor Lionel P.

Gathering ukończył z wyróżnieniem biochemię i po studiach otrzymał etat naukowy na uczelni. W 1940 roku przyznano mu nagrodę Saltzmana. Dwukrotnie wyróżniono go nagrodą Fundacji Forda w dziedzinie biologii.

John zaczął przeglądać roczniki Uniwersytetu w San Diego z 1938 roku. Na stronie dwudziestej siódmej, w prawym górnym rogu zamieszczono fotografię Lionela Gatheringa w wieku dwudziestu czterech lat. Mężczyzna miał ciemne włosy, okrągłą twarz i okulary w grubych oprawkach. John nie miał jednak wątpliwości: odnalazł

doktora Lügnera.

Mam cię, doktorze „Kłamco”! - wyszeptał podekscytowany. Być może nie był to jeszcze ostateczny dowód, że doktor Lügner - Gathering był doktorem Versammlungiem, jednak w ciągu kilkunastu ostatnich minut John dowiedział się znacznie więcej, niż spodziewałby się w najbardziej optymistycznych przewidywaniach.

Postanowił sięgnąć do biblioteki „San Diego Tribune”, nakazując komputerowi, by wyszukiwał wszystko, co jest związane z doktorem Lionelem Gatheringiem. Następnie zadzwonił do pokoju sekretarek i poprosił o filiżankę gorącej kawy.

Komputer wykonał swoją pracę w ciągu kilku minut. Artykuł w „Tribune” nosił datę 27 września 1942 roku.

ZASTRZELONO ŻONĘ NAUKOWCA Z SAN DIEGO

Policja poszukuje wybitnego biochemika z Uniwersytetu z San Diego, doktora Lionela P. Gatheringa, lat 28, który zginął po tym, jak sąsiedzi znaleźli jego małżonkę zastrzeloną w sypialni ich domu w Rancho Santa Fe.

Szeryf Wesley Briccus twierdzi, że doktora Gatheringa nie widziano nigdzie od 24 września i należy uważać go za głównego podejrzanego o zabójstwo pani Gathering.

Zginęła od strzału prosto w głowę oddanego z najbliższej odległości. Policyjni eksperci określają tę zbrodnię „raczej egzekucją niż zwykłym morderstwem”.

Doktor Gathering nie pojawił się dotąd ani w uniwersytecie, ani na żadnym z umówionych wcześniej spotkań, a jego auto - de soto de luxe - stoi na podjeździe przy domu, w którym popełniona została zbrodnia.

John znalazł jeszcze dwa artykuły: MIEJSCE POBYTU NAUKOWCA WCIĄŻ

NIEZNANE i NAUKOWIEC PODEJRZANY O MORDERSTWO

PRAWDOPODOBNIENIE NIE ŻYJE - TWIERDZI SZERYF. Dowodem, który miał

świadczyć o zgonie doktora Gatheringa, był but podpisany z boku podeszwy, wyrzucony przez ocean na brzeg w okolicach Cardiff-on-the-Sea.

A więc doktor Lügner zamordował we wrześniu 1942 roku swoją żonę i uciekł z San Diego. John zatem potrzebował jeszcze tylko dwóch informacji: potwierdzenia, że doktor Gathering i doktor Versammlung to jedna i ta sama osoba, oraz dowodu, iż DMWN zamieszany był w operację Kashkoi.

John wstał i podszedł do okna. Ciemniejące niebo pokryte było drobnymi białymi chmurami leniwie sunącymi w kierunku zachodnim. Pomyślał o Jamie; zastanawiał

się, dlaczego żal po śmierci syna minął tak szybko. W gruncie rzeczy wiadomość o jego zgonie sprawia mu więcej ulgi niż bólu. Właściwie Jamie umarł w chwili, kiedy kula utkwiała w jego mózgu, i John już dawno, dawno temu opłakał jego nieobecność.

Podniósł po raz kolejny słuchawkę telefonu i połączył się z hotelem Doral w Miami. Poprosił o rozmowę z pokojem pani Constance Carden. Telefon w jej pokoju dzwonił przez ponad dwie minuty,

jednak bezskutecznie. Wreszcie ponownie odezwała się telefonistka:

- Przykro mi, proszę pana, ale nikt nie odpowiada. Czy zechce pan zostawić wiadomość?

W pierwszej chwili chciał zaprzeczyć; przecież doktor Lügner mógłby ją przeczytać i zorientować się, że John jest na jego tropie. Jednak niespodziewanie przypomniał sobie o emaliowanym talizmanie wiszącym na jego piersi, podarowanym mu przez Constance, gdy po raz pierwszy i jedyny zjawił się w galerii.

- Tak - odparł. - Zostawię wiadomość. Proszę przekazać pani Carden, że ktoś niepowołany czyha na jej talizmany.

- Słucham pana?

- Proszę przekazać dokładnie to, co powiedziałem. Będzie wiedziała, co oznacza ta wiadomość. I będzie też wiedziała, kto ją zostawił.

Micky wrócił tego wieczoru z warsztatu mocno zmęczony i znalazłszy się w swym tymczasowym domu oddanym przez Broussarda do dyspozycji jemu i Johnowi, natychmiast sięgnął do lodówki po puszkę coorsa. Wyszedł na werandę i zasiadł w fotelu naprzeciwko Johna.

- No i co, ustaliłeś coś dzisiaj? - zapytał.

- Tak, miałem trochę szczęścia - odparł John. - Wiem już, kim naprawdę jest doktor Lügner. I myślę, że potrafię odgadnąć, gdzie przebywa w tej chwili. Po wybuchu w domu Mingusa nasz doktor i Constance udali się razem do Miami. Ostatnim miejscem ich pobytu, o którym mi wiadomo, jest hotel Doral.

- Co więc zamierzasz teraz zrobić? Powiesz o tym Titanowi Blightowi? Myślę, że jeżeli to uczynisz, Roxanne mogłaby być wolna jeszcze dzisiejszego wieczoru.

- Titan Blight każe go zabić, wiesz przecież o tym.

- No i co z tego? W końcu facet całe życie ucieka przed śmiercią.

- Wiem. I wiem również, że z wielu powodów zasługuje na śmierć. - John opowiedział Micky'emu wszystko, co wiedział o doktorze Versammlungu i Jednostce 731 oraz o zniknięciu doktora Lionela Gatheringa w roku 1942.

- Jak więc zamierzasz postępować?

- Jeszcze nie wiem. Cokolwiek doktor Gathering by zrobił w Mandżurii, nie jest moim zadaniem potępienie go i skazywanie na śmierć.

- Ale nie możesz skazywać na śmierć również Roxanne!

Przecież niczemu nie jest winna, w te wszystkie okropności została wplątana zupełnie przypadkowo.

John popatrzył na zegarek.

- Może będę mógł jej pomóc. Sara ma przyjść tu jeszcze dzisiaj wieczorem; jesteśmy umówieni na kolację. Poproszę ją, żeby przekazała wiadomość do Titana Blighta. Ultimatum: albo natychmiast uwolni Roxanne, albo każda stacja telewizyjna w tym kraju będzie wkrótce rozprawiać o działaniach DMWN podczas drugiej wojny światowej.

- Wtedy twoje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Człowieku, Titan Blight jest facetem, który potrafi wysłać za tobą i setkę bandytów z pistoletami.

- Jasne, że potrafi. Ale założę się, że tego nie zrobi. Nie tym razem. W porządku, doktor Lügner nie zamierzał nagłaśniać swoich problemów, ponieważ zamieszany był w operację Kashkoi i jego ręce są splamione krwią tak samo jak ręce Titana Blighta. Ja jednak jestem czysty i jeżeli ujrzę uzbrojonego mężczyznę w marynarce w zbyt bliskiej odległości, powiadomię CNN szybciej, niż facet zdąży celnie strzelić.

- A jeśli Titan wszystkiemu zaprzeczy? Jeżeli mylisz się i nie był zamieszany w operację Kashkoi?

- Wtedy będę chyba musiał mu powiedzieć, gdzie znajduje się doktor Gathering, prawda? Myślę jednak, że naprawdę brał w niej udział. W przeciwnym wypadku nie organizowałby tego całego polowania na naszego naukowca. Spójrzmy prawdzie w oczy, on przecież wydał mu wojnę, gonił go po całym świecie!

- No dobrze, ale nawet jeżeli masz rację i Blight uwolni Roxanne, co dalej? Czy sądzisz, że będziesz w stanie spokojnie spędzić resztę życia, dysponując tak ogromną wiedzą o mrocznych sprawkach Titana Blighta? Skąd wiesz, że nie zechce pozbyć się ciebie prędzej czy później.

John wyprostował się.

- Czy wiesz, co się dzisiaj stało? Umarł mój syn.

- Wiem, cholera, bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie. Mi nie jest przykro, przynajmniej w potocznym znaczeniu tych słów. Nigdy nie przypuszczałem, że to powiem, ale widzisz, to chyba lepiej, że on nie żyje. Ja też wolę być martwy, niż odpuścić Titanowi Blightowi i tym wszystkim ludziom, którym się zdaje, że mogą nas kupować i sprzedawać, straszyć i nagradzać, kiedy tylko im się to spodoba. Z powodu tej roboty straciłem kobietę, którą kochałem.

Ty straciłeś Mingusa, a Mingus matkę. Zginął Mario i Guido. Pomyśl też o tych wszystkich ludziach, którzy w Mandzurii cierpieli straszliwe męki, zanim dosięgła ich litościwa śmierć. Było ich trzy tysiące albo jeszcze więcej. Fakt, iż wydarzyło się to przed wielu laty, wcale nie znaczy, że ich oprawców nie należy osądzić, wskazać światu, by ujrzał, jaką bestią potrafi być człowiek.

Micky otarł wierzchem dłoni pot z czoła.

- Rozumiem cię - powiedział. - W porządku, rób, jak uważasz.

John głęboko westchnął.

- Jak twoje pociski? - zapytał po chwili.

- Są gotowe. Zostaną odpalone za czterdzieści dwie godziny od tej chwili.

Odliczanie już się rozpoczęło.

Po kolacji w „Cuba Libre Restaurant” w centrum miasta Lionel zawiózł Constance z powrotem do hotelu, jednak gdy kobieta wysiadła z taksówki, on pozostał w środku.

- Czy nie będziesz zanadto tęskniła, jeżeli zniknę na dwie albo trzy godziny? -

zapytał. - Obiecałem złożyć wizytę mojemu staremu przyjacielowi z Miami Shores, profesorowi fizyki, którego znam jeszcze z MIT* [przyp.: MIT - Massachusetts Institute of Technology (przyp. tłum.)]. Osiedlił się tutaj, gdy przeszedł na emeryturę.

Chciałbym z nim porozmawiać, a nie obraż się, z naszego naukowego gadania i tak niewiele byś zrozumiała.

- A więc jedź sam - odparła Constance z uśmiechem. - Ja tymczasem zafunduję sobie długą gorącą kąpiel.

- Jesteś nadzwyczajna. Niedługo wracam.

Constance powróciła do pokoju i zrzuciła sandały. Klimatyzacja włączona była na maksymalne chłodzenie. Czerwone światełko na aparacie sygnalizowało, że w centrali telefonicznej jest jakaś wiadomość. Constance połączyła się z telefonistką,

- Jakiś mężczyzna telefonował piętnaście po szóstej - usłyszała. - Nie rozumiem tej wiadomości. Przeznaczona jest dla pani Constance Carden i brzmi: „Ktoś niepowołany czyha na talizmany”.

- Dziękuję - powiedziała Constance i odłożyła słuchawkę. Przez chwilę siedziała bez ruchu na łóżku, rozmyślając. Nie potrafiła odgadnąć, w jaki sposób John się dowiedział, gdzie ona teraz przebywa, była jednak pewna, że wiadomość pochodzi właśnie od niego. Była również pewna, że John przed kimś ją ostrzega. Może mężczyźni w marynarkach wpadli na ich trop i John próbuje zwrócić uwagę jej i Lionelowi, by zachowywali maksymalną czujność? Ale dlaczego w takim razie John przekazał informację w tak dziwny sposób? Przecież gdyby odebrał ją Lionel, nie zrozumiałby jej.

Zadrżała. A może John pragnie ostrzec tylko ją, i to przed Lionelem?

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Broussard Guidance Systems. Było późno i centrala telefoniczna już nie funkcjonowała, odezwał się jednak Manuel Ortez w warsztacie.

- Czy nie wie pan przypadkiem, jak mogłabym się skontaktować z Johnem Huntleyem? - zapytała. - To bardzo ważne.

- Nie znam jego numeru telefonu. Mogę jednak poprosić, by do pani zadzwonił. Co mam przekazać?
- Proszę tylko przekazać, że dzwoniła przyjaciółka doktora.
- To wszystko? Przyjaciółka doktora? Nie poda pani swojego numeru?
- On zna numer. Bardzo proszę, niech pan uczyni wszystko, żeby moja wiadomość dotarła do Johna jak najszybciej.

Manuel wyszedł z warsztatu i przeszedł do głównego budynku. Na Sarę natknął się w holu; rozmawiała akurat z wysokim, szczupłym mężczyzną w czarnym garniturze od Emporio Armaniego. Sama ubrana była w obcisłą szarą sukienkę, która zdawała się dokładnie przylegać do jej ciała. Marmurową podłogę właśnie wypolerowano i można było odnieść wrażenie, że oboje stoją na zmarzniętym jeziorze.

- Sara? - zawołał Manuel. - Zdaje się, że dzisiaj wieczorem będziesz widziała Johna, prawda?
- Tak, właśnie do niego jadę.
- Dzwoniła jakaś kobieta. Przekazała wiadomość dla niego.
- Kobieta? - wtrącił się mężczyzna w garniturze. - Młoda czy stara? Jak brzmiał jej głos?
- Chyba nie była najmłodsza. Ale była czymś jakby bardzo zmartwiona.
- I co ta niemłoda zmartwiona kobieta mówiła? Manuel zmarszczył czoło, Sara jednak natychmiast uspokoiła go:
- Wszystko w porządku... Roland pracuje u nas w wydziale bezpieczeństwa.
- Powiedziała, że jest przyjaciółką doktora. To wszystko.
- Przyjaciółką doktora? - powtórzył Roland. Na jego usta wypełził złośliwy uśmiech. - Przyjaciółką doktora?
- Tak.

Roland popatrzył na Sarę. Jego oczy błyszczały niczym dwa czarne chrząszcze.

- Wiedziałem. Są razem.
- Jesteś pewien?
- A kto inny to mógł być? Kontrolujemy wszystkie rozmowy telefoniczne Huntleya. Dzwonił do Kliniki Fleishmanna w Santa Cruz, do siostry Constance Carden w Melbourne i do hotelu Doral w Miami. Znalazł Cicera, tak jak obiecał. Ale ja znalazłem go również. I teraz wreszcie go dostanę.

- Do diabła, o co tu chodzi? - zapytał Manuel.

- Powiem ci, o co chodzi - odparł Roland. Pochylił się i spojrzał Manuelowi prosto w oczy, szeroko się uśmiechając. Pomiędzy jego przednimi zębami tkwiły resztki jedzenia. - Chodzi o prawdę, o sprawiedliwość i o sposób, w jaki pewni ludzie egzekwują te wartości.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Sara przyjechała z butelką schłodzonego cuvee napa i z dziwnym, niemal hipnotycznym wyrazem twarzy. Pocałowała Johna w policzek. Wokół niej unosił się zapach drogich perfum; John rozpoznał Blonde by Versace.

- Coś tutaj ładnie pachnie - powiedziała, wchodząc do holu. - Uwielbiam mężczyzn, którzy potrafią gotować.

- Matka mnie nauczyła - odparł John. Ubrany był w prostą niebieską koszulę i dzinsy. Nie miał wątpliwości, że zmęczenie z ostatnich kilku dni jest aż nadto widoczne na jego twarzy. - Zawsze mawiała, że jeśli będę potrafił gotować i oprócz tego doprowadzać kobiety do śmiechu, nigdy nie zabraknie mi damskiego towarzystwa -

westchnął.

- Co takiego? - zdziwiła się Sara.

- Nie potrafię pobudzać kobiet do śmiechu.

Sara ruszyła do drzwi. Było tutaj jaśniej niż w holu. Odwróciła się na pięcie i powiedziała do Johna: - Masz jednak jeszcze wiele innych zalet.

- Na przykład jakich?

- Wiesz, gdzie jest William Cicero, prawda?

John uniósł pokrywkę jednego z garnków i włożył na talerz porcję langust.

- Pracuję nad tym - odparł wymijająco.

- Mogę spróbować? - zapytała Sara, podchodząc bliżej niego.

- Jasne. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało. Sara posmakowała odrobinę, używając łyżeczki.

- Rzeczywiście, dobre. Coś w moim guście. Lubię ostre potrawy. - Przez chwilę uważnie obserwowała Johna, po czym dodała: - Dlaczego nie powiedziałeś nam wcześniej?

- Co takiego? Gdzie jest Cicero? Ponieważ nie zamierzałem pomóc wam w zabiciu go, oto dlaczego.

- Cóż, to już nie ma znaczenia. Sami go znaleźliśmy. Jutro rano nie będzie już nikomu spośród nas

sprawiał żadnego kłopotu.

- Jesteś w błędzie, Saro. W chwili gdy on zginie, poinformuję wszystkich dziennikarzy w tym kraju, dlaczego go załatwiliście.

- Co ty możesz wiedzieć na ten temat? Nawet ja nie wiem. John otworzył butelkę cuvee napa i rozlał musujący płyn do dwóch szklanek. Jedną z nich wręczył Sarze i odezwał się: - Wypijmy za szczęśliwsze czasy, co? - Po chwili dodał: - Może przejdziemy do salonu? Musimy ustalić, co o tym wszystkim możesz powiedzieć Titanowi Blightowi.

Sara ruszyła z Johnem do przestronnego salonu, o ścianach ozdobionych rysunkami pierwiosnków. Jedyne meblowanie tego pomieszczenia stanowiły szerokie fotele i głębokie kanapy. Usiadłszy, Sara odezwała się:

- Nie możesz grać w ciuciubabkę z takim człowiekiem jak Titan. Jeżeli spróbujesz, ani się nie obejrzysz, a będziesz martwy.

- Mimo twojej przestrogi zaryzykuję. Na razie proponuję, żebyś zatelefonowała do niego i zreferowała nasze dotychczasowe ustalenia. Powiedz mu, że wiemy, dokąd się udał William Cicero. Powiedz mu, że mądrze postąpi, jeżeli nie każe nikomu go zabijać, no i jeśli uwolni Roxanne. Możesz dodać, że ma dwie godziny na przemyślenie naszych propozycji.

Sara pobladła.

- Nie mogę mu tego powiedzieć.

- Dlaczego nie? Facet rozumie przecież po angielsku, prawda?

- Jeżeli to usłyszy, i tak zabije Cicera, a potem także ciebie i mnie.

- Oho! A ja ci mówię, że się nie ośmieli. Szczegółową informację, dlaczego zamierza zabić Cicera, złożyłem w takim miejscu, do którego Titan Blight nigdy nie dotrze. Jeżeli cokolwiek złego przytrafi się któremuś z nas, informacja natychmiast dotrze do CNN. W tym samym momencie skończy się kariera Titana Blighta i nagle urwie się kampania prezydencka niejakiego Baxtera Patricka.

- A jeśli Titan nie uwierzy, że ty naprawdę coś wiesz? Może kłamiesz?

- Na dowód, że nie kłamię, możesz odezwać się do niego tymi słowami: „Jednostka 731”. Będzie wiedział, o co chodzi.

John wstał i podał Sarze słuchawkę telefonu.

- No, do dzieła - odezwał się. - Im szybciej, tym lepiej.

- Nie mogę. Nawet jeżeli Titan po tym wszystkim nie zabije ciebie, będzie mścił

się na mnie. On mnie wykreował, John. To, kim jestem, co potrafię i co posiadam, jest tylko i

wyłącznie dziełem Titana. Jeżeli teraz go zawiodę... Nawet nie wyobrażasz sobie, jak mnie potraktuje.

- Przykro mi - powiedział John. - Ale wygląda na to, że nie masz wyboru.

Sara nerwowo oblizwała usta, wpatrując się w telefon, jakby to był wielki, czarny pająk.

- Daj mi jeszcze trochę czasu do namysłu - odezwała się błagalnie. - Może istnieje jakieś inne wyjście?

- Zastanawiałem się nad tym przez cały dzień i odnoszę wrażenie, że wybrałem najlepsze rozwiązanie.

- A może zadzwonimy do Williama Cicero i ostrzeżemy go? To da mu czas na ucieczkę. Potem oboje byśmy po prostu zniknęli.

- I co dalej? Wyrobimy sobie fałszywe dokumenty i spędzimy resztę życia w Yukon?

- John, błagam! To, co proponujesz, to nie jest dobry pomysł.

- Strzelanie do Kevina i Jesusa też nie było dobrym pomysłem. Próbę zlikwidowania mnie też oceniam jako fatalny pomysł. Dzwon.

W końcu Sara wyciągnęła rękę po słuchawkę. Drżącym palcem wystukała numer, z którym najwyraźniej łączyła się już setki razy w przeszłości. Długo czekała na połączenie, wreszcie odezwała się:

- Victor? To ja. Muszę rozmawiać z Titanem. Nie, naprawdę muszę. Powiedz mu, że chodzi o Cicera i że to jest naprawdę pilne.

- Nie zapomnij - szepnął do niej John. - Jednostka 731.

Po długim, pełnym napięcia oczekiwaniu z drugiej strony wreszcie odezwał się Titan.

- Titan? Jak się czujesz? Nie, dzwonię nie tylko z tym pytaniem. Mamy tutaj problem. Tak, bardzo poważny problem. Zlokalizowaliśmy Cicera i Roland pojechał

już, żeby go zlikwidować... W Miami... Wyruszył jakieś pół godziny temu. Tak... Tak.

Problem polega jednak na tym, że... Widzisz, John Huntley także wie, gdzie jest Cicero, i także wie, przynajmniej twierdzi... Przepraszam cię, Titan, jestem przerażona. On twierdzi, że wie, dlaczego chcesz zlikwidować Cicera. Właśnie... Nie wiem, jak się dowiedział. No... jest detektywem. Proszę cię, Titan, to nie była moja wina. Nie byłam w stanie temu zapobiec. Kazał mi powiedzieć ci... co takiego?

- Jednostka 731 - przypomniał jej John.

Titan musiał to usłyszeć, ponieważ w słuchawce rozległy się odgłosy, świadczące o gwałtownym wybuchu złości. Titan miotał najcięższymi przekleństwami. Przerażona Sara odsunęła słuchawkę od ucha. Minęły dobre dwie minuty, nim Titan uspokoił się na tyle, by Sara mogła przekazać mu ultimatum Johna. Po słowach Sary nastąpił kolejny potężny wybuch złości.

- Przypomnij mi, że ma dwie godziny - powiedział John. Titan rzucił słuchawkę i Sara pozostała ze swoją w dłoni, blada i drżąca.

- Jeden Bóg wie, co on teraz robi - wyszeptała.

- Nic się nie martw. Nie ma żadnego wyboru.

- John, zbyt słabo go znasz i zbyt nisko cenisz. Nie rozumiesz, jak jest potężny.

Przez całe życie dążył do zdobycia wpływu na prezydenturę w tym kraju. Ma po swojej stronie setki wpływowych ludzi, policjantów, agentów rządowych, kongresmenów, senatorów... Grywa w golfa z samym dyrektorem CIA!

- Jednostka 731 - powtórzył John i delikatnie poklepał Sarę po policzku. - A teraz, może wreszcie byśmy coś zjedli?

- Niczego nie przełknę. Nie teraz.

John uzupełnił szklaneczkę z szampanem.

- No to chociaż jeszcze się napij. Rozluźnij się. Istnieje szansa, że przeżywasz właśnie najbardziej pamiętny wieczór w życiu.

Wypiwszy zawartość szklanki, Sara jakby rzeczywiście trochę się rozluźniła. John udał się z talerzem langusta do sypialni Micky'ego, ten jednak spał już w najlepsze z nosem zanurzonym w poduszcze. Huntley wrócił więc do salonu, zapalił dwie świece, włączył nastrojową muzykę i w towarzystwie Sary przystąpił do kolacji, próbując przy jedzeniu rozmawiać o wszystkim, byle nie o Titanie Blichtie.

Tylko na moment powróciło do niego wspomnienie Jamiego i zaraz spochmurniał.

Sara natychmiast to zauważyła.

- Coś nie w porządku? - zapytała, położywszy swoją dłoń na wierzchu jego dłoni.

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Właśnie rozmyślałem.. - Popatrzył na zegarek. Do kolejnej rozmowy z Titanem Blichem pozostała jedna godzina i jedenaście minut.

- Wciąż jeszcze możemy zdecydować się na ucieczkę - powiedziała Sara. -

Obawiam się jednak, że nie zależy ci na tym. Odnoszę wrażenie, że traktujesz mnie jak zło konieczne. Nie zechcesz mnie znać ani chwili dłużej, niż to będzie konieczne.

Z głośników rozległy się pierwsze takty Strangers in the Night Franka Sinatry.

- Może zatańczymy? - zaproponowała Sara.

- Nie znajdziesz na świecie nikogo, kto by lepiej ode mnie deptał partnerce po palcach.

Mimo tej odpowiedzi Sara wstała i przyciągnęła Johna do siebie. Po chwili wahania objął ją i zaczęli tańczyć.

- Udawajmy, że właśnie się poznaliśmy - szeptała Sara. - Udawajmy, że nie przyjechałam do San Francisco, by zrujnować twój związek z panią Scarbeary, że nie wystawiłam cię płatnym mordercom i że żadne z nas nigdy nie słyszało o Titanie Blighcie.

John milczał. Czuł ciepło i bliskość jej ciała, docierał do niego szelest jej sukni, mocny dotyk jędrnych piersi ocierających się o jego klatkę piersiową. Usta miała lekko rozchylone, jakby dopiero odzyskiwała oddech po długich minutach kochania się.

Przytłumiony blask świec czynił ją atrakcyjniejszą niż zazwyczaj.

- Udawajmy, że niczego o sobie nawzajem nie wiemy.

- To nie będzie trudne. Ja i tak niczego nie wiem o tobie.

- Wiesz, jak bardzo cię lubię, prawda? Polubiłam cię w tej samej chwili, w której ujrzałam cię, jak wchodzisz do własnego domu.

- Okazałaś to niezwykle sugestywnie.

Sara uśmiechnęła się i bardzo delikatnie pocałowała Johna w usta. Następnie przez chwilę patrzyła mu w oczy, by się zorientować, jak zareaguje na pocałunek. Wiedział, że powinien być czujny i nieprzystępny, doskonale zdawał sobie sprawę, jaką dziewczyna prowadzi grę. A jednak była piękna, oboje wypili trochę szampana, no i John nie miał pojęcia, ile życia jeszcze mu pozostało. Przekonany był, że w tej samej chwili, w której Titan Blight rzucił słuchawkę, wysłał ludzi, by go zamordowali...

Pocałował Sarę, najpierw tak lekko, jak ona jego przed chwilą, a po chwili mocniej, zachłanniej. Przywarła do niego, chciała go wchłonąć, a potem wsunęła język w jego usta. Świadomość jej nagiej skóry pod szeleszczącą obcisłą sukienką była elektryzująca.

Poczuł, że Sara nie ma majtek, i to chyba zdecydowało. Z każdą chwilą tańczyli coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymali się, namiętnie się całując.

Muzyka umilkła, a oni przerwali pocałunek, jednak wciąż trzymali się w objęciach.

- Czy zawsze jesteś taka asertywna wobec nieznajomych? - zapytał John.

- Życie jest zbyt krótkie i niebezpieczne, by tracić czas na długie czekanie.

John znów ją pocałował, ale ich języki zetknęły się, zanim John zdołał wsunąć swój do ust Sary. Przytrzymała go pomiędzy zębami i zaciskała tak długo, aż oboje poczuli smak krwi. Nie puściła, gdy John spróbował się uwolnić. Jego sztywny członek opierał się o jej udo. Im mocniej Sara gryzła, tym większe było podniecenie Johna. Nie myślał w tej chwili o Titanie Blighcie. W gruncie rzeczy jeżeli o cokolwiek teraz mógł myśleć, to jedynie o tej ciepłej, miękkiej, zmysłowej kobiecie. Przez głowę przebiegła mu myśl, że za chwilę odgryzie mu język i uczyni niemową, ale nie dbał o to.

Pomyślał, że udusi go zapach perfum. Pomyślał, że zgwałci go, a potem każe zabić.

Miała rację. Życie jest zbyt krótkie na bezsensowne czekanie. Miał ją tu i teraz, i powinien żyć tą chwilą.

Uniósł sukienkę powyżej jej bioder i obiema dłońmi zaczął pieścić obnażone pośladki. Sara powoli uwalniała jego język pomiędzy swoich ust, lecz on wciąż ją całował głęboko, zachłannie. Sara z taką samą siłą oddawała pocałunki; sprawiali wrażenie, jakby chcieli nawzajem się połknąć. Widzieli swe własne odbicia w wielkich szybach okiennych, palce Johna wbijające się w pośladki Sary... Gdyby teraz ktoś uważnie wpatrywał się w okna, odniósłby wrażenie, że ogląda film erotyczny filmowany przez ciemną przysłonę...

John poprowadził Sarę do sypialni. Rozpiął zamek jej sukienki, a ona przez cały czas zachłannie go całowała. Sukienka zsunęła się na podłogę i Sara odsunęła ją. Miała teraz na sobie jedynie biały, koronkowy stanik, prawie nie zasłaniający piersi. John pocałował ją w usta, w szyję, a potem delikatnie opuścił miseczki stanika i ciepłym oddechem zaczął drażnić jej brodawki na piersiach. Pocałowała go w czoło, a potem sięgnęła za siebie i rozpięła stanik. Jej duże piersi zakołysały się, a sterczące sutki stały się jeszcze bardziej sztywne.

Położyła się na łóżku. Jej oczy miały dziwny wyraz; jakby była w najwyższym stopniu podniecona, ale zarazem prawie martwa, jakby nigdy w życiu nie zaznała dotąd pieśczoć, a tylko dawała je ludziom, dla których nic nie znaczyła... John ściągnął

koszulę, następnie rozpiął pasek i zdjął dzinsy. Gdy zsunął szorty, jego członek stał

twardy, nabrzmiały i rzucał na białą pościel wyraźny cień.

- Pieprz mnie - wyszeptała Sara. - Pieprz mnie, dalej, czego się boisz?

Popatrzył na nią z góry. Pożądanie niemal odbierało mu oddech, a jednak nastąpiła chwila napięcia pomiędzy nim a dziewczyną, chwila, która mogła zepsuć wszystko, która sprawiła nieomal, że się odwrócił i odszedł. Lecz Sara wyciągnęła nogi ku niemu i złączając je z jego plecami, mocno go objęła. Była otwarta, wilgotna, gotowa, pragnąca go przyjąć...

John pochylił się, dłonią skierował członek w zapraszającą, różową jaskinię pomiędzy wargami sromowymi.

Sara bez przerwy przypatrywała mu się tym samym, podnieconym, lecz martwym spojrzeniem.

- Dalej - zachęcała go. Jej głos był tak cichy, że niemal niesłyszalny. - Wiesz, czego chcesz, więc rób to.

John pchnął pierwszy raz. Poczuł, jaka w środku jest gorąca, wilgotna, śliska. Z

niespotykaną zwinnością uniosła tułów i pocałowała Johna delikatnie w czoło.

- Jesteś nadzwyczajna - powiedział. Wyciągnął z niej na chwilę członek lśniący od jej soków, a potem pchnął jeszcze raz.

W tym momencie zadzwonił telefon.

W tym samym czasie Roland jechał na południe autostradą numer 1, co kilkanaście mil wpadając w gęstą ulewę. Przed chwilą minął Port St Lucie i pozostało mu mniej więcej dwie i pół godziny drogi do Miami. Postanowił dokończyć dzieła w pojedynkę.

William Cicero kilkakrotnie już wystrychnął go na dudka, dlatego Roland uważał, że ma z nim osobiste porachunki.

Tym razem prowadził taniego brązowego forda aries; przyczyna takiego wyboru samochodu była bardzo prosta: w żadnym miejscu, gdzie musiałby się pojawić, nie zamierzał zwracać na siebie zbytnej uwagi. Jego czarna marynarka wisiała na wieszaku przy tylnych drzwiczkach. Na siedzeniu obok niego leżał pokrowiec na rakiety tenisowe; w środku znajdował się półautomat UZI.

Deszcz znów uderzył w szyby samochodu, a wilgotna droga lśniła w świetle reflektorów. Z radia płynęła melodia A Boy named Sue i za każdym razem, gdy Johnny Cash śpiewał refren, Roland wołał razem z nim, uderzając dłońmi w kierownicę: How do you do! My name is Sue!

Roland uwielbiał zabijać. Uwielbiał oglądać zaskoczone lub przerażone twarze swoich ofiar. Podniecał go widok konających ludzi, wijących się w ostatnich przedśmiertnych konwulsjach. Nie cierpiał natomiast nie dokończonych roboty. Gdy okazało się, że William Cicero zdołał uciec z domu, w którym nastąpił potężny wybuch gazu, wpadł w furję. Jechał teraz, żeby naprawić wszystkie błędy, które popełniono, próbując załatwić Cicera; jechał, by uciszyć go raz na zawsze.

- How do you do! My name is Sue!

Tymczasem jakieś trzysta kilometrów dalej na południe Constance leżała w łóżku, czekając na powrót Lionela. Zdążyła już się wykapać, umyć włosy, zrobiła nawet szybki manicure. Zamówiła sobie do pokoju mimozę i teraz nie pozostawało jej nic innego, jak w samotności sączyć napój, oglądać telewizję i cierpliwie czekać. Była przyzwyczajona do samotności, była samotna od dnia rozvodu i wmawiała sobie, że to jej odpowiada.

Teraz jednak tęskniła już za Lionelem. Mimo że przebywali ze sobą dopiero od dwóch dni, z trudnością znosiła nawet najkrótsze chwile rozstania. Widziała swoje odbicie w lustrze i z wyrazu własnej twarzy z łatwością odczytywała, że nigdy więcej nie zamierza już być sama.

Zastanawiała się właśnie, czy nie zamówić następnej mimozy, gdy gwałtownie otworzyły się drzwi do pokoju i stanął w nich Lionel. Był nieuczesany, czerwony na twarzy, a krawat miał poluźniony. Bez słowa wszedł do łazienki i Constance usłyszała, że obmywa twarz. Po chwili powrócił do pokoju, wycierając ręcznikiem ręce i twarz.

- Ile czasu zabierze nam pakowanie? - zapytał.

- Nie rozumiem cię.

- Musimy stąd wyjechać. Widziałem na zewnątrz jeden z ich samochodów. Już nas namierzili.

- Ale przecież jest prawie jedenasta wieczorem. Nie możemy teraz tak po prostu wyjechać.

Lionel otworzył szafę i wyrzucił na łóżko ich torby.

- Zapewniam cię, to tylko tymczasowe niedogodności przebywania w moim towarzystwie. Kiedy znajdziemy się w Rio, nikt już nie będzie nam zagrażał.

- Jesteś absolutnie pewien, że to oni?

Lionel po kolei wyciągał szuflady z szaf i wrzucał ich zawartość do toreb: skarpety, krawaty, koszule i inne drobiazgi.

- Oczywiście, że oni. Zawsze są jacyś „oni”, kiedy w grę wchodzi taki człowiek jak ja.

- Lionel, ja nie mogę. Nie teraz.

- Ależ możesz. Albo szybciotko stąd zwiejemy, albo szybciotko zginiemy. Co wybierasz?

- Lionel, ja tak nie potrafię!

Rzucił jedną z szuflad na podłogę i popatrzył uważnie na Constance.

- O co ci chodzi? Wiedziałaś, jak wygląda moje życie, zanim się w nie wplątałaś.

Do niczego cię nie zmuszam. Dalej, Constance, opanuj się, będziemy bezpieczni i spokojni, jak tylko znajdziemy się w Ameryce Południowej.

- Ja nie wiem, czy chcę jechać do Ameryki Południowej.

- Oczywiście, że chcesz. Spodoba ci się tam, zobaczysz. Karnawały, wspaniałe plaże, samba...

- Lionel, zanim zaczniemy jeszcze dalej w to wszystko brnąć, chciałabym się dowiedzieć, dlaczego ktoś tak bardzo pragnie cię zabić. Musisz powiedzieć mi prawdę.

Uważam, że mam do niej prawo.

- Nie mam czasu, żeby akurat teraz ci o tym opowiadać. Musimy uciekać, Constance. Zostało nam

najwyżej dziesięć minut. Ostatni autobus do Key West odjeżdża za piętnaście dwunasta.

- Muszę wiedzieć, Lionel!

- W takim razie powiem ci podczas podróży. Obiecuję ci. A teraz pakujemy się.

Constance niechętnie wyszła z łóżka. Popatrzyła na telefon w nadziei, że John zdąży zadzwonić jeszcze przed ich wyjazdem.

Spojrzała z ogromnym żalem, że nie może tutaj zostać i porządnie się wyspać.

Zaczynała odczuwać ogromne zmęczenie.

- Pośpiesz się - ponaglał ją Lionel. - Naprawdę, nie mamy czasu.

Nie miała wyboru. Zaczęła przygotowywać się do kolejnej podróży.

- Bardzo przepraszam za tę chwilową utratę panowania nad sobą, panie Huntley -

powiedział Titan do słuchawki. - Niestety, nie jest pan pierwszą osobą, która usiłuje wywierać na mnie nacisk. Prawdę mówiąc, miałem dziś ciężki dzień.

- Nie ma mowy o żadnym nacisku, panie Blight. Po prostu gorąco pragnę, żeby Roxanne została uwolniona, a doktor Gathering pozostawiony w spokoju.

- Obawiam się, że sytuacja nie jest taka prosta, panie Huntley. Jednak coś panu zaproponuję: może zechce pan przyjechać do Twisted River i wspólnie zastanowimy się nad najlepszym rozwiązaniem?

- Co to da?

- Hmm... Po pierwsze mógłbym panu dać podstawy do bardziej obiektywnej oceny sytuacji. Mógłbym opowiedzieć panu pełną historię DMWN, doktora Gatheringa i Jednostki 731.

- Zgodzę się przyjechać do pana tylko wtedy, gdy wcześniej uwolni pan Roxanne.

- Panie Huntley, uroczą Roxanne jest najmniejszym z naszych problemów. Kiedy tylko przystąpimy do rozmowy, będzie mogła sobie pójść, dokąd tylko zechce.

- Chwileczkę - John przerwał rozmowę i zwrócił się do Sary: - On chce, żebym pojechał do Bostonu i tam z nim porozmawiał. Co o tym sądzisz?

Sara właśnie ubierała się.

- Na twoim miejscu pojechałabym. Titan zwykle nie proponuje nikomu żadnych układów. Skoro dla ciebie robi wyjątek, musi być przekonany, że masz w ręku cholernie mocne karty.

John jeszcze przez chwilę się zastanawiał, po czym odezwał się do słuchawki:

- Dobrze, przyjadę. Niech pan jednak nie zapomina, że wszystko, co wiem o Jednostce 731, zapisane jest na starannie ukrytej dyskietce komputerowej. Jeżeli komukolwiek przydarzy się...

- Panie Huntley, bardzo pana proszę - przerwał mu Titan. - Za kogo mnie pan uważa? Za barbarzyńcę? Proszę się tutaj pojawić jutro rano. Podstawię panu mój prywatny samolot na lotnisku w Melbourne. Panna Lake zajmie się szczegółami pańskiej podróży.

Po tych słowach Titan odłożył słuchawkę. John popatrzył na Sarę. Stojąc przed lustrem, starannie poprawiała makijaż. Najwspanialsze chwile pomiędzy nimi przeminęły i John wątpił, czy kiedykolwiek się powtórzą.

- Może napijemy się jeszcze? - zapytał.

Roland dotarł do hotelu Doral o pierwszej trzydziści siedem nad ranem. Ostatnie sto mil przebył w nieustannej ulewie i był na miejscu przynajmniej godzinę później, niż się spodziewał. Zatrzymał samochód po przeciwnej stronie Collins Avenue i przecisnął

się do hotelowego holu przez tłum roześmianych starszych kobiet i mężczyzn w wieczorowych strojach. Od razu podszedł do recepcji i zaprezentował jedyną fotografię doktora Gatheringa, jaką dysponował; zrobiono ją latem 1941 roku podczas pikniku na terenie Uniwersytetu w San Diego.

- Czy zameldował się dzisiaj u was ten mężczyzna? - zapytał recepcjonistę. - Być może podróżuje jako doktor Lionel Gathering.

Recepcjonista zerknął przelotnie na fotografię i odparł: - Bardzo mi przykro, proszę pana, nie mogę jednak ujawniać informacji o gościach. To nasze wewnętrzne zarządzenie. Sam pan rozumie...

Roland wyciągnął z kieszeni studolarowy banknot i położył go na blacie, po czym przykrył dłonią.

- Czy ten mężczyzna zameldował się? Masz, człowieku, powiedzieć jedynie „tak” lub „nie”.

- Tak, proszę pana, zameldował się. Ale, jeżeli pan go poszukuje, to spóźnił się pan. Wyprowadził się jakieś dwie godziny temu.

- Cholera jasna - warknął Roland i tak odsłonił banknot na kontuarze, by recepcjonista mógł dokładnie zobaczyć jego nominał. - Czy powiedział, dokąd się udaje?

- Niestety nie, proszę pana.

- Cholera - powtórzył Roland. - W jaki sposób wyjechał? Może wynajął samochód?

- Nie, proszę pana. Poprosił mnie, żebym zawołał taksówkę.

No, chociaż coś, pomyślał Roland. Zostawił recepcjoniście sto dolarów i wyszedł z hotelu. Skoro Cicero nie wynajął samochodu, musiał pojechać taksówką albo na lotnisko, albo na dworzec

autobusowy. Jeżeli pojechał na lotnisko, mógł sobie polecieć dokądkolwiek, jednak sprawdzenie, dokąd, zabrałoby jedynie kilka godzin i doktor musiał doskonale zdawać sobie z tego sprawę. Nawet jeżeli taksówka zawiozła go do jakiejś wypożyczalni samochodów, Roland był pewien, że natrafi na jego ślad. Instykt podpowiadał mu jednak, że Cicero wybrał autobus i kontynuuje podróż na południe. Im dalej na południe, tym łatwiej było znaleźć na Florydzie właściciela łodzi, który bez zadawania zbędnych pytań za odpowiednią opłatą zdecydowałby się na podróż do Meksyku. Jeżeli Cicero wynająłby taką łódź, wytropienie go byłoby już prawie niemożliwe.

Roland zatelefonował z samochodu do Twisted River i pozostawił wiadomość.

Następnie z piskiem opon ruszył w kierunku południowym. Krew w nim wrzała. Miał straszną ochotę kogoś zabić.

- My name is Sue - wyszeptał do siebie. - How do you do?

Micky spał i śnił o Mandzurii. Jego ręka leżała na poduszce, a dłoń zwinięta była w pięść, gdy pojawiła się dziewczynka prowadząca kaczki. Słyszał, jak ktoś mówił:

„Jednostka 731”, a potem ktoś się roześmiał. Miał wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu.

A potem znów śnił o Holendrach. Wszyscy ubrani byli na czarno i rozmawiali o chirurgii. Światło wpadające przez okno miało kolor mocnej herbaty.

Prawie o świcie, kiedy do sypialni zaczęły wpadać pierwsze promienie słońca, miał

kolejny sen. Dziwny, ulotny sen, jednak jakby nie tak odległy, jak ten o dziewczynce z kaczkami i o Holendrach. Śniły mu się twarze ułożone jedna na drugiej, cienkie i płaskie. Z jakiegoś powodu zdawało mu się, że sen ów jest bardzo ważny.

Obudził się i przez ułamek sekundy myślał, że jest o sześćdziesiąt lat starszy: fizycznie wyniszczony, pusty, słaby, niezdolny nawet do tego, by podnieść się z łóżka.

A jednak wstał, poszedł do łazienki i z kranu nalał zimnej wody do szklanki. Pijąc, wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Twarz. Przypominał sobie twarze, o których śnił. Mimo że bardzo tego pragnął, nie potrafił zrozumieć znaczenia tego snu.

Zniechęcony, odstawił pustą szklankę na miejsce.

John zjawił się w porcie lotniczym w Melbourne o szóstej pięćdziesiąt pięć nad ranem. Zabrał ze sobą jedynie torbę z przyborami toaletowymi. Po nocnych deszczach jedynym ich wspomnieniem były już tylko wysychające kałuże; poranek był gorący i parny. Srebrny learjet już na niego czekał, gotowy do startu. Ponury steward odebrał od niego torbę. Znalazłszy się na pokładzie, John jeszcze nie zdążył zapiąć pasów, gdy maszyna rozpoczęła kołowanie.

Samolot wystartował w kierunku zachodnim, przelatując nad jeziorem Washington i bagnami, a

potem skręcił na północ i John ujrzał w iluminatorach Titusville i Daytona Beach. Słońce świeciło tak jasno, że w końcu zaciągnął zasłony.

W chwili lądowania na lotnisku Norwood Memorial na południe od Bostonu zegar w przedziale pasażerskim wskazywał godzinę dziesiątą, a niebo było szare. Pierwsze krople deszczu uderzyły w samolot, kiedy kołował na stanowisko przy terminalu. Do samolotu błyskawicznie podjechała limuzyna przysłana przez Titana Blighta i John musiał przejść zaledwie kilka kroków po betonie lotniska. Gdy wsiadł do auta, pojazd natychmiast ruszył.

- Czy miał pan przyjemną podróż? - zapytał kierowca.

- Tak, dziękuję.

- Gdy poprzednim razem lądował tutaj samolot z Florydy, w jego silniki dostały się dwie gęsi.

- Żartuje pan. I co się stało? Ktoś został ranny?

- Dwie osoby zginęły, to wszystko. Trzech przeżyło katastrofę.

- Niezły wynik.

Kierowca jedynie pokiwał głową.

Titan kazał mu czekać na siebie ponad dwadzieścia minut. John krążył nerwowo po dużym salonie, starając się powstrzymać rosnące w nim zniecierpliwienie i wywnioskować z obrazów i innych znajdujących się tutaj przedmiotów, jakim człowiekiem jest ich właściciel.

Wreszcie ukazał się sam Titan w luźnym, czarnym kimonie. Na nogach miał

czarne klapki. Jego włosy były mokre; można było odnieść wrażenie, że przed chwilą brał prysznic.

- A więc to pan jest Johnem Huntleyem - powitał swojego gościa, zasiadając na największym spośród krzeseł znajdujących się w salonie i zapalając papierosa. -

Sprawiał pan ostatnio moim ludziom wiele trudności, panie Huntley. Doceniam jednak to, że zechciał pan tutaj przybyć. Być może uda się nam załatwić wspólnie kilka spraw.

- Przede wszystkim chcę zobaczyć Roxanne.

- Roxanne czuje się doskonale, może mi pan wierzyć na słowo.

- Niezależnie od tego, jak doskonale się czuje, więzi ją pan wbrew jej woli.

Titan wydmuchnął ogromny kłęb dymu.

- Postawił mnie pan w bardzo trudnej sytuacji, panie Huntley. Nie zlikwiduję jednak ani pana, ani Roxanne, chociaż mógłbym.

- Doskonale wiadomo panu, co się stanie, jeżeli pan to uczyni. Pełna historia o Jednostce 731 przedostanie się do mediów.

- Niepełna historia, panie Huntley, niepełna. Co najwyżej jej połowa. Było o wiele więcej ludzi zaangażowanych w działalność DMWN podczas wojny, nie tylko ja.

Większość spośród nich już nie żyje, jednak tak wśród zmarłych, jak i wśród żywych są autorytety, które mógłby pan narazić na szwank.

- Nie dbam o to.

- A powinien pan dbać, panie Huntley. Jest pan przecież Amerykaninem. I patriotą, jak sądzę.

- A co mój patriotyzm ma do tego, czy wyjawię dziennikarzom, co doktor Gathering robił w Mandzurii?

- Otóż to, że niektóre tajemnice powinny na zawsze pozostać tajemnicami.

Departament Międzynarodowej Współpracy Naukowej zorganizowany został po to, by monitorować najistotniejsze badania naukowe prowadzone za granicą i rozwijać na nasz własny użytek te spośród nich, które mogłyby przynieść jakiś pożytek w ewentualnych konfliktach międzynarodowych. Bomba atomowa jest już klasycznym przykładem skutecznych działań DMWN, a przecież ja sam mógłbym z pamięci wymienić ich jeszcze całe mnóstwo. W tamtych czasach nie spoglądałem jednak na DMWN tak jak większość polityków. Było oczywiste, że z DMWN czy bez, Japonia nie jest w stanie wygrać konfrontacji zbrojnej ze Stanami Zjednoczonymi. Współpracowałem więc z japońskimi naukowcami przez całą wojnę. Potrafiłem spojrzeć w przyszłość o wiele dalej niż tylko na te lata, które były potrzebne do pokonania Japonii w wojnie.

Projektowałem czasy, kiedy nauka sprawi, że powstanie na świecie jedno wielkie, spójne społeczeństwo i trwały pokój, którego nic już nie będzie w stanie zakłócić.

- Takie było moje marzenie, panie Huntley, i nie może pan powiedzieć, że było głupie albo podłe. Prawdę mówiąc, ta wizja nie opuściła mnie do dnia dzisiejszego.

Dlatego właśnie czynnie wspieram kandydaturę Baxtera Patricka w wyścigu do fotela prezydenckiego.

- Czyżby to dla realizacji pańskiego marzenia doktor Gathering torturował i zabijał ludzi?

- Panie Huntley, oni i tak byli torturowani, i tak by ginęli. A w ten sposób przynajmniej cierpieli i umierali, przynosząc ludzkości pożytek. Zostali poświęceni na ołtarzu nadziei, że świat będzie kiedyś lepszy. - Wstał i powoli, otoczony kłębam dymu, zaczął krążyć po pokoju. - Przed wybuchem wojny doktor Gathering utrzymywał

ściśle kontakty z doktorem Ryoichi Naito. Doktor Naito obarczony został przez władze japońskie

misją wynalezienia środka farmakologicznego, który zwiększałby możliwości ludzkiego umysłu. Pierwotny pomysł sprowadzał się do tego, by wyodrębnić niewielki zespół geniuszy, którzy mogliby opracować nową broń skuteczną wobec kraju tak potężnego jak Stany Zjednoczone.

- W pewnym momencie doktor Naito natrafił jednak w swych badaniach na bariery nie do pokonania, zatrzymał się w jakimś punkcie i nie był w stanie ruszyć ani kroku dalej. Wszystkimi informacjami, jakie posiadał, podzielił się z doktorem Gatheringiem, który zajmował się tym samym, a który dotarł do jakiegoś krytycznego punktu. W

eksperymentach pojawił się bowiem pewien istotny problem. Już austriacki neurofizjolog Otto Loewi odkrył w 1921 roku, że możliwości mózgu człowieka można rozszerzyć dzięki środkowi, który zostałby pobrany z mózgu innych ludzi, pod warunkiem że oni żyliby w chwili pobierania tego elementu. Innymi słowy: środek, o którym mowa, można było uzyskać tylko poprzez torturowanie i zabijanie ludzi.

- Oczywiście doktor Gathering porzucił swoje badania na ten temat. A jednak nie zapomniano o nich. W czasie wojny dotarły do mnie raporty wywiadu dotyczącego działalności japońskich jednostek naukowych w Mandżurii. Zdałem sobie sprawę, że gdyby się udało wysłać doktora Gatheringa do Jednostki 731, miałby dostęp do mózgow żywych ludzi i mógłby zakończyć swoje badania. Zaświtała mi też nadzieja, że może znalazłby sposób na wyprodukowanie właściwego środka jako materiału syntetycznego.

- Bezduszne słowa, prawda? Ale pamiętać należy, że wszystko to, o czym mówię, działo się pięćdziesiąt lat temu, gdy świat znajdował się w samym środku najstraszliwszej w swej historii pożogi wojennej. Życie zdawało się o wiele mniej warte niż dzisiaj. Ale najważniejsze, że zaistniała okazja, która nie przydarzyłaby się doktorowi Gatheringowi już nigdy więcej. Oto było do dyspozycji znacznie więcej żywych obiektów, niż kiedykolwiek można było sobie wymarzyć. No i okoliczności wskazywały, że można będzie z nimi robić dosłownie wszystko, czego tylko będzie wymagał interes nauki.

- I doktor Gathering zgodził się dobrowolnie prowadzić te badania w Mandżurii?

Titan jednocześnie zakaszał i roześmiał się.

- Oczywiście, że nie. Doktor Gathering był wrażliwym i sentymentalnym człowiekiem.

- A więc...?

- Każdy z nas ulega jakimś wpływom, panie Huntley. Każdy z nas ma jakieś słabe punkty. Dlaczego pan tutaj się znalazł? Z powodu pięknej Roxanne, odpowiem za pana.

I z powodu własnego „ja”. Wykonuje pan swoją pracę, licząc na sowy zapłatę, prawda? Dlaczego jednak interesuje pana, co się wkrótce stanie z Roxanne albo ze mną?

Dlaczego nie byłby pan w stanie powrócić do San Francisco i podjąć swego życia w punkcie, w którym zostało przerwane, jak gdyby nic się nie stało? Bo jest pan próżniakiem, oto dlaczego. Pragnie

pan uratować Roxanne niczym rycerz w srebrnej zbroi i zgrzyta pan zębami na myśl, że mógłbym umknąć przed karą po tym, ile zła uczyniłem. Wiele razy spotykałem już ludzi podobnych do pana. Ludzi z zasadami, małych facecików bez mózgow, nie zdających sobie sprawy, jakimi są idiotami. - Titan urwał na moment, by zduścić w popielniczce niedopałek i zapalić następnego papierosa. -

W dniu 24 września 1942 roku grupa japońskich komandosów wylądowała w Solana Beach w południowej Kalifornii, podpłynawszy do brzegów Ameryki w niewielkiej łodzi podwodnej. Posunęli się kilkanaście mil w głąb lądu i porwali doktora Gatheringa z jego domu w Rancho Santa Fe. Osobiście zasugerowałem Japończykom ten wypad.

Niestety, nie było innego sposobu, żeby zasugerować doktorowi Gatheringowi przeprowadzkę do Japonii.

- Został przetransportowany do Kioto, a po kilkunastu dniach do Jednostki 731 w Harbinie. Powiedziano mu, że jeśli odmówi pracy nad specyfikami mającymi stworzyć geniuszy, japońscy agenci natychmiast zamordują w Kalifornii jego żonę. Nie miał

oczywiście pojęcia, że żonę zastrzelono tej samej nocy, kiedy jego porwano.

- Później, jeszcze w trakcie wojny, przeniesiono go z Mandżurii do Tokio. Po wielkim bombardowaniu tego miasta nasi ludzie zgubili jego ślad i uznaliśmy, że najprawdopodobniej zginął. Wkrótce jednak zaczęły docierać do nas informacje o tajemniczym geniuszu pracującym na Dalekim Wschodzie; oczywiście zrodziło to w nas natychmiastowe podejrzenia, że doktor Gathering mógł jednak przeżyć wojnę.

Cztery albo pięć razy niemal go schwytaliśmy. Dwukrotnie, wymykając się nam, pozostawiał za sobą trupy. Właściwie to trzykrotnie, jeżeli doliczymy tę dziewczynę zamordowaną w Winter Park.

- Ma pan na myśli Sunę, tę gospodynię? Uważa pan, że doktor Gathering ją zamordował?

- Oczywiście! Przecież nie można otrzymać fragmentów mózgow innych ludzi inaczej, jak poprzez mordowanie ich.

- A więc nie zdołał zsyntetyzować potrzebnego mu środka?

- Na to wygląda. Wszyscy możemy być geniuszami tak jak on. Ale wszelkie informacje, jakimi dysponujemy, wskazują, że środek rozszerzający możliwości mózgu niszczy człowieka, który go sobie aplikuje, o ile nie jest zażywany regularnie. W

związku z tym doktor Gathering musi zabijać, przez co pozostawia za sobą ślady. Te zabójstwa są jednak jedynym sposobem uzyskiwania żywej tkanki mózgowej i podtrzymywania geniuszu. Tak, proszę pana, życie doktora Gatheringa od 1942 roku po prostu usłane jest trupami.

John pomyślał nagle o Constance.

- Czy mógłbym zatelefonować? - zapytał Titana.

- Aby ostrzec panią Carden? Wraz z doktorem Gatheringiem opuściła już hotel Doral. Nie wiemy dokładnie, dokąd się udali, jeden z moich ludzi jest jednak na ich tropie.

- Czy nie zrobi krzywdy Constance?

- Powiem panu coś, panie Huntley. Doktor Gathering jest psychopata. To, co kazano mu czynić podczas wojny... Cóż, wyobraża pan sobie zapewne, jak trwałe ślady musiało to pozostawić w jego psychice. Po powrocie do USA dowiedział się, kiedy zastrzelono jego żonę. Niech pan więc teraz wyobrazi sobie, że jest nie tylko psychopata, ale psychopata żadnym zemsty i na dodatek geniuszem. Nie wiemy, ile osób zamordował po powrocie do kraju, ale prawdopodobnie chodzi o całe setki. Co tydzień musi zabić, by otrzymać porcję specyfiku, który utrzymuje jego mózg w należytym stanie.

- Jak do tej pory, okazuje się wystarczająco przebiegły, by tych zbrodni nie łączono z jego osobą, ani nawet ze sobą nie wiązano. Nie sposób udowodnić mu tych zabójstw.

Ale trzeba go powstrzymać, panie Huntley.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć - westchnął John. - I pan przyznaje, że wykreował pan takiego człowieka?

- Tak, przyznaję. Teraz jednak muszę naprawić ten błąd i nic innego się nie liczy.

- Dlaczego chce go pan zlikwidować sam? A może wystarczyłoby powiadomić o wszystkim FBI?

- Dobry Boże, panie Huntley! Myślałem, że jest pan bardziej inteligentny. Jeżeli doktor Gathering zostałby aresztowany i stanąłby przed sądem, tak wiele spraw ujrzałoby światło dzienne, że kariery połowy polityków w tym kraju ległyby w gruzach, a Baxter Patrick nie miałby najmniejszych szans, by objąć Gabinet Ovalny.

- Hmm... Przynajmniej mówi pan szczerze. Titan znów usiadł.

- To niepotrzebny sarkazm, panie Huntley. Wiem, co w przeszłości zrobiłem.

Owszem, mnie osobiście sprawiłby pan przykrość, gdyby informacje o tym przedostały się do CNN. Powinniśmy jednak skończyć dywagacje o przeszłości i pomyśleć o przyszłości. Cały ten świat stanie się o wiele lepszy, jeżeli wszystkie rządy będą ze sobą współpracowały, jeżeli poszczególne kraje nie będą miały przed sobą nawzajem sekretów. Będzie także lepszy, jeżeli usuniemy z niego doktora Gatheringa.

- Co więc pan w tej chwili proponuje?

- Proste rozwiązanie. Wysoką łapówkę. Otrzyma pan mnóstwo pieniędzy i nigdy nikomu nie wspomni o Jednostce 731, zgoda?

- A doktor Gathering?

- Ja się nim zajmę. Otrzyma ode mnie dokładnie to, na co zasługuje.

- A Roxanne?

- Niech pan ją sam zapyta. W każdym razie jest wolna. John poczuł, że ma sucho w ustach. Wiedział, że za chwilę popełni błąd, wiedział, że powinien milczeć, a jednak rzucił pytanie: - Ile?

- Czy z dwóch będzie pan zadowolony? - I pan to nazywa wysoką łapówką? Titan z irytacją strząsnął popiół na dywan.

- No, niech panu będzie. Dwa i pół.

- Nie ma mowy.

- Trzy. To moje ostatnie słowo. John wstał.

- Za kogo mnie pan uważa? - zapytał. - Myśli pan, że sprzedam się za głupie trzysta tysięcy dolarów?

Titan popatrzył na niego, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Po chwili sięgnął do kieszeni i wyjął pióro oraz książeczkę czekową. Otworzył ją, położył na stoliku, zaczął pisać. John w milczeniu patrzył, jak na czeku przybywa zer. Zdawało się to trwać bez końca.

Wreszcie Titan podał mu czek. Jego ręka lekko drżała. John zdał sobie nagle sprawę, że stoi przed człowiekiem, którego pogania śmierć i który przed śmiercią jeszcze pragnie się spełnić.

- Niech pan mi odpowie na jedno pytanie - odezwał się. - Czy to, co opowiedział mi pan o doktorze Gatheringu, jest prawdą?

- A jak pan uważa?

- Przypuszczani, że pan nie kłamie.

- Niech pan więc weźmie pieniądze, panie Huntley i oddali się stąd.

- Jeszcze jedno... Chciałbym zabrać ze sobą Sarę. Titan nagle zacisnął pięści.

- Prosi mnie pan o coś, o co nie ma pan prawa prosić, i doskonale pan o tym wie.

- Tak - przyznał John i w milczeniu czekał na odpowiedź.

Prawie dokładnie w tym momencie pierwszy z Tomahawków przywieziono ciężarówką do bazy Sił Powietrznych na przylądku Canaveral. Umieszczono go w jasno oświetlonym hangarze, gdzie miał czekać na wystrzelenie. Wielki zegar odliczał czas; do rozpoczęcia próby pozostały cztery godziny, trzynaście minut i pięćdziesiąt trzy sekundy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Lionel był zdenerwowany nawet wtedy, gdy już dotarli do Key West. Wybrał

pokój w motelu Blue Marlin, tanim i nie rzucającym się w oczy betonowym budynku na Flagler Street, ze starym, brudnym basenem, na którego powierzchni unosiły się tłuste plamy olejku do opalania. Właściciel miał na owłosionym przedramieniu tatuaż, który przypominał Constance Krzyk Edvarda Muncha.

Słońce na zewnątrz jak zwykle prażyło niemiłosiernie, jednak Lionel pozostawał w pokoju, milczący, spięty i jakby zagubiony.

- Co ci jest? - zapytała Constance. Mężczyzna krążył pomiędzy oknem a drzwiami i co chwilę wyglądał na zewnątrz. - Chyba nie sądzisz, że ktoś się dowiedział, iż tutaj przyjechaliśmy.

- Nigdy nie wiadomo - odparł Lionel. - Oni wcale nie są tacy głupi, na jakich wyglądają. Poza tym są uparci, nie liczą się z kosztami i ze zniszczeniami, byle mnie w końcu dopaść.

- Ale przecież nie mogli odgadnąć, w którą stronę pojechaliśmy, prawda?

- Nie wiem. Nie wiem. Po prostu muszę przewidywać najgorsze, to wszystko.

- Ale przecież możesz wreszcie usiąść. Popatrz trochę na telewizję, rozluźnij się, a ja tymczasem wyjdę po coś do jedzenia.

- Zobaczą cię.

Constance położyła dłoń na jego ramieniu i odezwała się zdecydowanym głosem:

- Uspokój się, Lionelu. Zaczyna cię ogarniać paranoja, nie widzisz tego?

Rozumiem to, przecież od wielu lat wciąż tylko się kryjesz i uciekasz. Teraz jednak jesteś bezpieczny. Uspokój się, a ja przyniosę z chińskiej restauracji coś do jedzenia.

Lionel przez chwilę stał w miejscu, milczący i nieruchomy, ale Constance pchnęła go na łóżko, zmuszając, żeby usiadł.

- Chyba masz rację - powiedział i zdjął okulary. - Za bardzo się tym wszystkim przejmuję. Przepraszam.

- Co chciałbyś zjeść? Może kruchy befsztyk?

- Zjem cokolwiek, byle było ciepłe.

Constance wyszła z pokoju i ruszyła ocienionym betonowym tarasem w kierunku schodów. Jakiś mężczyzna z wielkim, czerwonym brzuchem leżał na materacu pod ścianą i czytał „Vogue”; wyglądał w tym miejscu absurdalnie. W pewnej chwili opuścił

magazyn, ściągnął z oczu przyciemnione okulary i wbił w Constance nachalne spojrzenie

wyłupiastych błękitnych oczu. Constance zadrżała i szybko zbiegła po schodach. Pomyślała, że jeszcze trochę i stanie się tak nerwowa jak Lionel.

Automat sprzedający gazety znajdował się na chodniku przed hotelem. Był tak gorący, że niemal nie można było go dotknąć. Przechodząc, Constance zerknęła na nagłówki gazet. Gdy znajdowała się kilkanaście kroków za automatem, coś nagle ją tknęło i zawróciła. Jeszcze raz popatrzyła na bieżący „Miami Herald”. Artykuł na pierwszej stronie krzychał wielkimi literami: DWUDZIESTODWULETNIĄ

DZIEWCZYNĘ ZNALEZIONO MARTWĄ NA BRZEGU. Pod nagłówkiem znajdowała się fotografia tej samej dziewczyny, z którą Lionel rozmawiał poprzedniego dnia na plaży.

Constance kupiła gazetę i zaczęła czytać. Nie było najmniejszych wątpliwości.

Chodziło o tę samą dziewczynę. Miała te same włosy, tę samą twarz, jej zwłoki sfotografowano w tym samym stroju w paski zebry, który miała na sobie, gdy rozmawiała z Lionelem. Znaleziono ją na plaży niecały kilometr na północ od hotelu Doral. Leżała na ręczniku, jakby opalała się i nagle zasnęła. Do tej pory policja z Miami nie potrafi określić przyczyny jej śmierci.

Constance skończyła czytać. Przeszła kilka kroków chodnikiem i wyrzuciła gazetę do kosza. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się włoska restauracja „La Veranda”, a przed wejściem budka telefoniczna. Nigdzie nie było widać chińskiej restauracji.

Constance rozejrzała się uważnie wokół siebie, chcąc sprawdzić, czy nie jest obserwowana, po czym szybko przeszła przez jezdnię i weszła do budki. Wystukała numer telefonu swojej siostry i cierpliwie czekała, aż po drugiej stronie ktoś się zgłosi.

O godzinie T minus trzy godziny i pięćdziesiąt pięć minut podjechał samochód, by zabrać Micky'ego do bazy Sił Powietrznych na przylądku Canaveral. Kierował nim młody kapral o nazwisku Hudsecker. Jego twardy akcent nie pozostawiał wątpliwości, że pochodzi z Wirginii Zachodniej.

- Kiedy kazali mi pojechać po jajogłowego mającego odpalić Tomahawk, spodziewałem się, że będę wiozł jakiegoś starca w białym fartuchu. Nie myślałem, że trafię na kogoś tak młodego.

- Cóż, jestem młody i jedyny w swoim rodzaju. Po chwili milczenia kapral kontynuował rozmowę:

- Zdaje się, że nie jest pan z tego nadmiernie zadowolony, co?

- Chyba nie. Co ty byś zrobił, gdybyś jednego dnia był zwykłym kapralem, tak jak teraz, a następnego okazałbyś się najinteligentniejszym osobnikiem w całym wszechświecie?

- A skąd mam wiedzieć? To się zresztą nigdy nie zdarzy, więc po co miałbym sobie zaprzętać głowę takim problemem?

- Być może. Ale gdyby jednak tak się stało? Gdybyś nagle potrafił pisać lepiej od samego Szekspira, malować piękniej od Rembrandta i rozwiązywać najbardziej skomplikowane równania matematyczne?

- Hmm... Sam nie wiem. Chyba pojechałbym do Atlantic City i spróbowałbym wygrać coś w karty.

- A nie pomyślałbyś o tym, żeby zrobić coś ważnego dla świata? Na przykład odkryć lekarstwo przeciw rakowi. Albo skonstruować dla Sił Powietrznych superdokładny pocisk międzykontynentalny?

Kapral potrząsnął głową.

- Nikt nigdy niczego dla mnie nie zrobił. Szczególnie Siły Powietrzne. Dlaczego więc ja miałbym poświęcić się dla innych? Zresztą wcale nie chcę być najinteligentniejszym człowiekiem we wszechświecie. Lubię piwo, baseball i dziewczyny z wielkimi cycami; żeby tym się cieszyć, nie potrzeba wielkiego umysłu.

Myślenie wolę zostawić ludziom, którzy to lubią. Z tym mózgiem, który mam teraz, i tak jestem szczęśliwy.

Przejechali przez bramę i minawszy główny budynek administracyjny, podjechali do wieży kontrolnej. Było niemiłosiernie gorąco, a w chwili gdy obok przeokołowały dwa F-16 zmierzające na pas startowy, Micky odniósł wrażenie, że nie słyszy własnych myśli. Wyłączył więc na chwilę umysł i stwierdził, że przyniosło mu to ulgę. Od chwili, gdy przyjął pierwszy zastrzyk doktora Lügnera, nie robił nic innego poza myśleniem; jego mózg pełen był liczb, teorii i pomysłów, które przeciętnemu śmiertelnikowi nigdy by się nawet nie przyśniły.

Och, jak dobrze byłoby znów zostać przeciętnikiem, choćby na jeden albo dwa dni. Jak dobrze byłoby znów zmywać talerze i nieudolnie grać na gitarze. Być szczęśliwym chociażby w taki sposób, jak szczęśliwy był kapral Hudsecker.

Kiedy kierowca wprowadził Micky'ego do wieży kontrolnej, było tam już mnóstwo oficerów, techników wojskowych, a także część personelu od Broussarda, w tym Nestor Drysdale i Manuel Ortez. Za przyciemnioną szybą Micky zauważył

dwusilnikowego Intrudera; załoga naziemna przygotowywała właśnie maszynę do startu, starannie sprawdzając po raz ostatni funkcjonowanie dwóch potężnych silników Pratta i Whitneya.

Micky był zaskoczony, kiedy podeszła do niego uśmiechnięta Sara.

- Cześć, Micky - odezwała się. - Jak samopoczucie?

- Mogłoby być lepsze.

- Może poczujesz się lepiej, jeżeli ci powiem, że znaleźliśmy doktora Gatheringa, a Roxanne jeszcze dzisiaj wróci na Florydę?

- Czy mogę z nią porozmawiać?

- Kiedy tylko doktor Gathering... Kiedy tylko się z nim uporamy.

- Czy nic jej nie jest?

Sara uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Titan przeprasza za całe zło, do jakiego ostatnio doszło. Ma nadzieję, że zrozumiesz...

- Optymista.

- Daj spokój, Micky, nie bądź taki pryncypialny. Musieliśmy za wszelką cenę znaleźć doktora Gatheringa.

- Gdzie on teraz jest?

- W Key West. Roland właśnie tam jedzie.

- Czy Constance jest z nim?

- W tej chwili nic więcej nie mogę ci powiedzieć... Ach, popatrz, oto sam generał

major Broadmore. Przewodzi zespołowi wdrożeń lotnictwa taktycznego. Generale, zechce pan poznać Micky'ego Frasiera, geniusza w dziedzinie systemów naprowadzania.

Generał major Broadmore był szczupły i miał czujny wyraz twarzy. Twarz tę ozdabiał wielki nos i starannie przycięte, niemal białe wąsy. Nad lewą górną kieszenią jego munduru widniały baretki odpowiadające medalom, które zdobywał w walkach od Wietnamu do Zatoki Perskiej. Trzasnął przed Micky'm obcasami i podał mu dłoń.

- Proszę, proszę, nasi geniusze od naprowadzania okazują się z każdym rokiem młodszy - zauważył. - A może to tylko ja się starzeję?

Micky milczał.

- W każdym razie - kontynuował generał - proponuję, żebyśmy wspólnie prześledzili, co nas dzisiaj czeka.

Micky podszedł z nim do terminalu komputerowego, który miał monitorować lot obydwu Tomahawków. Pokazał mu elektrody, które w odpowiednim momencie przyłoży do skroni i dzięki którym „ujrzy” twarze osób stanowiących cel pocisków.

Generał przyłożył elektrody do własnych skroni i aż drgnął, gdy zobaczył twarze Charlie Chaplina i Papy Duvaliera, które „pojawiły się” we wnętrzu jego głowy.

- To nadzwyczajne, panie Frasier! - zawołał. - A jeśli nasz cel założy maskę albo ukryje się w bunkrze? - zapytał. - W jaki sposób rozpozna go pan wówczas?

- MiGR8 rozpoznaje cel dwójako: optycznie i termoczule. Jeżeli cel jest dobrze widoczny i rozpoznawalny, dociera do niego dzięki takim samym bodźcom, jakie odbieramy my wszyscy, gdy na

coś patrzymy. Jeżeli jest ukryty, nieważne gdzie i w jakich warunkach, termoczuły kod dotrze tam i dokona rozpoznania. - Micky uśmiechnął się. - Maska jest najmniejszą przeszkodą. Przed MiGR8 nie ma praktycznie ucieczki.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę to urządzenie w działaniu - powiedział

generał, poklepując Micky'ego po ramieniu. Popatrzył na zegarek. - Wszystkie nasze statki obserwacyjne i samoloty AWAC będą gotowe do akcji za sześćdziesiąt minut.

Zarejestrują każdy ruch naszych dzieciątek od momentu ich wystrzelenia do uderzenia w cel.

Zegar na ekranie komputera wskazywał godzinę T minus trzy godziny, sześć minut i dwadzieścia dwie sekundy. Trwało odliczanie.

Znalazła jednak chińską restaurację, a kiedy powróciła do pokoju, Lionel siedział

w trzcinowym fotelu na balkonie. Gdy do niego podeszła, mężczyzna zdjął okulary.

Popatrzył na nią dziwnym spojrzeniem.

- Coś się stało? - zapytała. - Przyniosłam kurczaki w cytrynie. To specjalność tutejszej restauracji chińskiej.

Constance powróciła do pokoju. Lionel poszedł za nią i stał przy niej, gdy wykladała jedzenie na stół. Gdy rozkładała pałeczki i serwetki, zapytał:

- Do kogo telefonowałaś?

- O czym ty mówisz? Do nikogo nie telefonowałam! - Nie kłam, Constance. Wiem o kłamstwie wszystko, bo sam okłamuję ludzi od ponad pięćdziesięciu lat. Dlatego wiem teraz, że mnie okłamujesz.

- Przysięgam ci, nie telefonowałam! Tak samo jak tobie, zależy mi na naszym bezpieczeństwie, zależy mi, żeby ci, którzy nas ścigają, nas nie dorwali.

- Poszedłem za tobą, Constance. Chwilę po twoim wyjściu zmieniłem zdanie i stwierdziłem, że możemy zjeść razem lunch w restauracji. I zobaczyłem, jak weszłaś do budki telefonicznej i telefonowałaś.

- Chciałam porozmawiać z siostrą, to wszystko. Ale się nie dodzwoniłam.

- Nie? Dlaczego więc tkwiłaś w tej budce tak długo?

- Lionel, bardzo cię przepraszam... Ja... nie potrafię żyć tak jak ty. Nie potrafię wciąż uciekać.

- Teraz nie masz wyboru. W gruncie rzeczy w tej chwili musimy już kontynuować ucieczkę. Ludzie Titana Blighta może nie są geniuszami, ale nie są też osłami. Z całą pewnością podsłuchują telefon

twojej siostry. A to oznacza, że zjawią się tutaj za trzy godziny i 26 minut; tyle czasu potrzeba, żeby przejechać samochodem z Miami do Key West. Oczywiście będą tu znacznie szybciej, jeżeli przylecą samolotem.

Constance usiadła.

- Przepraszam cię, Lionelu. Mam już jednak tego dosyć. Bardzo chciałam przeżyć przygodę, ale ta przygoda przestała mi już odpowiadać. Ta ciągła ucieczka do niczego nie prowadzi. - Ciężko westchnęła. Bała się wspominać o tym, co przeczytała w

„Heraldzie”.

Lionel na chwilę odwrócił się, ale zaraz spojrzał na Constance jeszcze raz i podszedł do niej.

- Nie możesz teraz mnie opuścić, Constance - powiedział łagodnie. - Nawet nie wiesz, jak straszne i samotne jest moje życie.

Kobieta milczała. Nie wiedziała, co powinna teraz powiedzieć. Rozumiała już, że nawet niebezpieczeństwo po jakimś czasie może się stać monotonią życia. Rozumiała, że bardzo niewiele rzeczy na tym świecie okazuje się w rzeczywistości takimi, jak ludzie je sobie wyobrażają. I że bardzo niewielu ludzi okazuje się takimi, jacy zdają się na pierwszy rzut oka.

Lionel wyciągnął dłoń, delikatnie unióśł głowę Constance; patrzył jej teraz prosto w oczy.

- Przywykniesz przy mnie do tego wszystkiego, zobaczysz - powiedział. - A teraz pakuj się.

- Lionelu...

- Jedziesz ze mną, Constance. Właśnie podjąłem decyzję.

Roland wydobywał z silnika całą moc, pędząc w kierunku Key West. Znajdował

się właśnie gdzieś pomiędzy Long Key a Conch Key. W oddali wesoło mienił się ocean.

Ciepły wiatr wpadł do samochodu przez otwarte okno i targał koszulą Rolanda.

Mężczyzna był zadowolony, podekscytowany, i to bynajmniej nie tylko z powodu pięknej pogody. Zaledwie przed kilkoma minutami zatelefonowała do niego Sara i powiedziała, że specjaliści od podsłuchu przechwycili telefon z Key West do galerii Constance Carden w Melbourne. Telefonowano z publicznego automatu.

Po sprawdzeniu hoteli i moteli znajdujących się najbliższej okolicy automatu okazało się, że tego poranka zameldowały się w nich trzy pary ludzi w podeszłym wieku, jednak opis tylko jednej z nich odpowiadał wyglądowi Lionela i Constance. Zamieszkali w hotelu Blue Marlin w pokoju numer 216. Roland wyobrażał sobie już, jak wyłamuje drzwi, wpada do tego pokoju i otwiera ogień z UZI. UZI strzela z prędkością sześciuset pocisków na minutę, co zdaje się kiepskim parametrem przy tysiącu strzałach na minutę ingrama, jednak z całą pewnością i ta prędkość, i jeden zaledwie magazynek

wystarczą, by zrobić befsztyk z pary staruszków.

Roland radośnie uderzył dłońmi w kierownicę. Znow zaczął śpiewać.

Wyprzedzając szkolny autobus na długim, prostym odcinku, wesoło pomachał

dziewczynkom zajmującym fotele po lewej stronie. Natychmiast odpowiedziały mu podobnymi gestami, a niektóre nawet posłały mu całusy.

Nudne popołudnie wlokło się w nieskończoność. Sprawdzano połączenia satelitarne z USS Kalifornia, gdyż na łączach powstały jakieś kłopoty. Gene Broussard krążył w tę i z powrotem już od ponad godziny, niepewny, czy równoczesne odpalenie obu pocisków będzie mogło dojść do skutku. Micky większość czasu tkwił przed monitorem, wielokrotnie sprawdzając działanie programu naprowadzającego. Coś go niepokoiło, nie był jednak w stanie określić dokładnie co takiego. Wszystkie dane dotyczące lotu i celu wydawały się wprowadzone prawidłowo. Wszystkie obwody mające zagłuszyć i oszukiwać radary wroga funkcjonowały właściwie. System rozpoznawania twarzy ofiary działał bez zarzutu.

Było coraz bliżej godziny T minus trzynaście minut i siedemnaście sekund, kiedy to Intruder miał się oderwać od ziemi i wystartowawszy w kierunku zachodnim w przygotowaniu do wystrzelenia pocisku, zatoczyć łuk nad wybrzeżem Atlantyku. W

miarę jak chwila ta się zbliżała, Micky był coraz bardziej niespokojny. Coś go niepokoiło, czuł, że na jakimś etapie prac popełniono błąd, nie wiedział tylko na jakim.

Podpowiadała mu to bardziej intuicja niż wszechstronna wiedza. Przypomniał

sobie ostatni sen: twarze nałożone jedna na drugą, martwe, płaskie...

Wspomnienie? Przeczucie, że stanie się coś złego? A może po prostu to już dawało o sobie znać zmęczenie?

Generał major Broadmore podszedł do Micky'ego i obwieścił z dumą:

- No, udało się, panie Frasier. USS Kalifornia jest na stanowisku, gotów do odpalenia swojego ładunku.

Gene Broussard również pojawił się przy Mickym. Jego biały garnitur był

wygnieciony, a jaskrawożółty krawat zwisał luźno, jednak Gene był teraz tak podekscytowany, że nie zwracał na to uwagi. Co chwilę wybuchał nerwowym, urywanym śmiechem.

Na progu pasa startowego Intruder grzmiał pełną mocą silników w oczekiwaniu na pozwolenie startu.

- Wreszcie! - zawołał Gene. - Za chwilę nastąpi start w dwudziesty pierwszy wiek.

Nawet Sara wpatrywała się w potężny samolot, nerwowo wyłamując sobie palec u rąk.

- T minus trzysta minut i dziewiętnaście... osiemnaście... siedemnaście sekund...

Start! - rozległo się z głośników i Intruder pomknął wzdłuż pasa startowego.

Wystarczyło kilka sekund rozbiegu, by oderwał się od ziemi i pomknął ku południowemu niebu, ciągnąc za sobą pomarańczowoszary pióropusz ognia i dymu.

Po chwili na wieży kontrolnej rozległ się meldunek z USS Kalifornia:

- Ptasię gniazdo, ptasię gniazdo, potwierdzamy gotowość do akcji.

Micky siedział w milczeniu, bez przerwy wpatrując się w tkwiący przed nim monitor. Wciąż nie potrafił się pozbyć uczucia, że coś nie gra. Pomyślał o swoim pierwszym spotkaniu z doktorem Gatheringiem (albo Lügnerem, albo jakkolwiek starzec się nazywał). Zaczął się zastanawiać nad postaciami, w które wcielał się ten człowiek, nad jego postępowaniem przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Naukowiec ciągle kogoś oszukiwał, nieustannie bawił się czyimś kosztem, nie potrafił przecież nawet przekazać prostej wiadomości, nie konstruując na przykład sztucznego pola golfowego i komputerowej wizji z własną osobą w roli głównej.

Był taki dziwny, skomplikowany, zmienny... To z powodu tej jego złożoności Micky miał złe przeczucia i nie potrafił ich od siebie odegnąć.

Tymczasem w Twisted River zadzwonił telefon i Titan sam podniósł słuchawkę. Z

miejsca, w którym się znajdował, wyraźnie widział Johna i Roxanne siedzących pomiędzy palmami na przeszklonej werandzie. Rozmawiali z ożywieniem. Nie przzerwali dyskusji, gdy podszedł do telefonu, Titan nie miał jednak wątpliwości, że ukradkiem wsłuchują się w jego słowa.

- Tu Roland, proszę pana. Zlokalizowałem ich. Mniej więcej za pięć minut pańskie kłopoty się skończą.

- Posłuchaj, Rolandzie, nie wolno ci skrzywdzić tej kobiety.

- Co takiego? A jakie ona ma znaczenie?

- Takie, że obiecałem komuś, iż nic jej się nie stanie. Ten ktoś obiecał mi coś w zamian. Jeżeli ja więc nie dotrzymam obietnicy, on nie dotrzyma swojej. Zrozumiałeś?

- Tak, proszę pana, zrozumiałem.

- Coś jeszcze. Postaraj się załatwić sprawę dyskretnie. Nie musisz miejsca, w którym zlikwidujesz Gatheringa, zamieniać zaraz w ser szwajcarski. Raczej zabierz doktora w jakieś ustronne miejsce i strzel mu po prostu między oczy. Już dosyć problemów miałem w ostatnich dniach z policją stanową z Florydy.

- Zrobię, jak pan sobie życzy - powiedział Roland, nie ukrywając jednak rozczarowania.

Titan odłożył słuchawkę. Następnie wstał z krzesła i ruszył w kierunku werandy.

John spojrzał na niego, jednak Roxanne siedziała z oczami wbitymi w podłogę. Była w prostej białej sukience. Oczy miała podkrążone.

Titan zapalił papierosa, zakaszłał i odezwał się:

- Jeszcze pięć minut i wszyscy odetchniemy swobodniej.

Intruder zatoczył krąg nad Banana River. Przez chwilę słońce świeciło prosto w szyby kokpitu, sprawiając, że w kabinie pilotów członkowie załogi mrużyli oczy nawet pod osłoną ciemnych okularów. Zaraz jednak samolot obrał kierunek na wschód w kierunku oceanu. Był czas T minus jedna minuta i czternaście sekund. Zgodnie z planem pocisk miał zostać wystrzelony dokładnie w chwili, gdy Intruder będzie się znajdował w odległości ośmiu i trzech dziesiątych mili morskiej od brzegu.

„Ptasie gniazdo, «ptak atlantycki» gotów”.

„Ptasie gniazdo, «ptak Pacyfiku» gotów”.

W wieży kontrolnej zapadła cisza, którą zakłóciły jedynie krótkie meldunki oficerów odpowiedzialnych za odpalenie pocisków i klekot klawiatur komputerowych.

Od czasu do czasu nerwowo pokasływał Gene Broussard.

T minus jedna minuta. Sara popatrzyła na Micky’ego i posłała mu chłodny, dziwny uśmiech.

T minus trzydzieści sekund. Generał major Broadmore ssał własny keiuk.

Dwadzieścia pięć... dwadzieścia... piętnaście... dziesięć... pięć.

„«Ptak atlantycki»... zapłon... uwolniony... pełna moc”.

„«Ptak Pacyfiku»... zapłon... uwolniony... leci”.

„Ptasie gniazdo... MiGR8 migruje. Nasze ptaszki są w drodze”.

Wśród członków personelu Broussarda rozległy się okrzyki radości. Sam Gene Broussard podskoczył kilkakrotnie w górę i zawołał:

- Tak! Tak! Tak!

Wszyscy zaczęli się tłoczyć przed monitorami, chcąc obserwować lot pocisków ku wyznaczonym celom. Po drodze czekało je zadanie: musiały uniknąć prób zakłócenia ich lotu przez najbardziej wymyślne systemy antyrakietowe, jakie kiedykolwiek skonstruowano.

Micky nie spuszczał oczu z dwóch stojących przed nim monitorów. Na tym z lewej strony

obserwował parametry lotu «ptaka Pacyfiku», a na tym z prawej - «ptaka atlantyckiego». Na razie wszystko przebiegało bez zakłóceń. Oba Tomahawki leciały z prędkością siedemdziesięciu dwóch setnych Macha, a więc z nieomal maksymalną prędkością operacyjną, mniej więcej dwa tysiące kilometrów nad powierzchnią Ziemi.

Cztery minuty i trzydzieści siedem sekund po rozpoczęciu testu krążownik nuklearny Long Beach, znajdujący się czterdzieści trzy mile morskie od wybrzeża, namierzył „ptaka atlantyckiego” i za pomocą systemu Aegis przeprowadził symulację zmasowanej obrony antyrakietowej. Tomahawk niezawodnie prowadzony przez MiGR8

wykonał kilka zgrabnych zwrotów, z łatwością unikając zagrożenia. Obniżył wysokość lotu i przez kilka chwil rzucał cień na powierzchnię oceanu, dołączając do sylwetek rekinów pławiących się na falach.

- Nie zatrzymają go - powiedział Gene. - Patrzcie tylko na to, do cholery, nie zatrzymają go za żadne skarby świata!

Inny test przeszedł „ptak Pacyfiku”. W jego kierunku krążownik klasy Belknap wystrzelił trzy pociski woda-powietrze. Gdy załoga krążownika się zorientowała, że strzały chybiły, w głośnikach rozległy się nieregularne odgłosy najwyższego zdziwienia: „Gdzie się podział ten skurwysyn?”

- Jak dotąd wszystko idzie doskonale, panie Broussard - przyznał generał major Broadmore.

Jednak w tej samej chwili Micky zmarszczył czoło i niemal dotknął nosem powierzchni ekranu.

- Coś nie w porządku? - zapytał Gene.

- „Ptak atlantycki” zboczył z kursu o jeden stopień w kierunku północnym - odparł

Micky. Natychmiast spojrział na drugi monitor. - „Ptak Pacyfiku” też leci inaczej, niż powinien. Zboczył na wschód.

- O jeden stopień? To chyba nieistotne. Może to z powodu wiatrów lub innych czynników atmosferycznych?

- MiGR8 powinien latać jak ptak. Musi brać poprawki na wszelkie zewnętrzne czynniki. Niezależnie od wszystkiego musi lecieć kursem, który odpowiada w stu procentach programowi.

- Ale chyba błąd nie jest poważny, co? - niepokoił się Gene. - Co to jest jeden stopień? To chyba nie ma nic wspólnego z MiGR8. Może to wina złych kształtów obudowy?

Micky powoli potrząsnął głową. Był coraz bardziej zaniepokojony. „Ptak atlantycki” po chwili odszedł od przewidywanego kursu o dwa stopnie, a potem o trzy. I nagle wykonał szeroki łuk i zaczął lecieć prosto na północ. W tym samym czasie „ptak Pacyfiku” również wybrał własną drogę i poleciał na północny wschód.

- Do diabła, co się dzieje? - zawołał generał major Broadmore. - Oba pociski zwariowały!

- Nie sędę - powiedział Micky, stukając palcami po klawiaturze.

- Co to znaczy „nie sędę”? Przecież całkowicie straciliśmy nad nimi kontrolę!

- My straciliśmy - zgodził się Micky. Nawet nie spojrzął na generała. Skupiony był na liczbach, które pojawiały się na ekranie.

- Nic nie rozumiem - jęknął Gene. Zdawał sobie sprawę, że „ptak atlantycki” leci coraz dalej na północ. Jeżeli natychmiast nie zmieni kierunku, musi przelecieć nad wybrzeżem w okolicach Isle of Palms, potem nad Charleston i pojawić się na niebie Karoliny Północnej i Południowej, uzbrojony w materiały wybuchowe zdolne zrównać z ziemią dziesięciopiętrowy wieżowiec.

Generał major Broadmore odezwał się po długiej chwili milczenia.

- Czy nie można skierować tych pocisków na właściwy kurs? - zapytał.

- Cały czas próbuję - odparł Micky. - Wydaje mi się jednak, że ktoś nas tu oszukał.

Ten system naprowadzania zdawał się skierowany na cele na wyspach Mona oraz Yoronjima, i to właśnie sugerował za każdym razem, gdy go sprawdzałem. A zrobiłem to dokładnie jednaście razy. To jednak nie jest zwyczajny system naprowadzania. Tu jest zawarty komponent ludzki jeszcze nigdy i nigdzie do tej pory nie zastosowany.

- Co to znaczy? - zawołał generał major Broadmore.

- To znaczy, że gdy zadawałem pytania, system zupełnie świadomie mnie okłamywał.

- Okłamywał? Do cholery, o czym ty mówisz, człowieku? Komputery nie kłamią!

- Nie mamy do czynienia z komputerem, generale. Przynajmniej w powszechnie rozumianym znaczeniu tego słowa. MiGR8 to raczej elektroniczny umysł z ludzkim komponentem.

- Umysł, który oszukał pana, kiedy go pan pytał, czy zamierza uderzyć w wyznaczony cel, dobrze rozumiem?

- Tak, proszę pana. Pragnę zwrócić pańską uwagę, że naukowiec, który stworzył

ten system, sam siebie nazywał Lügner, co po niemiecku znaczy „kłamca”.

- Dziękuję panu za wyczerpującą informację. I nie przyszło panu do głowy, że człowiek noszący nazwisko „Kłamca” może popełnić oszustwo? Że z jego powodu wystrzeliliśmy dwa pociski międzykontynentalne, które lecą sobie teraz nie wiadomo dokąd? Chryste, co się stanie, kiedy one spadną na ziemię? Przecież to się może zdarzyć wszędzie. W szkole. W szpitalu. Albo podczas konwencji Legionu Amerykańskiego!

Jezu Chryste!

Micky wciąż przyciskał kolejne klawisze.

- Nie spadną byle gdzie, generale. Zostały dokładnie wymierzone i osiągną cel, tylko będą to cele zupełnie inne niż te, które my wyznaczyliśmy.

- Trzeba je zniszczyć - zdecydował generał major Broadmore. - Zniszczyć, dopóki jeszcze lecą nad oceanami. Wykonać!

Micky posłusznie wprowadził odpowiedni program. W ciszy czekał na informacje o zniszczeniu pocisków, jednak nic takiego nie nastąpiło. „Ptak Pacyfiku” spokojnie zmierzał ku Japonii, a „ptak atlantycki” za trzydzieści pięć sekund miał się znaleźć nad Karoliną Południową.

Micky jeszcze raz przeprowadził kompletną procedurę niszczenia. I wciąż nic się nie działo; pociski nadal zmierzały ku sobie tylko wiadomym celom.

- Cholera jasna, Micky! - zawołał Gene. - Czy istnieje jakiś sposób, żeby je powstrzymać!

- Dajcie mi telefon! - zażądał generał major Broadmore. Patrząc na Gene'a, wyjaśnił: - Zatelefonuję do Myrtle Beach i wyślę w powietrze kilka F-16. Musimy za wszelką cenę przerwać to szaleństwo!

- Generale, traci pan czas - powiedział spokojnie Micky. - To robota doktora Lügnera i zapewniam pana, że jakichkolwiek środków by pan teraz użył przeciwko MiGR8, on pomyślał o nich już wcześniej, całe miesiące i lata temu. Może pan być pewien, że nie przeszkodzi pan temu, co zaplanował.

- Do diabła, więc co mam robić? Patrzeć spokojnie, jak giną niewinni ludzie?

Dokąd te diabelskie narzędzia lecą?

Micky przyjrzał się obydwu programom lotów. Oprócz tego, że pociski zboczyły z kursu, wszystko było w najlepszym porządku, wszystkie systemy funkcjonowały normalnie, nie szwankował najmniejszy element.

- Do cholery, co my teraz zrobimy? - zawołał Gene Broussard.

- Niestety, straciliśmy kontrolę nad tymi pociskami. Wciąż mamy łączność z ich systemami naprowadzania, jednak nie reagują one na moje polecenia.

- No to zrób coś, żeby zaczęły reagować, do cholery!

- Wciąż znajdują się na kursach, które same obrały. Wkrótce się dowiemy, kogo lub co chcą zniszczyć. Jednego jestem pewien: „ptak atlantycki” na pewno nie polecą na Karaiby. A jeśli chodzi o „ptaka Pacyfiku”, jeden Bóg wie, dokąd zmierza.

- Cholera jasna - warknął Gene. - System autodestrukcji nie działa. Pociski lecą, dokąd chcą. Może chociaż walną w moją firmę? Jutro i tak już jej nie będzie... Modlę się tylko, by nie zginęli niewinni ludzie.

- Chwileczkę. - Micky'ego nawiedziła nowa myśl. - Jeżeli nie zamierzają zniszczyć Chaplina i Duvaliera, muszą być wymierzone przeciwko komuś innemu. Może doktor Lügner ma powody, by się na kimś zemścić, i wybrał taki właśnie sposób?

- I tak nie dowiemy się, kto to jest. Poza tym jakie to miałyby znaczenie, nawet jeżeli byśmy wiedzieli? I tak nie da się zatrzymać tych pocisków, prawda?

- Może nie zatrzymałbym ich, ale mógłbym skierować je w inne miejsca.

- To znaczy przeciwko komuś innemu?

- Najpierw muszę się dowiedzieć, kto jest ich celem teraz, - Micky wziął elektrody z konsoli i przyłożył je do swych skroni. Następnie podłączył się do systemu rozpoznawania twarzy „ptaka atlantyckiego”. Powinien otrzymać wyraźny wizerunek człowieka, który stanowił aktualny cel pocisku. Niestety, dojrzał w swej głowie jedynie zakłócenia. - Chyba zastosował jakiś kod - powiedział.

- Czy możesz go złamać?

- Spróbuję, ale to może trochę potrwać.

- Czas to akurat coś, czego nie mamy zbyt wiele - zauważył generał major Broadmore. - Właściwie to już w ogóle nie mamy czasu.

Micky znów przyłożył elektrody do skroni. Po chwili odgadł naturę zakłóceń.

Działały te elementy transponderów MiGR8, których składnikiem była synaptyna.

MiGR8 celowo, po to by nikt nie zgadł, dokąd zmierzają, przestał w tej chwili myśleć.

Micky zorientował się, że gdyby teraz zadał systemom kilka skomplikowanych pytań, mógłby na chwilę osłabić ich czujność i uzyskać od nich informacje, kto jest ich celem.

- Gdzie jest „ptak atlantycki”? - zapytał Gene niespokojnie.

- Zmierza na północny wschód wzdłuż wybrzeża. Za dwie minuty i jedenaście sekund przeleci nad Wilmington w Północnej Karolinie, liczącym czterdzieści cztery tysiące mieszkańców. Przeleci, jeśli ma taki zamiar oczywiście.

Lionel i Constance powoli spacerowali nabrzeżem, do którego cumowały dziesiątki małych łodzi. Lionel uważnym wzrokiem zlustrował kilka, zanim podszedł do jednej z nich. Na jej pokładzie siedział niski mężczyzna w zielonej koszulce, popijał piwo i słuchał muzyki country. Był owłosiony i tak opalony, że bardziej przypominał małpę niż człowieka.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał Lionela.

- Być może. Moja żona i ja chcielibyśmy się wybrać na przejażdżkę do Meksyku.

- A więc mogę wam pomóc. Za czterysta dolarów.

- Myślę, że to rozsądna cena. Kiedy możemy wyruszyć? Mężczyzna popatrzył na zegarek.

- Musiałbym najpierw uzupełnić paliwo i zapasy wody pitnej. Może za dwie godziny?

- Zależy mi, żebyśmy wyruszyli jak najszybciej.

- Dwie godziny to będzie akurat - wtrąciła Constance. - My tymczasem pójdziemy coś zjeść, Lionelu. W końcu zmarnowaliśmy tyle chińskiego jedzenia.

Lionel zastanawiał się przez chwilę, a potem niechętnie pokiwał głową, wyrażając zgodę.

- Dobrze. Wypłynemy więc za dwie godziny. Jednak ani o minutę później. -

Odwrócił się i zaczął się oddalać od nabrzeża, ciągnąc Constance za sobą. Po chwili zatrzymał się i popatrzył na nią. - A ty, moja droga, mam nadzieję, że w tym czasie nigdzie nie zatelefonujesz. I nie będziesz próbowała uciekać.

Constance posłusznie potrząsnęła głową. Przez cały czas zastanawiała się jednak, czy jest wystarczająco zwinna, by uciec Lionelowi przez okienko restauracyjnej toalety.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Micky w pocie czoła pracował nad fragmentem systemu, dzięki któremu pocisk mógł rozpoznawać twarz swojej ofiary. Trwało to już prawie godzinę. „Ptak atlantycki” wciąż leciał prosto na północny wschód i dotarł już prawie do Providence na Rhode Island, a „ptak Pacyfiku” znajdował się w tej chwili mniej więcej osiemset kilometrów na południe od japońskiej wyspy Sikoku; zmierzał również w kierunku północno-wschodnim.

Generał major Broadmore postawił w stan gotowości wszystkie wojska wchodzące w skład systemu obrony powietrznej na wschodnim wybrzeżu. Cztery samoloty F-16

poderwały się z bazy wojsk powietrznych w Myrtle Beach i śledziły lot Tomahawka, jednak generał major Broadmore wydał pilotom wyraźny rozkaz nieniszczenia, dopóki kontynuuje lot na stałym poziomie ponad ziemią, tym bardziej że niemal przez cały czas leciał nad obszarami bardzo gęsto zaludnionymi.

Z elektrodami przytwierdzonymi do skroni Micky „pytał” MiGR8 raz za razem, kto jest obiektem przeznaczonym do zniszczenia przez pocisk. Początkowo przypuszczał, że jest to ktoś z DMWN... W końcu to ludzie z DMWN, ci w szarych marynarkach, próbowali zabić doktora Lügnera. Jednak równie uporczywie, jak Micky pytał, MiGR8 odpowiadał, że nie chodzi o nikogo z DMWN. Micky miał już zrezygnować, gdy znów pomyślał o doktorze Gatheringu. Sam nazywał siebie doktorem Lügnerem, „kłamcą”. Może tym razem kłamał również?

MiGR8, zadał pytanie, nie szukasz nikogo z DMWN, prawda?

Odpowiedzią były jedynie trzaski i zakłócenia.

Twoja ostatnia odpowiedź była prawdziwa, zgadza się?

Znów zakłócenia, jeszcze głośniejsze.

Twoja ostatnia odpowiedź była kłamstwem, czyż nie? - zapytał nagle Micky.

Przez chwilę coś trzaskało i migotało przed oczyma Micky'ego i nagle w jego umyśle ukazał się upragniony obraz, zamglony jak w źle nastawionym telewizorze.

Początkowo Micky niczego nie rozumiał w tej wizji, obraz jednak powoli się kształtował, miliony małych punkcików układały się w coraz wyraźniejszą męską twarz. Wkrótce Micky widział starego człowieka o rysach zdecydowanych i ostrych jak brzegi granitowej skały. Usta starca wygięte były w krzywym uśmiechu, a jego oczy zdawały się wyzywać na pojedynek każdego, kto ośmielałby się uznać go za postać mniej godną czci i szacunku niż sam Bóg.

Micky liczył, że doktor Lügner popełnił jeden błąd. Zaprogramowanie MiGR8

mogło być dla niego proste, trwać bardzo krótko i - jako oparte na kłamstwie - być praktycznie niemożliwe do rozszyfrowania. Micky jednak szybko zorientował się w tricku, o czym doktor Lügner zapomniał; chłopak był geniuszem, i to z jego namaszczenia. Przez chwilę bardzo uważnie wpatrywał się w tę twarz; był niemal całkowicie pewien, iż skądś pamięta tego człowieka. Znów wspomnienia doktora Lügnera. W końcu skinął na Sarę, jednocześnie odłączając się od elektrod. Wyciągnął

przewody w jej kierunku i zażądał:

- Popatrz tylko na tego faceta. Chcę, żebyś mi powiedziała, kto to jest.

Sara niechętnie przyłożyła elektrody do głowy, lecz kiedy obraz pojawił się przed jej oczyma, aż jęknęła ze zdziwienia.

- Przecież to Titan - powiedziała, wpatrując się w przestrzeń i widząc go, jakby stał tuż przed nią.

Micky spojrział na Gene'a.

- Mamy go, Gene. Oto, co zrobił doktor Gathering. Wycelował w Titana Blighta. A to oznacza, że pocisk leci w kierunku Bostonu. Dokładnie do domu Titana Blighta. A tam przecież znajduje się Roxanne. I John.

- Zaraz zatelefonuję do Titana - powiedziała Sara i pobiegła do telefonu.

Gene wpatrywał się w tor lotu pocisku. Z każdą sekundą śmierć była coraz bliżej Titana.

- Mówiłeś, że potrafisz zmienić kierunek lotu - odezwał się do Micky'ego.

- Spróbuję coś zrobić. Jeżeli zmienię rozpoznanie twarzy, być może skieruję pocisk w kierunku oryginalnego celu. Ale to może zabrać trochę czasu.

Mick rozłożył szczegółową mapę obszaru Dedham i wyrysował na niej przewidywaną ścieżkę lotu Tomahawka. Pocisk wciąż leciał z maksymalną prędkością operacyjną wynoszącą siedemdziesiąt dwie setne Macha. Oznaczało to, że dotrze do Twisted River za trzy minuty i czterdzieści cztery sekundy.

Pojawił się generał major Broadmore i Gene pokrótce powiadomił go o rozwoju sytuacji. Pokiwawszy głową, generał dorzucił swoje informacje:

- Wysłaliśmy w powietrze sześć dodatkowych F-16 z bazy w Pease. Jeżeli one nie zestrzelą tego pocisku, nikt nie będzie w stanie tego uczynić. I tak będzie trzeba to jednak zrobić, zanim Tomahawk osiągnie przedmieścia Bostonu.

- Słyszałeś, Micky? - zapytał Gene.

Micky był jednak zbyt zajęty, żeby mu odpowiedzieć. Znów podłączył elektrody do swych skroni i przymknął oczy, gdyż w ten sposób mógł lepiej obserwować twarz Titana Blighta. Obraz był bardzo wyraźny, jakby Titan stał kilka kroków przed nim, oświetlony w ciemnym pokoju. Z trudem odganiał od siebie chęć porozmawiania z nim, poproszenia go, żeby natychmiast wypuścił Roxanne z Twisted River. Ona nie jest twoja, stary człowieku. W gruncie rzeczy nigdy nie była też moja, ale nie chcę, żeby umierała.

Oczywiście Titan Blight milczał.

Micky spróbował teraz wyobrazić sobie doktora. Nie było czasu, by odszukać fotografie. Micky musiał polegać jedynie na swojej pamięci. Na szczęście podczas ostatnich kilku dni widział MiGR8 podobiznę doktora Lügnera kilkakrotnie, potrafił

więc go sobie wyobrazić aż do najdrobniejszego szczegółu.

Milimetr po milimetrze, z dużym wysiłkiem Micky odrzucał wizerunek Titana Blighta i zamieniał go na obraz doktora. Powoli, krok za krokiem, zmieniał oczy, nos, usta...

- Jak ci idzie? - zapytał Gene.

W odpowiedzi Micky jedynie potrząsnął głową, dając znak, że teraz nie należy mu przeszkadzać. Rozpoznanie twarzy było w systemie MiGR8 jedyną czynnością subiektywną, jedynym jego fragmentem, którego funkcjonowanie zależało tylko i wyłącznie od ludzkiej myśli. I jedynym, który ludzka myśl mogła dowolnie zmieniać.

Doktor Lügner jednak tak silnie umiejscowił rysy twarzy Titana Blighta w pamięci MiGR8, że Micky zaczynał tracić nadzieję, czy potrafi ją stamtąd wyrzucić. Mocno zamknął oczy i zacisnął zęby. Wciąż widział przed sobą Titana Blighta, zmiany, które wprowadził, ciągle były zbyt nikłe, by mogły przynieść jakiś skutek.

- Masz jeszcze dwie minuty i jedenaście sekund, zanim Tomahawk dotrze do Bostonu - odezwał się generał major Broadmore.

- Czy dodzwoniłaś się do Titana Blighta? - Gene zapytał Sarę.

- Ciągle próbuję. Nikt nie podnosi słuchawki.

- Pozwól mi spróbować - poprosił Manuel. - Mam szczęście do telefonów.

- Micky, muszę wydać polecenie przechwycenia pocisku - odezwał się generał

major Broadmore. - Ty jednak nie poddawaj się jeszcze. Wciąż próbuj zmienić tor lotu.

Micky pokiwał głową. Oczy miał zamknięte i nie widział, że na ekranie przed nim pojawiły się małe sylwetki F-16, zbliżające się do lecącego obiektu od strony północno-wschodniej. Tymczasem samoloty błyskawicznie wystrzeliły siedem pocisków AIM-9L

Sidewinder, próbując zniszczyć Tomahawk. Ten jednak, precyzyjnie kierowany przez MiGR8, zrobił kilka zwrotów oraz skrętów i bez wysiłku uniknął zniszczenia. Pozostała jedna minuta i piętnaście sekund do chwili, gdy pocisk trafi w Titana Blighta.

Micky jeszcze mocniej przycisnął elektrody do skroni i uczynił ostatni wielki wysiłek, by usunąć przed swych oczu wizerunek Titana, a zastąpić go twarzą doktora.

Było to jednak niemożliwe. Im dłużej patrzył na Blighta, tym trudniej było mu przypominać sobie rysy Gatheringa. Dosłownie czuł intelektualną siłę doktora Lügnera, jego logiczny sposób myślenia, wiedzę i moc, jaką dawała mu ogromna inteligencja. Pot wielkimi kroplami spływał po jego czole i kapał na klawiaturę komputera, a Micky jedynie cicho pomrukiwał i sapał, tak ogromny był wysiłek jego umysłu.

Gene dotknął ramienia chłopaka.

- No, postaraj się jeszcze, przyjacielu. Wiem, że dasz radę. Micky jeszcze mocniej zacisnął zęby. Musiał teraz dać z siebie dosłownie wszystko, każdą cząstkę intelektu, który posiadał dzięki synaptynie. Tak bardzo chciałby teraz myśleć jedynie o rock and rollu albo o zmywaniu naczyń u Guida, albo o wypadzie na plażę razem z Mingusem.

Jednak twarz, która tkwiła przed nim, wymagała od niego skupienia wszelkich sił, zaangażowania się w stojące przed nim zadanie każdą cząstką duszy. Wymagała koncentracji niemal nie na miarę ludzkich możliwości. Micky prawie widział, jak doktor Lügner wynajduje procesor do rozpoznawania twarzy. Było to z całą pewnością o wiele bardziej skomplikowane niż teoria względności. A jednak tkwiło gdzieś w zasięgu możliwości jego umysłu.

W pewnej chwili już miał nadzieję, że poznał tajemnicę; a jednak wizerunek Titana Blighta natychmiast powrócił. Micky wyprostował się i zdjął elektrody. Drżał na całym ciele.

- Nie dam rady - oznajmił. - Widzę jedynie Titana Blighta i nie potrafię tego zmienić.

- Trzydzieści trzy sekundy - powiedział generał major Broadmore.

Sara usiadła przy Micky.

- Micky, nie mów, że nie potrafisz nic zmienić. Bo potrafisz. Musisz. Jeżeli Titan umrze, będę nikim.

- Dwadzieścia dwie sekundy.

Micky popatrzył na Sarę. Ujrzał w jej oczach ogromną desperację. Nie mówiąc ani słowa, znów przyłożył elektrody do skroni. Wizerunek Titana Blighta natychmiast powrócił. Jezu, pomyślał Micky. Doktor Lügner powinien mi za to wszystko odpowiedzieć. To on przecież zniszczył wszystko, co w moim życiu miało jakąś wartość. Przez niego nie mam przyjaciela, psa, a teraz stracę również dziewczynę.

W tej pełnej desperacji chwili nie potrafił odrzucić od siebie natrętnej myśli o doktorze Lügnerze, nie potrafił odrzucić wspomnienia jego wysuszonej, beznamiętnej twarzy i oczu zdających się znać słowa, które zaledwie się pomyślało.

Przeklęty doktor Lügner. Przeklęty doktor Lügner. Siedzi teraz w Key West i cholernie się śmieje ze wszystkich naiwnych.

- Dziesięć sekund. Pięć.

Głowa Micky'ego opadła do przodu. Właśnie godził się z porażką. I w tym samym momencie zniknął sprzed oczu Titan Blight, tak jak jedwabna serwetka zsuwa się ze stolika zdmuchnięta lekkim podmuchem powietrza.

Przez ułamek sekundy trwała ciemność, a potem zupełnie nowa twarz pojawiła się w umyśle Micky'ego. Był to bez wątpienia doktor Lügner, wyraźny, jak żywy. Śmiał

się. Tymczasem Tomahawk zadrzał, otrzymawszy nowe polecenie, lecz zaakceptował je bez sprzeciwu. Błyskawicznie potwierdził zmianę celu i to, że jest w stanie do niego dotrzeć.

Micky zerwał elektrody. Znów zadrzał, a jego oczy lśniły.

- Co się dzieje? - zawołał Gene. - Co zrobiłeś? - Nie wiem. Ja...

Generał major Broadmore stał z boku i odliczał ostatnie sekundy.

- Pięć... cztery... trzy... dwa...

Tymczasem Tomahawk przeleciał nad Twisted River i szerokim łukiem ponad Quincy Bay zaczął skręcać na wschód. Po chwili wyrównał i kierując się ku Brockton, leciał jak zwykle spokojnie, cicho i bardzo szybko.

Siedząc na oszklonej werandzie w Twisted River John i Roxanne usłyszeli głośny świst, a potem coś ogromnego przeleciało jakieś dziesięć metrów ponad kominami. W

salonie zadrżały wszystkie przedmioty, a z jednego ze stolików spadła oprawiona w ramkę fotografia Titana. Szkło rozbiło się w drobny mak.

Po chwili podbiegł do nich sam Titan. Jego twarz była blada jak kreda.

- Co to było, do cholery? - zapytał John.

- Cruise, pocisk międzykontynentalny - drżącym głosem odparł Titan. - Cholerny, pieprzony Cruise. Minał nas zaledwie o kilka metrów.

- Nie mam wątpliwości, wraca tędy - powiedział generał major Broadmore.

Obserwowali, jak statecznie zmierzający na południe „ptak atlantycki” przelatuje nad Karoliną Północną i Południową, po czym kieruje się ku oceanowi. - Czy jesteś pewien, że zaprogramowałeś go na doktora Lügnera?

- Nie wiem - odparł Micky. - Widziałem jego twarz tylko przez ułamek sekundy.

Ale przecież pocisk zawrócił, prawda? Musi mieć przed sobą jakiś cel, jakieś miejsce, jakiegoś człowieka.

Do pomieszczenia wbiegł młody porucznik i służbiście zaszalutował generałowi majorowi Broadmore'owi.

- Mam wiadomości od policji stanowej z Florydy, sir - oznajmił. - Posłali dwóch funkcjonariuszy do motelu Blue Marlin, okazało się jednak, że doktor Gathering i kobieta już tam nie przebywają. Wszystko wskazuje na to, że opuścili motel w wielkim pośpiechu. Zostawili nawet jakieś bagaże. Troje świadków widziało ich, jak szli nad zatokę. Postawiono w stan gotowości całą straż przybrzeżną. Zostanie sprawdzona każda, najmniejsza nawet jednostka pływająca, która oddali się od brzegu.

- Dziękuję, Borman - powiedział generał major Broadmore. Następnie znów odezwał się do Micky'ego: - Czy możesz ponownie podłączyć się do systemu sterowania pocisku?

- Już próbowałem, ale odbieram jedynie zakłócenia.

- Hmm... Skoro rzeczywiście wymierzyłeś Tomahawk w tego twojego „doktora Lügnera”, wiemy przynajmniej, że cel nie znajduje się na lądzie. To powinno zminimalizować straty.

Micky pomyślał o Constance, ale milczał. Wiedział, że na swój wojskowy sposób generał major Broadmore ma rację.

- Spójrzmy tylko, co będziemy mogli zrobić z „ptakiem Pacyfiku” - powiedział

Gene i pochylił się nad ekranem umieszczonym po lewej stronie. Do tej pory pocisk uniknął już kilku ataków Tomcatów wystrzelonych z jednostek pływających i wycelowanych tak, by trafić w jego system naprowadzania. MiGR8 miał jednak własny umysł i pocisk z prędkością ośmiuset kilometrów

na godzinę kontynuował lot w kierunku Japonii, tak nisko nad oceanem, że widoczny był tylko na najlepszych radarach. W dowództwie Sił Powietrznych gorączkowo się naradzano, czy już przed nim ostrzegać Japończyków, czy też jeszcze czekać i na co.

- Na miłość boską, przecież on może z równym powodzeniem spaść na Japonię, jak i ją ominąć. Nie wiemy, w jaki punkt jest wycelowany. Jeżeli ich teraz ostrzeżemy, uznają nas za niepoczytalnych!

Micky podłączył elektrody z systemem MiGR8 kierującym pociskiem nad Pacyfikiem. Znowu nastąpiły zakłócenia i trzaski, jednak teraz wiedział już, jak dać sobie z nimi radę. Po kilku sekundach w jego umyśle powstał toporny niewyraźny obraz starszego Japończyka.

- Nigdy nie widziałem tego człowieka - powiedział. - To musi być ktoś, kogo doktor Gathering poznał w czasie wojny.

- Na miłość boską, skoncentruj się, człowieku! - zawołał generał major Broadmore.

- W przeciwnym wypadku wywołamy większy skandal międzynarodowy niż wtedy, gdy na Sowiecie spadł U2.

Po cichym i pełnym nerwowego napięcia posiłku składającym się z pieczonego błękitka i sałatki, który spożyli we włoskiej restauracji „La Veranda”, Lionel i Constance powrócili do Blue Marlin po swoje rzeczy. Był już wieczór, ale na bezchmurnym niebie pozostawały jeszcze resztki purpurowej poświaty po słońcu, które zaszło przed kilkunastoma minutami. Od południowego zachodu wiał łagodny, ciepły wiatr.

Lionel otworzył drzwi do hotelowego pokoju i oboje weszli do środka. Constance od razu poszła do łazienki, by zabrać swoją szczoteczkę i kosmetyki, a Lionel szybko posprawdzał szuflady, chcąc się upewnić, czy niczego nie zapomnieli. Nie zamierzał

nigdzie pozostawić żadnego śladu swojej bytności.

Przeszukawszy pokój, sięgnął do niebieskiej torby reklamowej i wyjął z niej strzykawkę. Szybko przymocował do niej sześciocalową igłę.

- Mam nadzieję, że nie dostanę choroby morskiej - zawołała Constance z łazienki.

- Nie martw się, nie dostaniesz. Gwarantuję ci to. Lionel stanął w drzwiach łazienki ze strzykawką ukrytą za plecami.

- Jeszcze nigdy w życiu nie byłam w Meksyku - powiedziała Constance. - Jak myślisz, czy mi się tam spodoba?

- W Meksyku? To wspaniały kraj. Przybyszom ze Stanów zawsze wydaje się taki swobodny, beztroski. Jeżeli jednego dnia o czymś się zapomni, zawsze można to zrobić następnego albo jeszcze następnego i nic strasznego się nie stanie.

Constance roześmiała się. Lionel podszedł, przystanął za nią i położył lewą dłoń na jej ramieniu.

Ujrzał swoje odbicie w lustrze. Zdziwił się, stwierdziwszy, że się uśmiecha.

- To już niedługo, Constance - powiedział. - Wielka przygoda właśnie się zaczyna.

- Wyciągnął rękę ze strzykawką zza pleców i trzymał ją przed sobą, jednak w taki sposób, że Constance jej nie zauważyła. Wciąż się uśmiechał. W chwili gdy miał

otoczyć ramieniem szyję Constance, rozległo się krótkie, ciche, jakby grzeczne pukanie do drzwi.

Constance odwróciła się.

- Kto to może być? - wyszeptała z przestraszeniem.

Lionel był kompletnie zaskoczony. Zdołał co prawda wsunąć strzykawkę do bocznej kieszeni marynarki, jednak zatkało go tak, że przez chwilę nie mógł powiedzieć nic sensownego.

Tymczasem pukanie się powtórzyło i zaraz potem zza drzwi dotarł głos:

- Czy potrzebują państwo czystych ręczników? - Ee... nie, dziękujemy! - krzyknął

Lionel.

A jednak drzwi otworzyły się i ujrzeli lekko opierającego się o nie Rolanda. Z

szerokim uśmiechem uważnie oglądał swoje paznokcie. Ubrany był w ciemną marynarkę, a na oczach miał przeciwsłoneczne okulary.

- Myślę, że wreszcie skończymy ciuciubabkę - odezwał się. - Co pan o tym sądzi, doktorze Gathering?

Lionel westchnął z rezygnacją. W jednej sekundzie zmienił się, jakby przybyło mu wiele lat.

- Chyba masz rację, człowieku, kimkolwiek jesteś. Mam dosyć ciągłego uciekania.

- Ja też - odezwała się Constance. Roland postąpił kilka kroków w głąb pokoju.

- Wygląda na to, że wreszcie pana dopadłem, prawda? Titan będzie cholernie zadowolony.

- Chyba nie zamierza pan uczynić nam krzywdy - powiedziała Constance. - Bardzo pana proszę. Nie sprawimy żadnego kłopotu.

- Hej, babciu, ty mnie wcale nie interesujesz. Mam rozkaz, żeby ciebie pozostawić w spokoju. Zostań więc sobie tutaj, damulko, a ja z doktorem Gatheringiem udam się na spacer.

- Nie! - zaprotestowała Constance.

- Przykro mi, ale tak właśnie się stanie. Lionel odwrócił się do Constance i powiedział:

- Zostaniesz tutaj. Mnie nic złego się nie stanie. Zresztą... Jestem już starym człowiekiem. Ile lat jeszcze mógłbym uciekać?

- Właśnie. - Roland pokiwał głową. - Dawno nie słyszałem mądrzejszych słów.

Lionel ruszył w kierunku drzwi, a w tym czasie Roland spojrzął na Constance i mrugnął do niej okiem. To było jego błędem, gdyż na ułamek sekundy przestał zwracać uwagę na Lionela. Starzec błyskawicznie wyciągnął strzykawkę z kieszeni marynarki i wbił ją dokładnie w środek szyi bandyty. Zaskoczony Roland odskoczył do tyłu i chciał

krzyknąć, ale jego krtań przebita była sześciocalową stalową igłą, a więc zdołał jedynie wydobyć z gardła nieartykułowany, cichy bulgot. Lionel pchnął go tak mocno, że mężczyzna przewrócił się pod ścianę.

- Ruszaj się, Constance! - zawołał. - Uciekamy! Constance jednak stała w miejscu jak sparaliżowana. Najwyraźniej już nie miała zamiaru nigdzie iść.

- Nie, Lionelu, nie ruszę się. Już nigdy i nigdzie z tobą nie pójdę.

Lionel wahał się tylko ułamek sekundy. Posłał Constance ostatnie krótkie spojrzenie i wypadł z pokoju. Zbiegłszy schodami do holu, jak burza minął recepcję.

- Hej! - zawołał za nim recepcjonista. - Chyba nie zamierza pan nas opuścić, nie płacąc za pokój! Człowieku, policjanci pytali o pana!

Lionel nie zareagował na wołanie. Wybiegł na ulicę i zmierzał co siłą ku plaży.

Było już niemal zupełnie ciemno, dlatego gdy dotarł do oceanu, mógł nie zauważony poruszać się wzdłuż brzegu zatoki. Miał coraz mniej sił, a bieg po ciepłym, sypkim piasku był o wiele bardziej wyczerpujący niż po asfalcie. Wkrótce był tak zmęczony, że musiał przejść do powolnego truchtu.

Przebył tak może sto metrów, gdy usłyszał za sobą głuchy łomot. Głęboki, niski i z każdą chwilą narastający. Lionel zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Po chwili zdał

sobie sprawę, że nie jest to żaden grzmot, a co najwyżej odgłos samolotu, który lecąc na nieprawdopodobnie małej wysokości, zbliżał się w jego kierunku z ogromną prędkością.

Już zamierzał ruszyć, gdy jego oczom ukazał się Tomahawk. Pocisk okrążył plażę, pozostawiając za sobą smugę dymu. Lionel rzucił na piasek torbę i ze skrajnym przerażeniem patrzył na lecący obiekt. Jego genialny umysł podpowiedział mu, co za chwilę nieodwołalnie musi nastąpić.

- Odejdź - wyszeptał. - Zaklinam cię, odejdź.

W XVII wieku lekarze próbowali leczyć rany, zaklinając broń, która je spowodowała. Teraz Lionel chciał nawiązać łączność z Tomahawkiem, kontaktując się z MiGR8, swym własnym wynalazkiem, systemem, w którym znajdowały się przecież cząstki jego umysłu. Pragnął żyć. Nagle jednak dotarło do niego, że pamięta całą książkę telefoniczną Winter Park, a nie potrafi sobie przypomnieć, ilu zabił

ludzi. To go zdekoncentrowało.

Tomahawk jeszcze raz zatoczył koło nad plażą. Umieszczony w MiGR8 czujnik potwierdził właśnie rozeznanie twarzy Lionela. Stary naukowiec uklęknął nagle na piasku i wznosił dłonie ku niebu. Nic więcej nie mógł już zrobić.

Tomahawk zawrócił i ruszył teraz prosto na niego. Po chwili uderzył Lionela w twarz z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę.

Potężna eksplozja wzbijała w górę tumany piasku i sprawiła, że w promieniu kilkudziesięciu kilometrów popękały wszystkie szyby w oknach. Nad oceanem długo unosiło się echo wybuchu; można było odnieść wrażenie, że ktoś chodzi po wielkim domu i trzaska wszystkimi drzwiami. Aż wreszcie nad plażą zapanowała cisza. Jedynym śladem po tragedii, która się rozegrała, pozostały fragmenty łuski Tomahawka oraz kilka przedmiotów stanowiących jeszcze przed chwilą własność doktora Lionela Gatheringa. Wiatr wysoko unosił podarte kartki dwóch książek oraz strzępy jedwabnej pidżamy.

Pułkownik Genji Nishino siedział wygodnie na drewnianej werandzie domu swojego syna w Obama i podziwiał piękny widok na Wakasa-wan, popijał przy tym herbatę i czytał gazetę. Był słoneczny, jasny poranek i na skrzących wodach zatoki kołysało się mnóstwo łodzi rybackich.

Dwuletni prawnuk Nishino bawił się niedaleko w pięknie ukwieconym ogródku.

Synowa pułkownika przebywała w kuchni; widział ją przez okno, jak przygotowuje na obiad gotowany ryż i ryby.

Mimo że słońce świeciło bardzo jasno, pułkownikowi Nishino w pewnej chwili zrobiło się zimno. Zadrżał. Wstał i zabrawszy hebanową laskę, wszedł do domu.

Nagle usłyszał grzmot, który dobiegł z jasnego nieba. Wyszedł na próg, ale początkowo zauważył jedynie klucz kormoranów unoszący się nad zatoką. Dopiero po chwili zobaczył smukły kształt pocisku międzykontynentalnego, który pozostawiał za sobą ciemną smugę. Z całą pewnością pocisk wystrzelili Amerykanie; na jego kadłubie widoczne były ich barwy narodowe. Ale co tutaj robił?

- Yakuri! - zawołał pułkownik do synowej. - Chodź tylko i popatrz.

Yakuri wyszła do ogrodu, wycierając ręce.

- Co to jest? - zdziwiła się. - I dlaczego tutaj lata?

Tomahawk tymczasem zgrabnie, niemalże z elegancją wznosił się wyżej ku niebu.

A potem niespodziewanie ostro zakręcił i poszybował prosto w ich kierunku.

W pierwszym odruchu pułkownik Nishino zamierzał odwrócić się i przygarnąć do siebie prawnuka. Nie miał już jednak na to czasu. Uczynił zaledwie dwa niepewne kroki i w tym momencie pocisk z prędkością czterystu dziesięciu kilometrów na godzinę uderzył w werandę i eksplodował. Cały

budynek w jednej chwili zniknął z powierzchni ziemi. Na jego miejscu powstała ogromna dziura.

Kiedy umilkło echo wybuchu, zaczęły opadać liście zerwane z drzew przez niesamowity podmuch. Jeden po drugim, łagodnie i cicho, jak późną jesienią; jakby właśnie dobiegał końca kolejny rok.

Gdy Micky i Roxanne powrócili na Canoe Creek Road, znaleźli czekającego na nich z utęsknieniem Orbisona. Na ich widok zaczął radośnie szczekać i machać ogonem w szaleńczym tempie.

- Zabrałem go z kliniki, kiedy tylko się dowiedziałem, że jest mu lepiej -

powiedział Rhett. - Wiecie co, chyba przyzwyczailem się trochę do tego wielkiego, włochatego faceta.

Weszli do domu. Panował tu potworny zaduch i wszędzie było pełno kurzu. Micky wziął Roxanne w ramiona i złożył na jej ustach długi pocałunek. Orbison tymczasem biegał po całym mieszkaniu, obwąchując od nowa wszystkie kąty.

- Może się czegoś napijemy? - zapytał Micky, idąc do kuchni. - Wciąż mam butelkę wina, którą dał mi Guido.

Z kieszeni koszuli wyciągnął ostatnią ampułkę synaptyny i położył ją na kuchennym stole. Zobaczyła ją Roxanne, która po chwili pojawiła się przy nim. Zabrała ampułkę i uważnie jej się przyglądała.

- Chyba nie zamierzasz tego zażyć, co? - zapytała.

- Dlaczego nie? Chyba lubisz mnie, kiedy jestem inteligentny.

- Chyba nie. Wolałabym, żebyś był mniej inteligentny, ale bogatszy.

- Tylko mi nie mów, że Titan zaczął cię kusić swoim bogactwem.

- On nic nie znaczy. Ale musiałbyś widzieć miejsce, w którym mieszka.

- Nie przejmuj się. Będziemy bogaci, mimo że Broussard mi nie zapłacił. Zaczęę produkować synaptynę i będę sprzedawał ją ludziom za bająnskie pieniądze. Zbuduję dla ciebie dom, przy którym siedziba Titana wyda ci się budą dla psa.

Wyjął z kieszeni brązową grubą kopertę, którą dostał od doktora Gatheringa, zawierającą przepis na synaptynę. Otworzył ją, wyjął zawartość i powiedział:

- Oto i nasz majątek. Już do końca życia żadne z nas nie będzie musiało pracować.

Roxanne wzięła od Micky'ego papiery i pobieżnie je przeglądała, podczas gdy on wyciągnął dwa piwa z lodówki.

- Nigdy jeszcze nie widziałam dokumentów naukowych - stwierdziła. - Co jest tutaj napisane o wstrząsach?

- O wstrząsach? Nie wiem. Może chodzi o wstrząsy elektroakustyczne? Pokaż mi, niech spojrzę.

Roxanne wręczyła Micky'emu papiery i obserwowała go, gdy czytał.

- Absorbenty wstrząsów - powiedział i potrząsnął głową. - Co za cholerny oszust!

To nie jest receptura synaptyny! To są stronicie wyrwane z instrukcji serwisowej chryslera!

- Czy oznacza to, że jednak będziemy musieli pracować? - Absolutnie nie. Przecież ciągle mam jedną ampulkę. Zamiast ją zażyć, po prostu przeprowadzę analizę.

- A więc już nigdy nie będziesz normalny?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chyba wiesz. Nie chcę być niegrzeczna ani cię obrazić, ale wciąż jesteś taki...

dziwaczny.

- Dziwaczny? Nigdy nie byłem dziwakiem, nawet wtedy, kiedy nie byłem geniuszem!

- Ale teraz jesteś w moich oczach dziwaczny, a nie genialny. Popatrzył na nią. Nie wiedział, co w tej chwili powiedzieć.

Przyszło mu do głowy, że przecież ma w małym palcu wyższą matematykę, że jest doskonałym muzykiem, wspaniale maluje i ma nadzwyczajną pamięć. Tak, jest genialny i nie może i nie chce tego stracić. To byłoby gorsze, niż gdyby teraz oślepl! Opinia Roxanne nie może na niczym zaważyć.

- Mylisz się - mruknął, bo jemu, geniuszowi, nic innego nie przyszło w tej chwili do głowy.

Roxanne pocałowała go. Podczas pocałunku nie potrafiła jednak przestać rozmyślać o Twisted River i o ofercie, którą złożył jej Titan.

John powrócił do San Francisco. Kiedy otwierał drzwi swojego mieszkania, był

bardzo zmęczony, lecz dziwnie zadowolony z siebie. Nastawił wodę na kawę, po czym rzucił w kąt bagaże oraz marynarkę i pootwierał wszystkie okna.

Z filiżanką kawy usiadł przy biurku i położywszy nogi na blat, przypatrywał się, jak słońce powoli zachodzi za budynkiem TransAmerica.

Gdy zadzwonił telefon, głośno zaklął, lecz wstał i podniósł słuchawkę.

- John? Tu Sara.

- Och, Sara! Jak się masz?

- Stęskniłam się za tobą, jeżeli chcesz wiedzieć. - Hmm... Chyba mogę powiedzieć to samo o tobie.

- Co zamierzasz teraz robić?

- W tej chwili? Zaraz skończę pić kawę, a potem rozpakuję się i przejrzę pocztę.

- Chodzi mi o to, co dalej zamierzasz począć ze swoim życiem.

- Cóż, będzie takie jak do tej pory. Część pieniędzy Titana zużyję na rozkręcenie własnego interesu; znów będę pracował tak, jak przedtem, zanim Jamie został

postrzelony.

- Tylko część?

- Większość ofiaruję klinice dziecięcej w Santa Cruz. Ku pamięci małego Jamie Huntleya. Może w ten sposób poprawię trochę ten cholerny świat?

Sara długo milczała, zanim odezwała się po raz kolejny.

- Czy jeszcze kiedyś będę mogła cię spotkać? - zapytała.

- Nie wiem - odparł. - Wszystko zależy od tego, jak potoczy się życie.

- A czy pragnąłbyś takiego spotkania?

- Jasne, ale...

Odłożyła słuchawkę. John, zaskoczony, długo wpatrywał się w telefon, zanim uczynił to samo. Powrócił za biurko. Niemal w tej samej chwili usłyszał, jak przed budynkiem trzaskają drzwiczki jakiegoś samochodu. Znów wstał i wyjrzał przez okno.

Ujrzał tego samego białego mustanga co kiedyś; w kierunku klatki schodowej zmierzała właśnie Sara. Była w krótkiej czerwonej sukience, a w ręce trzymała telefon komórkowy.

Otworzył drzwi i popatrzył, jak idzie po schodach. W końcu uśmiechnięta stanęła przed nim i przez długą chwilę oboje milczeli.

Wreszcie Sara wspięła się na palce i wyszeptała mu do ucha:

- Titan pozwolił mi odejść. Jak myślisz, dlaczego? John potrząsnął głową.

- Czasami ludzie popełniają dobre uczynki bez żadnego szczególnego powodu - powiedział.

Ale bardzo rzadko, dodał w myślach, kiedy jego usta zetknęły się z ustami Sary.

Raport przygotowany przez Stedman Laboratories Incorporation w związku z próbą nr 336C/21988:

Analiza próbki wskazuje, że mamy do czynienia z bardzo silnym syntetycznym środkiem o właściwościach przypominających kurarę. Wprowadzony do ludzkiego krwiobiegu natychmiast wywołałby paraliż znacznej części mózgu, szczególnie tej, od której funkcjonowania zależy pamięć. Inaczej mówiąc, zażycie tej substancji spowodowałoby całkowitą i nieodwracalną amnezję.

Document Outline





-  
-  

Table of Contents

